

W stronę Swanna





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

MARCEL PROUST

W POSZUKIWANIU STRACONEGO CZASU

W stronę Swanna

TLUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

OD TŁUMACZA

Kariera pisarska Prousta szła drogą dość niezwykłą. Zaczęła się stosunkowo późno, przewała ją wojna, potem przecięła ją rychła śmierć. Ale, mimo że w chwili zgonu nieznanie było jeszcze w całości jego dzieło, już niepodobna było wątpić, że odszedł artysta i myśliciel na miarę największych; już Proust zaważył jak mało który z pisarzy na swojej epoce. Tuż po śmierci Prousta zaczęto gromadzić — z niezawodną pewnością ich znaczenia — dokumenty dotyczące pisarza i człowieka, listy, wspomnienia, tradycje ustne.

Równocześnie zaczęła narastać legenda. Nie ma dziś czytelnika — a może i nie czytelnika — Prousta, który by nie wiedział o jego chorobie, o jego światowych sukcesach, o jego późniejszym odosobnieniu, o jego dostatku, hojności, neurastenii, dziwactwach, o heroizmie wreszcie, z jakim do ostatniego tchnienia pracował, uzupełniał swoje dzieło, spożytkowując jako materiał twórczy własne cierpienie, niemal własną śmierć.

Parę ściślejszych dat niewiele przyda do tego obrazu. Proust prawie nie ma biografii; przynajmniej zewnętrznej. Cały mieści się w historii swojej myśli, swojego dzieła.

Urodzony w r. 1871, syn znanego lekarza i higienisty profesora Adriana Prousta, młody Marcel zdradzał przedwczesną inteligencję, która, połączona z kobiecym wdziękiem i przywilnością, czyniła go oryginalnym zjawiskiem. Ale bardzo wcześnie wystąpiły u niego objawy rzadkiej choroby — swoistej astmy — która skazała go na cieplarniany tryb życia. Zapach kwiatów i w ogóle roślin pomnażał ataki choroby; słońce było mu wrogiem; nauczył się coraz bardziej żyć w nocy, coraz więcej posługiwał się narkotykami dla uśmierzania duszności i sprowadzenia opornego snu. Choroba ta miała zaciążyć na twórczości pisarza, akcentując to, co w tej twórczości jest rzadkie, przeczulone, cieplarniane. Bezsenne noce pogłębiły jego refleksje, cierpienie wyostrzyło jego zmysły. Za młodu marzył o podróżach; musiał się rozstać z tym marzeniem: poza wycieczką do Wenecji i letnimi pobytami w Cabourg (opisane w jego powieściach jako *Balbec*) nie ruszał się z Paryża. Namietność podróży przetworzył na ową podróż w czasie, jaką jest jego dzieło.

Za młodu Proust — wspomagany w tym przez rodziców — starał się walczyć ze swoją chorobą. Uczęszczał do kolegium; odbył — złagodzoną co prawda przez względnosc przełożonych — jednoroczną służbę wojskową, brał udział w życiu literackim młodych. Wraz z kilkoma przyjaciółmi — między nimi Flers, Barbusse, Daniel Halévy, Gregh, Leon Blum — zakłada pismo *Le Banquet*; artykuły, które pomieszcza w tym piśmie młody Proust, zdradzają żywą ciekawość intelektualną i szerokie czytanie, zwłaszcza w piśmiennictwie obcym.

Potem pociąga go życie światowe. Jak gdyby wiedziony instynktem przyszłej twórczości, Proust wchodzi w arystokratyczne sfery Paryża. Osobisty urok i zalety towarzyskie otwierają mu najbardziej zamknięte salony. Młody Marcel staje się duszą zebrań; błyskotliwością rozmowy, werwą swoich słynnych parodii i imitacji umie ożywić ten „świat nudów”. Zapuszcza się w salony literackie, bawiąc się ich śmiesznościami, ale umiając ocenić usługi, jakie oddają przenikaniu sztuki. Ociera się o wielki półświatek, urzekający artystę cieplarnianą poezją mody, stroju, zbytku, wdziękiem nietrwałego kwiatu. Chętnie odwiedza Lasek Buloński, gdzie słynny „Boni” i książę de Sagan stanowili wówczas centrum świata elegancji. Młody Proust wydawał u siebie obiady, gdzie wobec najwytworniejszego towarzystwa poeci mówili subtelne wiersze.

Ogromną rolę w życiu Prousta grała przyjaźń. Przyjaźnił się z wieloma kobietami i z wieloma mężczyznami; wkładał w te przyjaźnie bardzo wiele; czuły, oddany, usłużny, zasypywał swoich przyjaciół grzecznościami, kwiatami, upominkami; to znów, wrażliwy jak mimosa, urażał się lada czym lub lękał się, że kogoś uraził, i wówczas nie było końca listom z wymówkami, przeprosinami, komentarzami.

Powodzenia te oddaliły Prousta od dawnych towarzyszy, którzy niebawem przyczepili mu niebezpieczną etykietkę światowca, dyletanta, snoba. Pierwszą jego książkę *Les Plaisirs et les Jours*, zbyt koźnie wydaną, z grzecznościową przedmową samego Anatola France’a, również przyjęto jako wczasy zamoźnego amatora. Zdecydowano rychło, że z Prousta nigdy nic nie będzie. Nie mogły zmienić tej opinii kroniki „światowe” — dziś inaczej oceniane — jakie pomieszczał w *Figarze* pod pseudonimem „Horatio”, ani nawet przekład Ruskina, w którym utopił sześć lat życia, opatrując pisma Ruskina obszernymi

przedmowami. Proust czuł tę opinię o sobie, zapewne cierpiał od niej, może ją podzielał. Lata biegly, ten i ów z dawnych towarzyszy stał się głośny lub sławny, podczas gdy on... W samym tytule jego utworu czuć, że ten „stracony czas” musiał mu być bolesny.

A jednak trudno o czas mniej stracony, bardziej wypełniony, wydajniejszy! Świadomie czy nie, Proust przygotowywał w nim swoje dzieło. Instynktownie obrał teren, na którym „komedia ludzka”, mająca być przedmiotem jego książki, najdostępniejsza była obserwacji. Zaciekawiony, rozbawiony, mający dar egzotyzowania powszedniości, Proust obserwował niestrudzenie; zestawiał fakty, obyczaje, anegdoty, chwycił na gorącym uczynku stosunki ludzi między sobą, doraźnie opatrywał je swoistym filozoficznym komentarzem i magazynował wszystko w swojej zdumiewającej pamięci. Dokumentował się na wszelkie sposoby. Bo pochłonięty praktyczną obserwacją „wyżyn społecznych”, Proust prowadzi równocześnie swoją ankietę na innym planie; ulubioną jego pasją były rozmowy ze służbą, z garsonami modnych restauracji. Podszewka bogatego wierzchu.

Okolo roku 1905, po śmierci ukochanej matki, Proust coraz bardziej zaczął się odsuwać od świata. Po rozbiciu się domu rodzinnego — ojca stracił już kilka lat przedtem — przeniósł się na *boulevard Haussmann*, wynajął duże mieszkanie, stłoczył wszystkie meble razem, sam zaś osiadł w jednym pokoju, który kazał wysłać korkiem dla uzyskania ciszy, ale nigdy nie zdobył się na to, aby dać obić korek tapetą. Meble pokrywały się kurzem, łóżko i podłoga papierami, gdy Proust, coraz bardziej oderwany od wszystkiego, co nie było jego dziełem, zaczął gorączkowo pisać. Odtąd jeżeli się pojawiał w świecie, to przeważnie po to, aby sprawdzić jakiś szczegół swego utworu, zdobyć potrzebną informację. Choroba jego robiła postępy, śpieszył się. Zawsze dygocący od zimna, w ciężkim futrze, zarośnięty, dawny cherubin zjawiał się czasem jak upiór na jakimś arystokratycznym balu, którego uczestnicy nie wiedzieli, że może pozują w tej chwili do nieśmiertelnego obrazu. Bliskim jego wiadomo było, że pisze, ale nikt nie wiedział co, nikt nie interesował się tym zbyt. Proust nałożył sobie tę rzadką i wymagającą dużego hartu dyscyplinę, aby nie rozpocząć druku, dopóki nie ukończy całości. Pisał lat siedem czy osiem, zanim położył kreskę pod ostatnim ustępem ostatniego tomu. I wówczas zaczęła się nowa trudność. Kto odważy się wydać sześć tomów pana Prousta, nieznanego, i gorzej niż nieznanego, bo zdyskredytowanego swymi światowymi koneksjami? Intelktualna i odważna *Nouvelle Revue Française* zwraca mu skrypt (jak się później okazało, bez czytania): czegoś spodziewać się po innych! Nie chcą Prousta w *Mercure de France*; księgarz Fasquelle orzeka, że utwór pan Prousta „zbyt różny jest od tego, co publiczność nawykła czytać”; inni zrywają zamożnego amatora drwinami. Proust był istotnie — zwłaszcza po śmierci ojca — człowiekiem więcej niż zamożnym i mógł bez trudności wydać swoje dzieło własnym kosztem; ale przyjaciele odradzali mu to jako coś, co deprecjonuje książkę i autora. W końcu, zrezygnowany Proust znajduje wydawcę, który decyduje się — dać firmę, o ile autor pokryje koszty. W r. 1913 ukazuje się pierwsza część *Poszukiwania straconego czasu*, pod niewdzięczniejszym jeszcze tytułem *W stronę Swanna*. Krytyka, poza jednym artykułem Soudaya, zachowuje głębokie milczenie, głośny zaś entuzjazm paru przyjaciół Prousta nastroja innych tym oporniej.

Ale powoli krąg zwolenników tej książki, urażającej w istocie wszystkie przyzwyczajenia ówczesnego czytelnika, rozszerza się. Ktoś zaczyna czytać od początku — i odrzuca książkę z niechęcią i zmęczeniem: któregoś dnia podejmuje ją i otwiera na los szczęścia w środku; czyta stronicę, dwie, i nie może się oderwać; wraca do początku, pochłania całość, wybucha zachwytem, biega z książką po znajomych, wtyka im ją w rękę, zaraża ich swoim entuzjazmem. Tworzy się coś na kształt kapliczki Prousta: drugi tom ma już zapewnioną nieliczną wprawdzie, ale wyrafinowaną publiczność. Ten tom, mozolnie przerabiany przez autora, jest właśnie w druku: już, już ma się ukazać — zapowiedziano go na jesień roku 1914 — kiedy wybucha wojna.

Jeżeli dla którego pisarza wojna zdawała się ruiną jego twórczej egzystencji, to dla Prousta. Nie tylko dlatego, że na kilka lat sparaliżowała we Francji zainteresowania czysto artystyczne; że odsunęła na bok książki niezwiązane z wojną i problematami chwili; ale dlatego, że zarazem unicestwia — tak się zdawało — całą przedwojenną epokę, z której wyrosło dzieło Prousta. W bombardowanym Paryżu, gnębiony swoją morderczą astmą, niezdolny do noszenia broni i tym bardziej obolały od biuletynów zwiastujących mu

śmierć wielu bliskich, Proust pozostał sam ze swoim biednym rękopisem. Mniej wierzący w swoje posłannictwo autor rzuciłby go może w ogień; Proust wziął go na nowo na warsztat i pogubił niemal do czterokrotnej objętości. Skorzystał z perspektyw chwili, z nowych stanów duszy i nowej nauki życia, aby wzbogacić swoje dzieło. Tylko pierwsza, poprzednio wydana część pozostała w pierwotnej postaci; dalsze cztery tomy miały się rozrósć do czterestu.

Krwawe lata minęły wreszcie. Proust wklejał coraz nowe karty między wiersze dawnego rękopisu. Jeden z redaktorów *Nouvelle Revue Française*, Jacques Rivière, przeczytał tymczasem ów pierwszy tom Prousta — w obozie jeńców w Niemczech, i zawstydził się lekceważenia, z jakim wydawnictwo jego odniosło się do tej rewelacyjnej książki. Już nie mogło być mowy o tym, aby kazać Proustowi dopraszać się łaski wydawców. I prawie równocześnie z zawieszeniem broni — rzecz możebna jedynie we Francji, jeszcze dymiącej krwią, a tak cudownie żywotnej i ufnej — pierwszą książką, która się ukazała — w listopadzie r. 1918 — był dalszy ciąg utworu Prousta, pod jakże egzotycznym w stosunku do chwili tytułem: *A l'ombre des jeunes filles en fleurs*. I w następnym roku — 1919 — „zakwitające dziewczęta” Prousta zdobywają nagrodę Goncourtów, mając za rywala Dorgelès’a i jego *Drewniane krzyże*. Oficjalna konsekracja pisarza, która nie rozbraja niechętniej krytyki. „Tym razem — pisze któryś — Goncourci dali nagrodę pisarzowi naprawdę nieznanemu. Nie jest młody, ale nieznanany jest i nieznanany pozostanie...” A równocześnie poczta przynosi Proustowi kilkaset listów z wyrazami radości i entuzjazmu ze wszystkich krajów.

Odtąd Proust wchodzi w sławę. Staje się żywą legendą, mitem; kursują anegdoty o nim, o jego szczególnym trybie życia, wynikłym przeważnie z choroby. Zjeżdżają się z daleka jego entuzjaści, aby go ujrzeć, poznać. Ale na próżno. Trawiony nieubłaganą chorobą, Proust ma przed sobą tylko parę lat, które musi całkowicie oddać swemu dziełu. Zaczyna się tragiczny wyścig między pisarzem a śmiercią. Proust — jak Balzac — w korekcie zwłaszcza daje ostateczny kształt każdej stronicy; czy zdoła dokończyć, czy zdąży doprowadzić druk do końca, to jedyna rzecz, jaka go interesuje. Po *Stronie Guermantes* ukazują się w r. 1922 trzy tomy *Sodomy i Gomory* — „jedna z najśmielszych książek jakie istnieją”, powiada jego monografista Pierre-Quint. Ale to są ostatnie tomy, jakie wyszły za jego życia. Proust umiera w listopadzie r. 1922, licząc zaledwie pięćdziesiąt jeden lat.

Po śmierci pisarza pozostał trud doprowadzenia do końca druku dzieła z pozostałych rękopisów, zagmatwanych poprawkami, spęczniałych od dopisków. Trwało to kilka lat; ostatnia część ukazała się w r. 1927. Każdy tom pomnażał zachwyt nad dziełem, odsłaniał nowe perspektywy, rozwijał poprzednio zaznaczone motywy, ujawniał głęboko przemyślany plan. Ostatnie tomy — *Czas odnaleziony* — uwieńczyły wreszcie całość niby kopuła. Dzieło Prousta objawiło się w całości, imponujące, niepodobne do niczego w literaturze świata. Popularność jego rosła — liczba nakładów wskazuje dziś cyfry sięgające stu kilkudziesięciu kilku tysięcy. Mnożą się przekłady na języki obce. „Kto szuka genialności, ten w sferze francuskiej powieści znajdzie ją tylko u Prousta” — pisze o nim E. R. Curtius. A po ukazaniu się całości jego dzieła po niemiecku inny krytyk mówi: „Proust jest — powiedzmy to wręcz — największym poetą współczesnej literatury europejskiej”.

Utwór *W poszukiwaniu straconego czasu* zamyka — poza paroma tomami kronik i esejów — wszystko, co wyszło spod pióra Prousta. Obejmuje w oryginale 16 dużych tomów. Dzieli się na siedem części, każda po parę tomów. Tytuły tych części brzmią: 1. *W stronę Swanna*; 2. *W cieniu zakwitających dziewcząt*; 3. *Strona Guermantes*; 4. *Sodoma i Gomora*; 5. *Niewolnica*¹; 6. *Nie ma Albertyny* 7. *Czas odnaleziony*.

Nie zamierzam tu podjąć analizy dzieła Prousta, które dopiero stopniowo i powoli znajdzie się w rękach polskich czytelników. W tej chwili byłoby to przedwczesne. Pragnę jedynie w najprostszych słowach zaznaczyć plan całości, a raczej zwrócić uwagę na wielość płaszczyzn, na których porusza się twórcza myśl pisarza. Myśl ta „jest tak złożona, że ujawnia się aż bardzo późno, kiedy wszystkie tematy zaczną się kombinować”, pisał sam Proust, troskając się, że dzieło jego nie będzie od początku zrozumiane.

¹*Niewolnica* — ostatecznie przyjęto tytuł *Uwięziona* (fr. *La Prisonnière*). [przypis edytorski]

Nie sędzę, aby to niebezpieczeństwo groziło pierwszej części, która, zamknięta niemal sama w sobie, tworzy raczej urocze preludium niż uwerturę do tej ogromnej kompozycji. Wprowadza nas w nią osoba opowiadającego, cały bowiem utwór pomyślany jest w formie jak gdyby pamiętnika. Proust bierze jako przewodnika swego sobowtóra, dając mu własne chorowite i przewrażliwione dzieciństwo, własne — zaledwie nieco przetworzone — wspomnienia rodzinne. Ale w ogóle nie pytajmy zbyt o „realia”, nie pytajmy o chronologię, przeciw której autor świadomie i rozmyślnie wykracza. Z dziecka urasta chłopiec, który czyni pierwsze nieśmiałe kroki w świecie; potem rozszerza się krąg jego znajomości; wchodzi — jak sam Proust — w arystokratyczne towarzystwo, ociera się o świat dwuznacznych uczuć przez despotycznego pana de Charlus i nieuchwytną Albertynę; przechodzi męki miłości i zazdrości, łamie się ze swoim twórczym powołaniem, aż wreszcie miraż życia roztapia się dlań w jedynej prawdzie sztuki. Dokoła tej figury opowiadającego, która to wysuwa się na pierwszy plan, to ginie w cieniu, grupuje się cały świat Prousta. W miarę ukazywania się tomów dzieła czytelnicy rozmawiali o jego figurach jak o swoich osobistych znajomych, podobnie jak sto lat wprzód o figurach Balzaka. Postacie te, mniej liczne niż u Balzaka, ale pulsujące nie mniej nasilonym życiem, przesuwały się w kartach powieści poprzez różne tomy; aby ułatwić czytelnikom orientowanie się w tym „ruchu ludności” uczynił Pan Charles Daudet dla Prousta to, co swego czasu uczyniono dla *Komedii Ludzkiej*; wydał skorowidz osób i ich udziału w akcji powieści; skorowidz, nawiasem mówiąc, niewolny od przeoczeń i błędów.

Postacie żyjące na kartach Prousta posiadają takie znamię prawdy, że publiczność chciała się w nich dopatrywać autentycznych wizerunków. Plotka szukała wzorów między znajomymi pisarza. Ale Proust bronił się przeciw takiemu zwięzaniu prawdy artystycznej, podkreślając syntetyczny charakter każdej z figur, w którą wchodziły rysy wielu żywych osób, aby stworzyć postać oddychającą zstokrotnionym życiem fikcji. Jeden tylko jest tu portret niewątpliwy — oczywiście też spotworniały i wyolbrzymiony: to ów późniejszy baron de Charlus (w pierwszej części nawet się nie zapowiada jego dalszy charakter), do którego dał Proustowi natchnienie głośny światowiec i poeta, Robert de Montesquiou. Nie pierwszy to raz przyszło mu pozować do portretu; parę dziesiątków lat wprzód ten sam Montesquiou uchodził za model bohatera powieści *A rebours* Huysmansa, „dekadenta” des Esseintes.

Ale prawdziwym bohaterem dzieła Prousta jest Czas; czas, który jest współczynnikiem wszystkich osób, współaktorem wszystkich zdarzeń; czas, który sam Proust mieni *czwartym wymiarem*. Każda z figur przeżywa na kartach powieści lat kilkanaście, czasem kilkadziesiąt; w przeciwieństwie do Balzaka, który wydobywa z każdej postaci zwłaszcza to, co w charakterze człowieka jest stałe i niezmienne, Proust dąży do oddania nieustannej płynności stanów duszy, pozornych niekonsekwencji charakteru, określonych bardziej złożonymi, ale niemniej konkretnymi prawami. Dochodzi do paradoksu w gotowaniu nam niespodzianek; robi sobie po trosze zabawę z tego, aby wszystko się działo inaczej, niżby można przypuszczać.

I jak nie miałyby być w człowieku nieustannych sprzeczności, skoro świadome jego życie jest tylko wciąż zmieniającą się wypadkową sumujących się i krzyżujących czynników podświadomości, grą wielorakiej dziedziczności, urazów i kompleksów dzieciństwa! Równocześnie z Freudem i zapewne nie znając go jeszcze, Proust odgadł i zmitologizował najistotniejsze odkrycia freudyzmu. I jak niegdyś dzieło Balzaka było ściśle spowinowaczone ze współczesną myślą naukową, wyprzedzając ją nieraz zresztą, tak samo dzieło Prousta jest dziełem epoki Bergsona, Freuda i Poincarego, odmaterializowanej fizyki, rewolucyjnej chemii. Ileż uczuć przed nim uważanych za pierwiastki rozłożyła chemia Prousta; ileż rozsadził on atomów psychicznych!

Gdy mowa o dziele Prousta, raz po raz nasuwa się na myśl Balzac, mimo bardzo głębokich między nimi różnic. Jako malarz społeczeństwa, Proust wykreśla sobie inne perspektywy. Gdy w świecie balzakowskim największą część energii ludzkiej pochłania walka o byt, pieniądź, praktyczna ambicja, u Prousta — może wynikało to z cieplarnianych warunków jego osobistego życia i ze specjalnego terenu jego obserwacji — wszystkie prawie działające osoby położeniem swoim uwolnione są od grubych trosk życia, zabiegi ich odnoszą się do spraw mniej uchwytnych, ale tym sposobniejszych dla zademonstrowania teatru duszy człowieka. „Psy gryzą się nad kością, ludzie nad cieniem” — powiada

nasz Fredro. Snobizm dostępuje w ujęciu Prousta filozoficznej konsekracji. Nie tylko snobizm towarzyski w tradycyjnym znaczeniu tego słowa: Proust jest prawdziwym mistrzem w kombinowaniu jego odcieni; ale snobizm właściwy wszystkim klasom, wszystkim stanom, będący nie czym innym jak tylko aurą złudy, w jakiej porusza się każdy człowiek. Nieśmiertelną monografią takiej złudy jest *Don Kiszot* Cervantesa; otóż, wyobraźmy sobie stu Kiszotów — każdy odmiennego typu — współżyjących z sobą, a zrozumiemy intencję Prousta.

Ale i w życie społeczne miesza się współczynnik czasu. Dzieło Prousta jest — na ograniczonym, ale jakże genialnie wyzyskanym odcinku — historią wielu epok; obejmuje więcej niż pół wieku. Sięgając poprzez miłość Swanna i młodość Odety głęboko w przeszłość, Proust doprowadza swoją powieść aż do ostatnich lat, wydobywając ileż bogactw z wielokrotnego przeobrażenia form, obyczajów, sposobu myślenia, mówienia i czucia. Nikt tak jak Proust nie umiał odtworzyć subtelnego zapachu przeszłości, oddać, za pomocą właściwości samego języka, kolejnych epok spotykających się z sobą nieraz przy jednym stole.

W na wskroś odmaterializowanej koncepcji świata wyznawanej przez Prousta dwa są dominujące elementy: sztuka i miłość. Sztuka ma swego fanatyka w Prouście, dla którego jest ona jedyną realnością istnienia, i to bez przerośnię, dosłownie. „La petite phrase” sonaty Vinteuila jest leitmotivem² nie tylko miłości Swanna, ale i całego dzieła Prousta, którego muzyczność działa chwilami na nas ze zdumiewającą siłą sugestii. Co się tyczy miłości, sama „Miłość Swanna” — zawarta w pierwszej części utworu — starczyłaby za przykład, jak bardzo Proust umiał odnowić ten, zdawałoby się, tak zużyty temat. Ileż paradoksalnych odkryć streszcza się w końcowym wykrzykniku Swanna! Miłość w różnych odcieniach nasyci i dalsze tomy, ale w miarę jak Proust posuwa się w swoim dziele, coraz bardziej pochłania go zagadnienie usymbolizowane w tytule centralnej części: *Sodoma i Gomora* — homoerotyzm. Zdaje się, że motyw ten, zaznaczony w pierwszej redakcji *Poszukiwania straconego czasu*, rozrósł się niepomniernie w redakcji ostatecznej, będącej wynikiem ponownego wzięcia tego utworu na warsztat. Czy działał tu przełom lat wojennych, osłabiający nietykalność różnych *tabu*, czy większe oderwanie się Prousta od świata i rosnąca w nim potrzeba bezwzględnej prawdy, czy może zachodząca w samym Prouście — jak w jego bohaterze Saint-Loup — znamienna ewolucja w tej mierze, trudno tutaj rozstrzygać. Ta część biografii Prousta wspiera się jak dotąd na tradycji ustnej; z rzadka pojawiają się pisane dokumenty, które, w miarę jak będą się mnożyły, pod dotychczas znanym obliczem pisarza odsłonią nam może innego, tym tragiczniejszego Prousta. Nie umiem się oprzeć wrażeniu, że scena między panną Vinteuil a jej przyjaciółką ma jakiś akcent rozpaczliwie osobisty. W niektórych częściach utworu czuć jakby transpozycje płci, nawet kosztem prawdopodobieństwa sytuacji. Homoerotyzm we wszystkich odcieniach zajmuje w dziele Prousta tak wiele miejsca, że mogło się ono wydawać niemal monografią inwersji, co jest niewątpliwie bardzo fałszywe; niemniej faktem jest, że jest pierwszym i jakże głębokim studium zjawiska, którego przed Proustem zaledwie ważono się dotknąć. Proust zdawał sobie sprawę z zuchwalstwa obyczajowego, jakim była ta część jego dzieła. „Kiedy się zjawi Charlus, wszyscy się odwrócą ode mnie”, pisał w liście do przyjaciela. Ale kiedy się zjawił Charlus, Proust już nie żył. Nie sprawdziły się zresztą jego obawy; nikt chyba nie dojrzy w tej części dzieła Prousta czego innego niż odwagi i głębi myśliciela, badacza choroby, tym tragiczniejszego, jeżeli w krąg obserwacji rzetelność każe mu wciągnąć samego siebie.

Oto przegląd — niewyczerpujący bynajmniej — płaszczyzn, na których porusza się myśl Prousta. Łatwo zrozumieć, że wszystko, co w tym ujęciu świata było nowe i co dziś wydaje się najcenniejsze, musiało zrazu odstręczyć pobieżnych czytelników. Proust lekcewał sobie to, co zazwyczaj stanowi siłę i urok powieści: fabułę, wikłanie przygód. Nigdy nie ślizga się po powierzchni zjawisk, zawsze drąży w głąb, a introspekcja jego jest tak dramatyczna i zajmująca, że obchodzi się bez zewnętrznych perypetii „bajki”. Zainteresowanie płynie nie ze zdarzeń, ale z perspektyw, jakie nam Proust umie pokazać, z myśli, jaką umie przesycić najbardziej znany fakt, który nagle oglądamy nowymi oczami. Z drażniącą dla wielu nonszalancją nigdy nie liczy się z czasem. Podwieczorek u pani

²leitmotiv (z niem.) — motyw przewodni. [przypis edytorski]

de Villeparisis zajmuje pół tomu, obiad u księżnej de Guermantes co najmniej tyleż; ale któraś powieść potrafi tak zagarnąć i przykuć czytelnika, jak te genialne akty nowej „komedii ludzkiej”!

Bo mimo iż skąpany w poezji, ociekający wręcz poezją, utwór Prousta jest zwłaszcza komedią w znaczeniu dosłowniejszym jeszcze niż u Balzaka. Mimo bolesności wielu kart jego dzieła, mimo zasadniczo tragicznego stosunku do życia, Proust należy do rasy wielkich humorystów. Może to skutek jego patetycznej, a tak bliskiej jeszcze śmierci, może skutek snobistycznego nieco nastawienia pierwszych wielbicieli, ale za mało mówi się o komizmie w dziele Prousta. Wobec dykcyjnarza komunałów u Prousta, pokazanych w żywym materiale, słynny „dykcyjnarz komunałów” Flauberta jest dziecinnie ubogi! Rozdźwięki między fikcją a rzeczywistością — a raczej tym, co zwykliśmy dla wygody nazywać „rzeczywistością” — zderzenia baniek mydlanych, jakie każdy wydyma dokoła siebie i w jakich, niby żółw w skorupie, wędruje po świecie, konfrontacje epok i światów, wszystko to daje efekty nieodparcie komiczne. Komiczne jest tu wszystko, co jest towarzyskością; komiczny człowiek poruszający się wśród ludzi; tragicznym staje się, gdy pozostaje sam ze sobą.

Oddając polskim czytelnikom w ręce dzieło Prousta, uważam za konieczne zdradzić im jeden sekret. Mianowicie ten, że lektura Prousta wymaga niejakiej cierpliwości; autor ten żąda pewnego kredytu. Wynika to po prostu z techniki jego tworzenia, z rozmiarów tej olbrzymiej, jedynej w swoim rodzaju kompozycji. Niewątpliwie bywały i większe cykle powieściowe: *Komedia ludzka* Balzaka obejmuje 95 utworów; cykl Zoli składa się z dwudziestu paru dubeltowych tomów. Ale związek poszczególnych członów inny tam jest niż u Prousta. Każdy utwór Balzaka zyskuje niewątpliwie w związku z całością, ale nie ma bezpośrednich stosunków między dajmy na to *Ojcem Goriot*, *Eugenią Grandet* a *Kawalerskim Gospodarstwem*. Toż samo u Zoli; każda powieść cyklu stanowi odrębną całość, z odrębnymi figurami, a węzły krwi między członkami rodziny Rougon-Maquart są dość nieistotne i dla czytelnika obojętne. Inaczej u Prousta. Tu ciągłość opowiadania jest ścisła, a plan skomponowany z zadziwiająco precyzją; motywy prowadzone są z całą sztuką kontrapunktu. Jeżeli nas zastanowi jakiś szczegół w jednym z pierwszych tomów, możemy być pewni, że znajdziemy jego odpowiednik logiczny w którymś z następnych. Nic nie jest powiedziane ani pokazane na próżno; wszystko gra przez cały czas, aż wreszcie znajdzie swój ostateczny sens w przejmującej instrumentacji finału. Wiem z doświadczenia, a potwierdzają mi to zwierzenia wielu czytelników Prousta, iż kiedy się go czyta po raz pierwszy, wiele rzeczy uchodzi naszej uwagi; ale kiedy, znając już całość lub bodaj większą jej partię, uczynimy sobie tę przyjemność, aby wziąć na nowo któryś z poprzednich tomów, odkrywamy nowe perspektywy, nową myśl w każdym niemal szczególe, rozumiemy wszystko inaczej. I to jest jedna z nie najmniejszych rozkoszy intelektualnych, jakie daje ta lektura.

Oczywiście, podziwiając wspaniałą konstrukcję dzieła, niepodobna zamykać oczu na przeobrażenie, jakiemu ono uległo pomiędzy wydrukowaniem części pierwszej a następnych. Skoro pierwsza część — *W stronę Swanna* — pozostała w dawnej postaci, dalsze zaś tomy rozrosły się w czwórnasób, zrozumiałe jest, że pierwotny plan musiał ulec pewnej deformacji — co najmniej w swoich proporcjach. Rozszerzając horyzont doświadczeń pisarza o kilka lat — i to jakich! — nowa praca nad rękopisem wzbogaciła jego spojrzenie wstecz mnóstwem nowego materiału, którego kończąc utwór swój w r. 1912 nie mógł nawet przeczuwać. Stąd nawet pewne rysy w dziele, którego dwie redakcje powstały w tak różnych epokach i różnych stanach ducha. Ukazała się niedawno (1934) książka³ prof. Feuillerat *Comment Marcel Proust a composé son roman*, w której na zasadzie pracowniczego zestawienia tekstów autor dochodzi do rozróżnienia „dwóch Proustów”. Nawet styl jego nosi ślady nieustannej pracy, w której zdania i okresy puchły nieraz od narastających bogactw i komplikacji myśli.

I tu trzeba nam powiedzieć parę słów tyczących formalnej strony dzieła oraz stosunku tłumacza do niej. Faktem jest, że to, co najbardziej odstręczało pierwszych czytelników od Prousta, to był jego sposób pisania, jego styl. Olbrzymie przez wiele stronic gęste

³Ukazała się niedawno (1934) książka — por. T. Żeleński (Boy), *Nowe oblicze Prousta*, „Wiadomości literackie”, nr. 624. [przypis tłumacza]

druku ciągnące się okresy bez momentu wytchnienia, z bardzo rzadkimi „a capite”; trwające zdania przez stronicę i dłużej; zawile, skomplikowane, pełne nawiasów w nawiasach — niby pudełeczko w pudełeczku i pauz wydzielających kilkuwierszowe nieraz wstawki; zaimek poprzedzający nieraz o kilka wierszy rzeczownik, który zastępuje; konstrukcja rozległych fraz, do których klucz znajduje się często w ostatnim słowie i do których po przeczytaniu trzeba jeszcze raz powracać, wszystko to — łatwo sobie wyobrazić — nie zyskało mu sympatii francuskich zwłaszcza czytelników, nawykłych do innych zgoła kanonów stylu. Powiedziano też zrazu o stylu Prousta wszystko złe, co można powiedzieć. Ale stopniowo zaczęto patrzeć na to inaczej. Przyzwyczajono się; nauczono się czytać Prousta; rozumiano, że nowa myśl wymaga nowej formy; że to dziwne monstrum, jakim bywa zdanie Prousta, jest organicznie zespolone z istotą fenomenu, jakim jest jego indywidualność, bogata, skomplikowana, widząca w każdym zjawisku wiele rzeczy naraz. Poprzez oporny na pozór rytm Prousta wyczuło wewnętrzną melodię, jaka przesyca jego okresy; spostrzeżono, że mimo przeciwnych pozorów najczęściej zdania te zbudowane są bez zarzutu, że podobne są człowiekowi idącemu po linii, który balansując nad przepaścią, dochodzi pewną stopą do końca. Wyczerpano z kolei dla stylu Prousta wszystkie superlatywy. Ale nie popadajmy w bałwochwalstwo. Styl Prousta — który uwielbiam — bywa nierówny. Wynika to z bogactwa i subtelności jego myśli, skomprimowanej niekiedy jak pastylka, a także ze sposobu jego pracy, z nieustannych poprawek na rękopisie, na korekcie (księgarz wydierał mu w końcu korektę i sam podpisywał ją do druku!) rozsadzających nieraz zdanie aż do pojemności przekraczającej wytrzymałość przeciętnego czytelnika.

To, co powiedziałem, wskazuje na trudności, jakie — poza innymi, wynikłymi z precyzji myśli, z bogactwa i rzadkości słownictwa — nastęrcza tłumaczowi samo zdanie Prousta. Takiego jak jest w oryginale, nie zniósłby często język polski. To, co się przyjmuje od Prousta, tego czytelnik nie darowałby tłumaczowi. Polski język nie dopuszcza nieograniczonego mnożenia zdań zależnych i nizania ich w długie bez końca łańcuchy. Często — przyznaję się do tego — wypadało łamać zdanie i składać je na nowo; często — aby osiągnąć większą przejrzystość — trzeba było dzielić je na części. Zarazem pozwoliłem sobie poczynić pewne zmiany w układzie drukarskim, zwiększając liczbę „akapitów” oraz wyodrębniając dialogi, co niewątpliwie przyczynia się do czytelności książki. Nie sądzę, abym był przez to w niezgodzie z intencjami Prousta, który wielokrotnie w korespondencji swojej wyraża gorączkowe pragnienie, aby być czytany — i to nie przez szczuplejszy krąg wyrafinowanych intelektualistów, ale przez szeroką publiczność. I wciąż, w ciągu tej pracy; słyszałem wewnętrzną muzykę myśli Prousta, i tę starałem się zachować i oddać.

CZĘŚĆ PIERWSZA. COMBRAY

I

Przez długi czas kładłem się spać wcześniej. Niekiedy, ledwie zgasił świecę, oczy zamykały mi się tak prędko, że nie zdążyłem powiedzieć sobie: „Zasypiam”. I w pół godziny potem myśl, że czas byłby zasnąć, budziła mnie; chciałem odłożyć książkę, którą, zdawało mi się, że trzymam jeszcze w ręce, i zgasić światło; nie przestałem, śpiąc, zastanawiać się nad tym, com przeczytał; ale te refleksje przybierały charakter nieco odrębny; zdawało mi się, że to ja sam byłem tym, o czym mówiła książka: kościołem, kwartetem, rywalizacją Franciszka I z Karolem V. Przeświadczenie to trwało jeszcze kilka sekund po przebudzeniu; nie raziło mego rozumu, ale ciążyło mi jak łuska na oczach i nie pozwalało im uświadomić sobie, że świeca już się nie pali. Następnie świadomość ta zaczynała mi być niezrozumiała, niby po metempsychozie myśli z poprzedniego istnienia; treść książki odrywała się ode mnie, mogłem wrócić do niej albo nie; natychmiast odzyskiwałem wzrok i czułem się bardzo zdziwiony, że widzę dokoła siebie ciemność słodką i kojącą dla oczu albo bardziej może jeszcze dla ducha, któremu wydawała się rzeczą bez przyczyny, niezrozumiałą, rzeczą naprawdę ciemną. Pytałem sam siebie, która może być godzina; słyszałem gwizd pociągów, który — bliższy lub dalszy — jak śpiew ptaka w lesie, uwydatniając odległości, określał mi rozmiar pustkowi, kędy podróżny spieszy do najbliższej stacji: ścieżka, którą idzie, wyrzyna się w jego pamięci dzięki podnieceniu zrodzonemu z nieznannej okolicy, z niezwykłych czynności, z niedawnej rozmowy i z pożegnań w kręgu obcej lampy, biegnących za nim w ciszy nocnej — z bliskiej wreszcie słodczy powrotu.

Przyciskałem czule twarz do pulchnych policzków poduszki, które, pełne i świeże, są niby policzkami naszego dzieciństwa. Pocierałem zapalkę, aby spojrzeć na zegarek. Blisko północ. Jest to chwila, w której chory, który musiał puścić się w podróż i spać w obcym hotelu, obudzony atakiem choroby, cieszy się, widząc pod drzwiami smugę dnia. Co za szczęście, to już rano! Za chwilę służba wstanie, będzie mógł zadzwonić, przybędą mu z pomocą. Nadzieja rychłej ulgi dodaje mu sił do cierpienia. Właśnie zdawało mu się, że słyszy kroki; kroki zbliżają się, potem oddalają. A smuga dnia, która była pod drzwiami, znikła. To północ: właśnie zgaszono gaz; ostatni służący odszedł i trzeba będzie przetrwać całą noc, cierpiąc bez ratunku.

Zasypiałem na nowo. Czasami miałem już tylko krótkie chwile ocknienia: tyle, aby usłyszeć trzeszczenie wyschłej boazerii, aby otworzyć oczy, wlepić je w kalejdoskop mroku, i — dzięki chwilowemu błyskowi świadomości — kosztować snu, w którym pograżone są meble, pokój, wszystko, czego ja byłem tylko częścią i z czym niebawem znów się łączyłem w bezczuci. Lub też, śpiąc, cofałem się bez wysiłku w miniony na zawsze wiek mojego dawnego życia; odnajdywałem któryś z moich dzieciennych lęków, na przykład ten, że dziadek pociągnie mnie za pukiel włosów: obawa, której położył koniec dzień — data nowej dla mnie ery — kiedy je obcięto. Zapomniałem o tym wydarzeniu we śnie: odnajdywałem jego pamięć, skoro tylko udało mi się zbudzić, aby się wymknąć z rąk dziadka; ale przez ostrożność kryłem całkowicie głowę w poduszkę, zanim powrócę w świat snów.

Czasami, tak jak Ewa urodziła się z żebra Adama, kobieta rodziła się w czasie snu z niewłaściwej pozycji mego uda. Tworzyła się z rozkoszy, której doznania byłem bliski, — a ja wyobrażałem sobie, że to ona mi ją ofiaruje. Ciało moje, które czuło w jej ciele własne ciepło, pragnęło się z nim połączyć; budziłem się. Reszta ludzi wydawała mi się czymś bardzo dalekim wobec tej kobiety, którą opuściłem zaledwie przed chwilą; policzek mój był ciepły jeszcze od jej pocałunku, ciało zdrętwiałe od ciężaru jej ciała. Jeżeli, jak zdarzało się niekiedy, miała rysy kobiety, którą znałem w życiu, chciałem się jej oddać całkowicie: odnaleźć ją, jak ci, którzy puszczają się w podróż, aby ujrzeć na własne oczy upragniony kraj, i wyobrażają sobie, że można kosztować w rzeczywistości czaru marzenia. Pomału wspomnienie jej pierzchało, zapomniałem córy swoich snów.

Człowiek, który śpi, trzyma w krąg siebie nic godzin, porządek lat i światów. Razi się ich instynktownie budząc się i odczytuje z nich w jednej sekundzie punkt ziemi, w którym się znajduje, czas, który upłynął aż do jego przebudzenia się; ale ich szeregi mo-

Sen

Pamięć, Odrodzenie

Ciemność

Podróż

Noc, Choroba

Sen, Dzieciństwo

Sen, Ciało, Rozkosz

Sen, Kondycja ludzka,
Obraz świata, Czas

gą się zmacić, przelewać. Niech nad ranem, po bezsennej nocy, sen zdejmie go podczas czytania w pozycji nazbyt różnej od tej, w której śpi zazwyczaj, wystarczy podniesionego ramienia, aby zatrzymać i cofnąć słońce; i w pierwszej minucie przebudzenia nie będzie już wiedział, która godzina, będzie myślał, że się dopiero co położył. Niech się zdrzemnie w pozycji jeszcze niewygodniejszej i bardziej niezwykłej, na przykład po obiedzie w fotelu — wówczas przewrót w wyważonych z orbit światach będzie kompletny; czarnoksiężski fotel pogna z nim z zawrotną szybkością poprzez czas i przestrzeń i w chwili otwarcia powiek będzie myślał, że zasnął kilka miesięcy wprzód w innej okolicy. Ale wystarczało, żeby, nawet we własnym łóżku, sen mój był głęboki i odprężył całkowicie władze ducha; wówczas duch porzucał miejsce, w którym zasnąłem i, kiedym się budził w nocy nieświadom, gdzie się znajduję, w pierwszej chwili nie wiedziałem nawet, kim jestem; miałem jedynie w pierwotnej jego prostocie poczucie istnienia takie, jakie może drzeć w duszy zwierzęcia; byłem bardziej nagi niż człowiek jaskiniowy; ale wówczas wspomnienie — jeszcze nie miejsca gdzie byłem, ale paru miejsc, które zamieszkiwałem niegdyś i gdzie mógłbym być — schodziło ku mnie niby pomoc z góry, aby mnie wydobyć z nicości, z której nie byłbym mógł wyrwać się sam; przebiegałem w jednej sekundzie wieki cywilizacji, zanim mętnie dojrzały obraz lampy naftowej, następnie koszuli z wykładanym kołnierzem, odtworzyły mi z wolna prawdziwe rysy mego ja.

Być może, iż nieruchomość rzeczy dokoła nas narzucona im jest przez naszą pewność, że to są te, a nie inne; przez nieruchomość naszej myśli w obliczu nich. To pewna, że, kiedy się tak budziłem, gdy myśl szamotała się, próbując — bezskutecznie — dojść, gdzie jestem, wszystko kręciło się dokoła mnie w ciemności — rzeczy, kraje, lata. Ciało moje, zbyt odrętwiałe, aby się poruszyć, siliło się, wedle form własnego zmęczenia, odczytać pozycję swoich członków, aby z nich wywnioskować o kierunku ściany, o położeniu mebli, aby odtworzyć i nazwać mieszkanie, w którym się znajdowało. Pamięć ciała, pamięć własnych żeber, kolan, ramion, nastęrczała mu kolejno różne pokoje w których sypiało, podczas gdy dokoła niewidzialne ściany, zmieniając miejsce wedle kształtu wyrojonego pokoju, wirowały w ciemnościach. I zanim nawet myśl, wahając się na progu czasów i kształtów, zidentyfikowała mieszkanie zestawiając okoliczności, ono — moje ciało — przypominało sobie dla każdego mieszkania rodzaj łóżka, położenie drzwi, światło okien, istnienie korytarza, wraz z myślą, którą miałem zasypiając tam i którą odnajdywałem budząc się. Mój zeszytniały bok, próbując odgadnąć swoje położenie, widział się na przykład na wprost ściany w wielkim łóżku z baldachimem i natychmiast powiadałem sobie: „O, usnąłem, mimo że mama nie przyszła mi powiedzieć dobranoc”; byłem na wsi u dziadka, zmarłego od wielu lat; a ciało moje, bok, na którym spoczywałem — wierne piastuny przeszłości, której duch mój nie powinien był nigdy zapomnieć — przypominały mi płomień nocnej lampki z czeskiego szkła, w kształcie urny, zawieszanej u sufitu na łańcuszkach, kominek z imitacji marmuru w mojej sypialni w Combray, u dziadków, w odległych dniach, które w tej chwili wskrzeszałem, nie wyobrażając ich sobie dokładnie, a które ujrzałbym lepiej za chwilę, po całkowitym przebudzeniu się.

Potem odradzało się wspomnienie nowej pozycji; ściana pomykała w przeciwnym kierunku: byłem w swoim pokoju u pani de Saint-Loup, na wsi. Mój Boże, jest co najmniej dziesiąta, musi już być po obiedzie! Za długo widać przeciągnąłem wieczorną sjęstę, którą odbywam wróciwszy ze spaceru z panią de Saint-Loup, zanim włożę frak. Bo wiele lat upłynęło od Combray, gdzie, wracając nawet najpóźniej, widziałem na szybach czerwone odbłaski zachodu. W Tansonville, u pani de Saint-Loup, prowadzi się inny tryb życia; znajduję tam inny rodzaj przyjemności, wynurzając się aż z zapadnięciem nocy, chodząc przy blasku księżyca owymi drogami, na których bawiłem się niegdyś w słońcu; a kiedy wracamy, ów pokój, w którym rzekomo usnąłem zamiast ubrać się na obiad, błyszczą z daleka prześwieتلony płomieniem lampy niby latarnia morska.

Te zjawiska, wirujące i mętne, nie trwały nigdy dłużej niż kilka sekund. Często moja krótka niepewność miejsca nie rozróżniała rozmaitych przypuszczeń, z których się składała, tak samo jak, widząc pędzącego konia, nie oddzielamy kolejnych pozycji, które wykazuje kinetoskop. Oglądałem to jeden, to drugi pokój z tych, w których mieszkałem w życiu i w końcu przypominałem je sobie wszystkie w długich marzeniach, które następowały po przebudzeniu. Pokoje zimowe, gdzie, leżąc w łóżku, wtula się głowę w gniazdko uwite z najrozmaitszych rzeczy: z rogu poduszki, z kapy, z kawałka szala,

Obraz świata, Ciało,
Pamięć, Przestrzeń, Sen

i z numeru *Débats roses*, przy czym spaja się wszystko razem, techniką ptaków, ugniatając to sobą bez końca; gdzie w mroźny czas miło jest czuć się bezpiecznym niby jaskółka morska w swoim ciepłym gniazdku pod ziemią, i gdzie opodal ognia płonącego całą noc na kominku śpi się w płaszczu ciepłego i dymnego powietrza, przeszywanego blaskami rozpalających się kolejno polan, niby w bezściennej alkowie, w gorącej jaskini wyłobionej w łonie samego pokoju, w upalnej i ruchomej strefie, wietrzzonej podmuchami, które nam chłodzą twarz, a płyną z kątów, z okolic okna lub z miejsc oddalonych od ognia i już ochłodzonych; — pokoje letnie, gdzie miło jest czuć się zespolonym z ciepłą nocą, gdzie blask księżycy, wsparty na uchylonych okiennicach, rzuca aż do stóp łóżka swoją czarowaną drabinę; gdzie śpi się prawie na wolnym powietrzu, niby sikora kołysana wiatrem na czubku promienia; — czasami pokój *Louis XVI*, tak wesoły, że nawet pierwszego wieczora nie czułem się w nim zbyt nieszczęśliwy; gdzie kolumnienki lekko podtrzymujące sufit rozchyłały się z takim wdziękiem, aby wskazywać i chronić miejsce łóżka; czasami, przeciwnie, ów pokój mały a tak wysoki, wznoszący się stożkowato na wysokość dwóch pięter i częściowo wyłożony mahoniem, gdzie od pierwszej sekundy czułem się moralnie zatruty nieznanym zapachem „bagna” przeciw molom, przekonany o wrogości fioletowych firanek i o bezczelnej obojętności zegara skrzeczącego głośno, tak jakby mnie tam nie było; — gdzie dziwaczne i bezlitosne lustro o czworograniastych nogach, zagradzając ukośnie jeden kąt pokoju, złośliwie nieprzewidziane miejsce w błogiej pełni mego zwykłego pola widzenia; gdzie myśl, siląc się przez godziny całe zmienić miejsce, naciągając się wzwyż, aby przybrać ściśle kształt pokoju i wypełnić go wreszcie aż do szczytu olbrzymiego leja, wycierpiała tam wiele ciężkich nocy, gdy leżałem wyciągnięty w łóżku, z podniesionymi oczami, z czujnym uchem, z opornymi nozdrzami, z bijącym sercem: dopóki wreszcie przyzwyczajenie nie zmieniło koloru firanek, nie kazało zamilczeć zegarowi, nie nauczyło litości skośnego i okrutnego lustra, nie stłumiło, o ile nie wyгнаło zupełnie, zapachu bagna i nie zmniejszyło znacznie pozornej wysokości sufitu. Przyzwyczajenie! robotnica zręczna, ale bardzo powolna, która zrazu pozwala naszemu duchowi cierpieć całe tygodnie w tymczasowej siedzibie; ale którą mimo wszystko winniśmy błogosławić, bo bez przyzwyczajenia, zdany na własne środki, duch nasz nie byłby zdolny uczynić nam żadnego mieszkania mieszkalnym.

Tak, teraz byłem już rozbudzony; ciało moje okręciło się ostatni raz i dobry anioł pewnością zatrzymał wszystko dokoła mnie, ułożył mnie pod moją kołdrą, w moim pokoju, i ustawił mniej więcej na swoim miejscu w ciemności komodę, biurko, kominek, okno na ulicę i dwoje drzwi. Ale na próżno wiedziałem, że nie znajduję się w tamtych mieszkaniach, które, w mętnej chwili przebudzenia, jeżeli nie jawiły mi się w wyraźnym obrazie, to przynajmniej pozwalały mi wierzyć w ich możliwość. Pamięć moja już działała: zazwyczaj nie starałem się usnąć natychmiast; spędzałem większą część nocy przypominając sobie dawniejsze życie, w Combray u ciotecznej babki, w Balbec, w Paryżu, w Doncieres, w Wenecji, gdzie indziej jeszcze, przypominając sobie miejsca, osoby, które tam znałem i to, com sam widział, i to, co mi o nich opowiadano.

W Combray codziennie pod wieczór, na długo zanim miałem się położyć do łóżka i pędzić bezsenne godziny z dala od matki i babki, sypialnia moja stawała się stałym i bolesnym punktem moich zainteresowań. Aby mnie rozerwać w owe wieczory, gdy miałem minę zbyt żalosa, dano mi latarnię magiczną, którą przed obiadem zakładano na lampę. Na kształt dawnych architektów i szklarzy z epoki gotyku, latarnia ta zmieniała nieprzejrzystość ścian w nieuchwytnie iryzacje, w nadprzyrodzone, wielobarwne zjawy, w których legendy malowały się niby w drgającym i ulotnym witrażu. Ale smutek mój wzrastał jedynie, bo już sama zmiana oświetlenia wystarczała, aby we mnie zniszczyć przyzwyczajenie do mego pokoju, dzięki któremu to przyzwyczajeniu, poza męką chodzenia spać, stał mi się on znośny. Teraz nie poznawałem go już, czułem się w nim niespokojny niby w pokoju hotelowym lub w obcym mieszkaniu, gdzie bym się znalazł po raz pierwszy, wysiadłszy z pociągu.

Trzęsąc się na swoim koniu, Golo, pełen okropnych zamiarów, wynurzał się z trójkątnego lasku pokrywanego aksamitną zielenią zbocze i posuwał się podskakując ku zamkowi biednej Genowefy Brabanckiej. Zamek ów ścięty był linią krzywą, będącą nie czym innym, jak tylko owalem ramy, którą wsuwało się w rowek latarni. Było to skrzydło zamku, przed nim zaś rozciągała się błoń, gdzie marzyła Genowefa, strojna w błękitny

Dziecko, Przestrzeń,
Światło

pasek. Zamek i błon były żółte; zanim je jeszcze ujrzałem, znałem ich kolor; wcześniej bowiem niż szkło latarni, złocisto-brązowy dźwięk nazwy Brabantu objawił mi to nieomylnie. Golo zatrzymał się chwilę, aby melancholijnie słuchać komentarza czytanego przez moją cioteczną babkę (dla uproszczenia będę ją nazywał ciotką), tak jakby go rozumiał doskonale, dostrajając do objaśnień tekstu swoją pozę, z powolnością niepozbawioną majestatu; po czym oddalał się tym samym nierównym krokiem. I nic nie mogło powstrzymać jego powolnej wędrówki. Kiedy się ruszyło latarnię, widziałem konia Gola, jak dalej sunął po firankach, wzdymając się ich fałdami, wciskając się w ich załamania. Ciało samego Gola, z materii równie nadprzyrodzonej co materia jego konia, dawało sobie radę z wszelką rzeczą przeszkodą, z wszelkim spotkanym w drodze przedmiotem, czyniąc zeń sobie kośćciec i wchłaniając go, choćby to była klamka u drzwi, na której oblepiała się natychmiast i wypływała niezwykłe jego czerwona szata albo jego blada twarz, zawsze jednak szlachetna i melancholijna, ale niezdradzająca żadnego wzruszenia tą transwertebacją.

Niewątpliwie miały dla mnie urok owe lśniące projekcje, które zdawały się wylaniać z przeszłości Merowingów i snuły dokoła mnie tak dawne odblaski historii. Ale nie umiem powiedzieć, jak nieswojo działało na mnie to wkroczenie tajemnicy i piękności w pokój, który zdołałem wypełnić swoim *ja* tak, iż nie więcej zwracałem uwagę na niego niż na samego siebie. Skoro ustało znieczulające działanie nawyku, zaczynałem myśleć, czuć: — rzeczy tak smutne... Klamka, która różniła się dla mnie od wszystkich innych klamek tym, że otwierała się jak gdyby sama, bez konieczności mojego udziału (tak dalece nacinanie jej stało mi się bezwiedne), służyła oto teraz za ciało astralne dla Gola. I z chwilą, gdy dzwoniło na obiad, spieszo mi było biec do jadalni, gdzie wielka wisząca lampa — która nie znała Gola ani Sinobrodego, a znała rodziców i pieczeń duszoną — rzucała swoje cowieczorowe światło; i spieszo mi było wpaść w ramiona mamy, którą nieszczęścia Genowefy Brabanckiej czyniły mi tym droższą, gdy zbrodnie Gola kazały mi tym skrupulatniej badać własne sumienie.

Po obiedzie, niestety, trzeba mi było niebawem opuścić mamę, która zostawała, aby rozmawiać z innymi w ogrodzie, jeżeli było ładnie, lub w saloniku, gdzie wszyscy się skupiali, o ile był deszcz. Wszyscy, z wyjątkiem babki, która uważała, że „to litość bierze, żeby siedzieć w zamknięciu na wsi” i w dniu nazbyt wielkiej słoty miała nieustanne zatargi z ojcem, ponieważ ojciec wysyłał mnie, abym szedł czytać do pokoju zamiast zostawać na dworze. „To nie jest sposób, aby dziecko wyrosło silne i energiczne, mówiła smutno; — zwłaszcza ten mały, który tak potrzebuje sił i woli”. Ojciec wzruszał ramionami i spoglądał na barometr, bo lubił meteorologię, gdy matka, starając się nie robić hałasu, aby mu nie przeszkadzać, patrzyła nań z tkliwym szacunkiem, ale niezbyt usilnie, aby się nie starać przeniknąć tajemnicy jego wyższości. Ale co się tyczy babki, w każdą pogodę, nawet kiedy lało jak z cebra i kiedy Franciszka spiesznie wносиła szacowne fotele trzcinowe z obawy, aby nie zmokły, widziało się ją w pustym i smaganym ulewą ogrodzie, jak odgarnia rozrzucone siwe kosmyki, iżby czoło jej lepiej nasiąkło zbawiennym wiatrem i deszczem. Powiadała: „Nareszcie się oddycha!” i przebiegała ociekającą wodą aleje — zbyt symetrycznie, jak na jej gust, wytyczone przez nowego (a pozbawionego poczucia przyrody) ogrodnika, którego ojciec pytał od rana, czy się wypogodzi. Szła swoim drobnym krokiem, entuzjastycznym i nerwowym, zależnym od różnych podniet, jakie rodziły w jej duszy upojenie burzą, potęga higieny, niedorzeczność mojego wychowania oraz symetria ogrodu, raczej niż nieznaną jej troską, aby fioletowej spódnicy oszczędzić plam błota pokrywających ją do wysokości, która zawsze była dla pokojówki w równym stopniu rozpaczą jak zagadką.

Kiedy ten spacer babki odbywał się po obiedzie, jedna jedyna rzecz mogła ją ściągnąć do pokoju. W chwili, gdy krąg przechadzki sprowadzał ją periodycznie, niby owada, naprzeciw oświetlonego saloniku, gdzie stały likiery na stoliku do gry — wystarczało, żeby ciotka krzyknęła: „Batyldo! chodźże, nie pozwól, aby twój mąż pił koniak!” W istocie, aby podrażnić swoją kuzynkę (babka wniosła w rodzinę ojca naturę tak odmienną, że wszyscy z niej żartowali i dręczyli ją), ponieważ alkohol był dziadkowi wzbroniony, ciotka dawała mu napić się kilka kropel. Biedna babka wchodziła, prosiła gorąco męża, aby nie tykał koniak; gniewał się, wypijał mimo to swój lyczek, a babka odchodziła smutna, zniechęcona, ale uśmiechnięta, bo była tak pokorna sercem i tak słodka, że jej tkliwość

Strój, Błoto, Śługa

Okrucieństwo

dla drugich, jej mała dbałość o własną osobę i o własne bóle, spływały się w jej spojrzeniu w uśmiech. W uśmiechu babki — na wspak temu, co się widzi u wielu osób — była ironia tylko dla niej samej, a dla nas wszystkich jakby pocałunek oczu, niezdolnych widzieć tych; których kochała, bez gorącego ich upieszczenia wzrokiem. Męka, którą jej zadawała ciotka, widok daremnych próśb babki i jej bezsilnej walki, gdy na próżno starała się odebrać dziadkowi kieliszek, to były rzeczy, do których człowiek przyzwyczaja się z czasem, patrzy na nie śmiejąc się i wesoło bierze stronę prześladowcy, nie chcąc wierzyć w fakt prześladowania; ale wówczas przejmowały mnie taką grozą, że byłbym chętnie wybił ciotkę. Ale kiedyś usłyszałem: „Batyldo, chodźże, nie daj mężowi koniaku”, wówczas, z tchórzostwem już typowo męskim, robiłem to, co robimy my wszyscy, dorośli, kiedy się zetknijemy z cierpieniem i niesprawiedliwością: nie chciałem ich widzieć; biegłem szlochać na sam szczyt domu, koło pokoju szkolnego, pod dach, do małej ubikacji pachnącej irysem, której przydawała woni dzika porzeczka wyrosła zewnątrz w szczelinie muru i wsuwająca kwitnącą gałązkę przez uchylone okno. Przeznaczona na użytek bardziej specjalny i bardziej pospolity, ubikacja ta, z której w dzień widać było aż po zamek w Roussainville-le-Pin, długo służyła mi za schronienie — z pewnością dlatego, że była jedyną, którą wolno mi było zamykać na klucz — dla wszystkich zajęć wymagających nienaruszalnej samotności, jak: czytanie, marzenie, łzy i rozkosz. Niestety! nie wiedziałem, że o wiele smutniej niż drobne wybryki dietetyczne męża, mój brak woli, moje wątpliwe zdrowie, niepewność, jaką była zasnutą moja przyszłość, pochłaniały babkę w czasie tych nieustannych popołudniowych i wieczornych wędrówek. I widziało się ją, jak chodzi tam i z powrotem z podniesioną ku niebu piękną twarzą o smagłych i pooranych policzkach, pociemniałych z wiekiem niby pola w jesieni, przeciętych, gdy wychodziła na miasto, w pół podniesioną woalką; a na nich, sprowadzone zimnem lub jakąś smutną myślą, zawsze obsychały mimowolne łzy.

Jedyną moją pociechą, kiedy siedłem się kłaść, była nadzieja, że mama przyjdzie mnie uściskać, skoro będę w łóżku. Ale to dobranoc trwało tak krótko, mama wracała tak prędko na dół, że chwila, w której słyszałem, jak lekki szelest jej niebieskiej muślinowej sukni zbliża się do mnie, potem mijają korytarz z podwójnymi drzwiami, był dla mnie chwilą bolesną. Chwila ta zwiastowała ową drugą, która miała po niej nastąpić: gdy mama mnie opuści, gdy zejdzie z powrotem na dół. Dochodziłem do pragnienia, aby to dobranoc, które tak lubiłem, przyszło jak najpóźniej; aby się przeciągał czas, gdy mama jeszcze nie przyszła. Czasami, kiedy uściskawszy mnie otwierała drzwi, aby odejść, chciałem ją zawołać, powiedzieć „pocałuj mnie raz jeszcze”; ale wiedziałem, że natychmiast przybierze wyraz niezadowolenia, bo ustępstwo, jakie czyniła dla mego smutku i niepokoju, zachodząc mnie uściskać, przynosząc mi ten pocałunek ukojenia, drażniło ojca, któremu te obrzędy wydawały się niedorzeczne. Toteż mama byłaby chciała wytępić we mnie tę potrzebę, to przyzwyczajenie, raczej niż uprawnić żądanie jeszcze jednego pocałunku wówczas, kiedy już była w progu. Otóż widzieć ją zmartwioną, to niweczyło cały spokój, jaki mi przyniosła na chwilę przedtem, Kiedy nachyliła do łóżka swoją kochającą twarz i podała mi ją jak hostię — komunię pokoju — w której wargi moje miały zaczerpnąć jej rzeczywistą obecność oraz moją możliwość zaśnięcia.

Ale owe wieczory, gdy mama w sumie tak krótko zostawała w moim pokoju, były jeszcze bardzo słodkie w porównaniu z wieczorami, kiedy byli na obiedzie goście i kiedy z tego powodu mama nie zachodziła na dobranoc. Goście ograniczali się zazwyczaj do pana Swanna, który, poza paroma przygodnymi znajomymi, był prawie jedyną osobą, odwiedzającą nas w Combray. Czasem przychodził na sąsiedzki obiad (rzadziej od czasu, kiedy się ożenił tak niewłaściwie, bo rodzice nie chcieli przyjmować jego żony), czasem po obiedzie, niespodzianie. W dniu, kiedy, siedząc wieczór przed domem pod wielkim kasztanem, dokoła żelaznego stołu, usłyszeliśmy na końcu ogrodu nie ów obfity i krzykliwy dzwonek, który skrapiał i wstrząsał nagle metalowym, przeciągłym i zimnym hałasem każdego domownika, gdy ów rozpętał go wchodząc „bez dzwonięcia”, ale podwójny, nieśmiały, owalny i złożony dźwięk dzwonka dla obcych, natychmiast wszyscy się pytali: „Wizyta, kto to może być?”, ale wiedzieli dobrze, że to może być tylko pan Swann. Ciotka, mówiąc dla przykładu głośno, tonem, który starała się uczynić naturalnym, upominała, żeby tak nie szeptać; że nic nie jest równie przykre dla gościa, który wyobraża sobie, że właśnie się mówiło rzeczy nieprzeznaczone dla jego uszu; i posyłało

Starość, Kobieta, Uroda

Matka, Dziecko, Pocałunek,
Rozstanie, Samotność

Gość, Obrzędy

na zwiady babkę, szczęśliwą że ma pretekst do przebieżenia ogrodu raz jeszcze. Idąc, wrywała ukradkiem parę podpórek, aby przywrócić różom trochę naturalności, jak matka, gdy, chcąc sfalować nieco czuprynę syna, przeciąga ręką po włosach, które fryzjer zanadto wygładził.

Czekaliśmy z napięciem nowin, które babka miała nam przynieść o nieprzyjacielu, tak jakby można było się wahać między mnogością domniemych napastników; ale tuż potem dziadek mówił: „Poznaję głos Swanna”. Poznawało się go w istocie tylko po głosie; ponieważ, bojąc się komarów, paliliśmy w ogrodzie jak najmniej światła, zaledwie można było rozróżnić jego twarz o garbatym nosie, o zielonych oczach pod wysokim czołem i włosami blond, niemal rudymi, uczesanymi *à la* Bressant. Szedłem nieznacznie powiedzieć, aby podano likiery; babka przywiązywała do tego wagę, uważając że tak jest grzeczniej, aby się nie wydawało, że zjawiają się jakby wyjątkowo, specjalnie dla gości. Swann, mimo że o wiele młodszy, żył z dziadkiem bardzo serdecznie; dziadek był swego czasu jednym z najlepszych przyjaciół jego ojca, zacnego człowieka, ale oryginała, któremu, zdaje się, lada drobnostka wystarczała niekiedy, aby zmącić odruchy serca, zmienić bieg myśli. Słyszałem wiele razy w roku, jak dziadek opowiadał przy stole anegdota — zawsze te same — o zachowaniu się starego Swanna przy śmierci żony, przy której czuwał dzień i noc. Dziadek, który go nie widział od dawna, pobiegł doń do posiadłości, którą Swannowie mieli w pobliżu Combray i aby mu oszczędzić momentu wkładania ciała do trumny, zdołał go zapłakanego wyciągnąć ze śmiertelnego pokoju. Przeszli kilka kroków w parku, gdzie było trochę słońca. Naraz Swann, ujmując dziadka pod ramię, wykrzyknął:

— A! stary przyjacielu, co to za szczęście przechadzać się razem w tę piękną pogodę. Nie uważasz, że to jest ładne, wszystkie te drzewa, te głogi, i ten staw, którego mi jeszcze nigdy nie wieszowałeś? Wyglądasz jak stara szlafmyca. Czujesz ten wietrzyk? Ach, niech gadają co chcą, drogi Amadeuszu, życie ma swój urok!

Naraz odzyskał pamięć zmarłej żony, i uważając z pewnością za nazbyt skomplikowane dochodzić, jak mógł w podobnej chwili poddać się odruchowi radości, przeciągnął tylko ręką po czole, gestem właściwym mu za każdym razem, kiedy się nastęczała jakaś trudna kwestia, osuszył oczy i przetarł binokle. Ale nie mógł się pocieszyć po stracie żony i w ciągu dwóch lat, o które ją przeżył, powiadał do dziadka:

— To śmieszne, bardzo często myślę o biednej żonie, ale nie mogę myśleć o niej dużo naraz.

„Często, ale nie dużo naraz, jak dobry stary Swann”, stało się jednym z ulubionych zdań dziadka, który wygłaszał je z powodu rzeczy bardzo rozmaitych. Byłbym uważał, że ten ojciec Swanna był potworem, gdyby dziadek, którego miałem za lepszego sędziego i którego zdanie, będąc dla mnie wyrocznią, często pomogło mi później rozgrzeszyć cudze błędy, nie był się okrzyknął:

— Ale skądże, to było złote serce!

Przez wiele lat, w których wszakże, zwłaszcza przed swoim małżeństwem, Swann *junior* często odwiedzał nas w Combray, ciotka i dziadkowie nie domyślali się, że on zgoła nie żyje w dawnej sferze swojej rodziny. Nie wiedzieli, iż pod rodzajem inkognita, jakie Swann zawdzięczał u nas swemu nazwisku, goszczą — z cudowną niewinnością zacnych hotelarzy, którzy, nie wiedząc o tym, dają schronienie sławnemu bandycie — jednego z najwytworniejszych członków Jockey-Clubu, ulubieńca hrabiego Paryża i księcia Walii, jednego z ludzi najbardziej rozrywanych przez arystokratyczne Faubourg Saint-Germain.

Nasza nieświadomość owego błyszczącego życia światowego, które pędził Swann, wynikała niewątpliwie z niesклонnej do wynurzeń dyskrekcji jego charakteru, ale także stąd, że ówczesni mieszczanie mieli o społeczeństwie pojęcia nieco hinduskie i uważali je za system zamkniętych kast, gdzie każdy od urodzenia mieści się w sferze wziętej w spadku po rodzicach, skąd nic, poza trafem wyjątkowej kariery lub nieoczekiwanego małżeństwa, nie może go wydobyć i przenieść do wyższej kasty. Stary Swann był agentem giełdowym: „młody Swann” zdawał się wiekuiście skazany na kastę, w której majątki, niby w danej kategorii podatników, wahają się między takim a takim dochodem. Znano stosunki jego ojca, wiedziano tedy, jakie są stosunki syna i z jakimi osobami jego „sytuacja” pozwala mu przestawać. Jeżeli znał inne osoby, były to znajomości młodego człowieka, na które dawni przyjaciele rodziny — jak moi rodzice — przymykali oczy tym pobłaźliwiej, ile że,

Mąż, Żona, Śmierć, Żaloba,
Rozpacz, Kondycja ludzka

Pozycja społeczna,
Obyczaje, Mieszczanin

od czasu jak był sierotą, odwiedzał nas nadal bardzo wiernie; ale można było iść o zakład, że ci nieznanymi nam jego znajomi są z rzędu tych, którym nie śmiałyby się ukłonić, gdyby ich spotkał, będąc w naszym towarzystwie.

Gdyby się chciało koniecznie zastosować do Swanna jakiś współczynnik społeczny, wyróżniający go z pomiędzy innych synów agentów giełdowych na równym mniej więcej poziomie, współczynnik ten byłby dlań trochę niższy, ponieważ Swann, bardzo prosty w sposobie życia i zawsze trochę „zwariowany” na punkcie starożytności i obrazów, mieszkał obecnie w starym domu, gdzie skupiał swoje kolekcje; w domu, o którego zwiedzeniu marzyła moja babka, ale który znajdował się przy Quai d’Orléans, w dzielnicy, gdzie, zdaniem ciotki, mieszkać było kompromitacją.

— Czy pan się zna choć na tym? Pytam pana w jego własnym interesie, bo handlarze muszą panu wpychać śmieci, mówiła do Swanna moja ciotka; nie przypisywała mu w istocie żadnej kompetencji i nie miała wysokiego pojęcia nawet o intelekcie człowieka, który w rozmowie unikał poważnych tematów i okazywał nader prozaiczną ścisłość, nie tylko, kiedy nam dawał, wchodząc w najmniejsze szczegóły, przepisy kucharskie, ale nawet kiedy siostry babki poruszały tematy artystyczne. Prowokowany przez nie do wydania sądu, do wyrażenia podziwu dla jakiegoś obrazu, zachowywał milczenie prawie niegrzeczne, odbijając to sobie, kiedy mógł dać konkretne informacje o muzeum, gdzie się ów obraz znajduje, lub o dacie jego powstania. Ale zazwyczaj starał się nas po prostu zabawić, opowiadając za każdym razem nową historyjkę, która mu się zdarzyła z ludźmi z naszego kręgu znajomych: z aptekarzem z Combray, z kucharką, z woźnicą. Opowiadania te pobudzały zawsze do śmiechu ciotkę, ale nie rozróżniała dobrze, czy to z powodu pociesznej roli, jaką w nich sobie zawsze dawał Swann, czy też z przyczyny dowcipu, jakim je zaprawiał.

— Trzeba panu przyznać, że pan jest dobra figura, panie Swann! — mówiła.

Ponieważ była w naszej rodzinie jedyną osobą trochę pospolitą, nigdy, kiedy mówiła do kogoś obcego o Swannie, nie omieszkła zaznaczyć, że on, gdyby chciał, mógłby mieszkać przy *Boulevard Hausmann* albo przy *Avenue de l’Opéra*, że jest synem starego Swanna, który musiał mu zostawić cztery czy pięć milionów, ale że taki ma kaprys. Kaprys ten wydawał się jej tak uciechny, że w Paryżu, kiedy Swann przychodził w dzień Nowego Roku, aby jej przynieść tradycyjną torebkę kasztanów w cukrze, nie omieszkła nigdy, o ile byli goście, zagadnąć go:

— No i co, panie Swann, zawsze pan mieszka blisko hali win dla pewności, że się pan nie spóźni na kolej, gdyby pan jechał do Lyonu?

I poprzez okulary patrzyła spod oka na gości.

Ale gdyby ktoś powiedział ciotce, że ten Swann, mający, jako syn starego Swanna, wszystkie dane na to, aby bywać w całym wysokim mieszczaństwie, u najszanowniejszych paryskich rejentów i adwokatów (przywilej, z którego nie zdawał się zbyt korzystać), prowadzi, jakby w sekrecie, życie zgoła odmienne; że, wychodząc od nas w Paryżu, powiedziawszy, że idzie do domu spać, skręca na pierwszym rogu i udaje się do jakiegoś salonu, którego nie oglądała nigdy oko żadnego agenta giełdowego ani jego współnika, wydawałoby się to jej tak niesłychane, jakby się bardziej czytanej damie wydała myśl, że mogłaby być w osobistych stosunkach z Arysteuszem⁴, i dowiedzieć się iż, porozmawiawszy z nią, ów idzie się zanurzyć w królestwo Tetydy⁵, w niewidzialne oczom śmiertelnych państwo, gdzie — jak opowiada Wiergiliusz — przyjmują go z otwartymi ramionami; lub — aby się trzymać obrazu przystępniejszego dla ciotki, bo oglądała go na małych talerzykach w Combray — że miała u siebie na obiedzie Ali Babę, który, kiedy się znajdzie sam, zstąpi do groty olśniewającej niepodejrzewanymi skarbami.

Jednego dnia w Paryżu, kiedy Swann zaszedł do nas po obiedzie, tłumacząc się, że jest we fraku, Franciszka przyniosła po jego odejściu wiadomość zaczerpniętą od stangreta, że był na obiedzie „u jakiejś pryncesy”. — Tak, pryncesy z półświatka! — odparła ciotka, wzruszając ramionami z pogodną ironią i nie podnosząc oczu od robótki.

Toteż ciotka nie robiła z nim sobie ceremonii. Ponieważ sądziła, że jemu musi pochlebiać bywanie u nas, uważała za bardzo naturalne, że nie zjawia się u nas w lecie bez

⁴Arysteusz (mit. gr.) — syn Apolla; bóg rolnictwa i hodowców zwierząt. [przypis edytorski]

⁵Tetyda (mit. gr.) — tytania, córka Uranosa, bogini morza, uosobienie jego siły rozrodczej. [przypis edytorski]

Dom, Pozycja społeczna

Pozycja społeczna,
Mieszczanin

koszyka brzoskwiń albo malin ze swego ogrodu i że z każdej podróży do Włoch przywozi mi fotografie arcydzieł.

Nie robiono sobie skrupułów, aby wezwać Swanna, gdy się potrzebowało recepty na sos genewski albo na sałatę z ananasów przed jakimś ceremonialnym obiadem, na który się go nie prosiło, nie uważając go za godnego pokazania gościom, którzy byli u nas po raz pierwszy. Jeżeli rozmowa zesła przypadkiem na książąt domu Francuskiego: „figury, których nie będziemy znali nigdy, ani pan ani ja, i obejdziemy się bez tego, nieprawdaż”, powiadała ciotka do Swanna, który może miał w kieszeni list z Twickenham; kazała mu przesuwać fortepian i obracać nuty gdy siostra babki śpiewała, traktując tego człowieka, gdzie indziej tak poszukiwanego, z naiwną bezceremonialnością dziecka, które bawi się rzadkim bibelotem niby groszową zabawką. Bez wątpienia Swann, którego znało w owej epoce tylu clubmenów, był bardzo różny od tego, którego stwarzała sobie ciotka, kiedy wieczorem w ogródku w Combray, skoro się rozległy dwa nieśmiałe dzwonki, stroiła wszystkim, co wiedziała o rodzinie Swannów mającą w mroku osobistość, która się wylaniała z ciemności, poprzedzając babkę i dając się poznać po głosie. Ale nawet z punktu widzenia najmniej znaczących rzeczy, nie jesteśmy całością materialnie ukształtowaną, tożsamą dla wszystkich, którą każdy może po prostu sprawdzić niby hipotekę lub testament; nasza społeczna osobowość jest tworem cudzej myśli. Nawet akt tak prosty, który zwiemy „widzieć znajomą osobę”, jest po części aktem intelektualnym. Pozór fizyczny widzianej osoby wypełniamy wszystkimi pojęciami, które mamy o niej; a w ogólnym kształcie, jaki sobie tworzymy, pojęcia te mają z pewnością największy udział. W końcu wydymają tak dokładnie policzki, tak ściśle pokrywają się z linią nosa, tak skutecznie barwią dźwięk głosu, jak gdyby ów głos był jedynie przezroczystą powłoką, iż za każdym razem, kiedy widzimy tę twarz i słyszymy ten głos, odnajdujemy te właśnie pojęcia, słyszymy je. Bez wątpienia w Swanna, którego sobie stworzyli, rodzice moi zaniedbali przez niewiedzę wprowadzić mnóstwo właściwości jego życia światowego, będących przyczyną, że inne osoby, znalazłszy się w towarzystwie tegoż Swanna, widziały wytworność jego fizjonomii, kończącą się na garbatym nosie niby na swojej naturalnej granicy. W zamian za to na tej twarzy odartej ze swego uroku, pustej i przestronnej, w głębi tych zdewaluowanych oczu, rodzice moi i krewni mogli odnaleźć mętny i łagodny osad — wpół pamięć, wpół zapomnienie — leniwych godzin spędzonych wspólnie po wiejskim obiedzie, dokoła karcianego stolika lub w ogrodzie, w epoce naszych sąsiedzkich stosunków. Cieleśna powłoka naszego Swanna była nimi wypchana tak szczelnie — zarówno jak wspomnieniami tyjącymi jego rodziców — że ten Swann stał się istotą pełną i żywą. W istocie mam wrażenie jakbym opuszczał jedną osobę, aby się udać do drugiej, całkowicie od niej różnej, kiedy w mojej pamięci od Swanna, którego znałem dokładnie później, przechodzę do pierwszego Swanna — do tego pierwszego Swanna, w którym odnajduję urocze błędy własnej młodości i który zresztą mniej jest podobny do tamtego niż do osób znanych mi w tym samym czasie; jak gdyby nasze życie było niby muzeum, gdzie wszystkie portrety z jednej epoki mają rodzinne podobieństwo, jakąś wspólną tonację; — do tego pierwszego Swanna, nasyconego wywczasem, nasiąkłego wonią wielkiego kasztana, korszów truskawek i odrobiną estragonu.

Jednakże, pewnego dnia, kiedy babka poszła prosić o jakąś przysługę damy, którą znała w Sacré-Coeur (i z którą z powodu naszych pojęć o kastach nie zachowała stosunków mimo wzajemnej sympatii), margrabiny de Villeparisis ze sławnego domu Bouillon, owa dama rzekła: „Zdaje mi się, że pani zna dobrze pana Swann, który jest wielkim przyjacielem moich kuzynów des Laumes”. Babka wróciła z wizyty zachwycona domem otoczonym ogrodami, gdzie pani de Villeparisis radziła jej wynająć mieszkanie, a także pewnym drobnym krawcem i jego córką, do którego warsztatu w podwórzu wstąpiła z prośbą, aby jej naprędce zaszyto spódnicę rozdartą na schodach. Ci ludzie wydali się babce przemili; oznajmiła, że ta mała to jest istna perła, a krawiec najdystyngowańszy i najprzystwoitszy człowiek, jakiego kiedy widziała. Bo dla niej dystynkcja była czymś zupełnie niezależnym od rangi społecznej. Rozpływając się przed mamą nad jakąś odpowiedzią krawca, rzekła: „Seigné nie byłaby tego wyraziła lepiej!” — a w zamian za to, o siostrzeńcu pani de Villeparisis, którego u niej spotkała: „Och, moje dziecko, jakież on pospolity!”.

Kondycja ludzka

Pozycja społeczna,
Mieszczanin

Otóż to powiedzenie o Swannie miało skutek nie ten, żeby podniosło Swanna w oczach ciotki, ale ten, że obniżyło w nich panią de Villeparisis. Zdawałoby się, że szacunek, jakim na wiarę babki darzyliśmy panią de Villeparisis, nakładał na nią obowiązek nie robienia niczego, co by ją czyniło mniej godną szacunku. Temu obowiązkowi uchybiła, przyjmując do wiadomości istnienie Swanna i pozwalając swoim krewnym przestawać z nim.

— Skąd ona może znać Swanna? No, wiesz, jak na osobę, o której mówiłaś, że jest krewną marszałka de Mac-Mahon!

Ta opinia mojej rodziny o stosunkach Swanna znalazła później rzekome potwierdzenie w jego małżeństwie z osobą najgorszego towarzystwa, prawie kokotą, której zresztą Swann nigdy nie silił się nam przedstawić, nadal przychodząc do nas sam, mimo że coraz rzadziej. Wedle tej żony rodzina moja uważała, iż ma prawo sądzić — przypuszczając, że tam ją znalazł — o nieznanym nam środowisku, w którym Swann obracał się zwyczajnie.

Ale jednego razu dziadek przeczytał w gazecie, że Swann jest jednym ze stałych gości na śniadaniach niedzielnych u księcia de X..., którego ojciec i stryj byli najwybitniejszymi mężami stanu za Ludwika Filipa. Otóż dziadek był ciekawy wszystkich drobnych faktów, zdolnych dopomóc mu do wniknięcia myślą w prywatne życie ludzi takich jak Molé, jak książę Pasquier, jak książę de Broglie. Zachwycony był wiadomością, że Swann bywa u osób, którzy ich znali. Przeciwnie, ciotka wyłożyła sobie tę wiadomość w sensie ujemnym dla Swanna; ktoś, kto szukał znajomości poza kastą, w której się urodził, poza swoją „klasą”, deklasował się dotkliwie w jej oczach. Zdawało się jej, że taki człowiek wyrzeka się nagle owocu wszystkich swoich chlubnych stosunków z ludźmi dobrze sytuowanymi; stosunków szacunkowo podtrzymywanych i gromadzonych dla swoich dzieci przez przewidujące rodziny. (Swojego czasu ciotka zerwała wręcz znajomość z synem zaprzyjaźnionego z nami rejenta, ponieważ ożenił się z księżniczką krwi i tym samym spadł dla niej z szanowanej rangi syna rejenta, do rzędu owych awanturników, ex-lokajów lub masztalerzy, których, jak mówią, królowe obdarzały czasem swoimi łaskami). Zganiła zamiar dziadka, który chciał przy najbliższej sposobności zapytać Swanna o owych jego świeżo odkrytych przyjaciół. Z drugiej strony dwie siostry babki, obdarzone jej szlachetną naturą, ale bez jej inteligencji, oświadczyły, że nie rozumieją przyjemności, jaką szwagier może znajdować w rozmowie o podobnych głupstwach. Były to osoby o wyższych aspiracjach, tym samym niezdolne interesować się tym, co się nazywa plotką, — nawet plotką o charakterze historycznym — i w ogóle niczym, co nie łączyło się wprost z jakim estetycznym lub cnotliwym przedmiotem. W stosunku do wszystkiego, co z daleka lub z bliska wiązało się z życiem światowym, obojętność ich była taka, że ich zmysł słuchu — zrozumiawszy wreszcie swą czasową bezużyteczność z chwilą, gdy przy obiedzie rozmowa przybierała charakter płochy lub bodaj przyziemny, a stare panny nie mogły jej sprowadzić do ulubionych tematów — zawieszał swoje aparaty odbiorcze i ulegał jak gdyby atrofii. Jeżeli wówczas dziadek chciał ściągnąć uwagę szwagierek, musiał się uciekać do owych wstrząsów fizycznych, którymi posługują się psychiatrzy wobec cierpiących na roztargnienie maniaków: kilkakrotne uderzenie nożem w szklanę, połączone z nagłym podniesieniem głosu i bystrym spojrzeniem. (Gwałtowne te środki psychiatrzy przenoszą często na zwykłe stosunki ze zdrowymi, bądź przez nawyk zawodowy, bądź że uważają wszystkich ludzi po trosze za wariatów.)

Bardziej obudziła zainteresowanie starych pań następująca okoliczność. W wilię pewnego dnia, kiedy Swann miał przyjść, przesłał specjalnie dla nich skrzynkę wina Asti. Równocześnie ciotka, trzymając numer *Figara*, gdzie, obok podpisu pod obrazem z wystawy Corota, widniały słowa: „Ze zbiorów pana Karola Swann”, rzekła:

— Wiecie, że Swann figuruje na łamach *Figara*?

— Ależ ja zawsze mówiłam, że on ma wiele smaku — rzekła babka.

— Oczywiście ty, skoro chodzi o to, aby być innego zdania od *nas*... — odparła ciotka, która, wiedząc że babka nigdy nie jest jednego zdania z nią i nie będąc pewna, czy my zawsze ciotce przyznajemy rację, chciała z nas wyłudzić ryczałtowe potępienie poglądów babki, przeciw którym starała się nas siłą zsolidaryzować. Ale myśmy milczeli. Kiedy siostry babki objawiły zamiar wspomnienia w obecności Swanna o tej notatce w *Figarze*, ciotka odradziła im. Za każdym razem, kiedy widziała czyjaś korzyść — choćby najmniejszą — której nie posiadała, wmawiała w siebie, że to nie jest korzyść, ale upośledzenie, i żalowała tej osoby, aby jej nie musieć zazdrościć.

Pozycja społeczna,
Mieszczanin

Zazdrość

— Ja myślę, że nie zrobilibyście mi przyjemności; co się mnie tyczy, wiem, że byłoby mi bardzo niemiło widzieć swoje nazwisko tak żywcem w gazecie i wcale bym nie lubiła, żeby mi kto o tym mówił.

Nie siliła się zresztą przekonywać ich, bo stare panny przez wstręt do pospolitości tak daleko posuwały sztukę spowijania aluzji osobistych w przemysłne peryfrazy, że aluzja przechodziła często niepostrzeżona nawet przez tę osobę, do której się zwracała. Co do mojej matki, myślała jedynie o tym, aby uzyskać od ojca pozwolenie natrącenia Swannowi nie o żonie, ale o córce, którą ubóstwiał i dla której podobno w końcu zawarł to małżeństwo.

— Mógłbyś mu rzec o niej słówko, spytać, jak się miewa. To musi być dla mego takie okrutne.

Ale ojciec gniewał się: — Ależ nie! ty masz nedorzeczne pomysły. Toby było śmieszne.

Ale jedyną osobą, dla której przybycie Swanna stanowiło bolesne przejście, byłem ja. Bo w owe wieczory, kiedy obcy lub tylko pan Swann byli u nas, mama nie zachodziła do mego pokoju. Nie jadłem przy stole, przychodziłem po obiedzie do ogrodu, a o dziewiątej mówiłem dobranoc i szedłem spać. Jadłem przed wszystkimi, później siedziałem przy stole do ósmej, o której to godzinie było przyjęte, że mam iść do siebie; ten cenny i delikatny pocałunek, który mama powierzała mi zazwyczaj w łóżku w chwili, gdym usypiał, musiałem nieść z jadalni do swego pokoju i przechować przez cały czas rozbierania się, tak aby nie przysła jego słodycz, aby się nie rozlała i nie ulotniła jego esencja. I właśnie w dniu, w które potrzebowałbym przyjąć ten pocałunek najostrożniej, trzeba mi było go brać, chwytając nagle, publicznie, nie mając nawet czasu i swobody ducha, aby skupić całą uwagę na tym, co robiłem, na kształt owych maniaków, którzy siłą się nie myśleć o niczym innym, gdy zamykają drzwi, aby, kiedy im wróci chorobliwa niepewność, móc jej zwycięsko przeciwstawić pamięć chwili, w której je zamknęli.

Byliśmy wszyscy w ogrodzie, kiedy rozległy się dwa niepewne dzwonki. Wiadomo było, że to Swann; mimo to wszyscy spojrzeli po sobie pytająco: posłano babkę na zwiady.

— Pamiętacie podziękować mu zrozumiale za wino; wiecie, że jest wyborne, a skrzynia jest olbrzymia — rzekł dziadek do szwagierek.

— Nie zaczynajcie znów szeptać — rzekła ciotka. — Jakie to miłe, znaleźć się w domu, gdzie wszyscy mówią szeptem!

— A! oto pan Swann. Zapytamy go, czy sądzi, że jutro będzie ładnie — rzekł ojciec.

Matka myślała, że jedno jej słowo mogłoby zatrzeć wszystkie przykrości, jakich w naszej rodzinie mógł doznać Swann od czasu swego małżeństwa. Znalazła sposób, aby go wziąć trochę na bok. Ale ja szedłem za nią, nie mogłem się zdobyć na to, żeby ją opuścić na krok, myśląc, że za chwilę trzeba mi będzie zostawić mamę w jadalni i iść do swego pokoju bez nadziei uzyskania, jak w inne wieczory, tej pociechy, że mnie przyjdzie uściskać.

— Proszę, panie Swann — rzekła — niech mi pan powie coś o córce; jestem pewna, że już ma zamiłowanie do pięknych rzeczy, jak jej tatuś.

— Ależ chodźcie usiąść ze wszystkimi na werandzie — rzekł dziadek.

Matka musiała przerwać, ale nawet z tego przymusu wydobyła jedną delikatną myśl więcej, jak dobry poeta, któremu tyrania rymu każe znajdować największe piękności:

— Pomówimy o niej, kiedy będziemy sami — rzekła półgłosem do Swanna. — Jedynie mamusia godna jest pana zrozumieć. Jestem pewna, że jej mamusia byłaby mojego zdania.

Usiedliśmy wszyscy dokoła żelaznego stołu. Byłbym chciał nie myśleć o godzinach tortury, jakie spędzę sam w swoim pokoju, nie mogąc usnąć; starałem się wytłumaczyć sobie, że nie mają żadnego znaczenia, skoro zapomnę ich jutro rano; siliłem się uczyć myśli o przyszłości, które by mnie zaprowadziły, niby most, poza bliską i przerażającą mnie otchłań. Ale mój napięty troską duch, stawszy się wypukły jak spojrzenie, które wlepiąłem w matkę, nie przepuszczał żadnego obcego wrażenia. Myśli wchodziły doń, ale pod warunkiem, że zostawią zewnątrz wszelki element piękna lub bodaj komizmu, który by mnie wzruszył lub rozbawił. Jak chory, który, dzięki środkowi znieczulającemu, jest świadomie, ale nic nie czując, świadkiem dokonywanej na nim operacji, mogłem sobie przepowiadać ulubione wiersze lub śledzić wysiłki, jakie czynił dziadek, aby naprowadzić

Gość, Dziecko, Matka, Syn,
Obyczaj

Dziecko, Matka, Syn,
Cierpienie, Samotność,
Otchłań

Swanna na rozmowę o księciu d'Audiffret-Pasquier, przy czym wiersze nie przynosiły mi żadnego wzruszenia, a owe próby dziadka żadnej wesołości.

Wysiłki te były bezowocne. Ledwie dziadek zadał Swannowi pytanie dotyczące owego mówcy, kiedy jedna z siostr babcynych, w której uszach pytanie to zabrzmiało niby milczenie głębokie, ale niewczesne, wymagające tego, aby je przerwać, zagadnęła drugą:

— Wyobraź sobie, Celino, poznałam młodą nauczycielkę Szwedkę, która mi udzieliła co do kooperatyw w krajach skandynawskich szczegółów niesłychanie interesujących. Trzeba ją będzie tu ściągnąć któregoś dnia na obiad.

— Oczywiście! — odparła siostra jej Flora — ale ja też nie straciłam czasu. Spotkałam u pana Vinteuil starego uczonego, który dobrze zna pana Maubant. Maubant objaśnił mi bardzo szczegółowo, w jaki sposób opracowuje role. Szalenie interesujące. To sąsiad pana Vinteuil, nie wiedziałam nic o tym; bardzo miły.

— Nie tylko pan Vinteuil ma miłych sąsiadów — wykrzyknęła ciotka Celina głosem, któremu nieśmiałość użyczyła siły, a intencja sztuczności, przy czym rzuciła na Swanna to, co nazywała znaczącym spojrzeniem. Równocześnie, ciotka Flora, która zrozumiała, że ten wykrzyknik był podziękowaniem Celiny za wino, popatrzyła także na Swanna z wyrazem równocześnie powinszowania i ironii, bądź aby podkreślić ładne powiedzenie siostry, bądź że zazdrościła Swannowi, iż je natchnął, bądź też że nie mogła się wstrzymać od zażartowania zeń w duchu, wyobrażała sobie bowiem, że on jest na mękach.

— Sądzę, że będzie można zaprosić tego pana na obiad — ciągnęła Flora — kiedy się go sprowadzi na Maubanta albo na panią Maternę, mówi godziny całe bez przerwy.

— To musi być rozkoszne — westchnął dziadek — w którego duszy natura na nie-szczęście w tym samym stopniu zapomniała pomieścić zdolności zainteresowania się kooperatywami szwedzkimi lub techniką ról Maubanta, w jakim zapomniała obdarzyć siostr babki owym ziarnkiem soli, które trzeba dodać samemu, aby znaleźć jakiś smak w konwersacji o życiu prywatnym Molégo albo hrabiego Paryża.

— Ot — rzekł Swann do dziadka — to co panu powiem, więcej, niżby się zdawało, ma związku z tym, o co pan mnie pytał, bo w pewnych punktach rzeczy nie zmieniły się zbyt. Czytałem dziś rano w Saint-Simonie coś, coby pana zabawiło. Mówię o tomie dotyczącym jego ambasady w Hiszpanii; to nie jest najlepszy tom, to prawie tylko dziennik, ale w każdym razie dziennik cudownie pisany, co już tworzy grubą różnicę z okropnymi dziennikami, które trzeba nam czytać rano i wieczór.

— Nie zgodziłabym się z panem; bywają dni, w których czytanie dzienników wydaje mi się bardzo przyjemne... — przerwała ciotka Flora, aby okazać że czytała w *Figarze* wzmiankę o Corocie Swanna.

— Kiedy mówią o rzeczach albo ludziach interesujących! — podlicytowała ciotka Celina.

— Nie przeczę — odparł Swann zdziwiony. — Zarzucam jedynie dziennikom to, że ściągają codziennie naszą uwagę na rzeczy bez znaczenia, gdy ledwo parę razy w życiu czytamy książki mówiące o rzeczach zasadniczych. Z chwilą, gdy co rano rozdieramy gorączkowo opakę dziennika, wówczas trzeba by odmienić rzeczy i pomieścić w gazecie, sam nie wiem co... ot, *Myśli* Pascala! (wygłosił ten tytuł z ironiczną przesadą, aby nie wyglądać na pedanta). A na odwrót w tomie ze złożonymi brzegami, który otwieramy ledwo raz na dziesięć lat — dodał, okazując wobec rzeczy światowych ową wzdę, którą chętnie przybierają niektórzy światowcy — czytaliśmy, że królowa grecka udała się do Cannes albo że księżna de Léon wydała bal kostiumowy. W ten sposób, przywróciłoby się właściwe proporcje.

Ale żałując, że się dał wciągnąć do mówienia — nawet w lekki sposób — o rzeczach poważnych, dodał ironicznie:

— Ładną w istocie prowadzimy rozmowę; nie wiem, czemu wstąpiliśmy na te „szczyty”.

Po czym, zwracając się do dziadka:

— Zatem, Saint-Simon opowiada, że Maulevrier ośmielił się podać rękę jego synom. Wie pan, ten Maulevrier, o którym mówi: „Nigdy nie znalazłem w tej grubej butli nic poza kwasem, pospolitością i głupotą”...

— Nie wiem, czy są grube, ale znam butle, w których znajduje się zupełnie coś innego — rzekła żywo ciotka Flora, która też chciała podziękować Swannowi, bo wino przeznaczone było dla obu siostr. Celina zaczęła się śmiać. Swann, zaskoczony, podjął:

— „Nie wiem, czy to był spryt czy nieokrziesanie (pisze Saint-Simon), ale chciał podać rękę moim synom. Spostrzegłem się dość wcześnie aby temu przeszkodzić”.

Dziadek już się rozplątał nad „sprytem czy nieokrziesaniem”, ale panna Celina, u której nazwisko Saint-Simona — zawsze literat! — powstrzymało kompletne znieczulenie zdolności słuchowych, już się oburzała:

— Jak to? zachwycać się tym? doprawdy, to ładne! Co to właściwie znaczy? czy jeden człowiek nie jest równy drugiemu? Co to może stanowić za różnicę, czy ktoś jest księciem czy woźnicą, jeżeli ma rozum i charakter? Ładny miał system wychowywania dzieci pański Saint-Simon, jeżeli im nie kazał podawać ręki każdemu porządnemu człowiekowi. Ależ to po prostu straszne. I pan się ośmiela to cytować?

A dziadek, zrozpaczony, czując wobec tej obstrukcji niemożliwość wyciągnięcia Swanna na historię, których był ciekawy, rzekł półgłosem do mamy:

— Przypomnij mi wiersz, któregoś mnie nauczyła, a który tyle mi sprawia ulgi w podobnych chwilach. A, już mam: „Boże, ileż cnót w końcu znienawidzić można!” Och, jakie to mądre!

Nie spuszczałem oczu z matki; wiedziałem, że, kiedy siądą do stołu, nie będzie mi wolno zostać przez cały obiad i że, aby nie drażnić ojca, mama nie pozwoli mi się uściskać kilka razy przy ludziach, tak jakbym to uczynił w swoim pokoju. Toteż przyrzekałem sobie w jadalni, skoro się zacznie obiad i kiedy będę czuł, że się pora zbliża, z góry wycisnąć z tego pocałunku, który ma być tak krótki i ukradkowy, wszystko, co mogę z niego wydobyć sam; wybrać wzrokiem na twarzy miejsce, przygotować się, aby dzięki duchowej antycypacji tego pocałunku móc poświęcić całą minutę, której mi mama użyczy, na to, aby czuć jej policzki na swoich wargach — jak malarz, który, mogąc uzyskać jedynie krótkie seanse, przygotowuje paletę i robi zawczasu z pamięci, ze szkiców, wszystko to, w czym ostatecznie potrafi się obejść bez obecności modelu. Ale oto, nim zadzwoniono na obiad, dziadek rzekł z bezwiednym okrucieństwem:

— Mały ma minę zmęczoną, powinien by się położyć. Zresztą dziś obiad będzie późno.

I ojciec, który nie przestrzegał tak sumiennie traktatów jak babka i matka, rzekł: — Tak, tak, idź się położyć.

Chciałem uściskać mamę; w tej chwili rozległ gong obiadowy.

— Ale nie, dajcie pokój, zostaw matkę, dosyć sobie powiedzieliście dobranoc, śmieszne są te wybuchy czułości. No, na górę!

I trzeba mi było iść bez wiatyku; trzeba mi było wstępować stopień po stopniu, jak powiada wyrażenie ludowe „sercu wbrew”, krocząc wbrew sercu, które byloby chciało wrócić do matki, ponieważ nie ucałowałam mnie, nie udzieliła tym samym memu sercu pozwolenia na pójście ze mną.

Te znienawidzone schody, przebywane zawsze tak smutno, wydzielają zapach lakieru, który poniekąd wchłonął i utrwalił ową swoistą cowieczorną zgryzotę i czynił ją może jeszcze okrutniejszą dla mojej wrażliwości, ile że w tej zapachowej formie inteligencja moja nie mogła brać udziału w męczarni. Kiedy śpimy i kiedy ból zębów objawia się nam na przykład jako młoda dziewczyna, którą silimy się dwieście razy z rzędu wyciągnąć z wody, lub jako wiersz z Moliera powtarzany bez przerwy, wielką ulgą jest obudzić się, iżby nasza inteligencja mogła oswobodzić ideę bólu zębów z wszelkiego heroicznego lub rytmicznego przebrania. Ja doznawałem przeciwności tej ulgi, kiedy zgryzota, że idę do swego pokoju, wchodziła we mnie w sposób nieskończenie szybszy, prawie błyskawiczny, podstępny zarazem i gwałtowny, przez wdychanie — o wiele toksyczniejsze niż wnikanie duchowe — właściwego tym schodom zapachu lakieru.

Skoro raz znalazłem się w pokoju, trzeba było zatkać wszystkie otwory, zamknąć okiennice, wykopać swój własny grób odchylając koldrę, przywdziać całun nocnej koszuli. Ale, nim zagrzebałem się w żelaznym łóeczku, które wstawiono do mego pokoju, bo mi było za gorąco w lecie pod rypowymi zagonami wielkiego łóżka, uczulem odruch buntu, chciałem użyć podstępu skazańca. Napisałem do matki błagając ją, aby przysłała z ważnych powodów, których nie mogę zdradzić w liście. Drżałem tylko, że Franciszka, kucharka ciotki, mająca za zadanie zajmować się mną, kiedy byłem w Combray, może nie

Matka, Dziecko, Syn,
Rozstanie, Cierpienie

Serce, Pocałunek

Zapach

Sen, Cierpienie

Sen, Śmierć

List

Sługa, Obyczaj, Jedzenie,
Dziecko, Matka

zechce zanieść listu. Domyślałem się, że iść ze zleceniem do matki, kiedy są goście, wyda się jej równie niemożliwe co dla odźwiernego w teatrze oddać list aktorowi, podczas gdy ów jest na scenie. Miała ona, co do rzeczy które można albo których nie można robić, kodeks stanowczy, obfity, subtelny i nieubłagany w zakresie nieuchwytnych lub czczych rozróżnień, co mu dawało podobieństwo do owych starożytnych praw, które, obok przepisów okrutnych jak na przykład mordowanie dzieci przy piersi, zabraniały z przesadną delikatnością gotowania koźlęcia w mleku jego matki lub jedzenia ze zwierzęcia ścięgnię z uda. Ten kodeks — jeżeli o nim sędzić z nagłego uporu, z jakim wzdragała się wykonać niektórych zleceń — zdawał się przewidywać komplikacje społeczne i wyrafinowania światowe takie, jakich otoczenie Franciszki i jej tryb życia nie mogły jej podsunąć; i trzeba było sobie powiedzieć, że była w niej przeszłość francuska, bardzo dawna, szlachecka i źle pojęta, jak w owych przemysłowych miastach, gdzie stare pałace świadczą, iż było w nich niegdyś życie dworne, i gdzie robotnicy fabryki produktów chemicznych pracują wśród delikatnych rzeźb przedstawiających cud świętego Teofila albo czterech synów Hajmona.

W danym wypadku artykuł kodeksu, na skutek którego mało było prawdopodobne, aby poza wypadkiem pożaru Franciszka poszła niepokoić mamę w obecności pana Swanna dla mojej skromnej osoby, wyrażał po prostu szacunek, jaki wyznawała nie tylko dla krewnych — jak dla umarłych, księży i królów — ale także dla obcego, któremu się użycza gościny; szacunek, który byłby mnie może wzruszył w książce, ale który mnie zawsze drażnił w jej ustach, dla poważnego i wzruszonego głosu, jaki przybierała mówiąc o tym. Tym bardziej drażnił mnie tego wieczoru, gdy święty charakter, jaki przyznawała obiadowi, mógł mieć za skutek odmowę zakłócenia jego ceremonii. Ale, aby zyskać jedną szansę więcej, nie zważałem się skłamać i powiedzieć Franciszce, że to wcale nie ja chciałem pisać do mamy, ale że mama, rozstając się ze mną, poleciła mi, abym nie zapomniał przesłać jej odpowiedzi co do jakiegoś przedmiotu, którego miałem poszukać; i bardzo by się gniewała, gdyby jej nie oddać tego listu. Sądzę, że Franciszka nie uwierzyła mi, bo jak ludzie pierwotni których zmysły są sprawniejsze od naszych, rozróżniała bezpośrednio, po znakach dla nas niepochwytanych, wszelką prawdę, którą chcielibyśmy przed nią ukryć; patrzyła parę chwil na kopertę, jak gdyby wygląd papieru i pisma mogły ją objaśnić co do zawartości lub wskazać jej, do jakiego artykułu swego kodeksu powinna się odnieść. Po czym wyszła z miną zrezygnowaną, która zdawała się mówić:

— Co to za nieszczęście dla rodziców mieć takie dziecko!

Wróciła po chwili, aby mi powiedzieć, że dopiero podano lody, że niepodobna lokajowi oddać w tej chwili listu przy wszystkich; ale że, skoro dadzą płukanki, znajdzie się sposób doręczenia go mamie. Natychmiast moja męczarnia uśmierzyła się: zatem już nie do jutra — jak myślałem przed chwilą — rozstałem się z mamą! Bilecik mój — mimo iż pogniewa ją zapewne (i to podwójnie, bo ten manewr musiał mnie ośmieszyć w oczach Swanna) — miał mnie bodaj wpuścić, niewidzialnego i uszczęśliwionego, do pokoju w którym ona jest, miał jej mówić o mnie do ucha. Ta sala jadalna, zakazana, wroga, gdzie jeszcze przed chwilą nawet lody — „granito” — i płukanki zdawały mi się kryć rozkosze złowrogie i śmiertelnie smutne, skoro mama kosztowała ich z dała ode mnie, otwierała się dla mnie niby dojrzały i słodki owoc, który rozrywa swoją powłokę; miała bryznąć, trysnąć w moje upojone serce uwagę mamy, gdy będzie czytała moje słowa. Teraz nie byłem już z nią rozdzielony; zapory padły, łączyła nas rozkoszna nić. Przy tym to nie było wszystko: mama z pewnością przyjdzie!

Przypuszczałem, że gdyby Swann przeczytał mój list i odgadł jego cel, śmiałyby się bardzo z tego ucisku serca, którego doznawałem; otóż przeciwnie, jak się dowiedziałem później, podobny stan był cierpieniem długich lat jego życia i nikt tak dobrze jak on nie umiałby mnie zrozumieć, ów skurcz serca, jakiego doznajemy czując, że ukochana istota znajduje się w miejscu zabawy, gdzie nas nie ma i gdzie nie możemy za nią pośpieszyć, Swann poznał przez miłość. Ten stan, ten niepokój jest poniekąd predestynowany dla miłości, ona go zagarnie, wyspecjalizuje; ale kiedy jak u mnie niepokój ten nawiedzi serce, zanim miłość zjawiła się w życiu, wówczas buja, czekając na nią, mglisty i swobodny, bez określonego przydziału, raz w służbie jednego uczucia, to znów w służbie innego, to czułości synowskiej, to koleżeńskej przyjaźni. I tę radość, z jaką przeżyłem pierwszą swoją przygodę, kiedy Franciszka wróciła, aby mi oznajmić, że mój list będzie doręczony, Swann poznał ją również, ową zwodną radość! Dostarcza nam jej jakiś przyjaciel, jakiś krewny

naszej ukochanej, kiedy, przybывая do domu lub do teatru, gdzie ona się znajduje, na bal, redutę lub premierę, gdzie miał się z nią spotkać, przyjaciel ów spostrzeże nas błędzących pod bramą, czekających rozpaczliwie jakiejś okazji skomunikowania się. Poznaje nas, zbliża się swobodnie, pyta, co tu robimy. I kiedy zmyślamy, że mamy coś bardzo pilnego do powiedzenia jego krewnej lub przyjaciółce, upewnia, że to nic prostszego! każe nam wejść do sieni i obiecuje nam ją przysłać w ciągu pięciu minut. Jakże kochamy — tak jak ja w tej chwili kochałem Franciszkę — życzliwego pośrednika, który jednym słowem sprawi, że owa zabawa stanie się nam znośna, ludzka, niemal przyjazna. A jeszcze przed chwilą zdawała się nam ta sama zabawa czymś nieodgadnionym, piekielnym! czuliśmy jakieś wrogie, przewrotne i lubieżne wiry, które odciągały gdzieś daleko, każąc jej śmiać się z nas, tę, którą kochamy. Jeżeli mamy brać miarę z owego krewniaka, który nas zagadnął i który również jest uczestnikiem tych okrutnych misteriów, inni goście nie muszą mieć nic bardzo demonicznego. Wnikamy oto przez niespodziewany wylom w owe niedostępne i dręczące godziny, w których ona miała kosztować nieznaną szalów; podchwytujemy jedną z chwil, których ciąg miałby się składać na owe rozkosze; chwilę równie rzeczywistą jak inne, może nawet ważniejszą dla nas, bo kochanka bardziej w nią jest wmieszana. Uzmysławiamy sobie, posiadamy tę chwilę, wkraczamy w nią, stworzyliśmy ją prawie: chwilę, w której ona się dowie, że jesteśmy tu, na dole. I bez wątpienia — tłumaczymy sobie — inne momenty zabawy nie musiały być nazbyt odmiennej przyrody, nie musiały mieć nic bardziej upajającego, nic co by nam powinno sprawiać takie cierpienie, skoro życzliwy przyjaciel powiedział: „Ależ zejdzie z przyjemnością! O wiele będzie jej milej porozmawiać tutaj z tobą, niż nudzić się tam na górze”. Niestety! Swann doświadczył tego; dobre intencje pośrednika bezsilne są wobec kobiety, którą drażni to, iż czuje się ścigana nawet na balu przez kogoś, kogo nie kocha. Często, przyjaciel schodzi sam.

Matka nie przysłała i, bez oszczędzań mojej miłości własnej (zaangażowanej w to, aby bajka o „poszukaniu czegoś”, których to poszukiwań wynik miałem rzekomo jej przesłać, nie spotkała się z zaprzeczeniem) kazała powiedzieć przez Franciszkę: „Nie ma odpowiedzi”. Jakże często później slyszalem te słowa w ustach portierów hotelowych lub garsonów z karcarni, przynoszone biednej dziewczynie, która się dziwi: „Jak to, nic nie powiedział, ależ to niemożliwe! Oddał pan przecież mój list. Dobrze, zaczekam jeszcze”. I tak samo, jak ona zapewnia niezmiennie, że obejdzie się bez światła, które odźwierny chce dla niej specjalnie zapalić, i czeka, slysząc już tylko rzadkie odzywki o pogodzie, które portier wymienia ze strzelcem, po czym portier, sprawdzwszy godzinę, wysyła nagle strzelca, aby wstawił do lodu napój klienta, tak ja, oddaliwszy propozycję Franciszki przyrządzenia mi ziółek lub posiedzenia przy mnie, pozwoliłem jej wrócić do kredensu, położyłem się i zamknąłem oczy, starając się nie slyszec głosu rodziców, którzy pili kawę w ogrodzie. Ale po upływie kilku sekund uczulem, iż pisyząc ten list do mamy, zbliżając się pod grozą jej gniewu tak bardzo do niej, iż zdawało mi się, że dotykam chwili ujrzenia jej, przeciąłem sobie możliwość zaśnięcia bez jej widoku. Z minuty na minutę bicia mego serca stawały się boleśniejże, ponieważ wzmagąłem swoje podniecenie, nakazując sobie spokój, który był pogodzeniem się z moją niedolą.

Naraz ucisk serca ustał, ogarnęło mnie szczęście takie, jak gdy silne lekarstwo zaczyna działać i odejmie nam ból; postanowiłem w tej chwili nie próbować już zasnąć bez ujrzenia mamy; postanowiłem uściskać ją za wszelką cenę, kiedy będzie szła się położyć, mimo iż łączyło się to z oczywistością długiego jej gniewu. Spokój, który wypływał z zakończenia moich męczarni, wprawiał mnie w nadzwyczajną radość, nie mniej niż oczekiwanie, pragnienie i obawa niebezpieczeństwa. Otwarłem bez hałasu okno i usiadłem na łóżku; wstrzymywałem wszelki ruch z obawy, aby mnie nie uslyszano z dołu. W przyrodzie wszystko wydawało się również zakrzepłe w niemej uwadze, aby nie zmącić blasku księżycy, który, zdwajając i oddalając każdą rzecz swoim blaskiem, gęstszym i konkretniejszym niż ona sama, ścienił i poszerzył zarazem krajobraz niby mapę złożoną dotąd, którą się rozwija. To, co musiało się poruszać — jakiś liść kasztanu — ruszało się. Ale jego drzenie, drobiazgowe, totalne, spełnione aż do najdrobniejszych odcieni i największych subtelności, nie udzielało się reszcie, nie stapiało się z nią, pozostawało ograniczone. Najdalsze odgłosy rozpostarte w tej ciszy, która nie chłoneła z nich nic; te które slyły z ogrodów położonych na krańcu miasta, rozlegały się z takim „wykończe-

niem”, że zdawały się zawdzięczać owo wrażenie dali jedynie swemu *pianissimo*⁶, niby owe pianissima tak mistrzowsko wykonywane przez orkiestrę Konserwatorium, że — choć się z nich nie traci ani nuty — robią wrażenie czegoś słyszanego spoza sali koncertowej, i że wszyscy starzy abonenci — także i siostry babki, kiedy Swann ofiarował im swoje miejsca — nadstawiają ucha, jak gdyby słyszeli daleki krok maszerującego wojska, nim jeszcze skręciło w ulicę de Tréville.

Wiedziałem, że postępek, na który się ważyłem, może mieć dla mnie, ze strony rodziców, konsekwencje najpoważniejsze, o wiele cięższe w istocie, niżby mógł przypuszczać ktoś obcy: takie o jakich się mniema że grożą jedynie przewinom naprawdę hańbiącym. Ale w systemie mojego wychowania porządek przestępstw był nie taki jak u innych dzieci; przed wszystkimi innymi błędami (zapewne dlatego, że od tych trzeba mnie było najpilniej strzec) nauczono mnie stawiać te, o których wiem dzisiaj, że ich wspólną cechą jest nadmierna pobudliwość nerwowa. Wówczas nie wymawiano tego słowa, nie uznawano tego objaśnienia, które byłoby mogło usprawiedliwić mnie we własnych oczach lub nawet utwierdzić w wierze, że jestem niezdolny opierać się tym odruchom. Ale poznawałem je dobrze po lęku, który je poprzedzał, jak i po srogości kary, która po nich następowała; i wiedziałem, że błąd, jaki właśnie popełniłem jest — mimo że nieskończenie cięższy — z tej samej rodziny, co owe inne, za które bywałem surowo ukarany. Kiedy wyjdę naprzeciw matki w chwili, gdy będzie szła spać, a ona zobaczy, że ja się nie położyłem po to, aby jej jeszcze raz w korytarzu powiedzieć dobranoc, nie pozwolą mi zostać w domu, oddadzą mnie od jutra do internatu; to było pewne. I cóż! choćbym się miał rzucić z okna w pięć minut później, wołałem nawet to. W tej chwili chciałem tylko mamy, musiałem jej powiedzieć dobranoc; zbyt daleko zaszedłem na drodze wiodącej do ziszczenia tej żądzy, aby móc się wrócić.

Usłyszałem rodziców, którzy odprowadzali Swanna; kiedy dzwonek u furtki oznajmił mi, że gość odszedł, zbliżyłem się do okna. Mama pytała ojca, czy mu smakowała langusta i czy pan Swann dobierał kawowych i pistacjowych lodów.

— Wydały mi się trochę mdle — rzekła matka — myślę, że na drugi raz trzeba będzie spróbować innego smaku.

— Nie umiem powiedzieć, jak mi się Swann wydaje zmieniony — rzekła ciotka — ale się zestarzał!

Ciotka tak nawykła widzieć w Swannie zawsze tego samego młodego człowieka, że dziwiła się, znajdując go naraz starszym nad wiek, który mu wciąż dawała. I rodzice zresztą zaczęli się w nim dopatrywać owej anormalnej, przedwczesnej, hańbiącej i zasłużonej zgrzybiałości starych kawalerów, wszystkich tych, dla których wydaje się, że wielki dzień bez jutra dłuższy jest niż dla innych, dlatego że dla nich jest pusty i że chwile sumują się w nim od rana, nie dzieląc się następnie między dzieci.

— Sądzę, że on ma wiele zgrzyot z tą paskudną żoną, która, na oczach całego Combray, żyje z niejakim Charlussem. Całe miasto gada o tym.

Matka zauważyła, że jednak Swann wydaje się od jakiegoś czasu o wiele mniej smutny.

— Rzadziej też robi ów gest, w którym zupełnie podobny jest do swego ojca, kiedy ocierał oczy i przeciągał rękę po czole. Ja sądzę, że on w gruncie nie kocha już tej kobiety.

— Ależ oczywiście, że jej już nie kocha — odparł dziadek. — Dostałem od niego, już dawno temu, w tym przedmiocie list, do którego nie omieszkałem się nie zastosować, a który nie zostawia żadnych wątpliwości, co do jego uczuć, przynajmniej miłosnych, względem żony. No i co, widzicie, nie podziękowałyście mu za Asti — dodał dziadek, zwracając się do szwagierek.

— Jak to nie podziękowałyśmy? Zdaje mi się nawet, że to przemyciła dosyć zręcznie — odparła ciotka Flora.

— Tak, bardzoś to ładnie ujęła, podziwiałam cię — rzekła ciotka Celina.

— Ale i ty miałaś moment bardzo szczęśliwy.

— Tak, byłam dość dumna z mego zwrotu o *miłych sąsiadach*.

— Jak to, więc wy to nazywacie podziękować! — wykrzyknął dziadek. — Słyszałem, ale niech mnie czarci porwą, jeżeli wiedział, że to się odnosi do Swanna. Możecie być pewne, że on nic nie zrozumiał.

⁶*pianissimo* (wł.) — określenie dynamiki w muzyce: bardzo cicho. [przypis edytorski]

— Ale skądże, Swann nie jest głupi, jestem pewna, że on to ocenił. Nie mogłam mu przecie wyszczególnić liczby butelek i ceny wina!

Rodzice zostali sami, siedli na chwilę; potem ojciec rzekł:

— No tak. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, pójdziemy się położyć.

— Jak chcesz, mój drogi, mimo że nic mi się spać nie chce. Nie podejrzewam, aby ta odrobina kawy w lodach wybiła mnie ze snu; ale widzę światło w kredensie i skoro poczciwa Franciszka czekała na mnie, poproszę ją, aby mi rozpięła stanik, gdy ty będziesz się rozbierał.

I matka otworzyła drzwi do sieni, którą szło się na schody. Niebawem usłyszałem ją, jak idzie zamknąć okno. Wysunąłem się bez hałasu na korytarz, serce biło mi tak silnie, że ledwo mogłem iść; ale przynajmniej nie biło już z rozpaczy, tylko ze strachu i z radości. Ujrzałem na schodach światło od maminej świecy. Potem ujrzałem ją samą, rzuciłem się ku niej. W pierwszej sekundzie popatrzyła na mnie zdumiona, nie rozumiejąc, co się stało. Potem twarz jej oblokła się gniewem, nie rzekła ani słowa i w istocie za mniejsze o wiele rzeczy nie mówiono do mnie przez kilka dni. Gdyby mama się odezwała, znaczyłoby to, że można ze mną mówić; zresztą wydałoby mi się to może jeszcze straszliwsze jako znak, że wobec ciężkości zawieszanej nade mną kary, milczenie, gniew, byłyby zbyt dobre. Każde słowo wyrażałoby ów spokój, z jakim odpowiada się służącemu, kiedy się postanowiło oddalić go; pocałunek, który się daje synowi, gdy się go wyprawia z domu, a którego by mu się odmówiło, gdyby się rzecz miała skończyć na dwudniowym gniewie. Ale matka usłyszała ojca idącego z garderoby i, aby uniknąć niezawodnej sceny, rzekła głosem drżącym od wzburzenia:

— Uciekaj, uciekaj, niech przynajmniej ojciec nie widzi cię tutaj wystającego jak wariat.

Ale ja powtarzałem: „Przyjdź mi powiedzieć dobranoc”, przerażony odbłaskiem ojcowskiej świecy na ścianie, ale zarazem czyniąc z bliskości ojca rodzaj szantażu i mając nadzieję, że dla uniknięcia spotkania mojego z ojcem w tej sytuacji mama powie mi: „Wróć do siebie, przyjdę”. Było za późno, ojciec stał przed nami. Bezradnie wyszeptalem słowa, których nikt nie słyszał: „Jestem zgubiony!”.

Stało się inaczej. Ojciec naruszał stale przywileje, które zdobyłem w szerszych paktach przyznawanych mi przez matkę i babkę, ponieważ nie troszczył się o zasady i nie było z nim „prawa narodów”. Dla jakiejś racji zupełnie przypadkowej lub nawet bez racji obcinał mi w ostatniej chwili jakiś spacer tak tradycyjny, tak uświęcony, że nie można było pozbawić mnie go bez krzywoprzysięstwa. Czasem, jak zrobił jeszcze tego wieczora, powiadał mi, o wiele przed godziną urzędową; „No, idź się położyć, żadnych wyjaśnień!” Ale także, dlatego że nie miał (w rozumieniu babki) zasad, nie mógł, ściśle biorąc, być nieugięty. Popatrzył na mnie chwilę, zdziwiony i zagniewany; po czym, skoro mama wytłumaczyła mu z zakłopotaniem, co się stało, rzekł:

— No to idź do niego, skoro mówiłaś, że ci się nie chce spać; zostań trochę w jego pokoju, ja nie potrzebuję niczego.

— Ależ, mój drogi — odparła nieśmiało matka — to, że mi się nie chce spać, to nie zmienia kwestii; nie można przyzwyczajać dziecka...

— Ależ nie chodzi o przyzwyczajenie — rzekł ojciec, wzruszając ramionami — widzisz przecie, że malec ma jakąś zgryzotę, wygląda tak żałośnie; no, przecie nie jesteśmy ludożercy! Dużo ci z tego przyjdzie, że on się rozchoruje! Skoro są dwa łóżka w pokoju, powiedz Franciszce, żeby ci posłała wielkie łóżko i śpij tej nocy przy nim. No, dobranoc, ja nie jestem taki nerwowy jak wy, ja się kładę.

Nie mogłem dziękować ojcu, rozgniewałbym go swoją czułością, jak to nazywał. Nie śmiałem się poruszyć; on jeszcze stał przed nami, wielki, w białym szlafroku, z fioletową kaszmirową chustką, którą sobie okręcał głowę od czasu, jak miewał newralgie. Miał gest Abrahama na rycinie wedle Benozzo Gozzoli, którą mi dał pan Swann, gdy Abraham nakazuje Sarze, aby się rozstała z Izaakiem. Dużo lat upłynęło od tego dnia. Schody i ściana, na której ujrzałem odbłask świecy ojca, nie istnieją już od dawna. We mnie niszczało wiele rzeczy, o których myślałem, że powinny trwać wiecznie, i nowe wyrosły, dając początek nowym troskom i radościom, których wówczas nie byłbym mógł przewidzieć, tak samo jak dawne stały mi się trudne do zrozumienia. Od dawna już ojciec nie może powiedzieć mamie: „Idź do tego malca”. Możliwość takich godzin już

Ojciec, Dziecko

Łzy, Smutek, Dzieciństwo,
Cierpienie, Dziecko, Matka

się nie odrodzi dla mnie nigdy. Ale od niedawna, zaczynam bardzo dobrze słyszeć, kiedy nadstawię ucha, łkanie, które zdołałem powstrzymać w obecności ojca i które wybuchło dopiero wówczas, kiedy zostałem sam z matką. W rzeczywistości łkanie to nie ustało nigdy; i jedynie dlatego, że życie milczy teraz bardziej dokoła mnie, słyszę je na nowo, niby owe dzwony klasztorne, w ciągu dnia tak stłumione hałasami miasta, iż zdawałoby się, że zamarły, ale które zaczynają znów dzwonić w ciszy wieczornej.

Mama spędziła tę noc w moim pokoju; w chwili, gdy dopuściłem się takiego błędu, że spodziewałem się, iż będę musiał pożegnać dom, rodzice przyznali mi więcej, niż byłbym kiedykolwiek uzyskał w nagrodę pięknego czynu. Postępowanie ojca ze mną, nawet gdy się objawiło w tej łasce, zawsze zachowało coś dowolnego, niezastuzzonego, ile że bardziej zależało od przypadkowych okoliczności niż od przemyślanego planu. Może nawet to, co nazywałem jego surowością, kiedy mnie wyprawiał spać, mniej zasługiwało na tę nazwę niż surowość matki albo babki. Ojciec, ze swą naturą różniejszą w wielu punktach od mojej, nie odgadł prawdopodobnie, jak bardzo co wieczór byłem nieszczęśliwy, o czym matka i babka wiedziały dobrze; ale one kochały mnie na tyle, aby nie chcieć oszczędzić mi cierpienia; chciały bym się nauczył panować nad sobą, chciały zmniejszyć moją pobudliwość i wzmocnić wolę. Co do ojca, którego przywiązanie do mnie było innego rodzaju, nie wiem, czy miałby tę wytrwałość; gdy jeden raz zrozumiał, że ja cierpię, zaraz powiedział matce: „Idźże go pocieszyc”.

Mama spędziła tę noc w moim pokoju, widocznie nie chcąc psuć żadnym wyrzutem owych godzin tak odmiennych od tego, czego miałem prawo się spodziewać. Kiedy Franciszka, widząc mamę, jak siedzi przy mnie, trzyma mnie za rękę i pozwala mi płakać, nie łając mnie, zrozumiała, że się dzieje coś niezwykłego i spytała: „Ale, proszę pani, czego panicz tak płacze?”, mama odpowiedziała: „On sam nie wie czemu, zdenerwowany jest, pościel mi prędko i idź spać”.

Tak więc pierwszy raz smutek mój nie był brany jako błąd zasługujący na karę, ale jako mimowolne cierpienie, które oficjalnie uznano; jako stan nerwowy, za który nie jestem odpowiedzialny; doznałem tej ulgi, że nie potrzebowałem już przydawać wyrzutów do goryczy swoich łez, mogłem płakać bez grzechu. Niemal było też dumny wobec Franciszki z tego obrotu rzeczy ziemskich, który w godzinę po tym, jak mama odmówiła przyścia do mnie i kazała mi wzgardliwie odpowiedzieć, że mam spać, wznosił mnie do godności dorosłej osoby i dawał mi nagle jakby dojrzałość cierpienia, prawo łez. Powiniennem być być szczęśliwy; nie byłem. Miałem uczucie, że matka uczyniła dla mnie pierwsze ustępstwo, które musiało jej być bolesne; że to była z jej strony pierwsza abdykacja z ideału, jaki sobie dla mnie stworzyła; i że pierwszy raz ona, tak mężna, uznała się zwyciężoną. Zdawało mi się, że, jeżeli odniosłem zwycięstwo, to przeciw niej; że udało mi się tak, jak mogłoby się udać chorobie, zgryzocie albo wiekowi zmiękczyć jej wolę, ugiąć jej rozum, i że ten wieczór zaczyna nową erę, pozostanie smutną datą. Gdybym śmiał teraz, powiedziałbym mamie: „Nie, nie chcę, nie śpij tutaj”. Ale znałem jej mądrość praktyczną — realistyczną, jakby się powiedziało dzisiaj — która łagodziła w niej gorącą idealistyczną naturę babki; i wiedziałem, że teraz, kiedy zło się stało, wolałaby już dać mi bodaj kosztować jego kojącej słodyczy i nie niepokoić ojca. Zapewne piękna twarz matki błyszczała jeszcze młodością tego wieczoru, kiedy mnie trzymała tak łagodnie za ręce i starała się powstrzymać moje łzy; ale właśnie zdawało mi się, że tak być nie powinno; gniew jej byłby mniej smutny dla mnie niż ta nowa słodycz, której nie zaznało moje dzieciństwo; zdawało mi się, że bezbożną i tajemną ręką zarysowałem w jej duszy pierwszą zmarszczkę i sprowadziłem pierwszy siwy włos. Ta myśl zdwoiła moje łkania; wówczas ujrzałem, że mamie, która nigdy wobec mnie nie dawała folgi rozczuleniu, udzielił się naraz mój stan i że wstrzymuje chęć do płaczu. Czując, że mój stan się spozostregł, rzekła ze śmiechem:

— No i patrzcie, ten mały pieścuch, ten mały kociak gotów jeszcze sprawić, że mama zrobi się taka niemądra jak on. No, skoro ci się nie chce spać i mamie też nie, nie denerwujmy się już, róbmy coś, weźmy jakąś książkę.

Ale ja nie miałem w swojej sypialni książek.

— Czy zepsułoby ci to przyjemność, gdybym dziś wyjęła książki, które babcia ma ci dać na imieniny? Pomyśl dobrze: czy nie będziesz markotny, że nic nie dostaniesz pojutrze?

Książka, Sztuka, Dar, Czas

Byłem, przeciwnie, zachwycony: mama poszła po paczkę książek. Przez papier, w którym były zawinięte, mogłem odgadnąć jedynie ich krótki i szeroki format; ale już to pierwsze wejrzenie, mimo że powierzchowne, zasuwało w cień noworoczne pudełko z farbami i zeszlóroczne jedwabniki. To były *Mare au Diable*, *François le Champi*, *Petite Fadette* i *Maîtres Sonneurs*. Babka, jak dowiedziałem się później, wybrała zrazu poezje Musseta, tom Roussa i *Indiang*; o ile bowiem uważała lichą lekturę za równie niezdrową jak ciasteczki i ciastka, nie sądziła, aby szeroki oddech geniuszu mógł mieć na umysł dziecka wpływ niebezpieczny i mniej ożywczy niż powietrze i wiatr na jego ciało. Ale ponieważ ojciec, dowiedziawszy się, jakie książki babka zamierza mi dać, potraktował ją niemal jak wariatkę, udała się sama do Jouy-le-Vicomte do księgarza, izby w dniu imienin nie brakło prezentu (dzień był upalny i wróciła tak cierpiąca, że lekarz ostrzegł matkę, żeby jej nie pozwoliła męczyć się w ten sposób) i zdecydowała się na cztery sielskie powieści George Sand. „Moja droga, rzekła do mamy, nie umiałabym dać temu dziecku rzeczy źle napisanej”.

W istocie, nie umiała nigdy kupić czegoś takiego, z czego by nie można wyciągnąć korzyści intelektualnej, tej zwłaszcza, jaką nam sprawiają piękne rzeczy, ucząc nas szukać przyjemności w czym innym niż w zadowoleniu dobrobytu i próżności. Nawet kiedy komuś miała zrobić podarek tzw. użyteczny, dać fotel, nakrycie, laskę, szukała „antyków”, tak jakby, zatarłszy długim nieużywaniem swój użytkowy charakter, przedmioty te zdolne były raczej opowiadać nam o życiu ludzi dawnych, niż służyć potrzebom naszego życia. Pragnęła, abym miał w pokoju fotografie najpiękniejszych gmachów i krajobrazów. Ale w chwili, gdy miała je kupić, mimo iż wyobrażany przedmiot miał wartość estetyczną, uważała, że pospolitość, użytkowość, zbyt szybko odzyskują miejsce w mechanicznym sposobie odtwarzania, w fotografii. Próbowano szukać wybiegu i jeżeli nie całkowicie wyrugować handlową banalność, to przynajmniej uszczuplić ją, podstawić pod nią możliwie najwięcej sztuki, wprowadzić w nią jakby kilka warstw sztuki; zamiast fotografii katedry w Chartres, wodotrysków w Saint-Cloud, Wezuwiusza, wypytywała Swanna, czy nie odtworzył ich jaki wielki malarz; i wołała mi dać fotografię katedry w Chartres malowanej przez Corota, wodotrysków przez Huberta Robert, Wezuwiusza Turnera, co tworzyło jeden stopień sztuki więcej. Ale, o ile usunięto w ten sposób fotografa od odtworzenia arcydzieła sztuki lub przyrody i zastąpiono go wielkim artystą, odzyskiwał on swoje prawa, aby zreprodukować tę interpretację. Zderzywszy się z pospolitością, babka próbowała jeszcze ją odsunąć. Pytała Swanna, czy owo dzieło nie było rytowane, przekładając, o ile to było możliwe, ryciny stare, a wreszcie przesuwając wartości jeszcze o stopień dalej; szukała na przykład sztychów, przedstawiających arcydzieło w stanie, w którym nie możemy go już widzieć dzisiaj (na przykład *Uczta* Leonarda przed jej uszkodzeniem, przez Morgena). Trzeba przyznać, że wyniki tego rodzaju podarków nie bywały zbyt świetne. Pojęcie, jakie powziąłem o Wenecji z rysunku Tycjana, który ma rzekomo za tło lagunę, było z pewnością mniej dokładne, niż gdybym dostał zwykłe fotografie. Niepodobna było zliczyć, kiedy ciotka chciała sporządzić akt oskarżenia przeciw babce, foteli ofiarowanych przez nią młodym narzeczonym lub starym małżonkom, a które za pierwszą próbą załamywały się pod ciężarem jednego z obdarowanych. Ale babka uważałaby za coś małostkowego troszczyć się o solidność drzewa, na którym znać było jeszcze jakąś girlandkę, uśmiech, czasami piękny odbłask przeszłości. Nawet to, co w tych meblach odpowiadało potrzebie, zachwycało ją swoim stylem, do którego nie jesteśmy już przyzwyczajeni — niby owe stare sposoby wysłowienia, w których widzimy przenośnię, zatartą w nowoczesnym języku przez oswojenie. Otóż właśnie owe sielskie romanse George Sand, które mi dała na imieniny, pełne były, niby stare meble, wyrażań, które wyszły z użycia i stały się z powrotem obrazowe, takich jakie spotyka się już tylko na wsi. I babka przełożyła te książki nad inne, tak jak byłaby chętniej wynajęła posiadłość, gdzie by się znajdował jakiś gotycki pawilon lub któraś z owych starych rzeczy, rodzących w naszej duszy błogosławioną nostalgię niemożliwych podróży w czasie.

Mama siadła koło mego łóżka, wzięła *François le Champi*, któremu rdzawa okładka i niezrozumiały tytuł dawały w moich oczach odrębną osobowość i tajemniczy urok. Nigdy nie czytałem dotąd prawdziwych powieści. Słyszałem, że George Sand jest znakomitą pisarką. To mnie już nastrojało, aby szukać we *François le Champi* czegoś nieokreślonego i rozkosznego. Sposób opowiadania starający się przede wszystkim budzić

Dziecko

Książka

ciekawość lub wzruszenie, pewne zwroty rodzące niepokój i melancholię, wszystko to, w czym wykształceńszy czytelnik poznaje wspólny kapitał wielu powieści, wydawało mi się — mnie, który uważałem nową książkę nie za jedną z wielu podobnych, ale za coś jedyne, mającego rację istnienia tylko w niej samej — odurzającą emanacją właściwą owemu *François le Champi*. Pod tymi wypadkami tak codziennymi, pod rzeczami tak pospolitymi, słowami tak potocznymi, czułem jak gdyby osobliwy ton, akcent. Zawiązała się akcja; wydała mi się dość ciemna, ile że w owym czasie, czytając, marzyłem często przez całe stronicę o czymś całkiem innym. A kiedy mama czytała mi głośno, luki mojego roztargnienia pomnażała jeszcze okoliczność, że mama opuszczała wszystkie sceny miłosne. Toteż wszystkie te dziwne zmiany występujące we wzajemnym stosunku młynarki i chłopca, a dające się wytłumaczyć jedynie postępami rodzącej się miłości, wydawały mi się głęboko tajemnicze. Wyobrażałem sobie chętnie, że źródło tej tajemnicy musi się znajdować w owym nieznanym, a tak słodkim nazwisku *Champi*, które użyczyło chłopcu noszącemu je (czemu? — nie wiedziałem) swoich żywych, purpurowych i uroczych kolorów.

O ile matka była lektorką niewierną, była w zamian — o ile w jakimś utworze znalazła akcent szczerego uczucia — lektorką cudowną przez dyskrecję i prostotę interpretacji, przez piękno i słodycz głosu. Nawet w życiu, kiedy nie dzieła sztuki, ale osoby rodziły jej tkliwość i podziw, wzruszające było widzieć, z jaką uwagą usuwała z głosu, gestu, ze sposobu mówienia, jakiś błysk wesołości, zdolny wyrządzić przykrość matce, która niegdyś straciła dziecko; jakieś wspomnienie imienin, rocznicy, mogące nasunąć starcowi myśl o jego wieku; jakiś szczegół gospodarski, który mógłby się wydać nudny młodemu uczonemu. Tak samo, kiedy czytała prozę George Sand oddychającą zawsze ową dobrocią, owym wykwintem moralnym, które mama nauczyła się od babki cenić ponad wszystko w życiu (dopiero znacznie później miałem ją nauczyć, żeby ich nie stawiała również ponad wszystko w książkach), wówczas, bacznie usuwając z głosu wszelką małość, wszelką przesadę zdolną utrudnić przyjęcie potężnej fali, dawała całą naturalną czułość, całą soczystą słodycz owym zdaniom, które zdawały się napisane na jej głos i które, aby tak rzec, całkowicie mieściły się w rejestrze jej wrażliwości. Czytając te ustępy, odnajdywała w głosie ów akcent serca, który je podyktował, ale którego słowa nie wskazują; głosem łagodziła w składni wszelką ostrość w odmianie czasów; czasowi przeszłemu i przeszłemu dokonanemu dawała jakąś słodycz dobroci, melancholię tkliwości; kierowała kończące się zdanie ku temu, które się miało zacząć, to przyspieszając, to zwalniając krok sylab, aby je wciągnąć, mimo że wartości ich były różne, w jednostajny rytm; tchnęła w tę tak pospolitą prozę jakieś życie serdeczne i ciągłe.

Skoro się ukoiliły moje wyrzuty, oddałem się słodyczy tej nocy, w której miałem matkę koło siebie. Wiedziałem, że taka noc nie może się powtórzyć; że największe pragnienie jakie miałem w świecie — zatrzymać matkę w pokoju podczas tych smutnych nocnych godzin — było zanadto sprzeczne z warunkami życia i z życzeniami wszystkich, aby użyczone mu tego wieczora jego spełnienie mogło nie być czymś sztucznym i wyjątkowym. Jutro lęki moje odżyją, a mamy nie będzie przy mnie. Ale, kiedy mój niepokój uśmierzył się, nie rozumiałem go już; przy tym jutrzejszy wieczór był jeszcze daleko; powiadałem sobie, że będę miał czas coś wymyślić, mimo że ten przeciąg czasu nie mógł mi przynieść żadnej nowej szansy, że chodziło o rzeczy, które nie zależały od mojej woli i które jedynie przestrzeń dzieląca je jeszcze ode mnie czyniła na pozór możliwymi do uniknięcia.

*

Tak oto, przez długi czas, kiedy, obudziwszy się w nocy, przypominałem sobie Combray, zawsze widziałem jedynie tę jasną ścianę, odcinającą się na tle niewyraźnych ciemności, jak ściany, które płomień bengalskiego ognia lub jakaś projekcja elektryczna oświeca i wyodrębnia w budynku, zostawiając inne jego części w mroku. U dosyć szerokiej podstawy salonik, jadalnia, wylot ciemnej alei, którą przybywa pan Swann, nieświadomy sprawca moich smutków, sień wiodąca mnie ku pierwszemu stopniowi schodów, okrutnych schodów, które tworzyły wąski kadłub tej nieforemnej piramidy; a na szczycie moja sypialnia z korytarzykiem o oszklonych drzwiach gotowych na wejście mamy; słowem, wciąż widziana o tej samej godzinie, wyodrębniona ze wszystkiego, co mogło być dokoła,

Słowo, Książka

Noc, Matka, Dziecko, Syn,
Strach, Cierpienie, Obyczaje

odcinająca się w ciemności, ściśle konieczna dekoracja do dramatu mego rozbierania się — na kształt tej, którą wskazują nagłówki starych sztuk dla teatrów prowincjonalnych; tak jakby Combray składało się tylko z dwóch pięter połączonych wąskimi schodami i jakby tam zawsze była tylko siódma wieczór. Prawda, iż komuś, kto by mnie zapytał, mógłbym odpowiedzieć, że Combray zawierało jeszcze coś więcej i istniało o innych godzinach. Ale, ponieważ tamtych innych wspomnień dostarczyłaby mi jedynie pamięć wywołana wolą, pamięć intelektualna, której informacje o przeszłości nie zachowują nic z istoty rzeczy, nie byłbym miał nigdy ochoty myśleć o tej reszcie Combray. Wszystko to było w istocie umarłe dla mnie.

Pamięć, Czas

Umarłe na zawsze? Możliwe.

Dużo w tym jest przypadku, a drugi przypadek, nasza śmierć, często nie pozwala nam długo czekać na łaskawe względy tamtego przypadku.

Dusza

Bardzo rozsądna wydaje mi się wiara celtycka, że dusze tych, których straciliśmy, uwięzione są w jakiejś niższej istocie, w zwierzęciu, roślinie, rzeczy nieożywionej, stracone w istocie dla nas, aż do dnia — dla wielu nie przychodzi on nigdy — gdy nam się zdarzy przejść koło drzewa, wejść w posiadanie przedmiotu będącego ich więzieniem. Wówczas drżą, wołają nas, i skorośmy je tylko poznali, czar pryska. Oswobodzone przez nas, zwyciężyły śmierć i wracają, aby żyć z nami.

Tak jest z naszą przeszłością. Starać się ją wywołać, to stracony czas, wszystkie wysiłki naszej inteligencji są daremne. Ukryta jest poza jej dziedziną i poza jej zasięgiem, w jakimś materialnym przedmiocie (we wrażeniu, jakie by nam dał ten materialny przedmiot), którego się nie domyślamy. Od przypadku zależy, czy ten przedmiot spotkamy, zanim umrzemy, czy też go nie spotkamy.

Pamięć, Jedzenie

Upłynęło wiele lat od czasu, jak z całego Combray wszystko, co nie było sceną i dramatem mego układania się do snu, nie istniało już dla mnie, kiedy pewnego zimowego dnia, skoro wróciłem do domu, matka, widząc że mi jest zimno, namówiła mnie, abym się napił, wbrew zwyczajowi, trochę herbaty. Odmówiłem zrazu; potem, nie wiem czemu, namyśliłem się. Posłała po owe krótkie i pulchne ciasteczka zwane *magdalenkami*, które wyglądają jak odlane w prążkowanej skorupie muszli. I niebawem przytłoczony ponurym dniem i widokami smutnego jutra, machinalnie poniosłem do ust łyżeczkę herbaty, w której rozmoczyłem kawałek magdalenki. Ale w tej samej chwili, kiedy łyk pomieszany z okruchami ciasta dotknął mego podniebienia, zadrzałem, czując, że się we mnie dzieje coś niezwykłego. Owładnęła mną rozkoszna słodycz, odosobniona, nieumotywowana. Sprawiała, że w jednej chwili koleje życia stały mi się obojętne, klęski jego blahe, krótkość złudna; działała w ten sam sposób, w jaki działa miłość, wypełniając mnie kosztowną esencją; lub raczej ta esencja nie była we mnie, była mną. Przestałem czuć się miernym, przypadkowym, śmiertelnym. Skąd mogła mi płynąć ta potężna radość? Czulem, że jest złączona ze smakiem herbaty i ciasta, ale że je przekracza nieskończenie, że nie musi być tej samej natury. Skąd pochodzi? Co znaczy? Gdzie ją chwycić? Piję drugi łyk, w którym nie znajduję nic więcej niż w pierwszym; trzeci, który przynosi mi nieco mniej niż drugi. Czas, abym się zatrzymał, siła napoju wyraźnie maleje. Jasne jest, że prawda, której szukam nie jest w nim, ale we mnie. Napój obudził ją we mnie, lecz jej nie zna i może jedynie powtarzać bez końca, ale z coraz mniejszą siłą, to samo świadectwo, którego nie umiem sobie wyłożyć i którego chcę bodaj móc żądać od niego i odnajdywać je nietknięte, wedle swojej ochoty, natychmiast, dla ostatecznego wyjaśnienia. Stawiam filiżankę i zwracam się do swojej inteligencji. Do niej należy odkryć prawdę. Ale jak? Poważna niepewność za każdym razem, kiedy myśl czuje się wyprzedzona przez siebie samą; kiedy ona, poszukiwaczka, jest zarazem tajemnym krajem, w którym ma szukać i gdzie cały jej aparat nie zda się na nic. Szukać? — nie tylko: tworzyć. Jest w obliczu czegoś, co jeszcze nie jest i co jedynie ona może zrealizować, a potem wciągnąć w swoje światło.

I zaczynam pytać się na nowo, co to może być ów nieznan stan, nie przynoszący żadnego logicznego wytłumaczenia, ale przynoszący oczywistość swojego szczęścia, realności, wobec której inne nikną. Próbuje przywołać go. Cofam się myślą do chwili, w której wypilem pierwszą łyżeczkę herbaty. Odnajduję ten sam stan, bez nowego wyjaśnienia. Żądam od swojej inteligencji jeszcze jednego wysiłku; każe jej jeszcze raz schwycić ulotne wrażenie. I aby nic nie hamowało rzutu, którym będzie próbowała pochwycić to wrażenie, usuwam wszelką przeszkodę, wszelką obcą myśl, chronię uszy i uwagę od szmerów

z sąsiedniego pokoju. Ale czując, że moja inteligencja nuży się bez rezultatu, każę jej przeciwnie zażyć dystrakcji, której jej odmawiałem, myśleć o czym innym, skrzepić się przed ostateczną próbą. Następnie drugi raz robię próżnię dokoła mojej świadomości; stawiam przed jej obliczem świeży jeszcze smak tego pierwszego łyku i czuję, że we mnie drży coś, co zmienia miejsce, co chciałoby się wzbić, coś jakby uwolnionego z kotwicy w wielkiej głębokości; nie wiem, co to jest, ale podnosi się wolno; czuję opór i słyszę szum przebywanych odległości.

Z pewnością to, co we mnie drga w ten sposób, to musi być obraz, wspomnienie wzrokowe, które skojarzone ze smakiem magdalenki próbuje iść za nim aż do mnie. Ale szamoce się zbyt daleko, bezładnie: zaledwie dostrzegam mgliste światło, w którym spływa się nieuchwytny wir kłębiących się barw; nie mogę rozróżnić kształtu, nie mogę go prosić — jako jedyne go możliwego tłumacza — aby mi objaśnił świadectwo jego współczesowego, nieodłącznego towarzysza, smaku; nie mogę go prosić, aby mnie pouczył, o jaką tutaj szczególną okoliczność chodzi, o jaką epokę przeszłości.

Czy dotrze aż do powierzchni mojej świadomości to wspomnienie, dawna chwila, którą siła identycznej chwili przyszła z tak daleka wołać, poruszać, wzywać w głębi mnie? Nie wiem. Teraz nie czuję już nic, wspomnienie zatrzymało się, może zanurzyło się z powrotem; kto wie, czy wypłynie kiedy z mroku? Dziesięć razy trzeba mi zaczynać, pochylać się ku niemu. I za każdym razem lenistwo, które nas odwraca od wszelkiego trudnego zadania, od wszelkiego doniosłego dzieła, poradziło mi, abym temu dał pokój, abym pił herbatę myśląc po prostu o dzisiejszych zgryzotach, o jutrzejszych pragnieniach, które można przeżuwać bez trudu.

I nagle wspomnienie zjawilo mi się. Ten smak, to była magdalenka cioci Leonii. W niedzielę rano w Combray (ponieważ tego dnia nie wychodziłem przed godziną mszy), kiedy szedłem do pokoju cioci Leonii powiedzieć jej dzień dobry, dawała mi kawałek ciasta, zmoczywszy je w herbacie lub w naparze kwiatu lipowego. Widok magdalenki nie przypominał mi nic, nim ją skosztowałem; może dlatego, że widywałem je od tego czasu często — mimo że ich nie jadłem — na ladzie cukierni; obraz ich opuścił owe dni Combray, aby się skojarzyć z innymi świeższymi; może dlatego, że z owych wspomnień, tak długo zostawionych poza pamięcią, nic nie przetrwało, wszystko rozpyliło się; kształty — także ten kształt małej muszelki z ciasta, tak pulchnej i zmysłowej pod swoim surowym i nabożnym rurkowaniem — znikły lub też uśpione, straciły energię, która by im pozwoliła połączyć się ze świadomością. Ale kiedy po śmierci osób, po zniszczeniu rzeczy, z dawnej przeszłości nic nie istnieje, wówczas jedynie zapach i smak, węższe, ale żywsze, bardziej niematerialne, trwalsze, wierniejsze, długo jeszcze, jak dusze, przypominają sobie, czekają, spodziewają się — na ruinie wszystkiego — i dźwigają niestrudzenie na swojej znikomej kropelce olbrzymią budowlę wspomnienia.

I z chwilą gdy poznałem smak zmoczonej w kwiecie lipowym magdalenki, którą mi dawała ciotka (mimo że jeszcze nie wiedziałem i aż znacznie później miałem odkryć, czemu to wspomnienie czyniło mnie tak szczęśliwym), natychmiast stary, szary dom od ulicy, gdzie był jej pokój, przystawił się niby dekoracja teatralna do wychodzącej na ogród oficynki, którą zbudowano dla rodziców od tyłu (owa ściana ściana, jedyna którą wprzód widziałem) i wraz z domem miasto, od rana do wieczora i w każdym czasie, rynek, na który wysyłano mnie przed śniadaniem, ulice, gdzie załatwiałem sprawunki, drogi, którymi się chodziło, kiedy było ładnie. I jak w owej zabawie, w której Japończycy zanurzają w porcelanowym naczyniu pełnym wody kawałeczki papieru z pozoru byle jakie, które, ledwo się zanurzywszy, wydłużają się, skręcają, barwią, różniczkują się, zmieniając się w kwiat, w domy, w wyraźne osoby, tak samo teraz, wszystkie kwiaty z naszego ogrodu i z parku pana Swanna, i lilie wodne z Vivonne, i prości ludzie ze wsi, i ich domki, i kościół, i całe Combray, i jego okolice, wszystko to, przybrawszy kształt i trwałość, wyszło — miasto i ogrody — z mojej filiżanki herbaty.

II

Z daleka, na dziesięć mil wokoło, widziane z pociągu kiedyśmy tam przybywali w Wielki Tydzień, Combray to był tylko kościół. Kościół streszczał miasto, reprezentował je, mówił o nim i za nie w dal; a kiedy było się zbliżyć, skupiał w szczerym polu doko-

ła swego ciemnego wysokiego płaszcza — niby pasterka chroniąca owce od wiatru — wełniste i szare grzbiety przycupniętych domów, które szczątek średniowiecznych wałów okalał tu i ówdzie linią dokładnie okrągłą, niby małe miasteczko na obrazach prymitywów. Do mieszkania Combray było nieco smutne, tak jak jego ulice. Domy zbudowane z czarniawego miejscowego kamienia, ze schodkami przed bramą, oczepione daszkami rzucającymi przed siebie cień, były dość ciemne, tak iż trzeba było z pierwszym zmrokiem podnosić firanki w „salach”; ulice noszące poważne imiona świętych (z których wielu łączyło się z historią pierwszych panów na Combray): ulica św. Hilarego, ulica św. Jakuba, gdzie był dom ciotki, ulica św. Hildegardy, wzdłuż której biegł parkan i ulica św. Ducha, na którą wychodziła boczna furtka ogrodu; i te ulice Combray istnieją w okolicy mojej pamięci tak odległej, grającej kolorami tak odmiennymi od tych, które obecnie barwią dla mnie świat, że w istocie wydają mi się wszystkie, i wraz z górującym nad nimi kościołem na rynku, bardziej jeszcze nierealne niż obrazy czarnoksiężskiej latarni i że chwilami wydaje mi się, iż móc jeszcze przejść ulicą św. Hilarego, móc wynająć pokój przy ulicy Ptasiej — w starej gospodzie pod *Ustrzelonym Ptakiem*, z której suterren bił zapach potraw, dotąd jeszcze chwilami wznoszący się we mnie, równie ulotny i równie gorący — byłoby drogą do styczności z Zaświatem cudowniejszą i bardziej nadprzyrodzoną niż zapoznanie się z Golem lub rozmowa z Genowefą Brabancką.

Krewniaczka dziadka — moja cioteczna babka — u której mieszkaliśmy, była matką owej ciotki Leonii, która od śmierci męża, wuja Oktawa, nie chciała już opuszczać najpierw Combray, potem w Combray swego domu, potem pokoju, potem łóżka i nie „schodziła” już, wciąż leżąc w nieokreślonym stanie zgryzoty, osłabienia, choroby, manii i dewocji. Jej osobiste mieszkanie wychodziło na ulicę św. Jakuba, która kończyła się o wiele dalej Wielką Łąką (w przeciwieństwie do Małej Łąki, zieleniącej się w środku miasta, między trzema ulicami) i która, jednostajna, szara, z trzema wysokimi kamiennymi schodami prawie przed każdą bramą, zdawała się niby korytarz wyżłobiony przez kamieniarza w tym samym kamieniu w którym miał rzeźbić żłóbek albo Mękę Pańską. Ciotcia zajmowała już tylko dwa sąsiadujące pokoje, przebywając popołudniu w jednym, podczas gdy wietrzono drugi. Były to owe prowincjonalne pokoje, które — tak jak w niektórych okolicach całe strefy powietrza albo morza są rozświetlone lub upachnione miriadami niewidocznych dla oka protozoów — czarują nas tysiącem zapachów; a wydzielają je cnoty, rozsądek, nawyki, całe życie duchowe, sekretne, niewidzialne, bogate, unoszące się tam w powietrzu; zapachy niewątpliwie jeszcze naturalne i mające barwę pory roku jak zapachy sąsiednich pól; ale już domowe, ludzkie i zagęszczone niby wyborna, kunsztowna i przeźroczyista galareta z wszystkich dorocznych owoców, które opuściły sad, aby się przenieść do szafy; sezonowe, ale związane z meblami i z domem, łagodzące ostrość szronu słodyczą ciepłego chleba, beczynne i punktualne jak zegar wiejski, beztroskie i systematyczne, niedbałe i przezorne, bieliźniane, poranne, nabożne, szczęśliwe spokojem przynoszącym jedynie wzrost lęku i prozaicznością stanowiącą wielki rezerwuuar poezji dla tego, kto wstąpi tam, ale tam nie mieszkał. Powietrze było nasycone kwiatem ciszy, tak odżywczej i soczystej, żem wchodził do pokoju z rodzajem łakomstwa, zwłaszcza w owe pierwsze zimne jeszcze poranki Wielkiego Tygodnia, w których smakowałem je lepiej, bo dopiero przybyłem do Combray. Zanim wszedłem przywitać się z ciotką, musiałem czekać chwilę w pierwszym pokoju, gdzie słońce, jeszcze zimowe, przyszło ogrzać się przy ogniu, już rozpalonym między dwiema cegłami. Ogień ten powlekał cały pokój zapachem sadzy, robił z niego niby wielki przypiecek wiejski lub okap kominka we dworze, pod którym pragnie się deszczu, śniegu na polu, nawet jakiegoś katastrofalnego potopu, aby do rozkoszy odosobnienia przydać poezję zimowania. Robiłem kilka kroków od kłęcnika do aksamitnych wytłaczanych foteli, zawsze przybranych w miejscu głowy szydełkową robótką. Ogień przypiekał niby ciasto apetyczne zapachy, od których powietrze w pokoju było całe grzłowe, i które już umieścił i wyrobił wilgotny i słoneczny chłód ranka; ogień przekładał je, złościł, gurbił, wydymał, robiąc z nich niewidzialny i dotykalny przysmak godny prowincji, olbrzymiego „napoleonka”. I zaledwie skosztowawszy bardziej chrupiących, delikatniejszych, wybredniejszych, ale też suchszych aromatów szaf, komody, wzorzystych tapet, wracałem, wciąż z utajonym pragnieniem, aby ugrzęznąć we wnikliwym, lepkim, mdłym, niestrawnym i owocowym zapachu kwiecistej kapy na łóżko.

W sąsiednim pokoju słyszałem ciotkę, która rozmawiała z sobą półgłosem. Mówiła

Choroba, Wdowa, Kobieta,
Przestrzeń

Zapach, Dom

Choroba, Sen, Pozory

zawsze dość cicho, bo wierzyła, że ma w głowie coś pęknięte i ochwiane, co by wstrząsnęła za głośnym mówieniem; ale nigdy, nawet będąc sama, nie wytrwała długo, aby nie powiedzieć czegoś, bo uważała, że to jest zdrowo na gardło i że, pobudzając obieg krwi, łagodzi duszności i lęki, na które cierpiała. Przy tym, żyjąc w absolutnej beczynności, używała najłżejszym wrażeniom nadzwyczajnej wagi; wyposażała je ruchliwością, wskutek której trudno jej było zachować coś dla siebie i w braku powiernika, zwierzała się samej sobie w ustawicznym monologu, który był jedyną formą jej żywotności. Niestety, przywykłszy myśleć głośno, nie zawsze uważała, czy nie ma kogo w pokoju obok, toteż często słyszałem, jak mówi sama do siebie: „Muszę sobie dobrze zapamiętać, że nie spałam” (bo nigdy nie spać, było jej wielką ambicją, której pełen szacunku ślad zachował nasz wspólny język: rano, Franciszka nie szła jej „budzić”, ale „zachodziła” do niej; kiedy ciocia chciała się zdrzemnąć w ciągu dnia, mówiono, że chce „pomyśleć trochę”, albo „odpocząć”; a kiedy się jej zdarzyło zapomnieć i powiedzieć w rozmowie: „to mnie obudziło”, albo „śniło mi się, że...”, czerwieniła się i poprawiała się szybko).

Po chwili wchodziłem, aby ją uściskać; Franciszka zaparzała jej herbatę lub, jeżeli ciocia czuła się bardziej nerwowa, żądała zamiast herbaty ziółek. Mnie przypadało wtedy nasypać z papierowej torebki na talerz dawkę kwiatu lipowego, którą trzeba było wsypać do wrzącej wody. Wyschłe lodygi gięły się w fantastyczną siatkę, w której oczkach otwierały się blade kwiaty, jak gdyby je ułożył artysta, jak gdyby im dał najbardziej malownicze kształty. Liście, straciwszy lub odmieniwszy swój wygląd, przybrały postać najrozmaitszych przedmiotów: przejrzystego skrzydła muchy, lewej strony etykiety, płatka róży, ale wszystko jakby zgniecione, zbite lub splecione niby przy budowie gniazda. Tysiąc bezużytecznych szczegółów — urocza rozrzutność aptekarza — które by usunięto przy fabrycznej robocie, dawały mi — niby w książce, w której z zachwytem spotyka się nazwisko znajomej osoby — lubą świadomość, że to są naprawdę szypułki prawdziwych lip, takich jak te, które rosły w alei Dworcowej; że są rozmaite właśnie dlatego; że to nie są imitacje, ale one same, i że się zestarzały. I ponieważ każdy nowy kształt był tylko przeobrażeniem dawnego, w drobnych szarych kulkach poznawałem zielone pączki, którym nie dane było dojrzeć; ale zwłaszcza różowy, księżycowy i łagodny blask, odcinający kwiaty w kruchym lesie szypulek, na których wisiały niby złote różyczki, wskazywał mi — jak światło zdradzające jeszcze na murze miejsce zatartego fresku, różnicę między częściami drzewa, które były, a które nie były kolorowane — że to są te same płatki, które, nim zakwitły w papierowej torebce, napawały zapachem wiosenne wieczory. Ten kolor różowy jak płomień świecy to był jeszcze ich kolor, ale na wół przygasły i uspiiony w owym zwątlalym życiu, które było teraz ich życiem i które jest jak gdyby zmierzchem kwiatów. Niebawem ciocia mogła skosztować wrzącego naparu o smaku zeschłego liścia lub zwiędłego kwiatu i zamoczyć w nim magdalenkę, której dawała mi kawałek, kiedy ciasto dostatecznie zmiękło.

Z jednej strony łóżka znajdowała się duża żółta komoda z cytrynowego drzewa oraz stół, który miał coś z kredensu i z wielkiego ołtarza, gdzie pod posążkiem Matki Boskiej i flaszka Vichy-Célestins znajdowały się książki do nabożeństwa i recepty lekarskie, wszystko co trzeba, aby z łóżka przestrzegać nabożeństw i diety, nie chybić ani pory pepsyny, ani niesporów. Z drugiej strony łóżko cioci przylegało do okna: miała ulicę przed oczyma; od rana do wieczora dla rozproszenia nudów, na sposób książy perskich czytała w niej codzienną, ale odwieczną kronikę Combray, którą później omawiała z Franciszką.

Nie byłem u ciocia ani pięć minut, a już mnie wyprawiała z obawy, abym jej nie zmęczył. Nadstawiała moim ustom smutne, mdłe i blade czoło, na którym o tej rannej godzinie nie ułożyła jeszcze fałszywych włosów i gdzie kości przeświecały niby ostrza cierniowej korony lub ziarenka różańca, i mówiła:

— No, moje dobre dziecko, idź sobie, przygotuj się do mszy; a jeśli na dole spotkasz Franciszkę, powiedz jej, żeby się nie bawiła za długo z wami, niech przyjdzie na górę zobaczyć, czy ja czego nie potrzebuję.

W istocie, Franciszka, która służyła od lat u ciocia — nie przeczuwając wówczas, że będzie służyła u nas, zaniedbywała ją po trosze w miesiącach, kiedyśmy tam bawili. W moim dzieciństwie, zanim jeździliśmy do Combray, kiedy ciocia Leonia spędzała jeszcze zimę w Paryżu u swojej matki, był czas, kiedy znałem Franciszkę tak mało, że w dzień Nowego Roku, zanim udałem się do ciotki, mama kładła mi w rękę pięciofrankówkę i powiadała:

Kwiaty

Choroba, Dom

Sługa

— Nie pomyśl się tylko co do osoby: zaczekaj z daniem pieniędzy, aż usłyszysz że powiem: „Dzień dobry, Franciszko” i lekko trąć cię w ramię.

Zaledwie weszliśmy w ciemny korytarz, spostrzegaliśmy w cieniu, pod rurkami lśniąco białego czepka, tak sztywnego i kruchego jak gdyby był z lukru, koncentrycznie sfal-dowany uśmiech z góry przygotowanej wdzięczności. To była Franciszka, nieruchoma, stojąca w drzwiczkach korytarza niby posąg świętej w niszy. Kiedy się oko oswoiło z tym kościelnym mrokiem, rozpoznawało się na jej twarzy bezinteresowną miłość ludzkości, potem tkliwość, szacunek dla wyższych klas, podsycany w najlepszych regionach jej serca nadzieją kolędy. Mama szczypała mnie silnie w ramię i mówiła bardzo głośno: „Dzień dobry, Franciszko”. Na ten znak, palce moje otwierały się; wypuszczałem pieniądz, który spotykał gotową na jego przyjęcie rękę, zawstydzoną, ale wyciągniętą.

Ale od czasu, jak jeździliśmy do Combray, Franciszka stała się moją najlepszą znajomą; byliśmy jej ulubieńcami, miała dla nas, przynajmniej w pierwszych latach, obok szacunku równego jej szacunkowi dla cioci, sympatię żywszą, ponieważ łączyliśmy powagę członków rodziny (dla owych niewidzialnych węzłów, które stwarza między członkami jednej rodziny krążenie tej samej krwi, Franciszka miała tyleż czci co jakiś tragik grecki) z urokiem, że nie byliśmy jej zwyczajnym państwem. Z jaką radością przyjmowała nas, żałując, że jeszcze nie ma pięknej pogody, w dniu naszego przybycia tuż przed Wielkanocą, często mroźną jeszcze i wietrzną. Mama pytała ją o córkę i o siostrzeńców, i czy wnuczek jest ładny, i co zamierzają z nim począć, czy podobny jest do swojej babci.

A kiedy już nie było gości, mama, która wiedziała, że Franciszka oplakuje jeszcze swoich zmarłych od wielu lat rodziców, mówiła z nią o nich ze słodyczą, pytała o tysiące szczegółów z ich życia.

Odgadła, że Franciszka nie lubi swego zięcia i że on jej psuje przyjemność towarzystwa córki, z którą przy nim nie mogła rozmawiać tak swobodnie. Toteż, kiedy Franciszka wybierała się do nich o kilka mil od Combray, mama mówiła z uśmiechem:

— Prawda, Franciszko, gdyby Julian musiał wyjść z domu i gdybyś miała Małgosię samą przez cały dzień, martwiłabyś się, ale byś się z tym pogodziła?

A Franciszka mówiła, śmiejąc się:

— Pani wie wszystko: pani jest gorsza niż te promienie X (wymawiała *x* z udaną trudnością i z uśmiechem, jakby żartując z samej siebie, że ona, nieuczona, używa tego naukowego terminu), które sprowadzano dla pani Oktawowej i które widzą, co człowiek ma w sercu.

I zniknęła zawstydzona, że się nią zajmują, może aby nie widziano, że płacze; mama była pierwszą osobą, która jej dała owo słodkie przeświadczenie, że jej życie, jej szczęście, jej chłopskie zgrzyoty mogą przedstawiać coś interesującego, mogą być powodem radości lub smutku nie tylko dla niej. Ciocia godziła się wyrzec trochę Franciszki w czasie naszego pobytu, wiedząc, jak mama lubi pracę tej służącej tak inteligentnej i czynnej. Franciszka była równie piękna o piątę rano w kuchni, w czepku, którego błyszczące i sztywne rurki wyglądały jak z porcelany, co kiedy się wybierała na mszę; wszystko robiła dobrze, pracując jak koń, czy była zdrowa czy nie, ale bez hałasu, tak jakby nie robiła nic; jedyna ze służących ciotki, która, kiedy mama poprosiła o gorącą wodę lub o czarną kawę, przynosiła je naprawdę wrzące. Była z tych sług, którzy na pierwszy rzut oka najmniej są sympatyczni obcemu, może dlatego, że nie ubiegają się o jego sympatię i nie okazują mu względów, wiedząc doskonale, że go nie potrzebują i że raczej pozbyłoby się gościa, niżby odprawiono ich; z tych sług, nad którymi najbardziej trzęsą się chlebobdawcy, przekonawszy się o ich prawdziwej wartości i nie dbając o ten powierzchowny blichtr, o tę służalczą przymilność, która robi korzystne wrażenie na gościu, ale która kryje często beznadziejną nieudolność.

Kiedy Franciszka, dopatrzawszy, aby rodzice mieli wszystko, czego trzeba, szła pierwszy raz do cioci Leonii, aby jej podać pepsynę i zapytać, co będzie jadła na śniadanie, nie zdarzyło się prawie, aby nie musiała już wyrazić swego zdania albo udzielić wyjaśnień co do jakiegoś ważnego wydarzenia:

— Franciszko, wyobraź sobie, że pani Goupil była już przeszło o kwadrans spóźniona, kiedy szła po siostrę; niech się bodaj trochę zabawi w drodze, a nie dziwiłoby mnie, gdyby przyszła do kościoła po podniesieniu.

— Tak, to by nie było nic dziwnego — odpowiadała Franciszka.

Sluga

Sluga

— Franciszko, gdybyś była przyszła o pięć minut wcześniej, zobaczyłabyś panią Imbret, jak niosła szparagi dwa razy grubsze niż te od Calotowej; niech się Franciszka dowie przez służącą, gdzie je dostała. Franciszka daje nam w tym roku tyle szparagów we wszelkiej postaci, że mogłaby może postarać się o takie dla naszych paryżan.

— Nie dziwno by mi było, gdyby były od księdza proboszcza — powiadała Franciszka.

— Właśnie, akurat, moja Franciszko — odpowiadała ciotka wzruszając ramionami — od księdza proboszcza! Wiesz dobrze, że jemu się udają tylko cienkie mizerne szparażki. Powiadam ci, że te były grube jak ramię. Nie jak twoje, oczywiście, ale jak moje biedne ramię, które jeszcze tak schudło tego roku.

A potem:

— Franciszko, nie słyszałaś tego dzwonięcia od którego o mało głowa mi nie pękła?

— Nie, proszę pani.

— Och, moje dziecko, musisz mieć tęgą głowę, możesz podziękować panu Bogu. To Magielonka była po doktora Piperaud. Wyszedł zaraz potem z nią i oboje skręcili w ulicę Ptasią. Musiało jakieś dziecko zachorować.

— Och, Boże ty mój! — wdychała Franciszka, niezdolna słyszeć o nieszczęściu, które się zdarzyło komuś obcemu, nawet w odległej stronie świata, aby nie zacząć jęczeć.

— Franciszko, dla kogo to dzwonieli pozgonne? Och, Boże, to pani Rousseau. Toć ja zapomniałam, że ona umarła zeszłej nocy. Och, czas już, żeby dobry Bóg powołał mnie do siebie, nie wiem sama, co się dzieje z moją głową od śmierci biednego Oktawa. Ale ja ci zabieram czas, moje dziecko.

— Och, nie, proszę pani, mój czas nie jest taki drogi; ten, który go stworzył, nie sprzedał go nam. Popatrzę tylko, czy ogień w kuchni nie wygasł.

Tak Franciszka i ciocia Leonia szacowały razem, w ciągu tego rannego posiedzenia, pierwsze wypadki dnia. Ale niekiedy wypadki te przybierały charakter tak tajemniczy i poważny, że ciocia czuła, iż nie zdoła doczekać zjawienia się Franciszki; wówczas cztery straszliwe dzwonki rozlegały się w domu.

— Ależ, proszę pani, to jeszcze nie jest czas na pepsynę — mówiła Franciszka. — Czy pani słabo się zrobiło?

— Nie, nie, Franciszko, to jest owszem, wiesz dobrze, że teraz mało kiedy bywa żeby mi nie było słabo; któregoś dnia skończę jak pani Rousseau, ani się obejrzę; ale to nie dlatego dzwonię. Pomyśl tylko, widziałam, tak jak ciebie widzę, panią Goupil z jakąś dziewczynką, której nie znam. Poleć no przynieść za dwa su soli od Camusa. Nie sposób, żeby Teodor nie umiał ci powiedzieć, kto to taki.

— To chyba będzie córka pana Pupin — rzekła Franciszka, która wołała załatwić rzecz doraźnym przypuszczeniem, ile że była już od rana dwa razy u Camusa.

— Córka pana Pupin! Co ci się śni, moja dobra Franciszko! I myślisz, że ja bym jej nie poznała?

— Ale ja nie mówię o dużej, proszę pani, ja mówię o smarkatej, która jest na pensji w Jouy. Widzi mi się, że ją już widziała dziś rano.

— A, tak to chyba — mówiła ciocia. — Musiała widać przyjechać na święta. Z pewnością musi tak być. Nie ma co zgadywać, przyjechała na święta. Ale w takim razie doczekamy się lada chwila, jak pani Sazerat pójdzie do siostry na śniadanie. Tak, tak. Widziałam chłopca z cukierni, który niósł torcik! Przekonasz się, że torcik był dla pani Goupil.

— Skoro pani Goupil ma gości, wnet pani zobaczy, jak tuj tuj zaczną się schodzić do niej na śniadanie, bo już zaczyna się robić późno — mówiła Franciszka, która, śpiesząc się sama do kuchni, rada była zostawić ciotce nadzieję tej rozrywki.

— Och, nie wcześniej niż w południe — odpowiadała ciocia z rezygnacją, rzucając na zegar spojrzenie niespokojne, ale ukradkowe, aby nie okazać, że ona, która wyrzekła się wszystkiego, znajduje wszelako w sprawdzeniu, kogo pani Goupil ma na śniadaniu, przyjemność tak żywą, a na nieszczęście odwleczoną przeszło o godzinę. „I jeszcze to wypadnie w czasie mojego śniadania!” dodała półgłosem do siebie. Własne śniadanie było dla niej rozrywką wystarczającą aby nie pragnęła żadnej innej w tym samym czasie. „Nie zapomnisz, słuchaj, dać mi jajek ze śmietaną na płaskim talerzu?” To były jedyne talerze, na których były malowane jakieś historie; ciotkę bawiło odczytywać przy każdym posiłku napis na talerzu, który jej podano tego dnia. Kładła okulary, odcyfrowywała: „Alibaba

i czterdziestu zbójów. Aladyn, czyli cudowna lampa”; i mówiła z uśmiechem: „Bardzo dobrze, bardzo dobrze”.

— Byłabym poszła do Camusa... — mówiła Franciszka, widząc, że jej już ciocia tam nie pośle.

— Ale nie, już nie warto, to z pewnością panna Pupin. Moja dobra Franciszko, przykro mi, żem cię odrywała na darmo.

Ale ciocia wiedziała, że nie na darmo dzwoniła na Franciszkę, bo w Combray osoba, „której się nie zna”, była istotą równie mało prawdopodobną, jak jakieś mitologiczne bóstwo, i w istocie nie przypominało sobie, za każdym razem kiedy na ulicy Św. Ducha albo na rynku ukazało się jedno z owych zdumiewających zjawisk, aby dobrze poprowadzone śledztwo nie sprowadziło w końcu tej bajecznej osobistości do rozmiarów „osoby, którą się zna”, czy to osobiście, czy abstrakcyjnie, w jej stanie cywilnym, w charakterze takiego a takiego pokrewieństwa z mieszkańcami Combray. Albo to był syn pani Sauton, który wrócił z wojska, albo siostrzenica księdza Perdreau, która wyszła z klasztoru; brat proboszcza, poborca w Chateaudun, który przeszedł na emeryturę lub przybył na święta. Widząc ich, można było myśleć przez chwilę ze wzruszeniem, że są w Combray ludzie, których się nie zna, po prostu dlatego, że się ich nie utożsa miło i nie poznało od razu. A przecież na długo wprzód pani Sauton i proboszcz uprzedzali, że oczekują „swoich”. Wieczorem, wróciwszy do domu, szedłem opowiedzieć cioci naszą przechadzkę; jeśli niebacznie rzekłem, żeśmy spotkali koło Starego Mostu kogoś, kogo dziadek nie znał: „Ktoś, kogo dziadek nie zna! — wykrzykiwała. — Cóż za gadanie!” Niemniej wzruszona nieco tą nowiną i chcąc mieć spokojne sumienie, wzywała dziadka.

— Kogo takiego wuj spotkał koło Starego Mostu? podobno kogoś, kogo wuj wcale nie zna?

— Ależ owszem — odpowiadał dziadek — to był Prosper, brat ogrodnika pani Bouilleboeuf..

— A, tak — odpowiadała ciocia uspokojona i trochę zaczerwieniona; i wzruszając ramionami z ironicznym uśmiechem, dodawała:

— Bo mały mi powiadał, żeście spotkali człowieka, którego wuj nie zna!

I zalecano mi, abym był uważniejszy na drugi raz i nie niepokoił cioci odzywając się bez zastanowienia. Tak dobrze znało się w Combray wszystkich, ludzi i zwierzęta, że, kiedy ciocia ujrzała przypadkiem psa „którego nie znała”, myślała o nim bez przerwy, poświęcając temu niepojętemu faktowi swoje zdolności kombinacyjne oraz wolny czas.

— To będzie pies pani Sazerat — mówiła Franciszka bez wielkiego przekonania, ale dla uspokojenia cioci i aby jej oszczędzić „łamanie sobie głowy”.

— Tak jakbym ja nie znała psa pani Sazerat! — odpowiadała ciocia, której zmysł krytyczny nie przyjmował faktu tak łatwo.

— A, to będzie nowy pies, którego pan Galopin przywiózł z Lisieux.

— To chyba.

— Zdaje się, że to bardzo poczciwe bydlę — mówiła Franciszka, która miała tę wiadomość od Teodora — mądre jak jaki człowiek, zawsze wesołe, zawsze uprzejmie, zawsze miłusie. Rzadko się trafi, aby pies w tym wieku był taki przyklepny. Proszę pani, teraz już muszę panią zostawić, nie mam czasu na zabawę, już blisko dziesiąta, w piecu nawet niezapalone, a ja mam jeszcze oskrobać szparagi.

— Jak to, Franciszko, znów szparagi! ależ tyś się prawdziwie rozchorowała na szparagi w tym roku, zamęczysz naszych paryżan.

— Ależ nie, proszę pani, one to lubią. Wrócą z kościoła z apetytem i zobaczy pani, że tylko im będą śmigać w rękach.

— Prawda! oni już muszą być w kościele; zakrzętnij się, nie trać czasu. Biegaj dopilnować śniadania.

Gdy tak ciocia uradzała z Franciszką, ja towarzyszyłem rodzicom na mszę. Jakże ja lubiłem nasz kościół, jak dobrze go widzę! Stara kruchta, przez którąśmy wchodziła, czarna, podziurawiona jak warzecha, była krzywa i głęboko wyżłobiona na kantach (tak samo jak kropielnica, do której nas wiodła), jak gdyby lekkie otarcie chust wieśniaczek wchodzących do kościoła i ich nieśmiałych palców biorących wodę święconą, mogło, powtarzane w ciągu wieków, nabyć siły niszczycielskiej, naruszyć kamień i wyżłobić bruzdy takie,

Obcy

Świątynia, Sztuka, Historia,
Czas

jakie żłobią koła wozów w kamieniu przydrożnym ocierając się o niego co dzień. I płyty grobowe, pod którymi szlachetne prochy spoczywających tam opatów Combray stwarzały dla chóru niby duchową posadzkę, nie były już same martwą i twardą materią, bo czas zmiękczył je i dał im wypłynąć na kształt miodu poza granice własnego prostokąta, który przekroczyły złotą falą, rozpuszczając w niej jakąś kwiecistą gotycką literę, zatapiając białe fiołki marmuru; gdzie indziej znów kurczyły się w swoich granicach, zagęszczając jeszcze eliptyczność łacińskiego napisu, wprowadzając jeden kaprys więcej w rozmieszczenie skróconych zgłosek, zbliżając dwie litery słowa, którego inne litery rozciągnęły się niepomierne. Witraże tego kościoła nigdy tak nie grały jak w dniu, gdy słońca było mało, tak iż jeżeli na dworze było szaro, na pewno w kościele było ładnie. Jeden witraż wypełniała w całej jego wielkości osobistość podobna karcianemu królowi, który żył tam w górze pod kamiennym baldachimem, między niebem a ziemią; w jego skośnym i błękitnym blasku, czasami, w dniu powszednim, w południe, kiedy nie było nabożeństwa — w jednej z owych rzadkich chwil, kiedy kościół, przewiewny, pusty, bardziej ludzki, paradny, migocący w słońcu swoim bogactwem, miał wygląd prawie mieszkalny niby hall z rzeźbionego kamienia i malowanego szkła w stylu średniowiecza — widziało się przyklekającą na chwilę panią Sazerat, kładącą na sąsiednim kłęczniku paczuszkę ptifurów⁷, którą wzięła dopiero co u cukiernika na rogu i którą niosła do domu na śniadanie. W drugim oknie góra różowego śniegu, u której stóp toczyła się bitwa, zdawała się pokrywać szronem sam witraż, wzdymała go mętnymi grudkami niby szybę, na której zostałyby płatki, ale płatki oświecone jakąś jutrzenką — tą samą zapewne, która czerwieniła nastawę ołtarza kolorami tak świeżymi, że zdawały się raczej rzucone tam chwilowo przez jakiś ulotny blask z zewnątrz niż farbą związane na wieki z kamieniem. I wszystkie te witraże były tak dawne, że widziało się tu i ówdzie, jak ich srebrzysta starość lśni się pyłem wieków i ukazuje błyszczący i zużyty do nitki wątek ich delikatnego szklanego haftu. Był tam witraż — wysoki prostokąt podzielony na setkę małych kwadratów, gdzie przeważał błękit, niby wielka talia kart podobnych tym, którymi zabawiano Karola VI; ale czy że jakiś promień zabłysnął, czy moje spojrzenie, poruszywszy się, przebiegło poprzez gasnący na przemian i płonący witraż ruchomym i wspaniałym pożarem, w chwilę potem stroił się w migotliwy blask pawiego ogona; potem drżał i falował w płomienym i fantastycznym deszczu, który spadał kroplami z ciemnego i skalistego sklepienia, wzdłuż mokrych ścian, jak gdybym wszedł z rodzicami niosącymi książki do nabożeństwa do nawy jakiejś grotty rozteczzonej stalaktykami. W chwilę potem, małe romboidalne witraże nabierały głębokiej przejrzystości, niezłomnej twardości szafirów ułożonych płasko na jakimś olbrzymim pektorale; ale poza nimi czuło się ukochańszy niż wszystkie te bogactwa, przelotny uśmiech słońca. Uśmiech ten tak samo rozpoznawało się w błękitnej i łagodnej fali, w której kąpał kamienie, jak na bruku ulicznym lub na słomie targowego placu; i nawet w pierwsze niedziele przedwielkanocne, tuż po naszym przybyciu, uśmiech ten wynagradzał mi to, że ziemia była jeszcze naga i czarna, rozwijając, niby w historycznej wiosnie datującej od następców świętego Ludwika olśniewający i pozłocisty dywan szklanych niezapominajek.

Dwa gobeliny przedstawiały koronację Estery (wedle tradycji, Asuerus miał rysy króla Francji, a Estera rysy pani na Guermites, w której król się kochał). Barwy gobelinu, tonując się, przydały postaciom wyrazu, plastyki, światła. Nieco różowego koloru igrało koło warg Estery poza ich konturem; żółtość jej sukni rozpościerała się tak soczyście, tak tłusto, że przybrała od tego jakieś konsystencji i odcinała się żywo od matowego tła. Zielień drzew, żywa w dolnych partiach materii utkanej z jedwabiu i wełny, ale spłowiała w górze, uwydatniała ponad ciemnymi pniami bledsze wysokie gałęzie, żółknijące, złociste i jakby wpół zatarte nagłym i skośnym blaskiem niewidzialnego słońca. Wszystko to — i cenniejsze jeszcze przedmioty, ofiarowane kościołowi przez osoby będące dla mnie niemal postaciami z legendy (złoty krzyż, rzeźbiony, jak powiadano, przez świętego Eligiusza, a darowany przez króla Dagoberta; grobowiec synów Ludwika Niemieckiego z porfiru i emaliowanej miedzi) — sprawiało iż, kiedyśmy szli do krzesel, posuwałem się przez kościół niby doliną nawiedzaną przez wróżki, gdzie wieśniak cuduje się, widząc

Świątynia, Sztuka, Historia

⁷ptifury (z fr. *petits fours*: herbatniki, paszteciki) — małe ciasteczka deserowe, serwowane do kawy a. herbaty. [przypis edytorski]

w skale, w drzewie, w kałuży, namacalny ślad ich nadprzyrodzonych odwiedzin: wszystko to robiło dla mnie z tego kościoła coś całkowicie odmiennego od reszty miasta. Budowała ta, zajmująca, aby tak rzec, przestrzeń o czterech wymiarach — czwartym wymiarem jest Czas — rozwijała poprzez wieki swoją nawę, która od przeszła do przeszła, od kaplicy do kaplicy zdawała się zwycięzać i przebywać nie tylko kilka metrów, ale kolejne epoki, z których wychodziła zwycięsko: ukrywała szorstki i dziki wiek XI w grubości swoich murów, skąd wzywał, ze swymi ciężkimi łukami zamurowanymi i oślepienymi przez masywne orcele, jedynie głębokim wcięciem, jakie w pobliżu kruchty żłobiły schody na dzwonnicy; wiek nawet tam zamaskowany wdzięcznymi gotyckimi arkadami, które cisnęły się przed nim zalotnie, niby starsze siostry stojące z uśmiechem przed młodym bratem, nieokrzesanym, burkliwym i źle ubranym, aby go zasłonić obcym. Kościół ten wznosił do nieba ponad rynek swoją wieżę, która widziała świętego Ludwika i zdawała się patrzeć nań jeszcze, a zanurzał się ze swoją kryptą w noc merowińską. Prowadząc nas po omacku pod mrocznym sklepieniem, potężnie unerwionym niby błona olbrzymiego kamiennego nietoperza, Teodor i jego siostra oświecali nas świecą grób małej wnuczki Sigberta, na którym głęboka bruzda — niby ślad kopalnego zwierza — wyżłobiona była, powiadają, „przez kryształową lampę, kiedy, w dniu zamordowania frankońskiej księżniczki, oderwała się sama od złotych łańcuchów przytrzymujących ją w miejscu dzisiejszego chóru i zanurzyła się w kamieniu, który miękko ustąpił pod nią, tak, że kryształ się nie strząsnął, a płomień nie zgasł”.

Czy można doprawdy mówić o absydzie kościoła w Combray? Była tak pospolita, tak wyzuta z wartości artystycznej, a nawet z religijnego porywu! Z zewnątrz, ponieważ skrzyżowanie ulic na które wychodziła, leżało niżej, gruby jej mur wznosił się na podmurowaniu z orceli, nieogładzonych, najeżonych kamykami. Mur ten nie miał nic szczególnie duchownego; okna zdawały się przebite osobliwie wysoko, a wszystko wyglądało raczej na ścianę więzienną niż kościelną. I z pewnością później, kiedy sobie przypominałem wszystkie wspaniałe absydy jakimi widział, nie byłoby mi nigdy przyszło na myśl zestawiać z nimi chór w Combray. Jedynie pewnego dnia na zakręcie prowincjonalnej uliczki spostrzegłem na wprost skrzyżowania trzech ulic mur chropawy i stromy, z oknami przebitymi bardzo wysoko i mającymi ten sam niesymetryczny wygląd, co absyda w Combray. Wówczas nie pytałem się, jak w Chartres albo w Reims, z jaką siłą wyraziło się tam uczucie religijne, ale wykrzyknąłem mimo woli: „Kościół!”

Kościół! Poufały, graniczący przy ulicy św. Hilarego, gdzie znajdowała się jego północna brama, z apteką pana Rapin i z domem pani Loiseau, którego dotykał bezpośrednio; kościół, ten prosty obywatel Combray, który mógłby mieć swój numer przy ulicy, gdyby ulice w Combray miały numery, i pod którym, zda się, listonosz powinien by się zatrzymać rano, kiedy roznosił listy, nim wszedł do pani Loiseau wyszedłszy od pana Rapin. A jednak była między tym kościołem a wszystkim innym granica, której myśl moja nigdy nie zdołała przebyć. Daremnie pani Loiseau hodowała w oknie fuksje, które miały ten płochy zwyczaj, że pozwalały swoim gałęziom wlaźć wszędzie ze spuszczoną głową, i których kwiaty, kiedy były dość duże, nie miały nic pilniejszego niż chłodzić swoje fioletkowe i przekrwione policzki o posępną fasadę kościoła; fuksje nie stawały się przez to dla mnie święte; jeżeli oczy moje nie dostrzegały odstępu między kwiatami a szerniałym kamieniem, którego dotykały kwiaty, duch mój wyczuwał między nimi przepaść.

Poznawało się z bardzo daleka wieżę św. Hilarego, rysującą swoją niezapomnianą sylwetkę na widnokręgu, gdy Combray nie było jeszcze widoczne. Kiedy z pociągu, który w Wielkim Tygodniu przywoził nas z Paryża, ojciec dostrzegał ją przemykającą kolejno po wszystkich brzdach nieba, migającą we wszystkich kierunkach swoim blaszanym kogutkiem, mówił do nas: „No, bierzcie plecy, jesteście już”. I na jednym z największych spacerów, jaki robiliśmy w Combray, było miejsce, gdzie wąska droga wychodziła nagle na ogromną płaszczyznę zamkniętą na widnokręgu nierówną linią lasów, nad którymi górowało jedynie ostrze wieży św. Hilarego, ale tak cienkie, tak różowe, że zdawało się nakreślone na niebie paznokciem, który by chciał owemu krajobrazowi, dziełu czystej natury, dać lekkie znamię sztuki, jedyny ślad ludzki. Kiedy bardziej z bliska można było ujrzeć resztkę kwadratowej i na wpół zburzonej wieży, która, niższa, wznosiła się obok tamtej, uderzał oko zwłaszcza rdzawy i ciemny kolor kamieni; i w mglisty ranek jesienny,

Przestrzeń

wznosząca się ponad burzliwy fiolet winnic, wydawała się niby purpurowa ruina koloru dzikiego wina.

Często, kiedyśmy wracali, babka zatrzymywała mnie na rynku, aby popatrzeć na wieżę. Z okien pomieszczonych po dwa, jedno nad drugim, z zachowaniem owej celnej i oryginalnej proporcji, która użycza piękności i godności nie tylko twarzom ludzkim, wieża wypuszczała w regularnych odstępach chmary wron. Przez chwilę krążyły kracząc, jak gdyby stare kamienie, które pozwalały im igrzać, nie racząc ich widzieć, stawszy się nagle niemieszkalne i wydzielając pierwiastki nieskończonego ruchu, uderzyły je i odepchnęły. Następnie, porysowawszy we wszystkich kierunkach fioletowy aksamit wieczoru, uspokojone nagle, wsiąkały z powrotem w wieżę, która z wrogiej stawała się przytulna. Niektóre przysiadły tu i ówdzie na szczycie wieżyczki — na pozór bez ruchu, ale chwytając może jakieś owady — niby mewa, która przycupnie nieruchomo jak rybak na grzbiecie fali. Nie bardzo wiedząc czemu, babka odkrywała w wieży Św. Hilarego ów brak pospolitości, pretensji, małostkowości, który kazał jej kochać naturę i dzieła geniuszu. Kochała je i wierzyła w bogactwo ich dobroczynnego wpływu, o ile ręka ludzka — podobna w tym ogrodnikowi ciotki — ich nie pomniejszy. I bez wątpienia każda część kościoła, raz ujrzana, odróżniała się od wszelkiej innej budowli jak gdyby jakąś myślą, którą był nasiąknięty; ale w wieży zdawał się on nabierać świadomości samego siebie, stwierdzać indywidualne i odpowiedzialne istnienie. Wieża mówiła za niego. Sądzę zwłaszcza, że babka bezwiednie widziała w owej wieży to, co miało dla niej największą cenę, naturalność i wrodzony wykwił. Będąc profanką w architekturze, powiadała: „Moje dzieci, drwijcie sobie ze mnie, jeśli chcecie, ona nie jest może piękna wedle reguł, ale jej stary dziwaczny kształt podoba mi się. Jestem pewna, że gdyby grała na fortepianie, nie grałaby *sucho*”. I kiedy patrzyła na tę wieżę śledząc wzrokiem łagodne napięcie, pobożny spadek jej kamiennych płaszczyzn, które zbliżały się do siebie, wznosząc się niby ręce złożone do modlitwy, jednoczyła się tak doskonale z wytryskiem strzały, że spojrzenie jej zdawało się strzelać w górę wraz z nią; a równocześnie uśmiechała się przyjaźnie do starych zużytych kamieni, których jedynie już szczyty oświecał zachód słońca, i które, poczawszy od chwili gdy, stonowane światłem, wchodziły w tę rozświetloną strefę, zdawały się naraz wyższe, dalsze niby śpiew podjęty falsetem o oktawę wyżej.

Wieża Św. Hilarego dawała wszystkim zatrudnieniom, wszystkim godzinom, wszystkim widokom miasta ich fizjognomię, uwieńczenie, uświęcenie. Z mojego pokoju mogłem oglądać jedynie jej podstawę krytą łupkiem; ale kiedy w niedzielę widziałem w gorącym letni rano ten łupek płonący niby czarne słońce, powiadałem sobie: „Mój Boże! dziewiąta! trzeba się zbierać na sumę, jeżeli mam wprzódę zająć uściskać cicię Leonię” i wiedziałem dokładnie kolor, jaki ma rynek w słońcu, gorąco i kurz na targu, cień, jaki rzuca stora magazynu, gdzie mama zanurzy się może przed mszą w zapach niebielonego płótna, aby kupić jakąś chusteczkę; a pokaże ją mamie, wyginając talię, pryncypał, który, gotując się zamykać, zaszedł właśnie do pokoju za sklepem, aby włożyć świąteczny surdut i umyć ręce, mając zwyczaj co pięć minut, nawet w najbardziej żalonych okolicznościach, zacierać je z miną junacką, hulaszczą i pewną siebie.

Kiedy po mszy wstępowało się powiedzieć Teodorowi, aby przyniósł babkę większą niż zwykle, bo krewniacy nasi skorzystali z pogody i przybyli z Thiberzy na śniadanie, miało się przed sobą wieżę, która, złocista i wypieczona sama niby większa święcona baba, ze skórką i lepącym się lukrem słońca, kłula swoim ostrzem błękit nieba. A wieczorem, kiedy wracałem ze spaceru i myślałem o chwili, gdy trzeba będzie niebawem powiedzieć dobranoc matce i już jej nie ujrzyć — wieża była, przeciwnie, w kończącym się dniu tak łagodna, że wyglądała, jakby ją położono niby poduszkę z ciemnego aksamitu na pobladłym niebie, które ustąpiło pod jej naciskiem, wgłębiając się lekko, aby jej zrobić miejsce i otulając jej brzegi; a krzyki ptaków, które krążyły dokoła, zdawały się wzmagać milczenie wieży, zaostrezzać jeszcze jej wierzchołek dając jej coś niewysłowionego.

Nawet w wyprawach, jakie robiliśmy za kościół, tam gdzie jej już nie było widać, wszystko zdawało się rozmieszczone w stosunku do wieży wyłaniającej się nagle tu czy tam spośród domów; bardziej może wzruszającej jeszcze, kiedy się tak zjawiała bez kościoła. I z pewnością są inne wieże, piękniejsze, gdy się je widzi w ten sposób; pomnę sylwety dzwonnicy wyrastających ponad dachy bogatsze artyzmem niż te, które się rodziły

Przestrzeń

Przestrzeń

na smutnych ulicach Combray. Nie zapomnę nigdy, w ciekawym mieście normandzkim sąsiadującym z Balbec, dwóch prześlicznych pałaców z XVIII wieku, które mi są pod wieloma względami drogie i czcigodne, a między którymi, kiedy się patrzy z pięknego ogrodu schodzącego od tarasu ku rzece, wytryska gotycka strzała zakrytego przez nie kościoła, robiąc wrażenie, jakby kończyła, wieńczyła ich fasady, ale materia jej jest tak odmienna, tak wykwiwna, tak obrączkowa, tak różana i lśniąca, że widzi się od razu, iż ona tak samo nie stanowi ich części, jak purpurowa i prążkowana strzała jakiejś muszli, skrzyconej w kształt wieży i powleczonej emalią, nie jest częścią dwóch babek z piasku, między którymi znajduje się na plaży. Nawet w Paryżu, w jednej z najbrzydszych dzielnic miasta, znam okno, z którego widzi się za pierwszym, drugim, a nawet trzecim planem, utworzonym ze stłoczonych dachów licznych ulic, kopułę fioletową, czasami rudawą, często także, w najszlachetniejszych „odbitkach” jakie z niej sporządza atmosfera, czarną jak sadza; — owa kopuła, która jest nie czym innym jak kościołem św. Augustyna, daje temu widokowi Paryża charakter niektórych widoków Rzymu przez Piranesiego. Że jednak w żadnej z tych rycin, choćby moja pamięć wykonała je najartystyczniej, nie mogła ona wskrzesić tego, com stracił od dawna, uczucia, które każe nam patrzeć na jakąś rzecz nie jak na widowisko, ale wierzyć w nią jak w istotę jedyną, niezastąpioną, — żadna z nich nie wiąże z sobą całej głębokiej części mojego życia, jak to czyni wspomnienie owych zjawień się wieży w Combray w ulicach położonych za kościołem. Czy się ją oglądało o piątej, kiedy się szło po listy na pocztę, o parę domów od nas, na lewo, wznoszącą się nagle samotnym wierzchołkiem ponad linię dachów; czy, przeciwnie, kiedy, zachodząc się spytać o panią Sazerat, biegło się oczami za tą linią, zniżającą się kolejnymi płaszczyznami, wiedząc, że trzeba będzie skrócić w drugą ulicę za wieżą; czy znowuż, dotarłszy jeszcze dalej, jeżeli się szło na dworzec, widziało się ją z ukosa, ukazującą z profilu żebra i nowe powierzchnie; lub gdy z brzegów Vivonne muskularnie zebrana w sobie i podwyższona perspektywą absyda zdawała się wstawać z wysiłku, jaki czyniła wieża, aby wypuścić strzałę w serce nieba; zawsze do niej trzeba było wracać, zawsze ona górowała nad wszystkim, wieńcząc domy nieoczekiwanym szczytem, wzniesionym przede mną niby palec Boga, którego ciało byłoby ukryte w ciżbie śmiertelnych, ale którego nie pomieszałbym z tą ciżbą.

I dziś jeszcze, gdy w jakimś wielkim prowincjonalnym mieście lub w mało znanej mi dzielnicy Paryża przechodzę, pokazując mi drogę, wskaże w oddali jako punkt orientacyjny jakąś wieżyczkę szpitalną, jakąś dzwonnice klasztorną wznoszącą szpic swojego biretu na rogu szukanej przeze mnie ulicy, wówczas byle tylko pamięć moja mogła bezwiednie znaleźć w niej jakieś podobieństwo z drogą a utraconą postacią, przechodzę, o ile się obróci, aby się przekonać, czym nie zblądził, ujrzy mnie ku swemu zdumieniu, jak, zapominając o celu drogi, stoję tam, przed tą wieżą, godziny całe nieruchomy, próbując sobie przypomnieć, czując w swoim wnętrzu odzyskane nad zapomnieniem ziemie, które osuszają się i odbudowują; i bez wątpienia wówczas, trwożliwiej niż przed chwilą, kiedym go prosił o wskazówki, szukam jeszcze swojej drogi, mijam zakręt... ale... w moim sercu...

Wracając ze mszy, spotykaliśmy często pana Legrandin, inżyniera, który, uwięziony w Paryżu swoim zawodem, mógł, poza wakacjami, wpadać do swojej posiadłości w Combray jedynie od soboty wieczór do poniedziałku rano. Był to jeden z tych ludzi, którzy poza karierą naukową, uwieńczoną zresztą świetnym wynikiem, posiadają kulturę zupełnie odmienną, literacką, artystyczną, zbyteczną dla ich specjalności, ale w zamian korzystną dla ich konwersacji. Bardziej wykształceni literacko niż wielu literatów (nie wiedzieliśmy wówczas, że pan Legrandin zażywa pewnej reputacji jako pisarz i byliśmy bardzo zdziwieni dowiadując się, iż sławny muzyk skomponował utwór do jego wierszy), obdarzeni większą „łatwością ręki” niż wielu malarzy, wyobrażają sobie, że życie, jakie wiodą, nie jest ich właściwym życiem, i wnoszą w swoje pozytywne zatrudnienie bądź to niedbałość zaprawną kaprysem, bądź też wytrwałą i wyniosłą pilność, wzdąrdliwą, sumienną i gorzką. Wysoki, pięknej postawy, o myślącej i subtelnej twarzy z długimi wąsami blond, z okiem błękitnym i pełnym melancholii, niezmiernie grzeczny, *causeur*⁸ taki, jakiegośmy nigdy nie słyszeli, był w oczach mojej rodziny — która go cytowała zawsze jako przykład —

⁸*causeur* (fr.) — gawędziarz; osoba umiejąca rozmawiać. [przypis edytorski]

typem człowieka kulturalnego, biorącego życie w sposób najbardziej szlachetny i godny. Babka zarzucała mu jedynie, że mówi trochę za dobrze, trochę zanadto jak książka, że nie ma w tym co mówi owej naturalności, jaką ma w swoich fontazjach „artystycznych”, zawsze swobodnie związanych, w swojej skromnej studenckiej prawie marynarce. Dziwiła się także płomiennym tyradom, w jakich piętnował często arystokrację, życie światowe, snobizm, „zaiste ów grzech, o którym myślał święty Paweł, kiedy mówił o grzechu, dla którego nie ma odpuszczenia”.

Ambicja światowa była uczuciem tak dla niej niepodobnym do odczucia, a nawet zrozumienia, że zdawało się jej bezcelowe wkładać tyle zapалу w potępienie go. Co więcej wydawało się babce niezbyt taktowne, aby pan Legrandin, którego siostra wyszła za mąż gdzieś w pobliżu Balbec za normandzkiego szlachcica, pozwalał sobie na tak gwałtowne ataki przeciw szlachcie, posuwając się aż do gromienia rewolucji za to, że ich wszystkich nie zgilotynowała.

— Cześć, przyjaciele! — rzekł, idąc na nasze spotkanie. — Szczęśliwi jesteście, że tak dużo tu przebywacie; ja muszę jutro wracać do Paryża, do swojej nory.

— Och — dodał z owym łagodnie ironicznym i zrezygnowanym, nieco roztargnionym uśmiechem, który mu był właściwy — oczywiście są w moim domu wszystkie rzeczy bezużyteczne. Brak jedynie tego czego trzeba: wielkiego kawała błękitu, jak tutaj. Staraj się zawsze zachować kawał nieba nad swoim życiem, chłopcze — dodał zwracając się do mnie. Masz piękną duszę, rzadkiej ceny, naturę artysty, nie pozwól, aby jej brakło tego, co najważniejsze.

Kiedy za powrotem ciocia kazała się nas spytać, czy pani Goupil spóźniła się na mszę, niezdolni byliśmy odpowiedzieć. W zamian powiększyliśmy jeszcze jej niepokój, opowiadając, że malarz jakiś kopiuje w kościele witraż Gilberta Złego. Franciszka, natychmiast posłana do sklepiku, wróciła z niczym, wskutek nieobecności Teodora, któremu podwójny jego zawód, śpiewaka zatrudnionego przy kościele i subiekta w sklepie korzennym, dawał dzięki stosunkom ze wszystkimi sferami uniwersalną wiedzę.

— Och — wzdychała ciocia — chciałabym, żeby już przyszła nareszcie Eulalia. Tylko ona potrafi mi to wszystko objaśnić.

Eulalia była to kulawa dziewczyna, energiczna i głucha, „spensjonowana” od śmierci pani de la Bretonnerie, u której służyła od dziecka. Wynajęła sobie obok kościoła pokój, skąd wciąż wybiegała, czy to na nabożeństwo, czy też poza nabożeństwami zmówić krótki pacierz lub pomóc Teodorowi; przez resztę czasu odwiedzała osoby chore jak ciocia Leonia, której opowiadała, co się działo na mszy i niesporach. Nie gardziła przyczynieniem jakichś obrywków do małej renty, jaką jej wypłacała rodzina dawnej chlebobawczyni; zachodziła od czasu do czasu, aby doprowadzić do porządku bieliznę proboszcza lub jakiejś innej wybitnej osobistości z klerikalnego światka. Nosila nad czarną sukienką mantylką białą czapczek niemal zakonny, a choroba skóry dawała miejscami jej policzkom oraz jej zakrzywionemu nosowi żywo różowe tony balsaminy. Wizyty jej były wielką rozrywką cioci Leonii, która nie przyjmowała już prawie nikogo poza proboszczem. Ciocia zlikwidowała pomału wszystkich innych odwiedzających, bo mieli w jej oczach tę wadę, że wchodziła w jedną albo drugą kategorię ludzi, których nie znosiła. Jedni — gorsi i których pozbyła się najpierw — to byli ci, którzy jej radzili „nie zaglądać w siebie” i głosili — bodaj negatywnie, wyrażając swoje poglądy jedynie chwilami krytycznego milczenia lub sceptycznymi uśmiechami — wywrotową teorię, że spacer na słońcu i krwawy befszytk (kiedy jej leżały przez czternaście godzin w żołądku dwa nędzne łyki Vichy!) zrobiłyby jej o wiele lepiej niż łóżko i lekarstwa. Druga kategoria składała się z osób robiących wrażenie, że wierzą, iż ciocia jest poważniej chora niż myśli, że jest równie poważnie chora, jak mówi. Toteż ci, którym pozwoliła wejść po niejakich wahaniach i na dyplomatyczną interwencję Franciszki i którzy w czasie swojej wizyty okazali, jak bardzo byli niegodni doznanej łaski, ryzykując nieśmiało coś w rodzaju: „Czy pani nie sądzi, że gdyby pani się przeleciała nieco w ładną pogodę...” lub którzy, przeciwnie, kiedy im mówiła: „Źle jest ze mną, moi drodzy, bardzo źle, to już koniec”, odpowiadali; „Och, to bieda, kiedy się nie ma zdrowia! Ale to się jeszcze może ciągnąć” — jedni i drudzy mogli być pewni, że nigdy nie przestąpią jej progu. Franciszka bawiła się przerażoną miną cioci Leonii, kiedy ta z łóżka spostrzegła na ulicy św. Ducha któregoś z natrętów lub usłyszała dźwięk

Sluga

Choroba, Słowo

dzwonka; ale śmiała się jeszcze lepiej, niby z dobrego figła, z zawsze zwycięskich chytrłości ciotki w pozbywaniu się gości i z rozczarowanej miny tych, co odchodzili bez rezultatu. W gruncie podziwiała swoją panią, którą miała za coś wyższego od wszystkich tych ludzi, skoro ich nie chce przyjąć! W rezultacie ciocia wymagała równocześnie i żeby pochwalać jej tryb życia, i żeby współczuć z jej cierpieniami, i żeby ją pokrzepiać na przyszłość.

W tym celowała Eulalia. Ciocia mogła jej mówić dwadzieścia razy na minutę: „To już koniec, moja dobra Eulalio”, dwadzieścia razy Eulalia odpowiadała: „Znając swoją chorobę tak, jak pani ją zna, pani Oktawowo, dożyje pani stu lat. To samo nie dalej jak wczoraj mówiła mi pani Sazerin”. (Jednym z najgłębszych przeświadczeń Eulalii, którego poważna ilość sprzeciwów zadawanych przez doświadczenie nie zdołała zachwiać, było to, że pani Sazerin nazywa się pani *Sazerin*.)

— Nie żądam stu lat — odpowiadała ciocia, która wołała, aby nie wyznaczać jej dniom określonego terminu.

Że zaś Eulalia umiała jak nikt rozrywać ciotkę nie nużąc jej, wizyty te, przypadające regularnie — poza nieoczekiwaną przeszkodą — w niedziele, były dla ciotki przyjemnością, której nadzieja utrzymywała ją w owych dniach w stanie zrazu przyjemnym, ale niebawem bolesnym jak nadmierny głód, o ile Eulalia bodaj trochę się spóźniła. Zbyt przeciągnięta rozkosz oczekiwania obracała się w męczarnię, bez ustanku ciocia spoglądała na zegarek, ziewała, czuła, że się jej robi słabo. Dzwonek Eulalii, gdy zabrzmiał późnym wieczorem, kiedy się go już nie spodziewała, przyprawiał ją prawie o omdlenie. Istotnie, w niedzielę myślała wyłącznie o tej wizycie i skoro tylko śniadanie się skończyło, już Franciszka było pilno, abyśmy opuścili jadalnię, a ona aby mogła iść „zabawić” ciotkę Leonie. Ale (zwłaszcza od chwili, gdy zagościły w Combray piękne dni), od dawna już dumne południe, zstąpiwszy z wieży zegarowej św. Hilarego, którą stroiło w dwaście ulotnych kwiatów swojej dźwięcznej korony, rozległo się dokoła naszego stołu, obok chleba święconego, który też przybył, równie poufale, wyszedłszy z kościoła, a my jeszcze siedzieliśmy nad talerzami z Tysiąca i jednej Nocy, zmożeni gorącem, a zwłaszcza jedzeniem. Bo do trwałego kapitału jajek, kotletów, ziemniaków, konfitur, biszkoptów, których Franciszka nawet nie zapowiadała, zawsze dodawała coś, zależnie od urodzaju pól i sadów, produktów morza, okoliczności handlu, uprzejmości sąsiadów i jej własnego geniuszu, tak że nasze menu, niby owe czworoliście rzeźbione w XIII wieku na portalach katedr, odbijało po trosze rytm pór roku i wydarzeń. Więc błękitną fładę, bo kupczynie zaręczyła, że jest świeża; indyczkę, bo Franciszka zobaczyła ładną na targu w Roussainville-Le-Pin; karczochy na szpiku, bo nam ich jeszcze nigdy nie przyrządziła w ten sposób; pieczeń baranią, bo świeże powietrze trawi i będzie czas uporać się z nią do siódmej; szpinak dla odmiany, morele, bo to jeszcze rzadkość, porzeczkę, bo za dwa tygodnie już ich nie będzie, maliny, które pan Swann przyniósł umyślnie, wiśnie pierwsze z naszego sadu po dwóch latach nieurodzaju, ser śmietankowy, który dawniej lubiłem, torcik migdałowy, bo go zamówiła w wilię, ciasto drożdżowe, bo na nie była kolej. Kiedy się skończyło to wszystko, zjawiał się przyrządzony oficjalnie dla nas, ale dedykowany osobliwiej ojcu, który był jego amatorem, krem czekoladowy, natchnienie i kokieteria Franciszki: zjawiał się przed nami lekki i zwiewny niby okolicznościowy utwór, w który autorka włożyła cały swój talent. Ten kto by się uchylił od skosztowania mówiąc: „Skończyłem już, nie jestem głodny”, ściągąłby się natychmiast do rzędu prostaków, którzy nawet wówczas, kiedy artysta ofiaruje im swoje dzieło, zwracają uwagę jedynie na wagę i na materiał, gdy tu wyłącznie znaczy intencja i podpis. Zostawić bodaj jedną kroplę na talerzu świadczyłoby o takim samym braku wychowania, co wstać przed końcem produkcji pod nosem kompozytora.

W końcu matka mówiła do mnie: „No, nie siedź tutaj bez końca, idź do swego pokoju jeśli ci za gorąco na dworze, ale idź najpierw odetchnąć chwilę, aby nie zaraz czytać wstawszy od stołu”. Szedłem usiąść w pobliżu studni i wiadra, często zdobnego niby gotyckie tło salamandry, która rzeźbiła na chropawym kamieniu ruchliwy kontur swego alegorycznego i smukłego ciała. Siadałem na ławce bez oparcia, ocienionej bzem, w zakątku ogrodu, skąd furka dla służby wiodła na ulicę św. Ducha i gdzie na dosyć zaniedbanym terenie wznosiła się na dwóch stopniach, nieco wysuwając się przed dom, niby oddzielny budynek, obszerna spiżarnia. Widać było jej kafelki, czerwone i lśniące jak porfir. Wyglądała nie tyle na jaskinię Franciszki, ile na małą świątynię Wenery.

Jedzenie

Artysta, Jedzenie

Dławiła się od ofiar mleczarza, owocarki, handlarki jarzyn, przybywających często z dość odległego siola, aby tam złożyć pierwociny swoich pól. A dach jej zawsze był uwieńczony gruchaniem gołębic.

Niegdyś nie zasiadywałem się w poświęcanym lasku, który ją otaczał, bo zanim poszedłem czytać, zachodziłem do pokoiku, który zajmował na parterze wuj Adolf, brat dziadka, ex-wojskowy spensjonowany w stopniu majora. Pokój ten, nawet kiedy otwarte okna wpuszczały ciepło — rzadziej promienie słońca, zaledwie tam docierające — wydzielał niewyczerpane ową woń mroczną i chłodną, zarazem leśną i *ancien régime*, która na długo wprawia w zadumę nozdrza, kiedy się wchodzi do niektórych opuszczonych pawilonów myśliwskich. Ale od wielu lat nie wchodziłem do gabinetu wuja Adolfa, ile że wuj nie zjawiał się już w Combray po sprzeczce, jaka zaszła między nim a rodziną z mojej winy, w następujących okolicznościach:

Raz albo dwa razy na miesiąc, w Paryżu, posyłano mnie, abym mu złożył wizytę w momencie, gdy kończył śniadanie, w zwykłej kurtce, usługujący mu zaś lokaj miał na sobie bawelniany roboczy kubrak w białe i fioletowe prążki. Wuj mruczał, że dawno u niego nie byłem, że się go zaniedbuje; częstował mnie marcepanem albo mandarynką, mijaliśmy salon, gdzie nikt nie siedział nigdy, gdzie nigdy nie palił się ogień, salon o ścianach strojnych złożonymi rzeźbami, o sufitach pomalowanych na kolor błękitny, mający udawać niebo i meblach obitych atlasem, jak u dziadków, ale żółtych; po czym przechodziliśmy do pokoju, który wuj nazywał gabinetem do „pracy”. Tam wisiały na ścianach ryciny, przedstawiające na czarnym tle pulchną i różową boginię prowadzącą rydwan, stojącą na globie lub z gwiazdą na czole, jakie lubiono za drugiego Cesarstwa bo widziano w nich styl pompejański, potem zniecierpiano je, a teraz zaczyna się je lubić dla tej jedynej przyczyny (mimo że się podaje inne), a mianowicie że pachną drugim Cesarstwem. I siedziałem tam z wujem do chwili, w której służący przyszedł się go spytać w imieniu stangreta, na którą godzinę ma zaprzęgać. Wuj pograżał się wówczas w medytacji, którą zachwycony lokaj bałby się zmącić bodaj jednym ruchem i której rezultatu — zawsze identycznego — oczekiwał z napięciem. W końcu po głębokim wahaniu wuj wymawiał niechybnie te słowa: „o kwadrans na trzecią”, które lokaj powtarzał ze zdumieniem, ale bez dyskusji; „Kwadrans na trzecią? dobrze... powiem...”

Sluga

W owej epoce kochałem teatr, miłością co prawda platoniczną, bo rodzice nigdy mi jeszcze nie pozwolili iść do teatru. Tak mętnie wyobrażałem sobie rozkosze, których się tam kosztuje, że niedaleki byłem od mniemania iż każdy widz ogląda tam jak w stereoskopie dekoracje widoczne tylko dla niego, mimo iż podobne do tysiąca innych, które ogląda — każdy na swoją rękę — reszta widzów.

Teatr, Sztuka, Słowo

Co rano bieglem aż pod słup z afiszami, aby wyczytać, co za przedstawienia oznajmiono. Nic bezinteresowniejszego i szczęśliwszego niż marzenia ofiarowane mojej wyobraźni przez każdą zapowiedzianą sztukę, zrodzone równocześnie z obrazów nieodłącznych od słów składających tytuł i z barwy afiszów, mokrych jeszcze i pogrubionych od klajstru. Ileż różnych fizjonomii: tytuły owych tajemniczych dzieł jak *Testament Cezara Girodot* albo *Król Edyp*, widniejące nie na zielonym afiszu Opery komicznej, ale na pąsowym Komedii Francuskiej; błyszcząca i biała egretka *Diamentów korony*, gładki tajemniczy atlas *Czarnego Domina*. Wobec tego, że rodzice orzekli, iż za pierwszym razem, kiedy pójdę do teatru, będę mógł wybierać między tymi dwiema sztukami, starałem się zgłębić kolejno tytuły obu — skoro to było wszystko, co o nich wiedziałem — aby w każdym podchwycić rozkosz, jaką mi przyrzekał i porównać ją z tą, którą krył drugi tytuł. Z taką siłą przedstawiałem sobie z jednej strony utwór olśniewający i wspaniały, z drugiej utwór łagodny i aksamitny, że w końcu byłem absolutnie niezdolny rozstrzygnąć, który bym wybrał, tak jakby mi kazano wybierać na deser między ryżem à l'Imperatrice a kremem czekoladowym.

Wszystkie rozmowy z kolegami obracały się dokoła aktorów, których artyzm, mimo że jeszcze mi nieznanym, był pośród wszystkich form, jakie przybiera Sztuka, pierwszą, w której mogłem ją przeczuwać. Między sposobem, w jaki ten lub inny aktor wygłaszał i cieniował tyradę, najdrobniejsze różnice zdawały się nabierać nieobliczalnej wagi. I wedle tego, co mi o nich mówiono, szeregowalem aktorów podług skali talentu w listy, które sobie przepowiadałem cały dzień i które w końcu stwardniały w moim mózgu, krępując go swoją niewzruszonością.

Później, kiedy chodziłem do szkoły, za każdym razem, kiedy w czasie lekcji — korzystając z tego, że nauczyciel odwrócił głowę — korespondowałem z nowym przyjacielem, pierwsze moje pytanie było zawsze, czy już był w teatrze i czy uważa, że największym aktorem jest Got, drugim Delaunay, etc. A jeżeli jego zdaniem Febvre szedł dopiero po Thironie albo Delaunay po Coquelinie, nagle ruchliwość jaką, tracąc swoją kamienną sztywność, Coquelin przybierał w moim mózgu, aby przejść do drugiego rzędu oraz cudowna zwinność i energia duchowa, jakich nabierał Delaunay, aby cofnąć się do czwartego, dawały uczucie rozkwitu i życia memu usprawnionemu i użyźnionemu umysłowi.

Ale jeżeli aktorzy tak mnie pochłaniali, jeżeli widok Maubanta wychodzącego któregoś popołudnia z Komedii Francuskiej przyprawiał mnie o wzruszenia i cierpienia miłości, cóż dopiero nazwisko gwiazdy płonące u bram teatru lub twarz ujrzana za szybą powozu, który przejeżdżał zaprzężony w konie z różami przy uszach. O ileż trwalsze było wzruszenie zrodzone z bezsilnego i bolesnego wysiłku, w jakim starałem się sobie wyobrazić ich życie! Szeregowałem wedle talentu najznakomitsze aktorki; Sarę Bernard, Berme, Bartet, Madeleine Brohan, Jeanne Samary, ale wszystkie interesowały mnie. Otóż wuj znał ich wiele, a także kokoty, których nie odróżniałem zbyt od aktorek. Przyjmował je u siebie. I jeżeliśmy chodzili do wuja tylko w pewne dni to dlatego, że w inne dni bywały u niego kobiety, z którymi jego rodzina nie powinna była się spotkać, przynajmniej wedle jej zdania; bo co się tyczy wuja, już niejedną raz poróżniła go z dziadkiem zbyt łatwość z jaką ładnym wdowom (może nigdy nie zamężnym), hrabinom o szumnych nazwiskach będących z pewnością tylko pseudonimem, robił ten honor, aby je przedstawiać mojej babce, albo nawet dawać im klejnoty rodzinne. Często przy nazwisku aktorki, które zjawiało się w rozmowie, słyszałem, jak ojciec mówił do matki z uśmiechem: „Przyjaciółka twojego stryja”; i myślałem sobie, że, podczas gdy poważni ludzie wyczekiwali może lata całe daremnie pod drzwiami jakiejś kobiety nie odpowiadającej na ich listy i odprowadzającej ich przez odźwiernego, wuj byłby mógł uwolnić od tych prób smarkacza takiego jak ja, przedstawiając go aktorce niedostępnej dla tylu innych, a będącej jego bliską przyjaciółką.

Skorzystałem z pozorów, iż lekcja, którą przełożono wypadła teraz tak nieszczególnie, że kilka razy przeszkodziła mi i miała mi jeszcze przeszkodzić w odwiedzeniu wuja. Jednego dnia, nie tego, który przeznaczono na nasze wizyty, wyzyskując to, że rodzice śniadali owego dnia wcześniej, wyszedłem i zamiast iść oglądać słup z afiszami, na co pozwalano mi wychodzić samemu, pobiegłem do wuja. Zauważyłem przed bramą powóz, konie miały przy uszach czerwone goździki, stangret miał je również w butonierce. Ze schodów usłyszałem śmiech i głos kobiety; skoro zadzwoniłem — cisza, potem hałas zamykanych drzwi. Lokaj, który mi otworzył wydał się zakłopotany moim widokiem; powiedział, że wuj jest bardzo zajęty, że pewno nie będzie mnie mógł przyjąć. Kiedy mimo to służący poszedł mnie oznajmić, ten sam głos, który wprzód słyszałem, mówił:

— Och, tak, pozwól mu wejść; tylko na chwilę, toby mnie tak bawiło. Na fotografii, która jest na twoim biurku, taki jest podobny do swojej mamusi, twojej bratanicy, której fotografia stoi obok niego, prawda? Chciałabym widzieć tego malca tylko na chwilę.

Słyszałem, jak wuj coś mamroce, gniewa się, w końcu lokaj wprowadził mnie.

Na stole stał ten sam talerz z marcepanami co zazwyczaj; wuj miał swoją zwykłą kurtkę, ale na wprost niego, w różowej jedwabnej sukni, z wielkim sznurem pereł na szyi, siedziała młoda kobieta, kończąc mandarynkę. Niepewność, jak wypada ją tytułować przyprawiła mnie o rumieniec; nie śmiejąc zbyt obrócić oczu w jej stronę z obawy, aby nie trzeba było do niej przemówić, podszedłem uściskać wuja. Patrzała na mnie z uśmiechem; wuj powiedział: „Mój bratanek”, nie mówiąc jej mojego, ani mnie jej nazwiska z pewnością dlatego, że od czasu nieprzyjemności, jakie miał od dziadka starał się, o ile możliwe, unikać wszelkiej łączności między swoją rodziną a tym rodzajem stosunków.

— Jaki on podobny do matki — rzekła.

— Ależ pani ją widziała tylko na fotografii — odparł żywo wuj naburmuszony.

— Przepraszam cię, mój drogi, ale minęłam się z nią na schodach w zeszłym roku, kiedy byłeś taki chory. Prawda, że widziałam ją tylko przez mgnienie oka i że pańskie schody są bardzo ciemne, ale to mi wystarczyło, abym była oczarowana. Ten młody człowiek ma jej piękne oczy i także to — rzekła kreśląc palcem linię u nasady czoła. Czy jego matka nosi to samo nazwisko co ty? — spytała wuja.

— Podobny jest zwłaszcza do ojca — mruknął wuj, który równie nie kwapił się do prezentacji na odległość co z bliska. — To wykapany ojciec, a także moja biedna matka.

— Nie znam jego ojca, — rzekła różowa dama z lekkim ruchem głowy — a nigdy nie znalazłam pańskiej biednej matki. Przypominasz sobie, to niedługo po twoim wielkim zmartwieniu poznaliśmy się.

Doznałem lekkiego zawodu, bo ta młoda dama nie różniła się od innych ładnych kobiet jakie czasami widywałem w rodzinie, zwłaszcza od córki jednego z naszych krewniaków, do którego chodziłem zawsze w Nowy Rok. Lepiej jedynie ubrana, przyjaciółka wuja miała to samo żywe dobre spojrzenie, miała wyraz równie kochający i szczery. Nie znajdowałem w niej nic z owego wyglądu teatralnego, który podziwiałem na fotografiach aktorek, ani diabolicznego wyrazu, który byłby w harmonii z życiem, jakie musiała prowadzić. Trudno mi było uwierzyć, aby to była kokota, a zwłaszcza nie byłbym myślał, że to jest „wielka kokota”, gdybym nie był widział dwukonnego powozu, różowej sukni, naszyjnika pereł, gdybym nie wiedział, że wuj zna tylko pierwszorzędne. Ale pytałem sam siebie, jaki milioner, opłacający jej powóz, willę i klejnoty, może znajdować przyjemność w tym, aby tracić majątek dla osoby wyglądającej tak skromnie i tak przyzwoicie. A jednak kiedy myślałem o tym, czym musiało być jej życie, niemoralność jego niepokoiła mnie może więcej, niż gdyby się była skonkretyzowała przede mną w osobliwej postaci — przez to, że była tak niewidoczna jak tajemnica jakiegoś romansu, jakiegoś skandalu, który kazał jej opuścić czcigodnych rodziców i wydał ją na pastwę całego świata; który rozwinął jej piękność i wznosił aż do półświatka i sławy tę, którą gra fizjonomii, ton głosu, podobne do tylu innych znajomych mi kobiet, kazały mi mimo woli uważać za młodą pannę z dobrej rodziny — ją, nienależącą już do żadnej rodziny.

Przeszliśmy do „gabinetu do pracy”; wuj, nieco zakłopotany moją obecnością, począł stawać damę papierosem.

— Nie — rzekła — kochanie, wiesz, że jestem przyzwyczajona do tych, które mi przysłała Wielki Książę. Powiedziałam mu, że jesteś o nie zazdrosny.

I wydobyła z etui papierosy pokryte cudzoziemskimi i złoconymi napisami.

— Ależ tak — dodała po chwili — musiałam spotkać tutaj ojca tego młodego człowieka. Czy to nie jest twój bratanek? Jak ja go mogłam zapomnieć. Był taki dobry, taki uroczy dla mnie — rzekła ze skromną i tkliwą miną.

Ale na myśl czym musiało być szorstkie zachowanie się ojca, które niby to wydało się jej tak miłe, ja który znałem jego sztywność i chłód, byłem zakłopotany — jakby jakąś jego niedelikatnością — tą dysproporcją między nadmierną wdzięcznością, jaką mu płacono, a jego niedostateczną uprzejmością. Uważałem później, że to jest jedna ze wzruszających stron tych kobiet, bezczynnych i pracowitych, iż poświęcają swoją wspaniałość, swój talent, swoje potencjalne marzenia o piękności duszy — bo, jak artyści, nie realizują ich, nie wprowadzają ich w kadry codziennego życia — i złoto, które niewiele je kosztuje, na to aby cenną i delikatną oprawą wzbogacić surowe i dość nieokrzesane życie mężczyzn. I ona, tak jak w pokoju, gdzie wuj przyjmował ją w kurtce, roztaczała swoje ciało tak słodkie, swoją różową jedwabną suknię, swoje perły, elegancję płynącą z przyjaźni Wielkiego Księcia, tak samo wzięła jakieś nieznaczące słówko ojca, opracowała je delikatnie, dała mu wdzięk, szacowną nazwę i oprawiając w nie jedno ze swoich spojrzeń tak pięknej wody, zabarwione pokorą i wdzięcznością, zwracała je zmienione w artystyczny klejnot, w „coś całkiem uroczonego”.

— No, słuchaj chłopcze, już pora na ciebie — rzekł wuj.

Wstałem, miałem nieodpartą ochotę pocałować w rękę różową damę, ale zdawało mi się, że to byłoby coś tak zuchwałego jak wykradzenie. Serce biło mi, gdy sobie mówiłem; „Trzeba, czy nie trzeba”, po czym przestałem się zastanawiać, co trzeba zrobić, aby móc w ogóle coś zrobić. Ślepym i szalonym gestem, wyzutym ze wszystkich racji, które znajdowałem przed chwilą na jego korzyść, podniosłem do ust rękę, którą mi dama podała.

— Jaki on milusi! już jest galant, ma feblika do kobiet, ma to po swoim wujciu. To będzie skończony gentleman — dodała ściskając zęby, aby dać temu słowu lekko brytyjski akcent. — Czy nie mógłby kiedy przyjść na *a cup of tea*, jak mówią nasi sąsiedzi Anglicy; wystarczy, żeby mi przesłał pneumatyk rano.

Kobieta „upadła”

Kobieta, Mężczyzna,
Kobieta „upadła”

Nie wiedziałem, co to jest pneumatyk. Nie rozumiałem połowy słów, które mówiła ta dama, ale obawa, aby się w tym nie kryło jakieś pytanie na które byłoby niegrzecznie nie odpowiedzieć, kazała mi ich słuchać z wytężoną uwagą, co mnie bardzo męczyło.

— Ale nie, to niemożliwe — rzekł wuj, wzruszając ramionami — jego trzymają bardzo krótko, dużo pracuje. Bierze wszystkie nagrody w szkole — dodał cicho, iżbym nie usłyszał tego kłamstwa i nie zaprzeczył. — Kto wie, to będzie może mały Viktor Hugo, może jaki Vaulabelle, pojmujesz...

— Uwielbiam artystów — odparła różowa dama; — oni jedni rozumieją kobietę... Tylko oni i ludzie wybrani, tacy jak pan. Daruj moją nieświadomość, drogi przyjacielu: kto jest Vaulabelle? Czy to te złocone tomy, które są w oszklonej szafce w twoim buduarze? Przrzekłeś mi je pożyczyć, będę o nie bardzo dbała.

Wuj, który nie cierpiał pożyczać książek, nie odpowiedział nic i odprowadził mnie aż do przedpokojku. Rozpłomieniony miłością do różowej damy, okrywałem szalonymi pocałunkami zadymione policzki starego wuja. Podczas gdy on, dość zakłopotany, dawał mi do zrozumienia, nie śmiejąc tego powiedzieć otwarcie, że wołałby, abym nie wspominał o tej wizycie rodzicom, ja powtarzałem ze łzami w oczach, iż pamięć jego dobroci jest we mnie tak silna, że kiedyś znajdę sposób okazania mu swojej wdzięczności. Była w istocie tak silna, że w dwie godziny później, po kilku tajemniczych zdaniach, które nie dały rodzicom dość jasnego pojęcia o nowym dostojeństwie, jakim czułem się obleczoney, uważałem za właściwsze opowiedzieć im z najmniejszymi szczegółami swoją wizytę. Nie przypuszczałem, że mogę tym ściągnąć na wuja przykrości. Jakżeby przypuszczał, skoro tego nie chciałem! I nie mogłem zgadnąć, że rodzice ujrzą coś złego w wizycie, w której ja nic złego nie widziałem. Czy nie zdarza się co dzień, że przyjaciel prosi nas, abyśmy nie zapomnieli wytłumaczyć go przed kobietą, do której nie mógł napisać, a my zaniedbujemy to uczynić, sądząc, że ona nie może przywiązywać wagi do milczenia tak obojętnego dla nas. Wyobrażałem sobie jak wszyscy, że mózg innych jest bezwładnym i uległym odbiornikiem bez swoistej władzy oddziaływania na wszystko, co się doń wprowadza; i nie wątpiłem, że, składając w mózgu rodziców wiadomość o znajomości jaką dzięki Wujowi zawarłem, przelewam w nich, tak jak tego pragnąłem, własny życzliwy sąd o tej prezentacji.

Nieszczęściem w ocenie postępków wuja rodzice odwołali się do zasad całkowicie różnych od tych, które ja im sugerowałem. Ojciec i dziadek doszli z nim do bardzo gwałtownych wyjaśnień: dowiedziałem się o tym pośrednio. W kilka dni później, spotkawszy na ulicy wuja jadącego otwartym powozem, uczułem ból, wdzięczność, żal, które byłbym chciał mu wyrazić. Wobec ich ogromu uznałem, że prosty ukłon byłby czymś zbyt mizernym i że mógłby obudzić w wuju urojenie, iż poczuwam się w stosunku do niego jedynie do banalnej grzeczności. Wolałem wstrzymać się od tego niewystarczającego gestu i odwrócić głowę. Wuj myślał, że się w tym trzymam rozkazu rodziców, nie przebaczył im tego i umarł w wiele lat później, nie ujrawszy nikogo z nas na oczy.

Toteż nie wchodziłem już do zamkniętego obecnie pokoiku wuja Adolfa i krążyłem w okolicach spiżarni, kiedy Franciszka, spostrzegłszy mnie na podwórzu, rzekła: „Każę dziewczynie podać kawę i zanieść na górę ciepłą wodę, muszę lecieć do pani Oktawowej”. Wówczas zdecydowałem się wrócić i szedłem wprost do siebie czytać.

„Dziewczyna” to była istota abstrakcyjna, trwała instytucja, której nieodmienne atrybuty stworzyły rodzaj ciągłości i tożsamości poprzez kolejność przemijających form, w które się wcielała; nie było bowiem nigdy jednej i tej samej przez dwa lata z rzędu. W roku, w którym jedliśmy tyle szparagów, dziewczyna obowiązana z urzędu skrobać je, była to biedna, chorowita istota, dość daleko posunięta w ciąży w chwili, gdyśmy przybyli na Wielkanoc; dziwiono się nawet, że Franciszka pozwala jej tyle latać z posyłkami i tyle robić, zaczynała bowiem z trudem dźwigać przed sobą tajemniczy koszyk, z każdym dniem pełniejszy, którego dostojne kształty odgadywało się pod obszernym kaftanem. Kaftan ten przypominał oponczkę okrywającą niektóre symboliczne figury Giotta, których pan Swann dał mi fotografie. To on zwrócił naszą uwagę na to, i kiedy nas pytał o zdrowie pomywaczki, mówił: „Jak się miewa Caritas Giotta?”

Zresztą i ona sama, biedna dziewczyna, spulchniona przez ciążę, aż do twarzy, aż do policzków, które zwiślały proste i kwadratowe, dosyć była w istocie podobna do owych tęgich i męskich dziewic, raczej matron, których cnoty upostaciowały się w Arenie. I zdają

Grzeczność, Obyczaje

Kobieta, Sztuka, Ciało

sobie sprawę obecnie, że owe Cnoty i Przywary padewskie były do niej podobne jeszcze i na inny sposób. Tak samo jak obraz tej dziewczyny urósł przez dodatkowy symbol, który nosiła przed swoim brzuchem — nie wyglądając na to, aby rozumiała jego sens i w niczym nie odbijając na swojej twarzy piękności i ducha tego symbolu — niby zwykle i uciążliwe brzemię, tak samo, nie zdając się podejrzewać tego, potężna megera przedstawiona w *Arenie* pod mianem „Miłosierdzia”, której reprodukcja wisiała w moim studio w Combray, ucieleśnia tę cnotę, mimo iż żadne pojęcie miłosierdzia nie mogłoby się wyrazić w jej energicznej i pospolitej twarzy. Piękna myśl malarza każe jej deptać skarby ziemi, ale absolutnie tak, jakby deptała winogrona, aby z nich wycisnąć sok, lub raczej jakby wstąpiła na worki, aby wyleźć wyżej; ofiarowuje Bogu swoje płomienne serce, a raczej, powiedzmy, podaje mu je tak, jak kucharka podaje korkociąg przez okienko z suterenu komuś, kto go zażąda z okna na parterze. „Zawiść” prędzej mogła już mieć jakiś wyraz zawiści. Ale i w tym fresku symbol zajmuje tyle miejsca i jest przedstawiony tak realnie; wąż, który syczy u warg zawiści jest tak gruby, wypełnia tak szczelnie jej wielkie otwarte usta, że, aby go móc pomieścić, mięśnie jej twarzy rozciągają się niby mięśnie dziecka nadymającego balon, a uwaga Zawiści — i nasza zarazem — całkowicie kupiona na czynności jej warg, nie ma prawie czasu na oddanie się zawistnym myślom.

Mimo całego podziwu jaki Swann głosił dla tych figur Giotta, długo nie znajdowałem żadnej przyjemności w oglądaniu ich w naszym studio, gdzie zawieszono kopie które mi przywiózł, owo *Miłosierdzie* bez miłosierdzia, *Zawiść*, która robiła wrażenie ryciny w dziele medycznym, objaśniającej ucisk języczka przez guz języka lub przez instrument operatora; *Sprawiedliwość* przypominająca swoją szarą i głupio regularną twarzą niektóre ładne mieszcзки, pobożne i oschłe, które widywałem w Combray na mszy i których większość tworzyła raczej rezerwy armii niesprawiedliwości. Ale później zrozumiałem, że porywająca dziwność, że swoiste piękno tych fresków zależą od wielkiej roli, jaką gra w nich symbol; a to że jest przedstawiony nie jako symbol (skoro nie wyraża usymbolizowanej myśli) ale jako rzeczywistość, jako coś w istocie doznanego lub traktowanego materialnie, dawało dziełu coś dosłowniejszego, ściślejszego, czyniło jego naukę konkretniejszą, wymowniejszą. Czyż uwagi biednej pomywaczki także wciąż nie sprowadzał do brzucha ciężar, który go ciągnął? Tak samo myśl konających bardzo często obraca się ku stronie rzeczowej, bolesnej, tajemnej, bebeczowej, ku owej podszewce śmierci, która właśnie ukazuje im tę stronę, dając im ją twardo odczuć, i o wiele podobniejsza jest do ciężaru, który ich miażdży, do trudności oddychania, do potrzeby picia niż do tego, co nazywamy pojęciem śmierci.

Musiały te Cnoty i te Grzechy padewskie mieć w sobie wiele prawdy realnej, skoro wydawały mi się równie żywe, co służąca w ciąży, przy czym ona sama zdawała mi się nie o wiele mniej alegoryczna. I może ten brak udziału (przynajmniej pozorny) duszy jakiejś istoty w działającej przez nią cnotie posiada również, poza swoją wartością estetyczną, realność jeżeli nie psychologiczną, to bodaj, jak to mówi, fizjognomiczną. Kiedy później miałem sposobność spotkać w ciągu mego życia, w klasztorach na przykład, naprawdę święte wcielenia czynnego miłosierdzia, zazwyczaj miały one żwawe, praktyczne, obojętne i szorstkie wzięcie śpieszącego się chirurga, ową twarz, na której nie widzi się żadnego współczucia, żadnego rozczulenia wobec ludzkich cierpień, żadnej obawy urażenia ich; — pozbawioną słodyczy, antypatyczną i wzniosłą twarz prawdziwej dobroci.

Podczas gdy dziewczyna kuchenna — uwydatniając mimo woli wyższość Franciszki, jak Błąd, siłą kontrastu, czyni tym świetniejszym tryumf Prawdy — podawała kawę, która, zdaniem mamy, była tylko gorącą wodą, i szła potem na górę zanieść gorącą wodę, która była ledwo ciepła, wyciągałem się na łóżku z książką w ręce, w swoim pokoju który, za zamkniętymi prawie okiennicami, bronił ze drżeniem swego przeźroczyściego i kruche go chłodu przeciw popołudniowemu słońcu. Ale blask dzienny zdołał w nie wsunąć swoje żółte skrzydła i tkwił nieruchomo między drzewem a szybą w kąci, niby przycupnięty motyl. Było zaledwie dość jasno na to, aby czytać; wrażenie blasku i światła dawały mi jedynie ciosy, jakie na ulicy de la Cure wymierzał w zakurzone skrzynie Camus, uprzedzony przez Franciszkę, że ciotka nie „odpoczywa” i że można hałasować. Uderzenia te, rozlegające się w akustycznym powietrzu właściwym upalnym dniom, zdawały się słać daleko w przestrzeń szkarłatne gwiazdy. Wrażenie lata dawały mi także muchy, które wykonywały przede mną swój koncert niby letnią muzykę kameralną; nie wyczarowuje ona

lata na sposób muzyki ludzkiej, która, usłyszana przypadkiem w piękny czas, przypomina go wam później; spojona jest z latem istotniejszym węzłem; urodzona z pogodnych dni, odradzając się tylko wraz z nimi, zawierając nieco ich substancji, budzi nie tylko ich obraz w naszej pamięci, ale zaświadcza ich powrót, ich rzeczywistość, otaczającą nas, bezpośrednio dostępną obecność.

Ten mroczny chłód pokoju był w stosunku do słonecznej ulicy tym, czym cień dla promienia, to znaczy również dzieckiem światła, i dawał mojej wyobraźni całkowite widowisko lata, którego moje zmysły, gdybym był na przechadzce, mogłyby zażywać jedynie partiami; w ten sposób godził się bohrze z moim spoczynkiem, który (dzięki wzruszającym przygodom opowiadanych przez książki), podobny spokojowi nieruchomej ręki w bieżącej wodzie, odczuwał wstrząs i życie strumienia wypadków.

Ale, nawet jeżeli po zbyt upale zachmurzyło się, jeżeli nawet zdarzyła się burza lub wichura, babka błagała mnie, abym wyszedł na powietrze. I, nie chcąc wyrzec się czytania, szedłem bodaj kontynuować je w chodzie pod kasztanem, w plecionej budce, w której rozsiadałem się, myśląc, że jestem dobrze schowany w razie, gdyby ktoś przyszedł z wizytą do rodziców.

I czyż myśl moja nie była również niby kołyska, w której czułem się zagłębiony, nawet wówczas gdy patrzyłem na to, co się dzieje zewnątrz? Kiedy widziałem jakiś przedmiot, świadomość, że go widzę, pozostawała między mną a nim, okalając go wąską obwódką duchową, która nie pozwalała mi nigdy bezpośrednio dotknąć jego materii; ulatniała się niejako, zanim z nią wszedłem w styczność, tak jak rozżarzone ciało, które zbliżymy do mokrego przedmiotu nie dotyka jego wilgoci, ponieważ zawsze poprzedza je strefa pary. Podczas gdy czytałem, świadomość moja rozwijała na wielobarwnym ekranie równoczesne a różne stany duszy, idące od najgłębiej we mnie ukrytych popędów aż do całkowicie zewnętrznej wizji widnokregu, który miałem przed oczami na skraju ogrodu; ale czymś najbardziej we mnie osobistym, wnętrzem, rękojeścią w bezustannym ruchu, która poruszała wszystkim innym, była moja wiara w filozoficzne bogactwo, w piękno książki, którą czytałem, oraz żądza przyswojenia sobie tego piękna bez względu na rodzaj książki. Bo nawet jeżeli kupiłem ją w Combray — spostrzegłszy ją na wystawie kolonialnego sklepu Borange'a, zbyt odległego od domu, aby Franciszka mogła się tam zaopatrywać jak u Camusa, ale bardziej odwiedzanego jako skład papieru i księgarnia — umocowaną sznurkami w mozaice broszur i pism, strojącej skrzydła drzwi bardziej tajemniczych, bardziej usianych myślami niż brama katedry, to dlatego, że poznałem w niej jakiś głośny utwór cytowany mi przez profesora lub przez tego z kolegów, który w owej epoce posiadał w moich oczach tajemnice prawdy i piękności, na wpół przeczuwane, na wpół niezrozumiałe, a których poznanie było mglistym, lecz ustawicznym celem mojej myśli.

Po tej centralnej wierze, która w czasie mojej lektury przeżyła się wciąż we mnie ku odkryciu prawdy, szły wzruszenia czerpane w akcji w której brałem udział, bo owe popołudnia bardziej były wypełnione dramatycznymi wypadkami niż bywa często całe życie. Były to zdarzenia spełniające się w czytanej książce; zapewne, że osoby, których dotyczyły, nie były „prawdziwe”, jak mówiła Franciszka. Ale wszystkie uczucia, które w nas budzi radość lub niedola osobistości realnej, rodzą się w nas jedynie za pośrednictwem obrazu owej radości lub niedoli. Pomysłowość pierwszego powieściopisarza polegała na zrozumieniu, że w aparacie naszych wzruszeń obraz jest jedynym istotnym czynnikiem, uproszczenie zaś, które by polegało na całkowitym usunięciu realnych osób, byłoby najwyższym udoskonaleniem. Istota rzeczywistości, choćbyśmy najgłębiej z nią sympatyzowali, w znacznej części udziela się nam przez nasze zmysły, to znaczy zostaje dla nas nieprzeźroczysta, przedstawia martwy ciężar, którego nasza wrażliwość nie może podnieść. Skoro ją ugodzi nieszczęście, zdoła nas ono wzruszyć jedynie w małej części całkowitego pojęcia, jakie mamy o niej; co więcej, i ona zdoła się nim wzruszyć jedynie w części całkowitego pojęcia, jakie ma o sobie. Wynalazkiem powieściopisarza był pomysł, aby zastąpić owe nieprzenikliwe dla duszy części przez odpowiednią ilość części niematerialnych, to znaczy tych, które nasza dusza może zasymilować. Cóż znaczy z tą chwilą, czy uczynki, wzruszenia tych nowych istot wydadzą się nam prawdziwe, skorośmy je wcielili w siebie, skoro się spełniają w nas i, podczas gdy obracamy gorączkowo karty książki, trzymając w swej władzy szybkość naszego oddechu i napięcie wzroku. I skoro raz powieściopisarz wprowadził nas w ten stan, w którym jak we wszystkich czysto wewnętrznych stanach

Obraz świata, Książka,
Sztuka, Prawda

Sen, Marzenie, Wiedza

wszelkie wzruszenie jest dziesięciokrotnie, w którym książka wzrusza nas na kształt snu, ale snu jaśniejszego niż te, które przeżywamy śpiąc i trwalszego we wspomnieniu, wówczas rozpętuje w jednej godzinie wszystkie możliwe szczęścia i nieszczęścia. W życiu musielibyśmy je nieraz poznawać w ciągu wielu lat; — najsilniejsze nigdy by się nam nie uświadomiły, ponieważ powolność, z jaką się przejawiają odbiera nam ich poczucie. I tak nasze serce odmienia się w życiu i to jest największy ból; ale poznajemy ten ból jedynie w czytaniu, w wyobraźni; w rzeczywistości odmienia się ono tak, jak spełniają się niektóre zjawiska natury, na tyle wolno, iż, o ile możemy stwierdzić kolejno każdy z rozmaitych stanów, w zamian za to poczucie samej zmiany umyka się nam.

Już mniej zrośnięty z moim ciałem od działających osób szedł następnie mglisto rozwijający się przede mną krajobraz, w którym się toczyła akcja. Ale i on miał na moją myśl o wiele większy wpływ niż rzeczywisty pejzaż, który miałem przed oczami, kiedy je oderwałem od książki. I tak przez dwa lata w skwarze ogrodu w Combray odczuwałem za sprawą książki, którą czytałem wówczas, nostalgię krainy górzystej i obficie nawodnionej, gdzie bym ujrzał wiele tartaków i gdzie, w głębi czystej wody, gniją kawały drzewa pod kożuchami rzęsy; opodal pięły się wzdłuż niskich murów pęki fioletowych i czerwonych kwiatów. A że marzenie o kobiecie która by mnie kochała wciąż było obecne mojej myśli, w owe lata marzenie to było nasycone chłodem bieżącej wody; i kimkolwiek była kobieta, którą sobie stwarzałem, pęki fioletowych i czerwonych kwiatów wznosiły się natychmiast po obu jej stronach niby barwy dopełniające.

Było to nie tylko dlatego, że obraz, o którym marzymy zawsze pozostaje naznaczony i upiękaszony odbłaskiem obcych kolorów, które przypadkowo otaczają go w naszym marzeniu; krajobrazy bowiem książek, które czytałem nie były dla mnie czymś analogicznym do widoków Combray, żywiej jedynie odbijającym się w mojej wyobraźni. Sugestia autora, wiara, z jaką myśl moja przyjmowała jego słowa niby objawienie, czyniły mi ów urojony krajobraz istotną częścią samej Natury, godną by ją studiować i zgłębić; a wrażenia tego nie dawała mi prawie nigdy okolica, w której się znajdowałem, a zwłaszcza nasz ogród, prozaiczny wytwór poprawnej wyobraźni ogrodnika, którego lekceważyła moja babka.

Gdyby rodzice pozwolili mi, kiedy czytałem jakąś książkę, odwiedzić strony, które opisuje, miałbym uczucie, że robię nieoszacowany krok w zdobywaniu prawdy. Jeżeli bowiem ma się wrażenie, że się jest zawsze otoczonym swoją duszą, nie znaczy to aby ona była nieruchomym więzieniem; raczej unosi nas wraz z nią ustawiczny pęd ku temu, aby z niej wyjść, aby się wydostać na zewnątrz, przy czym z uczuciem zniechęcenia słyszymy wciąż dokoła siebie ów identyczny dźwięk, który nie jest echem z zewnątrz, ale odgłosem naszego wewnętrznego drgania. Silimy się odnaleźć na wszystkich rzeczach szacowny odbłask naszej własnej duszy; doznajemy zawodu stwierdzając, że w naturze są one odarte z uroku jaki zawdzięczały w naszej myśli sąsiedztwu pewnych pojęć; czasami zmieniamy wszystkie siły duszy w zwinność, w blask, aby oddziaływać na istoty, o których czujemy dobrze, że są na zewnątrz nas i że ich nie dosięgniemy nigdy. Toteż jeżeli sobie wyobrażałem zawsze dokoła ukochanej kobiety miejsca, których wówczas najbardziej pragnąłem, jeżeli byłbym chciał, aby ona dała mi je poznać, aby ona otworzyła mi dostęp do nieznanego świata, to nie była igraszka prostego skojarzenia myśli; nie, to dlatego, że moje marzenia o podróży i o miłości były jedynie momentami tego samego i niezmiennego wytrysku mego życia; momentami, które rozdzielałem dziś sztucznie, tak jakbym robił cięcia na rozmaitych wysokościach mieniającej się tęczowo i na pozór nieruchomej fontanny.

W końcu, gdy idę dalej od wewnątrz ku zewnątrz za równoczesnymi i przylegającymi stanami mojej świadomości, nie dochodząc do rzeczywistego horyzontu, który je spowijał, znajduję przyjemności innego rodzaju: wygodnie siedzieć, czuć ożywczą woń powietrza, nie być zagrożonym przez jakąś wizytę; i, kiedy godzina biła na wieży św. Hilarego, widzieć, jak odpada kawałek po kawałku już minioną część popołudnia, aż usłyszę ostatnie uderzenie, które mi pozwoli określić cyfrę. Następujące potem długie milczenie zdawało się otwierać na błękitnym niebie ową część, która mi pozostawała do czytania aż do smacznego obiadu przygotowanego przez Franciszkę i mającego mnie pokrzepić po trudach doznanych w książce w towarzystwie bohatera. I za każdą godziną zdawało mi się, że to ledwie przed paroma chwilami była poprzednia; najświeższa zapisywała się na niebie tuż obok drugiej i nie mogłem uwierzyć, aby sześćdziesiąt minut zmie-

Marzenie, Miłość, Natura,
Kobieta

Książka, Czas

ściło się w tym małym błękitnym łuku, który zawierał się między ich dwiema złotymi wskazówkami. Czasami nawet ta przedwczesna godzina wybijała o dwa uderzenia więcej niż poprzednia; była więc jedna, której nie usłyszałem! Coś, co się stało, nie stało się dla mnie. Czar lektury, magiczny niby głęboki sen, oszukał moje urzeczony uszy i zatarł złoty dźwięk na lazurowej powierzchni milczenia. Piękne niedzielne popołudnia pod kasztanem w ogrodzie, starannie oczyszczone przeze mnie z mizernych wydarzeń osobistego istnienia, które zastąpiłem pełnym niezwykłych przygód i pragnień życiem na łonie krajobrazu zroszonego strumieniami, wywołujecie dla mnie, kiedy myślę o was, jeszcze owo życie i zawieranie je istotnie przez to, żeście je stopniowo okoliły i zamknęły — podczas gdy ja tonąłem w swojej lekturze i podczas gdy stygł upał dnia — w kolejnym, lekko zmieniającym się i przerosłym listowiem kryształe waszych milczących, dźwięcznych, pachnących i przejrzystych godzin.

Czasami wyrwała mnie z lektury w ciągu popołudnia córka ogrodnika, która biegła jak szalona, przewracając w biegu drzewko pomarańczowe, kalecząc sobie palce, wybijając sobie zęb i krzycząc: „Idą, idą!” — iżbyśmy oboje z Franciszką przybiegli i nie stracili nic z widowiska. Było to w dniu, w które, udając się na manewry garnizonowe, wojsko przechodziło przez Combray, kierując się zazwyczaj ulicą św. Hildegardy. Podczas gdy służba nasza, siedząc rzędem na krzesłach przed sztachetami, patrzyła na niedzielnych spacerowiczów i pokazywała się im wzajem, córka ogrodnika spostrzegła błysk hełmów przez szczelinę między dwoma odległymi domami w alei Dworcowej. Służba cofała spieszenie krzesła, bo kiedy kirasjerzy defilowali ulicą św. Hildegardy, wypełniali całą jej szerokość i galop koni ocierał się o domy, pokrywając chodniki niby strome brzegi stanowiące zbyt ciasne łóżysko dla wzburzonego strumienia.

— Biedne dzieci — mówiła Franciszka, ledwie doszedłszy do kraty i już we łzach — biedna młodziczna, którą skoszą jak trawę; od samego myślenia o tym już mi się coś dzieje — dodała kładąc ręce na sercu, w miejscu, gdzie ją *ścisło*.

— To piękne, nieprawdaż, pani Franciszko, widzieć młodych ludzi, którzy nie dbają o życie, — mówił ogrodnik, aby ją „podgrzać”.

Nie trudził się na próżno:

— Nie dbają o życie? Więc o co trzeba dbać, jeżeli nie o życie? Toć to jedyny prezent, którego Pan Bóg nigdy nie robi dwa razy! Och, Boże, to szczerą prawdą, że oni o życie nie dbają! Widziałam ich w siedemdziesiątym; nie boją się już śmierci na tych przebrzydłych wojnach; to istne wariaty niewarte już ani tego sznurka, żeby ich na nim powiesić; to już nie ludzie, ale lwi. (Dla Franciszki porównanie człowieka z lwem, którego liczbę mnogą wymawiała *lwi*, nie miało nic pochlebnego).

Ulica św. Hildegardy zakręcała się zbyt blisko, aby można było coś widzieć na odległość; tylko przez tę szczelinę między dwoma domami w alei Dworcowej widać było wciąż nowe kaski, biegnące i błyszczące w słońcu. Ogrodnik byłby chciał wiedzieć, czy ich jeszcze dużo ma przechodzić; i chciało mu się pić, bo słońce piekło. Zaczem nagle córka jego, wypuszczając się niby z obłożonej fortecy, czyniła wypad, docierała do rogu ulicy i naraziwszy się sto razy na śmierć, przynosiła wraz z faszka wodą lukrecjowej nowinę, że jest ich może tysiąc, jadących bez przerwy od strony Thiberzy i Méséglise. Franciszka i ogrodnik, pojednani, dyskutowali o sposobie, w jaki należy się zachować w razie wojny:

— Widzi pani Franciszka, rewolucja byłaby lepsza, bo kiedy się ją wypowiada, to idą tylko ci, którzy chcą.

— Tak, tak, to rozumiem, to uczciwiej.

Ogrodnik myślał, że z wypowiedzeniem wojny wstrzymuje się wszystkie pociągi.

— Aha, żeby ludzie nie uciekały — rzekła Franciszka.

A ogrodnik:

— Ho, ho! one są chytre.

Bo nie przypuszczał, aby wojna była czym innym niż psim figlem, który rząd próbuje spłatać narodowi i aby, o ile by był sposób, znalazła się bodaj jedna osoba, która by nie drapła⁹.

Ale Franciszka śpieszyła się do cioci Leonii, ja wracałem do książki, służba lokowała się z powrotem przed bramą patrząc, jak opada kurz i podniecenie wzniecone przez żołnierzy.

⁹drapła — dziś popr.: drapnęła; tu: celowo niepopr., „ludowa” forma języka mówionego. [przypis edytorski]

Odkąd nastał spokój, długo jeszcze wezbrana fala spacerowiczów czerniła ulice Combray. I przed każdym domem, nawet tam gdzie nie było tego zwyczaju, służba a nawet państwo, siedząc i patrząc, stroili próg wypustką kapryśną i ciemną niby pas alg i muszel, których haft i krepeę zostawia na brzegu odpływ morza.

Z wyjątkiem tych dni mogłem zazwyczaj czytać spokojnie. Ale dystrakcja oraz komentarz, jakie przyniosła mi wizyta Swanna, kiedy byłem pogrążony w książce autora zupełnie dla mnie nowego — był to Bergotte — miały ten skutek, że odtąd na długo obraz kobiet, o których marzyłem odcinał się już nie na murze strojnym w kądziel fioletowych kwiatów, ale na całkiem innym tle, przed portalem gotyckiej katedry.

Nazwisko Bergotte usłyszałem pierwszy raz od jednego z kolegów, starszego ode mnie, którego bardzo podziwiałem, Blocha. Słyszając, jak się zachwycam *Nocą październikową*, parsknął śmiechem hałaśliwym niby dźwięk trąby i rzekł:

— Wystrzegaj się dość nikczemnego zamilowania w imćpanu Musset. To facet wielce żaloszny, zgoła ponure bydlę. Muszę przyznać zresztą, że on, a nawet niejaki Racine, popełnili każdy po jednym wierszu dość melodyjnym i mającym tę zaletę — dla mnie najwyższą — że nie znaczy absolutnie nic. To mianowicie: „biała Oloossona i biała Kamira” i „smętna córka Minosa oraz Pasifae”. Zwrócił mi na nie uwagę artykuł odwodowy na rzecz tych dwóch ciemiegów, pióra mego ukochanego mistrza, papy Leconte, miłego bogom nieśmiertelnym. *A propos*, oto książka której nie mam czasu przeczytać w tej chwili, a którą poleca — zdaje się — ten kolosalny jegomość. On uważa, jak mi powiadano, autora, imćpana Bergotte, za gościa wielce subtelnego: mimo zaś że papa Leconte zdradza czasami dosyć niezrozumiałą pobłażliwość, słowo jego jest dla mnie wyrocznią delficką. Przeczytaj tedy tę lirykoidalną prozę, a jeżeli gigantyczny gromadziciel rytmów który napisał *Bagahawata* i *Magnusowego Charta* głosi prawdę, będziesz, na Apollina, kosztował, drogi mistrzu, rozkoszy godnych olimpijskiego nektaru.

W owym sarkastycznym tonie prosił mnie, abym go nazywał *drogim mistrzem* i sam mnie tak nazywał. Ale w rzeczywistości znajdowaliśmy pewną przyjemność w tej zabawie, będąc jeszcze bliscy wieku, w którym człowiek mniema, że stwarza to, czemu daje nazwę.

Na nieszczęście, nie było mi dane dłużej rozmawiać z Blochem i prosić go o wyjaśnienie, a tym samym ukoić zamęt, w jaki mnie wtrącił, mówiąc że piękne wiersze (mnie, który żądałem od nich nie mniej niż objawienia prawdy!) są tym piękniejsze, im bardziej nic nie znaczą. Bo już więcej Blocha nie zaproszono do nas. Zrazu przyjmowano go przychylnie. Dziadek co prawda twierdził, że za każdym razem, kiedy się bliżej zaprzyjaźnię z jakim kolegą i sprowadzę go do domu, to zawsze jest Żyd, co by dziadka nie raziło w zasadzie — nawet jego przyjaciel Swann był z pochodzenia Żydem — gdyby nie uważał, że zazwyczaj nie wybieram ich spośród najlepszych. Toteż kiedy przyprowadzałem nowego przyjaciela, rzadko zdarzało się, aby dziadek nie zanucił: „*O Ojczyźnie, ziemi*” z *Żydówki* albo *Izraelu, łańcuchy krusz*, podśpiewując oczywiście tylko melodie (Tra ta tam ta tam tatam), ale i tak bałem się, aby kolega nie znał melodii i nie podłożył pod nią słów.

Zanim którego ujrział, już słysząc samo nazwisko (które często nie miało nic szczególnie izraelskiego), dziadek zgadywał nie tylko pochodzenie tych moich przyjaciół, którzy byli w istocie z Żydów, ale nawet to, co było czasami podejrzanego w ich rodzinie.

— Jak się nazywa ten mały, który ma przyjść dziś wieczór?

— Dumont, dziadziu.

— Dumont! Och, podejrzan.

I śpiewał:

Łucznicy, wierna moja straży.

Czuwajcie cicho i bez snu;

I, zadawszy zręcznie parę ściślejszych pytań, wołał: „Bacność! Bacność!” lub, jeżeli za pomocą chytrego śledztwa zmusił przybyłego gościa, aby ten bezwiednie zdradził swoje pochodzenie, wówczas dziadek, chcąc nam okazać, że nie ma już żadnej wątpliwości, zadowalał się tym, że, patrząc na nas, nucił nieznacznie:

Przecz trwożliwego syna Izraela

Wiedziesz tu kroki sam?

albo:

Pola ojczyste, Hebronu słodkie niwy,

lub wreszcie:

Jam wybranego rodu syn.

Te drobne manie dziadka nie wiązały się z żadnym wrogim uczuciem do moich kolegów. Ale Bloch zraził sobie rodziców z innego powodu. Na początek podrażnił mego ojca, który widząc raz, że Bloch przyszedł zmoczony, rzekł z zainteresowaniem:

— Co to, panie Bloch, co się dzieje na dworze, czyżby deszcz padał? Nic nie rozumiem, barometr stał wybornie.

Ale wydobył z niego tylko tę odpowiedź:

— Łaskawy panie, nie umiem panu absolutnie powiedzieć, czy deszcz padał. Żyję tak zdecydowanie poza fizykalnymi warunkami istnienia, że zmysły moje nie trudzą się ich notowaniem.

— Ależ, mój chłopcze, ten twój przyjaciel to jakiś idiota — rzekł ojciec po odejściu Blocha. — Jak to! Nie umie mi nawet powiedzieć, jaka jest pogoda. Ależ nie ma nic bardziej zajmującego! To głupiec.

Następnie Bloch nie spodobał się babce, bo po śniadaniu, kiedy powiedziała, że jest trochę cierpiąca, zdławił szloch i otarł łzy.

— Jakże ty chcesz, aby to było szczere — rzekła do mnie — skoro on mnie nie zna; chyba że jest wariat.

W końcu naraził się wszystkim, ponieważ, przyszedłszy na śniadanie z półtoragodzinnym opóźnieniem i okryty błotem, zamiast przeprosić powiedział:

— Nie daję nigdy wpływać na siebie perturbacjom atmosferycznym ani umownym specyfikacjom czasu. Zrehabilitowałbym chętnie używanie nargilów i malajskiego krissu, ale nie znam użytku instrumentów o wiele zgubniejszych i zresztą płasko-mieszczkańskich, jak zegarek i parasol.

Byłby mimo to nadal bywał w Combray. Nie był to oczywiście przyjaciel, którego by rodzice dla mnie pragnęli: uwierzyli w końcu, że łzy, które mu wycisnęła niedyspozycja babki, nie były udane; ale wiedzieli instynktownie czy też z doświadczenia, że wybuchy wrażliwości mało mają wpływu na ciągłość naszych postępów i życia i że poszanowanie zobowiązań moralnych, wierność w przyjaźni, spełnienie dzieła, przestrzeganie trybu życia, czerpią o wiele pewniejszą rękojmię w sile ślepego przyzwyczajenia niż w tych doraźnych wybuchach, żarliwych a jałowych. Byliby woleli dla mnie towarzysza, który by mi dawał nie więcej niż zwykle reguły mieszczańskiego kodeksu nakazywały dawać przyjacielowi; który by nie posyłał mi niespodzianie koszyka owoców dlatego, że tego dnia pomyślał o mnie z czułością, ale który, niezdolny pod wpływem wyobraźni i kaprysu przechylić na moją korzyść sprawiedliwej wagi obowiązków i przyjaźni, nie skrzywiłby jej tak samo na moją niekorzyść. U takich osób nawet błędy nasze niełatwo wpływają na ich stosunek do nas: cioteczna babka była tego żywym przykładem; poróżniona od lat z siostrzenicą, z którą nigdy nie rozmawiała, nie zmieniła mimo to testamentu, w którym zostawiała jej cały majątek, dlatego że to była jej najbliższa krewna i że „tak się należało”.

Ale ja lubiłem Blocha, rodzice chcieli mi zrobić przyjemność, nierozwiązalne zagadnienia jakie sobie stawiałem z powodu odartej z sensu piękności „córy Minosa oraz Paspisphae” nużyły mnie bardziej i czyniły mnie bardziej nerwowym, niżby to uczyniły nowe z nim rozmowy, mimo że matka uważała je za zgubne. I byłby nadal bywał w Combray, gdyby po tym obiedzie, pouczywszy mnie — a nauka ta miała później taki wpływ na moje życie, czyniąc je zrazu szczęśliwszym, a potem nieszczęśliwszym! — że wszystkie kobiety myślą tylko o miłości i że nie ma ani jednej, której oporu nie można by zwyciężyć, nie upewnił mnie, iż słyszał, w sposób niepozostawiający żadnych wątpliwości, że moja cioteczna babka miała burzliwą młodość i że była jawnie na utrzymaniu. Nie mogłem się wstrzymać od powtórzenia tego rodzicom; wyproszone Blocha za drzwi, kiedy znów przyszedł, a kiedy go spotkałem później na ulicy, był dla mnie nadzwyczaj chłodny.

Ale co się tyczy Bergotte'a, miał rację.

Przyjaźń, Obowiązek,
Obyczaje, Mieszczanin

W pierwszych dniach niby melodia, za którą będzie się szalało, ale której nie chwytając się jeszcze, nie dojrzałem tego, co miałem tak pokochać w jego stylu. Nie mogłem się oderwać od jego powieści, ale myślałem, że mnie interesuje tylko treść, tak jak w pierwszej fazie miłości, kiedy, spiesząc co dzień spotkać kobietę na jakimś zebraniu, na jakiejś zabawie, myślimy, że to urok tej zabawy nas ciągnie. Potem zauważyłem rzadkie, niemal archaiczne wyrażenia, których Bergotte lubił używać w pewnych chwilach, gdy jakiś tajemny strumień harmonii, jakaś wewnętrzna melodia wzdymały jego styl; zwłaszcza w momentach, w których zaczyna mówić o „zwodnym śnie życia”, o „niewyczerpanym strumieniu pięknych złud”, o „jałowej i rozkosznej udręce rozumienia i kochania”, o „wzruszających postaciach, które na wieki uszlachetniają czcigodne i urocze fasady katedr”, wyrażał całą nową dla mnie filozofię cudownymi obrazami, o których można by rzec, że budziły jakby śpiew harf i dawały jego akompaniamentowi coś boskiego.

Jeden z tych ustępów Bergotte’a — trzeci czy czwarty z kolei, który wyodrębniałem z całości — sprawił mi radość niedającą się porównać z tą, jaką znalazłem w pierwszym; radość, którą odczułem w głębszej warstwie swego jestestwa, jednolitszą, szerszą, wyzwołaną z wszelkich przeszkód i zapór. Bo, odnajdując wówczas to samo upodobanie w rzadkich wyrażeniach, ten sam strumień melodii, tę samą idealistyczną filozofię, które były już w innych ustępach, mimo że sobie nie zdawałem wówczas sprawy ze źródła swojej przyjemności, nie miałem już wrażenia, abym był pod czarem jakiegoś ustępu książki Bergotte’a kreślącego na powierzchni mojej myśli figurę czysto linearną; raczej czułem się w obliczu „idealnego motywu” Bergotte’a wspólnego jego książkom; a wszystkie analogiczne ustępy, spływając się z tym motywem, dawały mu jakby objętość i masę, od których umysł mój zdawał się rosnąć.

Nie byłem zapewne jedynym wielbicielem Bergotte’a; był on ulubionym autorem przyjaciółki mojej matki, osoby bardzo wykształconej; aby pochłaniać ostatnią jego książkę, doktor du Boulbon kazał na siebie czekać swoim chorym; z jego to gabinetu lekarskiego i z parku sąsiadującego z Combray polecały niektóre pierwsze nasiona owego kultu Bergotte’a, gatunku tak rzadkiego wówczas, dziś tak rozpowszechnionego; kultu, którego idealny i pospolity kwiat znajdzie się dziś wszędzie w Europie, Ameryce, aż do najmniejszej miłośnicy. Przyjaciółka matki i, zdaje się, doktor du Boulbon najbardziej lubili w książkach Bergotte’a to samo co ja; tę samą melodyjną falę, te wyrażenia staroświeckie, inne znowuż bardzo proste i znane, ale przez miejsce, w którym się znalazły świadczące o swoistym smaku autora; wreszcie w ustępach nacechowanych smutkiem pewną szorstkość, ton niemal gardłowy. I z pewnością sam Bergotte musiał czuć, że to są jego największe uroki. Bo w dalszych książkach, skoro napotkał jaką wielką prawdę, albo nazwę jakiejś sławnej katedry, przerywał opowiadanie i w inwokacji, w apostrofie, w długiej modlitwie, dawał swobodny bieg tym wylewom, które w pierwszych utworach wsiąkały w jego prozę, zdradzając się wówczas jedynie falowaniem powierzchni, subtelniejsze może jeszcze, harmonijniejsze, kiedy były tak utajone i kiedy nie dałoby się dokładnie wskazać, gdzie się rodzi, gdzie zamiera ich szept.

Te ustępy, najmiłsze sercu ich autora, kochaliśmy najbardziej. Co do mnie, umiałem je na pamięć. Czułem żal, kiedy Bergotte podejmował tok opowiadania. Za każdym razem, kiedy mówił o czymś, czego piękność była mi dotąd ukryta, o lasach sosnowych, o gradzie, o *Notre-Dame de Paris*, o *Atalii* lub o *Fedrze*, sprawiał, iż piękność ta eksplodowała niejako aż do mnie. Toteż czując, ile jest rzeczy w świecie, których moja wątpliwa wrażliwość nie byłaby odgadła, o ile on by ich do mnie nie zbliżył, byłbym chciał posiadać jego sąd, jego metaforę o wszystkich rzeczach, bodaj o tych, które miałbym sposobność widzieć sam; wśród tych zwłaszcza o dawnych budowlach francuskich i o pewnych morskich pejzażach, ponieważ upodobanie, z jakim wprowadzał je w swoje książki, dowodziło, że w nich widzi skarby znaczeń i piękności. Na nieszczęście prawie we wszystkich rzeczach byłem nieświadom jego poglądu. Nie wątpiłem, że musi być zupełnie różny od moich, skoro zstępował ze świata nieznanego, do którego ja siłęm się wznieść; przekonany że moje myśli wydałyby się szczerym głupstwem temu wybornemu duchowi, tak dalece wymiotłem je wszystkie, że kiedy przypadkiem zdarzyło mi się spotkać w którejś z jego książek coś, co pomyślałem sam z siebie, serce wzbierało mi tak, jakby Bóg w swojej dobroci wrócił mi tę myśl, uznawszy ją za prawdą i piękną.

Literat, Artysta, Słowo

Zdarzało się czasem, że jakaś jego stronica mówiła te same rzeczy, które ja pisałem często w nocy do babki i do matki, kiedy nie mogłem spać, tak że ta stronica Bergotte'a wyglądała jak same motta mogące służyć za nagłówki moim listom. Nawet później, kiedy zacząłem układać książkę, odnalazłem u niego ekwiwalent pewnych zdań, których wartość nie wystarczyła, aby mnie skłonić do pisania dalej. Ale jedynie wówczas, kiedy je czytałem w jego dziele, mogłem się nimi cieszyć; kiedy ja sam je tworzyłem, pochłonięty tym, aby odbijały ściśle to, com czytał w swojej myśli, obawiając się, że nie będzie „trafione”, jakżeby miał czas pytać siebie, czy to, co piszę, jest ładne! Ale w rzeczywistości jedynie ten rodzaj zdań, ten rodzaj myśli lubiłem naprawdę. Moje niespokojne i niecierpliwe wysiłki były same przez się znakiem miłości, miłości bez rozkoszy, ale głębokiej. Toteż kiedy nagle znajdowałem takie zdania w dziele cudzym, to znaczy będąc wolny od skrupułów, od samokrytyki, nie potrzebując się dręczyć, wówczas poddawałem się z radością upodobaniu do nich, niby kucharz, który zwolniony raz chwilowo od gotowania znajduje wreszcie czas, aby być smakoszem. Jednego dnia napotkałem w książce Bergotte'a na temat starej służącej żart, któremu wspaniały i uroczysty styl pisarza przydawał jeszcze ironii, ale identyczny z tym, który często robiłem mówiąc z babką o Franciszce; innym razem ujrzałem, że on nie uważa za niegodne pomieścić w jednym z owych zwierciadeł prawdy, jakimi były jego dzieła, spostrzeżenia pokrewnego z moimi rewelacjami o naszym przyjacielu Legrandin (uwagi o Franciszce i panu Legrandin były z pewnością z rzędu tych, które byłbym najłatwiej poświęcił, przekonany iż Bergotte pogardziłby nimi) — i wydało mi się nagle, że moje mizerne życie a królestwo prawdy nie są równie obce sobie, jak byłbym przypuszczał, że schodzą się nawet w niektórych punktach, i z zaufania i radości płakałem nad stronicami pisarza niby w ramionach odnalezionego ojca.

Wyobrażałem sobie Bergotte'a z jego książek jako słabego, zwątpiałego starca, który stracił dzieci i nigdy się po nich nie pocieszył. Toteż czytałem, śpiewałem w duszy jego prozę, bardziej *dolce*¹⁰, bardziej *lento*¹¹ może niż była pisana; najprostsze zdanie przemawiało do mnie akcentem tklivości. Ponad wszystko kochałem jego filozofię, oddałem się jej na zawsze. Wzbudziła we mnie żądzę dojścia do wieku, w którym wstąpię do kolegium, do klasy zwanej Filozofią. Ale pragnąłem, aby tam nie robiono nic innego poza wyłącznym życiem myślą Bergotte'a; i gdyby mi powiedziano, że filozofowie, do których się zapalę wówczas, nie będą w niczym doń podobni, byłbym uczuł rozpacz kochanka, który chce kochać na całe życie, a któremu się mówi o innych kobietach, kochankach jego przyszłości.

Jednej niedzieli w czasie lektury w ogrodzie zaskoczył mnie Swann, który przyszedł do rodziców.

— Co tam czytamy, można zobaczyć? O, Bergotte? Kto panu wskazał jego książki?

Powiedziałem, że Bloch.

— A tak, ten chłopiec, którego tu raz widziałem, taki podobny do Mahometa II na portrecie Belliniego. Och! uderzające, te same wężykowate brwi, ten sam zakrzywiony nos, te same wystające policzki. Kiedy zapuści bródkę, to będzie ta sama osoba. W każdym razie ma gust, Bergotte to urocza umysłowość.

I widząc, jak bardzo muszę podziwiać Bergotte'a, Swann, który nigdy nie mówił o swoich znajomych, uczynił przez dobroć wyjątek i rzekł:

— Znam go dobrze; gdyby to panu zrobiło przyjemność, aby panu podpisał tę książkę, mógłbym go o to poprosić.

Nie śmiałem przyjąć, ale zadałem Swannowi parę pytań co do Bergotte'a.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, którego on aktora najwyżej ceni?

— Aktora, nie wiem. Ale wiem, że żadnego aktora nie równa z Berma, którą stawia ponad wszystko. Czy ją pan widział?

— Nie, rodzice nie pozwalają mi chodzić do teatru.

— To szkoda. Powinien by ich pan o to poprosić. Berma w *Fedrze*, w *Cydzie* to tylko aktorka — powie ktoś — ale pan wie, że ja nie bardzo wierzę w „hierarchie” w sztuce.

I zauważyłem, jak mnie to już często uderzało w rozmowach Swanna z siostrami bab-

Słowo, Prawda

¹⁰*dolce* (wł.) — określenie dynamiki w muzyce: słodko. [przypis edytorski]

¹¹*lento* (wł.) — oznaczenie tempa w muzyce: powoli. [przypis edytorski]

ki, że kiedy mówi o rzeczach poważnych, kiedy używa wyrażenia zdającego się zawierać opinię w ważnym przedmiocie, ma zwyczaj oddzielać je specjalną intonacją machinalną i ironiczną, jak gdyby je ujmował w cudzysłów, jak gdyby nie chciał go brać na swój rachunek: *hierarchia*, wie pan, jak mówią głupcy? Ale w takim razie, skoro to było głupie, po co mówił hierarchia?

W chwilę potem dodał:

— To panu da wizję równie szlachetną jak nie wiem jakie arcydzieło, sam nie wiem co... jak — i zaczął się śmiać — królowe z Chartres!

Aż dotąd ten wstręt do wyrażenia serio własnego poglądu wydawał mi się czymś, co musi być eleganckie i paryskie, czymś, co się przeciwstawia prowincjonalnemu dogmatyzmowi siostr babki; podejrzewałem też, że to jest duch koterii, w której obracał się Swann, i gdzie przez reakcję do liryzmu poprzednich pokoleń przesadnie rehabilituje się drobne ścisłe fakty, niegdyś uznane za pospolite, a potępia się „frazesy”. Ale teraz było dla mnie coś rażącego w tej postawie Swanna. Wyglądało to, jakby nie śmiał mieć zdania i jakby był spokojny jedynie wówczas, kiedy może dawać drobiazgowo ścisłe wskazówki. Nie zdawał sobie tedy sprawy, że i to znaczy wyrażać opinię, formułować, że dokładność tych szczegółów ma swoje znaczenie. Przypomniałem sobie wówczas ten obiad, kiedy byłem tak smutny, bo mama nie miała zająć do mego pokoju i kiedy Swann powiedział, że bale u księżnej de Léon nie mają żadnego znaczenia. Ale przecież na tego rodzaju przyjemnościach trawił życie! Wydawało mi się to pełne sprzeczności. Na jaki inny żywot zachowywał on powiedzenie w końcu serio, co myśli o rzeczach, sformułowanie sądów, których mógłby nie ujmować w cudzysłowy, i nie oddawanie się już z drobiazgową grzecznością zajęciom, o których mówił równocześnie, że są śmieszne? Zauważyłem także w sposobie, w jaki Swann mówił do mnie o pan Bergotte, coś, co nie było mu wyłącznie właściwe, ale przeciwnie było w owym czasie wspólne wszystkim wielbicielom pisarza, przyjaciółce mojej matki, doktorowi Boulbon. Jak Swann, mówili o tym pisarzu; „To czarujący umysł, taki oryginalny, ma swój odrębny sposób mówienia o rzeczach, trochę wyszukany, ale tak pełen wdzięku! Nie trzeba podpisu, poznaje się od razu, że to on”. Ale żaden nie byłby się posunął do powiedzenia: „To wielki pisarz, ma ogromny talent”. Nie mówili nawet, że ma talent. Nie mówili, bo nie wiedzieli. To bardzo długo trwa, zanim w swoistej fizjonomii nowego pisarza rozpoznamy model, który nosi miano „wielkiego talentu” w naszym muzeum ogólnych pojęć. Właśnie dlatego, że ta fizjonomia jest nowa, nie wydaje się nam całkowicie podobna do tego, co nazywamy talentem. Powiadamy raczej: oryginalność, urok, subtelność, siła i potem pewnego dnia zdajemy sobie sprawę, że właśnie to wszystko to jest talent.

— Czy istnieją książki Bergotte’a, w których by mówił o Bermie? — spytałem.

— Sądzę, że w małej plakietce o Rasynie, ale to musi być wyczerpane. Może ją jednak przedrukowano. Dowiem się. Mogę zresztą poprosić Bergotte’a o co pan chce, nie mija tydzień, aby nie był u nas na obiedzie. To wielki przyjaciel mojej córki. Zwiedzają razem stare miasta, katedry, zamki.

Ponieważ nie miałem żadnego pojęcia o hierarchii społecznej, niepodobieństwo, jakie ojciec widział w tym, abyśmy utrzymywali stosunki z panią i z panną Swann, od dawna miało raczej ten skutek, że, budząc we mnie wrażenie wielkiej między nami odległości, dało im urok w moich oczach. Żałowałem, że matka nie maluje sobie włosów i nie różuje ust, tak jak słyszałem przez naszą sąsiadkę, panią Sazerat, że robi pani Swann, i to aby się podobać nie mężowi, ale panu de Charlus. Myślałem, że musimy być dla niej przedmiotem wzgardy, co mi było przykre zwłaszcza z powodu panny Swann, o której mówiono mi, że jest bardzo ładna i o której marzyłem często, używając jej za każdym razem tej samej kapryśnej i uroczej twarzy. Ale kiedy się dowiedziałem tego dnia, że panna Swann jest istotą wielce niepospolitą, istotą kąpiącą się, niby w swoim przyrodzonym żywiole, w tyłu przywilejach; że, kiedy spyta się rodziców, czy jest ktoś na obiedzie, odpowiadają jej owymi pełnymi światła sylabami, nazwiskiem owego złotego gościa, który jest dla niej jedynie starym przyjacielem domu: *Bergotte*; że dla niej zwykłą rozmową przy stole, odpowiadającą temu, czym jest dla mnie rozmowa ciotki, są zdania Bergotte’a o wszystkich przedmiotach, których nie mógł poruszyć w książkach i w których tak byłbym pragnął słyszeć jego wyroki; że wreszcie kiedy zwiedza jakieś miasto, on wędruje obok niej, nieznanymi i wspaniałymi niby bogowie, którzy zstępowali między śmiertelnymi; wówczas zrozu-

Słowo, Prawda

Literat

Miłość, Pozycja społeczna,
Tajemnica

miałem, równocześnie z ceną istoty takiej, jak panna Swann, jak bardzo musiałbym się jej wydać gminny i ciemny. Odczułem tak żywo słodycz i niemożliwość, jaką byłoby dla mnie zostać jej przyjacielem, że przepeliło mnie to równocześnie pragnieniem i rozpaczą. Najczęściej teraz, kiedy o niej myślałem, widziałem ją przed portalem jakiejś katedry, tłumaczącą mi znaczenie posągów; po czym z uśmiechem, jakże dla mnie pochlebnym, przedstawiała mi swemu przyjacielowi, panu Bergotte. I zawsze urok wszystkich pojęć, jakie rodziły we mnie katedry, urok wzgórz Ile-de-France i równin Normandii, kładł swoje odbłaski na obrazie, jaki sobie tworzyłem o pannie Swann: jakaż droga do pokochania! Kiedy sądzimy, że jakaś istota ma udział w nieznanym życiu, w które by nas jej miłość wprowadziła, jest to ze wszystkiego, czego wymaga krystalizacja miłości, rzecz najistotniejsza i pozwalająca zamknąć oczy na wszystko. Nawet kobiety, które sądzą, że oceniają mężczyznę tylko z warunków fizycznych, widzą w tej stronie fizycznej emanację swego życia. Dlatego kochają żołnierzy, strażaków; mundur czyni je mniej wybrednymi co do twarzy; myślą, że całują pod pancierzem odmienne serce, zuchwałe i łagodne; i młody monarcha lub następca tronu odnosi najpochlebniejsze zwycięstwa w obcych krajach, które zwiedza, nie potrzebując do tego regularnego profilu, który byłby może nieodzowny dla lada filistra.

Czytałem tedy w ogrodzie. Zajęcia tego ciotka nie uznawała poza niedzielą, dniem, w którym wzbronione jest zajmować się czymś poważnym i w którym ona nie szyła. W dzień powszedni byłaby mi powiedziała: „jak to, ty znów *zabawiasz* się czytaniem, przecież to nie jest niedziela” — dając temu słowu *zabawiać się* znaczenie dzieciństwa i straty czasu. Ciozia Leonia gwarzyła z Franciszką, oczekując przyjscia Eulalii. Oznajmiła Franciszce, że widziała przechodzącą panią Goupil „bez parasola, w jedwabnej sukni robionej w Châteaudun. Jeżeli ma gdzieś daleko iść przed nieszporami, łatwo może ją skropić”.

— Może, może (co znaczyło: *może nie*) — powiadała Franciszka, aby zbyt stanowczo nie odtrącać możliwości pomyslniejszego obrotu.

— Prawda — mówiła ciotka uderzając się w czoło — to mi przypomina, że nie dowiedziałem się, czy ona przysłała do kościoła już po podniesieniu. Muszę pamiętać, aby spytać o to Eulalii... Franciszko, popatrz no na tę czarną chmurę za wieżą i na to złe słońce na dachu: pewna jestem, że dzień nie minie bez deszczu. Nie było możliwe, aby to tak wytrzymało, było za gorąco. I im prędzej tym lepiej, bo dopóki burza nie przyjdzie, moje Vichy nie spłynie — dodała ciozia Leonia, w której umyśle chęć przyspieszenia wędrówki wody Vichy nieskończenie przeważała obawę, aby pani Goupil nie zniszczyła sobie sukni.

— Może, może.

— I jeszcze to, że kiedy pada na rynku, nie bardzo jest gdzie się schować. Jak to, trzecia? — wykrzyknęła nagle ciozia Leonia, blednąc — ależ w takim razie nieszpory już się zaczęły, zapomniałam swojej pepsyny. Rozumiem teraz, czemu woda Vichy leży mi w żołądku.

I, rzucając się na książkę do nabożeństwa w fioletowym aksamicie, ze złotymi brzegami i wyrzucając z niej w pośpiechu obrazki okolone poźółtką papierową koronką, znaki dni świątecznych, ciozia, lykając swoje krople, zaczęła co prędzej czytać święte teksty, których zrozumienie było lekko przyćmione niepewnością, czy pepsyna wzięta w tak długi czas po wodzie Vichy, będzie jeszcze zdolna dogonić ją i przeprowadzić. „Trzy godziny, to niepojęte, jak ten czas leci”.

Małe uderzenie w szybę, jak gdyby coś ją trąciło, tuż potem obfity opad, lekki niby ziarenka piasku, które by zrzucano z piętra wyżej; potem opad obfitszy, regularniejszy, wchodzący w pewien rytm, płynny, dźwięczny, muzyczny, niezliczony, powszechny: to był deszcz.

— I co, Franciszko, co mówiłam? Ależ pada! Ale zdaje mi się, że słyszałam dzwonek u furtki w ogrodzie; idź zobaczyć, kto może być na dworze w taki czas.

Franciszka wracała.

— To pani Amedeuszowa (moja babka) powiedziała, że się trochę przeleci. A przecie leje tego.

— To mnie nie dziwi — rzekła ciozia wznosząc oczy do nieba. — Zawsze mówiłam, że ona nie ma w głowie tak jak wszyscy. Wolę już, że ona jest w ogrodzie, niż żebym sama miała tam być w tej chwili.

Pobożność

Sługa, Słowo, Obyczaje

— Pani Amedeuszowa to zawsze wprost przeciwnie jak wszyscy — mówiła Franciszka łagodnie, zachowując na chwilę, w której znajdzie się sama z resztą służby stwierdzenie, że jej zdaniem babka jest trochę pomyłona.

— Już po błogosławieństwie! Eulalia nie przyjdzie już — wzdychała ciotka — musiała się złąknąć deszczu.

— Ale nie ma piątej, proszę pani, jest dopiero wpół.

— Dopiero wpół? a ja musiałam podnieść firaneczki, żeby mieć bodaj odrobinę światła. O wpół do piątej! Na tydzień przed dniami krzyżowymi! Och, moja dobra Franciszko, musi widać Bóg bardzo być na nas pogniewany. Bo też dzisiejszy świat za wiele sobie pozwala. Jak powiadał mój biedny Oktaw, zanadto zapomniano o Panu Bogu i on się mści.

Żywy rumieniec zabarwił lica ciotki: zadzwoniła Eulalia. Na nieszczęście, ledwo weszła, Franciszka wróciła, i z uśmiechem, mającym dostroić ją samą do radości, o której nie wątpiła, iż jej słowa sprawią ciotki, delikatnie dzieląc sylaby, aby okazać że, mimo użycia stylu pośredniego, przynosi, jako dobra służka, autentyczne słowa, którymi raczył się wyrazić gość, rzekła:

— Ksiądz proboszcz byłby zachwycony, szczęśliwy, gdyby pani Oktawowa nie odpoczywała i mogła go przyjąć. Ksiądz proboszcz nie chce przeszkadzać. Ksiądz proboszcz jest na dole, wprowadziłam go do sali.

W rzeczywistości wizyty proboszcza nie sprawiały ciotce równie wielkiej przyjemności, jak to przypuszczała Franciszka, a rozpromieniony wyraz, którym służąca uważała za właściwe stroić swoją twarz za każdym razem, kiedy miała oznajmić tę duchowną osobę, niezupełnie odpowiadał uczuciom chorej. Proboszcz (wyborny człowiek; żałuję, że z nim nie rozmawiałem częściej, bo, o ile nie rozumiał się na sztuce, o tyle biegły był w etymologii), przyzwyczajony dawać znamienitszym turystom informacje o kościele (nosił się z zamiarem napisania książki o parafii Combray), męczył ciotkę objaśnieniami bez końca, w dodatku zawsze tymi samymi. A już kiedy się zjawiał tak równocześnie z Eulalią, wizyta jego stawała się ciotki wręcz niepożądana. Byłaby wołała lepiej wyzyskać Eulalię i nie mieć wszystkich naraz. Ale nie śmiała odprawić proboszcza, dawała tylko Eulalii znak, żeby nie odchodziła razem z nim, że ją chce mieć trochę samą, kiedy ksiądz pójdzie.

— Księżę proboszczu, co to mi mówiono, że jakiś artysta ustawił sztalugi w kościele, aby skopiować witraż? Mogę rzec, że dożyłam swoich lat, nie słysząc o czymś podobnym! Czego dziś ludzie nie wymyślą! I właśnie to jest najbrzydsza rzecz w całym kościele!

— Nie posunąłbym się tak daleko, aby powiedzieć, że to jest rzecz najbrzydsza; bo o ile są u św. Hilarego partie, które warte są zwiedzenia, są inne bardzo stare w tej mojej biednej bazylice, jedynej w całej diecezji, której nawet nie odrestaurowano! Mój Boże, kruchta jest stara i brudna, ale bądź co bądź, ma swój majestat; ujdą nawet gobeliny z Esterą, za które osobiście nie dałbym dwóch groszy, ale które znawcy stawiają zaraz po gobelinach w Sens. Uznaję zresztą, że, obok pewnych nazbyt realistycznych szczegółów, tkaniny te świadczą skądinąd o prawdziwym zmyśle obserwacji. Ale niech mi nikt nie mówi o witrażach! Czy w tym jest sens, aby zachowywać okna, które nie dają światła i nawet mają wzrok refleksami nieokreślonego koloru? I to w kościele, gdzie nie ma dwóch płyt na jednym poziomie; a nie chcą mi ich zmienić pod pozorem, że to są groby opatów Combray i panów na Guermantes, dawnych hrabiów Brabantu! W prostej linii przodkowie dzisiejszego księcia de Guermantes, a także księżnej, skoro ona jest z domu de Guermantes i wyszła za swego kuzyna...

(Babka, która, nie interesując się ludźmi, pomieszała w końcu wszystkie nazwiska, za każdym razem, kiedy wymieniano księżnę de Guermantes, utrzymywała, że to musi być kuzynka pani de Villeparisis. Wszyscy parskali śmiechem; babka starała się bronić, powołując się na jakiś „*faire part*”: „Zdawało mi się, że tam były jakieś Guermanty”. I na ten raz byłem z innymi przeciwko niej, nie mogąc przypuścić, aby istniał jakiś węzeł między jej przyjaciółką z pensji a wnuką Genowefy z Brabantu.)

— Weź pani Roussainville, to jest dzisiaj tylko chłopska parafia, mimo że w starożytności miejscowość ta słynęła handlem filcowych kapeluszy i zegarów. Nie jestem pewien etymologii Roussainville. Przypuszczałbym chętnie, że pierwotna nazwa była Rouville (*Radulfi villa*) jak Chateauroux (*Castrum Radulfi*), ale o tym opowie pani innym razem. No i kościół tamtejszy ma wspaniałe witraże, prawie wszystkie nowoczesne, i ten imponujący *Wjazd Ludwika Filipa do Combray*, który bardziej byłby na swoim miejscu

w samym Combray i który wart jest, jak powiadają, słynnego witrażu w Chartres. Wczoraj jeszcze widziałem brata doktora Percepied, który jest znawcą i który uważa, że to jest pięknie wykończone. Ale sam mówiłem temu artyście (zresztą bardzo grzeczny człowiek i podobno prawdziwy wirtuoz pędzla): „Co wy widzicie nadzwyczajnego w tym witrażu, który jest jeszcze trochę brudniejszy od innych?”

— Jestem pewna, że gdyby ksiądz poprosił eminencji — rzekła miękko ciocia Leonia, która zaczynała się obawiać, że się zmęczy — nie odmówiłby księdzu nowego witrażu.

— Tak pani myśli, pani Oktawowo! — odparł proboszcz. — Ależ to właśnie jego eminencja roztrąbił ten nieszczęśliwy witraż, dowodząc, że przedstawia Gilberta Złego, pana na Guermantes, wiodącego się wprost od Genowefy Brabanckiej (która była z domu Guermantes), jak dostaje rozgrzeszenie od świętego Hilarego.

— Ale ja nie widzę, gdzie jest święty Hilary.

— Ale owszem, w kącie witrażu nie zauważyła pani nigdy damy w żółtej sukni? No to właśnie jest święty Hilary, którego nazywają też, wie pani, w pewnych prowincjach Saint-Illiers, Saint-Héliér, a nawet w Jura Saint-Ylie¹². Te różne skażenia słów *sanctus Hilarius* nie są zresztą najciekawsze spośród tych, które się spotyka w imionach błogosławionych. Tak na przykład twoja patronka, moja dobra Eulalio, *sancta Eulalia*, czy wiesz, co się z niej zrobiło w Burgundii? Po prostu Saint-Eloi¹³: zmieniła się w świętego. Czy wyobrażasz sobie, Eulalio, aby po twojej śmierci zrobiono z ciebie chłopca?

— Ksiądz proboszcz zawsze powie coś do śmiechu.

— Brat Gilberta, Karol Jąkała, pobożny książę, który niestety, straciwszy wcześniej ojca, Pepina Szalonego, zmarłego wskutek choroby umysłowej, wykonywał najwyższą władzę z całą butą młodości pozbawionej dobrodziejstw wychowania, z chwilą gdy fizys jakiegoś osobnika nie spodobała mu się w jakimś mieście, kazał tam mordować wszystkich do ostatniego mieszkańca. Gilbert, chcąc się zemścić na Karolu, kazał spalić kościół w Combray — pierwotny kościół ówczesny, ten, który Teodebert, opuszczając ze swoim dworem rezydencję, którą miał niedaleko stąd w Thiberzy (*Theodeberciacus*), aby iść na Burgundów, przyrzekł zbudować na grobie Św. Hilarego, jeżeli święty postara mu się o zwycięstwo. Została tylko krypta, którą Teodor musiał pani pokazywać, wobec tego że Gilbert spalił resztę. Potem pobił nieszczęsnego Karola, przy pomocy Wilhelma zdobywcy (ksiądz wymawiał *Wilelma*), co sprawiło, że wielu Anglików przyjeżdża tu oglądać Combray. Ale nie zdaje się, aby sobie umiał zjednać sympatię mieszkańców Combray, bo rzucili się na niego, gdy po mszy wychodził z kościoła i ucieli mu głowę. Zresztą Teodor pożycza małej książeczki, która zawiera wyjaśnienia.

Ale co jest bezspornie najciekawsze w naszym kościele, to widok z wieży: wspaniały jest. Oczywiście, pani Oktawowej, która nie jest zbyt silna, nie radziłbym drapać się tych dziewięćdziesiąt siedem schodów, ściśle połowę słynnej katedry mediolańskiej. Jest się czym zmęczyć nawet dla osoby zdrowej, tym bardziej że się idzie zgięty we dwoje, o ile się nie chce rozbić głowy, i zgarnia się ubraniami wszystkie pajęczyny na schodach. W każdym razie, musiałaby pani dobrze głowę zawinąć — dodał (nie spostrzegając oburzenia, o jakie ciotkę przyprowadziła myśl, że byłaby zdolna wyjść na wieżę) — bo skoro się jest na górze, są tam straszliwe przeciągi! Niektóre osoby twierdzą, że uczuły tam chłód śmierci. Mimo to w niedzielę zdarzają się zawsze towarzystwa, które przybywają nawet z bardzo daleka, aby podziwiać piękność panoramy i które wracają zachwycone. Ot, w przyszłą niedzielę, jeżeli pogoda się utrzyma, spotka pani tam z pewnością ludzi, bo mamy krzyżowe dni. Trzeba zresztą przyznać, że ma się stamtąd widok czarodziejski, rzut oka na dolinę, coś zupełnie osobliwego. Kiedy czas jest piękny, można widzieć aż do Verneuil. Zwłaszcza ogląda się naraz rzeczy, które zazwyczaj można widzieć tylko oddzielnie, jak bieg Vivonne i rowy w Saint-Assise-lés-Combray, od których rzekę oddziela niby kurtyna wielkich drzew; lub wreszcie rozmaite kanały w Jouy-le-Vicomte (*Gaudiacus vice comitis*, jak pani wiadomo). Za każdym razem, kiedy się wybrał do Jouy-le-Vicomte, widziałem kawałek kanału; potem, kiedy skręciłem w ulicę, widziałem drugi, ale wówczas nie widziałem poprzedniego. Daremnie skupiałem je razem w myśli, to nie robiło wielkiego wrażenia.

¹²nazywają (...) w pewnych prowincjach Saint-Illiers, Saint-Héliér, a nawet w Jura Saint-Ylie — w późniejszych wyd. poprawiono tłumaczenie tego fragmentu: „nazywają (...) w pewnych prowincjach świętym Hilierem, świętym Helierem, a nawet w Jurze świętym Ilią”. [przypis edytorski]

¹³Saint-Eloi — Święty Eligiusz. [przypis edytorski]

Z wieży św. Hilarego to co innego: widać całą sieć obejmującą to miasteczko. Tylko nie rozpoznaje się wody; ot, powiedziałby kto, wielkie szczeliny przecinające miasto na części, niby ciasto, którego kawałki trzymają się z sobą, mimo że są już rozcięte. Na dobrą sprawę, trzeba by być razem na wieży św. Hilarego i w Jouy-le-Vicomte.

Proboszcz tak zmęczył ciotkę, że ledwo odszedł, musiała odprawić Eulalię.

— Masz, moja dobra Eulalio, — rzekła słabym głosem, wydobywając pieniądź z sakiewki, którą miała pod ręką — weź abyś nie zapomniała o mnie w swoich modłach.

— Och, pani Oktawowo, ja nie wiem, czy ja powinnam, wie pani dobrze, że ja nie dlatego przychodzę! — mówiła Eulalia za każdym razem z tym samym zakłopotaniem, co gdyby to był pierwszy raz; a także z pozornym niezadowoleniem, które bawiło ciocię Leonię, ale nie było jej przykre, bo jeżeli którego dnia Eulalia, biorąc pieniądź, miała minę nieco mniej zgorzowaną niż zwykle, ciocia mówiła:

— Nie wiem, co się stało Eulalii, dałam jej to samo co zawsze i nie wydawała się zadowolona.

— Myślę przecie, że nie powinna się skarżyć — wzdychała Franciszka, która była skłonna uważać za drobiazg wszystko, co ciocia Leonia dawała jej albo jej dzieciom, a za skarby szaleńczo roztrwonione dla niewdzięcznej uważała monetę wsuniętą każdej niedzieli w rękę Eulalii, ale tak dyskretnie, że nigdy Franciszka nie zdołała jej sprawdzić. To nie znaczy, aby Franciszka pragnęła dla siebie pieniędzy, które ciocia dawała Eulalii. Cieszyła się dostatecznie tym, co ciocia posiadała, wiedząc, że bogactwa pani równocześnie podnoszą i upiększają w oczach wszystkich jej służącą i że ona, Franciszka, jest osobą znaczną i szanowaną w Combray, Jouy-le-Vicomte i innych miejscach, szanowaną za liczne folwarki cioci Leonii, za częste i długie wizyty proboszcza, za niezwykle ilości spotrzebowanych flaszek Vichy. Była skąpa jedynie za ciocię; gdyby zawiadowała jej majątkiem, co byłoby jej marzeniem, uchroniłaby ją od cudzych zamachów z macierzyńską zachłannością. Nie widziała by zresztą nic bardzo złego w tym, gdyby ciocia, której nieuleczalną hojność znała, rozdawała majątek — byleby tylko ludziom bogatym. Może myślała, że ci, nie potrzebując podarków cioci Leonii, nie mogą być podejrzani o to, że ją kochają interesownie. Zresztą podarki czynione osobom bardzo zamożnym — jak pani Sazerat, pan Swann, pan Legrandin, pani Goupil — osobom „tej samej klasy” co ciocia Leonia i które „dobrze pasowały razem”, były dla niej częścią obyczajów owego dawnego i świetnego życia bogaczy, którzy polują, wyprawiają bale, składają sobie wizyty i których podziwiała z uśmiechem. Ale inna sprawa, jeżeli korzystający z hojności cioci byli z tych, których Franciszka nazywała „ludzie tacy jak ja, ludzie, którzy nie są nic lepszego niż ja” i którymi gardziła najbardziej, chyba że ją nazywali „panią Franciszką” i uważali się za „coś gorszego od niej”. I kiedy ujrzała, że mimo jej rad, ciocia rządzi się swoim zdaniem i że wyrzuca pieniądze — tak przynajmniej Franciszka sądziła — dla osób niegodnych, podarki, które ciocia robiła jej samej, zaczęła uważać za nikłe, w porównaniu z urojonymi sumami dawanymi Eulalii. Nie było w okolicach Combray tak znacznego folwarku, którego by, zdaniem Franciszki, Eulalia nie mogła sobie z łatwością kupić za wszystko, co jej przynoszą te wizyty. Prawda, że Eulalia w ten sam sposób szacowała niezmierzone i ukryte bogactwa Franciszki. Zazwyczaj, kiedy Eulalia już poszła, Franciszka opatrywała jej osobę mocno krytycznym komentarzem. Nienawidziła Eulalii, ale się jej bała i uważała za konieczne w oczy okazywać jej „przychylną twarz”. Odbijała to sobie po odejściu Eulalii, nie wymieniając jej co prawda, ale wygłaszając sybilińskie wyrocznie albo zdania o charakterze ogólnym jak u Eklezjasty, których znaczenie nie mogło mieć dla cioci tajemnic. Sprawdziwszy spoza firanki, czy Eulalia zamknęła drzwi: „Podchlebcy umieją wkraść się w łaski i zgarniać majątki; ale cierpliwości, pan Bóg wszystkich ich kiedyś pokarze” — powiadała z kosym spojrzeniem i z intencją Joasa myślącego wyłącznie o Atalii, kiedy powiada:

Szczęście złych niby potok górski spłynie.

Ale kiedy proboszcz był również i kiedy jego niekończąca się wizyta wyczerpała siły ciotki, Franciszka wychodziła z pokoju za Eulalią mówiąc:

— Niech teraz pani sobie odpocznie, bardzo mi coś panią zmęczyli.

Sluga, Pieniądź, Bogactwo,
Zazdrość

I ciocia nawet nie odpowiadała, wydając westchnienie, które zdawało się ostatnim, z zamkniętymi oczami, jak umarła. Ale ledwo Franciszka zeszała, rozlegały się z największą gwałtownością cztery dzwonki i ciocia, siedząc na łóżku, wołała:

— Czy Eulalia już poszła? Wyobraź sobie, zapomniałam jej spytać, czy pani Goupil zdążyła na mszę przed podniesieniem! Biegnij prędko za nią.

Ale Franciszka wracała nie zdoławszy dogonić Eulalii.

— To fatalne — mówiła ciocia, potrząsając głową. — Jedyna ważna rzecz, o jaką miałam się jej spytać!

Tak sływało życie cioci Leonii, zawsze jednakie, w słodkiej jednostajności tego, co z udaną wzgardą i głęboką czułością nazywała swoim „biedowaniem”. Chronione przez wszystkich nie tylko w domu, gdzie każdy, przekonawszy się o daremności radzenia jej lepszej higieny, zgodził się pomału szanować ten tryb życia, ale i w miasteczku, gdzie o trzy ulice od nas chłopak, zanim się wziął do zabijania pak, kazał się pytać Franciszki, czy ciocia Leonia nie „odpoczywa” — *biedowanie* to zostało wszelako zmacone tego roku. Niby ukryty owoc, który dojrzał niespostrzeżony przez nikogo i spadł sam z drzewa, przyszło jednej nocy rozwiązanie dziewczyny kuchennej. Męczyła się straszliwie, że zaś nie było akuszerki w Combray, Franciszka musiała pojechać przededniem po akuszerkę do Thiberzy. Z powodu krzyków pomywaczki ciotka nie mogła *odpoczywać* i bardzo brakowało jej też Franciszki, która mimo niewielkiej odległości wróciła aż późno. Toteż matka rzekła rano do mnie:

— Idź, zajrzyj, czy ciocia nie potrzebuje czego.

Wszedłem do pierwszego pokoju i przez otwarte drzwi ujrzałem ciocię, która, leżąc na boku, spała; usłyszałem, jak lekko chrapie. Miałem po cichu odejść, ale widocznie hałas moich kroków wmieszał się w jej sen i „zmienił jego szybkość”, jak mówi się o samochodach, bo muzyka chrapania urwała się na chwilę i rozpoczęła się o ton niżej. Potem ciocia obudziła się i obróciła nieco twarz, którą mogłem ujrzeć wówczas. Twarz wyrażała jakby grozę; ciocia miała najwidoczniej okropny sen; nie mogła mnie widzieć w tej pozycji, a ja stałem, nie wiedząc, czy mam postąpić, czy oddalić się; ale już zdawało mi się, że wróciła do poczucia rzeczywistości i poznała kłamstwo widzeń, które ją przestraszyły; uśmiech radości, pobożnej wdzięczności Bogu, który pozwala, aby życie było mniej okrutne niż sny, oświecił słabo jej twarz. Przyzwyczajona mówić do siebie półgłosem, kiedy myślała, że jest sama, szepnęła:

— Bogu niech będzie chwała, to całego zmartwienia tylko tyle, że kuchta rodzi. A już mi się śniło, że mój biedny Oktaw zmartwychwstał i chciał, żebym co dzień chodziła na spacer!

Ręka jej sięgnęła do różańca leżącego na stoliczku, ale ogarniający ją sen nie zostawił jej siły na ujęcie go; zasnęła z powrotem uspokojona, a ja Wyszedłem na palcach, tak że ani ciocia, ani nikt inny nie dowiedzieli się, com usłyszał.

Kiedy mówię, że poza wypadkami bardzo rzadkimi jak ten poród, tryb życia cioci nie ulegał nigdy zmianie, nie mówię o tych zmianach, które, zawsze jednakie, powtarzając się w prawidłowych odstępach, wprowadzały w jednostajność jedynie rodzaj wtórnej jednostajności. Na przykład w każdą sobotę, kiedy Franciszka szła popołudniu na targ do Roussainville-le-Pin, śniadanie było dla wszystkich o godzinę wcześniej. I ciocia tak się przyzwyczaiła do tego cotygodniowego odstępstwa od swoich nawyków, że zrosła się z tym zwyczajem tyleż co z innymi. Tak dalece „włożyła się w to”, jak mówiła Franciszka, że gdyby jej trzeba było w sobotę czekać na śniadanie zwyczajnej godziny, byłoby ją to tak samo „wytrąciło”, co gdyby musiała innego dnia cofnąć śniadanie do godziny sobotniej. To przesunięcie śniadania dawało zresztą sobocie w oczach nas wszystkich fizjonomię niezwykłą, wakacyjną i dość sympatyczną. W porze, gdy zazwyczaj ma się jeszcze godzinę przed niespodzianką posiłku, w sobotę człowiek wiedział, że za kilka minut ujrzy, jak się zjawiają przedwczesne salsefie¹⁴, protekcyjny omlet, niezasłużony befsztyk. Powrót tej asymetrycznej soboty był jednym z owych drobnych wydarzeń wewnętrznych, lokalnych, prawie społecznych, które w spokojnym życiu i w zamkniętym kółku tworzą rodzaj narodowego węzła i stają się ulubionym przedmiotem rozmów, żartów, opowiadań

Jedzenie, Obrzędy

¹⁴*salsefia* — rodzaj warzywa (odmiana skorzonery), z którego spożywa się korzeń z wyglądu podobny do białej marchwi, smakiem przypominający szparagi. [przypis edytorski]

przesadzonych do woli; byłby gotowym jądrem dla legendarnego cyklu, gdyby ktoś z nas miał zmysł epiczny. Od rana, zanim się ubrali, bez przyczyny, dla rozkoszy odczuwania siły solidarności, jedni mówili do drugich wesoło, kordialnie, patriotycznie: „Nie ma czasu do stracenia, pamiętajmy, że to sobota!”

Ciocia, naradzając się z Franciszką i myśląc, że dzień będzie dłuższy niż zazwyczaj, powiadała: „Może byś im upiekła ładny kawałek cielęciny, skoro to sobota”.

Jeżeli o wpół do jedenastej ktoś roztargniony wydobyl zegarek mówiąc: „No, jeszcze mamy półtorej godziny do śniadania”, wszyscy byli uszczęśliwieni, że mogą mu powiedzieć: „Ale skądże, gdzie ty masz głowę, nie pamiętasz, że to sobota!”; i śmiano się jeszcze w kwadrans potem i przyrzekano sobie opowiedzieć tę dystrakcję cioci, aby ją zabawić.

Nawet oblicze nieba wydawało się zmienione. Po śniadaniu słońce, świadome, że to sobota, wałęsało się godzinę dłużej po sklepieniu nieba, i kiedy ktoś, myśląc, że przecoczono porę przechadzki, powiadał: „Jak to, dopiero druga?” widząc jak przechodzą dwa uderzenia dzwonnicy św. Hilarego (nawykłe nie spotykać jeszcze nikogo na drogach pustych z powodu południowego posiłku lub wypoczynku, wzdłuż żywej i białej rzeki, którą nawet rybak opuścił, i wędrujące samotnie poprzez niebo w stanie spoczynku, kędy zostało jedynie parę leniwych chmur), wszyscy chórem odpowiadali: „Ależ pomyliło ci się, śniadanie było o godzinę wcześniej, wiesz przecie, że to sobota!”

Zdziwienie barbarzyńcy (nazywaliśmy tak wszystkich ludzi nieznających tej odrębności soboty), który, przyszedłszy o jedenastej, aby się zobaczyć z ojcem, zastał nas przy stole, było jedną z rzeczy, które najbardziej w życiu rozweselały Franciszkę. Ale jeżeli wydawało jej się zabawne, iż zaskoczony gość nie wiedział, że my śniadamy wcześniej w sobotę, jeszcze komiczniejsze było dla niej (mimo iż sympatyzowała w głębi serca z tym ciasnym szowinizmem), kiedy ojciec, nie zastanawiając się, że ów barbarzyńca mógł tego nie rozumieć, odpowiadał bez innych wyjaśnień: „Przecie dziś sobota!” Doszedłszy do tego punktu opowiadania, ocierała łzy wesołości i, aby pomnożyć swoją przyjemność, przedłużała dialog, wymyślała rzekomą odpowiedź gościa, któremu ta „sobota” nic nie tłumaczyła. I nie tylko nie skarżyliśmy się na te dodatki, ale nie wystarczały nam one jeszcze i mówiliśmy: „Ale zdawało mi się, że on jeszcze coś powiedział. To było dłużej za pierwszym razem, kiedy Franciszka opowiadała”. Nawet stara ciotka odkładała robótkę, podnosiła głowę i spoglądała przez lorgnon¹⁵.

Sobota miała jeszcze to szczególne, że tego dnia w ciągu całego maja wychodziliśmy po obiedzie, aby iść na nabożeństwo majowe.

Ponieważ spotykaliśmy tam czasami pana Vinteuil, bardzo surowego dla „żałosnego gatunku młodych ludzi zaniedbanych, w duchu dzisiejszej epoki”, matka pilnowała, aby nie było żadnych braków w moim stroju, po czym szliśmy do kościoła. Przypominam sobie, że to przez nabożeństwa majowe zacząłem kochać głogi. Obecne nie tylko w kościele — świętym nad inne, ale do którego mieliśmy prawo wstępu — ustawione na samym ołtarzu, nieodłączne od misteriów, w których obchodzie brały udział, biegły pośród świeczników i poświęcanych naczyń gałęzmi splecionymi w świąteczne girlandy. Gałęziom tym przydawały jeszcze uroku festony liści, na których rozsiane były obficie, niby na trenie panny młodej, bukietki pączków olśniewającej białości. Ale zaledwie śmiałem na nie spoglądać: czułem, że te odświętne przybrania są żywe, i że to natura sama, wystrzygając tak bogato liście, przydając im najpiękniejszy ornament owych białych pączków, uczyniła tę dekorację godną obrzędu, który był zarazem i uciechą ludową, i mistyczną ceremonią. Wyżej otwierały się tu i ówdzie ze swobodnym wdziękiem ich płatki, przytrzymujące nie dbale, niby lekki stroik z gazy, bukiet pręcików delikatnych jak babie lato. I śledząc ten ruch, odtwarzając w sobie samym gest ich kwitnienia, wyobrażałem sobie, jak gdyby to był nieopatrzny i szybki ruch głowy białej dziewczyny, roztargnionej i żywej, rzucającej zalotne spojrzenie spod zmrużonych powiek.

Pan Vinteuil usiadł z córką koło nas. Pochodzący z dobrej rodziny, dawał niegdyś lekcje fortepianu siostrze babki; i kiedy po śmierci żony i po jakimś spadku osiadł w pobliżu Combray, bywał u nas dosyć często. Ale będąc przesadnie drażliwy, przestał nas odwiedzać, aby nie spotkać Swanna, który zawarł, jak to nazywał Vinteuil, „małżeństwo niewłaściwe, w guście dzisiejszej epoki”. Dowiedziawszy się, że komponuje, matka po-

Kwiaty

Artysta

¹⁵*lorgnon* (z fr.) — okulary z rączką do trzymania. [przypis edytorski]

wiedziała mu przez uprzejmość, że kiedy będzie u niego, musi jej zagrać coś ze swoich utworów. Panu Vinteuil byłoby to sprawiło wielką radość, ale posuwał grzeczność i dobroć do takich skrupułów, że stawiając się zawsze w położeniu innych, bał się ich zdudzić i wydać się im egoistą, jeżeli poddał się swojej ochocie lub bodaj pozwolił ją odgadnąć.

W dniu, w którym rodzice wybrali się do niego, towarzyszyłem im, ale pozwolili mi zostać na dworze, że zaś domek pana Vinteuil w Montjouvain znajdował się u stóp zarośniętego wzgórza, gdzie się ukryłem, znalazłem się na równej wysokości z salonem drugiego piętra, o pięćdziesiąt centymetrów od okna. Kiedy oznajmiono rodziców, widziałem, jak pan Vinteuil spieszy się, aby ułożyć w widocznym miejscu na fortepianie nuty. Ale skoro tylko rodzice weszli, zdjął je i schował w kącie. Zapewne zląkł się, że mogliby przypuszczać, iż rad jest ich widzieć jedynie dlatego, aby im przeagrać swoją kompozycję. I za każdym razem, kiedy w ciągu wizyty matka wróciła do tego tematu, on powtarzał kilkakrotnie: „Ależ ja nie wiem, kto to położył na fortepianie, to nie jest miejsce” i odwracał rozmowę na inne przedmioty właśnie dlatego, że go interesowały mniej. Jedyną jego namiętnością była córka; wyglądała na chłopca i zdawała się tak silna, że nie można było się wstrzymać od uśmiechu na widok względów, jakimi ojciec ją otacza, zawsze znajdując jakieś dodatkowe szale, które jej narzucał na ramiona. Babka zwracała uwagę, jaki słodki, delikatny, nieomal lękliwy wyraz przemykał często w oczach tej tak szorstkiej dziewczyny, której twarz usiana była piegami. Kiedy wyrzekła jakie słowo, natychmiast słyszała je uszami tych, do których mówiła, niepokoiła się możliwością nieporozumienia, widziało się, jak na jej męskiej twarzy „dobrego chłopca” błyskają, odcinają się jakby przeświecające subtelniejsze rysy zapłakanej młodej dziewczyny.

Kiedy w chwili wyjścia z kościoła ukląknęłam przed ołtarzem, uczułam nagle, wstając, że z głogów wydziela się gorzki i słodki zapach migdałów; zauważyłem wówczas na kwiatkach złotawe punkciki, pod którymi wyobrażałem sobie, że musi być ukryty ten zapach, niby pod zapiekаныmi miejscami smak migdałowego kremu albo pod piegami smak policzków panny Vinteuil. Mimo milczącej nieruchomości głogów, ten dorywczy zapach był jak szept ich wzmożonego życia; ołtarz drgał nim niby żywopłot nawiedzony przez żywe macki, które przywodził na myśl widok pręcików prawie rudych, zachowujących jakby wiosenną energię i drażniącą siłę owadów dziś przeobrażonych w kwiaty.

Rozmawialiśmy chwilę z panem Vinteuil przed kruchtą, wychodząc z kościoła. Wmieszaliśmy się między chłopców, którzy się bili na placyku; brał w obronę mniejszych, prawil kazania większym. Kiedy panna Vinteuil oświadczyła swoim grubym głosem, iż rada jest nas widzieć, zaraz zdawało się, że w niej samej jakaś wrażliwsza siostra rumieni się za to odezwanie się roztrzepanego pocziwego chłopca, które mogłoby w nas obudzić myśl, że ona pragnie, abyśmy ją zaprosili do siebie. Pan Vinteuil narzucał jej płaszcz na ramiona, wsiadali do małej bryczuszki, którą ona powoziła sama, i wracali do Mantjouvain. Nazajutrz była niedziela, wstawalo się aż na sumę, zatem jeżeli był księżyc i jeżeli było ciepło, zamiast wracać prostą drogą, ojciec z dumą przewodnika prowadził nas przez Kalwarię na długi spacer, w którym słaba zdolność orientacyjna i topograficzna matki kazała jej widzieć niemal dowód strategicznego geniuszu. Czasami szliśmy aż do wiaduktu, którego kamienne progi zaczynały się od dworca i wyobrażały dla mnie wygnanie i rozpacz, kres cywilizowanego świata, ponieważ co rok w chwili przyjazdu z Paryża zalecano nam dobrze uważać, kiedy będzie Combray, nie przeoczyć stacji, być gotowym zawczasu, bo pociąg rusza po dwóch minutach i zapuszcza się wiaduktem poza kraje chrześcijańskie, których Combray znaczyło dla mnie ostateczną granicę.

Wracaliśmy aleją Dworcową, gdzie znajdowały się najładniejsze wille w gminie. W każdym ogrodzie blask księżycy, niby na obrazach Huberta Robert, rozrzucał połamane stopnie z białego marmuru, wodotryski, uchylone furtki. Blask księżycy zburzył biuro telegraficzne. Została zeń jedynie kolumna na wpół złamana, ale zachowująca piękność nieśmiertelnej ruiny. Wlokłem nogi, upadałem z senności, zapach lip nasycający powietrze wydawał mi się jakby nagroda, którą można było uzyskać jedynie za cenę największego zmęczenia i niewartą tej ceny. Z nielicznych ogródków, psy zbudzone naszymi samotnymi krokami nawoływały się szczekaniem; zdarza mi się niekiedy jeszcze słyszeć je wieczorem, a między nie musiała się schronić aleja Dworcowa (kiedy na jej miejscu stworzono w Combray publiczny ogród), bo gdziekolwiek się znajdę, z chwilą, gdy te

Kwiaty, Zapach

Droga, Noc

szczekania zaczął się rozlegać i odpowiadać sobie, widząc aleję z jej lipami i z chodnikiem oświetlonym przez księżyc.

Naraz ojciec zatrzymywał nas i pytał matki: „Gdzie jesteście?” Wyczerpana wędrówką, ale dumna z niego, wyznawała mu tklawie, że nie ma pojęcia. Wzruszał ramionami i śmiał się. Wówczas, tak jakby wydobył z kieszeni wraz z kluczem tylną furtkę ogrodu, pokazywał ją nam stojącą przed nami; rzekłbyś, przybyła wraz z rogiem ulicy św. Ducha, aby nas oczekiwać na końcu tych nieznananych dróg. Matka powiadała z podziwem: „Ty jesteś nadzwyczajny!” I począwszy od tej chwili nie potrzebowałem już robić ani kroku, ziemia szła za mną w tym ogrodzie, gdzie od tak dawna moim czynnościami przestała towarzyszyć świadoma uwaga: *przywyczenie* brało mnie w swoje ramiona i niosło mnie jak małe dziecko do łóżka.

Sobota, która zaczynała się o godzinę wcześniej i odrywała Franciszkę, mijala dla ciotki Leonii wolniej niż każdy inny dzień; mimo to, od początku tygodnia oczekiwała niecierpliwie jej powrotu, jakby ten dzień zawierał wszelką nowość i rozrywkę, jaką było jeszcze zdolne znieść jej wycieńczone i pomyłone ciało. Nie znaczy to, aby nie wdychała chwilami do jakiej wielkiej zmiany, aby nie miała owych wyjątkowych godzin, w których łaknie się czegoś innego niż to, co jest, i kiedy ci, którym brak energii albo wyobraźni nie pozwala zdobyć z samych siebie czynnika odnowy, żądają od nadchodzącej minuty, od dzwonka listonosza, aby im przyniosły coś nowego, choćby gorszego, wzruszenie, boleść. Wówczas wrażliwość, której szczęście kazało zmiłknąć niby bezczynnej harfie, chce odbrzmiewać pod jakąś ręką, choćby brutalną i choćby miała pęknąć od tego; wola, która z takim trudem zdobyła prawo oddania się bez przeszkód swoim pragnieniom, swoim bólowi, chciałaby rzucić lejce w ręce przemożnych wypadków, choćby miały być okrutne. Bez wątpienia, ponieważ siły ciotki Leonii, odmawiające usług przy najmniejszym zmęczeniu, wracały jej jedynie kroplami na łonie spoczynku, zbiornik napełniał się bardzo długo; mijaly miesiące, zanim zyskała ten lekki nadmiar, który inni wyładowują w energii działania, a którego ona ani wiedziała, jak użyć ani mogła się zdecydować na jego użycie. Ot, zastąpić kartofle tłuczone kartoflami z beszamelem, aby z tym większą radością wrócić po jakimś czasie do tłuczonych kartofli, które jej „nie nużyły”. Ale podejrzewam, że z kumulacji jednostajnych dni, do których była tak przywiązana, ciocia Leonia czerpała oczekiwanie jakiegoś domowego kataklizmu, ograniczonego do jednej chwili, ale takiej która by ją zmusiła do czynu: wówczas dokonałaby może raz na zawsze jednej z owych zmian, których zbawienność uznawała, a na które sama z siebie nie mogła się zdobyć. Kochała nas prawdziwie, znajdowałaby przyjemność w tym, aby nas oplakiwać. Gdyby tak w chwili, gdy czuła się dobrze i nie była spocona, zjawiła się wiadomość, że dom jest pastwą pożaru i żeśmy wszyscy zginęli i że niebawem nie zostanie ani jeden kamień tych murów, z których jednak ona będzie miała czas uciec bez pośpiechu pod warunkiem, że wstanie natychmiast? W marzeniu tym korzyści uboczne — iż może się napawać w długim żalu całą swoją czułością dla nas i być przedmiotem zdumienia miasteczka, gdy będzie prowadziła nasz kondukt, mężna i przybita, umierająca, ale trzymająca się dzielnie — łączyły się z korzyścią o wiele cenniejszą, że ją to zmusi w dobrym momencie, bez chwili czasu do stracenia i bez możliwości denerwujących wahań, spędzić lato w jej ładnej posiadłości Mirougrain, gdzie był wodospad.

Nigdy nie zdarzył się żaden tego rodzaju wypadek, którego z pewnością ciocia Leonia obliczała szanse, siedząc pogrążona w nieskończonych pasjansach. Gdyby się nawet zdarzył, przywiódłby ją od pierwszej chwili do rozpaczliwej realnej prawdą drobnych nieprzewidywanych faktów, niepodobnym do zapomnienia akcentem słów zwiastujących złą nowinę, wszystkimi znamionami śmierci rzeczywistej, bardzo różnej od jej logicznej i oderwanej możliwości. Aby więc uczynić od czasu do czasu swoje życie bardziej interesującym, ciocia poprzestawała na katastrofach urojonych, które wprawiała w ruch i śledziła z namiętnością. Lubiła nagle przypuszczać, że ją Franciszka okrada, że ona się ucieka do podstępów, aby się o tym przekonać, że ją łapie na gorącym uczynku. Przywyczenia, kiedy grała sama ze sobą w karty, grać równocześnie za siebie i za przeciwnika, sama wkładała w usta Franciszce mętne usprawiedliwienia i odpowiadała na nie z takim ogniem i oburzeniem, że kiedy ktoś z nas wszedł w tej chwili, zastawał ją całą spoconą, z błyszczącymi oczami, z fałszywym kokiem przekrzywionym i odsłaniającym jej tyse czoło. Franciszka słyszała może czasami z sąsiedniego pokoju gryzące sarkazmy, które ciocia zwracała do niej,

Choroba, Katastrofa,
Marzenie, Czyn

Sługa, Pan, Król

a których obmyślanie nie byłoby przyniosło dostatecznej ulgi, gdyby zostały w postaci całkowicie niematerialnej i gdyby ciocia nie przydała im realności, mruczając je półgłosem.

Czasami nawet ten „teatr w łóżku” nie wystarczał cioci; chciała wystawiać swoje sztuki. Wówczas jednej niedzieli, zamknąwszy tajemniczo wszystkie drzwi, powierzała Eulalii wszystkie swoje wątpliwości co do uczciwości Franciszki, swoją intencję pozbycia się służącej; innym razem Franciszce swoje podejrzenia co do dwulicowości Eulalii, którą trzeba będzie niebawem wyrzucić; w kilka dni później brzydziła sobie swoją wczorajszą powiernicę i kumała się ze zdrajczynią, przy czym na następne przedstawienie powiernica i zdrajczyni miały odmienić role.

Ale podejrzenia, które mogła w niej czasami budzić Eulalia, były jedynie słomianym ogniem i gasły szybko dla braku pożywki, ile że Eulalia nie mieszkała w domu. Inaczej z posądzonymi tyczącymi Franciszki, którą ciocia miała ustawicznie pod tym samym dachem, przy czym z obawy zaziębnienia się w razie opuszczenia łóżka, nie miała odwagi zejść do kuchni i przekonać się, czy podejrzenia jej są uzasadnione. Z czasem umysł jej nie miał już innego zatrudnienia niż starać się zgadnąć, co w każdej chwili Franciszka może robić i starać się ukryć to przed nią. Zważała najulotniejsze drgnienia jej twarzy, najmniejszą sprzeczność w słowach, cień jakiejś intencji. I okazywała jej, że ją zdemaszkowała — pokazywała to jednym słowem, od którego Franciszka bladła; i czyniła sobie okrutną zabawę z tego, aby to słowo znaleźć i wbić je w serce nieszczęśliwej. I następnej niedzieli rewelacja Eulalii — jak owe odkrycia, które otwierają nagle nieoczekiwane pole dla rodzącej się wiedzy, wlokącej się utartą koleiną — dowodziła cioci, że jej domysły były jeszcze o wiele poniżej prawdy.

— Ale Franciszka musi to wiedzieć teraz, że jej pani dała powóz.

— Ja jej dałam powóz! — krzyczała ciocia.

— Och, ja nie wiem, ja myślałam, widziałam ją jak teraz rozbija się powozem, dumna jak ten Herod, jadąc na targ do Roussainville. Myślałam, że to pani Oktawowa jej darowała.

Z czasem Franciszka i ciocia Leonia, niby zwierzę i myśliwiec, żyły już tylko tym, że wzajem uprzedzały swoje podstępny. Matka bała się, aby się we Franciszce nie rozwinęła prawdziwa nienawiść do cioci Leonii, która obrażała ją najciężej, jak mogła. W każdym razie Franciszka przywiązywała coraz baczniejszą uwagę do najmniejszego słowa, do najłżejszego gestu cioci. Kiedy miała się jej o coś spytać, długo wahała się, w jaki sposób przystąpić do tego. I kiedy przedstawiła swoją petycję, obserwowała ukradkiem ciocię, starając się odgadnąć z jej twarzy, co ona pomyślała i co zdecyduje. Ten i ów artysta, czytając pamiętniki z XVII wieku i pragnąc zbliżyć się do wielkiego króla, sądzi, że obrał najwłaściwszą drogę, fabrykując sobie rodowód wiodący go od historycznych figur lub podtrzymując korespondencję z którymś z dzisiejszych monarchów; i właśnie obraca się plecami do tego, czego błędnie szuka w formach identycznych, tym samym martwych. Natomiast stara dama z prowincji, która poddaje się po prostu i szczerze swoim nieodpartym maniom oraz złośliwości zrodzonej z próżniactwa, może ujrzyć — nie pomyślawszy nigdy o Ludwiku XIV — jak najbłahsze wydarzenia dnia, tyczące jej wstania, śniadania, spoczynku, przybierają przez swoje despotyczne dziwactwa coś z tego co Saint-Simon nazywa „mechaniką” życia w Wersalu. I ciocia Leonia mogła być przekonana, że każde jej milczenie, odcień dobrego humoru lub dąsu na jej fizjonomii są dla Franciszki przedmiotem komentarza równie namiętnego, równie trwożliwego jak milczenie, dobry humor, wyniosłość króla były źródłem wzruszeń dla dworzanina lub nawet dla największych panów, kiedy na zakręcie alei w Wersalu wręczali suplikę.

Jednej niedzieli, kiedy ciocia miała jednoczesną wizytę proboszcza i Eulalii i potem odpoczywała, zasłiśmy wszyscy, aby jej powiedzieć dobranoc, przy czym mama wyrażała jej współczucie z powodu złej doli, która zawsze sprowadza gości o tej samej porze:

— Wiem, że znowu wizyty źle wypadły, Leonio — rzekła łagodnie — znów zesłi się wszyscy twoi goście naraz...

Cioteczna babka przerwała jej, mówiąc: „Od przybytku”... bo od czasu jak córka jej była chora, uważała, że trzeba ją krzepić, przedstawiając jej każdą rzecz z dobrej strony. Ale ojciec rzekł swoje:

— Chcę skorzystać — rzekł — z tego, że cała rodzina jest zebrana, aby wam coś opowiedzieć i nie musieć powtarzać każdemu. Boję się, żeśmy czymś urazili pana Legrandin; ledwo się dziś ze mną przywitał.

Nie dosłuchałem opowiadania ojca, bo właśnie towarzyszyłem mu po mszy, kiedyśmy spotkali pana Legrandin; zeszedłem tedy do kuchni spytać o menu, które co dnia bawiło mnie niby nowiny w dzienniku i podniecało mnie jak program zabawy. Kiedy pan Legrandin mijał nas wychodząc z kościoła przy boku okolicznej damy, którą znaleźliśmy tylko z widzenia, ojciec uklonił mu się zarazem przyjaźnie i ceremonialnie, nie zatrzymując się. Pan Legrandin ledwie się odklonił ze zdziwioną miną, tak jakby nas nie poznawał, z owym spojrzeniem właściwym osobom, które nie chcą być uprzejme i które z przedłużonej nagle głębi oczu patrzą jakby was spostrzegli gdzieś na skraju nieskończonej drogi i na tak wielką odległość, że poprzestają na lekkim skinieniu głowy, aby je dostosować do waszych miniaturowych proporcji.

Dama, której towarzyszył Legrandin, była to osoba cnotliwa i szanowana; nie mogło być mowy o tym, aby go coś z nią łączyło i aby był zakłopotany tym, że go „nakryto”; toteż ojciec pytał sam siebie, czym mógł narazić się panu Legrandin.

— Tym bardziej byłoby mi przykro gdybym go uraził — rzekł ojciec, — że pośród wszystkich tych wykrochmalonych figur on ma w swojej kurteczce, w swoim niedbałym fontaziu, coś tak swobodnego, tak szczerze naturalnego, naiwnego prawie, co mi jest na wskroś sympatyczne.

Ale rada rodzinna uznała jednogłośnie, że musiało się ojcu coś przywidzieć lub że Legrandin musiał być w tej chwili pochłonięty jakąś myślą. Zresztą obawa ojca rozwiązała się nazajutrz wieczór. Kiedyśmy wracali z dalekiej przechadzki, spostrzegliśmy koło Starego Mostu Legrandina, który, korzystając ze świąt, został kilka dni w Combray. Podszedł do nas z wyciągniętą prawicą:

— Czy zna pan, młody pożeracz książek — spytał — ten wiersz Pawła Desjardins:

Las już jest czarny, błękitne jeszcze niebo...

Czy to nie jest subtelny obraz tej właśnie godziny? Nie czytałeś może nigdy Pawła Desjardins. Czytaj go, dziecię; dziś zmienił się on podobno w kaznodzieję, ale przez długi czas był to nieskazitelny akwarelista...

Las już jest czarny, błękitne jeszcze niebo...

Niechaj niebo zawsze zostanie dla ciebie błękitne, młody przyjacielu; i nawet w godzinie, która nadchodzi dla mnie teraz, kiedy las jest już czarny, kiedy noc zapada szybko, pocieszysz się jak ja, patrząc w stronę nieba.

Wyjął z kieszeni papierosa i długo trwał z oczyma wlepionymi w dal.

— Bywajcie, towarzysze! — rzekł nagle i opuścił nas.

W chwili kiedy zaszedłem dowiedzieć się o menu, obiad był już rozpoczęty i Franciszka, rozkazując siłom przyrody zmienionym w jej pomocnice — niby w feeriach, w których olbrzymy pełnią funkcje kucharzy — poruszała węgle, stawiała na parze kartofle, wykończyła ogniem arcydzieła kulinarne zawczasu przygotowane we właściwych naczyniach, przebiegających skalę od wielkich kadzi, garnków, garnuszków i wanien na ryby aż do kamionek na dziczyznę, forem na ciasto, garnuszków na śmietankę, przechodząc przez kompletną kolekcję rondli wszystkich wymiarów. Oglądałem na stole, gdzie dziewczyna łuskała groszek, ułożone szeregiem zielone kulki — niby do jakiejś gry; ale zachwyty mój wzmógł się wobec szparagów, nasyconych ultramarzyną i różowością, a których pręt, delikatnie pocętkowany fioletem i lazurem, blednie nieznacznie w iryzacjach niebędących z ziemi, aż do stóp, jeszcze powalanych glebą, w której tkwiły. Zdawało mi się, że w tych niebiańskich odcieniach demaskują się rozkoszne istoty, które dla zabawy przedzierzgnęły się w jarzyny, ale poprzez kostium swego jadalnego i jędrnego ciała, w owych kolorach rodzącej się jutrzeńki, w owych szkicach tęczy, w owym zamieraniu błękitnych wieczorów, objawiają swoją szacowną esencję. Poznawałem ją jeszcze, kiedy, przez całą noc po owym obiedzie, zabawiały się w swoich psotach — poetycznych i grubych niby feeria Szekspira — tym, aby zmienić mój nocnik w naczynie wonności.

Biedna Caritas Giotta, jak ją nazywał Swann, obarczona przez Franciszkę zadaniem obierania szparagów, miała je koło siebie w koszyku; twarz jej była bolesna, jak gdyby odczuwała wszystkie niedole ziemi; a lekkie wianki lazuru, przepasujące szparagi ponad ich różnymi tunikami, rysowały się delikatnie, gwiazda w gwiazdkę, tak jak na fresku kwiaty okalające czoło Cnoty padewskiej lub ułożone w jej koszyku. A przez ten czas Franciszka obracała na różnie kurczęta, które tylko ona umiała tak upiec, a które niosły daleko na Combray zapach jej zalet. Kiedy je Franciszka podawała na stół, byłem skłonny wierzyć, że dominującą cechą jej charakteru jest łagodność, ile że aromat tego mięsa, które umiała uczynić tak miękkim i soczystym, był dla mnie jedynie swoistym zapachem jednej z jej cnot.

Ale dzień, w którym (podczas gdy ojciec przedkładał radzie rodzinnej sprawę pana Legrandin) zeszedłem do kuchni, był jednym z dni, gdy Caritas Giotta, bardzo chora od swego niedawnego porodu, nie mogła wstać; Franciszka, pozbawiona pomocy, spóźniła się. Kiedyś się znalazł na dole, była w trakcie zabijania kurczęcia. Jego rozpaczliwy a bardzo naturalny opór — oraz towarzyszące mu krzyki podniecone Franciszki, która siliła się przeciąć kurczakowi szyję pod uchem i krzyczała: „paskudne bydlę! paskudne bydlę! — stawiały świętą słodycz i namaszczenie naszej służącej w nieco mniej jasnym świetle, niżby to uczyniło, w czasie jutrzejszego obiadu, to samo kurczę, swoją skórą haftowaną złotem na kształt ornatu i swoim szacownym sokiem kapiącym niby z cyborium. Kiedy kurczę było martwe, Franciszka zebrała krew, której upływ nie zdołał zgasić jej urazy; jeszcze w ataku gniewu, patrząc na trupa swego wroga, rzekła ostatni raz: „Paskudne bydlę!”

Wyszedłem cały drżący; byłbym chciał, aby Franciszkę zaraz wyrzuciono ze służby. Ale kto by mi przyrządzał pączki takie ciepłe, kawę tak pachnącą, a nawet... takie kurczęta?... I w istocie wszyscy jak ja musieli robić ten sam podły rachunek. Bo ciotka wiedziała — czego ja jeszcze nie wiedziałem — że Franciszka, która dla swojej córki, dla siostrzeńców, oddałaby życie bez skargi, była dla innych istot szczególnie twarda. Mimo to ciotka trzymała ją, bo, o ile znała jej okrucieństwo, ceniła jej usługi. Spostrzegłem pomału, że słodycz, takt, cnoty Franciszki kryły niejedną tragedię kuchenną; tak jak historia odkrywa, że panowanie królów i królowych, którzy figurują ze złożonymi dłońmi w witrażach kościelnych, znaczyło się krwawymi wypadkami. Zdałem sobie sprawę, że poza jej krewieństwem¹⁶, nieszczęścia ludzkie budzą we Franciszce tym więcej litości, im dalej ci ludzie znajdują się od niej. Strumienie łez, jakie lała nad niedolami obcych, czytając gazetę, wysychały szybko, kiedy mogła sobie wyobrazić nieco ściślej osobę będącą przedmiotem współczucia. Którejś nocy po swoim porodzie dziewczyna kuchenna dostała straszliwych boleści; mama usłyszała jej jęk, wstała i obudziła Franciszkę, która, bez śladu wzruszenia, oświadczyła, że wszystkie te krzyki to czysta komedia i „fochy”. Lekarz, który się bał takiego ataku bólów, założył kartkę w lekarskiej książce (która była w domu) na opisie tych objawów i kazał nam zajrzeć tam, aby znaleźć wskazówki co do pierwszej pomocy. Matka posłała Franciszkę po książkę, zalecając, aby nie zgubiła znaku. Po godzinie Franciszka jeszcze nie wróciła; matka, oburzona, myśląc, że się położyła z powrotem, poleciła mi, żebym sam zobaczył w bibliotece. Zastałem Franciszkę, która chcąc sprawdzić, co oznacza znak, czytała kliniczny opis ataku, szlochając teraz, kiedy chodziło o abstrakcyjnego chorego, którego nie znała. Za każdym bolesnym objawem wyszczególnionym przez autora wykrzykiwała:

— Och! Panno Najświętsza, czy to może być, aby Pan Bóg tak się znęcał nad ludzką istotą? Och! biedactwo!

Ale z chwilą, kiedy ją zwołał i kiedy wróciła do łóżka „Miłosierdzia” Giotta, lzy jej przestały natychmiast płynąć, nie mogła rozpoznać ani tego miłego, dobrze jej znajomego uczucia litości i rozczulenia, które jej często dawała lektura dzienników, ani żadnej przyjemności tego samego gatunku. Znudzona i zirytowana tym, że musiała wstawać o północy dla pomywaczki, znalazła na widok tych samych cierpień, których opis wyciskał jej lzy, jedynie niechętnie pomruki, a nawet krwawe sarkazmy, kiedy myślała, żeśmy już poszli i że jej już nie usłyszymy:

¹⁶krewieństwo (daw.) — krewni, rodzina. [przypis edytorski]

— Nie trza było tego robić, a nie byłaby się dowojowała! A przyjemność swoją miała! niechże teraz nie robi komedii. Musiał ten chłopak nie mieć Boga w sercu, żeby się tryksać z *takim* *coś*. Och, dobrze to mówią w stronach mojej biednej matki:

Kto się w psim kuprze zadurzy.
Temu pachnie pięknie róży.

Kiedy wnuk Franciszki miał trochę kataru, spieszyła w nocy, nawet chora, zamiast się położyć, aby zobaczyć, czy nie potrzebuje czego. Robiła cztery miłe pieszo przededniem, aby zdążyć do swojej roboty. W zamian za to, ta sama miłość swoich i żądza utrwalenia przyszłej wielkości rodu, wyrażały się w stosunku Franciszki do innych służących w stałej zasadzie, aby nie pozwolić żadnemu z nich zadomowić się u ciotki. To była zresztą sprawa jej ambicji, nie dać się nikomu zbliżyć do cioci Leonii. Wołała, nawet kiedy sama była chora, wstać, aby podać wodę Vichy, niż dozwolić kuchcie wstępu do pokoju pani. I jak ten błonkoskrzydły owad obserwowany przez Fabre'a, chcąc, by młode miały po jego śmierci świeże mięso do jedzenia, wzywa pomocy anatomii w swoim okrucieństwie i pochwywszy pająka, przebija mu z cudowną wiedzą i zręcznością centrum nerwowe, od którego zależy ruch łapek, ale nie inne funkcje życia, w ten sposób, że sparaliżowany pająk, koło którego składa jajka, dostarcza larwom, kiedy się rozwina, zwierzyny uległej, nieszkodliwej, niezdolnej do ucieczki i oporu, ale zgoła niezsutej — tak Franciszka, w swoim wytrwałym zamiarze zatrucia pobytu w domu każdej innej słudze, znajdowała przemyślne i nielitościwe sposoby. W wiele lat potem dowiedzieliśmy się, że jeżeli danego roku jedliśmy prawie co dzień szparagi, to dlatego, że ich zapach przyprawiał biedną dziewczynę skazaną na skrobanie ich o napady astmy tak gwałtowne, iż w końcu trzeba jej było odejść.

Niestety, mieliśmy ostatecznie zmienić pojęcie o panu Legrandin. Było to jednej niedzieli, w jakiś czas po spotkaniu na Starym Moście, po którym ojciec musiał wyznać swój błąd. Msza się właśnie kończyła; wraz ze słońcem i hałasem ulicy wdzierало się do kościoła coś tak mało świętego, że pani Goupil, pani Percepied (wszystko osoby, które przed chwilą, w momencie mego spóźnionego przybycia, trwały z oczami pochłoniętymi modlitwą, tak iż mógłbym nawet przypuszczać, że nie widziały, jak wchodzę, gdyby równocześnie nogi ich nie odsunęły lekko ławeczki, która przeszkadzała mi dostać się do krzesła) zaczynały rozmawiać z nami głośno o przedmiotach całkowicie świeckich, jak gdybyśmy już byli na rynku. Naraz na rozpalonym progu bramy kościelnej ujrzeliśmy pana Legrandin górującego nad pstrym zgielkiem targowym; mąż owej damy, z którąśmy go niedawno spotkali, przedstawiał go właśnie żonie innego wielkiego właściciela z okolicy. Twarz Legrandina promieniała nadzwyczajnym ożywieniem i zapałem; złożył głęboki ukłon z następującym ruchem wstecz, który cofnął jego grzbiet poza pierwotną pozycję, a którego musiał go nauczyć mąż jego siostry, pan de Cambremer. Ten nagły ruch spowodował — w kształcie burzliwej i muskularnej fali — odpływ siedzenia pana Legrandin, o którym nie przypuszczałem, że jest tak mięsiste; i nie wiem czemu, to kołysanie się czystej materii, fala na wskroś cielesna, bez śladu uduchowienia, smagana niby burzą odruchem uniżoności, obudziły nagle w moim pojęciu możliwość Legrandina całkiem niepodobnego temu, któregośmy znali. Dama prosiła go, aby coś powiedział jej stangretowi; podczas gdy szedł do powozu, znamię nieśmiałej i nabożnej radości, które ta prezentacja wycisnęła na jego twarzy, trwało na niej jeszcze. Pograżony jak gdyby we śnie uśmiechał się, po czym spieszenie wrócił do damy; że zaś szedł szybciej niż zazwyczaj, ramiona jego wahały się pociesznie; pochłonięty całkowicie sobą, nie troszcząc się o nic poza tym, wyglądał niby martwa i mechaniczna zabawka szczęścia.

Tymczasem wyszliśmy z kościoła i przechodziliśmy koło niego. Był zbyt dobrze wychowany, aby odwrócić głowę; ale utkwił spojrzenie przesycone nagle głęboką zadumą w tak daleki punkt widnokregu, że nie mógł nas widzieć i nie musiał się nam ukłonić. Twarz jego zachowała wyraz prostoty, a skromna i swobodna marynarka wyglądała jak gdyby zabłąkana wbrew woli w sferę znieprawionego zbytku. I fontaż w groszki, poruszany wietrzykiem, dalej bujał na panu Legrandin niby sztandar jego dumnego odosobnienia i szlachetnej niezależności. W chwili gdyśmy zbliżali się do domu, mama spostrzegła, żeśmy zapomnieli tradycyjnego ciasta „świętego Honoriusza” i poprosiła oj-

Sługa, Pan, Okrucieństwo,
Pająk

Służalność, Ciało
Pozycja społeczna

Grzeczność, Obyczaj,
Wzrok, Ucieczka

ca, aby wrócił ze mną i kazał je przynieść. Niedaleko kościoła minęliśmy pana Legrandin, który szedł w przeciwnym kierunku, prowadząc wciąż tę samą damę. Przeszedł koło nas, nie przestając mówić do sąsiadki i kątem błękitnego oka dał nam lekki — poniekąd wewnątrzpowiekowy — znak, który, nie poruszając mięśni jego twarzy, doskonale mógł ująć uwagi towarzyszki. Siłą uczucia starając się skompensować ciasne nieco pole, w które w lazurowym, wypełnionym nami kąciku, wpisał jego wyraz, pan Legrandin rozpałił cały płomień życzliwości, który przekroczył rozbawienie, otarł się o filuterność, wydestylował finezje uprzejmości aż do znaczących mrugnięć, półsłów, domyślników, misteriów porozumienia; w końcu wzbil zapewnienia przyjaźni aż do zakłęb czułości, aż do oświadczeń miłosnych, rozświecając w tej chwili dla nas samych sekretnym i niewidocznym dla swej damy liryzmem swoją rozkochaną żenicę na twarzy z lodu.

Właśnie poprzedniego dnia pan Legrandin prosił rodziców, aby mi pozwolili przyjść doń tego dnia na obiad:

— Przyjdź, młody człowieku, dotrzymać towarzystwa swemu staremu przyjacielowi, powiedział. Pozwól mi odetchnąć niby bukietem, który podróżny przysyła nam z kraju, dokąd już nie wrócimy; pozwól mi odetchnąć z oddali twojej młodości owymi kwiatami wiosny, wśród których i ja chadzałem przed laty. Przyjdź z pierwiosnkiem, z jaskrem, z przylaszczką, przyjdź z kaczeńcem — z których uwity jest wybrany bukiet balzakowskiej flory; ze stokrocią, kwiatem Zmartwychwstania, i z buldenezem¹⁷, który zaczyna wonieć w ogrodzie twojej ciotki, nim jeszcze ostatnie buldeneże stopnieją od wielkanocnych deszczów. Przynieś mi chlubną jedwabną szatę lilii godną Salomona i wielobarwną emalię bratków; ale przyjdź zwłaszcza z chłodnym jeszcze od ostatnich przymrozków wietrzykiem, który rozchylił pierwszą śniegułkę dla dwóch motylków od rana czekających u drzwi.

Zastanawiano się w domu, czy mam iść mimo wszystko na obiad do pana Legrandin. Ale babka nie chciała wierzyć, żeby on był niegrzeczny. „Przynajecie sami, że nosi się bardzo skromnie, bez cienia światowości”. Oświadczyła, że w każdym razie, w najgorszym wypadku, gdyby i był niegrzeczny, lepiej nie okazywać, że się to zauważyło. Co prawda sam ojciec, który najbardziej był podrażniony zachowaniem się pana Legrandin, miał może resztkę wątpliwości co do jego intencji. Miało ono cechy wszelkiego zachowania się lub uczynku, w których zdradza się czyjś głęboki i ukryty charakter: nie wiąże się z jego dawniejszymi słowami, nie możemy go poprzeć świadectwem winnego, który się nie przyzna; zdani jesteśmy na świadectwo naszych zmysłów, co do których — w obliczu tego odosobnionego i mętnego wspomnienia — pytamy się, czy nie były igraszką złydy; tak że takie postęпки — jedyne które mają znaczenie — zostawiają nam często pewne wątpliwości.

Grzeczność

Prawda

Jadłem obiad z panem Legrandin na tarasie; był księżyc.

— Cudowna cisza, nieprawdaż? — mówił. — O sercach zranionych jak moje powieściopisarz, którego przeczyta pan kiedyś, powiada, że przystoi im jedynie cień i milczenie. I widzisz, dziecko, przychodzi w życiu godzina — jesteś jeszcze od niej bardzo daleko — kiedy znużone oczy znoszą już tylko jedno światło, to, które piękna noc, jak dzisiejsza, przyrządza i sączy wraz z mrokiem; kiedy uszy nie mogą już słuchać innej muzyki prócz tej, którą gra blask księżycy na flecte milczenia.

Słuchałem słów pana Legrandin, które mi się zawsze wydawały tak miłe; ale, wzruszony wspomnieniem kobiety, którą ujrzałem niedawno pierwszy raz, i myśląc, teraz kiedy wiedziałem, że Legrandin zna wielki świat w okolicy, że może zna i ją, zebrałem się na odwagę i rzekłem:

— Czy pan zna, proszę pana, księżnę... księstwo de Guermentes?

Zarazem wymawiając to nazwisko, czułem się szczęśliwy, że rozpościeram nad nim jakby jakąś władzę przez sam fakt wyrwania go z mego marzenia i dania mu obiektywnej i dźwięcznej istności.

Ale na to nazwisko „Guermentes” ujrzałem, iż w błękitnych oczach naszego przyjaciela znaczy się mały ciemny punkcik, jak gdyby je przeszył niewidzialny grot, podczas gdy reszta żenicy reagowała wydzielając strumienie lazuru. Obwódka powiek poczerwiała,

¹⁷*buldenez* — fr. *boule de neige*, dosł.: kula śniegu; tu: najpierw użyte jako nazwa kwiatu (dziś: odmiana peonii), a następnie w znaczeniu dosłownym. [przypis edytorski]

obwisła. A usta jego, naznaczone gorzkim faldem, opamiętując się szybciej, uśmiechnęły się — podczas gdy spojrzenie wciąż było bolesne — jak usta pięknego męczennika, którego ciało najeżone jest strzałami: „Nie, nie znam”, rzekł; ale zamiast wyjaśnienia tak prostemu, odpowiedzi tak mało zadziwiającej, dać właściwy im naturalny i potoczny ton, Legrandin wypowiedział je, akcentując każde słowo, pochylając się, skłaniając głowę, z naciskiem mającym zyskać wiarę dla twierdzenia nieprawdopodobnego — jak gdyby fakt, że on nie zna Guermantów mógł być jedynie wynikiem osobliwego trafu — a także z emfazą człowieka, który, nie mogąc zamilczeć przykrej dlań sytuacji, woli ją obwieścić, aby przekonać innych, że to wyznanie nie sprawia mu żadnego kłopotu, że jest łatwe, miłe, swobodne, że sama sytuacja — brak stosunków z Guermantami — mogłaby snadnie być nie koniecznością, ale czymś dobrowolnym, wynikłym z jakiejś tradycji rodzinnej, z zasady moralnej lub z mistycznego ślubu zabraniającego mu specjalnie obcować z Guermantami.

— Nie — podjął, nadając słowom swoistą intonację — nie, nie znam ich, nie chciałem tego, zawsze dbałem o to, aby bronić swojej pełnej niezależności; w gruncie, wie pan, ja jestem kawałek jakobina. Wiele osób nagabywało mnie; powiadano mi, że źle robię, nie bywając w Guermantes, że robię z siebie jakiegoś gbura, odludka. Ale tego rodzaju reputacja nie przeraża mnie; jest tak bliska prawdy! W gruncie kocham w świecie jedynie kilka kościołów, parę ksiązek, kilka obrazów i światło księżycy, kiedy fala twojej młodości niesie do mnie woń kwiatów, których moje stare żrenice już nie dostrzegają.

Nie bardzo rozumiałem, czemu, po to aby nie bywać u ludzi, których się nie zna, trzeba strzec swojej niezależności i w czym mogło to dawać komuś pozór gbura lub odludka. Ale rozumiałem tyle, że Legrandin nie był zupełnie szczery, mówiąc, że lubi tylko kościoły, blask księżycy i młodość; bardzo lubił wielkich panów i czuł się wobec nich tak spłoszony, że nie śmiał zdradzić przed nimi, iż ma przyjaciół mieszczan, synów rejentów lub agentów giełdowych, wołąc, gdyby prawda miała wyjść na jaw, aby to było w jego nieobecności, z dala od niego i zaocznie: Legrandin był snob. Bez wątpienia nie mówił nigdy nic o tym wszystkim w języku, który moi rodzice i ja takeśmy lubili. I kiedy go spytałem: „Czy pan zna Guermantów?”, Legrandin-causeur¹⁸ odpowiadał: „Nie, nigdy nie życzyłem sobie ich poznać”. Na nieszczęście odpowiadał po niewczasie, bo inny Legrandin — którego krył troskliwie w cieniu, którego nie pokazywał, bo ten Legrandin wiedział o naszym Legrandinie, o jego snobizmie, kompromitujące historie — inny Legrandin odpowiedział już raną swego spojrzenia, skurczem ust, nadmierną powagą głosu, tysiącem strzał, którymi nasz Legrandin uczuł się w jednej chwili przesyty i pocętkowany niby święty Sebastian snobizmu: „Och jaką mi ty mękę zadajesz, nie, nie znam Guermantów, nie budź wielkiego bólu mego życia”. Że zaś ten Legrandin-*enfant terrible*¹⁹, ten Legrandin szantażysta, o ile nie miał kwiecistego wysłowienia pierwszego, miał w zamian słowo o wiele bardziej rącze, złożone z tego, co się nazywa „odruchami”, kiedy Legrandin piękności chciał mu nakazać milczenie, tamten już się wygadał i nasz przyjaciel darmo się martwił złym wrażeniem, jakie rewelacje jego sobowtóra mogły sprawić, mógł już jedynie starać się je złagodzić.

I z pewnością to nie znaczy, aby pan Legrandin nie był szczery, kiedy grzmiał przeciw snobom. Nie mógł wiedzieć, przynajmniej sam z siebie, że jest snob. Znamy jedynie namiętności drugich; a jedynie od drugich możemy się dowiedzieć tego, co wiemy o naszych. Na nas działają one w sposób wtórny, przez wyobraźnię, która pod pierwotne pobudki podstawia pobudki zastępcze, przyzwoitsze. Nigdy snobizm Legrandina nie doradzał mu, aby często odwiedzał jakąś księżnę. Zlecał tylko wyobraźni pana Legrandin, żeby mu ukazała tę księżnę jako osobę strojną we wszystkie uroki. Legrandin zbliżał się do księżnej, wierząc iż ulega owemu powabowi rozumu i cnoty, jakiego nie znają bezecne snoby. Jedynie inni wiedzieli, że on był snob; niezdolni bowiem zrozumieć stopniowej pracy jego wyobraźni, widzieli tylko światową zabieglivość Legrandina i jej pierwszą przyczynę.

Obecnie nikt u nas nie miał złudzenia co do pana Legrandin i nasze stosunki bardzo się rozluźniły. Mama bawiła się szczerze za każdym razem, kiedy złapała Legrandina na

¹⁸causeur (fr.) — gawędziarz. [przypis edytorski]

¹⁹enfant terrible (fr.) — dosł.: okropne dziecko; bachor; przen. człowiek niesubordynowany, nieumiejący się zachować, nietaktowny, niedyskretny. [przypis edytorski]

Pozycja społeczna

Sobowtór

grzechu, do którego się nie przyznawał i który dalej nazywał grzechem bez odpuszczenia, na snobizmie. Ojciec nie umiał brać fumów Legrandina tak swobodnie i wesoło; kiedy jednego roku zamierzano posłać mnie na wakacje z babką do Balbec, ojciec rzekł:

— Muszę koniecznie powiedzieć Legrandinowi, że jedziecie do Balbec, aby się przekonąć, czy zaofiaruje się zapoznać was ze swoją siostrą. Z pewnością tego nie pamięta, ale mówił nam, że ona mieszka o dwa kilometry stamtąd.

Babka uważała, że w miejscu kąpielowym trzeba być od rana do wieczora na plaży, oddychać solą i że się nie powinno znać nikogo, bo wizyty i spacerki kradną czas morskemu powietrzu. Prosiła, aby nie mówić panu Legrandin o naszych projektach: już widziała siostrę jego, panią de Cambremer, zjawiającą się w hotelu w chwili, kiedy my będziemy się wybierali na połów ryb i zmuszającą nas do siedzenia w pokoju podczas jej wizyty. Mama śmiała się z jej obaw, myśląc w duchu, że niebezpieczeństwo nie jest tak groźne, że panu Legrandin nie będzie tak spieszo zapoznać nas z siostrą. Ale zanim wspomnieliśmy mu o Balbec, sam Legrandin, nie podejrzewając, abyśmy się kiedy wybrali w tamte strony, wpakował się w pułapkę pewnego dnia, kiedyśmy go spotkali na brzegu Vivonne.

— Dziś wieczór chmury mają fiolet i błękit bardzo piękny, nieprawdaż, druhu? — rzekł do ojca — ten błękit zwłaszcza, bardziej roślinny niż powietrzny, błękit cynerarii, dość niezwykły na niebie. A ta mała różowa chmurka, czy też nie ma barwy kwiatu, goździka albo nenufara? Jedynie nad kanałem la Manche, między Normandią a Bretanią, mogłem robić równie bogate spostrzeżenia co do tego roślinnego królestwa atmosfery. Tam, koło Balbec, w pobliżu miejsc tak dzikich, jest mała zatoka czarująca słodyczą, gdzie zachód słońca właściwy krainie Auge, zachód słońca czerwony i złoty — którym zresztą bynajmniej nie gardzę — jest bez charakteru, nieznaczący; ale w tej wilgotnej i łagodnej atmosferze rozwijają się wieczorem w mgnieniu oka owe bukiety powietrzne, błękitne i różowe — nieporównane — które czasem nie wędzną przez całe godziny. Inne opadają natychmiast i wówczas jeszcze bardziej urocze jest widzieć całe niebo wysłane bezlikiem płatków koloru siarki lub róży. W tej zatoce, zwanej Opalową, złociste plaże wydają się jeszcze bardziej lubie przez to, że są przywiązane, niby jasnowłosa Andromeda, do tych straszliwych skał u sąsiednich zboczy, do tego złowrogiego i słynnego tyłoma rozbiciami brzegu, gdzie co zimę tyle łodzi ginie od gniewu morza. Balbec! najstarszy kościec geologiczny naszego globu, prawdziwe Ar-mor, morze, koniec ziemi, przeklęta kraina, którą Anatol France — czarodziej godny lektury naszego młodego przyjaciela — tak dobrze odmalował, pod jej wiekuistymi mgłami, jako prawdziwy kraj Cymeryjczyków w *Odyssei*. W Balbec zwłaszcza, gdzie już budują się hotele, wyrastające na starożytnym i uroczym gruncie, którego niezdolne są odmienić, cóż za rozkosz mieć o dwa kroki te okolice tak pierwotne, a tak piękne!

— A czy pan zna kogo w Balbec? — rzekł ojciec. — Właśnie ten mały ma tam jechać na dwa miesiące z babką, a może i z moją żoną.

Legrandin, zaskoczony tym pytaniem w chwili, gdy wzrok jego był wlepiony w ojca, nie mógł go odwrócić, ale, wpijając go z każdą sekundą coraz usilniej — i uśmiechając się zarazem smutno — w oczy swego rozmówcy, z wyrazem przyjaźni i szczerości, która nie lęka się patrzeć wprost, zdawał się przesywać jego twarz, tak jakby się stała przezroczysta, i widzieć w tej chwili, o wiele poza nią, żywo zabarwioną chmurę, stwarzającą mu duchowe alibi i pozwalającą mu ustalić, że w chwili, gdy go pytano, czy zna kogo w Balbec, myślał o czym innym i nie słyszał pytania. Zazwyczaj takie spojrzenia ściągają pytanie rozmówcy: „O czym pan myśli?” Ale ojciec, zaciekawiony, podrażniony i okrutny, podjął:

— Czy pan ma jakich przyjaciół w tych stronach, że pan zna tak dobrze Balbec?

Ostatnim rozpaczliwym wysiłkiem uśmiechnięte spojrzenie Legrandina dosięgło maksimum serdeczności, mglistości, szczerości i roztargnienia; ale uważając z pewnością, że nie pozostaje mu nic, jak tylko odpowiedzieć, rzekł:

— Mam przyjaciół wszędzie, gdzie są kępy zranionych, ale niezwykniętych drzew, skupiających się, aby z patetycznym uporem błagać wspólnie nielaskawego nieba, które nie ma nad nimi litości.

— Nie to chciałem powiedzieć — przerwał ojciec, równie uparty jak drzewa, a równie nielitościwy jak niebo. — Pytałem na wypadek, gdyby się cokolwiek zdarzyło mojej teściowej, aby się nie czuła jak na bezludnej wyspie, czy pan tam zna kogo?

Pojedynek, Wzrok, Słowo

— Tam, jak wszędzie, znam wszystkich i nie znam nikogo — odparł Legrandin który nie poddawał się tak szybko — wiele rzeczy i bardzo mało osób. Ale i same rzeczy wydają się tam niby osoby; osoby rzadkiej i delikatnej esencji, zawiedzione przez życie. Czasami jakiś zameczek na stromej skale nad drogą, gdzie się zatrzymał, aby zmieszać swój blady smutek z różowym jeszcze wieczorem, kiedy wschodzi złoty księżyc, a łodzie, które wracają prując pstrą wodę, wznoszą na swoje maszty płomień i stroją się w barwy; czasem zwykły samotny dom, raczej brzydki, z obliczem nieśmiałym, ale romantycznym, który skrywa wszystkim oczom jakąś niezniszczalną tajemnicę szczęścia i melancholii. Ta kraina nierealna — dodał z machiaweliczną subtelnością — ta kraina czystego urojenia, to zła lektura dla dziecka i z pewnością nie ja wybrałbym ją i zalecił memu młodemu przyjacielowi, już tak skłonnemu do smutku, o przewrażliwionym sercu. Klimaty zwierzeń miłosnych i daremnych żalów mogą odpowiadać staremu sceptykowi jak ja, ale zawsze są niezdrowe młodzieży w momencie dojrzewania. Wiercie mi — dodał z naciskiem — wody tej zatoki, na wpół już bretońskiej, mogą mieć działanie kojące (niesprawdzone zresztą) na serce, które już nie jest nietknięte, jak moje; na serce, którego wada już nie da się wyrównać. W twoim wieku, pacholę, nie są wskazane. Dobranoc, sąsiedzi — dodał, żegnając nas z ową wymykającą się nagłością, która mu była właściwa. I, obracając się ku nam z wzniesionym po doktorsku palcem, streścił swoją konsultację: — Nie radzę Balbec przed pięćdziesiątym rokiem, a i to zależy od stanu serca! — krzyknął.

Ojciec zagadywał go jeszcze nieraz później, dręczył go pytaniami; daremne wysiłki! Jak ów uczony oszust, co na sporządzanie fałszywych palimpsestów zużył trud i wiedzę, których setna część byłaby starczyła na to, aby mu zapewnić sytuację zyskowniejszą, ale uczciwą, pan Legrandin, gdybyśmy nastawali jeszcze, byłby w końcu stworzył całą etykę krajobrazu i geografii niebieską dolnej Normandii raczej, niżby przyznał, że o dwa kilometry od Balbec mieszka jego rodzona siostra i niżby się nam ofiarował z listem polecającym. List ten nie byłby tak bardzo przerażał pana Legrandin, gdyby miał absolutną pewność — jaką mógł być mieć w istocie, znając charakter mojej babki — że z niego nie skorzystamy.

Wracaliśmy zawsze wcześniej ze spaceru, aby móc przed obiadem wstąpić do cioci Leonii. Z początkiem sezonu, kiedy dzień kończy się rychło, skorośmy przybywali na ulicę Św. Ducha, widać było jeszcze odbłask zachodu na szybach i wstążkę purpury wzdłuż lasów Kalwarii, odbijającą się dalej w stawie. Czerwień ta, kojarząca się często z dość żywym chłodem, łączyła się w moim umyśle z czerwonością ognia, na którym piekło się kurczę, wróżące mi — po poetycznej przyjemności przechadzki — rozkosz łakomstwa, ciepła i spoczynku. W lecie natomiast, kiedyśmy wracali, słońce nie zachodziło jeszcze; podczas wizyty u cioci Leonii światło jego zniżało się i dotykało okna, więzło między portierami a firanką — rozszczerzone, rozgałęzione, przefiltrowane — inkrustując kawałkami złota cytrynowe drzewo komody, sącząc się z ukosa na pokój, delikatne niby w zaroślach leśnych. Ale w pewne bardzo rzadkie dni za naszym powrotem od dawna już komoda straciła swoje przelotne inkrustacje; kiedyśmy wchodzili w ulicę św. Ducha, nie widać już było na szybach nic z blasków zachodu; staw u stóp Kalwarii postradał swoją czerwień, bywał już opalowy, przesywał go na wskroś długi promień księżyca, który rozszerzał się i drgał wszystkimi zmarszczkami wody. Wówczas, zbliżając się do domu, spostrzegaliśmy jakąś postać w progu, a mama mówiła:

— Mój Boże, to Franciszka czatuje na nas, ciocia jest niespokojna; bo też wracamy bardzo późno!

I nie tracąc czasu na rozbieranie się, szliśmy szybko do cioci Leonii, aby ją uspokoić i dowieść jej, że wbrew temu, co już sobie roiała, nie stało się nam nic: poszliśmy tylko „w stronę Guermites”. Ano, kiedy się pójdzie w tamtą stronę, ciocia wie przecie, że nigdy nie można być pewnym, o której się wróci.

— Widzisz, Franciszko — powiadała ciocia — a ja ci mówiłam, że oni poszli w stronę Guermites. Mój Boże! ależ muszą być głodni! a baranina całkiem musiała wyschnąć od tego czekania. No bo jakże to można wracać o takiej porze! Jak to, naprawdę poszłiście w stronę Guermites?

— Myślałam, żeś ty wiedziała o tym, Leonio — mówiła mama. — Sądziłam, że Franciszka widziała nas jakśmy wychodzili furtką.

Bo dokoła Combray były dwie „strony” przechadzek i tak przeciwne, że zależnie od tego, w którą się miało iść, wychodziło się z domu inną bramą. Jedna to była strona Méséglise-la-Vineuse, którą nazywało się także „stroną Swanna”, bo idąc tam, przechodziło się koło posiadłości pana Swanna; druga — „strona Guermantes”. Z Méséglise-la-Vineuse poznałem co prawda tylko „stronę” i obcych ludzi, którzy zjawiali się w niedzielę, aby spacerować po Combray. Tych nawet ciocia i my wszyscy „nie znaliśmy” i na tej zasadzie określało się ich jako „ludzi z Méséglise”.

Co się tyczy Guermantes, miałem kiedyś poznać je bliżej, ale aż znacznie później. Przez całą moją młodość, o ile Méséglise było dla mnie czymś tak niedostępnym jak widnokrąg, czymś umykającym się oku choćby się jak najdalej szło falistym terenem niepodobnym już do okolic Combray, Guermantes było dla mnie nazwą raczej idealną niż realną, określeniem „strony”, rodzajem terminu geograficznego, abstrakcyjnego jak linia równika, jak biegun, jak Wschód. Iść w stronę Guermantes, aby zejść do Méséglise, lub przeciwnie, wydałoby mi się wówczas wyrażeniem równie pozbawionym sensu jak wziąć się na wschód, aby iść na zachód. Ponieważ ojciec mówił zawsze o stronie Méséglise jak o najpiękniejszej równinie, jaką znał, a o stronie Guermantes jako o typie krajobrazu nadrzecznego, dawałem im — pojmując je w ten sposób jako dwie całości — ową spójność, ową jedność, które są, ściśle biorąc, jedynie tworem naszej myśli. Najmniejsza cząstka obu tych całości wydawała mi się szacowna i wyrażała ich osobliwą doskonałość; wobec nich, nim się przybyło na ich świętą ziemię, czysto materialne drogi, pośród których znajdował się ów ideał równiny, ideał nadrzecznego pejzażu, nie były warte trudu spojrzenia, tak jak dla miłośnika sztuki dramatycznej nie są go warte uliczki sąsiadujące z teatrem. Ale o wiele większą rolę niż odległości kilometrowe grała dla mnie odległość istniejąca między dwiema partiami mózgu, w których myślałem o Méséglise i o Guermantes, coś, co nie tylko oddala dwie rzeczy, ale je dzieli i mieści je na różnym planie. I ta linia demarkacyjna stawała się tym wyraźniejsza, ponieważ zwyczaj nasz, aby nigdy nie chodzić w dwie strony jednego dnia, ale zawsze raz w stronę Méséglise, inny raz w stronę Guermantes, zamykał je, aby tak rzec, daleko od siebie, niepoznawalne dla siebie wzajem, w szczelnych i pozbawionych komunikacji z sobą naczyniach dwóch różnych popołudni.

Kiedy się chciało iść w stronę Méséglise, wychodziło się (nie za wcześnie i nawet kiedy było pochmurno, bo przechadzka była niedługa i niezbyt daleka) tak, jakby się szło byle gdzie — wielką bramą od ulicy Św. Ducha. Odklánialiśmy się rusznikarzowi, wrzucaliśmy listy do skrzynki, mówiliśmy po drodze w imieniu Franciszki Teodorowi, że nie ma już oliwy lub kawy, i wychodziliśmy z miasta drogą biegnącą wzdłuż białych sztachet parku pana Swanna. Zanim jeszcześmy tam doszli, spotykał nas zapach tamtejszych bzów wybiegający naprzeciw obcych. One same, spośród zielonych i świeżych serduszek swoich liści wznosiły ciekawie ponad sztachety pióropusze białe lub lila, lśniące — nawet w cieniu — połyskiem słońca, w którym były skąpane. Niektóre, na wpół zasłonięte domkiem odzwiernego murowanym z cegły, sterczały ponad gotycki daszek swoim różowym minaretem. Wiosenne nimfy wydałyby się pospolite przy tych młodych hurysach, które w owym francuskim ogrodzie zachowały żywe i czyste tony perskich miniatur. Wbrew mojej żądzy objęcia ich giętkiej kibici i przyciągnięcia do siebie gwiaździstych puklów ich pachnących głów, przechodziliśmy, nie zatrzymując się. Rodzice nie bywali w Tansonville od czasu małżeństwa Swanna; aby się więc nie wydawało, że zaglądamy do parku, zamiast iść drogą biegnącą wzdłuż sztachet i wiodącą prosto w pole, obieraliśmy inną, prowadzącą również w pole, ale okrężnie. Jednego dnia dziadek rzekł do ojca:

— Pamiętasz, Swann mówił wczoraj, że ponieważ żona jego i córka jadą do Reims, skorzysta z tego, aby wypaść na dzień do Paryża. Skoro nikogo nie ma, moglibyśmy iść koło parku, to by nam skróciło drogę.

Zatrzymaliśmy się chwilę koło sztachet. Czas bzów miał się ku końcowi; niektóre tryskały jeszcze w wysokich fioletowych świecznikach delikatnymi pękami kwiatów, ale w wielu partiach, gdzie niespełna przed tygodniem rozbryzgiwała się jeszcze ich wonna piana, obecnie piana ta skurczona i czerniała, wędła pusta, sucha i bez zapachu. Dziadek pokazywał ojcu zmiany zaszłe w okolicy od czasu owej sławnej przechadzki ze starym Swannem w dniu śmierci jego żony i skorzystał ze sposobności, aby opowiedzieć to zdarzenie jeszcze raz.

Na wprost nas obsadzona nasturcjami aleja wspiwała się pod górę, w pełnym słońcu, do pałacyku. Na prawo znowuż park rozciągał się płasko. Sadzawkę, spowitą cieniem wielkich drzew, wykopali rodzice Swanna; ale nawet w swoich najsztuczniejszych tworach, zawsze człowiek pracuje na podłożu natury; niektóre miejsca zawsze narzucają otoczeniu swoją władzę, przybierają swoje odwieczne godła zarówno w parku, jak gdzieś z dala od wszelkiej ludzkiej interwencji: samotność otacza je wszędzie, wylania się z ich charakteru, góruje nad dziełem ludzi. I tak u stóp alei biegnącej ponad sztucznym stawem utworzył się z dwóch rzędów niezapominajek i barwinku jakby naturalny, wiotki i błękitny wieniec okalający czoło wód, a gladiolusy, dając z królewską obojętnością giąć się swoim mieczom, rozpościerały na kaczęcych i jaskrach fioletowe i żółte postrzępione lilie swego nawodnego berła.

Wyjazd panny Swann, odejmując mi straszliwą szansę, że mogłaby się zjawić przede mną w alei, że uprzywilejowana dziewczynka będąca w przyjaźni z Bergottem i oglądająca z nim katedry mogłaby mnie poznać i wzgardzić mną, czynił mnie obojętnym na Tansonville za pierwszym razem, kiedy mi było dozwolone je oglądać. Przeciwnie, w oczach dziadka i ojca fakt ów dawał tej posiadłości chwilowy urok wygody i beztronski; niby czyste niebo podczas górskiej wycieczki, stwarzał on owego dnia warunki wyjątkowo pomyślne dla przechadzki w tę stronę. Byłbym rad, aby ich rachuby zawiodły; aby cud jakiś ukazał nam pannę Swann z ojcem tak blisko, żebyśmy nie mieli czasu ich uniknąć i musieli się z nią zapoznać. Toteż kiedy nagle spostrzegłem na trawie, jako znak jej możliwej obecności, porzucony koszyk obok wędki, której korek pływał po wodzie, czym prędzej postarałem się odwrócić wzrok ojca i dziadka w inną stronę. Zresztą Swann wspominał, że to nieładnie z jego strony opuszczać dom, bo ma u siebie w tej chwili rodzinę; wędka mogła więc należeć do jakiegoś gościa. Nie było słychać żadnych kroków w alei. Gdzieś w połowie niewiadomego drzewa niewidzialny ptak, siląc się skrócić dzień, zgłębiał przeciąglą nutą otaczającą samotność; ale otrzymywał od niej odpowiedź tak jednomyślną, odzew tak nabrzmiały ciszą i bezruchem, iż można by rzec, że zatrzymał na zawsze chwilę, której bieg chciał przyspieszyć. Światło padało ze stężałego nieba tak nieubłagane, że byłbym rad umknąć się jego baczności; nawet drzemiąca woda, której sen ustawicznie drażniły owady, śniąc z pewnością o jakimś urojonym Maelstromie, zwiększała zamęt, w jaki mnie wtrącił widok pływającego korka, i zdawała się ciągnąć go z całą chyżością po milczących przestrzeniach przegładającego się w niej nieba. Prostopadły prawie korek gotów był dać nurka i już, już pytałem siebie, czy, pomijając moją chęć i obawę poznania panny Swann, nie powinienem był uprzedzić jej, że ryba chwytą. Ale trzeba mi było pędem dogonić ojca i dziadka; wołali mnie zdziwieni, że nie podążyłem za nimi ścieżką wiodącą w pole.

Ścieżka brzęczała zapachem głógów. Żywopłot tworzył szereg kapliczek, które znikają pod pękami kwiatów narzuconych niby na ołtarze; u stóp tych krzewów słońce kładło się na ziemi jasną kratą, jak gdyby przeszło przez okno kościelne. Uroczysty zapach głógów dawał mi wrażenie, iż znajduję się przed ołtarzem Matki Boskiej; wystrojone kwiaty z rozrągniętą minką trzymały lśniące bukiety pręcików, delikatnych i promiennych strzałek płomienistego stylu, podobnych tym, które w kościele ażurują poręcz empory lub filarki witrażu, a które tu rozkwitały białym mięszkiem kwiatu poziomki. Jakże naiwne i chłopskie wydawały się w porównaniu z nimi dzikie róże, które za kilka tygodni miały także w pełnym słońcu wstępować tą samą wiejską drogą, w gładkim jedwabiu swoich różowych staników, rozchylanych wiatrem.

Ale daremnie stałem przed krzakami głógów, wdychając je, ogarniając ich niewidzialny i stały zapach myślą, która nie wiedziała, co z nim począć; gubiąc go i odnajdując, kojarząc się z rytmem, który rozrzucał ich kwiaty z młodzieńczą radością i w nieoczekiwanych odstępach niby interwały muzyczne. Dawały mi one bez końca, niewyczerpane, wciąż tę samą rozkosz, nie pozwalając mi jej zgłębić, niby owe melodie, które przegrywa się sto razy z rzędu, nie mogąc przeniknąć ich tajemnicy. Odwróciłem się na chwilę, aby znów do nich przystąpić ze świeżymi siłami. Ściagałem aż do skarpy, która za żywopłotem wspiwała się bystro w pole, jakiś zabłąkany mak, jakieś leniwe chabry pozostałe w tyle, kwieciami swoim strojące tu i ówdzie zbocze niby szlak, gdzie skąpo jawi się sielski motyw, dominujący na samej tkaninie. Kwiaty te, rzadkie jeszcze, rozsypały niby poje-

dyncze domki oznajmiające bliskość wsi, zwiastowały mi ogromną przestrzeń, gdzie kipi zboże, gdzie kłębią się chmury; jeden jedyny mak — czerwony płomień na szczycie liny, igrający na wietrze ponad swoim zatłuszczonym i czarnym pływakiem — przypawił mnie o bicie serca: byłem niby podróżnik, gdy spostrzeże wyciągniętą na ziemię pierwszą łódź naprawianą przez uszczelniacza, i który, zanim jeszcze ujrzał wodę, woła: „Morze!”.

Następnie wracałem do głógów, tak jak się wraca do arcydzieł, z myślą, że będę je lepiej widział, kiedy na chwilę przestanę na nie patrzeć. Ale daremnie czyniłem zasłonę z rąk, aby mieć przed oczami tylko owe głogi; uczucie, jakie budziły we mnie, było mgliste i mętne, na próżno starało się wyzwolić, zrosnąć z tymi kwiatami. Nie pomagały mi one go rozjaśnić, a nie mogłem zaspokojenia jego żądać od innych kwiatów. Wówczas, sprawiając mi ową radość, jakiej doznajemy, kiedy ujrzymy dzieło ulubionego malarza, różne od dotychczas oglądanych lub kiedy nas ktoś zaprowadzi przed obraz znany nam dotąd tylko ze szkicu ołówkiem, lub kiedy utwór słyszany tylko na fortepianie objawi się nam strojny w barwy orkiestry, dziadek zawołał mnie i pokazując żywoplot w Tansonville, rzekł: „Ty lubisz głogi, popatrz na ten różowy: jakiż on śliczny!”. W istocie był to głóg, ale różowy, piękniejszy jeszcze od białych. On też wystrojony był jak na święto — jedno z owych jedyńskich prawdziwych świąt, jakimi są święta religijne, ile że żaden przypadkowy kaprys nie wiąże ich, jak uroczystości świeckich, z dniem nieprzeznaczonym specjalnie dla nich, niemającym nic istotnie świątecznego — ale wystrojony był bogaciej jeszcze, bo kwiaty oblepiające gałęzie tak gęsto, że nie było ani jednego miejsca niepokrytego nimi, były niby pompony okalające laseczkę *rococo*, „kolorowe”, tym samym wartościowsze. Taka przynajmniej była estetyka Combray, jeżeli o tym sędzić z cen w magazynie na rynku albo u Camusa, gdzie różowe pianki były droższe. Ja sam bardziej ceniałem śmietankowy ser różowy, ten, w który wolno mi było wgnieść poziomki. I właśnie te kwiaty przybrały jakiś odcień czegoś jadalnego lub delikatnych barw toalety na wielkie święto; rzeczy, które przez to, że legitymują w oczach dzieci racje swojej wyższości, są dla nich oczywiście ładne, mają zawsze dla nich coś żywszego i naturalniejszego niż inne barwy, nawet kiedy dziecko zrozumie, że nic nie wróżą jego łakomstwu lub że nie były wybrane przez szwaczkę. Odczułem tu natychmiast — jak wobec białych głógów, ale z większym zachwytem — że owa odświętność kwiatów nie jest sztuczna, nie jest ludzkim przemyśleniem, ale że to natura wyraziła ją samorzutnie ze szczerością wiejskiej robotnicy pracującej dla ołtarza, przeładowując krzew owymi różyczkami o tonie zbyt słodkim, zbyt prowincjonalno-pompadour.

U szczytu gałęzi — niby róże w doniczkach okrytych koronkowym papierem, których wątłe race zapalają się na ołtarzu w wielkie święta — roilo się mnóstwo pączków o bledszym odcieniu; rozchylając się, ukazywały, niby na dnie pucharu z różowego marmuru, krwawą czerwień i zdradzały bardziej jeszcze niż kwiaty swoistą, nieodpartą esencję tego głogu, który gdziekolwiek pączkował, gdziekolwiek miał zakwitnąć, nie mógł tego uczynić inaczej niż różowo. Wpleciony w żywoplot, ale równie od niego odmienny jak młoda odświętnie ubrana dziewczyna pośród osób w zwykłym odzieniu, mających zostać w domu, całkowicie gotowy do majowego nabożeństwa, którego już zdawał się stanowić cząstkę, błyszczał ten krzew katolicki i uroczy, uśmiechając się w swojej świeżej różowej sukni.

Poprzez żywoplot widać było w parku aleję obsadzoną jaśminami, bratkami i werwną; lewkonie otwierały swoje świeże torebki o różowym kolorze pachnącym i zblakłym jak stara skóra kordowańska; podczas gdy na ścieżce zielono pomalowany długi wąż do polewania rozaczał swoje skręty, wznosząc w pewnych odstępach pryzmatyczne wachlarze kropelek nad kwiatami, których zapachy nawadniał. Naraz zatrzymałem się niezdolny się poruszyć, tak jak bywa, kiedy wizja jakaś uderzy nie tylko nasze spojrzenia, ale zagarnie całe nasze czucie, całą istotę. Dziewczynka o włosach rudoblonde, widocznie wracająca z przechadzki i trzymająca w ręce łopatkę, patrzyła na nas, wznosząc twarz usianą różowymi plamkami. Czarne jej oczy błyszczały; że zaś nie umiałem wówczas i nie nauczyłem się później sprowadzać silnego wrażenia do jego rzeczowych składników, że nie miałem, jak się to mówi, dość „zmysłu obserwacyjnego”, aby sobie uświadomić barwę jej oczu, przez długi czas, za każdym razem, kiedy o niej myślałem, blask tych oczu budził we mnie równocześnie wrażenie lazuru naturalnego dla blondynki; tak iż, gdyby nie miała oczu

równie czarnych — co uderzało tak bardzo za pierwszym jej widokiem — nie byłbym się może, jak się to stało, zakochał osobliwie w jej oczach niebieskich.

Patrzałem na nią najpierw owym spojrzeniem, które jest nie tylko wysłannikiem oczu, ale z którego okna wychylają się wszystkie zmysły, strwożone i skamieniałe; spojrzeniem żadnym dotknąć, nakryć, zagarnąć ciało, na które się patrzy, i duszę wraz z nim. Zarazem tak się bałem, że lada chwila dziadek i ojciec, spostrzegłszy tę dziewczynkę, każą mi się oddalić i pobiec naprzód, iż zmierzylem ją drugim spojrzeniem nieświadomie błagalnym, siłą się zmusić ją, żeby na mnie zwróciła uwagę, żeby mnie poznała. Potoczyła wzrokiem, aby nim oszacować mego dziadka i ojca; konkluzją była zapewne myśl, że jesteśmy śmieszni, bo odwróciła się obojętnie i wzgardliwie i przystanęła z boku, aby usunąć swoją twarz z ich pola widzenia; kiedy zaś oni, idąc dalej i nie widząc jej, wypredzili mnie, wysłała w moją stronę długie spojrzenie niezdradzające niczym, że mnie dostrzega, ale uporczywie i podkreślone uśmieżkiem, którego wedle pojęć, jakie mi wszczepiono o dobrym wychowaniu, nie mogłem sobie wytłumaczyć inaczej niż jako dowód bezgranicznej wzgardy. Równocześnie ręka jej naszkicowała nieprzystojny gest, któremu, kiedy się zwraca publicznie do nieznanym osobie, mój podręczny słowniczek grzeczności mógł dać tylko jedno znaczenie — obraźliwe.

— Gilberto, chodź, co ty tam robisz! — krzyknął ostry i rozkazujący głos biało ubranej damy, której zrazu nie dostrzegłem; w pewnej zaś odległości od niej nieznan mi pan we flanelowym ubraniu wlepił we mnie natarczywie oczy. Przestając się nagle uśmiechać, dziewczynka wzięła łopatkę i odeszła, nie odwracając się w moją stronę, z miną posłuszną, niezbadaną i chmurną.

Tak przesunęło się koło mnie owo imię Gilberty, niby talizman pozwalający mi może odnaleźć kiedyś tę, z której uczyniło żywą osobę, a która chwilę przedtem była jedynie niejasnym obrazem. Tak przesunęło się rzucone ponad jaśminy i lewkonie, cierpkie i świeże jak krople tryskające z zielonego węża; nasycając, iryzując strefę czystego powietrza tajemnicą życia tej, którą oznaczało dla istot szczęśliwych, żyjących i podróżujących z Gilbertą; roztaczając pod różowym głogiem, na wysokości mego ramienia, tak bolesną dla mnie kwintesencję ich poufałości z nią, z obcością jej życia, do którego ja nie mogłem mieć wstępu.

Podczas gdyśmy się oddalali, dziadek szeptał: „Biedny Swann, na jaką rolę oni go skazują! Wyprawiają go po to, aby ona została sama ze swoim Charlusem, bo to on, poznałem go! I ta mała, wmieszana we wszystkie te brudy”. A ja słyszałem tylko despotyczny głos, jakim matka przemówiła do Gilberty bez możliwości repliki z jej strony; przez chwilę widziałem w Gilbertce istotę zmuszoną słuchać kogoś, niebędącą ponad wszystkim. Świadomość ta ukoiliła nieco moje cierpienie, wróciła mi cień nadziei i zmniejszyła moją miłość. Ale bardzo szybko miłość ta wybuchła we mnie na nowo jako reakcja, w której moje upokorzone serce pragnęło zrównać się z Gilbertą lub ściągnąć ją do siebie. Kochałem ją, żałowałem, że nie miał czasu i konceptu na to, aby ją obrazić, aby jej zadać ból, zmusić ją do pamiętania o mnie. Wydała mi się tak piękna, że byłbym chciał wrócić do niej, aby krzyknąć wzruszając ramionami: „Jakaś ty brzydka, śmieszna, jaka odpychająca!”. Tymczasem oddalałem się, unosząc na zawsze jako pierwszy typ szczęścia niedostępnego — mocą naturalnych i nieubłaganych praw — dzieciom mojego gatunku, obraz rudej dziewczynki z różowymi plamkami, która trzyma łopatkę i śmieje się, rzucając na mnie długie spojrzenia, obojętne i skryte. Odtąd czar, którym jej imię, usłyszane wspólnie przez nas oboje, napoiło miejsce pod różowymi głogami, miał objąć, powlec, nasycić wszystko, co było jej bliskie; jej dziadków, których moi dziadkowie mieli niewysłowione szczęście znać, wzniosły zawód agenta giełdowego, bolesną dzielnicę Pól Elizejskich, gdzie Gilberta mieszkała w Paryżu.

— Leonio — rzekł za powrotem dziadek — żałowałem, żeś nie była z nami. Nie poznałabyś Tansonville. Gdybym śmiał, byłbym ci uciął gałąź różowego głogu, który tak lubiłaś.

Zazwyczaj dziadek opowiadał tak naszą przechadzkę cioci Leonii, czy to dla rozerwania jej, czy że nie stracił jeszcze nadziei wyciągnięcia jej z domu. Ciocia bardzo lubiła niegdyś tę posiadłość; poza tym Swann był ostatnim gościem, którego zносиła, wówczas gdy już zamknęła drzwi wszystkim innym. Kiedy się dowiadywał o jej zdrowie (była je-

dyną osobą w naszym domu, którą starał się jeszcze widywać), kazała mu odpowiadać, że jest zmęczona, ale że go przyjmie następnym razem. Podobnie i tego wieczora rzekła: „Owszem, któregoś dnia, kiedy będzie ładnie, wybiorę się powozem aż do bramy parkowej”. Mówiła szczerze. Byłaby chętnie ujrzała Swanna i Tansonville, ale chęć wystarczała resztkę jej sił; urzeczywistnienie przekraczałyby je. Czasami z piękną pogodą wracało ciotce Leonii nieco energii; wstawiała, ubierała się; ale zmęczenie ogarniało ją, nim przeszła do drugiego pokoju; — kładła się z powrotem do łóżka. Zaczęła się dla niej — wcześniej tylko niż się to dzieje zazwyczaj — owa wielka rezygnacja starości, która się gotuje na śmierć, spowijając się w swoją larwę. Można obserwować ten stan z końcem zbyt prze-wlekających się egzystencji, nawet między dawnymi i najczulszymi kochankami, między przyjaciółmi związanymi najbardziej duchową więzią; począwszy od pewnego roku, przestają podejmować trud widywania się, przestają do siebie pisywać i wiedzą, że już się nie spotkają na tym świecie. Ciotka Leonia musiała doskonale wiedzieć, że już nie ujrzy Swanna, że już nigdy nie opuści domu, ale to ostateczne odcięcie musiało jej być dosyć łatwe przez tę właśnie rację, która wedle nas powinna była uczynić je tym boleśniejszym; mianowicie tę, że było skutkiem upadku sił. Zanik ten, który mogła stwierdzać co dzień, łączył z każdą czynnością, z każdym ruchem zmęczenie, o ile nie cierpienie, używając bezruchowi, samotności, ciszy kojącej i błogosławionej słodczy spoczynku.

Ciotka Leonia nie wybrała się ujrzeć żywopłotu różowych głogów, ale ja co chwila pytałem rodziców, czy się nie wybierze, czy dawniej bywała często w Tansonville: wciąż starałem się ściągnąć rozmowę na rodziców i dziadków panny Swann, którzy mi się zdawali wielcy jak bogowie. To nazwisko Swann stało się dla mnie niemal mitologiczne; kiedym rozmawiał z rodzicami, łaknąłem usłyszeć je z ich ust, nie śmiałem go wyrzec sam, ale sprowadzałem rozmowę na przedmioty bliskie Gilberty i jej rodziny, mające z nią związek. Wówczas czułem się mniej wygnany, czułem się nie tak daleko od niej. Udawałem na przykład, iż myślę, że urząd dziadka był już dawniej w posiadaniu naszej rodziny albo że żywopłot różowych głogów, który pragnęła ujrzeć ciotka Leonia, znajduje się na gruncie gminnym, zmuszając ojca, aby prostował moje twierdzenia, aby mówił, jakby niezależnie ode mnie, jakby sam z siebie: „Ale nie, ten urząd miał ojciec *Swanna*, ten żywopłot należy do parku *Swanna*”. Wówczas musiałem głęboko odetchnąć, tak bardzo to nazwisko, kładąc się w miejscu, w którym zawsze było dla mnie zapisane, gniotło mnie aż do uczucia duszności. W chwili gdy je słyszałem, zdawało mi się ono pełniejsze niż każde inne, dlatego że już zawczasu powtórzyłem je wielokrotnie w duszy. Sprawiało mi ono przyjemność skojarzoną ze wstydem, iż śmiem wyludzać tę przyjemność od rodziców; była bowiem tak wielka, że musiała — w moim poczuciu — kosztować ich wiele trudu i to bez kompensaty, skoro dla nich nie była przyjemnością. Toteż przez delikatność odwracałem rozmowę. I przez skrupuł. Z chwilą gdy wymawiali słowo *Swann*, odnajdywałem wszystkie osobliwe uroki, jakie wkładałem w to nazwisko. I wówczas nagle miałem wrażenie, że rodzice nie mogą tego nie odczuwać, że wchodzą w moje stany duszy, że spostrzegają, rozgrzeszają, podziwiają moje marzenia, i byłem nieszczęśliwy, tak jakbym ich zwyciężył i znieprawił.

Tego roku rodzice ustalili dzień powrotu do Paryża nieco wcześniej niż zazwyczaj. Rano przed wyjazdem, kiedy mnie ufrizowano do fotografii, włożywszy mi ostrożnie nowy kapelusz i aksamitny watowany płaszcz, długo szukano mnie wszędzie. Wreszcie matka znalazła mnie we łzach na ścieżce tuż koło Tansonville: żegnałem się z głogami, obejmując kłujące gałęzie. Niby księżniczka z tragedii, której „ciążą czcze ozdoby”, niewdzięczny wobec natrętnej ręki, która tak pieczołowicie ułożyła pukle na moim czole, deptałem zerwane papiloty i nowy kapelusz. Łzy moje nie wzruszyły matki, ale nie mogła wstrzymać krzyku na widok zniweczonej fryzury i straconego płaszczka. Nie słyszałem jej: „O moje biedne głogi, mówiłem płacząc; wy byście pewnie nie chciały sprawić mi zgrzyoty ani zmuszać mnie do odjazdu. Wyście mi nigdy nie zrobiły przykrości. Toteż będę was kochał zawsze”. I ocierając łzy, przyrzekałem im, kiedy będę duży, nie naśladować szalonego życia innych ludzi i nawet w Paryżu, w wiosenne dni, zamiast chodzić z wizytami i słuchać głupstw, jechać na wieś oglądać pierwsze głogi.

Raz znalazłszy się w polach, nie opuszczaliśmy ich już przez cały czas przechadzki w stronę Méséglise. Bez ustanku przebiegał je, niby niewidzialny włóczęga, wiatr, który był dla mnie prawdziwym duchem Combray. Co rok, w dniu naszego przyjazdu, aby czuć,

że jestem naprawdę w Combray, szedłem odnaleźć go, czuć, jak mi dmie w płaszcz, każąc mi biec za sobą. Zawsze miało się wiatr obok siebie, idąc w stronę Méséglise po owej wydmy, gdzie całe mile nie spotyka się żadnej nierówności terenu.

Wiedziałem, że panna Swann jeździ często na parę dni do Laon. Mimo że to było o kilka mil, wszelki brak przeszkody wyrównywał odległość; toteż kiedy w ciepłe popołudnie widziałem, jak ten sam oddech wionący z krańców widnokregu pochyla najodleglejsze zboża, jak się rozpościera na kształt fali na ogromnej przestrzeni; jak, szumiący i ciepły, układa się u moich stóp wśród seradeli i koniczyny, wówczas równina ta, będąca wspólną naszą własnością, zdawała się zbliżać nas, łączyć. Myślałem wówczas, że ten wiew przeleciał koło niej, że to, co mi wiatr szepce, to jest jakieś zlecenie od niej — mimo że niezrozumiałe — i całowałem go w przelocie.

Po lewej była wioska, która się zwała Champieu (Campus Pagani wedle proboszcza). Po prawej widniały za zbożami dwie sielskie wieżyczki Saint-André-des-Champs, wystrzępione, luszczaste, porowate, rzeźbione, poźółkłe i chropawe niby dwa kłosa.

W symetrycznych odstępach, pośród niezrównanego ornamentu liści, których nie można pomylić z liściem żadnego innego drzewa owocowego, jabłonie rozpościerały szerokie płaty białego atlasu lub zwieszały nieśmiało bukiety rumieniących się pączków. W stronie Méséglise pierwszy raz zauważyłem okrągły cień, który jabłonie kładą na wysłonecznionej ziemi, a także owe jedwabie z nieuchwytnego złota, które zachód tka skóśnie pod liśćmi, które w moich oczach ojciec przerywał laską, nic mogąc zmienić ich kierunku.

Czasami przez popołudniowe niebo przechodził księżyc biały jak chmura, dyskretny, bez blasku, niby aktorka, która nie gra w tej chwili i która w zwykłej sukni patrzy z łoża przez chwilę na swoich kolegów, chowając się w cień, nie chcąc zwracać na siebie uwagi. Lubilem odnajdywać jego wizerunek na obrazach i w książkach, ale — przynajmniej w pierwszych latach, zanim Bloch przyzwyczaił moje oczy i myśl do subtelniejszych harmonii — owe dzieła sztuki były bardzo różne od tych, w których księżyc wydałby mi się piękny dziś, a w których nie byłbym go poznał wówczas. Była to na przykład jakaś powieść Saintine, jakiś pejzaż Gleyre'a, gdzie księżyc rysuje wyraźnie na niebie srebrny sierp, owe produkty — jak moje własne ówczesne wrażenia — naiwne i banalne. Gust mój ówczesny gorszył siostry mojej babki. Były przekonane, że dzieciom trzeba dawać zawczasu te dzieła sztuki, które, doszedłszy do wieku rozeznania, człowiek ma podziwiać ostatecznie, i że dowodem smaku jest poznać się na nich od razu. Widocznie wyobrażały sobie, że zalety estetyczne są jak przedmioty materialne, które otwarte oko musi spoznać, nie potrzebując wyhodować powoli we własnym sercu ich odpowiedników.

Od strony Méséglise, w Montjouvain, w domu położonym nad wielkim bajorem i przylegającym do porosłego krzakami pagórka mieszkał pan Vinteuil. Często też spotykało się na drodze jego córkę, ostro jadącą kabrioletem. Od jakiegoś czasu nie zjawiała się już sama, ale ze starszą od siebie przyjaciółką, która miała złą reputację w okolicy i która pewnego dnia osiadła na stałe w Montjouvain. Powiadano: „Musi ten Vinteuil być bardzo zaślepiiony w córce, skoro nie chce widzieć tego, co ludzie gadają, i skoro on, taki wrażliwy na każde słowo *nie na miejscu*, pozwala córce żyć pod jego własnym dachem z podobną kobietą. Powiada, że to niepospolita osoba, wielkie serce i że miałaby nadzwyczajny dar do muzyki, gdyby się kształciła. Może być pewien, że nie muzyką zajmuje się ta pannica z jego córką”. Pan Vinteuil mówił tak; i w istocie godne uwagi jest, ile dana osoba zawsze budzi podziwu dla swoich moralnych wartości u rodziców innej osoby, z którą pozostaje w stosunkach cielesnych. Miłość fizyczna, niesłusznie osławiona, tak dalece każe wszelkiej istocie ujawnić całą pełnię jej dobroci i oddania, że błyszczą one nawet dla oczu najbliższego otoczenia. Doktor Percepied, który dzięki grubemu głosowi i grubym brwiom mógł bezpiecznie odgrywać rolę intryganta (na którego nie wyglądał), nie narażając niczym swojej niewzruszonej i niezasłużonej reputacji „zaczego burczymuchy”, umiał rozśmieszać do łez proboszcza i całe towarzystwo, gdy mówił rubasznie:

— No i cóż! Zdaje się, że panna Vinteuil uprawia muzykę ze swoją przyjaciółką. Widzę, że to państwa dziwi. Ja tam nie wiem. Stary Vinteuil powiadał mi to jeszcze wczoraj. Ostatecznie ta dziewczyna ma prawo lubić muzykę. Ja się nie mogę sprzeciwić artystycznemu powołaniu dzieci, Vinteuil widać także nie. A przy tym i on sam muzykuje z przyjaciółką córki. A, do licha! Tęgo muzykują w tej budzie. No czego się państwo

śmiejecie? Że ci ludzie trochę za dużo muzykują? Kiedyś spotkałem papę Vinteuil koło cmentarza. Ledwo się trzymał na nogach.

Tym, którzy jak my patrzyli w owej epoce na pana Vinteuil, jak unika znajomych, jak się odwraca, kiedy ich spotka, postarzały w ciągu kilku miesięcy, zagrzebany w swojej zgryzocie, niezdolny do żadnego wysiłku niemającego wprost na celu szczęścia córki; jak spędza całe dnie na grobie żony, — trudno byłoby nie pojąć, że on umiera ze zgryzoty, lub przypuszczać, że sobie nie zdaje sprawy z krążących gadań. Znał je, może nawet dawał im wiarę. Nie ma może istoty, bodaj najświętszej, której splot okoliczności nie mógłby doprowadzić do zżycia się z występkiem. Może go potępiać najbardziej stanowczo, — nie poznając go zresztą całkowicie w kostiumie poszczególnych faktów, jaki przybiera, aby się jej narzucić i zadać jej ból: dziwaczne słowa, niewytłumaczone zachowanie się któregoś wieczora u kogoś, kogo skądinąd ma się tyle przyczyn kochać! Ale dla człowieka takiego jak Vinteuil bolesniejsze niż dla kogokolwiek innego musiało być pogodzenie się z sytuacją, którą niesłusznie uważa się za wyłączny przywilej cyganerii; sytuacja ta powtarza się za każdym razem, kiedy przywara szuka sobie miejsca i bezpieczeństwa. Skazę tę rozwija w dziecku sama natura, czasem po prostu mieszając przymioty ojca i matki jak kolor ich oczu. Ale z tego, że Vinteuil znał może prowadzenie się córki, nie wynika, aby jego kult dla niej miał się zmniejszyć. Fakty nie wnikają w świat, w którym żyją nasze wierzenia; nie zrodziły ich i nie niszczą. Fakty mogą zadawać wierzeniom kłam, nie osłabiając ich, tak jak potop nieszczęść lub chorób może nawiedzać bez przerwy jakąś rodzinę, nie każąc jej zwątpić o dobroci Boga lub o wiedzy lekarza. Ale kiedy pan Vinteuil myślał o córce i o sobie z punktu widzenia świata i własnej ich reputacji, kiedy sobie uprzytomniał stopień, jaki zajmują w opinii, wówczas formułował swój sąd ściśle tak, jakby to uczynił najbardziej wrogi mu sąsiad z miasteczka. Czuł się wraz z córką na samym dnie, a wzięcie²⁰ jego nabrało od jakiegoś czasu owej pokory, owego szacunku dla tych, którzy znajdowali się powyżej niego i na których patrzył z dołu (choćby byli wprzód bardzo poniżej niego); owej potrzeby wspinania się do nich, która jest mechanicznym prawie następstwem wszelkiego upadku.

Jednego dnia, kiedyśmy szli ze Swannem przez Combray, pan Vinteuil, wychodząc z bocznej ulicy, spotkał się z nami zbyt nagle, aby mieć czas nas uniknąć; zaczęł Swann z owym wzgardliwym miłosierdziem światowca, który, wyzuty z wszelkich przesądów moralnych, w hańbie człowieka widzi jedynie powód do objawienia mu życzliwości, łechcącej własną naszą próżność tym milej, im bardziej czujemy ich wartość dla odbiorcy, wdał się w dłuższą rozmowę z panem Vinteuil, do którego nigdy dotąd się nie odzywał. Na rozstanie spytał go, czy nie przyśle kiedy córki do Tansonville. Dwa lata wprzód zaproszenie to byłoby oburzyło pana Vinteuil, ale teraz napełniło go taką wdzięcznością, że właśnie ta wdzięczność nie pozwoliła mu go przyjąć. Uprzejmość pana Swanna dla jego córki zdawała mu się czymś tak zaszczytnym i lubym, że wolał nie skorzystać z niej, aby mieć na wskroś platoniczną słodycz sycenia się nią.

— Cóż za uroczy człowiek! — mówił do nas, skoro Swann nas opuścił, a mówił to z tą samą entuzjastyczną czcią, jaką budzi w inteligentnej i ładnej mieszczańce urok księżnej, choćby brzydkiej i głupiej. — Cóż za uroczy człowiek! Co za szkoda, że się dał wciągnąć w tak nieodpowiednie małżeństwo.

Wówczas — tak bardzo najszczęśliwszymi ludźmi skłonni są do obłudy, zapierając się w rozmowie z jakąś osobą swoich o niej sądów, które wyrażają poza jej oczami — rodzice moi ubolewali wraz z panem Vinteuil nad małżeństwem Swanna, w imię zasad i konwencji, których pogwałcenia w Montjouvain zdawali się nie widzieć, skoro powoływali się na nie wspólnie panem Vinteuil niby zacni ludzie z jednej mąki. Vinteuil nie posłał córki do państwa Swann. I Swann pierwszy tego żałował. Bo za każdym razem, kiedy się rozstał z panem Vinteuil, przypominał sobie, że miał się go od dawna spytać o coś, o kogoś, kto nosi to samo nazwisko, może krewnego. I tym razem przyrzekł sobie, że kiedy Vinteuil przyśle córkę do Tansonville, nie zapomni już tego, co mu miał do powiedzenia.

Ponieważ spacer w stronę Méséglise stanowił krótszą z dwóch naszych wycieczek i z tej przyczyny zachowywało się go na niepewną pogodę, klimat w stronie Méséglise był dosyć

²⁰wzięcie (daw.) — sposób zachowania. [przypis edytorski]

dżdżysty i nigdy nie traciliśmy z oczu skraju lasów w Roussainville, w których gęszczy mogliśmy się schronić.

Często słońce kryło się za chmurą, która zniekształcała jego owal, gdy ono brzeg jej barwiło żółto. Blask (ale nie jasność) uciekał z pól, gdzie wszelkie życie zdawało się ustawać, podczas gdy wioska Roussainville rzeźbiła na niebie kontur swoich białych dachów z przygniatającą dokładnością. Podmuch wiatru spędział wronę, która opadała w oddali. Na tle bielejącego nieba dal lasów zdawała się bardziej niebieska, na kształt malowanych fajansów strojących ściany starych mieszkań.

Ale innym razem zaczynał padać deszcz, którym groził nam kapucyn na wystawie u optyka; krople wody niby wędrownie ptaki, które wzlatają wszystkie razem, spadały gęstymi szeregami z nieba. Nie dzielą się, nie idą na oślep w czasie chyżego przelotu; każda zachowuje swoje miejsce, ciągnie za sobą następną i niebo bardziej ćmi się od nich niż przy odlocie jaskółek. Chroniliśmy się w las. Kiedy ich podróż zdawała się skończona, niektóre, słabsze, wolniejsze, przybywały jeszcze. Ale my wychodziliśmy z naszego schronienia, bo krople lubują się w liściach; ziemia była już prawie sucha, kiedy ta i owa kropla, zapóźniona, igrała na żyłkach liścia i zawieszona u jego końca, wypoczęta, błyszcząca w słońcu, osuwała się naraz z wysokości gałęzi, spadając nam na nos.

Często także chroniliśmy się razem z kamiennymi świętymi i patriarchami w kruchcie kościoła Saint-André-des-Champs. Jakiż ten kościół był francuski! Nad bramą święci, królowie-rycerze z kwiatem lilii w ręce; weselne i pogrzebowe sceny, wszystko przedstawione tak, jak mogłoby się odbijać w duszy Franciszki. Rzeźbiarz opowiadał też niektóre anegdoty z życia Arystotelesa i Wergilego, tak samo jak Franciszka w kuchni mówiła chętnie o świętym Ludwiku, jakby go znała osobiście, zazwyczaj po to, aby pohańbić tym porównaniem moich dziadków, mniej odeń „sprawiedliwych”. Czuło się, że pojęcia, które średniowieczny artysta i średniowieczna wieśniaczka (zapóźniona w wiek XIX) mieli o historii starożytnej lub chrześcijańskiej — pojęcia równie nieścisle jak dobroduszne — pochodziły nie z ksiązek, ale z tradycji, zarazem starożytnej i bezpośredniej, nieprzerwanej, ustnej, zniekształconej, skażonej i żywej.

Inna osoba w Combray, którą odnajdywałem również, przeczutą i przepowiedzianą, w gotyckiej rzeźbie w Saint-André-des-Champs, to był młody Teodor, subiekt od Camusa. Franciszka czuła w nim tak dalece krajana i człowieka jednej epoki, że kiedy ciocia była zbyt chora, aby Franciszka nastarczyła sama przewracać ją w łóżku, przenosić ją na fotel, wówczas — raczej niżby miała pozwolić „dziewczynie” zyskiwać łaski cioci — wzywała Teodora. Otóż chłopak ten, słusznie uchodzący za ladaco, tak był wypełniony duszą, która ozdobiła Saint-André-des-Champs, a zwłaszcza uczuciami szacunku, jakie Franciszka uważała za należne „biednym chorym” i „biednej pani”, że podnosząc głowę cioci na poduszce, miał ową naiwną i pobożną minę aniołków z płaskorzeźby, cisnących się ze świecą w dłoni dokoła omdlewającej Dziewicy. Można by rzec, iż twarze rzeźbione w kamieniu, szare i nagie niby lasy w zimie, są jedynie uspieniem, zapasem gotowym rozkwitnąć w życiu w niezliczonych twarzach chłopskich, wielebnych i szczywanych jak twarz Teodora, barwiących się czerwienią dojrzałego jabłka.

Już nie przylepiona do kamienia jak owe aniołki, ale odcinająca się od kruchty, o postawie więcej niż ludzkiej, jakaś święta stała na cokole niby na taburecie chroniącym jej stopy od zetknięcia z wilgotną ziemią. Miała pełne policzki, twardą pierś wzdymającą draperię jak dojrzałe grono wzdyma worek, wąskie czoło, nos krótki i krnąbrny, głęboko osadzone źrenice, czerstwą, nieczułą i dzielną twarz miejscowych wieśniaczek. Podobieństwo to, dające posągowi słodycz, której w nim nie szukałem, często znajdowało potwierdzenie w jakiejś wiejskiej dziewczynie, jak my chroniącej się przed deszczem, która, podobna pnącym się liściom wyrosłym obok liści rzeźbionych, zdawała się mieć ten cel, aby przez zestawienie z naturą pomóc ocenić prawdę dzieła sztuki.

Przed nami, w oddali — ziemia obiecana lub przeklęta — widniało Roussainville, w którego mury nigdy nie wstąpiłem; Roussainville to, kiedy deszcz dla nas już ustał, dalej karcone niby biblijna wioska wszystkimi grotami burzy, z ukosa smagającymi siedziby jego mieszkańców; to znów już rozgrzeszone przez Boga Ojca, który słał ku niemu niby promienie monstrancji nierówne, postrzępione, złote lodygi powracającego słońca.

Czasem pogoda była zupełnie beznadziejna, trzeba było wracać i siedzieć w domu. Tu i ówdzie, w oddali, we wsi, którą ciemność i wilgoć czyniły podobną morzu, pojedyn-

cze domy, uczepione pagórka tonącego w nocy i w wodzie, błyszczały niby małe statki, gdy zwiną żagle i trwają bez ruchu całą noc na pełnym morzu. Ale co znaczył deszcz, co znaczyła burza! W lecie ślota jest jedynie przelotnym, powierzchownym kaprysem podskórnej i ciągłej pogody, bardzo różnej od niestałej i dorywczej pogody zimowej. Pogoda letnia, przeciwnie, rozgoszczona na ziemi, utrwalona w gęstych liściach, na które deszcz może ściekać, nie naruszając ich trwałej radości, wywiesza na cały sezon, nawet w uliczkach wiejskich swoje fioletowe lub białe jedwabne flagi. W saloniku, gdzie czytałem, oczekując godziny obiadu, słyszałem, jak woda ścieka z kasztanów, ale wiedziałem, że ulewa tylko wylakieruje ich liście i że zostaną tam niby rękojmia lata przez całą dżdżystą noc, poręczając ciągłość pogody; że choć dziś leje jak z cebra, jutro nad białymi sztachetami Tansonville listki w kształcie serca będą falowały, równie liczne. I bez smutku widziałem, jak topola z ulicy des Perchamps zwraca się do burzy w rozpaczliwych błaganiach i pokłonach; bez smutku słyszałem w głębi ogrodu, jak ostatnie pomruki grzmotu gruchają w bzach.

Jeżeli było brzydko od rana, rodzice wyrzekali się przechadzki; wówczas nie wychodziłem. Ale później nawykłem chodzić sam w owe dni w stronę *Méséglise-la-Vineuse*. Było to w jesieni, kiedyś musieli przybyć do Combray z racji spadku po cici Leonii, bo wreszcie umarła, pozwalając tryumfować tym, co twierdzili, że jej niedorzeczny tryb życia zabije ją w końcu, jak niemniej tym, co zawsze utrzymywali, że ona cierpi na chorobę nie urojoną, ale organiczną, której oczywistość sceptycy będą musieli uznać, gdy chora umrze. Śmiercią swoją sprawiła wielki ból tylko jednej istocie, ale ból dziki. Przez dwa tygodnie ostatniej choroby cici Franciszka nie zostawiła jej ani na chwilę, nie rozebrała się, nie pozwoliła nikomu udzielić jej żadnej posługi i nie opuściła ciała, aż kiedy je pogrzebano. Wówczas zrozumieliśmy, że ta nieustanna obawa zniewag, podejrzeń, gniewów cicińskich rozwinęła we Franciszce uczucie, które myśmy brali za nienawiść, a które było czcią i miłością. Jej prawdziwa pani o decyzjach nieodgadnionych, o podstępach nieodparty, o dobrym sercu łatwym do wzruszenia, jej tajemnicza i wszechpotężna monarchini, jej władza nie istniała już. Przy tej zmarłej my zaledwie liczyliśmy się za coś. Daleki był czas, w którym, kiedyś zaczęli jeździć na lato do Combray, mieliśmy w oczach Franciszki tyleż uroku co ciocia Leonia. Tej jesieni, całkowicie zajęci formalnościami, wizytami rejentów i dzierżawców, rodzice nie mieli prawie czasu na spacer, którym zresztą nie sprzyjała pogoda; nawykli tedy puszczać mnie samego w stronę *Méséglise*, w wielkim pledzie, który mnie chronił od deszczu, a który narzucałem tym chętniej, że czulem, iż jego szkockie pasy gorszą Franciszkę. Niepodobna by wytłumaczyć jej, że kolor odzieży nie ma nic wspólnego z żałobą; zresztą żal nasz po cici nie trafiał jej do przekonania, bo nie wyprawiliśmy stypy, bo mówiąc o zmarłej, nie przybieraliśmy specjalnego głosu, a mnie zdarzało się czasem nawet zanucić. Jestem pewien, że w książce — w czym byłem sam podobny do Franciszki — owo pojęcie żałoby w duchu *Pieśni o Rolandzie* oraz portalu Saint-André-des-Champs byłoby mi sympatyczne. Ale z chwilą gdy Franciszka była w pobliżu, jakiś demon kusił mnie, żeby ją rozzłościć: chwyciłem się najbliższego pozor, aby powiedzieć, że żałuję cici Leonii, bo to była dobra kobieta mimo swoich śmieszności, ale wcale nie dlatego że była moją ciotką; że mogłaby być moją ciotką i być mi wstrętną, a jej śmierć mogłaby mi nie sprawić żadnej przykrości — powiedzenia, które wydawałyby mi się głupie w książce.

Jeżeli wówczas Franciszka, wypełniona niby poeta falą skłębionych myśli, zmartwień, wspomnień rodzinnych, tłumaczyła się, że nie umie odpowiedzieć na moje teorie i mówiła: „Nie umiem się wygadać”, tryumfowałem nad nią ironicznym i brutalnym rozsądkiem godnym doktora Percepied; a jeżeli dodawała: „Zawsze to było krewniactwo, zawsze zostaje szacunek, jak się należy krewniactwu”, wzruszałem ramionami i powiadałem sobie: „Głupi jestem, żeby dysputować z ciemną babą, nieumiejącą nawet mówić”. W sądach tych o Franciszce zajmowałem punkt widzenia właściwy ludziom, którymi łatwo gardzimy w abstrakcji, ale których równie łatwo skłonni jesteśmy naśladować w potocznych wypadkach życia.

Moje jesienne spacerki były tym przyjemniejsze przez to, że je odbywałem po długich godzinach spędzonych nad książką. Kiedyś się zmęczyłem czytaniem w pokoju całe rano, wówczas narzucając pled, wychodziłem; ciało moje, zmuszone do długiego bezruchu, ale

naładowane skupioną energią i chyżością, potrzebowало niby puszczoney bąk wyładować się we wszystkich kierunkach. Ściany domów, żywoplot w Tansonville, drzewa w Roussainville, zarośla koło Montjouvain, obrywały ciosy parasola lub laski, słyszały radosne okrzyki — zastępcze wyładowanie skłębionych myśli, które mnie ożywiały i które nie osiągnęły ukojenia świadomości, przełożywszy lubość łatwiejszych i bezpośrednich odprężeń nad wolną i trudną introspekcję. Większość rzekomych wykładów, tego cośmy odczuli, uwalnia nas jedynie od naszych uczuć, wydobywając je z nas w mętym kształcie, który niczego nam nie uświadamia.

Kiedy próbuję zrobić rachunek tego, com winien stronie Méséglise, skromnych odkryć, których ona była przypadkową ramą lub nieodzownym bodźcem, przypominam sobie, iż owej jesieni, na takiej przechadzce, w pobliżu zarośli osłaniających Montjouvain pierwszy raz uderzył mnie rozdźwięk między naszymi wrażeniami a ich zwykłym wyrazem. Po godzinie deszczu i wiatru, z którymi walczyłem radośnie, przybyłem nad sadzawkę w Montjouvain, do krytej dachówką chatki, gdzie ogrodnik pana Vinteuil chował swoje narzędzia. W tej chwili zjawilo się słońce: złocenia jego, umyte przez ulewę, znów rozbłysły na niebie, na drzewach, na ścianach domku, na mokrym jeszcze dachu, po którego szczycie przechadzała się kura. Wiatr ciągnął poziomo wyrosłe w szczelinach zielska wraz z pierzem kury; jedne i drugie dały się wlec jego podmuchom aż do granic swojej pełnej długości, z całym poddaniem się rzeczy bezwładnych a lekkich. W sadzawce, której słońce wróciło przejrzystość, dachówki odbijały się różowym marmurkiem, na który nigdy przedtem nie zwróciłem uwagi. I widząc, jak na wodzie i na powierzchni murów błady uśmiech odpowiada uśmiechowi nieba, wykrzyknąłem w zachwycie, potrząsając zwiniętym parasolem: „Hop! hop! hop! hop!”. Ale równocześnie uczulem, że obowiązkiem moim byłoby nie poprzestać na tych bezładnych okrzykach i starać się jaśniej czytać w swoim zachwyceniu.

Wieśniak, który przechodził z miną dość już markotną, a spochmurniał jeszcze, kiedy o mało nie dostał ode mnie parasolem w twarz, odpowiedział bez zapału na moje: „piękna pogoda, prawda, dobry spacer”, z czego zrozumiałem, że wzruszenia nie powstają równocześnie, wedle ustalonego porządku, jednakie u wszystkich ludzi. Później za każdym razem, kiedy przydługa lektura zrodziła we mnie chęć rozmowy, kolega, do którego zagadał, dopiero co oddawał się przyjemnościom konwersacji i miał ochotę czytać teraz w spokoju. Kiedy ja myślałem o rodzicach z czułością i powziąłem właśnie jakieś postanowienie wielce rozsądne i zdolne ich ucieszyć, oni zużyli ten sam czas na to, aby się dowiedzieć o jakimś drobnym przestępstwie, o którym zapomniałem i które wyrzucali mi surowo w chwili, gdy ja się im rzucałem na szyję.

Czasami z egzaltacją, jaką rodziła we mnie samotność, łączyła się inna, której nie umiałem dobrze odróżnić od tamtej; żądza ujrzenia nagle wieśniaczki, którą mógłbym wziąć w ramiona. Towarzysząca owemu pragnieniu rozkosz — zrodzona nagle, wśród bardzo odmiennych myśli, tak że nie miałem czasu związać jej ściśle z jej przyczyną — wydawała mi się jedynie wyższym stopniem rozkoszy, jaką mi dawały owe myśli. Poczytywałem ją za jeden urok więcej wszystkiego, co było w tej chwili w mojej duszy: różowego odblasku dachówki, zieleni, wioski Roussainville, dokąd pragnąłem od dawna się wybrać, drzew, wieży; przypisywałem swoje nowe wzruszenie wszystkim tym rzeczom, tym bardziej upragnionym przez to, że je brał za przyczynę mego stanu. Zdawało mi się, że owo wzruszenie chce mnie jedynie nieść ku nim szybciej, kiedy wzdymało mój żagiel potężnym, nieznanym i błogim powiewem. Ale o ile ta żądza widoku kobiety dawała czarom przyrody coś bardziej podniecającego, nawzajem czar przyrody rozprzestrzeniał znowuż to, co byłoby w powabie kobiety zbyt ograniczone. Zdawało mi się, że piękność drzew jest również jej pięknnością, że pocałunek jej da mi na własność duszę tych widnokręgów, wioski Roussainville, książek czytanych w tym roku. Wyobrażenia moja odzyskiwała siły w podniecie zmysłów; zmysły promieniowały we wszystkie dziedziny wyobraźni; żądza moja nie miała kresu ani granic.

W chwilach marzenia na łonie natury, kiedy ustaje działanie nawyku, kiedy odsuniemy od siebie oderwane pojęcia o rzeczach, zdarza się, że wówczas wierzymy głęboko w odrębność, w indywidualne życie miejsc, w których się znajdujemy. I tak nieznaną, której wzywała moja żądza, wydawała mi się nie jakimś egzemplarzem ogólnego typu

kobiety, ale koniecznym i naturalnym produktem tego gruntu. Bo w owym czasie wszystko, co nie było mną, ziemia i ludzie, wydawało mi się cenniejsze, ważniejsze, obdarzone rzeczywistym istnieniem, niż się to wydaje dojrzałym ludziom. A ziemi i osób nie rozdzierałem. Pragnąłem wieśniaczki z Méséglise albo z Roussainville, rybaczki z Balbec, tak jak pragnąłem Méséglise i Balbec. Rozkosz, jaką mogłyby mi dać, wydałaby mi się mniej prawdziwa, nie byłbym już w nią uwierzył, gdybym dowolnie zmienił jej okoliczności. Znać w Paryżu rybaczkę z Balbec albo wieśniaczkę z Méséglise, znaczyłyby dostać muszle nieogładane na plaży, paproć nieznaną przeze mnie w lesie; znaczyłyby z rozkoszy, którą by mi dała kobieta, ująć wszystkie te, w które oblekła ją moja wyobraźnia. Ale błędzić tak w lasach Roussainville bez dziewczyny, którą bym mógł całować, to znaczyło nie poznać ukrytego skarbu tych lasów, ich głębokiej piękności. Ta dziewczyna, którą wyobrażałem sobie spowitą w liście, sama była dla mnie niby miejscowa roślina, wyższego jedynie gatunku od innych, pozwalająca dzięki swojej budowie lepiej wnikać w głęboki smak ziemi. Wierzyłem tym samym, że pieszczoty jej byłyby też odrębnego gatunku, tak że słodczy ich nie mogłaby mi dać poznać żadna inna. Mogłem w to wszystko uwierzyć bez trudu; byłem jeszcze w wieku, kiedy nie oddziela się samego owego szczęścia od rozmaitych kobiet, z którymi się go zaznało; kiedy się go nie sprowadza do ogólnego pojęcia, pozwalającego odtąd uważać kobiety za wymienne narzędzia zawsze tożsamej rozkoszy. Rozkosz ta nie istnieje nawet wyosobniona, odrębna i sformułowana w myśli jako cel, który ścigamy, zbliżając się do kobiety, jako przyczyna zawczasu doznanych wzruszeń. Prawie nie myśli się o niej jak o przyszłej rozkoszy; raczej smakuje się własny jej urok; bo nie myśli się o sobie, myśli się jedynie o tym, aby wyjść z siebie. Mglisto oczekiwana, immanentna i ukryta, doprowadza ona tylko w chwili spełnienia do najwyższego spazmu inne wzruszenia zrodzone ze słodkich spojrzeń, z pocałunków tej, która jest przy nas. Rozkosz ta objawia się nam zwłaszcza jako wybuch wdzięczności dla naszej towarzyszki za jej dobroć, za jej wzruszającą przychyłość ocenianą wedle rozmiarów dobrodziejstw i szczęścia, którym nas darzy.

Niestety, próżno wzywałem basztę w Roussainville, próżno błagałem ją, aby zesłała ku mnie jakieś dziecię swojego sioła. Błagałem ją, jedyną powiernicę moich pierwszych pragnień na szczycie naszego domu w Combray, w małej ubikacji pachnącej irysem. Widziałem tylko ową basztę w kwadracie uchylonego okna, podczas gdy wśród bohaterских walk podróżnika-odkrywcy lub kandydata na samobójcę, wpół omdlewając, torowałem w sobie samym nieznaną i — jak sądziłem — śmiertelną drogę aż do momentu, gdy naturalny ślad, podobny śladom ślimaka, zaznaczył się na zwisających ku mnie liściach dzikiej porzeczki. Próżno błagałem ją teraz. Próżno, ogarniając oczami przestrzeń, drażyłem ją wzrokiem żądnym wywołać z niej kobietę. Mogłem iść aż do kruchty Saint-André-des-Champs: nigdy nie ujrzałem żadnej dziewczyny, a spotkałbym ją z pewnością, gdybym był w towarzystwie dziadka i nie mógł jej zaczepić. Wpatrywałem się bez końca w pień odległego drzewa, zza którego miała się wyłonić i przyjść do mnie; pożerany oczami widnokrąg wciąż był pusty, noc zapadła. Bez nadziei myśl moja wpijała się w ten jałowy grunt, w tę wyczerpaną ziemię, jak gdyby chcąc wyssać kryjące się w niej istoty; i już nie z radości, ale z wściekłości smagałem drzewa w lesie Roussainville, tak samo niezdolne wydać żywą istotę, co gdyby były malowaną na płótnie panoramą. I nie mogąc się zdecydować wrócić do domu, nie utuliwszy w ramionach kobiety, której tak pragnąłem, musiałem wszelako wracać do Combray, wyznając przed samym sobą, że przypadek, który by ją sprowadził na moją drogę, jest coraz mniej prawdopodobny.

Gdyby się znalazła zresztą, czy ośmieliłbym się do niej przemówić? Przypuszczałem, że wzięłaby mnie za wariata; przestawałem wierzyć, aby inne istoty mogły podzielić pragnienia, jakich doznawałem daremnie w czasie tych spacerów; przestawałem wierzyć w ich obiektywną prawdę. Wydawały mi się już tylko czysto podmiotowym, bezsilnym, zwodniczym tworem mojego temperamentu. Nie miały już związku z przyrodą, z rzeczywistością, która od tej chwili straciła wszelki urok i sens, i stała się dla mojego życia jedynie konwencjonalną ramą, jak nią jest dla wątku powieści wagon, na którego ławce dla zabicia czasu podróżny czyta książkę.

W kilka lat potem, również w pobliżu Montjouvain, doznałem wrażenia, które wówczas pozostało mętne, ale z którego wyłoniło się może o wiele później pojęcie, jakie sobie wytworzyłem o sadyzmie. Okazuje się z czasem, iż z całkiem innych powodów pamięć tego

wrażenia miała grać ważną rolę w moim życiu. Było to w wielki upał; rodzice, zmuszeni wyjechać gdzieś na cały dzień, pozwolili mi wrócić do domu, kiedy zechcę. Zaszedłszy do sadzawki w Montjouvain, w której lubiłem oglądać odbicie dachówek, wyciągnąłem się w krzakach i zasnąłem na wzgórzu nad domem, tam gdzie niegdyś czekałem na ojca będącego z wizytą u pana Vinteuil. Była prawie noc, kiedym się obudził; chciałem wstać, ale ujrzałem pannę Vinteuil (o ile mogłem ją poznać, nieczęsto bowiem widywałem ją w Combray i to wtedy, kiedy była jeszcze dzieckiem, teraz zaś zaczynała być dorosłą panną), która prawdopodobnie dopiero co wróciła. Znajdowała się na wprost okna, o kilka centymetrów ode mnie, w tym pokoju, gdzie jej ojciec gościł mojego ojca, a gdzie teraz był jej salonik. Okno było uchylone, lampa się paliła, widziałem każdy jej ruch. Ona mnie nie widziała, ale gdybym się oddalił, narobiłbym chrzęstu, usłyszałaby mnie i mogłaby przypuszczać, że się tam skryłem, aby ją szpiegować.

Była w grubej żałobie, ojciec jej zmarł. Nie wybraliśmy się do niej z kondolencją; matka nie chciała tego zrobić przez jakąś wstydlivość; była to jedyna cnota, która paraliżowała w mojej matce działanie dobroci. Ale współczuła z nią szczerze. Przypominając sobie smutny schyłek życia pana Vinteuil, życia pochłoniętego zrazu macierzyńskimi staraniami o córkę, potem zgryzotą, jaką mu sprawiała, matka widziała twarz starca udęczoną w ostatnich czasach; wiedziała, że się na zawsze wyrzekł przepisania na czysto swoich ostatnich utworów. Biedne „kawalki” starego nauczyciela fortepianu, dawnego organisty! Wyobrażaliśmy sobie, że nie mają wartości same przez się, ale nie gardziliśmy nimi, bo miały tyle wartości dla niego, były jego racją życia, zanim je poświęcił dla córki. Teraz po większej części nawet nie zanotowane, zachowane tylko w jego pamięci, niektóre rzucone na luźne kartki, nieczytelne, utwory te miały pozostać nieznanne. Matka myślała o owym drugim, okrutniejszym jeszcze wyrzeczeniu, z którym pan Vinteuil musiał się pogodzić; rezygnacji z uczciwego i godnego szczęścia dla córki. Kiedy matka sobie uprzytomniała całą tę straszliwą rozpacz eksnauczyciela moich ciotek, czuła prawdziwy ból i myślała ze zgrozą o sroższej jeszcze męczarni, jaką musiała przechodzić panna Vinteuil wraz z wyrzutem, że niemal zabiła ojca. „Biedny Vinteuil, mówiła matka; żył i umarł dla córki, nie otrzymał zapłaty. Czy otrzyma ją po śmierci i w jakiej postaci? Mógłby się jej spodziewać tylko od córki!”

W saloniku panny Vinteuil stał na kominku portrecik jej ojca. Żywo podeszła do niego w chwili, gdy na gościńcu rozległ się turkot pojazdu; potem rzuciła się na kanapę i przysunęła stoliczek, gdzie postawiła portret, podobnie jak pan Vinteuil położył niegdyś koło siebie utwór, który miał ochotę przegrać moim rodzicom. Niebawem weszła przyjaciółka. Panna Vinteuil przywitała ją, nie wstając, z rękami zaplecionymi na karku i cofnęła się w przeciwny kąt sofy, jak gdyby czyniąc jej miejsce. Ale natychmiast uczuła, że narzuca niejako gościowi pozycję, może niepożądaną. Pomyślała, że przyjaciółka będzie może wolała usiąść opodal na krześle; zlekła się własnej niedelikatności; w sercu jej zjawiły się skrupuły; zajmując z powrotem całą sofę, zamknęła oczy i zaczęła ziewać dla okazania, że chęć snu jest jedyną przyczyną jej pozycji. Mimo szorstkiej i władczej poufałości, z jaką panna Vinteuil traktowała przyjaciółkę, poznałem w niej pokorne i powściągliwe gesty jej ojca, jego nagłe skrupuły. Wkrótce wstała, udając, że chce zamknąć okiennice i że nie może sobie z tym dać rady.

— Zostaw otwarte, gorąco jest — rzekła przyjaciółka.

— To nieznośne, zobacz nas — odparła panna Vinteuil.

Ale odgadła z pewnością, iż przyjaciółka pomyśli, że mówi jedynie po to, aby wywołać w zamian inne słowa, które w istocie miała ochotę usłyszeć, ale których inicjatywę chciała przez dyskrecję zostawić tamtej. Toteż spojrzenie jej, mimo iż nie mogłem go dostrzec, musiało przybrać wyraz, który tak lubiła moja babka. Dodała żywo:

— Kiedy mówię, że nas zobaczą, myślę, że zobaczą, jak czytamy. Choćby się robiło najobojętniejsze rzeczy, nieznośne jest uczucie, że ktoś obcy może widzieć.

Przez odruchową delikatność i mimowolną uprzejmość zmilczała przygotowane słowa, nieodzowne dla pełnego ziszczenia jej pragnień. I co chwila w głębi niej samej nieśmiała i błagalna dziewczica zaklinała i odsuwała szorstkiego i zwycięskiego żołdaka.

— Tak, to bardzo prawdopodobne, że na nas patrzą o tej godzinie, w tej tak uczęszczanej okolicy — rzekła ironicznie przyjaciółka. — A wreszcie co? — dodała, uważając za swój obowiązek szelmowskim i tkliwym zmrużeniem oczu podkreślić te słowa, które

wyrecytowała przez dobroć, niby lekcję, ze świadomością, że będą one miłe pannie Vinteuil i tonem rozmyślnie cynicznym. — Choćby nawet ktoś nas zobaczył, to tylko tym lepiej smakuje.

Panna Vinteuil zdrząła i podniosła się. Jej pełne skrupułów i wrażliwe serce nie wiedziało, jakich słów trzeba, aby się dostroić do sceny, której żądały jej zmysły. Siłiła się, możliwie najdalej od swojej prawdziwej natury, znaleźć język zepsutej dziewczyny, jaką pragnęła być; ale słowa, które — sądziła — byłyby szczerze u owej dziewczyny, brzmiały jej fałszywie we własnych ustach. Już to, na co sobie pozwoliła, powiedziane było tonem sztucznym, w którym wrodzona nieśmiałość paraliżowała próbki zuchwalstwa; i wciąż wracała do powieżeń w rodzaju: „czy ci nie zimno, czy ci nie za gorąco, czy nie miałabyś ochoty zostać sama i czytać?”

— Zdaje mi się, że moja pani ma dziś myśli wielce lubieżne — rzekła w końcu, powtarzając z pewnością zdanie usłyszane niegdyś z ust przyjaciółki.

W rozchyleniu krepowego stanika panna Vinteuil uczuła, że przyjaciółka uszczknęła pocałunek; wydała krzyk, wydarła się. Gonily się, podskakując, machając szerokimi rękawami jak skrzydłami, gruchając i piszcząc jak zakochane ptaki. W końcu panna Vinteuil padła na kanapę, przykryta ciałem tamtej; ale przyjaciółka zwrócona była grzbietem do stolika, na którym stał portret starego nauczyciela fortepianu. Panna Vinteuil zrozumiała, że przyjaciółka nie spostrzeże portretu, o ile ona sama nie zwróci na niego jej uwagi; rzekła tedy, jak gdyby dopiero co spostrzegła portret:

— Och, ten portret ojca, patrzy na nas! Nie wiem, kto go tu postawił; mówiłam przecie dwadzieścia razy, że nie tu jest jego miejsce.

Przypomniałem sobie, że to były słowa pana Vinteuil, powiedziane do ojca o własnym utworze.

Ten portret służył im z pewnością zazwyczaj do rytualnych profanacji, bo przyjaciółka odpowiedziała słowami, które musiały stanowić część ceremoniału:

— Ale zostaw go, gdzie jest; nie żyje, nie będzie nas już nudził. Wyobrażasz sobie, jakby popłakiwał, jakby cię chciał ubrać w płaszczyk, gdyby cię widział tu, przy otwartym oknie. Paskudna małpa!

Panna Vinteuil odparła z łagodnym wyrzutem: „Daj pokój, daj pokój”... Słowa te świadczyły o dobroci jej natury, nie izby były podyktowane oburzeniem za ojca (widocznie było to uczucie, które nauczyła się — przy pomocy jakich sofizmatów! — tłumić w sobie w owych chwilach), ale dlatego, że były niby hamulcem, jaki, nie chcąc się okazać egoistką, sama nakładała rozkoszy, którą przyjaciółka chciała jej sprawić. A przy tym ten uśmiechnięty takt w odpowiedzi na bluźnierstwa tamtej, ten obłudny i tkliwy wyrzut, wydawały się może jej poczciwej i szczerzej naturze szczególnie bezecną, obleśną formą niegodziwości, którą siłiła się sobie przyswoić. Ale nie mogła się oprzeć rozkoszy, jaką wróżyła pieszczota osoby tak nieubłaganej wobec bezbronnego nieboszczyka; skoczyła na kolana przyjaciółki i podała jej niewinnie czoło do pocałowania, tak jakby mogła uczynić, gdyby była jej córką, czując z rozkoszą, że w ten sposób dochodzą obie do krańca okrucieństwa, wydzierając panu Vinteuil nawet w grobie jego ojcostwo. Przyjaciółka ujęła jej głowę w ręce i złożyła pocałunek na czole panny Vinteuil z uległością, którą ułatwiała jej głębokie przywiązanie do niej oraz chęć ożywienia jakąś rozrywką tak smutnego obecnie życia sieroty.

— Czy wiesz, co mam ochotę zrobić tej starej ohydzie? — rzekła, biorąc portret.

I szepnęła do ucha panny Vinteuil coś, czegom nie mógł dosłyszeć.

— Och! Nie odważyłabyś się.

— Nie odważyłabym się napluć? Na to? — rzekła przyjaciółka z rozmyślną brutalnością.

Nie słyszałem więcej, bo panna Vinteuil z wyrazem umęczenia, niezręczna, zakłopotana, poczciwa i smutna, zamknęła okiennice i okno; ale wiedziałem teraz, jaką pan Vinteuil otrzymał po śmierci zapłatę za wszystkie cierpienia, które zniósł za życia dla córki.

A jednak myślałem później, że gdyby pan Vinteuil mógł być świadkiem tej sceny, nie byłby może jeszcze stracił wiary w serce córki i może nawet nie omyliłby się w tym zbytnio. Z pewnością w obyczajach panny Vinteuil pozór zła był tak kompletny, że trudno by go spotkać w tym stopniu doskonałości gdzie indziej niż u sadystki. Raczej w świetle

rampy bulwarowych teatrów niż pod lampą rzeczywistego wiejskiego domku zdarza się oglądać córkę każącą przyjaciółce pluć na portret ojca, który żył tylko dla niej; zaledwie sadyzm może usprawiedliwić w życiu estetykę melodramatu. W życiu, poza wypadkami sadyzmu, córka obraziłaby może równie okrutnie pamięć i wolę zmarłego ojca, ale nie streściłaby się rozmyślnie w tak pierwotnym i naiwnym symbolu; zbrodniczość jej postępowania byłaby bardziej zakryta oczom ludzi, a nawet jej własnym oczom. Robiłaby źle, nie przyznając się do tego przed sobą. Ale wbrew pozorom w sercu panny Vinteuil, w początkach przynajmniej, nie było zapewne bez domieszki. Taka jak ona sadystka jest artystką złego, którą istota zupełnie zła nie mogłaby być, bo zło nie byłoby dla niej czymś zewnętrznym; wydawałoby się jej całkiem naturalne, nie wyodrębniałoby się nawet od niej. Cnoty, pamięć zmarłych, pietyzm dziecka, nie byłyby dla niej przedmiotem kultu, tym samym nie znajdowałyby świętokradzkiej rozkoszy w ich profanowaniu. Sadyści w rodzaju panny Vinteuil to są istoty tak wyłącznie uczuciowe, tak z natury cnotliwe, że nawet rozkosz zmysłów wydaje się im czymś złym, przywilejem złych. I kiedy zdobędą się na to, aby się jej poddać na chwilę, wówczas starają się wejść w skórę ludzi złych i wcisnąć w nią swego współnika, aby mieć złudzenie, że się wymknęli na chwilę ze swojej duszy, delikatnej i czulej, w nieludzki świat rozkoszy. I zrozumiałem, jak bardzo panna Vinteuil pragnęła tego, kiedy widział, jak niepodobna jej jest to osiągnąć. W chwili gdy pragnęła być tak inną od ojca, najbardziej przypominała mi obyczaje i wyrażenia starego nauczyciela fortepianu. Było coś, co profanowała o wiele więcej niż jego fotografię, coś, co wciągała w swoje rozkosze, ale co ją od nich odgradzało, nie pozwalając jej kosztować ich wprost; to było właśnie jej podobieństwo do ojca, błękitne oczy jego matki, które przekazał córce niby klejnot rodzinny; to były owe uprzejme gesty, które pomiędzy grzech panny Vinteuil a nią samą wsuwały frazeologię i mentalność niestworzone dla tego grzechu, przeszkadzając jej odróżnić go od licznych obowiązków grzeczności, których przestrzegala zazwyczaj. To nie grzech rodził w niej pojęcie potężnej rozkoszy; to rozkosz zdawała się jej grzeszna. Że zaś za każdym razem rozkosz łączyła się dla niej z owymi złymi myślami, które poza tym były obce jej cnotliwej duszy, znajdowała w końcu w rozkoszy coś diabolicznego, utożsamiała ją ze Złem. Może panna Vinteuil czuła, że przyjaciółka jej nie jest z gruntu zła i że nie jest szczerą w chwili, gdy ją zabawia bluźnierczymi słowami. W każdym razie znajdowała w tym przyjemność, aby całować na jej twarzy uśmiechy i spojrzenia, udane może, ale w swoim występny i niskim wyrazie pokrewne tym, jakie miałyby nie istota współczująca i dobra, ale istota okrutna i lubieżna. Mogła sobie wyobrazić przez chwilę, że naprawdę uprawia zabawy, jakie z partnerką równie wynaturzoną mogłaby uprawiać córka żywiąca w istocie tak nieczne uczucia wobec pamięci ojca. Może nie byłaby uważała zła za stan tak rzadki, tak niezwykajny, tak egzotyczny — za coś, w co przenieść się jest takim wytchnieniem — gdyby umiała odczuć w sobie — i w innych — ową obojętność na ból, jaki się sprawia, obojętność, która bez względu na to, jakie jej dać miano, jest straszliwą i trwałą formą okrucieństwa.

O ile było dosyć proste iść w stronę Méséglise, co innego było wybrać się w stronę Guermites. Spacer ten był daleki i wymagał niezawodnej pogody. Kiedy się zdawało, że nadchodzi seria ładnych dni, kiedy Franciszka zrozpaczona, że nie spada ani kropla wody na „biedne pola” i widząc jedynie skąpe białe chmurki na spokojnym i błękitnym niebie, biadoliliła: „Nie powiedziała by kto, że to jakie zwierzaki bawią się na tym niebie wyszczyrzając pyski! Ha, ha, właśnie im w głowie zesłać deszcz dla biednych rolników! A potem, kiedy się zboże wykłosi, wtedy zacnie lać ciurkiem, bez przerwy, nie dbając, na co pada, niby na to morze”; kiedy ojciec otrzymywał niezmiennie te same pomyślnie odpowiedzi od ogrodnika i od barometru, wówczas mówiło się przy obiedzie: „Jutro, jeżeli będzie tak samo ładnie, pójdziemy w stronę Guermites”. Wyruszyliśmy zaraz po śniadaniu furtką od ogrodu i zapuszczaliśmy się w ulicę des Perchamps, ciasną i tworzącą ostry kąt, zarosniętą zielskiem, na którym herboryzowało parę os; ulicę równie dziwną jak jej nazwa, z której zdawała się wywodzić swoje oryginalne cechy i charakter. Próżno szukałoby się tej ulicy w dzisiejszym Combray; na jej miejscu jest dziś szkoła. Ale moje marzenie (podobne owym architektom ze szkoły Viollet-le-Duca, którzy sądząc, że pod renesansową emporą i siedemnastowiecznym ołtarzem odnaleźli ślady romańskiego chóru, doprowadzają całą budowlę do stanu, w jakim musiała być w XII wieku) nie zostawia ani jednego kamienia z nowego budynku; przebija na nowo i „rekonstruuje” ulicę des Perchamps.

Wyobrażenia moja posiada zresztą do tej rekonstrukcji ściślejsze dane, niż je mają zazwyczaj konserwatorowie; parę obrazów zachowanych w mojej pamięci, ostatnich może, jakie istnieją jeszcze, i przeznaczonych na to, aby niebawem zgasły — obrazów Combray z czasu mego dzieciństwa; wzruszających tym, że je nakreśliło we mnie samo Combray, nim znikło; wzruszających — jeżeli można zestawiać lada jaki portret z owymi wspaniałymi dziełami sztuki, które babka lubiła mi dawać w reprodukcjach — jak owe dawne sztychy *Wieczerzy* lub obraz Gentile Bellini, w których widzi się arcydzieło Leonarda i portal Świętego Marka w stanie nieistniejącym już dzisiaj.

Przechodziło się ulicą Ptasia koło starej gospody pod Ustrzelonym Ptakiem, w którego wielki dziedzińiec wjeżdżały czasem w XVII wieku karoce księżnych de Montpensier, de Guermantes i de Montmorency, kiedy damy te zjawiały się w Combray na jakiś proces z dzierżawcami lub w sprawie lennego hołdu. Dochodziło się do promenady wśród drzew, skąd widać było wieżę św. Hilarego. I byłbym chciał usiąść tam i zostać cały dzień, czytając i słuchając dzwonów; bo było tak ładnie i spokojnie, że można by rzec, iż zegar, bijąc godzinę, nie przerywa spokoju dnia, ale że go uwalnia od jego zawartości, i że dzwonnica — niedbale i starannie, jak ktoś niemający nic innego do roboty — przycisnęła w danym momencie jedynie pełnię ciszy, aby z niej wycisnąć i upuścić parę kropelek złota, które w niej powoli i nieznacznie zebrało gorąco.

Największym urokiem strony Guermantes było to, że szło się prawie cały czas wzdłuż Vivonne. Przebywało się rzekę pierwszy raz w dziesięć minut po wyjściu z domu, kładką zwaną Stary Most. Zaraz na drugi dzień po naszym przyjeździe, w dzień Wielkiej Nocy, po kazaniu, jeżeli było ładnie, pędziłem tam, aby po zamęcie świątecznego poranka, kiedy uroczyste przygotowania tym bardziej uwydatniają szpetotę walających się jeszcze sprzętów gospodarskich, spojrzeć na rzekę. Już przechadzała się w błękitach między czarnymi jeszcze i nagimi brzegami, jedynie w towarzystwie zgrai prymulek przybyłych zbyt szybko oraz za wczesnych pierwiosnków, podczas gdy tu i ówdzie fiołek o niebieskim dzióbku zginał łodygę pod ciężarem kropli zapachu, którą dźwigał w swoim różku. Stary Most wychodził na ścieżkę, wytapetowaną w tym miejscu w lecie niebieskimi liśćmi orzecha, pod którym rozsiadł się rybak w słomkowym kapeluszu. W Combray, gdzie wiedziałem, jaka osobowość — kowala czy chłopca sklepowego — kryje się pod uniformem szwajcara lub komeżką ministranta, rybak ten był jedyną postacią, której tożsamości nigdy nie mogłem ustalić. Musiał znać moich rodziców, bo uchylał kapelusza, kiedyśmy przechodzili; chciałem wówczas spytać go o nazwisko, ale dawano mi znak, abym milczał i nie straszył ryby. Wędrowaliśmy ścieżką biegnącą nad strumieniem, po skarpie na kilka stóp wysokiej; z drugiej strony brzeg był niski, rozpościerał się rozległymi łąkami aż do miasteczka i do dość odległego dworca kolei. Łąki te były usiane na wpół zagrzebanymi w trawie resztkami zamku dawnych hrabiów Combray, któremu w średnich wiekach łożysko Vivonne służyło od tej strony za obronę przeciw napadom panów na Guermantes i opatów Martinville. Były to już tylko jakieś szczątki wież wzdymające łąkę, ledwie widoczne; jakieś blanki, skąd niegdyś kusznik miotał kamienie, skąd czatownik śledził Novepont, Clairefontaine, Martinville-le-Sec, Bailleau-l'Exempt, wszystkie lenna Guermantes, którymi Combray było okolone, dziś zrównane z ziemią, opanowane przez uczniów szkoły klasztornej, którzy przychodzili tam uczyć się lekcji lub bawić się na pauzie; — przeszłość niemal skryta pod ziemią, rozciągnięta nad rzeką niby letnik zażywający chłodu, ale dająca mi wiele do myślenia; sprawiająca, iż pod nazwą Combray wyrastał dla mnie obok dzisiejszego miasteczka gród bardzo odmienny; przeszłość przykuwająca moje myśli swoją niezrozumiałą i antyczną twarzą, na wpół skrytą pod jaskrami. Jaskrów było mnóstwo w tym miejscu, które wybrały na swoje igraszki w trawie; samotne, parami, kępkami, żółte jak żółtko od jajka, tym świetniejsze w moich oczach, ile że rozkosz płynąca z ich widoku — nie mogąc jej skojarzyć z żadną gastronomiczną zachcianką — skupiałem na ich złocistej powierzchni, aż się ta rozkosz stała dość silna, aby zrodzić bezużyteczne piękno. Tak było od mego najwcześniejszego dzieciństwa, kiedy ze ścieżki wyciągałem ręce ku tym jaskrom, nie umiając dobrze wymówić ładnego imienia owych książąt z bajki, przybyłych może przed wiekami z Azji, ale zadomowionych na zawsze na wsi, zadowolonych ze skromnego horyzontu, kochających słońce i brzeg rzeki,

wiernych ubogiemu widokowi dworca, zachowujących wszelako jeszcze — jak niektóre nasze stare obrazy — przy swojej ludowej prostocie poetyczny odbłask Wschodu.

Lubiłem patrzeć na karafki, które chłopcy zanurzali w Vivonne, aby łapać małe rybki. Wypełnione rzeką i nią nawzajem objęte, zarazem „zawierające”, o ścianach przezroczystych jak stwardniała woda i „zawarte”, zanurzone w większym, „zawierającym” z płynnego i bieżącego kryształu, budziły one obraz chłodu rozkoszniejszy i bardziej drażniący niż gdyby się znalazły na nakrytym stole; obraz jawiący się tylko przelotnie, w owej nieustannej aliteracji między wodą bez konsystencji, nieuchwytną dla rąk i szkłem bez płynności, nieujęty dla podniebienia. Obiecywałem sobie wrócić tam z wędką; wypraszałem, aby dobyto nieco chleba z podwieczorkowych zapasów; rzucałem do Vivonne kulki, które zdawały się wywoływać objaw przesylenia, woda bowiem tężała natychmiast dokoła w jajowatych gronach zgłodniałych kijanek, które dotąd trzymała zapewne w roztworze, niewidzialne, dojrzałe do krystalizacji.

Niebawem bieg Vivonne tamują rośliny wodne. Najpierw odosobnione; jakiś nenufar niepokojony prądem, w poprzek którego się nieszczęśliwie ulokował. Niby mechanicznie poruszany prom nenufar ów dobijał jednego brzegu po to, aby wrócić do drugiego, wiekiście powtarzając tę dubeltową przeprawę. Parta ku brzegowi łodyga jego rozwijała się, wydłużała, pomykała, dosięgała ostatnich granic swej rozpiętości u brzegu, gdzie prąd ją chwycił, wówczas zielona lina związała się sama i sprowadzała biedną roślinę do tego, co można nazwać jej „punktem wyjścia”, gdyż nie pozostając tam ani sekundy, rozpoczynała na nowo tę samą czynność. Odnajdywałem ją za każdym spacerem, zawsze w tym samym położeniu, nasuwającą myśl o pewnych neurastenikach, do których dziadek zaliczał ciocię Leonię. Tacy ukazują nam bez zmiany w ciągu lat pasmo swoich dziwacznych przyzwyczajzeń, z których za każdym razem myślą się otrząsnąć, a które zachowują zawsze; wzięci w tryby swoich udręczeń i manii, wysiłkiem daremnych szamotań utrwalają jedynie ich funkcjonowanie i wprawiają w ruch mechanizm swoich osobliwych, nieuchwytnych i zgubnych nawyków. Taki był ów nenufar, podobny również jednemu z owych nieszczęśliwych, których cierpienie, powtarzające się nieskończenie w ciągu wieków, budziło ciekawość Danta²¹, tak iż poeta kazałby samemu pacjentowi obszerniej opowiedzieć sobie właściwości i przyczynę męki, gdyby Wirgiliusz, oddalając się wielkim krokiem, nie był go pociągnął za sobą, jak mnie moi rodzice.

Ale później prąd słabnie, rzeka przebywa otwartą dla publiczności posiadłość, której właściciel lubował się w ogrodnictwie wodnym, hodując w małych jeziorkach stworzonych przez Vivonne istne ogrody lili wodnych. Ponieważ brzegi były w tej okolicy bardzo zadrzewione, wielkie cienie drzew dawały wodzie dno, zazwyczaj ciemnozielone; ale czasami, kiedyśmy wracali w jakiś wypogodzony wieczór burzliwego popołudnia, bywało ono jasnoblękitne i jaskrawe, przechodziło w fiolet o tonie japońskiej emalii. Tu i ówdzie, na powierzchni czerwieniał niby truskawka kwiat lili wodnej o szkarłatnym sercu i białych brzegach. Dalej liczniejsze kwiaty były bledsze, mniej gładkie, bardziej ziarniste, bardziej pomarszczone, rozrzucone w zwojach tak wdzięcznych, iż zdawało się, że to rozplecione girlandy pienistych róż spływają z wodą.

W innym kącie rosły pospolitsze gatunki, o schludnych białych i różowych barwach maciejki, wymyte starannie jak porcelana, gdy nieco dalej kwiaty tłoczyły się jak istna pływająca grządka, rzekłbyś bratki ogrodowe, które złożyły niby motyle swoje sine glansowane skrzydła na przejrzyściej pochyłości wodnego kwietnika będącego zarazem kwietnikiem niebieskim: dawał bowiem kwiatom grunt o barwie rzadszej, bardziej wzruszającej niż kolor samych kwiatów; i czy to w ciągu popołudnia lśnił się pod wodnymi liliami kalejdoskopem uważnego, milczącego i ruchomego szczęścia; czy napełniał się pod wieczór, niby jakiś odległy port, różaną zadumą zachodu, mieniając się co chwila, aby dokoła kielichów o stalszych barwach wciąż być w harmonii z tym, co jest w owej godzinie najgłębszego, najbardziej ulotnego, tajemniczego — nieskończonego — zdawało się, że te kwiaty rozkwitają na pełnym niebie.

Opuściwszy park, Vivonne znów przyspiesza biegu. Ileż razy widziałem — pragnąc go naśladować, kiedy będę mógł żyć wedle upodobania — wiosłarza, który, porzuciwszy wiosło, położył się na wznak na dnie łodzi i pozwalając jej płynąć z prądem, widząc

²¹Danta — dziś popr.: Dantego. [przypis edytorski]

tylko niebo przepływające nad nim z wolna, miał na swojej twarzy przedsmak szczęścia i spokoju.

Siadaliśmy wśród irysów nad wodą. Na świątecznym niebie wędrowała z wolna leniwa chmura. Chwilami nękany nudą karp wychylał się z trwożnym oddechem. Była to godzina podwieczorku. Nim ruszyliśmy dalej, zasiadywaliśmy się długo na trawie, zjadając owoce, chleb i czekoladę, podczas gdy dochodziły nas horyzontalne, zwątlone, ale gęste jeszcze i metaliczne dźwięki dzwonu św. Hilarego: niez mieszane z powietrzem, które przebiegały tak długo, żłobione kolejną wibracją wszystkich swoich dźwięcznych linii, drgały, ocierając się o kwiaty u naszych stóp.

Czasem na brzegu okolonym drzewami spotykaliśmy jakiś dworek „dla letników”, samotny, odludny, niewidzący ze świata nic prócz rzeki, która opływała jego stopy. Młoda kobieta, której zamyślane rysy i wykwintny woal wyraźnie nie były tutejsze, przybyła z pewnością, wedle utartego wyrażenia, „zagrzebać się” tam, kosztować owej gorzkiej przyjemności, że jej imię, imię zwłaszcza tego, którego serca nie umiała zatrzymać, są tam nieznane. Stawała w oknie niby w ramie niepozwalającej jej patrzeć dalej niż na łódkę umocowaną niedaleko furtki. Podnosiła z roztargnieniem oczy, słysząc za drzewami głosy przechodzących; nim jeszcze ujrzała ich twarze, mogła być pewna, że nigdy nie znali ani nie poznają niewiernego, że nic w ich przeszłości nie nosi jego śladu, że nic w ich przyszłości nie będzie go nosiło. Czuło się, że dobrowolnie opuściła strony, gdzie mogłaby bodaj widzieć swego ukochanego, wybraawszy w cichej rezygnacji okolice, która nie oglądała go nigdy. I ja patrzyłem na nią, wracając ze spaceru drogą, którą — wiedziała o tym — on nie będzie nigdy szedł; patrzyłem, jak z osmuconych rąk zdejmuje długie rękawiczki o bezużytecznym wdzięku.

Nigdy, puszczając się w stronę Guermentes, nie mogliśmy dotrzeć do źródeł Vivonne, o których często myślałem i które miały dla mnie istotność tak oderwaną, tak idealną, że kiedy mi powiedziano, iż znajdują się w naszym departamencie, o ileś tam kilometrów od Combray, uczułem się równie zdziwiony, co w dniu, kiedy się dowiedział o innym dokładnym punkcie ziemi, gdzie otwierało się w starożytności wejście do Piekieł. Nigdy również nie mogliśmy zejść do kresu, do którego tak byłbym pragnął dotrzeć, do samego Guermentes. Wiedziałem, że tam rezydują właściciele, księstwo de Guermentes; wiedziałem, że to są osoby realne i istniejące; ale za każdym razem, kiedy o nich myślałem, wyobrażałem ich sobie to jako gobelin — na wzór hrabiny de Guermentes w *Koronacji Estery* w naszym kościele — to w mieniących się barwach Gilberta Złego na witrażu, który przechodził od koloru kapuścianego do śliwkowego, wedle tego, czym dopiero maczał palce w kropielnicy, czym już dochodził do ławki; to zupełnie nieuchwytnie jak obraz Genowefy Brabanckiej, protoplastki rodu Guermentes, którą latarnia czarnoksięska wodziła po firankach w moim pokoju lub rzucała na sufit; — słowem, wyobrażałem ich sobie zawsze spowitych tajemnicą epoki Merowingów i skąpanych niby w zachodzie słońca w pomarańczowym świetle wylaniającym się z owej sylaby „antes”. Ale jeżeli mimo to byli oni dla mnie, jako książę i księżna, istotami rzeczywistymi, jakkolwiek niezwykłymi, w zamian za to ich osobowość książęca rozciągała się bezkresnie, odmaterializowywała się, aby móc zawrzeć w sobie owo Guermentes, którego byli księciem i księżną, całą „stronę Guermentes” skąpaną w słońcu, bieg Vivonne, lilie wodne i wielkie drzewa, i tyle pięknych popołudni. I wiedziałem, że nie tylko noszą tytuły diuka i diuszesy de Guermentes, ale że od XIV wieku, gdy spróbowawszy daremnie zwyciężyć swoich dawnych panów, spokrewnili się z nimi przez małżeństwa, są hrabiami Combray, tym samym pierwszymi obywatelami Combray, a mimo to jedynymi, którzy w nim nie mieszkają. Hrabiowie de Combray posiadający Combray w sercu swego tytułu, swojej osoby, kryjący z pewnością w sobie ów dziwny i pobożny smutek, swoisty dla Combray; właściciele miasta, ale nie jakiegoś poszczególnego domu, mieszkający zapewne w przestrzeni, na ulicy, między niebem a ziemią, jak ów Gilbert z Guermentes, którego oglądałem w witrażach absydy św. Hilarego jedynie jako tafle czarnej laki, kiedy podniosłem głowę idąc po sól do Camusa.

Zdarzało się, że idąc w stronę Guermentes przechodziłem czasami koło małych wilgotnych zagród obrośniętych pękami ciemnych pnączy. Zatrzymywałem się, sądząc, że nabędę jakiejś cennej wiadomości, bo mi się zdawało, że mam przed oczami fragment owej strefy nadwodnej, którą tak pragnąłem znać od czasu, jak ją odkryłem w jednym ze swoich ulubionych pisarzy. Z ową strefą, z jej wyrojonym obszarem przeciętym pienisty-

mi strumieniami utożsamiało się Guermantes, zmieniło w mojej wyobraźni postać, odkąd usłyszałem doktora Percepied, jak nam opowiadał o pięknych kwiatach i strumieniach w parku zamkowym. Marzyłem, że pani de Guermantes w nagłym porywie sympatii zaprasza mnie i cały dzień łowi ze mną pstrągi. A wieczorem, trzymając mnie za rękę, przechodząc koło ogrodów swoich wasalów, pokazuje mi wzdłuż niskich murów kwiaty wspierające o mur swoje fioletowe i czerwone kądziele i objaśnia mi ich nazwy. Każę sobie opowiadać treść poematów, które miałem zamiar tworzyć. I te marzenia ostrzegaly mnie, że skoro kiedyś chcę zostać pisarzem, czas byłby wiedzieć, co mam pisać. Ale z chwilą, kiedy pytałem o to sam siebie, starając się znaleźć temat, w którym mógłbym zawrzeć rozległy sens filozoficzny, myśl moja przestawała działać. Wytężając całą uwagę, widziałem przed sobą pustkę; czułem, że nie mam talentu lub może choroba umysłowa nie pozwalała mu się narodzić.

Czasem liczyłem na ojca, że jakoś to urządzi. Był tak potężny, tak dobrze widziany u ludzi wpływowych, że zdarzało mu się ominąć dla nas prawa, które Franciszka nauczyła mnie uważać za niezłomniejsze od praw życia i śmierci — jak np. opóźnić dla naszego domu, jedyne w całej dzielnicy, o cały rok obowiązek tynkowania; uzyskać dla syna pani Sazerat, wybierającej się do wód, przywilej zdawania matury o dwa miesiące wcześniej, w serii kandydatów zaczynających się na A, zamiast żeby czekał kolei S. Gdybym ciężko zachorował, gdyby mnie porwali bandyci, wówczas przekonany, że ojciec ma zbyt wiele wpływu u najwyższych potęg, zbyt nieodparte listy polecające do Pana Boga, aby moja choroba lub uwięzienie mogły być czymś innym niż *czczą* i niegroźną komedią, czekałbym spokojnie nieuchronnego i *szczęśliwego* obrotu, godziny oswobodzenia lub wyzdrowienia. Może ten brak talentu, ta czarna dziura ziejąca w moim mózgu, kiedy szukałem tematu do przyszłych utworów, jest również tylko bezpodstawnym złudzeniem, które pierzchnie dzięki interwencji ojca; musiał to ułożyć z rządem i z opatrnością, że ja będę pierwszym pisarzem swojej epoki. Ale innym razem, podczas gdy rodzice niecierpliwi się, że zostają w tyle i nie podążam za nimi, moje obecne życie, zamiast mi się wydawać sztucznym tworem ojca, mogącego je zmieniać wedle ochoty, wydawało mi się przeciwnie czymś określonym rzeczywistością, która nie jest stworzona dla mnie, wobec której nie ma protestu, w której łonie nie posiadam sprzymierzeńca i która nie kryje nic poza nią samą. Zdawało mi się wówczas, że istnieję w taki sam sposób jak inni ludzie; że się zestarzeję, umrę jak oni i że po prostu tylko należę do tych, którzy nie mają talentu. Toteż zniechęcony wyrzekłem się na zawsze literatury, mimo zachęty, jakiej mi nie szczędził Bloch. To wewnętrzne, bezpośrednie poczucie własnej nicości przeważało wszystkie pochlebne słowa, jakie mi się zdarzało słyszeć, tak jak wyrzut sumienia nurtuje złego człowieka, podczas gdy wszyscy chwalą jego dobre uczynki.

Pewnego dnia matka powiedziała mi: „Mówisz wciąż o pani de Guermantes; otóż, ponieważ doktor Percepied bardzo umiejętnie leczył ją przed czterema laty, księżna ma przyjechać do Combray na ślub jego córki. Będziesz ją mógł widzieć w kościele”. Od tego doktora Percepied najczęściej słyszałem o pani de Guermantes; pokazywał nam nawet numer ilustrowanego pisma z jej fotografią w stroju, który miała na balu kostiumowym u księżnej de Léon.

Naraz w czasie mszy weselnej ruch szwajcara, który usunął się na bok, pozwolił mi ujrzeć w kaplicy blondynkę z dużym nosem, bystrymi niebieskimi oczami, w gładkim, nowym i lśniącym jedwabnym fontaziu lila, z małym pryszczkiem u nasady nosa. I ponieważ na powierzchni jej czerwonej twarzy (musiało jej być bardzo gorąco) rozróżniałem — rozcieńczone i ledwo dostrzegalne — cząsteczki podobieństwa z portretem, który mi pokazywano; ponieważ zwłaszcza poszczególne rysy, gdy próbowałem je określić, wyrażały się ściśle w tych właśnie terminach (duży nos, niebieskie oczy), którymi się posłużył doktor Percepied, opisując księżnę, powiedziałem sobie: ta dama podobna jest do pani de Guermantes. Dalej: kaplica, w której owa dama słuchała mszy, to była kaplica Gilberta Złego, pod której płaskimi grobowcami, złożonymi i rozdętymi niby komórki z miodem, spoczywali dawni książęta brabancy. Dalej: przypomniałem sobie, że słyszałem, iż kaplica ta jest zastrzeżona dla rodziny Guermantes, kiedy któryś z jej członków przybywa na nabożeństwo do Combray; prawdopodobnie mogła istnieć tylko jedna kobieta podobna do portretu pani de Guermantes znajdująca się tam, w tej kaplicy, w dniu, w którym księżna miała właśnie przybyć: to jest ona!

Rozczarowanie moje było wielkie. Pochodziło ono stąd, że myśląc o pani de Guermantes, nigdy się nie zastanawiałem, że ją sobie wyobrażam w barwach gobelinu lub witrażu, w innej epoce, z innej materii niż reszta żyjących osób. Nigdy mi nie przyszło na myśl, że może mieć czerwoną twarz, fontaż lila jak pani Sazerat; a owal jej twarzy tak bardzo mi przypominał osoby widywane w domu, że musnęło mnie podejrzenie — przelotne zresztą — iż owa dama w swojej zasadniczej istocie, we wszystkich swoich drobinach, nie jest może jako substancja księżną de Guermantes, ale że jej ciało nieświadome nazwiska, które nosi, należy do pewnego typu kobiecego, obejmującego również żony lekarzy i kupców. „Więc to tylko tyle, pani de Guermantes!”, powiadała uważna i zdumiona mina, z jaką patrzyłem na ten obraz, oczywiście niemający żadnego związku z tymi, które pod tym samym mianem *pani de Guermantes* jawiły się tylekroć w moich snach. Obraz ten nie był jak tamte samowładnie stworzony przeze mnie, ale skoczył mi do oczu pierwszy raz dopiero przed chwilą, w kościele; nie był tej samej przyrody, nie dał się barwić do woli jak tamte, które pozwalały się napoić pomarańczowym kolorem czarodziejskiej sylaby; ale był tak realny, że wszystko — nawet ten mały pryszczek czerwieniący się w kąciку nosa — stwierdzało jego podległość prawidłom życia. Tak w teatralnej apoteozie falowanie sukni wróżki, drżenie jej małego palca zdradzają obecność żywej aktorki tam, gdzie nie byliśmy pewni, czy nie mamy przed oczami czystej projekcji świetlnej.

Ale równocześnie na tym obrazie, który przenikliwe oczy księżnej i jej wydatny nos przyszpilały do mojej wizji (może dlatego, że ten nos i te oczy najpierw dosięgły ową wizję, uczyniły w niej pierwszą rysę, w chwili gdy nie miałem jeszcze czasu pomyśleć, że kobieta, którą mam przed sobą, może być panią de Guermantes), na tym obrazie świeżym, nieodmiennym, próbowałem pomieścić myśl: „To jest pani de Guermantes”. Ale mogłem jedynie manipulować tym pojęciem na zewnątrz obrazu; były to niby dwie tarcze oddzielone przestrzenią. W zamian owa pani de Guermantes, o której tak często marzyłem, teraz, kiedy widziałem, że istnieje faktycznie poza mną, nabrała jeszcze większej władzy nad moją wyobraźnią; przez chwilę sparaliżowana zetknięciem z rzeczywistością tak różną od moich oczekiwań, wyobraźnia ta zaczęła teraz reagować, szepcząc mi: „Okryci chwałą przed epoką Karola Wielkiego, Guermantowie mieli prawo życia i śmierci nad swymi wasalami; księżna de Guermantes pochodzi od Genowefy Brabanckiej. Nie zna tutaj i nie raczyłaby znać żadnej z obecnych osób”.

I oto cudowna niezależność spojrzeń ludzkich przywiązanych do twarzy nicią tak luźną, tak długą, tak rozciągliwą, że mogą się przechadzać same z dala od niej! Podczas gdy pani de Guermantes siedziała w kaplicy nad grobami swoich zmarłych, spojrzenia jej błędziły tu i tam, pięły się po filarach, zatrzymywały się nawet na mnie niby promień słońca wędrujący po nawie, ale promień słońca, który w chwili, gdym uczuł jego pieszczotę, wydał mi się świadomy. Co się tyczy samej pani de Guermantes, ponieważ pozostała nieruchoma, siedząc niby matka, gdy zdaje się nie widzieć psot i natręctwa swoich dzieci zaczepiających wśród zabawy osoby, których ona nie zna, niepodobna mi było zgadnąć, czy ona w beczynności swojej duszy pochwała czy potępia włóczęgę swoich spojrzeń.

Pragnąłem bardzo, aby nie wyszła z kościoła, nim się jej będę mógł napatrzeć do woli; przypominałem sobie bowiem, że od wielu lat uważałem jej widok za coś nieskończenie upragnionego. Nie odrywałem od niej oczu, jak gdyby każde moje spojrzenie mogło dosłownie unieść i zachować we mnie obraz wydatnego nosa, czerwonych policzków, wszystkich szczegółów, które mnie uderzały niby cenne, autentyczne i osobliwe dokumenty jej twarzy. Teraz owa twarz wydawała mi się piękna dzięki pojęciom, jakie z nią łączyłem, może zwłaszcza dzięki owej wrodzonej nam chęci niedoznania zawodu, będącej jakby instynktem samozachowawczym najlepszej części naszej istoty. Znów — skoro ona i owa księżna de Guermantes obecna dotąd w mojej wyobraźni były jedną i tą samą osobą — mieściłem ją poza resztą ludzkości, w którą proste życie jej ciała kazało mi ją na chwilę wmieszać; drażniło mnie, że słyszę dokoła: „Ładniejsza jest niż pani Sazerat, niż panna Vinteuil”, jak gdyby można było ją z nimi porównywać! I spojrzenia moje zatrzymywały się na jej blond włosach, na niebieskich oczach, na liniach jej szyi; omijając rysy, które mogły mi przypomnieć inne twarze, wykrzykiwałem przed tym rozmyślnie niekompletnym szkicem: „Jaka ona piękna! Co za szlachetność! Mam przed sobą prawdziwą dumną Guermantes, wnuczkę Genowefy Brabanckiej!”. I skupienie, jakim oświecałem jej twarz, wyodrębniało ją tak, że dziś, kiedy wspomnę tę uroczystość, niepodobna mi

ujrzeć nikogo z obecnych poza nią i poza szwajcarem, który odpowiedział twierdząco, kiedym go spytał, czy owa dama jest panią de Guermantes. Ale ją samą widzę; zwłaszcza w chwili defilady w zakrystii, którą oświetlało niepewne i gorące słońce owego wietrznego i burzliwego dnia, gdy pani de Guermantes znalazła się pośród wszystkich tych mieszkańców Combray. Nie знаła nawet ich nazwisk, ale niższość ich zbyt dobitnie stwierdzała jej przewagę, aby nie miała dla nich odczuć szczerzej życzliwości, spodziewając się zresztą tym bardziej zaimponować im uprzejmością i prostotą. Nie mogła na nich zwracać owych spojrzeń świadomych, naładowanych określonym sensem, którymi się darzy osoby znajome; pozwalając tedy swoim roztargnionym myślom tryskać strumieniem błękitnego blasku, którego nie mogła powstrzymać, nie chciała, aby ten blask mógł onieśmielać, aby się mógł wydać wzgardliwy drobnym ludziom, których spotykał po drodze, których dosięgał co chwila. Widzę jeszcze nad jedwabistym i sutym fontaziem lila słodkie zdziwienie jej oczu, któremu przydała — nie śmiejąc go przeznaczyć dla nikogo, ale tak aby wszyscy mogli w nim mieć swój udział — na wpół nieśmiały uśmiech udzielnej pani, która niejako usprawiedliwia się przed swymi wasalami i kocha ich. Ten uśmiech spadł na mnie, niespuszczającego z niej oczu. Wówczas przypominając sobie owo spojrzenie, któremu pozwoliła musnąć mnie w czasie mszy, niebieskie jak promień słońca, gdy przesywa witraż Gilberta Złego, powiedziałem sobie: „Ależ z pewnością ona mnie zauważyła”. Myślałem, że się jej spodobał, że będzie jeszcze myślała o mnie, skoro wyjdzie z kościoła, że z mojego powodu będzie może smutna wieczorem w Guermantes i natychmiast pokochałem ją, bo jeżeli czasem dla pokochania kobiety wystarczy, że na nas popatrzy ze wzgardą — jak w moim pojęciu zrobiła panna Swann — i że myślimy, iż nigdy do nas nie będzie mogła należeć, czasem znowu wystarczy, że na nas spojrzy z dobrocią, jak to uczyniła pani de Guermantes, i że myślimy, iż będzie mogła do nas należeć. Jej oczy błękitniały jak barwinek niemożliwy do zerwania, a jednak przeznaczony dla mnie; a słońce zagrożone chmurą, ale prażące jeszcze całą siłą na rynku i w zakrystii, dawało karnację geranii rozłożonym na tę uroczystość czerwonym dywanom, po których posuwała się z uśmiechem pani de Guermantes; dawało ich wełnie różowy puszek niby naskórek świetlny i jakąś tkliwość, jakąś poważną słodycz w pompie i w radości, charakterystyczne dla niektórych ustępów z Lohengrina, dla niektórych płócien Carpaccia, coś co pozwala zrozumieć, że Baudelaire mógł dać dźwiękowi trąby epitet „rozkoszny”.

O ileż od owego dnia w spacerach moich w stronę Guermantes wydało mi się jeszcze boleśniejsze niż dawniej nie mieć talentu i musieć się na zawsze wyrzec pisarskiej sławy! Żał, jakim mnie to przejmowało wówczas, gdym został sam, marząc trochę na uboczu, przyprowadził mnie o takie cierpienie, że, aby go nie czuć dłużej, duch mój — sam z siebie, przez rodzaj samoobrony wobec bólu — zaprzestawał całkowicie myśleć o wierszach, o powieściach, o przyszłości poetyckiej, na którą mój brak talentu zabraniał mi liczyć. Wówczas całkiem poza tymi zainteresowaniami i nie wiążąc się z nimi niczym, nagle jakiś dach, blask słońca na kamieniu, zapach przydrożny kazały mi się zatrzymać dla osobliwej przyjemności, jaką mi dawały; zdawało mi się zarazem, iż poza tym, co widzę, kryją one coś, do czego mnie zapraszają i czego mimo wysiłków nie mogę odkryć. Ponieważ czułem, że to znajduje się w nich, stałem w miejscu, nieruchomy, patrząc, oddychając, starając się wyjść myślą poza obraz lub zapach. I jeżeli mi trzeba było dogonić dziadka, iść dalej, starałem się odnaleźć je, zamykając oczy, siłęm się przypomnieć sobie dokładnie linię dachu, barwę kamienia, które — nie umiałem powiedzieć czemu — zdawały mi się przez chwilę pełne, gotowe się rozchylić, wydać mi to, czego były jedynie pokrywą. Z pewnością tego rodzaju wrażenia nie mogły mi wrócić nadziei zostania kiedyś pisarzem i poetą, bo były zawsze związane z poszczególnym przedmiotem, pozbawionym wartości intelektualnej i nieskojarzonym z żadną oderwaną prawdą. Ale przynajmniej dawały mi przyjemność niewyrozumowaną, złudzenie jakiejś płodności i tym samym wyrwały mnie nudzie, poczuciu własnej bezsilności, jakiego doznawałem za każdym razem, kiedym szukał filozoficznego tematu do wielkiego literackiego dzieła. Ale uczucie obowiązku, który mi nakładały owe wrażenia kształtu, zapachu lub barwy, każąc mi dotrzeć do tego, co się kryje za nimi, było tak ciężkie, że rychło zacząłem szukać wymówek, które by mi pozwoliły umknąć się tym wysiłkom i oszczędzić sobie mozół.

Na szczęście rodzice wołali mnie; czułem, że nie mam w danej chwili potrzebnego spokoju, aby skutecznie wieść dalej swoje poszukiwania; że lepiej nie myśleć już o tym

aż do powrotu i nie męczyć się z góry bez rezultatu. Zaczem nie zajmowałem się już ową rzeczą nieznaną, która spowijała się w kształt albo w zapach; czułem się spokojny, ponieważ zabierałem ją do domu pod płaszczem obrazów, gdzie odnajdę ją żywą jak owe ryby, które w dni, kiedy mi pozwolono iść z wędką, przynosiłem w koszyku pod warstwą trawy zapewniającą im chłód. Znalazłszy się w domu, myślałem o czym innym i w ten sposób gromadziły się w mojej duszy (tak jak w moim pokoju kwiaty zerwane na przechadzce lub przedmioty otrzymane od kogoś) kamień, na którym igrało światło, dach, dźwięk dzwonu, zapach liści, wiele rozmaitych obrazów kryjących dawno już umarłą przeczucwaną rzeczywistość, na której odkrycie nie starczyło mi woli.

Pewnego razu, kiedy nasza wyprawa przeciągnęła się wyjątkowo długo, spotkaliśmy nad wieczorem, ku wielkiej naszej radości, doktora Percepied pędzącego powozem; poznał nas i wziął nas z sobą. Wówczas doznałem takiego właśnie wrażenia, ale nie poniechałem go tym razem, nie zgłębiwszy go po trosze. Posadzono mnie koło woźnicy; jechaliśmy jak wiatr, bo doktor miał jeszcze przed powrotem do Combray wstąpić w Martinville-le-Sec do chorego; umówiliśmy się, że zaczekamy nań u bramy. Na zakręcie uczułem nagle ową osobliwą przyjemność niepodobną do żadnej innej; a uczułem ją, widząc dwie wieże kościoła w Martinville oświetlone zachodzącym słońcem, przy czym ruch powozu i zakręty drogi kazały im jak gdyby zmieniać miejsce; następnie wieżę w Vieuxvicq, która, oddzielona od nich pagórkami i doliną, położona na płaskowyżu w oddali, zdawała się wznosić tuż obok tamtych.

Stwierdzając i notując kształt ich iglic, przesuwanie się ich konturów, osłonecznienie ścian, czułem, że nie dochodzę do krańca swoich wrażeń, że jest coś poza tym ruchem, poza tą jasnością, coś, co niejako zawierają i kryją zarazem.

Wieże wydawały się tak odległe i na pozór tak mało zbliżaliśmy się do nich, że zdziwiłem się, kiedy w chwilę potem zatrzymaliśmy się przed kościołem w Martinville. Nie znałem przyczyn rozkoszy, jakiej doznałem wprzód, widząc je na horyzoncie, a przymus dociekania tych przyczyn zdawał mi się bardzo uciążliwy; miałem ochotę zachować w głowie owe linie poruszające się w słońcu i nie myśleć już o nich teraz. I prawdopodobne jest, że gdybym to był uczynił, owe dwie wieże byłyby się na zawsze połączyły z tyłoma drzewami, dachami, zapachami, dźwiękami, którem odróżniał od innych dla owej tajemnej i nigdy przeze mnie niezgłębianej rozkoszy. Zeszedłem porozmawiać z rodzicami, czekając na doktora. Potem ruszyliśmy dalej, siadłem z powrotem na kozioł, obróciłem głowę, aby widzieć jeszcze wieże, które nieco później ujrzałem na zakręcie ostatni raz. Woźnica, widocznie nieusposobiony do rozmowy, ledwie odpowiadał na moje przygadanki; trzeba mi było z braku innego towarzystwa poprzestać na własnym i próbować przypominać sobie swoje wieże. Niebawem ich kontury i ich słoneczne ściany rozdarły się, jak gdyby były czymś w rodzaju kory; coś z tego, co mi w nich było zakryte, objawiło mi się; uczułem myśl, która nie istniała dla mnie chwilę przedtem, skryształizowaną w słowach w mojej głowie. Rozkosz, którą dał mi przed chwilą widok tych wież, wzmogła się tak, że jakby w upojeniu nie mogłem już myśleć o niczym innym. Byliśmy już daleko od Martinville, kiedy odwracając głowę, ujrzałem je na nowo, tym razem całkiem czarne, bo słońce tymczasem zaszło. Chwilami na zakrętach chowały mi się; potem ukazały się ostatni raz — w końcu nie ujrzałem ich więcej.

Nie uświadamiałem sobie, że to, co było ukryte za wieżami w Martinville, musi być czymś pokrewnym pięknemu zdaniu, skoro objawiło mi się w postaci słów, które mi sprawiły przyjemność; ale poprosiłem doktora o papier i ołówek; po czym aby ulżyć sumieniu i poddać się swemu zachwytowi, ułożyłem mimo wstrząsów powozu następujący drobiazg. Odnalazłem go później i niewiele potrzebowałem w nim zmienić:

„Samotne, wyrastające z równiny i jakby zgubione w pustce, wznosiły się ku niebu dwie kościelne wieże w Martinville. Niebawem ujrzałyśmy ich trzy: stając na wprost nich śmiałym zwrotem, przyłączyła się do nich zapóźniona wieża z Vieuxvicq. Chwile mijały, jechaliśmy szybko, mimo to trzy wieże wciąż były daleko przed nami, niby trzy ptaki siedzące na równinie, nieruchome i widoczne w słońcu. Potem wieża z Vieuxvicq odsunęła się i cofnęła; wieże w Martinville zostały same, oświetlone blaskiem zachodu; nawet na tę odległość widziałem, jak ten blask się uśmiecha i igra na ich ścianach. Tak wolno zbliżaliśmy się do nich, że obliczałem, ile czasu upłynie, zanim je osiągniemy, kiedy nagle powóz skręcił i złożył nas u ich stóp; rzuciły się tak gwałtownie naprzeciw nam, że stangret

ledwie miał czas zatrzymać, aby nie uderzyć o kruchę. Jechaliśmy dalej; już od dobrej chwili opuściliśmy Martinville, wioska towarzysząca nam przez kilka sekund znikła, kiedy, zostawszy same na widnokręgu i patrząc na naszą ucieczkę, wszystkie trzy wieże poruszały jeszcze na znak pożegnania słonecznymi wierzchołkami. Czasem jedna usuwała się, aby dwie inne mogły nas dojrzeć jeszcze przez chwilę; ale droga zmieniła kierunek, wieże zakreśliły się w świetle niby trzy złote osie i znikły mi z oczu. Nieco później, kiedyśmy byli koło Combray, a słońce już zaszło, spostrzegłem je ostatni raz z bardzo daleka; były niby trzy kwiaty wymalowane na niebie ponad niską linią pól. Nasunęły mi też myśl o trzech dziewczętach z legendy, porzuconych w pustce, gdzie już zapadał mrok; i podczas gdyśmy się oddalali galopem, widziałem je, jak trwożliwie szukają drogi, jak po kilku niezręcznych potknięciach się, ich szlachetne sylwetki tulą się wzajem do siebie, zasuwały się jedna za drugą, tworzą na różowym jeszcze niebie już tylko jeden kształt czarny, uroczy i pełen rezygnacji i gubią się w ciemności”.

Nie myślałem nigdy o tym urywku, ale w owej chwili, kiedy siedząc na koźle w miejscu, gdzie zazwyczaj woźnica stawiał w koszyku drób kupiony na targu w Martinville, skończyłem go pisać, czułem się tak szczęśliwy! Czułem, że mnie on tak doskonale uwolnił od tych wież i od tego, co się kryło poza nimi! I jak gdybym ja sam był kurą i zniósł jajko, zacząłem śpiewać na całe gardło.

Przez cały dzień w czasie tych spacerów mogłem marzyć o rozkoszy, jaką byłoby zostać przyjacielem księżnej de Guermantes, łowić pstrągi, jeździć łódką po Vivonne i w swoim głodzie szczęścia nie żądać od życia niczego jak tylko, aby się zawsze układało w szereg szczęśliwych popołudni. Ale w powrotnej drodze spostrzegłem po lewej ręce fermę dość odległą od dwóch innych, położonych bardzo blisko siebie; stąd do Combray była już tylko aleja dębowa, obramiona z jednej strony łąkami. Każda łączka, w równych odstępach obsadzona jabłonią, należała do małej zagrody. Jabłonie te, kiedy je oświecało zachodzące słońce, rzucały na łąkę japoński deseń cieniów. I nagle serce zaczynało mi bić; wiedziałem, że przed upływem pół godziny będziemy z powrotem i że — jak zwykle w dniu „strony Guermantes”, kiedy obiad był później — poślą mnie spać natychmiast po zupie, tak iż mama, zostawszy przy stole tak jak gdyby byli na obiedzie goście, nie przyjdzie mi powiedzieć dobranoc. Strefa smutku, w którą wszedłem, była tak różna od strefy, w którą rzucałem się z radością jeszcze przed chwilą, jak czasem na niebie różowa smuga oddzielona jest niby linią od smugi zielonej lub czarnej. Widzi się ptaka latającego na różowym polu, już sięga krańca, dotyka niemal czarnego tła, potem wsiąkł w nie. Otaczające mnie przed chwilą pragnienia, aby bywać w Guermantes, aby podróżować, aby być szczęśliwym, były mi teraz tak obce, że spełnienie ich nie sprawiłoby mi żadnej przyjemności. Jakże byłbym chętnie oddał to wszystko, aby móc płakać całą noc w ramionach mamy! Drżałem, nie odrywałem strwożonych oczu od twarzy matki, która nie zjawi się tego dnia w pokoju, gdzie już widziałem się myślą. Byłbym chciał umrzeć. I ten stan miał trwać aż do jutra, kiedy ranne promienie oprą jak ogrodnik swoje pręty na murze strojnym w nasturcję pnące się do mego okna, a ja wyskoczę z łóżka, aby szybko bieć do ogrodu, nie pamiętając już, że wieczór ma kiedykolwiek sprowadzić godzinę rozstania się z matką. I w „stronie Guermantes” nauczyłem się rozróżniać owe stany, które następują we mnie kolejno w pewnych okresach tak, że wręcz dzielą między siebie każdy dzień; jeden wraca — z punktualnością febrę — aby wypędzić drugi. Sąsiadują z sobą, ale tak są od siebie odrębne, tak pozbawione komunikacji między sobą, że będąc w jednym stanie, nie mogę już zrozumieć ani nawet sobie wyobrazić tego, czego pragnąłem, obawiałem się lub spełniłem w drugim.

Toteż strona Méséglise i strona Guermantes wiążą się dla mnie z wieloma drobnymi wydarzeniami owego życia, które wśród wszystkich naszych różnorodnych i równoległych żywotów najobfitsze jest w zdarzenia, najbogatsze w przygody: mam na myśli życie intelektualne. Bez wątpienia postępuje w nas ono nieznanie, a odkrycie prawd, które zmieniły nam jego znaczenie i wygląd, które nam otwały nowe drogi, przygotowaliśmy od dawna, ale bezwiednie; liczą się one dla nas jedynie od dnia, od minuty, w której się nam stały widzialne. Kwiaty, które igrały wówczas na łące, woda która przepływała w słońcu... cały otaczający je krajobraz dalej towarzyszy ich wspomnieniu swoją nieświadomą lub roztargnioną twarzą; i z pewnością ten kącik przyrody, ten skrawek ogrodu uparcie oglądane wzrokiem skromnego przechodnia, marzącego dziecka — tak jak oglą-

da króla pamiętnikarz zgubiony w tłumie — nie przeczuwałyby, że to dzięki niemu dane im będzie przetrwać w ich najbardziej ulotnych zjawiskach; a przecież ten zapach głógów wabiący wzdłuż żywopłotu, gdzie niebawem zastąpi go dzika róża, odgłos kroków bez echa na ścieżce, bańkę utworzoną przez strumień na wodorosie i pękającą natychmiast — wszystko to zachwyt mój uniósł i dał temu przetrwać tyle lat, podczas gdy dokoła drogi się zatarły i pomarli ci, co je deptali i zginęło wspomnienie tych, co je deptali. Czasami ten kawałek pejzażu, doprowadzony w ten sposób aż do dziś, odcina się od wszystkiego tak, że buja niepewnie w mojej myśli, niby kwitnące Delos; i nie mogę powiedzieć, z jakiego kraju, z jakiego czasu — może po prostu z jakiego snu — pochodzi. Ale zwłaszcza muszę myśleć o stronie Méséglise i o stronie Guermantes jak o głębokich pokładach mojego dna duchowego, jak o trwałym gruncie, na którym wspieram się jeszcze. Ponieważ wierzyłem w rzeczy i w osoby, podczas gdy przebiegał te krainy, poznane w nich rzeczy i osoby są jedynymi, które biorę jeszcze serio i które dają mi jeszcze radość. Może wiara, która tworzy, wyszła we mnie, może rzeczywistość kształtuje się tylko w pamięci; dość że kwiaty, które mi ktoś dziś pokazuje po raz pierwszy, nie wydają mi się prawdziwymi kwiatami. Strona Méséglise, jej bzy, jej głogi, bławatki, maki, jabłonie i strona Guermantes z rzeką pełną kijanek, z liliami wodnymi i jaskrami na zawsze stworzyły dla mnie oblicze krainy, gdzie pragnąłbym żyć, gdzie wymagam przede wszystkim tego, aby można było łowić ryby, pływać czółnem, widzieć ruiny gotyckich warowni i znaleźć pośród zbóż — jak w Saint-André-des-Champs — monumentalny kościół, wiejski i złocisty niby sterta zboża; i kiedy mi się zdarzy w podróży spotkać jeszcze w polach bławatki, głogi, jabłonie, natychmiast stają się bliskie memu sercu, ponieważ leżą w tej samej warstwie, na poziomie mojej przeszłości.

A jednak jest coś indywidualnego w miejscowościach! Kiedy mnie ogarnia żądza ujrzania strony Guermantes, nie zadowolilibym jej, idąc nad brzeg strumienia, gdzie byłyby równie piękne, piękniejsze lilie wodne niż na Vivonne; tak samo jak wieczór, za powrotem — w godzinie, kiedy się budzi we mnie ów lęk, który później wsiąka w miłość i może się stać na zawsze od niej nieodłączny — nie pragnąłbym, aby mi przyszła powiedzieć dobranoc matka piękniejsza i inteligentniejsza od mojej. Tęgo, czego mi było trzeba, abym mógł zasnąć szczęśliwy, z niezmaconym spokojem, żadna kochanka nie mogła mi dać od owego czasu. Człowiek wątpi o niej nawet w chwili, kiedy w nią wierzy; nigdy nie posiada jej serca tak, jak ja dostawałem w pocałunku serce mojej matki, całkowite, bez zastrzeżeń, bez ukrytej myśli, bez cienia intencji, która by nie była dla mnie. Trzeba by mi, aby to była ona, aby nachyliła ku mnie tę twarz, na której było pod okiem coś w rodzaju skazy, co kochałem na równi z resztą. I tak samo pragnąłbym ujrzeć ową stronę Guermantes, którą znałem, z fermą dosyć odległą od dwóch dalszych sąsiadujących z sobą, na skraju dębowej alei; łąki, na których, kiedy się staną zwierciadlane w słońcu niby sadzawka, rysują się liście jabłoni; krajobraz, którego odrębność chwytła mnie czasem w nocy w moich marzeniach z fantastyczną niemal siłą i którego nie mogę odnaleźć po przebudzeniu. Bez wątpienia, strona Méséglise i strona Guermantes, przez to, że na zawsze i nierozzerwalnie spoiły we mnie rozmaite wrażenia, dlatego jedynie, że mi ich dały doznać w tym samym czasie — naraziły mnie w przyszłości na wiele zawodów, nawet na wiele błędów. Bo często chciałem ujrzeć znów jakąś osobę, nie zgadując, iż pragnę jej widoku jedynie dlatego, że mi przypomina żywopłot z głógów; i często prosta chęć podróży rodziła we mnie wiarę w nawrót uczucia — i chęć udzielenia tej wiary. Ale przez to samo znowuż, owa strona Méséglise i strona Guermantes, wciąż obecne w tych moich dzisiejszych wrażeniach, z którymi mogę je skojarzyć, dają wrażeniom tym fundament, głębię, jeden wymiar więcej. Dają im również czar, znaczenie, istniejące jedynie dla mnie. Kiedy w letnie wieczory harmonijne niebo mruczy niby dzikie zwierzę i kiedy każdy dąsa się na burzę, stronie Méséglise zawdzięczam to, że ja jeden trwam w ekstazie, wdychając poprzez szmer deszczu zapach niewidzialnych i niezmiennych bzów.

*

Tak często trwałem do rana, myśląc o czasach Combray, o smutnych bezsennych wieczorach, o tylu dniach także, których obrazy wskrzesił mi świeżo smak — w Combray powiedziano by „zapach” — filiżanki herbaty. Myślałem też — przez skojarzenie wspo-

mnień — i o tym, co w wiele lat po opuszczeniu miasteczka dowiedziałem się o miłości, którą Swann przeżył przed moim urodzeniem. Dowiedziałem się tego z ową obfitością szczegółów, łatwiejszą czasem do uzyskania o osobach zmarłych przed wiekami niż o życiu naszych najlepszych przyjaciół; ze ścisłością, która zdawałaby się niemożliwa — tak jak zdawało się niemożliwe rozmawiać z jednego miasta do drugiego — dopóki się nie zna sposobu pokonania tej niemożliwości. Wszystkie te wspomnienia zsumowane — a są tam najdawniejsze i świeższe, zrodzone z zapachu, i inne, będące jedynie wspomnieniami drugiej osoby, od której się ich dowiedziałem — tworzyły już tylko jedną masę, w której jednak można było rozpoznać jeżeli nie szczeliny i wyrwy, to bodaj owe żyłkowania, ową pstrokaczną barwę, które w niektórych skałach, w niektórych marmurach zdradzają różnice pochodzenia, wieku, formacji.

Zapewne kiedy się zbliżał ranek, krótka niepewność mego przebudzenia rozproszyła się już od dawna. Wiedziałem, w jakim pokoju znajduję się w istocie; odbudowałem go dokoła siebie w ciemności, i — czy to orientując się samą pamięcią, czy pomagając sobie dostrzeżonym słabym blaskiem, u którego stóp lokalizowałem firanki — odbudowałem go całkowicie, z urządzeniem niby architekt i tapicer, którzy zachowują pierwotne otwory okien i drzwi; ustawiłem lustra i przywróciłem komodę na jej zwyczajne miejsce. Ale zaledwie dzień — nie już blask ostatniego polana na mosiężnym trójnogu, blask, który wziąłem za dzień — wykreślił w ciemności jak gdyby kredą swoją pierwszą białą i wytyczną smugę, już okno opuszczało wraz z firankami odrzwia, w których umieściłem je przez pomyłkę, podczas gdy, robiąc mu miejsce, biurko ustawione tam niezdarnie przez moją pamięć umykało pędem, popychając przed sobą kominek i usuwając ściankę korytarza; podwórko królowało w miejscu, gdzie przed chwilą jeszcze rozciągała się gotowalnia. I mieszkanie odbudowane przeze mnie w ciemnościach połączyło się z innymi mieszkaniami ujrzanymi na chwilę w wirze przebudzenia, wypłoszone owym błędym znakiem, który wykreślił ponad firankami podniesiony palec dnia.

CZĘŚĆ DRUGA. MIŁOŚĆ SWANNA

Aby należeć do „paczki”, do „gromadki”, do „małego klanu” państwa Verdurin, wystarczył jeden warunek, ale ten był nieodzowny; trzeba było milcząco przyjąć credo, którego jednym z punktów było, że młody pianista protegowany tego roku przez panią Verdurin — ten, o którym ona sama mówi: „Nie wolno człowiekowi grać Wagnera w ten sposób!” — pogrążył Plantégo i Rubinsteina, i że doktor Cottard jest cięższym diagnostą od profesora Potain. Wszelki „nowy nabytek”, niedający się Verdurinom przekonać, że przyjęcia u osób, które nie bywają u nich, są nudne jak lukrecja, likwidowano natychmiast. Kobiety były pod tym względem oporniejsze od mężczyzn: trudniej im było wyrzec się wszelkiej światowej ciekawości oraz chęci sprawdzenia osobiście uroku innych salonów; że zaś znowuż państwo Verdurin czuli, iż ów duch krytyki i demon światowości mógłby, udzielając się, zagrozić prawowierności małej kapliczki, musieli odrzucić kolejno wszystkich „wiernych” płci żeńskiej.

Pani Verdurin pochodziła z szanownej mieszczańskiej rodziny nadzwyczaj bogatej i zupełnie nieznannej, z którą stopniowo poniechała wszelkich stosunków. Z wyżej wymienionych powodów, mimo iż osobiście cnotliwa, ograniczyła się prawie wyłącznie w tym roku — poza młodą panią Cottard, żoną doktora — do towarzystwa pani de Crécy, osoby omal że nie z półświatka, którą pani Verdurin nazywała po imieniu Odetą i mieniła „słodką istotą”, oraz do ciotki pianisty, która niegdyś musiała być odźwierną. Owym paniom, naiwnie niezającym świata, tak łatwo było wmówić, że księżna de Sagan i księżna de Guermantes muszą za pieniądze ściągać nieszczęsnych gości na swoje obiady, że gdyby im samym ofiarowano zaproszenie do tych wielkich dam, eks-odźwierna i kokotka odmówiłyby wzgardliwie.

Państwo Verdurin nie zapraszali nikogo na obiad; miało się u nich stale „talerz zupy”. Wieczory nie miały programu. Młody pianista grał, ale tylko o ile „był w humorze”, bo nie zmuszano nikogo; jak mówił pan Verdurin: „wszystko dla przyjaciół, niech żyje koleżeństwo!”. Jeżeli pianista chciał grać kawalkadę z *Walkirii* albo preludium z *Tristana*, pani Verdurin protestowała; nie iżby nie kochała tej muzyki, ale przeciwnie, dlatego że ją zanadto wzrusza. „Więc chcecie, żebym znowu dostała tej wścieklej migreny? Wicie przecież, że tak jest za każdym razem, kiedy on to gra. Jutro, kiedy będę chciała wstać, koniec, ani ręką, ani nogą!”. O ile pianista nie grał, rozmawiano; któryś z przyjaciół, najczęściej ówczesny ich malarz-faworyt, „puszczał — jak powiadał pan Verdurin — kawały, od których wszystko się trzymało za brzuchy”. Pani Verdurin zwłaszcza tak bardzo miała zwyczaj dosłownie brać metafory doznawanych wzruszeń, że doktor Cottard (wówczas początkujący lekarz) musiał któregoś dnia nastawiać jej szczękę, którą zwichnęła od zbytńskiego śmiechu.

Frak był zabroniony, ponieważ było się *między swymi*, i aby się nie upodobniać do *nudziarzy*, których strzeżono się jak ognia. Tych zapraszano jedynie na wielkie wieczory, urządzone możliwie najrzadziej, wyłącznie o ile to mogło zabawić malarza lub dać poznać muzyka. W inne dni poprzestawano na zabawie w szarady, na kolacyjkach kostiumowych, ale w swoim kółku, nie wpuszczając nikogo obcego w małą gromadkę.

Ale w miarę jak *swoi* zajmowali więcej miejsca w życiu pani Verdurin, do „nudziarzy”, do potępionych, zaczęło się liczyć wszystko to, co od niej odciągało przyjaciół, co im niekiedy przeszkadzało rozrządzać sobą; więc matka jednego, zajęcia drugiego, letnie mieszkanie albo słabe zdrowie trzeciego. Kiedy doktor Cottard chciał wyjść zaraz po obiedzie, spiesząc do ciężko chorego, pani Verdurin mówiła: „Kto wie, może mu to zrobi o wiele lepiej, jeśli go pan nie będzie dziś niepokoił; spędzi spokojną noc bez doktora, jutro zajdzie pan wcześniej i zastanie go pan w najlepszym zdrowiu”. Już od początku grudnia pani Verdurin chorowała na myśl, że wierni „puszczą ją kantem” na Wilię i na Nowy Rok. Ciotka pianisty wymagała na przykład, aby siostrzeniec przyszedł tego dnia na rodzinny obiad do jej matki:

— Myśli pani, że pani matka umarłaby z tego — wykrzyknęła twardo pani Verdurin — gdybyście nie zjedli z nią obiadu w Nowy Rok jak na *prowincji*.

Niepokoje jej odradzały się w Wielkim Tygodniu:

— Pan, doktorze, uczony, wolnomyśliciel, przyjdzie pan oczywiście w Wielki Piątek, jak w inne dni? — rzekła do doktora Cottard w pierwszym roku znajomości tonem takim, jakby nie można było wątpić o odpowiedzi. Ale drżała, czekając co doktor odpowie, bo gdyby nie przyszedł, groziło jej, że będzie sama.

— Przyjdę w Wielki Piątek... pożegnać się, bo jedziemy na święta w nasze strony, do Owernii.

— Do Owernii po to, żeby was tam zjadły pchły i robactwo, winszuję!

I po chwili milczenia:

— Gdyby pan był nas choć uprzedził, postaralibyśmy się zorganizować to, odbyć tę podróż razem, w komfortowych warunkach.

Tak samo, jeżeli „swój” miał przyjaciela albo „swoja” jakiś flirt, który mógłby ją czasem przyprawić o niewierność uswięconym wieczorom, nie przestraszało państwa Verdurin to, że kobieta może mieć kochanka, byle go miała u nich, byle go kochała u nich i nie wolała go od nich. Powiadali: „Więc dobrze! Przyprowadź swego przyjaciela”. I angażowano go niejako na próbę, aby się przekonać, czy zdolny jest nie mieć sekretów dla pani Verdurin, czy godny jest, aby go przyjąć do „paczki”. Jeżeli nie był godny, brano na bok *swojego* lub *swoją* i starano się ich poróżnić z przyjacielem lub kochanką. W przeciwnym razie „nowy” stawał się z kolei *swoim*. Toteż, kiedy w tym roku owa osoba z półświatka opowiedziała panu Verdurin, że poznała uroczego człowieka, pana Swann, i natrąciła, że ów Swann byłby bardzo szczęśliwy, gdyby się mógł dostać do nich, Verdurin z miejsca przekazał to podanie żonie. (Własne zdanie miał dopiero po żonie; specjalnością zaś jego było spełniać pragnienia małżonki, zarówno jak pragnienia „swoich”, z wielkim nakładem pomysłowości.)

— Właśnie pani de Crécy ma do ciebie małą prośbę. Chciałaby ci przedstawić jednego ze swoich przyjaciół, pana Swann. Co ty na to?

— Ależ jakże! Czy można czegokolwiek odmówić naszej czarującej malej? Cicho siedź, nikt się ciebie nie pyta o zdanie, jesteś czarująca mała.

— Skoro pani tak każe — odparła Odeta, mizdrząc się, i dodała — Pani wie, że ja nie jestem „*fishing for compliment*”.

— Więc dobrze, przyprowadź swojego przyjaciela, jeżeli jest miły.

To pewna, iż „paczka” nie miała żadnego związku z towarzystwem, w którym obracał się Swann, i skończeni światowcy uważaliby, że nie warto było jak on mieć wyjątkowej sytuacji w „świecie” po to, aby się starać o wprowadzenie do państwa Verdurin. Ale Swann tak lubił kobiety, że od czasu gdy poznał mniej więcej wszystkie damy z arystokracji tak, iż nie miały dla niego żadnych niespodzianek, indygenat ów, niemal dyplom szlachectwa, jaki mu przyznała *faubourg Saint-Germain*, miał dlań wartość jedynie jako rodzaj waloru wymiennego. Był to niejako oblig bez istotnej ceny, ale dający się spożytkować kędyś na prowincji albo w jakimś zakątku Paryża, gdzie córka wiejskiego szlachciury albo pisarza sądowego wpadła mu w oko. Bo żądza lub miłość wracały wówczas Swannowi uczucie próżności, od którego był obecnie w zwykłym trybie życia wolny, mimo iż niewątpliwie to właśnie uczucie skierowało go niegdyś ku karierze światowej, w której błahych zabawach strwonił dary umysłu, obracając swoją wiedzę artystyczną na to, aby modnym damom służyć za doradcę przy kupnie obrazów i urządzaniu pałaców. Rodziła się w nim wówczas chęć błysnięcia przed piękną nieznajomą wykwintem, którego nazwisko *Swann* samo przez się nie posiadało. Pragnął tego zwłaszcza, o ile nieznajoma była skromnej kondycji. Inteligentny człowiek, jeżeli się boi wydać głupim, to nie w oczach drugiego inteligentnego człowieka; tak samo człowiekowi eleganckiemu grozi nie to, że elegancji jego nie oceni wielki pan, ale że może jej nie docenić prostak. Trzy czwarte wysiłków i kłamstw z próżności, wyprodukowanych od czasu, jak świat istnieje (i to najczęściej z odwrotnym skutkiem), popelnia się na intencję niższych od siebie. I ten sam Swann, prosty i bezceremonialny z jakąś księżną, kiedy miał do czynienia z pokojówką, drżał, że się „nie wyda”, pozował.

Swann był dość różny od ludzi, którzy przez lenistwo lub przez potulne poczucie obojętności wobec własnej godności stronią od przyjemności, jakie nastrecza im życie poza ich światową pozycją. Tacy żyją zamurowani do śmierci w swojej przegródce, zadowolając się w końcu tym, aby nazywać przyjemnościami — w braku lepszych i z przyzwyczajenia — mierne rozrywki lub znośne nudy, jakie w niej znajdują. Swann nie zmuszał się,

aby mu się podobały kobiety, z którymi przestawał, ale starał się przestawać z kobietami, które mu się spodobały. A bywały to kobiety o urodzie dosyć pospolitej; przymioty fizyczne bowiem, jakich szukał bezwiednie, były w zupełnej sprzeczności z zaletami, które podziwiał w kobietach rzeźbionych lub malowanych przez jego ulubionych mistrzów. Wyras melancholii, głębi, mroził jego zmysły, które pobudzało natomiast zdrowe, obfite i różowe ciało.

Jeżeli w podróży spotkał rodzinę, której znajomość pod względem światowym nie przynosiła zaszczytu, ale w której kobieta jakaś olśniła jego oczy nieznanym mu jeszcze powabem, wówczas poprzestać na swoim stanie „stanie posiadania”, oszukać rodzając się nowe pragnienie, podstawić inną rozkosz (sprowadzając np. dawną kochankę) w miejsce rozkoszy, której mógłby zaznać z nieznaną, wydawałoby się Swannowi nikczemną abdykacją wobec życia. Takie wyrzeczenie się nowego szczęścia zdawałoby mu się równie głupie, co gdyby zamiast zwiedzić jakiś kraj siedział zamknięty w swoim pokoju i oglądał widoki Paryża. Swann nie zamykał się w gmachu swoich stosunków, ale zrobił z nich rodzaj składanego namiotu podróżnika, aby móc go sobie ustawić na nowo wszędzie, gdzie mu się spodoba jakaś kobieta. A co nie było przenośne lub nie dało się wymienić na nową przyjemność, wszystko to oddałby za nic, choćby się innym wydawało najpożądanwsze. Ileż razy zniszczył cały swój kredyt u jakiejś wielkiej damy, która od lat pragnęła mu w czymś być miła, nie znajdując sposobności po temu; i Swann wyczerpywał swoje konto jednym zamachem, żądając od niej niedyskretną depeszą telegraficzną rekomendacji umożliwiającej mu doraźny wstęp do któregoś z jej intendentów, którego córka wpadła mu w oko gdzieś na wsi. W tych wypadkach Swann postępował jak człowiek zgłodniały, który by zamienił diament za kawałek chleba. Później nawet bawił się tym, bo było w nim — okupione rzadkimi delikatnościami — pewne chamstwo.

Przy tym Swann należał do owej kategorii mężczyzn inteligentnych, którzy pędząc żywot próżniaczy, szukają pociechy — a może wymówki — w przeświadczeniu, że owo próżniactwo nastrocza ich inteligencji przedmioty bardzo godne zainteresowania, nie gorzej nauki lub sztuki; że „życie” zawiera sytuacje bogatsze, bardziej powieściowe niż wszystkie powieści. Upewniał tak przynajmniej i przekonywał o tym bez trudu swoich najwybredniejszych przyjaciół, zwłaszcza barona Charlus, którego lubił zabawiać pikantnymi awanturkami z własnych przeżyć. Jednego razu, poznawszy w wagonie kolejowym jakąś kobietę i zawiózłszy ją do siebie, odkrył, że nieznaną jest siostrą monarchy mającego w tej chwili w rękach wszystkie nici polityki europejskiej, w której sekrety Swann wnikał nagle w sposób nader przyjemny; innym razem, dzięki zawikłanej grze okoliczności, od rezultatu konklawe zależało, czy mu się uda zostać amantem pewnej kucharki; etc. etc.

Nie tylko zresztą świetną falangę cnotliwych matron, generałów, akademików i innych osób, z którymi był specjalnie blisko, Swann zmuszał z takim cynizmem, aby mu służyli za rajfurów. Wszyscy jego przyjaciele nawykli od czasu do czasu dostawać od niego listy, w których prosił o wprowadzenie lub rekomendację. Dyplomacja, którą rozwijał w tej grze wśród kolejnych miłostek i pod rozmaitymi pozorami, dowodziła, bardziej niż by to uczyniły jakieś niezręczności, konsekwentnego charakteru i wciąż jednakich celów. W wiele lat później, kiedy zacząłem się interesować charakterem Swanna — odkrywając w nim pod innymi względami wiele podobieństw z moim własnym — słyszałem często, że kiedy pisał do mego dziadka (mówiąc ściśle, nie był to jeszcze mój dziadek, bo właśnie w dobie mego urodzenia zaczęła się wielka miłość Swanna, która przerwała na długo owe jego praktyki), dziadek, poznając na kopercie pismo przyjaciela, wykrzykiwał: „Oho, Swann prosi mnie o coś: miejmy się na baczności!”. I czy to przez nieufność, czy przez owo nieświadomie diaboliczne uczucie, które każe nam ofiarowywać jakąś rzecz jedynie ludziom wcale jej niepragnącym, dziadek i babka zachowywali się opornie wobec najłatwiejszych do spełnienia prośb Swanna. Kiedy na przykład prosił, żeby go przedstawić młodej panie co niedzielę bywającej u dziadków na obiedzie, musieli za każdym razem udawać przed Swannem, że jej już nie widują, podczas gdy cały tydzień zastanawiali się, kogo by z nią zaprosić, nie znajdując w końcu nikogo, a nie chcąc skinąć na tego, którego by to tak uszczęśliwiło!

Czasami jacyś znajomi dziadków żalący się wprzód, że nigdy nie widują Swanna, oznajmiali z zadowoleniem (może i z chęcią obudzenia zazdrości), że tenże Swann stał się

dla nich niesłuchanie uprzejmy, po prostu nie wychodzi z ich domu. Dziadek nie chciał mieć ich przyjemności, ale patrząc na babkę, nucił:

Co tkwi w tajemnicy tej,
rozumieć nie ma sposobu...

albo:

Widzenie ulotne jak sen...

albo:

W takich sprawach, kto nie fryc,
Najlepiej nie widzi nic...

W kilka miesięcy potem, jeżeli dziadek zapytał nowych przyjaciół Swanna: „A cóż Swann, zawsze widujecie go tak często?”, twarz interlokutora wydłużała się: „Niech pan nigdy nie wymawia przy mnie tego nazwiska!” — „Ależ ja myślałem, że jesteście z sobą tak dobrze...”.

W ten sposób był Swann przez kilka miesięcy najbliższym przyjacielem pewnych kuzynów babki, bywał tam prawie co dzień na obiedzie. Nagle przestał się zjawiać, nie uprzedziwszy ich. Myślano, że jest chory; pani domu miała doń posłać z zapytaniem o zdrowie, kiedy znalazła w kredensie list Swanna, zapomniany przez nieuwagę w książce z rachunkami kucharki. Swann oznajmiał tej dziewczynie, że wyjeżdża z Paryża, że już nie przyjdzie więcej. Była jego kochanką; i w chwili zerwania ją jedną uważał za właściwe uprzedzić.

Kiedy przeciwnie, chwilowa kochanka Swanna była damą z towarzystwa lub bodaj osobą, której zbyt niskie pochodzenie lub nazbyt dwuznaczna sytuacja nie przeszkadzały mu wprowadzić w towarzystwo, wówczas dla niej Swann sam wracał do „świata”, ale tylko w specjalną orbitę, w której ona się obracała lub w którą sam ją wciągał. „Nie ma co liczyć na Swanna dziś wieczór — powiadano — wiecie przecie, że w ten dzień jego Amerykanka ma Operę”. Wyrabiał swojej pani zaproszenia do najbardziej zamkniętych salonów, w których miał swoje nawyki, swoje stałe obiady, partyjkę pokera; co wieczora, dawszy lekko sfalować żelazkiem szczytkę rudych włosów — co łagodziło nieco żywość jego zielonych oczu — Swann wybierał kwiat do butonierki i szedł się spotkać z kochanką na obiedzie w którymś ze swoich bliskich domów. Ożywiała go myśl o podziwie i przyjaźni światowców, dla których on był wyrocznią i których miał tam spotkać; o dowodach sympatii, jakie go czekały w obecności kochanej kobiety. Odnajdywał wówczas urok w owym światowym życiu, którym się już zdążył zblazować, ale którego materia, nasyciona i gorąco zabarwiona wnikałym w nią sekretным płomieniem, zdała mu się cenna i piękna od chwili, gdy w nią wprowadził nową miłość.

Każda z tych miłostek lub każdy z tych flirtów były mniej lub bardziej pełnym ziszczeniem marzeń zrodzonych z widoku jakiejś twarzy lub jakiegoś ciała, które Swannowi wydały się samorzutnie, bez wysiłku z jego strony, urocze. Wręcz odmiennie miały się rzeczy, kiedy go raz w teatrze jeden z dawnych przyjaciół przedstawił Odecie de Crécy. Przyjaciół mówił Swannowi o niej jako o czarującej kobiecie, z którą dałoby się może coś wskórać; zarazem chcąc przydać ceny swojej usłudze, przedstawił mu panią de Crécy jako osobę trudniejszą niż była nią w istocie. Niewątpliwie Odeta wydała się Swannowi piękna, ale w rodzaju, który mu był obojętny, który nie budził w nim żadnych pragnień, ponieważ nawet odpychał go fizycznie; wydała mu się jedną z owych kobiet (każdy ma takie i każdy odmiennie) będących przeciwieństwem typu ciągnącego nasze zmysły. Na jego gust miała profil zbyt wyrazisty, cerę zbyt delikatną, kości policzkowe zbyt wydatne, rysy zbyt pociągłe. Oczy miała piękne, ale tak duże, że uginały się pod swoją własną masą, nużyły resztę twarzy i właścicielce jej dawały zawsze wyraz taki, jakby była mizerna albo w złym humorze.

W jakiś czas po tej prezentacji pani de Crécy napisała do Swanna, prosząc o pozwolenie obejrzenia jego zbiorów. To by ją tak interesowało! — ją, „ciemną w tych sprawach,

ale mającą instynkt rzeczy pięknych”. Powiadała, że ma wrażenie, iż będzie go znała lepiej, kiedy go zobaczy „w jego *home*”, gdzie go sobie wyobraża „tak komfortowo, przy herbacie, wśród książek”; mimo iż nie ukrywała zdziwienia, że Swann mieszka w dzielnicy tak smutnej, „tak mało *smart*, jak na niego, który jest wcieleniem *smartu*”. I skoro za zgodą Swanna przyszła, żalowała, żegnając się, że tak krótko bawiła w mieszkaniu, gdzie się czuła tak szczęśliwa; mówiła do Swanna o nim samym tak, jakby był dla niej czymś więcej od innych znajomych; roila między nim a sobą romantyczne powinowactwo dusz, które przyprowadziło Swanna o uśmiech. Ale w krytycznym wieku, do którego zbliżał się Swann, człowiek umie się zadowolić tym, że kocha, dla przyjemności kochania, nie za nadto wymagając wzajemności; wówczas owo zbliżenie serc, o ile nie jest jak za młodu nieodzownym celem miłości, kojarzy się w zamian z jej pojęciem tak silnie, że może się stać przyczyną miłości, o ile ją wyprzedzi. Niegdyś człowiek marzył o tym, aby posiadać serce kobiety, którą kochał; później przeświadczenie, iż posiada serce kobiety może mu wystarczyć do pokochania jej. W miłości szuka się zwłaszcza rozkoszy subiektywnej, toteż w wieku, w którym, zdawałoby się, rola pociągu fizycznego powinna być tym większa, miłość — i to na wskroś fizyczna — może się zrodzić bez początkowego pragnienia. W tej epoce życia poznaliśmy już kilkakrotnie miłość; nie rozwija się ona sama, wedle swoich własnych, nieznanych i nieubłaganych praw, wobec naszego zdumionego i biernego serca. Przychodzimy jej z pomocą, fałszujemy ją pamięcią, sugestią. Poznając jeden z jej symptomów, przypominamy sobie, wskrzeszamy inne. Ponieważ znamy jej pieśń, zapisaną w nas w całości, aby znaleźć dalszy ciąg, nie potrzebujemy, żeby nam kobieta zanuciła jej początek — zastąpiony podziwem zrodzonym z piękności. A jeżeli zacznie ją w środku, tam, gdzie serca są już blisko, gdzie mówi się o stopieniu dwojga istnień — znamy tę melodię na tyle, aby natychmiast dopaść naszą partnerkę w momencie, w którym nas oczekuje.

Odeta de Crécy odwiedziła Swanna powtórnie, potem przychodziła coraz częściej. Niewątpliwie każda z tych wizyt odnawiała w nim rozczarowanie zrodzone z widoku rysów, których szczegółów zapomniał tymczasem po trosze, nie wyobrażając sobie tej twarzy tak wyrazistą, ani mimo młodości tak przywieźłą. Rozmawiając z Odetą, żalował, że świetna jej uroda nie jest z rodzaju, który by doń przemawiał bezpośrednio. Trzeba zresztą powiedzieć, że twarz Odety wydawała się szczuplejszą i wydatniejszą przez to, że czoło i część policzków były zakryte masą włosów, które noszono wówczas nastroszone, „utapirowane”, opadające w kręcących się loczkach koło uszu; co się zaś tyczy ciała (była cudownie zbudowana), trudno było odgadnąć jego linię pod ówczesną modą, mimo że pani de Crécy była jedną z najlepiej ubierających się kobiet w Paryżu. Stanik sterzący niby na urojonym brzuchu i kończący się nagle szpicem, podczas gdy poniżej wzdymał się balon podwójnej spódnicy, wywoływał wrażenie, jak gdyby kobieta się składała z rozmaitych i źle do siebie dopasowanych części; riuszki, falbany, figaro, zmierzały, wedle kaprysów kroju lub konsystencji materiału, łamaną linią ku kokardkom, ku zwojom koronek, ku dżetowym frędzłom, układały się wzdłuż brykli, ale nie wiązały się zgoła z żywą istotą, która wedle tego, czy architektura szmatek zbliżała się lub oddalała od jej własnej budowy, ztracała się w nich lub zniekształcała.

Ale kiedy Odeta wyszła, Swann uśmiechał się, przypominając sobie to, co mu powiedziała; jak jej się będzie dłużył czas do chwili, w której pozwoli jej przyjść znowu. Przypomnił sobie niespokojną, zatrwożoną minkę, z jaką go raz prosiła, aby to oczekiwanie nie trwało zbyt długo. Kiedy to mówiła, spojrzenia jej wlepione w niego, trwożliwe, błagalne pod bukiem sztucznych bratków na okrągłym białym słomkowym kapeluszu z czarnymi aksamitkami, miały coś wzruszającego. „A pan — rzekła — czy pan nie przyjdzie do mnie kiedy na filiżankę herbaty?” Swann powołał się na swoje prace, na studium — w rzeczywistości porzucone już od lat — nad malarzem Vermeer van Delft. „Rozumiem, że to nie dla mnie, czuję się taka nędzna przy takich ludziach jak wy, wielcy uczeni — odpowiedziała. — Byłabym jak mucha przy katedrze Notre-Dame. A jednak, tak bym lubiła kształcić się, wiedzieć coś, rozumieć. Jakie to musi być zabawne szperać w książkach, grzebać się w starych papierach” — dodała z ową zadowoloną z siebie minką, jaką przybiera wykwinna kobieta, utrzymując, że jej rozkoszą jest paprać się bez obawy powalania się, coś tak jak gotować samej „zawinąwszy rękawy po łokcie”.

— Będzie pan sobie żartował ze mnie, ale nigdy nie słyszałam o tym malarzu, który nie pozwala panu przyjść do mnie (miała na myśli Vermeera); czy on żyje jeszcze? Czy można zobaczyć jego obrazy w Paryżu, abym sobie mogła lepiej uzmysłowić to, co pan kocha, odgadnąć trochę, co jest pod tym szerokim czołem, które tyle pracuje, w tej głowie która — widać to! — bez ustanku coś rozważa; móc sobie powiedzieć: o, on właśnie o tym myśli. Jakie by to było rozkoszne móc dzielić pańską pracę!

Wymówił się obawą nowych przyjaźni, co nazwał — przez galanterię — obawą przed cierpieniem.

— Boi się pan przywiązania? Jakie to zabawne, a ja tylko tego szukam, dałabym życie za to, żeby je znaleźć — rzekła głosem tak naturalnym, tak głęboko przekonanym, że go to wzruszyło. — Musiał pan cierpieć przez kobietę. I myśli pan, że inne są takie same. Nie umiała pana zrozumieć; pan jest taki inny. To mi się właśnie w panu spodobało, czułam zaraz, że pan nie jest taki jak wszyscy.

— Ależ ja wiem, co to są kobiety; i pani musi mieć przecie mnóstwo zajęć, rzadko pani jest wolna.

— Ja! Nigdy nie mam nic do roboty, zawsze jestem wolna, zawsze będę wolna dla pana. O którejkolwiek godzinie dnia i nocy, kiedy tylko będzie pan miał ochotę mnie widzieć, niech pan po mnie pośle, będę szczęśliwa, przybiegnę. Czy zrobi pan tak? Wie pan, co by było ładnie? Żeby się pan zapoznał z państwem Verdurin, gdzie bywam co wieczór. Niech pan pomyśli! Gdyby się tam móc spotkać i gdybym mogła wierzyć, że pan się tam znalazł troszkę dla mnie!

Niewątpliwie przypominając sobie ich rozmowy, myśląc tak o niej, kiedy był sam, w swoich romantycznych marzeniach Swann przyzywał obraz Odety, ot, wśród obrazów wielu innych kobiet; ale gdyby dzięki jakiejś okoliczności (lub nawet poza nią, ile że okoliczność ta może nie mieć udziału w istnieniu dotąd utajonego, a nagle ujawnionego stanu) obraz Odety wchłonął wszystkie te marzenia; gdyby się już stały nieodłączne od jej wspomnienia, wówczas braki jej fizyczne nie miałyby żadnej wagi ani to, czy jej uroda była wprzód w guście Swanna. Ciało jej, stawszy się po prostu ciałem kobiety kochanej, byłoby odtąd jedynym zdolnym mu dać rozkosz i cierpienie.

Przypadkowo dziadek mój znał rodzinę państwa Verdurin (czego nie można było powiedzieć o żadnym z ich obecnych przyjaciół). Ale poniechał wszelkich stosunków z „młodym Verdurin”, jak go nazywał. Uważał go, nieco sumarycznie, za człowieka, który — zachowawszy zresztą liczne miliony — ugrzązł w „bohemie” i w hołocie. Jednego dnia dziadek dostał list od Swanna z zapytaniem, czy by go nie mógł zapoznać z Verdurinami. „Bacność! bacność! — wykrzyknął dziadek — to mnie wcale nie dziwi, naszego Swanna nieuchronnie czekał taki koniec. Ładne towarzystwo! Po pierwsze, nie mogę zrobić tego, o co mnie prosi, bo nie znam już pana Verdurin. A potem, musi się w tym kryć jakaś babska historia, ja się nie wdaję w takie sprawy. Ha, ha! To będzie ładna zabawa, jeżeli Swann wdepnie w tych Verdurinów!”

Po odmownej odpowiedzi dziadka Odeta sama wprowadziła Swanna do państwa Verdurin.

W dniu, w którym Swann się zjawił, Verdurinowie mieli na obiedzie doktora Cottard z żoną, młodego pianistę z ciotką, wreszcie malarza, który wówczas cieszył się ich łaską; w ciągu wieczora przybyło jeszcze paru innych wiernych.

Doktor Cottard nigdy nie wiedział całkiem na pewno, z jakiego tonu ma komuś odpowiedzieć; czy partner żartuje, czy mówi serio. Na wszelki wypadek doktor okraszał stale twarz szkicem konwencjonalnego i prowizorycznego uśmiechu, którego wyczekująca domyślność miała go ratować od zarzutu naiwności, w razie gdyby czyjeś powiedzenie okazało się żartem. Że jednak na wypadek przeciwnej ewentualności doktor nie pozwalał temu uśmiechowi jawnie rozkwitnąć, na twarzy jego bujała ustawiczna niepewność; czytało się na niej pytanie, którego nie śmiał zadać: „Czy pan to mówi serio?”. Jak w salonie, tak samo Cottard nie był pewny swojego zachowania się na ulicy, a nawet w ogóle w życiu; przechodniom, powozom, wypadkom przeciwstawiał ten sam chytry uśmieszek, z góry neutralizujący wszelką z jego strony niewłaściwość: o ile by wzięcie²² doktora kiedykolwiek

²²wzięcie (daw.) — sposób zachowania. [przypis edytorski]

wiek nie było na miejscu, uśmiech ten dowodził, że wie o tym i że, jeżeli tak postąpił, to tylko przez żart.

W zamian na wszystkich punktach, gdzie szczere pytanie zdawało mu się dozwolone, doktor starał się ograniczyć pole swoich wahań i uzupełniać swoją wiedzę.

I tak za radą przewidującej matki (dała mu tę radę, kiedy opuszczał prowincję) nigdy nie przepuścił nieznanego mu zwrotu ani nazwiska, ale starał się uzyskać o nich pewne informacje.

Co się tyczy gotowych zwrotów, doktor był nienasycony w żądzy objaśnień. Przypisując im niekiedy znaczenie ściślejsze niż je mają w istocie, rad był wiedzieć, co oznaczają dokładnie wyrażenia słyszane najczęściej, jak fajerwerk dowcipu, błękitna krew, wejść komuś w paradę, homeryczny śmiech, król życia, dawać *carte blanche*, spaść z księżycą, i w jakich określonych wypadkach godzi się ich używać. W ich braku okraszał rozmowę kalamburami, których się wyuczył. Co się tyczy nazwisk usłyszanych po raz pierwszy, ograniczał się do powtórzenia ich pytającym tonem, spodziewając się w ten sposób uzyskać wyjaśnienia, bez wyraźnego ich żądania.

Doktor ludził się, że jest wcieleniem zmysłu krytycznego, którego nie posiadał ani trochę. Dlatego straconym trudem była z nim owa wyrafinowana uprzejmość polegająca na tym, aby kiedy komuś robimy grzeczność, utrzymywać obłudnie, że to on nam ją wyświadcza. Cottard brał wszystko dosłownie. Mimo całego jej zaślepienia na punkcie doktora, drażnił tym niekiedy panią Verdurin, co jej nie przeszkadzało nadal wierzyć w jego inteligencję. Kiedy zaprosiła go do najlepszej łoży na występ Sary Bernhardt i chcąc być tym uprzejmiejszą, rzekła: „Jest pan bardzo miły, że pan przyszedł, doktorze; z pewnością widział pan już często Sarę, przy tym jesteśmy może za blisko sceny” — Cottard, który wszedł do łoży z uśmiechem wyczekującym, aby mu ktoś miarodajny uświadomił wartość spektaklu, odparł: „W istocie, jesteśmy o wiele za blisko i rzeczywiście człowiek ma już trochę dosyć Sary Bernhardt. Ale pani raczyła wyrazić życzenie, abym przyszedł, a życzenie pani jest dla mnie rozkazem. Szczęśliwy jestem, że mogłem pani oddać tę drobną przysługę. Czegóż by się nie zrobiło, aby pani sprawić przyjemność; pani jest taka dobra!” i dodawał: „Sara Bernhardt to jest Złotogłosa, prawda? I piszą także często, że ona się cała spala. Dziwne wyrażenie, nieprawdaż?”, dodawał w nadziei wyjaśnień, których się nie doczekał.

— Wiesz — rzekła pani Verdurin do męża — zdaje mi się, że my obieramy mylną drogę, obniżając przez skromność to, co ofiarujemy doktorowi. To uczony, który żyje poza rzeczywistością, nie zna wartości rzeczy i polega na tym, co my mu mówimy.

— Nie śmiałem ci tego powiedzieć, ale zauważyłem to samo — odpowiedział pan Verdurin.

I na najbliższy Nowy Rok, zamiast posłać doktorowi Cottard rubin za trzy tysiące franków, powiadając, że to drobiazg, pan Verdurin kupił za trzysta franków syntetyczny kamień, dając do zrozumienia, że niełatwo znalazłoby się równie piękny.

Pani Verdurin oznajmiła, że tego wieczora przyjdzie do nich niejaki Swann. „Swann?” — wykrzyknął doktor tonem aż brutalnym ze zdziwienia; lada nowina bowiem zaskakiwała zawsze tego człowieka, który wiecznie uważał się za przygotowanego na wszystko. Nikt mu nie odpowiedział. „Swann? Kto to jest Swann?” — ryknął doktor z niepokojem, który się uśmierzył natychmiast, kiedy pani Verdurin rzekła:

— No, ten przyjaciel Odety, o którym nam mówiła.

— A, dobrze, dobrze, to już dobrze, — odparł uspokojony. Co się tyczy malarza, ten ucieszył się z obecności Swanna w salonie pani Verdurin, bo przypuszczał, że Swann kocha się w Odecie, a lubił protegować miłoścki.

— Nic mnie tak nie bawi, jak kojarzyć małżeństwa — zwierzył się do ucha doktorowi — udawało mi się to już nieraz, nawet między kobietami!

Mówiąc Verdurinom, że Swann jest bardzo *smart*, Odeta zaniepokoiła ich, że to będzie „nudziarz”. Przeciwnie, zrobił na nich doskonale wrażenie, którego, bez ich wiedzy, jedną z pośrednich przyczyn było obycie Swanna. W istocie Swann miał nad ludźmi nawet inteligentnymi, ale którzy „nie bywali”, ową wyższość światowców, polegającą na tym, że oni nie deformują „świata” pragnieniem lub grozą własnej wyobraźni; jest dla nich czymś bez znaczenia. Uprzejmość takich ludzi, wyzwolona z wszelkiego snobizmu i z obawy, że się wydadzą zbyt uprzejmi, posiada swobodę i wdzięk człowieka, którego wycwiczone

członki wykonują ściśle to, co chcą, bez niedyskretnego i niezręcznego udziału reszty ciała. Elementarna gimnastyka światowca podającego z wdziękiem rękę nieznanemu młodemu człowiekowi, którego mu ktoś przedstawia, a schylającego się z uszanowaniem przed ambasadorem, któremu jego przedstawiają, przeszła w końcu mimowiednie w całą postawę towarzyską Swanna. Wobec ludzi ze środowiska niższego niż jego własne (jak państwo Verdurin i ich przyjaciele), instynktownie rozwinął gorliwość i uprzejmość, na które wedle nich „nudziarz” nie byłby się zdobył. Chwilę chłodu miał jedynie z doktorem Cottard: widząc, jak doktor mruży oko i uśmiecha się doń dwuznacznie, zanim jeszcze do siebie przemówili (mimika, którą doktor nazywał „wyczekującą”), Swann pomyślał, że doktor go zapewne zna, że go spotkał w jakim podejrzanym lokalu (mimo że Swann bywał w nich nader rzadko, nigdy nie żył w „wesołym świątku”). Uważając tę aluzję za nietakt, zwłaszcza w obecności Odety, która mogła stąd powziąć o nim ujemne pojęcie — przybrał minę lodowatą. Ale kiedy się dowiedział, że dama siedząca obok jest panią Cottard, Swann pomyślał, że równie młody żonkoś nie próbowałby robić przy żonie aluzji tego rodzaju, i przestał w porozumiewawczej minie doktora widzieć dwuznaczną intencję.

Malarz zaprosił Swanna z miejsca, aby zaszedł z Odetą do jego pracowni; ten malarz wydał mu się sympatyczny.

— Może na pana będzie łaskawszy niż na mnie — rzekła pani Verdurin tonem niby to urazy — i pokaże panu portret doktora (sama pani Verdurin zamówiła go u malarza). Niech pan pamięta, panie mistrzu (zwróciła się do malarza, którego uświęcony koncept kazał tytułować „panem mistrzem”), aby dobrze oddać to miłe spojrzenie, ten sprytny i dowcipny wyraz oczu. Wiesz, panie mistrzu, co bym zwłaszcza pragnęła mieć: chodzi mi o uśmiech doktora; zamówiłam sobie wyraźnie portret jego uśmiechu.

Wyrażenie to zdawało się pani Verdurin tak godne uwagi, iż powtórzyła je bardzo głośno, aby mieć pewność, że je usłyszano; a nawet pod jakimś pozorem gestem przywołała zawczasu kilka osób. Swann prosił, aby go przedstawiono wszystkim, nawet staremu przyjacielowi Verdurinów, niejakiemu Saniette. Nieśmiałość, prostota i dobre serce pana Saniette pozbawiły go wszędzie szacunku, jaki mu zjednała jego wiedza archiwisty, duży majątek i dystyngowane pochodzenie. Kiedy mówił, miał w ustach „kluseczki” — pełne wdzięku zresztą, bo czuło się, iż zdradzają nie tyle wadę mowy, ile zalety duszy, jak gdyby dziecięcą niewinność, której nigdy nie stracił. Wszystkie spółgłoski, których nie mógł wymówić, symbolizowały tyleż brutalności, do których nie był zdolny. Prosząc, aby go przedstawiono panu Saniette, Swann zrobił na pani Verdurin wrażenie człowieka, który odwrócił role, tak dalece, iż w odpowiedzi rzekła, podkreślając różnicę: „Panie Swann, czy pozwoli pan przedstawić sobie naszego przyjaciela Saniette?”. Natomiast w panu Saniette Swann wznicił gorącą sympatię. Sympatii tej Verdurinowie nigdy nie zdradzili Swannowi, bo Saniette drażnił ich trochę i nie mieli specjalnej ochoty zyskiwać mu przyjaciół. Wreszcie Swann wzruszył ich nieskończenie tym, że uważał za swój obowiązek zaraz przedstawić się ciotce pianisty. W czarnej sukni jak zawsze, ponieważ sądziła, że w czarnym jest zawsze dobrze i że to jest strój najdystyngowańszy, osoba ta zwykle była po obiedzie nadzwyczaj czerwona. Skłoniła się Swannowi z szacunkiem, ale wyprostowała się majestatycznie. Ponieważ była bez wykształcenia i bała się robić błędy w wymowie, wymawiała z umysłu niewyraźnie, aby zatrzeć ślady. W rezultacie rozmowa jej była jedynie niewyraźnym bełkotem; od czasu do czasu wyłaniały się rzadkie sylaby, których dama ta czuła się pewna. Swann sądził, że może z niej sobie lekko zażartować, ale pan Verdurin przyjął żarty jego chłodno.

— To taka zacna osoba — rzekł. — Przyznaję, że nie jest ołśniewająca, ale upewniam pana, że jest bardzo miła, kiedy z nią pogadać sam na sam.

— Nie wątpię — skwapliwie przyznał Swann. — Chciałem powiedzieć, że nie wydaje mi się „niepospolita” — dodał podkreślając ten przymiotnik — a ostatecznie, to jest raczej komplement!

— O — rzekł pan Verdurin — zadziwię pana, kiedy panu powiem, że ona pisze czarująco. Nie słyszał pan nigdy jej bratanka? Wspaniały, prawda, doktorze? Chce pan, poproszę go, żeby nam co zagrał?

— Ależ to będzie szczęście... — zaczął Swann, kiedy doktor przerwał mu z drwiącą miną. Cottard, wyuczysz się, że emfaza, uroczyste formuły, są w rozmowie przestarzałe, skoro usłyszał poważne słowo użyte serio — jak tutaj owo „szczęście” — sądził, że ten,

który go użył, daje dowód naiwności. A jeżeli co więcej słowo, choćby najpotoczniejsze, znalazło się przypadkiem w tym, co doktor nazywał „starą kliszą”, Cottard wnosił, iż rozpoczęte zdanie jest śmieszne i kończył je ironicznie komunałem, podsuwając go niejako przedmówcy, któremu wcale się o nim nie śniło.

— Szczęście dla Francji! — wykrzyknął złośliwie, wznosząc ręce z emfazą.

Pan Verdurin nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

— Co oni się tam tak chichoczą, ci dobrzy ludzie! Mam wrażenie, że wam nie grozi melancholia w waszym kąciku — wykrzyknęła pani Verdurin. — Jeżeli myślicie, że mnie to bawi siedzieć tu samej na pokucie!... — dodała rozkapryszonym tonem dziecka.

Pani Verdurin siedziała na wysokim drewnianym krześle, które ofiarował jej pewien skrzypek, Szwed. Zachowała je, mimo że kształtem przypominało zydel i kłóciło się z jej pięknymi starymi meblami; ale lubiła trzymać na widoku podarki, jakie wierni mieli zwyczaj robić jej od czasu do czasu; chciała, aby ofiarodawcy mieli przyjemność, poznając swoje dary. Starła się ich skłonić, aby się ograniczali do kwiatów i cukierków, które się przynajmniej zużywają; ale na próżno. Toteż pani Verdurin miała całą kolekcję futer na nogi, poduszek, zegarów, parawanów, barometrów, figurynek kojarzących obfitość, monotonię i bezstylowość gwiazdkowych prezentów.

Z tego wyniosłego posterunku brała pani Verdurin z zapalem udział w rozmowie wiernych i bawiła się ich figlami; ale od wypadku ze szczęką wyrzekła się trudu parskania rzeczywistym śmiechem: zastąpiła go konwencjonalną mimiką, która bez zmęczenia i ryzyka oznaczała, że się śmieje do łez. Sztuczka ta stanowiła rozpacz pana Verdurin, który długo miał tę ambicję, aby być równie miłym jak jego żona; ale śmiejąc się na dobre, szybko tracił oddech, zdystansowany przez ową imitację nieustannej wesołości. Za najmniejszym słówkiem, które wypuścił jakiś wierny przeciw „nudziarzowi” lub przeciw eks-wiernemu, wtrąconemu do obozu „nudziarzy”, pani Verdurin wydawała lekki krzyk, zamykała całkowicie ptasie oczy, które zaczynało przesłaniać bielmo, i nagle — jak gdyby ledwo miała czas ukryć nieprzystojne widowisko lub zapobiec śmiertelnemu wypadkowi — szczerze zanurzając twarz w rękach, robiła wrażenie, że sili się powściągnąć śmiech, który, gdyby mu się poddała, przyprawiłby ją o omdlenie. I tak oszołomiona wesołością wiernych, pijana solidarnością, obmową i aprobatą, usadowiona na swojej żerdce, podobna do ptaka, któremu zmaczano biskopt w gorącym winie, pani Verdurin szlochała z rozlewności towarzyskiej.

Tymczasem pan Verdurin, spytawszy Swanna czy pozwoli mu zapalić fajeczkę („tutaj nie robimy ceremonii, jesteśmy między kolegami”), prosił młodego artystę, aby siadł do fortepianu.

— Nie nudźże go, nie po to przyszedł, żeby go dręczyć! — wykrzyknęła pani Verdurin — ja nie chcę, żeby go tutaj dręczono!

— Ale czemu by go to miało nudzić? — rzekł pan Verdurin. — Pan Swann nie zna może sonaty *f-dur*, którą odkryliśmy: zagra ją nam w układzie na fortepian.

— Och, nie, nie, nie moją sonatę — krzyczała pani Verdurin — ani myślę z płaczu łałapać kataru i newralgii jak ostatnim razem; dziękuję za ten przysmak, nie mam ochoty zaczynać na nowo; wy sobie dobrzy jesteście; zaraz widać, że nie wy odlegujecie potem tydzień w łóżku.

Sценка ta, powtarzająca się za każdym razem, kiedy pianista miał grać, zachwycała przyjaciół domu zupełnie tak, jak gdyby była nowa, jako dowód czarującej oryginalności „pryncypałki” i jej wrażliwości muzycznej. Stojący obok dawali znak tym, którzy opodal palili lub grali w karty, aby się zbliżyli, że się coś dzieje, szepcząc tak, jak się robi w Reichstagu w sensacyjnych momentach: „Słuchajcie, słuchajcie”. I nazajutrz kazano żałować nieobecny, że ich nie było, że scena była jeszcze zabawniejsza niż zazwyczaj.

— Więc dobrze, już, postanowione — rzekł pan Verdurin — zagra tylko andante.

— Tylko andante, dobry ty sobie jesteś! — wykrzyknęła pani Verdurin. — To właśnie andante odejmuje mi ręce i nogi. Wspaniały jest nasz pryncypał! To zupełnie tak jakby przy *Dziwującej* powiedział: posłuchamy tylko finału, albo z *Norymberskich* tylko uwertury!

Jednakże doktor nakłaniał panią Verdurin, aby pozwoliła grać pianiście; nie aby powątpiewał o prawdzie wstrząsów, o jakie muzyka ją przyprawia — rozpoznawał w nich

pewne stany neurasteniczne — ale przez zwyczaj właściwy wielu lekarzom, którzy natchmiasz są gotowi złagodzić srogość swoich przepisów, z chwilą gdy wchodzi w grę rzecz w ich poczuciu o wiele ważniejsza, jakies zebranie towarzyskie na przykład, w którym biorą oni udział, a w którym pacjent ich jest jednym z głównych elementów. I radzą mu, aby na ten raz zapomniał o swojej niestrawności lub grypie.

— Tym razem nie rozchoruje się pani, ja ręczę — rzekł, starając się sugestionować panią Verdurin spojrzeniem. — A jeżeli się pani rozchoruje, będziemy panią leczyli.

— Na pewno? — odparła pani Verdurin, jak gdyby wobec takiej nadziei nie pozostało jej nic, tylko skapitulować. A może wciąż powtarzając, że się rozchoruje, zapominała też chwilami, że to jest kłamstwo i wchodziła w duszę osoby chorej. Otóż chorzy, zmęczeni ciągłą zależnością własnego stanu zdrowia od ich rozsądku, lubią ulegać wierze, że będą mogli robić bezkarnie wszystko, co im się podoba i co im zwykle szkodzi, pod warunkiem, że się oddadzą w ręce potężnej istoty, która bez żadnego wysiłku z ich strony, jednym zaklęciem albo jedną pigułką postawi ich znów na nogi.

Odetta siedła na haftowanej kanapie koło fortepianu.

— Pani wie, ja mam swój kącik — rzekła do pani Verdurin.

Ta widząc, że Swann siadł na krzesło, kazała mu wstać:

— Niedobrze panu tutaj; niechże pan siada koło Odety; prawda, Odeto, zrobisz panu Swannowi trochę miejsca?

— Jaki ładny *beauvais* — rzekł przed zajęciem miejsca Swann, który chciał być miły.

— Och, bardzo jestem rada, że pan się poznał na mojej kanapie — odparła pani Verdurin. — I uprzedzam pana, jeżeli pan chce zobaczyć drugą równie piękną, niech pan z tego od razu zrezygnuje. Nigdy nie zrobili nic podobnego. Krzeselka też są cudy. Później pan to obejrzy. Każdy brząz odpowiada tematowi haftu na siedzeniu; wie pan, może się pan ubawić, jeśli pan chce to obejrzeć, przyrzekam panu chwilę prawdziwej uciechy. Choćby tylko same fryzy na szlakach; o, patrz pan, te listki wina na czerwonym tle Niedźwiedzia i Winogron. Jak to rysowane! Co pan na to; myślę, że ci to już chyba umieli rysować! Czy nie jest apetyczne to winogrono? Mąż twierdzi, że ja nie lubię owoców, dlatego że ich jadam mniej od niego. Wcale nie, ja jestem większa łakotnisia niż wy wszyscy, ale nie potrzebuję pakować sobie do żołądka, syć się oczami. Czego wy się tam śmiejecie wszyscy? Spytajcie się doktora, powie wam, że te winogrona wystarczą, aby mnie przeczyścić. Inni robią kurację w Fontainebleau, ja robię kurację swoimi Beauvais. Ale, panie Swann, nie opuści pan tego domu, nie dotknąwszy brązów na oparciu. Co pan powie na tę patynę: słodkie, co? Ale nie całą garścią, niech pan dotknie palcami.

— Och, jeżeli pani Verdurin zacznie obmacywać brązy, nie usłyszymy muzyki dziś wieczór — rzekł malarz.

— Cicho siedź, panie mistrzu, brzydal z ciebie. W gruncie — rzekła, obracając się do Swanna — zabraniają nam, kobietom, rzeczy o wiele mniej rozkoszliwych! Toż nie ma ciała, które by można z tym porównać. Kiedy pan Verdurin czynił mi ten zaszczyt, aby być o mnie zazdrosnym, — no, bądźże choć uprzejmy, nie mów, że nigdy nie byłś zazdrosny...

— Ależ ja absolutnie nic nie mówię. Doktorze, biorę pana za świadka: czy ja co powiedziałem?

Swann dotykał przez grzeczność brązów, nie śmiał zaraz przestać.

— No, popieści je pan później; teraz się pana popieści, popieści się pana w ucho; pan to lubi, mam nadzieję; nasz chłopczyzna się tym zajmie.

Kiedy pianista skończył, Swann był dlań jeszcze uprzejmiejszy niż inni obecni. Oto czemu:

Zeszłego roku na jakimś wieczorze Swann słyszał utwór na fortepian i skrzypce. Zrazu poddawał się po prostu zmysłowemu czarowi dźwięków sączonych przez instrumenty. I to już była wielka przyjemność, kiedy naraz, pod wąską, ciągłą, gęstą i dominującą linią skrzypiec, ujrzał nagle, jak się stara wzniesć płynny plusk, masa partii fortepianowej, wielokształtna, niepodzielna, szeroka, wstrząsana niby płową grą fal, które urzeka i bemo-lizuje blask księżyca. Ale w pewnej chwili, mimo iż nie mogąc dobrze rozpoznać konturu, dać nazwy temu, co mu się podobało, Swann nagle oczarowany siłą się pochwycił frazę lub harmonię — sam nie wiedział co — która spływając, rozwarła mu duszę szerzej, tak jak zapach pewnych róż krążący w wilgotnej aurze wieczornej ma zdolność rozszerzania

naszych nozdrzy. Może dlatego, że się Swann nie znał na muzyce, wrażenia jego były tak mętne; to są może zresztą jedyne wrażenia czysto muzyczne, nieoczekiwane, całkowicie oryginalne, niedające się przenieść w inną kategorię wrażeń. Przez chwilę stan tego rodzaju jest, aby tak rzec, *sine materia*. Bez wątpienia nuty, jakie słyszymy wówczas, dążą już wedle swej wysokości i jakości do tego, aby pokryć przed naszymi oczami powierzchnie o rozmaitych wymiarach, kreślić arabeski, dać nam uczucie szerokości, ciągłości, stałości, kaprysu. Ale nuty uciekają, zanim te wrażenia ukształtują się w nas na tyle, aby ich nie zalały inne, już rodzące się z nut późniejszych lub nawet równoczesnych. I owa płynność nadal pochłaniałaby i zatapiała motywy, które wyłaniają się z niej chwilami — ledwie pochwytnie — aby natychmiast dać nurka i zniknąć, dostępne nam jedynie przez uczucie osobliwej rozkoszy, niepodobne do opisanego, do zapamiętania, do nazwania, niewysłowione, gdyby pamięć — niby robotnik zakładający trwale fundamenty w głębi fal — sporządzając podobizny tych ulotnych fraz, nie pozwalała nam porównać ich z następnymi i różniczkować ich. I tak ledwie rozkoszne wrażenie pierzchno, już pamięć dostarczyła Swannowi pobieżnej i doraźnej tego wrażenia transkrypcji; objął ją wzrokiem, podczas gdy utwór biegł dalej, tak że, kiedy to samo wrażenie wróciło nagle, zdołał je już pochwycić. Uzmysłowił sobie jego rozmiar, symetrię, wykres, jego ekspresję; miał przed sobą owo coś, co już nie jest czystą muzyką, ale rysunkiem, architekturą, myślą, i co pozwala przypominać sobie muzykę. Tym razem Swann rozpoznał wyraźnie frazę, wznoszącą się przez parę chwil nad dźwięczne fale. Zarazem zbudziła w nim ona osobliwe rozkosze, o których przed usłyszeniem jej nie miał pojęcia; wiedział, że nic prócz niej nie mogłoby mu ich objawić; uczuł dla niej jak gdyby przypływ nieznanej miłości.

Powolnym rytmem kierowała go ta fraza to tu, to tam, potem jeszcze kędyś indziej, ku jakiemuś szlachetnemu, niepojętemu, a wyraźnemu szczęściu. I naraz, w punkcie, do którego doszła i skąd gotował się iść za nią, nagle, po krótkiej pauzie, zmieniała kierunek; i nowym rytmem, szybszym, drobnym, melancholijnym, nieustającym i łagodnym, ciągnęła go za sobą ku nieznanym widnokręgom. Potem znikła. Zapragnął namiętnie ujrzeć ją po raz trzeci. Pojawiła się w istocie, ale nie mówiąc doń wyraźniej, sprawiając mu nawet rozkosz mniej głęboką. Ale wróciwszy do domu, Swann wciąż jej pragnął; był niby człowiek, w którego życie przechodząca i ujrzana na chwilę kobieta wniosła obraz nowego piękna, podnoszącego skalę własnej jego wrażliwości; i nie wie nawet, czy zdoła kiedy ujrzeć tę, którą już kocha, a której nie zna nawet z imienia.

Nawet ta miłość do frazy muzycznej zdawała się na chwilę rodzić w Swannie możliwość jakby odmłodzenia. Od tak dawna przestał zwracać swoje życie do idealnego celu, ograniczając je do pogoni za codzienną przyjemnością, iż sądził — nie powiadając wprawdzie sobie tego jasno — że to się nie zmieni do śmierci. Co więcej, nie czując już podniosłych idei w sobie, przestawał wierzyć w ich realność, nie mogąc jednak zaprzeczyć całkowicie jej istnieniu. Toteż przywykł chować się w myśli bez znaczenia, które mu pozwalały omijać istotę rzeczy. Tak jak nie pytał siebie, czy nie byłoby lepiej przestać bywać w świecie, ale w zamian wiedział całkiem na pewno, że o ile przyjął jakieś zaproszenie, musi się na nie stawić; że o ile nie oddał potem wizyty, trzeba mu rzucić bilety; tak samo w rozmowie nie siłił się nigdy bronić z przejęciem osobistego poglądu, ale dostarczał szczegółów technicznych, które miały poniekąd wartość same w sobie, a pozwalały mu nie angażować się. Był niezmiernie ścisły w przepisie kucharskim, w dacie urodzenia lub śmierci malarza, w nomenklaturze jego dzieł. Czasem mimo wszystko puścił się na sąd o jakim dziele, o sposobie pojmowania życia, ale dawał wówczas własnym słowem ironiczny tonik, jak gdyby nie cały solidaryzował się z tym, co mówił.

Bywają ludzie chorowici, u których nagle zmiana klimatu, trybu życia, czasem jakieś organiczne, samorzutne i tajemnicze przeobrażenie, sprowadzają taką poprawę, że chory zaczyna brać pod uwagę nieoczekiwaną i późną możliwość całkiem odmiennej egzystencji. Tak Swann we wspomnieniu usłyszonej frazy, w niektórych sonatach, które sobie kazał przegrać, badając, czy nie odkryje tam jej motywu, znajdował w sobie obecność jednej z owych niewidzialnych realności, w które przestał już wierzyć. Muzyka miała jak gdyby organiczny wpływ na jego oschłość duchową; odczuwał na nowo pragnienie i niemal siłę poświęcenia życia owym realnościom. Ale nie mogąc się dowiedzieć, czyj jest ów posłyszany przypadkowo utwór, nie mógł się o niego wystarać i zapomniał go w końcu. Spotkał wprawdzie w ciągu tygodnia kilka osób, które były jak on na owym wiecz-

rze i wypytywał się ich; ale wiele z nich przybyło po koncercie albo wyszło przedtem; niektórzy byli podczas muzyki, ale przeszli na rozmowę do innego salonu; inni zostali, aby słuchać, ale słyszeli nie więcej od tamtych. Co do gospodarzy domu, wiedzieli, że to jest nowy utwór, który zaangażowani artyści ofiarowali się zaprodukować; że jednak artyści owi pojechali następnie na tournée, Swann nie mógł się dowiedzieć więcej. Miał wprawdzie przyjaciół muzyków, ale, mimo że sobie przypominał odrębną i niepodobną do określenia rozkosz, jaką mu sprawiła ta fraza, mimo iż miał przed oczami jej rysunek, nie był wszelako zdolny im jej zanucić. Potem przestał o tym myśleć.

Otóż ledwie młody pianista w salonie pani Verdurin zaczął grać, nagle, tuż po wysokiej nucie wytrzymanej przez dwa takty, Swann ujrzał, jak zbliża się ów motyw, wymykając się spod dźwięczności długiej i napiętej niby brzmiąca zasłona, pokrywająca tajemnicę jego poczucia. Poznał ukochaną frazę, tajemną, szemrzącą i rytmiczną, pachnącą i lotną. I była tak odrębna, miała czar tak swoisty i niezastąpiony, że Swann miał uczucie, jakby w salonie u przyjaciół spotkał osobę, którą zachwycił się na ulicy, wątpiąc, aby ją kiedy mógł odnaleźć. W końcu cofnęła się, znacząca, czujna, w gąszcz własnego zapachu, zostawiając na twarzy Swanna odbłask swego uśmiechu. Ale teraz mógł spytać o imię nieznaną (powiedziano mu, że to jest andante z sonaty skrzypcowej Vinteuila); miał ją, mógł ją mieć u siebie tak często, jak zapragnie, mógł próbować nauczyć się jej mowy i jej sekretu.

Toteż kiedy pianista skończył, Swann zbliżył się, aby mu wyrazić wdzięczność, z żywością, która spodobała się pani Verdurin.

— Co za czarownik, nieprawdaż — rzekła do Swanna — jak to małe ładaco czuje tę sonatę! Nie przypuszczał pan, że fortepian może sięgnąć aż tak daleko. To było wszystko, daję słowo, z wyjątkiem fortepianu! Za każdym razem łapię się na to; zdaje mi się, że słyszę orkiestrę. To nawet piękniejsze niż orkiestra, pełniejsze.

Młody pianista skłonił się z uśmiechem i rzekł, podkreślając słowa, jakby mówił coś dowcipnego:

— Jest pani zbyt pobłażliwa.

I podczas gdy pani Verdurin mówiła do męża: „No, dajże mu oranżady, zarobił na nią”, Swann opowiadał Odecie, jak się zakochał w tej frazie. Kiedy pani Verdurin powiedziała z daleka: „No co! zdaje się, że ten pan opowiada ci ładne rzeczy, Odeto”, ona odparła: „Tak, bardzo ładne”; i Swannowi prostota jej wydała się urocza. Zarazem wypytywał się o Vinteuila, o jego utwory, o epokę życia, w której napisał tę sonatę, i co mogła znaczyć dla niego ta mała fraza — to zwłaszcza byłby chciał wiedzieć.

Ale wszyscy ci ludzie, którzy głosili podziw dla muzyka (kiedy Swann powiedział, że sonata jest naprawdę ładna, pani Verdurin wykrzyknęła: „Ha, ha! bardzo panu wierzę, że jest ładna! Ależ nie wolno się przyznać, że się nie zna sonaty Vinteuila, nie ma się prawa nie znać tego!”), a malarz dodał: „Och, tak, to jest zupełnie wielka rzecz, nieprawdaż. To nie jest, zgódźmy się na to, »kasa« ani »publika«, ale to jest cholerny wstrząs dla artystów”), wszyscy ci ludzie jak gdyby nigdy nie stawiali sobie owych pytań, niezdolni byli na nie odpowiedzieć.

Nawet na parę specjalnych uwag, jakie zrobił Swann o swojej ulubionej frazie, pani Verdurin odrzekła:

— A to zabawne, nigdy nie zwróciłam na to uwagi. Powiem panu, że ja nie bardzo lubię zaglądać wszystkiemu pod fartuszek, szukać kwadratury koła; my tutaj nie tracimy czasu na rozszczepianie włosa na czworo, to nie jest specjalność firmy.

Doktor Cottard patrzył na panią Verdurin z błogim podziwem i z naukowym zainteresowaniem, widząc, jak igra na fali gotowych zwrotów. Zresztą doktor i jego żona z instynktownym rozsądkiem, jaki miewają też osoby z ludu, strzegli się wygłaszać swój sąd lub udawać podziw dla muzyki, której — wyznawali to sobie wzajem, znalazłszy się w domu — tak samo nie rozumieli jak malarstwa „pana mistrza”. Z czaru, wdzięku i z form przyrody publiczność zna tylko to, co zaczerpnęła w szablonach pomalą przyswojonej sztuki, artysta zaś oryginalny zaczyna od odrzucenia tych szablonów; dlatego państwo Cottard, będący w tej mierze obrazem publiczności, ani w sonacie Vinteuila, ani w portretach malarza nie znajdowali tego, co dla nich stanowiło harmonię muzyki i piękno malarstwa. Kiedy pianista grał sonatę, zdawało się im, że łowi na chybił trafił na klawiaturze nuty w istocie niezwiązane w formy, do których przywykli; że malarz na

oślepił ciskając farbą na płótno. Kiedy mogli rozpoznać na tym płótnie jakiś kształt, zdawał się im ciężki, gruby (to znaczy pozbawiony elegancji owych szkół malarskich, poprzez które widzieli nawet na ulicy żywe osoby) i pozbawiony prawdy, tak jakby malarz nie wiedział, jak wygląda ramię, ani że kobiety nie mają włosów lila.

Jednakże, skoro się wierni rozproszyli, doktor uczuł, że nadarza się szczęśliwa sposobność; gdy pani Verdurin kończyła swoje zachwyty nad sonatą Vinteuila, Cottard rzucił się w wodę niby początkujący pływak, który wybiera chwilę, gdy nie ma zbyt wielu świadków.

— Zatem to jest to, co się nazywa muzyk *di primo cartello*! — wykrzyknął z nagłą determinacją.

Swann dowiedział się dopiero wówczas, że świeże pojawienie się sonaty Vinteuila zrobiło wielkie wrażenie w kołach muzycznych o tendencjach bardzo postępowych, ale było zupełnie nieznaną szerokiej publiczności.

— Znam kogoś, kto się nazywa Vinteuil — rzekł Swann, myśląc o nauczycielu fortepianu siostrzycy babki.

— To może on? — wykrzyknęła pani Verdurin.

— Och, nie! — rzekł Swann, śmiejąc się. — Gdyby go pani widziała bodaj przez dwie minuty, nie zadałaby pani tego pytania.

— Zatem postawić pytanie *znaczy rozwiązać je?* — rzekł doktor.

— To mógłby być jakiś krewny — podjął Swann — byłoby to dosyć smutne, ale ostatecznie genialny człowiek może być krewnym starego fujary. Gdyby tak było, wyznaję, iż nie byłoby męczarni, której bym się nie poddał, aby stary fujara przedstawił mnie autorowi sonaty; najpierw męczarni obcowania ze starym fujarą, co musi być okropne.

Malarz wiedział, że Vinteuil jest w tej chwili bardzo chory i że doktor Potain boi się, czy zdoła go ocalić.

— Jak to! — wykrzyknęła pani Verdurin — są jeszcze ludzie, którzy się leczą u Potaina!

— Och, pani Verdurin! — rzekł Cottard, mizdrząc się — zapomina pani, że mowa o jednym z moich kolegów, powinien bym rzec: moich mistrzów.

Malarz słyszał, że Vinteuilowi grozi obłąd. I twierdził, że można to poznać z pewnych ustępów sonaty. Swannowi myśl ta wydała się możeby, ale go wstrząsnęła; ponieważ dzieło czystej muzyki nie zawiera żadnych stosunków logicznych, których naruszenie wskazuje szaleństwo, rozpoznany w sonacie obłąd wydawał mu się czymś równie tajemniczym jak obłąd sukki, konia, które się wszelako zdarzają.

— Daj mi pan pokój, doktorze, ze swymi mistrzami; umie pan dziesięć razy więcej od niego — odparła pani Verdurin tonem osoby, która ma odwagę swoich przekonań i śmiało staje do oczu tym, co są innego zdania. — Pan przynajmniej nie zabija pacjentów!

— Ależ pani, on jest w Akademii — odparł doktor z ironią. — Jeżeli jakiś chory woli umrzeć z ręki potentata wiedzy... To o wiele szykowniej móc powiedzieć: „Leczy mnie Potain”.

— Szykowniej? — rzekła pani Verdurin. — Więc teraz medycyna jest kwestią szyku? Nie wiedziałam tego... Paradny pan jest! — wykrzyknęła nagle, kryjąc twarz w dłoniach. — A ja, dobra dusza, dyskutowałam poważnie, nie widząc, że pan ze mnie struga wariata.

Co do pana Verdurin, ten, uważając, że trochę męczące jest śmiać się z tak skromnej przyczyny, zadowolił się pyknięciem z fajeczki i myślał ze smutkiem, że nigdy nie zdoła doścignąć żony na terenie uprzejmości.

— Wiesz, że twój przyjaciel bardzo się nam podoba — rzekła pani Verdurin do Odety w chwili pożegnania. — Jest prosty, czarujący; jeżeli zawsze będziesz miała w zanadrzu tylko takich przyjaciół, możesz nam ich sprowadzać.

Pan Verdurin zauważył, że jednak Swann nie docenił ciotki pianisty.

— Czuł się tutaj trochę obco, nieboże — odparła pani Verdurin. — Nie żądasz przecie, aby będąc pierwszy raz, miał już ten *swój* ton, jaki ma Cottard należący do paczki od wielu lat. Pierwsze koty za płoty; to było potrzebne, aby poznać, z kim sprawa. Odeto, ułożyliśmy, że pan Swann spotka się z nami jutro w Châtelet. Może byś po niego wstąpiła?

— Nie, on nie chce.

— A, ostatecznie, jak sama wolisz. Byle tylko nie skrewił nam w ostatniej chwili!

Ku wielkiemu zdziwieniu pani Verdurin, Swann nie skrewił nigdy. Spotykał się z nimi wszędzie, czasem w podmiejskich restauracjach, dokąd chodziło się jeszcze rzadko, bo to nie był sezon; częściej w teatrze, który pani Verdurin bardzo lubiła. Jednego dnia powiedziała przy nim, że w dniu premier i galowych przedstawień bardzo by się jej przydało *coupe-file*, że mocno im dokuczyło nie mieć takiej karty w dniu pogrzebu Gambetty. Swann, który nigdy nie mówił o swoich świetnych stosunkach, mówił natomiast o innych, ostatnich, uważając, że niedelikatnie byłoby je ukrywać (a do tych nauczył się w *faubourg Saint-Germain* zaliczać swoje stosunki ze światem oficjalnym), odparł:

— Obiecuję pani się tym zająć. Będzie pani miała swoje *coupe-file* na wznowienie *Daniszewych*; właśnie mam jutro śniadanie w Elizeum, gdzie będzie prefekt policji.

— Jak to, w Elizeum? — krzyknął doktor Cottard grzmiącym głosem.

— Tak, u pana Grévy, — odparł Swann nieco zażenowany wrażeniem, jakie wywarły jego słowa.

A malarz rzekł do doktora jowialnie:

— To pana często chwytają?

Zazwyczaj, raz otrzymawszy wyjaśnienie, Cottard powiadał: „A! dobrze, dobrze, rozumiem” i uspokajał się. Ale tym razem ostatnie słowa Swanna, zamiast mu przynieść zwykle ukojenie, doprowadziły go do szczytu zdumienia, iż człowiek, z którym je obiad, który nie posiada ani oficjalnego stanowiska, ani żadnego dostojeństwa, styka się z głową państwa.

— Jak to: tak, u pana Grévy? Pan zna pana Grévy? — rzekł do Swanna z tępą i niedowierzającą miną gwardzisty, któremu nieznajomy facet powiada, że się chce widzieć z prezydentem republiki i który, zgadując z tych słów „z kim ma do czynienia” (jak powiadają dzienniki), upewnia biednego wariata, iż będzie natychmiast przyjęty, kierując go do specjalnej infirmerii policyjnej.

— Znam go trochę, mamy wspólnych przyjaciół (nie śmiał powiedzieć, że mówi o księciu Walii); zresztą on bardzo łatwo zaprasza. Upewniam pana, że te śniadania nie są w niczym specjalnie zabawne; są zresztą bardzo proste, nie ma nigdy przy stole więcej niż osiem osób — odparł Swann, który starał się zatrzeć to, co się doktorowi mogło wydawać zbyt świetne w jego stosunkach z prezydentem republiki. Natychmiast Cottard, polegając na słowach Swanna, pogodził się z tym, że zaproszenie pana Grévy jest rzeczą mało ważną i nader pospolitą. Z tą chwilą nie dziwił się już, że Swann, jak każdy inny, bywa w Elizeum, i nawet żałował go trochę, że musi chodzić na śniadania nudne wedle opinii samego gościa.

— A, dobrze, dobrze, rozumiem — mówił tonem celnika, nieufnego przed chwilą, ale który, otrzymawszy wyjaśnienia, daje wizę i przepuszcza kogoś, nie każąc mu otwierać walizek.

— Ach, bardzo panu wierzę, że te śniadania nie muszą być zabawne; ma pan zdrowie, żeby tam chodzić — mówiła pani Verdurin. Dla niej, prezydent republiki był jak inni tylko „nudziarzem”, ale szczególnie groźnym, ponieważ rozporządzał środkami korupcji i przymusu, które użyte w stosunku do „wiernych” mogłyby ich w końcu przyprawić o dezercję. — Zdaje się, że on jest głuchy jak pień i że je palcami.

— W istocie, jeżeli tak, to nie musi być dla pana bardzo zabawne tam chodzić — rzekł doktor z odcieniem współczucia; po czym przypominając sobie liczbę ośmiu osób — Czy to są śniadania intymne? — spytał żywo, bardziej jeszcze z zapalem lingwisty niż z ciekawością kibica.

Ale urok, jaki miał w oczach doktora prezydent Republiki, zwyciężył wreszcie i skromność Swanna, i niechęć pani Verdurin; przy każdym obiedzie Cottard pytał z zainteresowaniem: „Czy ujrzymy dziś pana Swanna? Pozostaje w osobistych stosunkach z panem Grévy. Pan Swann jest tym, co nazywamy gentleman?”. Doktor posunął się nawet do ofiarowania Swannowi karty na wystawę dentystyczną.

— Może pan wprowadzić osoby będące w pana towarzystwie, ale psów się nie wpuszcza. Rozumie pan, mówię to dlatego, że miałem przyjaciół, którzy nie wiedzieli o tym i sparzyli się.

Co do pana Verdurin, zauważył on złe wrażenie, jakie uczyniło na jego żonie odkrycie potężnych, a tak ukrywanych stosunków Swanna.

Kiedy nie było jakiej wycieczki za miasto, Swann spotykał „paczkę” u Verdurinów, ale przychodził aż wieczór, prawie nigdy zaś na obiad, mimo nalegań Odety.

— Mogłabym nawet sama zjeść obiad z panem, gdyby pan wołał — mówiła.

— A pani Verdurin?

— Och, to bardzo łatwe. Powiedziałabym po prostu, że suknia nie była gotowa, że cab za późno zajechał. Jest zawsze sposób.

— Bardzo pani miła.

Ale Swann myślał, że o ile będzie okazywał Odecie (godząc się widywać ją jedynie po obiedzie), iż są przyjemności, które woli od jej towarzystwa, sympatia jej dla niego dłużej nie zazna przesytu. Z drugiej strony, ponad urodę Odety przekładając nieskończenie krasę młodej gryzетки, do której się zapalił, pulchnej i świeżej jak róża, wołał spędzać część wieczoru z nią, mając pewność, że ujrzy Odetę później. Z tych samych przyczyn nie godził się nigdy, aby Odeta wstąpiła po niego i aby razem szli do państwa Verdurin. Dziewczyna czekała w pobliżu jego domu na rogu ulicy wiadomej stangretowi Swanna; wsiadała i spoczywała w ramionach Swanna aż do chwili, w której powóz zatrzymał się przed Verdurinami. Gdy wchodził, pani Verdurin, pokazując różę, które Swann przysłał jej rano, mówiła: „Muszę pana połajać”, po czym wskazywała mu miejsce obok Odety; a pianista grał dla nich dwojga frazę Vinteuila, która była niby hymnem narodowym ich miłości. Zaczynał od tremolo skrzypcowego, które wypełnia kilka taktów na pierwszym planie; potem nagle rozsuwa się niejako i — niby na obrazach Pietera de Hooch, pogłębionych wąską ramą uchylonych drzwi — w oddali, w puchu wnikaającego światła, zjawiała się owa fraza, jakby innego koloru, roztańczona, sielska, nawiasowa, ulotna, należąca do innego świata. Przechodziła w prostych i nieśmiertelnych fałdach, rozdając po drodze dary swego wdzięku, z tym samym niewysłowionym uśmiechem; ale Swannowi zdawało się obecnie, że wyczuwa w niej jakby rozczarowanie. Jak gdyby znała czczość owego szczęścia, do którego wskazywała drogę. Miała w swoim lekkim wdzięku coś skończonego, niby zobojętnienie następujące po żalu. Ale Swann niewiele dbał o to; brał ją nie tyle samą w sobie — w tym, co mogła wyrażać dla muzyka niewiedzącego wówczas, gdy ją tworzył o istnieniu Swanna i Odety, i dla tych wszystkich, którzy będą jej słuchali przez wieki — ile jako rękomię, jako pamiątkę swojej własnej miłości. Tęgo sensu nabierała owa fraza nawet dla Verdurinów, nawet dla pianisty, każąc im myśleć równocześnie o Odecie i o Swannie, łącząc ich dwoje. Do tego stopnia, że kiedy Odeta przez kaprys poprosiła go o to, Swann wyrzekł się zamiaru poznania całej sonaty, z której nadal znał tylko ten ustęp.

— Po co panu reszta? — mówiła. — To jest nasz kawałek.

I nawet w chwili, gdy owa fraza przechodziła tak bliska, a mimo to idąca w nieskończoność, Swann cierpiał na myśl, że ta urocza melodia, zwracając się do nich, nie zna ich; żałował niemal, że ona ma jakieś znaczenie, jakieś własne i stałe piękno, obce im dwojgu. Tak w darowanych nam klejnotach lub nawet w listach pisanych przez ukochaną mamy pretensje do wody kamienia i do słów listu, że nie powstały wyłącznie z esencji przelotnego związku i poszczególniej istoty.

Często zdarzało się Swannowi przed wizytą u Verdurinów zabawić się zbyt długo ze swoją gryzетką; skoro pianista przegrał sakramentalną frazę, Swann spostrzegł, że już nadchodzi dla Odety czas powrotu. Odwoził ją do jej willi przy ulicy La Pérouse, za Łukiem Tryumfalnym. I może aby nie żądać od niej wszystkich łask, poświęcał — jako mniej dla siebie niezbędną — przyjemność widzenia jej wcześniej, przybycia do Verdurinów razem z nią, zachowując natomiast owo przyznane mu przez Odetę prawo wyjścia z nią razem; przywilej tym cenniejszy, bo dzięki niemu Swann miał wrażenie, że nikt już nie widzi Odety, nikt nie staje między nimi, nie przeszkadza jej być jeszcze z nim, skoro się rozstali.

Tak więc Odeta wracała w powozie Swanna; jednego wieczora, kiedy wysiadła, a on rzekł: „do jutra”, ona zerwała szybko w ogródku przed domem ostatni złocien i dała mu go, nim odjechał: Swann trzymał go przy ustach w czasie powrotu, a kiedy po kilku dniach kwiat zwiędł, schował go troskliwie do biurka.

Ale nigdy nie wstępował do Odety. Dwa razy tylko, popołudniu, zaszedł wziąć udział w owej tak ważnej dla niej czynności „picia herbaty”. Okolica ta składała się prawie wyłącznie z małych sąsiadujących z sobą willi, których monotonię przerywała nagle jakaś

żałosna rudera, historyczne świadectwo i plugawy szczątek czasu, kiedy owa dzielnica zażywała jeszcze złej sławy. Osamotnienie i pustka tych krótkich ulic, śnieg pozostawiający w ogrodzie na drzewach, niechlujny negliż sezonu, sąsiedztwo natury, dawały coś bardziej tajemniczego ciepła, kwiatom, które Swann zastawał wchodząc.

Po lewej, na wysokim parterze była sypialnia Odety wychodząca od tyłu na uliczkę równoległą z frontem. Schody wiodły do salonu i buduaru, pośród ciemno malowanych ścian, na których wisiały wschodnie materie i łańcuchy tureckich różańców. Wielka japońska latarnia umocowana na jedwabnym sznurze była — aby nie pozbawić gości komfortu zachodniej cywilizacji — przerobiona na gazową. Salon poprzedzała szczupła sionka, której ściany, opatrzone złożoną drewnianą kratą, otaczała w całej ich długości prostokątna skrzynka; tam niby w cieplarni kwitły wielkie złocienie, rzadkie jeszcze w owej epoce, ale bardzo dalekie od tych, które później udało się ogrodnikom wyhodować. Panująca od poprzedniego roku moda na te kwiaty drażniła Swanna; ale tym razem z przyjemnością patrzył na półmrok pokoju prążkowany różowo, pomarańczowo i biało pachnącymi promieniami owych ulotnych gwiazd, które rozpalają się w szare dni.

Odeta przyjęła Swanna w różowym jedwabnym szlafroczku, z nagą szyją i ramionami. Posadziła go koło siebie w jednym z tajemniczych zakątków, we framugach salonu chronionych przez olbrzymie palmy w chińskich wazach lub przez parawany pstrzące się fotografiami, kokardkami i wachlarzami. Powiedziała:

— Niedobrze panu tak, niech pan zaczeka, ja to panu urządzę lepiej.

I z uśmiechem próżności, jakby to był jakiś jej specjalny wynalazek, ułożyła za głową Swanna i pod jego nogami jedwabne japońskie poduszki, które miała, jak gdyby rozrzutna ich bogactwem i niedbająca na ich wartość. Lokaj wniósł kolejno liczne lampy, które, prawie wszystkie ukryte w bożkach chińskich, porozstawiane na różnych sprzętach niby na ołtarzach, paliły się osobno lub parami. Odeta śledziła surowo spod oka, czy służący dobrze je stawia i czy w dobrym miejscu. Lampy te w zupełnym prawie już zmierzchu zimowego popołudnia odtwarzały jak gdyby zachód słońca — trwalszy, różowszy i bardziej ludzki — pobudzając może do marzeń jakiegoś zakochanego, śledzącego z ulicy tajemnicę obecności, którą odsłaniały i kryły zarazem rozświetlone szyby. Ale Odeta sądziła, że kiedy się postawi bodaj jedną lampę nie tam, gdzie trzeba, zepsuje się wrażenie całości, a własny jej portret, pomieszczony na skośnej, pluszem udrapowanej sztaludze, będzie źle oświetlony. Toteż gorączkowo śledziła ruchy niezręcznego lokaja i połajęła go żywo za to, że przeszedł tuż koło dwóch żardinier, które miała zwyczaj czyścić sama z obawy, aby ich nie uszkodzono. I teraz poszła je obejrzeć z bliska, aby się przekonać, czy im czego nie odbił. Uważała, że wszystkie te chińskie cacka mają „zabawny” kształt, a także storczyki, katleje zwłaszcza, które były obok złocieni jej ulubionym kwiatem i które miały tę wielką zaletę, że nie były podobne do kwiatów, ale że były niby z jedwabiu, z atlasu.

— Ta wygląda, jakby była wycięta z podszewki mojego płaszcza — rzekła do Swanna, pokazując mu orchideę z odcieniem szacunku dla tego tak „szykownego” kwiatu, dla wytwornej i nieprzewidzianej siostry, jaką dała jej natura, tak odległej od Odety na drabinie stworzeń, a mimo to wyrafinowanej, znacznie godniejszej od wielu kobiet, aby jej zrobiła miejsce w swoim salonie.

Pokazując Swannowi kolejno chimery o językach z płomienia zdobiące chiński wazon lub haftowane na ekranie, płatki bukietu storczyków, dromadera z emaliowanego srebra z oczyma inkrustowanymi rubinami, sąsiadującego na kominku z nefrytową ropuchą, Odeta udawała na przemian, że się boi złośliwości potworów lub że się śmieje z ich pociesznych kształtów; że się rumieni z nieskromności kwiatów i że odczuwa nieprzepartą chęć uściskania dromadera i ropuchy, które nazywała „pieszczochami”. I te mizdrzenia kontrastowały ze szczerością niektórych dewocji Odety, zwłaszcza do Matki Boskiej z Lagheth, która ją niegdyś, kiedy mieszkała w Nizzy, wyleczyła ze śmiertelnej choroby i której złoty medalik zawsze nosiła na sobie, przypisując mu bezgraniczną władzę.

Odeta przyrzuciła Swannowi „jego” herbatę, spytała: „Z cytryną czy ze śmietanką?”, a kiedy odpowiedział: „ze śmietanką”, dodała, śmiejąc się: „Cień obłoczka!”. I kiedy mu herbata smakowała, rzekła: „Widzi pan, że ja wiem, co pan lubi”.

Ta herbata wydała się w istocie Swannowi czymś równie szacownym jak samej Odecie; miłość zaś tak bardzo pragnie znaleźć dla siebie usprawiedliwienie, rękojmię trwałości, że szuka ich nawet w przyjemnościach, które przeciwnie, bez niej nie byłyby przyjemnością

i które kończą się z nią razem. I tak kiedy Swann pożegnał Odetę o siódmej, aby jechać przebrać się do domu, całą drogę powtarzał sobie w powozie, nie mogąc powstrzymać radości, jaką mu sprawiło to popołudnie:

— To byłoby bardzo miło mieć osobkę, u której można by znaleźć ową rzecz tak rzadką, dobrą herbatę.

W godzinę potem dostał słówko od Odety i poznał natychmiast strome pismo, w którym maniera angielskiej sztywności nakładała pozór dyscypliny niekształtnym literom; mniej uprzedzonym oczom zdradziłyby one może bezład myśli, niedostatek wykształcenia, brak szczerości i woli. Swann zapomniał u Odety etui do papierosów. „Czemu pan nie zostawił także swojego serca, nie oddałabym go panu”.

Druga wizyta Swanna miała może większe znaczenie. Udając się tego dnia do Odety, starał się ją sobie wyobrazić, jak to czynił za każdym razem, kiedy miał ją widzieć. Ale, aby się dopatrzeć w jej twarzy piękności, musiał ją sprowadzić do różowych i świeżych górnych partii policzków; poza tym twarz jej, tak często żółta i zmęczona, niekiedy poznaczona czerwonymi punkcikami, smuciła go jako dowód, że ideał jest nieosiągalny, a szczęście mierne. Przyniósł jej jakiś sztych, który pragnęła obejrzeć. Była trochę cierpiąca; przyjęła go w peniuarze *crêpe de Chine* lila, ściągając na piersiach na kształt płaszczka bogato haftowaną materię. Stała obok Swanna ze spływającymi po policzkach rozplecionymi włosami, z nogą lekko zgiętą w na wpół tanecznej pozie, aby się móc bez znużenia pochylić ku oglądanemu sztychowi. Z tak przegiętą głową, ze swymi wielkimi oczami, zmęczonymi i posepnymi, o ile się nie ożywiła, Odeta uderzyła Swanna podobieństwem z twarzą Zefory, córki Jethra, widniejącej na fresku Kaplicy Sykstyńskiej. Swann miał zawsze to szczególne upodobanie, że lubił w obrazach mistrzów odnajdywać nie tylko ogólne cechy otaczającej nas rzeczywistości, ale i to, co wydaje się najmniej podatne do uogólnienia — indywidualne rysy znanych twarzy. I tak w biuście doży Loredana Antonia Rizzo widział wystające kości policzkowe, skośne brwi, niemal twarz swego stangreta Remi; pod farbami jakiegoś Ghirlandajo — nos pana de Palancy; w portrecie Tintoretta linię zarostu na policzkach, załamanie nosa, bystre spojrzenie, obrzmiałe powieki doktora du Boulbon. Możliwe jest, iż doświadczając stale wyrzutu, że ograniczył swoje życie do stosunków światowych, do konwersacji, Swann szukał jakby rozgrzeszenia u tych wielkich artystów; i oni oglądali z przyjemnością i wciągnęli w obręb swojej sztuki takie twarze, dające ich dziełu świadectwo rzeczywistości i życia, wręcz współczesny smak. Możliwe też, iż do tego stopnia nasiąkł płytkością ludzi światowych, że lubił znajdować w dawnym dziele owe antycypowane i odmładzające aluzje do dzisiejszych nazwisk. Może, przeciwnie, zachował naturę artysty na tyle, aby te indywidualne cechy sprawiły mu przyjemność swoim znaczeniem ogólniejszym, z chwilą gdy je oglądał wyrwane z gruntu, oswobodzone, w podobieństwie między starym portretem a obcym mu oryginałem. Jak bądź się rzeczy miały, może dlatego, iż pełnia wrażeń, jaką Swann odczuwał od jakiegoś czasu — mimo że przysła mu raczej z miłością muzyki — wzbogaciła także jego zamiłowanie do malarstwa, przyjemność ta stała się głębsza i miała wyrzucić na Swanna trwały wpływ dzięki podobieństwu, jakie znajdował w tej chwili między Odetą a Zeforą Sandra di Mariano. (Niechętnie dajemy już temu malarzowi jego popularny przydomek *Botticelli*, od czasu jak to miano przychodzi na myśl, w miejsce prawdziwego dzieła malarza, jego banalną i fałszywą wulgaryzację). Swann nie szacował już twarzy Odety wedle lepszej lub gorszej jakości jej policzków i wedle czysto fizycznej przyjemności, jaką spodziewałby się w nich znaleźć, dotykając ich wargami, gdyby się kiedy ośmielił ją pocałować; twarz ta stała się dla niego spletem subtelnych i pięknych linii, które spojrzenia jego rozplątywały, śledząc ich krzywizny, biegnąc za kadencją karku aż do wykwitów włosów i zgięcia powiek, niby na portrecie, w którym jej typ stawał się zrozumiały i jasny.

Patrzył na nią; fragment fresku jawił się w jej twarzy i w jej ciele. Odtąd starał się go zawsze tam odszukać, czy będąc przy Odecie, czy tylko myśląc o niej. Mimo iż Swann przypominał sobie florenckie arcydzieło zapewne jedynie dlatego, że je odnajdywał w Odecie, podobieństwo to przydawało jej również piękności, czyniło ją cenniejszą. Swann wyrzucał sobie, że nie docenił istoty, która wydałaby się uroczą wielkiemu Sandro; rad był, że przyjemność, jaką czerpie w widoku Odety, znajduje usprawiedliwienie w jego własnej kulturze estetycznej. Powiedział sobie, iż kojarząc myśl o Odecie z marzeniami o szczęściu, nie zniżył — jak dotąd przypuszczał — swoich aspiracji do jakiegoś „od bie-

dy”, skoro właśnie ona zadowalała w nim najwyrafinowańsze kryteria sztuki. Zapominał, że Odeta nie staje się przez to kobietą wedle jego pragnień, skoro właśnie pragnienia Swanna zwracały się zawsze w kierunku przeciwnym do jego estetycznych upodobań.

Termin: „dzieło florenckie” oddał wielką przysługę Swannowi. Pozwolił mu niby legitymacja wprowadzić obraz Odety w świat marzeń, do którego dotychczas nie miała dostępu i gdzie oblekła się nowym szlachectwem. I gdy czysto fizyczny obraz tej kobiety, wciąż odnawiając jego wątpliwości co do walorów jej twarzy, ciała, całej jej urody, osłabiał miłość Swanna, wątpliwości te znikły, miłość umocniła się, zyskawszy podstawę w danych niewzruszonej estetyki. Nie licząc, iż pocałunek i posiadanie — naturalne i pospolite, o ile były darem zniszczonego ciała — wydały się Swannowi nadprzyrodzone i rozkoszne, gdy miały uwieńczyć podziw dla muzealnego dzieła.

I kiedy był skłonny żałować, że od miesięcy nie robił nic poza widywaniem Odety, powiedział sobie, że godzi się poświęcać dużo czasu bezcennemu arcydziełu, odlanemu tym razem w odmiennym i osobiście smakowitym materiale, w najrzadszym egzemplarzu, który Swann oglądał to z pokorą, uduchowieniem i bezinteresownością artysty, to znów z dumą, egoizmem i zmysłowością zbieracza.

Ustawił na biurku jako fotografię Odety reprodukcję córki Jethra. Podziwiał wielkie oczy, delikatną twarz, dającą się domyślać nieszczegółnej skóry; cudowne pukle włosów spadające wzdłuż zmęczonych policzków. Stosując do żywej kobiety to, czym dotąd zachwycał się w kategoriach estetyki, przeobrażał owo piękno w zalety fizyczne, rad, iż znajduje je w istocie dostępnej posiadaniu. Owa nieokreślona sympatia kierująca nas ku arcydziełu, na które patrzymy, teraz, kiedy Swann znalazł fizyczny oryginał córki Jethra, zmieniała się w pragnienie, zastępując to, którego ciało Odety nie obudziło w nim zrazu. Napatrzwszy się długo temu Botticellemu, myślał o własnym Botticellim, który zdawał mu się jeszcze piękniejszy; zbliżając do siebie fotografię Zefory, miał uczucie, że tuli do serca Odetę.

Mimo to Swann starał się uprzedzić nie tylko przesył Odety, ale czasem i własny. Czując iż, posiadając wszelką swobodę widywania go, Odeta niewiele ma mu do powiedzenia, obawiał się, że dość banalne, jednostajne i jakby skodyfikowane wzięcie właściwe Odecie, wówczas gdy byli razem, zabija w nim w końcu ową romantyczną nadzieję dnia, gdy ona zechce wyznać mu swoją miłość — nadzieję, która wyłącznie obudziła i podtrzymywała jego uczucie. Bał się, że się nią znuży; i chcąc trochę odnowić nazbyt zakrzepłą duchową fizjonomię Odety, pisał do niej nagle list pełen rzekomych zawodów i udanych gniewów. Kazał doręczyć jej ten list przed obiadem. Wiedział, że ją to przestraszy, że mu odpowie; miał nadzieję, że w skurczu spowodowanym obawą stracenia go, wytrysną słowa, jakich mu jeszcze nigdy nie powiedziała. I w istocie, w ten sposób uzyskał Swann od Odety najtkliwsze listy, jakie doń kiedykolwiek napisała. Jeden, który mu kazała zanieść w południe z *Maison Dorée* (był to dzień festynu na powodzian w Murcja), zaczynał się od tych słów: „Przyjacielu, ręka mi tak drży, że ledwo mogę pisać”; — Swann zachował go w tej samej szufladzie, co zeschły kwiat złocienia. Lub też spodziewał się, że o ile nie będzie miała czasu napisać, wówczas, skoro Swann przyjdzie do Verdurinów, Odeta pojdzie doń żywo i powie: „Muszę z panem pomówić”, i on będzie czytał z ciekawością na jej twarzy i w jej słowach wszystko to, co jest w jej sercu, a co mu dotychczas skrywała.

Już zbliżając się do Verdurinów, kiedy widział wielkie okna oświetlone lampami (okien nic nigdy nie zamykano), Swann rozczulał się, myśląc o uroczej istocie, którą ujrzy rozkwitła w ich złotym świetle. Czasem cienie gości odcinały się, wąskie i czarne, jak na ekranie przed lampami, niby małe figurki rozrzucone na przeźroczystym abażurze. Siłił się rozpoznać sylwetę Odety. Potem, kiedy już tam był, oczy jego — z czego sobie nie zdawał sprawy — błyszczały taką radością, że pan Verdurin powiedział do malarza: „Coś mi się widzi ciepło”. Obecność Odety przydawała w istocie w oczach Swanna temu domowi to, czego nie posiadał żaden inny z tych, w których bywał: rodzaj narządu czuciowego, sieci nerwowej, która się rozgałęziała we wszystkich pokojach i dawała jego sercu nieustanną podniecie.

W ten sposób proste funkcjonowanie tego społecznego organizmu, jakim była „paczka”, zapewniało automatycznie Swannowi codzienne spotkania z Odetą i pozwalało mu udawać obojętność na widywanie jej lub nawet chęć niewidzenia jej już, co nie groziło

mu zbyt dużym ryzykiem, skoro, co bądź napisał do niej w ciągu dnia, miał ją nieodzwrotnie ujrzeć wieczorem i odwieźć ją do domu.

Pewnego razu pomyślawszy ze zdumieniem o tym nieuchronnym wspólnym powrocie, Swann powiódł aż do Lasku swoją gryzetskę, aby opóźnić chwilę przybycia do Verdurinów. Zjawił się tam tak późno, iż Odeta, sądząc, że już nie przyjdzie, wyszła. Widząc, że jej już nie ma w salonie, Swann uczył ból w sercu; drżał, że będzie pozbawiony przyjemności, którą zmierzył pierwszy raz, mając dotąd tę pewność, iż zobaczy Odetę, kiedy zechce, co we wszystkich naszych przyjemnościach zmniejsza ich rozmiary lub wręcz nie pozwala ich dostrzec.

— Czy widziałas, jak mu oko zbiegło, kiedy spostrzegł, że jej nie ma? — rzekł Verdurin do żony. — Można powiedzieć, że nasz Swann wdepnął.

— Oko zbiegło? — zapytał gwałtownie doktor Cottard, który, zaszedłszy na chwilę do chorego, wrócił po żonę i nie wiedział, o kim mowa.

— Jak to, nie spotkał pan przed bramą najpiękniejszego ze Swannów?

— Nie. Swann był tutaj?

— Och, tylko chwilę. Mieliśmy zaszczyt oglądać Swanna bardzo podnieconego, bardzo nerwowego. Rozumie pan, Odeta wyszła.

— Chce pan powiedzieć, że oni zaszli z sobą za daleko, że jej negliz nie ma dla niego sekretów — rzekł doktor, doświadczając ostrożnie sensu tych wyrażań.

— Ale nie, nie ma między nimi absolutnie nic. Mówiąc między nami, uważam, że Odeta źle robi i że postępuje jak skończona gęś, którą jest zresztą.

— Ta ta ta! — rzekł pan Verdurin — co ty wiesz, czy nie ma nic, nie byliśmy materacem, prawda?

— Mnie byłaby powiedziała — rzekła dumnie pani Verdurin. — Mówię wam, ona mi opowiada wszystkie swoje drobne sekrety! Ponieważ nie ma w tej chwili nikogo, mówiłam jej, że powinna by iść ze Swannem na całego. Ona twierdzi, że nie może; że ma dla niego feblik, ale że on jest z nią nieśmiały, co znowuż ją onieśmiela. I że ona go nie kocha w ten sposób, że to jest istota idealna, że boi się odrzucić z uroku swoje uczucie dla niego, czy ja wiem co wreszcie! A to byłoby przecie jak stworzone dla niej.

— Pozwolisz mi nie być twojego zdania — rzekł pan Verdurin. — Nie jestem zbyt entuzjastą tego pana, wygląda mi na pozera.

Pani Verdurin znieruchomiała; przybrała wyraz martwy, jakby zmieniona w posąg. Fikcja ta pozwoliła jej nie usłyszeć nieznosnego słowa „pozer”, które zdawało się mówić, że ktoś może wobec nich „pozować”, że jest tym samym „czymś więcej od nich”.

— Wreszcie, jeżeli nic między nimi nie ma, to chyba nie stąd, żeby ten pan uważał ją za cnotę — rzekł ironicznie pan Verdurin. — Chociaż, ostatecznie, nie można nic wiedzieć, skoro on najwyraźniej ma Odetę za osobę inteligentną. Nie wiem, czyś ty słyszała, co on jej któregoś wieczora opowiadał na temat sonaty Vinteuila. Lubię z całego serca Odetę, ale żeby się z nią zapuszczać w teorii estetyczne, trzeba być bajecznym dudkiem!

— Proszę, nie mówcie nic złego o Odecie — rzekła pani Verdurin, pieszcząc się jak dziecko. — Ona jest urocza.

— Ależ to jej nie przeszkadza być uroczą; nie mówimy o niej nic złego, mówimy tylko, że nie może pretendować do cnoty ani do inteligencji. W gruncie — rzekł pan Verdurin do malarza — czy panu tak bardzo zależy na tym, aby Odeta była cnotliwa? Kto wie, byłaby może o wiele mniej urocza?

Na schodach dogonił Swanna kamerdyner, którego nie było w chwili, gdy Swann przybył. Odeta kazała mu powiedzieć — ale to było już przed godziną — w razie gdyby przyszedł jeszcze, że nim wróci do domu, znajdzie prawdopodobnie na filizankę czekolady do Prévosta. Swann pojechał do Prévosta, ale co krok powóz jego zatrzymywały inne wehikuly albo piesi przechodnie, obmierzłe zapory, które byłby z rozkoszą powywracał, gdyby protokół z policjantem nie groził jeszcze większym opóźnieniem. Liczył czas, który upływał; dodawał do każdej minuty parę sekund, aby dać większą realność szansom zdążenia na czas i zastania jeszcze Odety. Był jak człowiek w gorączce, który zbudziwszy się ze snu, uświadamia sobie niedorzeczność własnych majaków, nie odróżniając się od nich wyraźnie; uprzytomnił sobie dziwność myśli, które toczył w głowie od chwili, gdy mu powiedziano u państwa Verdurin, że Odeta już wyszła; nowość tego bólu w sercu, od którego cierpiał, ale który stwierdził dopiero teraz, jak człowiek świeżo zbudzony. Jak to?

Cały ten gwałt o to, że ujrzy Odetę aż jutro — czego właśnie pragnął jeszcze przed godziną, udając się do pani Verdurin. Swann musiał stwierdzić, że w tym samym powozie, który go niósł do Prévosta, nie był już tym samym człowiekiem, i że nie był już sam, że była z nim nowa istota, przylepiona niego, wtopiona w niego, istota, której nie zdołałby się może pozbyć, z którą będzie musiał się liczyć niby ze swoim panem albo z chorobą. A mimo to od chwili, w której uczuł, że nowa osoba pomnożyła niejako jego osobowość, własne życie zdawało mu się bardziej zajmujące. Oczekiwanie tak bardzo burzyło i pustoszyło chwile poprzedzające możliwość spotkania Odety, że Swann nie znajdował już ani jednej myśli, ani jednego wspomnienia, poza którym mózg jego mógłby odpocząć. Zaledwie że powiadał sobie, że owo możebne spotkanie u Prévosta, w razie gdyby się urzeczywistniło, byłoby prawdopodobnie jak inne czymś bardzo nikłym. Jak co wieczór, znalazłszy się z Odetą, rzucaliby na jej ruchliwą twarz ukradkowe spojrzenia odwracane natychmiast z obawy, aby w nich nie dojrzała przychylna pragnień i nie przestała wierzyć w jego bezinteresowność. Zaledwie mógłby o niej myśleć, zbyt zajęty szukaniem pozorów, które by mu pozwoliły nie pożegnać jej zaraz i upewnić się, niby to od niechcenia, że ją ujrzy nazajutrz u Verdurinów; to znaczy przedłużyć na tę chwilę i odnowić jeszcze jeden raz zawód i mękę, jakie mu sprawiała czczą obecność tej kobiety, do której zbliżał się, nie śmiejąc jej objąć.

Nie było Odety u Prévosta; Swann uparł się szukać jej we wszystkich restauracjach na bulwarach. Aby zyskać na czasie, sam przepatrując jedne, posłał do drugich stangreta Remi (dożę Loredana Rizza), na którego czekał później — sam nie znalazłszy nic — we wskazanym miejscu. Powóz nie wracał; Swann wyobrażał sobie nadchodzącą chwilę to jako moment, w którym Remi powie: „Ta pani jest”, to znów jako ów, w którym powie: „Tej pani nie ma nigdzie”. W ten sposób widział przed sobą koniec wieczoru, jeden, a przecież odmienny, poprzedzony bądź to spotkaniem z Odetą, które by uśmierzyło jego mękę, bądź przymusowym wyrzeczeniem się spotkania na ten wieczór, rezygnacją na powrót do domu bez jej widoku.

Stangret wrócił, ale w chwili, gdy się zatrzymał przed Swannem, ów nie powiedział: „Czy znalazłeś tę panią?”, ale: „Przypomnij mi jutro, żebym zamówił drzewo; zdaje się, że zapas się kończy”. Może powiadał sobie, że jeżeli Remi zastał Odetę czekającą nań w kawiarni, koniec żalosego wieczoru wsiąknął w realizację wieczoru szczęśliwego i że nie ma co się spieszyć po to, aby dosięgnąć szczęście pochwycone i bezpieczne, które mu się nie wymknie. Ale była w tym i siła bezwładu: Swann cierpiał na ów brak duchowej elastyczności, tak jak niektórym brak jest elastyczności fizycznej; tacy ludzie, w chwili gdy im trzeba uniknąć zderzenia, uchylić się od płomienia, wykonać konieczny ruch, odczekują, trwają sekundę w poprzednim położeniu, jak gdyby chcąc w nim znaleźć punkt oparcia, rozmach. I z pewnością, gdyby stangret przerwał swemu panu, mówiąc: „Ta pani tam jest”, Swann byłby odpowiedział: „A, prawda, mówisz o tym zleceniu, które ci dałem, doprawdy, nie byłbym myślał” i dalej mówiłby o zapasie drzewa, aby ukryć wzruszenie i zostawić sobie czas na poniechanie niepokoju i oddanie się szczęściu.

Stangret wrócił, aby powiedzieć, że nie znalazł Odety nigdzie, i dodał od siebie, tonem starego sługi:

— Myślę, że jaśnie pan może wracać.

Ale obojętność, którą Swann odgrywał z łatwością, kiedy Remi nie mógł nic zmienić w swojej odpowiedzi, znikła, kiedy ujrzal, że służący chce go skłonić do wyrzeczenia się nadziei i poszukiwań:

— Ależ nie, bynajmniej — wykrzyknął — musimy znaleźć tę panią, to rzecz niezmiernie wagi. To byłaby dla niej wielka przykreść; ma do mnie pilny interes i bardzo by się czuła urażona, gdyby mnie nie spotkała.

— Nie rozumiem, o co miałaby być urażona — odparł Remi — przecież to ona poszła sobie, nie czekając na jaśnie pana i powiedziała, że jedzie do Prévosta, i nie było jej tam.

Zresztą zaczynano wszędzie gasić. Pod drzewami na bulwarach, w tajemniczym mroku majaczyli coraz rzadsi przechodnie. Czasami cień kobiety, która zbliżała się doń, szepcząc mu coś do ucha, prosząc, aby ją zabrał z sobą, przyprowadził Swanna o drżenie. Mijał trwożliwie wszystkie te mroczne postacie, jak gdyby pośród cieniów zmarłych, w posępnym królestwie szukał Eurydyki.

Ze wszystkich sposobów powstawania miłości, ze wszystkich czynników udzielania się tej wielkiej choroby jednym z najskuteczniejszych jest z pewnością ów silny podmuch niepokoju, który czasem powieje na nas. Wówczas los jest rzucony: pokochamy istotę, z którą czujemy się dobrze w tej chwili. Nie potrzeba nawet, aby się nam dotąd podobała bardziej od innych lub nawet tyle co inne. Trzeba było tylko, aby nasz pociąg do niej stał się wyłączny. A ten warunek spełnia się, kiedy — w chwili gdy nam tej istoty zabrakło — w miejsce poszukiwania przyjemności, którą nam dawał jej urok, zjawiała się w nas nagle trwoźna potrzeba mająca za przedmiot samą tę istotę; potrzeba niedorzeczna, którą prawa tego świata czynią niemożliwą do zaspokojenia, a trudną do uleczenia — szalona i bolesna potrzeba posiadania.

Swann kazał się zawieźć do ostatnich otwartych jeszcze restauracji; to była jedyna hipoteza szczęścia, którą zważał spokojnie. Nie ukrywał już swego wzruszenia ani wagi, którą przykładał do tego spotkania. Przyrzekł w razie sukcesu nagrodę stangretowi, jak gdyby, solidaryzując go z własnym swoim pragnieniem, mógł tym sprawić, aby Odeta, nawet gdyby już poszła do domu, znalazła się mimo to w restauracji przy bulwarach. Dotarł aż do *Maison Dorée*, wszedł dwa razy do Tortoniego. Nie znalazłszy jej nigdzie, wychodził z *Café Anglais*, idąc wielkim krokiem, z błędnymi oczami, do powozu, który czekał na rogu bulwaru des Italiens, kiedy zderzył się z osobą spieszącą w przeciwnym kierunku: była to Odeta. (Wytłumaczyła mu później, że nie znalazłszy miejsca u Prévosta, poszła coś zjeść do *Maison Dorée*; siedziała we framudze, gdzie Swann jej nie dostrzegł, a teraz wracała do swego wehikulu.)

Tak dalece nie spodziewała się go ujrzeć, że się wzdrygnęła. Co się tyczy Swanna, uganiał po Paryżu nie dlatego, aby uważał za możliwe spotkać Odetę, ale że mu było zbyt ciężko wyrzec się tego. Ale owa radość, którą rozsądek jego przestał uważać na ten wieczór za dostępną, wydała się obecnie tym rzeczywistszą; nie przygotował jej przez rachunek prawdopodobieństwa, przyszła spoza niego; nie potrzebował jej czerpać ze swego mózgu, tryskała sama z siebie, sama niosła mu tę prawdę, promieniującą tak, iż rozpraszała na kształt snu samotność, której się obawiał; prawdę, na której opierał bezwiednie swoje błogie marzenie. Tak podróżny, przybywszy w piękny czas nad Morze Śródziemne, niepewny istnienia krajów, które dopiero co opuścił, poddaje swój olśniony wzrok — zaledwie patrząc na nie — promieniom, które śle ku niemu błyszczący i gęsty lazur wody.

Wsiadł z Odetą do jej powozu, powiedziawszy swemu woźnicy, aby jechał za nim.

Odeta trzymała w ręce bukiet katlei; Swann ujrzał, że pod koronkową chusteczką ma we włosach także storczyki, przypięte do egretki z piór łabędzich. Pod mantylką spowijał ją strumień czarnego aksamitu, który, skrzyżowany w ukos, odsłaniał w szerokim trójkącie dół białej atlasowej sukni i ukazywał wstawkę z białego atlasu w rozchyleniu wyciętego stanika, gdzie także tkwiły katleje. Ledwie Odeta ochłonęła z przestachu, o jaki Swann ją przyprowadził, kiedy jakaś przeszkoda spłoszyła konia. Powóz rzucił nimi gwałtownie. Odeta wydała krzyk i dygotała chwilę bez oddechu.

— To nic — rzekł Swann — niech się pani nie boi.

I trzymał ją za ramię, przyciskał ją do siebie, podtrzymywał ją, po czym rzekł:

— Niech pani nic nie mówi, niech mi pani odpowiada tylko gestem, żeby się bardziej nie zdyszcęć. Czy pani pozwoli, żebym poprawił kwiaty przy staniku; przekrzywiły się od wstrząsu. Boję się, żeby ich pani nie zgubiła, chciałbym je wsunąć trochę głębiej.

Ona, nienawykła, aby mężczyźni robili z nią tyle ceremonii, rzekła z uśmiechem:

— Ależ tak, proszę bardzo.

Ale Swann, onieśmielony odpowiedzią, chcąc może, aby wyglądało, że szczerze uciekł się do tego pozoru, lub nawet zaczynając już wierzyć, że był szczerzy, wykrzyknął:

— Och, nie, nie, niech pani nie mówi, zadyszy się pani, może mi pani przecie odpowiedzieć gestem, ja zrozumiem. Naprawdę nie zrobię pani przykrości? Widzi pani, troszeczkę... zdaje mi się, że to pyłki z kwiatów osypały się na panią; pozwoli pani, żebym je otarł ręką? Czy nie za silnie, czy nie jestem za brutalny? Łaskoczę może trochę? To dlatego, że nie chciałbym dotknąć sukni, aby jej nie zmiąć. Ale, widzi pani, doprawdy trzeba było je poprawić, byłyby wypadły; a w ten sposób, skoro wsunę je trochę głębiej... Doprawdy, nie robi to pani przykrości? A jeśli je powącham — aby się przekonać, czy

naprawdę nie pachną — też nie? Nigdy ich nie wahałem, czy można? Niech pani powie szczerze?

Uśmiechnęła się, wzruszyła lekko ramionami, jak gdyby mówiąc: „Cóż za szaleństwo, widzi pan przecie, że mi to robi przyjemność”.

Podniósł drugą rękę ku policzkowi Odety; popatrzała nań bystro, tęsknym i poważnym wzrokiem, jaki mają kobiety florenckiego mistrza, do których mu się wydała podobna. Oczy jej, zbiegłe na kraj powiek, błyszczące, długie i wąskie jak oczy tamtych kobiet, zdawały się gotowe wypłynąć jak dwie łzy. Gięła szyję, jak robią wszystkie tamte, w pogańskich scenach czy w obrazach religijnych. I w pozie, do której zapewne nawykła, uważając ją za właściwą w podobnych wypadkach i nie zapominając jej przybrać, Odeta, zdawałoby się, skupiła wszystkie siły, aby powstrzymać swoją twarz, jak gdyby niewidzialna moc ciągnęła ją do Swanna. Ale nim ją skłoniła, jakby wbrew woli, na jego wargi, Swann przytrzymał na chwilę tę twarz w pewnej odległości, więząc ją w obu rękach. Chciał zostawić swojej myśli czas, aby nadbiegła, aby poznała marzenie pieszczone tak długo, aby była świadkiem jego ziszczenia, niby krewna, którą się wzywa, aby wzięła udział w powodzeniu ukochanego dziecka. Tę twarz Odety, jeszcze nieposiadanej ani nawet jeszcze niecałowanej przez niego, Swann widział ostatni raz; i może wlepił w nią owo spojrzenie, którym w dniu odjazdu chciałoby się unieść krajobraz, nim się go opuści na zawsze.

Posiadł ją wreszcie tego wieczora, zaczętego od poprawiania katlei. Ale był z nią tak nieśmiały, że, czy to przez obawę zmrożenia Odety, czy z lęku, że się retrospektywnie wyda jego wybieg, czy przez brak odwagi, aby sformułować jakieś większe żądanie (większe od tego, które miał prawo powtórzyć, skoro nie pogniewało Odety za pierwszym razem), w następane dni Swann uciekł się do tego samego pretekstu. Jeżeli Odeta miała katleje u stanika, mówił: „To fatalne, dziś nie potrzeba poprawić katlei, nie przekrzywiły się jak wówczas. Ale zdaje mi się, że ta jedna nie siedzi bardzo prosto. Wolno spróbować, czy tak samo nie pachną jak tamte?”. Lub kiedy ich nie miała: „Och! nie ma katlei dziś wieczór, nie ma dla mnie żadnego ratunku”. Tak że przez jakiś czas nic nie zmieniało się w porządku, jakiego Swann trzymał się pierwszego wieczora, rozpoczynając od dotykania palcami i ustami piersi Odety — i od tego też zaczynały się za każdym razem jego pieszczoty. I o wiele później, kiedy poprawianie (lub rytualna komedia poprawiania) katlei od dawna wyszła z użycia, przenośnia „poprawiać katleje”, przeżyła w ich języku ów zapomniany obyczaj, stając się jego pamiątką. Zmieniła się w potoczny termin używany bez myśli na oznaczenie aktu fizycznego posiadania — w którym zresztą nie posiada się nic. I może ten swoisty sposób określania aktu miłości miał inny odcień niż jego synonimy. Daremnie się blazujemy w miłości, daremnie uważamy posiadanie kobiet, choćby najróżniejszych, za coś zawsze jednakiego i znanego z góry; posiadanie to staje się nową rozkoszą, kiedy chodzi o kobiety na tyle — bodaj w naszym przekonaniu — trudne, abyśmy musieli dobywać to posiadanie z jakiegoś nieprzewidzianego epizodu, jakim było za pierwszym razem dla Swanna poprawianie katlei. Spodziewał się ze drżeniem owego wieczora (ale Odeta — powiadał sobie — jeśli się dała oszukać jego podstępowi, nie mogła tego zgadnąć), że posiadanie tej kobiety wyłoni się z szerokich płatków lila; a rozkosz, którą już odczuwał, a którą Odeta tolerowała może (myślał Swann) jedynie dlatego, że jej nie odgadła, zdawała mu się — jak musiała się zdawać pierwszemu człowiekowi, który jej kosztował wśród kwiatów raj — rozkoszą dotąd nieznaną, stworzoną przez niego, całkowicie osobną i nową, jak tego ślad zachowała specjalna, przez niego dana jej nazwa.

Teraz co wieczór, odwiózłszy Odetę do domu, musiał do niej wstępować. Często wychodziła w szlafroczku, odprowadzała Swanna do powozu i całowała go na oczach stan-greta, mówiąc:

— Co mnie to może obchodzić, co mnie obchodzą inni?

Kiedy któregoś wieczora Swann nie szedł do Verdurinów (co zdarzało się niekiedy, od czasu, jak mógł Odetę widywać inaczej), kiedy — coraz rzadziej — był gdzieś w „wielkim świecie”, prosiła, aby zaszedł do niej, nim wróci do domu; wszystko jedno, o której godzinie. Była to wiosna, wiosna czysta i mroźna. Wychodząc z zabawy, Swann wsiadał do swojej wiktorii, okrywał nogi pledem; przyjacielom, którzy wychodzili równocześnie i proponowali, aby wracał z nimi, odpowiadał, że nie może, że jedzie w inną stronę. Stangret ruszał ostro, wiedząc, dokąd jedzie. Przyjaciele dziwili się i w istocie Swann nie

był ten co dawniej. Nie dostawano już od niego listów błagających o przedstawienie go jakiejś kobiecie. Nie zwracał już uwagi na żadną; unikał miejsc, gdzie się spotyka kobiety. W restauracji, na wsi, zachowanie się Swanna było wręcz przeciwne temu, po którym poznałoby się go jeszcze wczoraj i które, zdawało się, na zawsze miało być z nim zrośnięte. Tak dalece namiętność jest w nas niby przejściowy i odmienny charakter, który zajmuje miejsce dawnego i usuwa nawet najtrwalsze jego dotychczasowe oznaki!

W zamian niezmienną cechą Swanna było obecnie to, że, gdziekolwiek się znalazł, nie omieszkiał spieszyć do Odety. Przestrzeń dzielącą go od niej przebywał nieuchronnie, jakby to była nieodparta i chyża linia jego życia. Prawdę mówiąc, często zasiedziawszy się gdzieś dłużej, byłby wołał wrócić prosto do domu, oszczędzając sobie tego dalekiego kursu, i zobaczyć Odetę aż nazajutrz; ale wyrwać się o tak niezwyklej godzinie po to, aby jechać do niej; domyślać się, że przyjaciele, rozstawszy się z nim, mówią: „Ktoś go krótko trzyma, ma z pewnością kobietę, która zmusza go, aby zachodził do niej o każdej porze” — wszystko to miało dla Swanna nieprzeparty urok znany ludziom mającym w swojej egzystencji miłość, czyniącym ofiarę ze swego spokoju i ze swoich interesów na rzecz rozkosznego marzenia. Następnie — z czego Swann nie zdawał sobie sprawy — pewność, że Odeta czeka, że nie jest gdzie indziej ani z innymi, że ją ujrzy przed powrotem do domu, neutralizowała ten ucisk serca, zapomniany, ale zawsze gotowy się odrodzić, jakiego doznał w ów wieczór, kiedy nie zastał Odety u Verdurinów; doraźne zaś ukojenie tego lęku było tak słodkie, że mogło się nazywać szczęściem.

Może temu lękowi zawdzięczał Swann ważność, jakiej nabrała dlań Odeta. Istoty ludzkie są nam zazwyczaj tak obojętne, że, kiedyśmy włożyli w jedną z nich wszystkie możliwości naszego cierpienia i naszej radości, wówczas istota ta należy dla nas niejako do innego świata; nasycy się poezją, robi z naszego życia niby płaszczyznę wzruszeń, na której jest od nas bliżej lub dalej. Swann nie mógł spytać sam siebie bez trwogi, czym stanie się dlań Odeta w latach, które miały nadejść. Czasami, w owe piękne, zimne noce, widząc błyszczący księżyc lejący jasność na puste ulice, myślał o owej innej twarzy, jasnej i lekko różanej jak twarz księżycy; o twarzy, co pewnego dnia zjawiła się przed jego myślą i od tego czasu słała dlań na świat tajemnicze światło.

Jeżeli Swann przyszedł po godzinie, o której Odeta wyprawiała służbę spać, wówczas, nim zadzwonił do furtki, szedł najpierw na ulicę, gdzie na parterze, między całkiem podobnymi, ale ciemnymi oknami sąsiednich willi, błyszczało jedynie okno jej sypialni. Pukał w szybę, a ona natychmiast odpowiadała i szła naprzeciw niego do bramy. Zastawał otwarte na fortepianie niektóre jej ulubione utwory: *Walc róż* albo *Biedny szaleniec* Tagliafico (które wedle pisemnej woli Odety miano wykonać na jej pogrzebie); prosił ją, aby mu zamiast tego zagrała frazę z sonaty Vinteuila, mimo że Odeta grała bardzo lichy; ale najpiękniejszą wizją, jaka nam zostaje z utworu, jest często ta, która się wzniosła ponad fałszywe dźwięki wydobyte niezręcznymi palcami z rozstrojonego pianina. Małeńka fraza wciąż kojarzyła się dla Swanna z jego miłością dla Odety. Czuł, że ta miłość to jest coś, co nie odpowiada niczemu zewnętrznemu, dającemu się sprawdzić przez kogoś innego; zdawał sobie sprawę, że przymioty Odety nie usprawiedliwiają wartości, jaką przywiązywał do chwil spędzonych przy niej. I często, kiedy władała Swannem jedynie pozytywna inteligencja, byłby chciał przestać poświęcać tyle intelektualnych i towarzyskich walorów dla tej urojonej przyjemności. Ale małeńka fraza, z chwilą gdy ją usłyszał, umiała w nim oczyścić potrzebną dla siebie przestrzeń; proporcje duszy Swanna zmieniały się; tworzył się w niej niby rezerwat rozkoszy, która również nie odpowiadała żadnemu zewnętrznemu przedmiotowi, a która mimo to, zamiast być czymś czysto indywidualnym jak rozkosz miłości, narzucała się Swannowi jako rzeczywistość wyższa od rzeczy konkretnych.

Owa fraza budziła w nim pragnienie nieznanego uroku, ale nie przynosiła nic określonego, aby zaspokoić to pragnienie. Tak że te części duszy Swanna, w których fraza sonaty zatarła troskę o interesy materialne, o względy świata mające kurs powszechny, zostały puste, *in blanco*: mógł tam wpisać imię Odety. Fraza sonaty stapiała swoją tajemniczą esencję z tym, co w miłości Odety mogło być liche i niedostateczne. Widząc twarz Swanna, kiedy słuchał tej frazy, można by rzec, że chłonie on środek znieczulający, dający większą rozpiętość jego oddechowi. I rozkosz, jaką mu dawała muzyka — rozkosz przerodzona niebawem w prawdziwą potrzebę — podobna była istotnie w owych chwilach do przyjemności, jaką znalazłby, doświadczając zapachów, wchodząc w stycz-

ność ze światem, dla którego nie jesteśmy stworzeni, który się nam wydaje bez kształtu, bo oczy nasze nie spostrzegają go, bez znaczenia, bo umyka się naszemu pojmowaniu — ze światem, którego dosiegamy tylko jednym zmysłem. Mimo iż oczy Swanna subtelnie smakowały malarstwo, a umysł jego niemniej subtelnie obserwował obyczaje, i oczy jego i umysł nosiły niezatarty ślad oschłości jego życia. Otóż wielki spokój, tajemnicza odnowa przychodziły mu obecnie stąd, że się czuł przeobrażony w istotę obcą ludzkości, ślepą, pozbawioną logiki, niemal w jakieś bajkowe fantastyczne zwierzę, stworzenie pojmujące świat jedynie słuchem. I kiedy w małej frazie szukał sensu, do którego jego inteligencja nie mogła się wdrzeć, jakież szczególne upojenie znajdował w tym, aby swoją najwewnętrzniejszą duszę odrzucić ze wszystkich elementów rozumowania i wprowadzić ją samą w korytarz, w mroczny filtr dźwięku.

Zaczynał sobie zdawać sprawę ze wszystkiego, co było bolesne, może nawet tajemnie nieukozone w słodyczy tej frazy; ale nie sprawiało mu to bólu. I cóż, że mu ona mówiła, iż miłość jest kruchą; jego miłość była tak silna! Igrał ze smutkiem, jaki rozlewała ta melodia; czuł, jak przepływa nad nim, ale niby pieszczota czyniąca poczucie własnego szczęścia tym głębszym i słodszy. Kazał ją sobie Odecie grać dziesięć razy, dwadzieścia razy, żądając, aby go równocześnie nie przestawała całować. Każdy pocałunek przyzywa nowy pocałunek. Och, w owych pierwszych czasach, kiedy się kocha, pocałunki rodzą się tak łatwo! Tłoczą się jedne za drugimi; zliczyć pocałunki wymienione w ciągu godziny, to tak jak zliczyć kwiaty na łące w maju. Wówczas Odeta niby to przestawała grać, mówiąc:

— Jakże ty chcesz, żebym grała, kiedy mnie trzymasz; nie mogę robić wszystkiego naraz; wiedz przynajmniej, czego chcesz, czy mam grać, czy pieścić się z tobą.

A on się gniewał, a ona parskała śmiechem, który przeobrażony opadał na niego deszczem pocałunków.

Albo też patrzyła na niego chmurnym wzrokiem, wówczas Swann oglądał twarz godną znaleźć się w *Życiu Mojżesza* Botticellego; przenosił ją tam, dawał szyi Odety właściwe nachylenie i kiedy ją tak całkiem namalował temperą, w XV wieku, na ścianach Sykstyny, myślał, że ona mimo to jest tu, przy fortepianie, teraz, że ją można całować i mieć, idea jej materialności i jej życia upajała go z taką siłą, że z błędnym wzrokiem, z żarłocznymi napiętymi szczękami rzucał się na tę dziewicę Botticellego i zaczynał ją szczypać w policzki.

Skoro się z nią wreszcie rozstał, wracał, aby ją jeszcze uściskać, bo zapomniał zabrać w swoim wspomnieniu jakiejś właściwości jej zapachu lub rysów; i odjeżdżał, kołysząc się w swojej wiktorii, błogosławiąc Odetę, że mu pozwala na te codzienne wizyty. Czuł, że Odecie wizyty te nie muszą dawać zbytnej rozkoszy, ale ubezpieczając go od zazdrości — od cierpienia poznanego w ów wieczór, kiedy Swann nie zastał Odety u Verdurinów — pomogą mu dojść bez nowych ataków, z których pierwszy — oby jedyny! — był tak bolesny, do końca tych osobliwych godzin jego życia, godzin niemal zaczarowanych, podobnych tym, w których przebywał Paryż w blasku miesiąca. I zauważywszy w czasie powrotu, iż księżyc zmienił w stosunku do niego pozycję i przesunął się prawie na skraj widnokągu, czując, że jego miłość również jest posłuszna niezmiennym i przyrodzonym prawom, Swann pytał się, czy obecnie przeżywany okres będzie jeszcze trwał długo, czy niebawem droga twarz Odety nie stanie się dla jego myśli czymś odległym i zmałym, niezdolnym już sączyć tego samego czaru. Bo Swann, od czasu jak był zakochany, znajdował ten czar we wszystkim dokoła, jak za młodu, kiedy uważał się za artystę; ale to już nie był ten sam czar; obecnie dawała go wszystkiemu jedynie Odeta. Czuł, że się w nim odradzają porywy młodości strwoniłone w czczym życiu; ale wszystkie owe porywy nosiły odbłask i piętno jednej istoty; i w długich godzinach, które słodko mu było teraz spędzać w domu, sam na sam ze swoją zdrowiejącą duszą, Swann stawał się pomału sobą samym, ale należącym do innej.

Bywał u Odety tylko wieczór i nie wiedział nic o jej sposobie życia w ciągu dnia, tak samo jak o jej przeszłości. Brakło mu nawet owych punktów wyjścia, drobnych szczegółów, które pozwalając nam sobie wyobrazić to, czego nie wiemy, budzą w nas chęć poznania tego. Toteż Swann nie pytał siebie, co Odeta może robić, ani jakie było jej życie. Uśmiechał się jedynie czasami, pamiętając, że przed kilku laty, kiedy jej nie znał, mówiono mu o kobiecie, która, o ile sobie dobrze przypomina, musiała być Odetą, jak o kokotce, utrzymance, jednej z owych istot, którym Swann przypisywał jeszcze — ile że mało obracał się w ich towarzystwie — charakter zdecydowany, z gruntu przewrotny,

jakim długo je darzyła wyobraźnia pewnych powieściopisarzy. Powiadał sobie, że często wystarczy obrócić na wspak wyroki świata, aby trafnie osądzić jakąś osobę. Przeciwwstawiał owemu typowi Odetę dobrą, naiwną, idealistkę, tak niezdolną do kłamstwa! Raz, pragnąc zjeść z Odetą obiad we dwójkę, Swann poprosił ją, aby napisała do pani Verdurin, że jest cierpiąca; nazajutrz widział, jak wobec pani Verdurin, która spytała, czy się ma lepiej, Odeta zacerwieniła się, wybąkała coś i mimo woli zdradziła wyrazem twarzy męczarnię, jaką dla niej było kłamać. Podczas gdy Odeta w swojej odpowiedzi mnożyła zmyślane szczegóły rzekomej wczorajszej niedyspozycji, błagalne jej oczy i nabrzmiały rozpaczą głos zdawały się prosić o przebaczenie za fałsz słów.

W pewne dni, ale rzadko, Odeta przychodziła do Swanna popołudniu, aby przerwać jego dumania lub owo studium o Vermeerze, do którego wrócił od niedawna. Oznajmiano mu, że pani de Crécy jest w saloniku. Wychodził do niej i kiedy otwierał drzwi, kiedy Odeta go ujrziała, na jej różowej twarzy jawił się uśmiech zmieniający kształt jej ust, wyraz oczu, rysy. Zostawszy później sam, Swann widział ten uśmiech; ten, który Odeta miała wczoraj, inny, którym go przywitała kiedyś, ten, którym odpowiadała mu w powozie, kiedy pytał, czy jej nie uraził, poprawiając katleje; i całe życie Odety poza nim — ile że z tego życia nie znał nic — jawiło mu się na obojętnym i bezbarwnym tle, podobne owym kartkom z notatnika Watteau, gdzie tu i tam, na każdym miejscu, we wszystkich kierunkach widzi się kreślone trzema kredkami na papierze *chamois*, niezliczone uśmiechy. Życie Odety — ponieważ nie mógł go sobie wyobrazić — przedstawiało się Swannowi całkowicie próżne, jeżeli nawet rozum mówił mu, że nim nie jest. Ale czasami w kąciku tego życia jakiś przyjaciel (który, zgadując, że oni się kochają, nie odważyłby się mu powiedzieć nic poza błahostkami) kreślił mu sylwetkę Odety; widział ją tego rana pieszo na ulicy Abbattucci, w wizytowym kostiumie ze skunksami, w rembrandtowskim kapeluszu i z bukietem fiołków przy staniku. Ten prosty szkic wstrząsał Swannem, bo ukazywał mu nagle, że Odeta ma jakieś życie nienależące w całości do niego; chciał wiedzieć, komu się starała podobać w tej nieznanym mu tualecie; postanawiał sobie spytać ją, dokąd szła w owej chwili; jak gdyby w całym bezbarwnym — prawie nieistniejącym, bo dla Swanna niewidzialnym — życiu jego kochanki była tylko jedna rzecz poza tymi wszystkimi uśmiechami zwróconymi do niego: spacer w rembrandtowskim kapeluszu, z bukietem fiołków przy staniku.

Poza frazą Vinteuila, o którą prosił w miejsce *Walca róż*, Swann nie starał się, aby mu Odeta grała rzeczy, które lubił. Tak samo w muzyce jak w literaturze nie silił się poprawiać jej złego smaku. Zdawał sobie sprawę, że nie jest inteligentna. Powiadając Swannowi że lubiłaby, aby jej mówił o wielkich poetach, Odeta wyobrażała sobie, że od razu usłyszy heroiczne i romantyczne strofy w rodzaju wierszy wicehrabiego de Borelli, może jeszcze bardziej wzruszające! Co się tyczy Vermeera van Delft, spytała, czy on cierpiał przez kobietę, czy to kobieta go natchnęła, kiedy zaś Swann wyznał, że nic o tym nie wie, Odeta przestała się interesować tym malarzem. Mówiła często:

— Poezja, rozumiem, oczywiście, nie byłoby nic piękniejszego, gdyby to była prawda, gdyby poeci myśleli wszystko to, co piszą. Ale często nie ma nic interesowniejszego niż tacy ludzie. Wiem coś o tym, miałam przyjaciółkę, która się kochała z tak zwanym poetą. W wierszach mówił tylko o miłości, o niebie, o gwiazdach. Och, zobaczyła gwiazdy! Schrugała jej przeszło trzysta tysięcy franków.

Kiedy wówczas Swann próbował jej wyjaśnić, na czym polega piękno w sztuce, jak trzeba podziwiać wiersze albo obrazy, po chwili Odeta przestawała słuchać, mówiąc:

— Tak... nie wyobrażałam sobie, że to jest tak...

I czuł w niej taki zawód, że wołał kłamać, mówiąc, że to wszystko to jest nic, że to są tylko drobiazgi, że nie miał czasu wejść w głąb, że jest jeszcze coś innego. Wówczas Odeta pytała żywo: „Co innego? co?... Więc powiedz...”, ale on nie mówił. Wiedział, jakie by się to jej wydało nikłe i różne od tego, czego się spodziewała, mniej sensacyjne i mniej wzruszające; i obawiał się, aby zniechęciwszy się do sztuki, nie zniechęciła się równocześnie do miłości.

I w istocie Swann wydał się Odecie intelektualnie mniej świetny niż byłaby zrazu przypuszczała. „Ty zawsze się wymykasz, nie umiem cię określić”. Bardziej podziwiała jego obojętność na pieniądze, jego uprzejmość dla każdego, jego delikatność. I często w istocie zdarza się ludziom większym niż Swann — uczonemu, artyście, kiedy nie jest

zapoznany przez swoich bliskich — że uczuciem owych bliskich, świadczącym o przewadze jego inteligencji nad otoczeniem, jest nie podziw dla jego zbyt niedostępnych myśli, ale szacunek dla jego dobroci.

Szacunek budziła też w Odecie światowa sytuacja Swanna, ale nie pragnęła, aby się ją starał wprowadzić w towarzystwo. Może czuła, że to niemożliwe, a nawet bała się, aby Swann, bodaj tylko mówiąc o niej, nie wywołał jakich niepożądanych zwierzeń. Faktem jest, iż kazała mu przyrzec, że nigdy nie wymówi jej nazwiska. Przyczyną, dla której Odeta nie chciała być w świecie (tak mówiła Swannowi) była jakaś jej dawna sprzeczka z przyjaciółką, która, aby się zemścić, opowiadała o niej niestworzone rzeczy. Swann wtrącał:

— Ależ nie wszyscy znali twoją przyjaciółkę.

— Owszem, owszem, zawsze z tego coś przyłgnie, świat jest taki zły.

Swann nie zrozumiał wprawdzie nic z tej historii, ale skądinąd wiedział, że powiedzenia w rodzaju: „Świat jest taki zły” — „z obmowy zawsze coś przyłgnie”, są powszechnie uznane za prawdziwe; muszą być tedy wypadki, do których aforyzmy te mają zastosowanie. Czy wypadek Odety był z ich rzędu? Swann pytał siebie o to, ale niedługo, bo i on także podlegał owej ociążałości duchowej, która ogarniała jego ojca, kiedy stawiał sobie trudny problem.

Zresztą ów wielki świat, który tak przerażał Odetę, nie budził w niej może zbyt wielu pragnień; zanadto był odległy od tego, który znała, aby go sobie mogła wyraźnie przedstawić. Może, zostawszy pod pewnymi względami naprawdę naiwna (pozostała na przykład w przyjaźni z biedną eks-szwaczka, do której wdrapywała się prawie co dzień po stromych, ciemnych i cuchnących schodach), była spragniona „szyku”, ale miała o nim inne pojęcie niż ludzie naprawdę światowi. Dla nich *szyk* to jest emanacja pewnej niewielkiej ilości osób, które ślą jego promienie na dość znaczną odległość — słabnące w miarę, jak ktoś jest dalej od centrum, w krąg swoich przyjaciół lub przyjaciół swoich przyjaciół, o nazwiskach poniekąd skatalogowanych. Ludzie światowi znają ten katalog na pamięć; mają w tych przedmiotach erudycję, z której wyciągnęli rodzaj smaku i taktu. I tak na przykład, skoro Swann przeczytał w dzienniku nazwiska osób obecnych na jakimś obiedzie, wówczas nie potrzebując się uciekać do swojej światowej wiedzy, mógł natychmiast określić odcień szyku tego obiadu; tak jak literat z jednego przeczytanego zdania ściśle ocenia poziom literacki autora. Ale Odeta należała do osób (a osoby te, wbrew mniemaniu ludzi światowych, są nader liczne i istnieją we wszystkich warstwach), które nie posiadają tych wiadomości, biorąc za szyk coś całkiem innego. Szyk ten obleka różne postacie, zależnie od środowiska; ale czy to będzie ten, o którym marzyła Odeta, czy ten, przed którym skłaniała głowę pani Cottard, szyk ów ma tę swoistą cechę, że jest dostępny wszystkim. Tamten — szyk ludzi światowych — jest, prawdę mówiąc, również dostępny wszystkim, ale trzeba na to pewnego czasu. Odeta powiadała o kimś:

— On chodzi tylko w szykowne miejsca.

A kiedy Swann pytał ją, co przez to rozumie, odpowiadała trochę lekceważąco:

— No co, szykowne miejsca i tyle! Jeżeli w twoim wieku trzeba cię uczyć, co to są szykowne miejsca, cóż ja ci mam powiedzieć. Na przykład w niedzielę rano *avenue de l'Impératrice*, o piątej jezioro w Lasku, we czwartek *Eden Théâtre*, w piątek Hipodrom, bale...

— Ale jakie bale?

— No, bale, jakie dają w Paryżu; szykowne bale, rozumie się. Ot, Herbinger na przykład, wiesz, ten, co pracuje w banku? Ależ tak, musisz go znać, to jeden z najelegantszych ludzi w Paryżu, ten wysoki, młody blondyn, co jest taki snob, ma zawsze kwiat w bu-tonierce, przedział z tyłu, jasne palto; chodzi zawsze z tym starym pudłem, które taszczy na wszystkie premiery. No więc! On wydał kiedyś bal, było na nim wszystko, co jest najszykowniejszego w Paryżu. Jak ja bym tam chciała być! Ale trzeba było pokazać zaproszenie przy wejściu, a nie mogłam dostać. W gruncie, wolę nawet, że nie byłam, ścisł był taki, że się dusili, nie byłabym nic widziała. To raczej dlatego, żeby móc powiedzieć, że się było u Herbingera. A ty wiesz, że ja nie mam za grosz próżności!... Zresztą mogę ci powiedzieć, że na stu, którzy opowiadają że tam byli, co najmniej połowa blaguje. Ale to mnie dziwi, że ty, taki gogo, nie byłeś tam...

Ale Swann nie starał się wcale zmodyfikować tego pojęcia szyku; uważając, że jego własne pojęcie nie jest prawdziwsze, że jest równie głupie i nieważne jak tamto, nie czuł żadnej potrzeby zaszczepiania go swojej kochance. Toteż po miesiącach wspólnego życia jeżeli Odeta interesowała się osobami, u których Swann bywał, to jedynie dla kart wstępu na derby, na konkursy hippiczne, dla biletów na premiery, jakie mógł przez te osoby uzyskać. Odeta pochwałała stosunki tak użyteczne, ale skądinąd wzdragała się uznać je za coś „szykownego” od czasu, jak ujrzała na ulicy margrabinę de Villeparisis w czarnej wełnianej sukni, w czepku wiązonym na wstążki.

— Ależ ona wygląda jak bileterka, jak stara odźwierna, *darling!* To ma być markiza? Ja nie jestem markiza, ale trzeba by mi dużo zapłacić, żebym wyszła na ulicę w takich lachach!

Nie rozumiała, jak Swann może mieszkać w domu przy *Quai d'Orleans*; nie śmiejąc mu tego wyznać, uważała ten punkt za niegodny jego.

Zapewne Odeta miała tę pretensję, że lubi „antyki”, przybierała zachwyconą i subtelną minkę, mówiąc, że „ubóstwia” spędzać cały dzień na „szperaniu”, na wyszukiwaniu „starzyzny”, rzeczy z „epoki”. Mimo że miała niejako za punkt honoru (jak gdyby przestrzegała w tym tradycyjnej rodzinnej zasady) nigdy nie odpowiadać na pytania dotyczące spędzenia czasu i „nie zdawać sprawy” z użytku swoich dni, raz wspomniała Swannowi o przyjaciółce, która ją zaprosiła i u której wszystko było „z epoki”. Ale Swann nie zdołał z niej wydobyć, co to była za epoka. Zastanowiwszy się, Odeta odpowiedziała wreszcie, że to było „średniowieczne”. Rozumiała przez to, że były tam boazerie. W jakiś czas potem znów wspomniała o przyjaciółce i dodała wahająco, z ową porozumiewawczą miną, z jaką cytujemy osobę, z którą jedliśmy obiad wczoraj, której nazwiska nigdyśmy nie słyszeli, ale którą gospodarze domu najwyraźniej uważali za kogoś tak sławnego, że zapewne każdy będzie wiedział, o kim się mówi: „Ma salę jadalną z... wieku... osiemnastego”. Wydawało się jej to zresztą okropne, nagie, jak gdyby dom nie był skończony; kobiety wyglądają w tym fatalnie, ta moda nigdy się nie przyjmie. Wreszcie wracając do tego za trzecim razem, Odeta pokazała Swannowi adres artysty, który zrobił ową jadalnię: miała ochotę sprowadzić go, kiedy będzie miała pieniądze, i spytać, czy by nie mógł jej zrobić coś podobnego. Oczywiście nie taką samą, ale tę, o której marzyła i na którą niestety rozmiary jej willi nie pozwalały: z wysokimi kredensami, z meblami w stylu Odrodzenia, z kominami jak w zamku w Blois. Tego dnia zdradziła Swannowi, co myśli o jego domu na *Quai d'Orleans*: kiedy zganil, że przyjaciółka Odety wybrała fałszywy antyk, a nie Louis XVI, bo — powiadał — mimo że się tego nie robi, to może być urocze, Odeta rzekła: „Nie będziesz żądał, aby tkwiła, jak ty, w połamanych meblach i zniszczonych dywanach”; ile że solidne tradycje mieszczyki zwyciężyły w niej snobizm kokoty.

Ci, którzy lubią bibeloty, wiersze, którzy gardzą niskimi rachubami, marzą o miłości i honorze, tworzyli dla Odety elitę wyższą nad resztę ludzkości. Nie było zresztą konieczne mieć naprawdę te upodobania, byleby się je głosiło. O kimś, kto jej wyznał przy obiedzie, że lubi się waleśać po starych ulicach, grzebać się w starych sklepach, że nigdy nie będzie uznany przez ten kramarski wiek, bo się nie troszczy o swoje interesy, jak człowiek z innej epoki, Odeta powiadała za powrotem: „Jakaż to piękna dusza, jaka to uczuciowa natura, nigdy bym nie przypuszczała” i czuła dlań olbrzymią i nagłą sympatię. Ale w zamian za to ci, co jak Swann mieli te upodobania, ale nie mówili o nich, nie wzruszali jej. Bez wątplenia musiała przyznać, że Swann nie dba o pieniądze, ale dodawała z dąsem: „Ale u niego to nie to samo”. I w istocie do wyobraźni Odety przemawiał nie fakt bezinteresowności, ale jej słownik.

Czując, że często nie zdoła urzeczywistnić tego, o czym Odeta marzy, Swann starał się bodaj, aby się z nim dobrze czuła. Nie przeciwstawiał się jej pospolitości, jej złemu smakowi we wszystkim. Lubił zresztą ten zły smak jak wszystko, co pochodziło od niej; zachwycał go nawet, bo to był zbiór swoistych rysów, dzięki którym istota tej kobiety ujawniała mu się, stawała się widzialna. Czasami Odeta miała minkę szczęśliwą, bo miała iść na *Reine Topaze*, to znów wzrok jej stawał się poważny, niespokojny i uparty, kiedy się bała, że ją ominie święto kwiatów lub po prostu godzina herbaty z „tostami” i ciasteczkami w *Thé de la Rue Royale*, w którym to lokalu bywanie uważała za konsekrację eleganckiej kobiety. Wówczas Swann, zachwycony tak, jak nas zachwyca naturalność dziecka lub podobieństwo portretu „gotowego przemówić”, czuł tak dotykalnie duszę

kochanki spływającą na jej twarz, że nie mógł się oprzeć, aby tej twarzy nie dotknąć wargami.

— Ach, Odetka chce, żeby ją zaprowadzić na święto kwiatów, chce, aby ją tam podziwiano; więc dobrze, zaprowadzimy ją, nie pozostaje nic jak uchylić czoła.

Ponieważ Swann miał nieco krótki wzrok, musiał się posługiwać w domu okularami, w towarzystwie zaś nosił monokl, który go mniej szpecił. Za pierwszym razem, kiedy go Odeta zobaczyła z monoklem, nie mogła powstrzymać radości:

— Nie ma co, uważam, że dla mężczyzny to jest bardzo szykowne! Jak tobie w tym do twarzy. Prawdziwy gentleman. Brakuje ci tylko tytułu — dodała z odcieniem żalu.

Swann lubił, że Odeta jest taka, tak samo jak — gdyby się zakochał w Bretonce — lubiłby widzieć ją w czepku i słyszeć, że wierzy w strachy. Aż dotąd, jak u wielu ludzi, u których zamilowania artystyczne rozwijają się niezależnie od życia zmysłów, istniały w jego obyczajach i odczuwaniu dziwne rozbieżności. Swann kosztował w towarzystwie kobiet coraz to pospolitszych uroku dzieł coraz to bardziej wyrafinowanych, biorąc ładną pokojówkę do krytej łoży na jakąś interesującą go dekadencją sztukę lub na wystawę impresjonistów; — przekonany zresztą, że kobieta światowa i kulturalna zrozumiałaby nie więcej, a nie umiałaby tak przyjemnie siedzieć cicho. Ale, przeciwnie, od czasu jak kochał Odetę, tak słodko mu było odczuwać coś z nią wspólnie, mieć z nią jedną duszę, że starał się polubić rzeczy, które ona lubiła. Znajdował przyjemność nie tylko w naśladowaniu jej przyzwyczajzeń, ale w dzieleniu jej poglądów, które, ponieważ nie miały nic wspólnego z jego własnym intelektem, przypominały mu wyłącznie jego miłość — dla której przełożył je nad inne. Jeżeli szedł drugi raz na sztuczność w rodzaju *Serge Panine*, jeżeli starał się oglądać powożącego Oliviera Métra, to dla słodczy przebywania w duchowym świecie Odety, dzielenia wszystkich jej gustów. Ten czar jej bliskości dawały Swannowi utwory lub miejsca, które Odeta lubiła; i był mu on bardziej tajemniczy niż urok dzieł lub widoków piękniejszych, ale które mu jej nie przypominały. Zresztą straciwszy po trosze wiarę w intelektualne zapęły swojej młodości, bezwiednie ostudzone sceptycyzmem światowca, Swann myślał (lub przynajmniej tak długo to myślał, że powtarzał to jeszcze), że gusty nasze nie mają żadnej bezwzględnej wartości, że wszystko jest rzeczą epoki, klasy i polega na modach, z których najpospolitsze tyleż są warte co najwytworniejsze. Uważał, iż waga, jaką Odeta przykładła do bytności na jakimś wernisażu, nie jest w zasadzie czymś śmieszniejszym niż przyjemność, jaką on sam niegdyś znajdował w tym, aby być na śniadaniu u księcia Walii. Tak samo nie uważał, aby zachwyt Odety nad Monte Carlo lub nad Righi był niedorzeczniejszy niż jego upodobanie w Holandii, która znów w oczach Odety była brzydka, i w Wersalu, który jej się wydawał smutny. Toteż wyrzekł się swoich gustów, znajdując słodczy w powiadaniu sobie, że czyni to dla niej, dla Odety, że chce czuć i lubić jedynie razem z nią.

Swann lubił dom Verdurinów jak wszystko, co otaczało Odetę, a co dla niego było jedynie formą widzenia jej, rozmawiania z nią. Treścią wszystkich rozrywek, obiadów, muzyki, gier, zabaw kostiumowych, wycieczek, teatru, nawet rzadkich „wielkich rautów” dla „nudziarzy” była dla Swanna obecność Odety, widok Odety, rozmowa z Odetą, z czego Verdurinowie zaproszeniami swymi czynili mu bezcenny dar. Toteż czuł się tam lepiej niż gdziekolwiek. Polubił „paczkę” i starał się jej przyznawać rzeczywiste wartości, wyobrażał sobie bowiem, że na swój gust tkwiłby w niej całe życie. Swann nie śmiał sobie powiedzieć — z obawy, że sam w to nie uwierzy — iż zawsze będzie kochał Odetę. Przyjmując tedy bodaj, że zawsze będzie bywał u Verdurinów (fakt, który a priori mniej w nim budził zasadniczych zastrzeżeń), Swann nadal widział w przyszłości codzienne spotkania z Odetą. To nie było może całkiem to samo, co kochać ją zawsze, ale na razie, dopóki ją kochał, wystarczyło mu wierzyć, że nie przestanie jej widywać ani przez jeden dzień.

„Co za przemile kółko — powiadał sobie. — Doprawdy, tam się naprawdę żyje! O ileż to środowisko jest inteligentniejsze, artystyczniejsze od tak zwanego „świata”. Jak ta pani Verdurin, mimo lekkiej przesady i niewinnych śmiesznośtek, szczerze kocha malarstwo, muzykę! Co za fanatyzm dla sztuki, co za pasja umiłania życia artystom! Ona ma błędne pojęcia o ludziach światowych, ale czyż „świat” nie ma jeszcze fałszywszego pojęcia o artystach! Może ja nie szukam w rozmowie zbyt wysokiego poziomu intelektualnego, ale to fakt, że się bardzo dobrze czuję z doktorem Cottard, mimo jego głupich kalamburów. A ten malarz, o ile jest pretensjonalny, kiedy się stara epatować, niewątpliwie jest

jedną ze świetniejszych inteligencji, jakie znałem. I przede wszystkim człowiek czuje się tam swobodny, robi, co chce, bez przymusu, bez ceremonii. Ileż wesołości spala się tam w ciągu wieczora! Stanowczo, poza rzadkimi wyjątkami, zawsze się będę trzymał tego kółka. Czuję, że tam się będą coraz bardziej skupiały moje przyzwyczajenia, moje życie.

Że zaś zalety, które Swann przypisywał Verdurinom, były jedynie odbłaskiem przyjemności, jakiej kosztował u nich przez Odetę, zalety te stawały się poważniejsze, głębsze, istotniejsze w miarę, jak owe przyjemności rosły. Pani Verdurin dostarczała czasem Swannowi tego, co było dlań jedynym szczęściem. Pewnego wieczora, kiedy się czuł niespokojny, bo Odeta rozmawiała z kimś dłużej, i kiedy podrażniony nie chciał jej pierwszy spytać, czy pozwoli się odwieźć, pani Verdurin przyniosła mu spokój i radość, mówiąc nagle: „Odeto, jedziesz z panem Swannem, prawda?”. Kiedy zbliżało się lato i Swann zawczasu niepokoił się, czy Odeta nie wyjedzie bez niego, czy będzie mógł ją nadal widywać co dzień, pani Verdurin zaprosiła ich oboje do siebie na wieś. Zaczem Swann, poddając bezwiednie swoją inteligencję i swoje sądy działaniu wdzięczności i interesu, posuwał się aż do konkluzji, że pani Verdurin to wielka dusza. Kiedy dawny kolega szkolny mówił mu o jakichś miłych lub znakomych ludziach, Swann odpowiadał: „Wolę sto razy Verdurinów”. I z emfazą, która była u niego czymś nowym, dodawał:

— To są ludzie wielkoduszni, a wielkoduszność jest w gruncie jedyną rzeczą, która coś znaczy i która ludzi określa. Widzisz, są tylko dwie klasy istot: ludzie wielkoduszni i — wszyscy inni. Ja doszedłem do wieku, w którym trzeba wybierać; trzeba zdecydować raz na zawsze, kogo się kocha, a kim się gardzi; trzymać się tych, których się kocha i nie opuszczać ich aż do śmierci, aby odrobić czas stracony z innymi. Tak! — dodał z owym lekkim wzruszeniem, którego doznajemy, kiedy nawet nie całkiem świadomie mówimy coś nie dlatego, że jest prawdą, ale dlatego, że sprawia nam przyjemność to mówić i kiedy słyszymy własny głos tak, jakby pochodził nie z nas, ale skądinąd — losy są rzucone, pragnę kochać jedynie serca wielkoduszne, żyć w atmosferze wielkoduszności. Pytasz mnie, czy pani Verdurin jest naprawdę inteligentna. Upewniam cię, że dała mi dowody szlachetności, wzniosłości, których, wierzaj mi, nie osiąga się bez inteligencji. To pewna, że ma głębokie poczucie sztuki. Ale nie w tym może jest najwspanialsza; ten czy ów drobny uczynek, delikatnie, czarująco dobry, który spełniła dla mnie, jakaś genialna usłużność, prosty a wzniosły gest, świadczą o głębszym zrozumieniu życia niż wszystkie traktaty filozofów.

Swann mógłby sobie powiedzieć, że istnieją dawni przyjaciele jego rodziców równie prości jak państwo Verdurin; dawni jego koledzy równie kochający sztukę; że znał innych ludzi o wielkim sercu, których wszakże, od czasu jak wybrał prostotę, sztukę i wielkoduszność, przestał widywać zupełnie. Ale ci ludzie nie znali Odety, a gdyby ją znali, nie staraliby się z pewnością zbliżyć jej do niego.

Nie było też z pewnością w całym kółku Verdurinów ani jednego „wiernego”, który by ich kochał — lub wyobrażał sobie, że ich kocha — tak bardzo jak Swann. Mimo to, kiedy pan Verdurin powiedział, że Swann mu się nie podoba, wyraził nie tylko własną myśl, ale odgadł myśl żony. Z pewnością, jak dla nich, Swann kochał Odetę zbyt „prywatnie”; nie postarał się uczynić pani Verdurin codzienną powiernicą tej miłości. Z gościnności państwa Verdurin korzystał dyskretnie, wymawiając się często od obiadu. Nie umiając zgadnąć przyczyny, widzieli w tym chęć podtrzymywania stosunków z „nudziarzami”. Wreszcie mimo całej dyskrecji Swanna odkrycia, jakie czynili co do jego świetnej sytuacji towarzyskiej również podsycali ich irytację. Ale najgłębsza racja tej niechęci była inna. Bardzo szybko mianowicie wyczuli w nim nieprzenikniony rezerwat, w którym nadal wierzył w milczeniu, że księżna de Sagan nie jest komiczną figurą i że dowcipy doktora Cottard nie są zabawne. Mimo iż Swann nigdy nie wyzbył się swojej uprzejmości i nie burzył się przeciw miejscowym dogmatom, pojmowali niemożność narzucenia mu ich, całkowitego nawrócenia go; czuli opór, jakiego nigdy nie spotkali u nikogo. Byliby mu przebaczyli, że bywa u „nudziarzy” (od których zresztą z głębi serca Swann wołał tysiąc razy Verdurinów i całą paczkę), gdyby zechciał dla dobrego przykładu wyprzeć się ich w obecności wiernych. Ale rozumieli, iż tego zaparcia się nie zdołają mu wydrzeć nigdy.

Co za różnica z „nowym”, którego Odeta wprowadziła świeżo, mimo że znała go jeszcze niewiele. Ów hrabia de Forcheville to był człowiek, w którym można było po-

klądać nadzieje! (Okazało się, ku zdumieniu wiernych, że jest szwagrem Saniette'a. Stary archiwista zachowywał się tak pokornie, iż zawsze uważano go tam za coś niższego towarzysko i nie spodziewano się, że należy do świata bogatego, niemal arystokratycznego.) To pewna, iż Forcheville — w przeciwieństwie do Swanna — był ciężki snob; to pewna również, że nie mógł się mierzyć ze Swannem co do oddania kółku Verdurinów. Ale nie miał owej wrodzonej delikatności, która nie pozwalała Swannowi wtórować pani Verdurin w jej zbyt niedorzecznych wycieczkach przeciw ludziom, których znał. Co się tyczy pretensjonalnych i rubasznych tyrad, w jakich czasami lubował się malarz, lub płaskich żarcików doktora Cottard, Swann, lubiąc ich obu, usprawiedliwiał łatwo owe słabostki, ale nie miał tej odwagi ani obludy, aby im przyklaskiwać; natomiast Forcheville znajdował się na poziomie intelektualnym, który mu pozwalał zachwycać się wypadami malarza (nie rozumiejąc ich zresztą), a rozkoszować się konceptami doktora. I właśnie pierwszy obiad u Verdurinów, na którym był Forcheville, oświetlił wszystkie te różnice, uwydatnił zalety nowego gościa, a przyspieszył niełaskę Swanna.

Był na tym obiedzie, poza zwykłymi uczestnikami, profesor Sorbony Brichot, który poznał państwa Verdurin u wód i który, gdyby zajęcia uniwersyteckie oraz prace naukowe nie pochłaniały go tak bardzo, lubiłby u nich bywać częściej. Bo Brichot miał tę ciekawość, ten zabobon „życia”, który połączony z niejakim sceptycyzmem w zakresie własnych studiów daje pewnym inteligentnym ludziom wszelkiego zawodu — lekarzom niewierzącym w medycynę, pedagogom niewierzącym w pensa łacińskie — reputację umysłów szerokich, świetnych, nawet niepospolitych. Rozprawiając u pani Verdurin o filozofii i historii, Brichot rozmyślnie dobierał porównań możliwie najwspółczesniejszych. Raz dlatego, że uważał, iż te nauki są jedynie przygotowaniem do życia, i wyobrażał sobie, że znajdzie w klanie Verdurinów w praktyce to, co znał dotąd jedynie z książek; następnie może i dlatego, że, przyswoiwszy sobie niegdyś i zachowawszy bezwiednie szacunek dla pewnych przedmiotów, sądził, iż zrzuci skórę profesorską, pozwalając w nich sobie na niejaki śmiałości. Ale, wręcz przeciwnie, śmiałości te wydawały mu się śmiałościami jedynie dlatego, że wciąż tkwił w swojej skórze.

Forcheville, znalazłszy się po prawej ręce pani Verdurin, która wysadziła się dla „nowego” na toaletę, rzekł: „To oryginalne, ta biała suknia”. Doktor, ciekawy wiedzieć, jak się zachowuje autentyczny hrabia, nie przestawał obserwować Forcheville'a, a równocześnie szukał sposobu ściągnięcia jego uwagi oraz wejścia z nim w stosunki. Chwycił w lot słowo „biała” i nie podnosząc nosa znad talerza, rzekł: „Biała? Biała dama? Może Blanka kastylska?” — po czym, nie poruszając głową, rzucił ukradkiem na prawo i lewo niepewne i uśmiechnięte spojrzenia. Podczas gdy Swann bolesną i daremną próbą uśmiechu zdradził, że koncept wydał mu się idiotyczny, Forcheville okazał zarazem, że ocenia dowcip doktora i że sam umie się znaleźć; toteż wesołość jego, szczerą, ale utrzymaną we właściwych granicach, oczarowała panią Verdurin.

— Co pan powie o takim uczonym? — zagadnęła Forcheville'a. — Nie ma sposobu dwóch minut rozmawiać z nim poważnie. Czy pan i w swoim szpitalu mówi takie rzeczy? — dodała, zwracając się do doktora — w takim razie nie musicie się tam nudzić z chorymi. Widzę, że będę musiała prosić, aby mnie tam przyjęto.

— Zdaje mi się, że doktor wspominał coś o tej starej jędzy, Blance kastylskiej, jeśli wolno się tak wyrazić. Nieprawdaż? — spytał Brichot pani Verdurin, która mdlejąc z przymkniętymi oczami, utopiła twarz w dłoniach, skąd dobywały się zduszone krzyki.

— Mój Boże, droga pani, nie chciałbym gorszyć cnotliwych dusz, o ile znajdują się przy tym stole, *sub rosa*... Uznaję zresztą, że nasza niewysłowiona republika ateńska — i jak ateńska! — mogłaby uczcić w tej obskuranczej Kapeciance pierwszego z prefektów policji herbu „za mordę”. Ależ tak, szanowny gospodarzu, ależ tak — podjął swoim dźwięcznym głosem, dobitnie artykułując sylaby, w odpowiedzi na jakiś protest pana Verdurin. — Kronika Saint-Denis, której świadectwa niepodobna jest kwestionować, nie zostawia pod tym względem żadnej wątpliwości. Laicyzujący proletariatus nie mógłby sobie obrać lepszej patronki niż tę matkę świętego. Musiała zresztą często gorszyć swego cnotliwego syna, jak twierdzi Suger i inne święte Bernardy; bo z każdym używała sobie wedle jego rangi.

— Kto jest ten pan? — pytał Forcheville pani Verdurin — to jakaś tęga głowa.

— Jak to, nie zna pan sławnego Brichot, znany jest w całej Europie.

— A! to Bréchet — wykrzyknął Forcheville, nie dosłyszawszy. — Bagatela, proszę siadać — dodał wlepiając w znakomitość szeroko otwarte oczy. — To zawsze jest ciekawe jeść sobie obiad ze sławnym człowiekiem. Ale, jak widzę, pani nas raczy tu samą śmietanką. Nie zdzudzi się człowiek u pani.

— Och! — rzekła skromnie pani Verdurin. — Najważniejsze jest, że oni się tu czują jak u siebie. Mówią, o czym chcą, słowa strzelają jak race. Na przykład Brichot; dziś wieczór to jeszcze nic. Widywałam go, wie pan, czasami tutaj, u mnie, był bajeczny, olśniewający, można było klęknąć przed nim; i czy pan uwierzy, gdzie indziej to już nie ten sam człowiek; traci cały dowcip, trzeba go ciągnąć za język, jest nawet nudny.

— To ciekawe! — rzekł Forcheville zdziwiony.

Rodzaj dowcipu, jaki rozwijał Brichot, uchodziłby za czyste osielstwo w koterii, w której Swann spędził młodość, mimo że nie wyklucza rzetelnej inteligencji. A inteligencji profesora, tegiej i soczystej, pozazdrościłoby z pewnością wielu światowców, których Swann uważał za dowcipnych. Ale ci właśnie ludzie zdołali mu zaszcześcić swoje gusty i uprzedzenia, przynajmniej co się tyczy życia światowego, nawet w tych jego strefach, które powinny by raczej należeć do dziedzin inteligencji, jak rozmowa; tym samym koncepty profesora Brichot musiały się wydać Swannowi pedantyczne, płaskie i niesmaczne. Przy tym Swanna, przyzwyczajonego do dobrych manier, raził szorstki, wojskowy niemal ton, w jakim militarystyczny profesor zwracał się do każdego. A może po prostu Swann wypadł tego wieczora ze swojej pobłażliwości, widząc nadmierną uprzejmość pani Verdurin dla Forcheville'a, sprowadzonego tu przez dziwny zaiste koncept Odety!

Trochę zakłopotana wobec Swanna Odeta spytała go na wstępie:

— Jak się panu wydaje mój protegowany?

Na co Swann, spostrzegając pierwszy raz, że Forcheville, którego znał od dawna, może się podobać kobietom i że jest wcale przystojnym mężczyzną, odpowiedział: „Potworny!”

Z pewnością nie przyszło mu na myśl być zazdrosnym o Odetę; ale nie czuł się równie szczęśliwy jak zwykle. Daremnie Brichot, zaczawszy opowiadać jakąś historię o matce Blanki kastylskiej, która „chodziła kilka lat z Henrykiem Plantagenet, zanim się za niego wydała”, i chcąc, aby go proszono o dalszy ciąg, zwrócił się do niego, mówiąc; „Prawda, panie Swann?” owym marsowym tonem, jaki się przybiera, aby zstąpić do poziomu wieśniaka lub dodać odwagi żołnierzowi; ku wściekłości pani domu Swann zepsuł Brichotowi efekt, przepaszając, że się zbyt mało interesuje Blanką kastylską, ale że ma o coś zapytać malarza. W istocie, malarz odwiedził owego dnia wystawę pewnego świeżo zmarłego artysty, przyjaciela pani Verdurin, i Swann pragnął się dowiedzieć (cenił bowiem smak „mistrza”), czy naprawdę w obecnie wystawionych dziełach jest coś więcej niż wirtuozostwo, które zdumiewało już w poprzednich.

— Z tego punktu widzenia to było nadzwyczajne; ale nie wydawało mi się sztuką, jak się to mówi, zbyt „na wyżynach” — rzekł Swann z uśmiechem.

— Na wyżynach... dziejowej odpowiedzialności — przerwał Cottard, podnosząc ręce z udaną powagą.

Cały stół parsknął śmiechem.

— Kiedy ja wam powiadam, że niepodobna z nim rozmawiać serio — rzekła pani Verdurin do Forcheville'a. — W chwili kiedy się człowiek najmniej spodziewa, on panu wyjedzie z jakąś bujdą.

Pani Verdurin zauważyła, że jeden Swann się nie uśmiechnął. Nie był zresztą zbyt zadowolony, że Cottard zabawił towarzystwo jego kosztem w obecności pana Forcheville. Ale malarz, zamiast odpowiedzieć Swannowi serio, czego zapewne nie omieszkałby zrobić, gdyby byli sami, wolał olśnić zebranych brawurowym kawałkiem o technice zmarłego mistrza.

— Zbliżyłem się — rzekł — aby zobaczyć, jak to jest zrobione, wsadziłem nos w płótno. Ha, ha! Właśnie! Nie ma sposobu zgadnąć, czy to robione gumą, rubinem, mydłem, czy to malowane bążem, słońcem, łajnem....

— Ja mydłem, ty mydłeś... — zaczął odmieniać doktor, którego nikt nie zrozumiał.

— To wygląda niby nic — ciągnął malarz — nie ma sposobu odkryć triku, jak w *Roncie* albo w *Regentkach*; a to jest jako rozmach jeszcze cięższe od Rembrandta i od Halsa. Wszystko tam jest, ależ tak, przysięgam panu!

I jak śpiewak, który, doszedłszy do najwyższej nuty, jaką może wziąć, ciągnie dalej falsetem, piano, malarz szeptał ze śmiechem, tak jakby w istocie to malarstwo było aż komiczne siłą swojej piękności:

— Pachnie to, wierci człowiekowi w nosie, tamuje oddech, łaskocze i nie ma sposobu zgadnąć, czym to jest robione. To istne czary, szachrajstwo, cud — tu malarz wybuchnął głośnym śmiechem — to po prostu łajdackie!

Zatrzymał się, podniósł poważnie głowę i głębokim basem, który starał się uczynić harmonijnym, dodał: „A takie rzetelne!”.

W chwili gdy malarz powiedział: „tęższe niż *Ront*” — bluźnierstwo to wywołało odruch protestu ze strony pani Verdurin, uważającej *Ront* wraz z „*Dziwiątą*” i „*Samotracę*”, za największe arcydzieło świata. Przy słowach: „malowane łajnem” pan Forcheville spojrział dokoła dla przekonania się, czy wyrażenie uszło, po czym zaigrał na jego ustach ostrożny i pojednawszy uśmiech. Ale wszyscy, z wyjątkiem Swanna, wlepiali w malarza spojrzenia pełne podziwu.

— Jaki on paradny, kiedy się tak zapali — wykrzyknęła pani Verdurin szczęśliwa, że stół okazał się tak zajmujący właśnie w dniu, gdy Forcheville był u niej pierwszy raz. — A ty, czego ty siedzisz stumaniały z otwartą gębą? — rzekła do męża. — Wiesz przecie, że on umie mówić; myślałby kto, że on pierwszy raz pana słyszy. Gdyby go pan widział, podczas gdy pan mówił, pił mistrza oczami. I jutro wyrecytuje nam wszystko, co mistrz powiedział, nie polknąwszy ani słowa.

— Ale nie, to nie jest błaga — rzekł malarz zachwycony swoim sukcesem — pani widzę myśli, że ja tak sobie macham ozorem, że to bluff. Zaprowadzę tam panią, powie mi pani, czym przesadził; gwarantuję, że pani wróci jeszcze bardziej wzięta ode mnie!

— Ależ my nie myślimy, że pan przesadza; my byśmy tylko chcieli, żeby pan jadł i żeby mój mąż także jadł; podajcie jeszcze rybę panu, widzicie przecie, że jego ryba wystygła. Nie spieszy nam się tak, podajesz, jakby się paliło, z sałatą możecie trochę zaczekać.

Pani Cottard, która była skromna i mówiła mało, umiała mimo to nie zawahać się, kiedy szczęśliwe natchnienie podsunęło jej zręczne słówko. Czuli, że to, co powie będzie miało powodzenie; to jej dodawało odwagi; zresztą chodziło jej nie tyle o to, aby błyszczeć, co aby być użyteczną dla kariery męża. Toteż nie przepuściła słowa „sałata”, które wyrzekła pani Verdurin.

— Ale to nie jest „japońska sałata”? — rzekła półgłosem, zwracając się do Odety.

I, zachwycona i zmieszana celnością i zuchwalstwem, jakim była ta dyskretna, ale jasna aluzja do nowej i głośnej sztuki Dumasa, pani Cottard parsknęła uroczym śmiechem naiwności, niezbyt głośnym, ale tak nieodpartym, że przez dobrą chwilę nie mogła go opanować.

— Kto jest ta dama? Dowcipna jest! — rzekł Forcheville.

— Nie, ale zrobimy tę sałatę, jeżeli przyjdziecie wszyscy w piątek na obiad.

— Wydam się panu wielka prowincjuszka — rzekła pani Cottard do Swanna — ale nie widziałam jeszcze słynnej *Francillon*, o której wszyscy mówią. Mąż już widział tę sztukę (przypominam sobie nawet, mówił mi, że bardzo mile spędził ten wieczór w pańskim towarzystwie) i przynajmniej, że nie wydawało mi się rozsądne, aby kupował fotele po to, żeby iść drugi raz ze mną. Oczywiście w Komedii Francuskiej wieczór nigdy nie jest stracony, grają tam zawsze tak świetnie; ale ponieważ mamy bardzo miłych przyjaciół (pani Cottard rzadko wymawiała nazwiska i poprzestawała na terminach: „nasi przyjaciele” albo „jedna z przyjaciółek”, przez dystynkcję, sztucznym tonem, z ważną miną osoby zwykłej wymieniać tylko wtedy, kiedy chce kogoś wymienić), którzy często miewają łóżka i są na tyle uprzejmi, aby nas zapraszać na wszystkie wartościowsze nowości, jestem pewna, że wcześniej lub później zobaczę *Francillon* i będę sobie mogła wyrobić zdanie. Ale muszę wyznać, że czuję się trochę głupia, bo gdziekolwiek się znajdę, wszędzie się mówi oczywiście o tej nieszczęśliwej japońskiej sałacie. To zaczyna nawet być męczące — dodała, widząc że Swann nie zainteresował się tak, jakby można było przypuszczać, tą palącą aktualnością. — Ale trzeba przyznać, że to daje czasem temat do dosyć zabawnych pomysłów. I tak, mam przyjaciółkę: bardzo oryginalna, mimo że śliczna kobieta; bardzo otoczona, bardzo światowa; otóż ona twierdzi, że kazała u siebie zrobić tę sałatę japońską i to pakując do niej wszystko, co pan Dumas wymienia w swojej sztuce. Zaprosiła kilka przyjaciółek, żeby przyszły to jeść. Na nieszczęście, nie należałam do wybranych. Ale

opowiedziała nam to później, na swoim żurku: zdaje się, że to było okropne, uśmiełyśmy się do łez. Ale pan wie, wszystko zależy od sposobu opowiedzenia — rzekła widząc, że Swann zachował poważną minę.

Przypuszczając, iż to może dlatego, że nie lubi *Francillon*, dodała:

— Zresztą boję się, że będę miała zawód. Nie sądzę, aby to było takie jak *Serge Panine*, bożyszcze pani de Crécy. To są przynajmniej tematy, które mają treść, które zmuszają do myślenia; ale dawać przepis na sałatę na scenie Komедii Francuskiej! Za to *Serge Panine*! Zresztą wszystko, co wychodzi spod pióra pana Ohnet, jest zawsze tak dobrze napisane! Nie wiem, czy pan zna *Właściciela Kuźnic*, którego bym postawiła jeszcze wyżej niż *Serge Panine*.

— Daruje pani — rzekł Swann z ironiczną miną — ale wyznaję, że mój brak podziwu jest prawie jednaki dla obu tych arcydzieł.

— Doprawdy, co im pan zarzuca? Czy to z zasady? Czy pan znajduje, że to trochę smutne? Zresztą, zawsze powtarzam, że nigdy nie trzeba dyskutować ani o powieściach, ani o teatrze. Każdy ma swój sposób widzenia; co mnie się najbardziej podoba, panu może się zdawać okropne.

Przerwał jej Forcheville, zagadując Swanna. W istocie, podczas gdy pani Cottard mówiła o *Francillon*, Forcheville wyraził pani Verdurin swój podziw dla tego, co nazywał małym *speechem* malarza.

— Ten pan ma łatwość słowa, pamięć! — rzekł do pani Verdurin, kiedy malarz skończył — jak się doprawdy rzadko spotyka. Do kata! Chciałbym tak umieć. Byłby z niego tęgi kaznodzieja. Można powiedzieć, że wraz z panem Brechot, ma pani dwa egzemplarze warte siebie wzajem, a nie wiem, czy jako swada ten malarz nie dałby jeszcze mata profesorowi. Płynie mu to bardziej naturalnie, mniej jest wyszukane. Pozwolił sobie co prawda mimochodem na parę nieco realistycznych wyskoków, ale to jest dzisiejszy styl. Nie często widziałem, aby kto miał taką wyparzoną gębę, jak mawialiśmy w pułku, gdzie jeden z kolegów przypominał mi trochę tego malarza. O byle czym, nie wiem jak państwu powiedzieć, o tej szklance na przykład, mógł gadać całe godziny; nie, nie o szklance, głupstwo mówię, ale o bitwie pod Waterloo, o czym tylko państwo chcecie, i kropił nam z punktu rzeczy, które by nikomu na myśl nie przyszły. Zresztą Swann był w tym samym pułku, musiał go znać.

— Czy pan często widuje pana Swanna? — spytała pani Verdurin.

— Ależ nie — odparł. Aby się łatwiej zbliżyć do Odety, Forcheville chciał się przybliżyć Swannowi; pochwylił więc tę sposobność, aby mu pochlebić, natrącając o jego wysokich stosunkach, ale tonem człowieka światowego, tonem przyjaznej krytyki, a nie jakby mu ich wieszował niby niespodzianego sukcesu — Prawda, Swann? Nie widuję cię nigdy. Zresztą, jakim cudem go spotkać? To zwierzę tkwi ciągle u samych La Tremoille, u des Laumes, u samych takich!...

Informacja była mylna, ile że od roku Swann bywał prawie tylko u Verdurinów. Ale same nazwiska osób, których Verdurinowie nie znali, spotkały się z pełnym nagany milczeniem. Pan Verdurin, obawiając się przykrego wrażenia, jakie owe nazwiska „nudziarzy”, rzucone zwłaszcza tak bez taktu w twarz wszystkich wiernych, musiały zrobić na jego żonie, zwrócił na nią ukradkiem spojrzenie pełne niespokojnej troski. Ujrzał wówczas, że w swoim postanowieniu nieprzyjęcia niczego do wiadomości, nieprzejmowania się udzieloną jej nowiną, pani Verdurin pozostała nie tylko niema, ale głucha, tak jak czynimy, kiedy niewierny przyjaciel próbuje wsunąć w rozmowę usprawiedliwienie (wysłuchać bez protestu, znaczyłoby przyjąć je) lub kiedy ktoś wymawia przy nas zabronione imię niewdzięcznika. Milczenie pani Verdurin wyrażało nie zgodę, ale było nic niewiedzącą ciszą rzeczy martwych. Odarła nagle swoją twarz z wszelkiego życia, z wszelkiego ruchu; wydatne jej czoło było już tylko pięknym studium krągłej wyniosłości, w którą nazwisko owych La Tremoille, wybrańców Swanna, nie mogło wnikać; rysunek lekko zmarszczonego nosa zdawał się skopiowany z natury. Rzekłbyś, że rozchylone usta przemówią. To już był tylko wosk, maska gipsowa, makietka pomnika, biust z *Palais de l'Industrie*, przed którym publiczność zatrzymywałaby się z pewnością, aby podziwiać, jak rzeźbiarz, wyrażając nieopisaną godność Verdurinów, przeciwstawioną nazwiskom La Tremoille i des Laumes — od których z pewnością nie są gorsi, jak od wszystkich „nudziarzy” na kuli ziemskiej — zdołał dać pontyfikalny niemal majestat białości i twardości kamienia. Ale

marmur ożywił się w końcu i oznajmił, że trzeba mieć zdrowie, aby chodzić do tych ludzi, bo pani jest zawsze pijana, a mąż tak ciemny, że mówi *dzień powszechny* zamiast *dzień powszedni*.

— Choćby mi grubo płacono, nie wpuściłabym czegoś takiego do swego domu — zakończyła pani Verdurin, spoglądając władczo na Swanna.

Nie spodziewała się z pewnością, aby Swann poddał się bez zastrzeżeń, jak to uczyniła ciotka pianisty, która ze świętą naiwnością wykrzyknęła:

— Patrzcie państwo! Ale co najdziwniejsze, to że oni zawsze znajdują kogoś, kto się zechce z nimi zadawać. Mnie się zdaje, że ja bym się bała; tak łatwo można wdepnąć. Jakim cudem może być jeszcze naród taki ciemny, żeby się uganiać za takimi.

Czemuż Swann nie odpowiedział bodaj jak Forcheville: „Ba, zawsze to księżna; są jeszcze ludzie, na których to działa”, co by pozwoliło pani Verdurin odpowiedzieć: „Niechże im będzie na zdrowie!”. Zamiast tego Swann rozśmiał się po prostu w sposób, który oznaczał, że nie może nawet brać serio podobnych niedorzeczności. Pan Verdurin, wciąż zerkając na żonę, widział ze smutkiem i rozumiał aż nadto dobrze, że nią miota gniew Wielkiego Inkwizytora, który nie może wytepić herezji. Aby więc skłonić Swanna do odrzeczenia się (ile że odwaga własnego zdania wydaje się zawsze rachubą i tchórzostwem w oczach tych, przeciw którym się zwraca), pan Verdurin zagadnął go:

— Niechże pan powie szczerze, co pan myśli, my im nie powtórzymy.

Na co Swann odparł:

— Ależ to bynajmniej nie przez strach przed księżną (jeżeli państwo mówicie o pani La Tremoille). Upewniam pana, że wszyscy z rozkoszą bywają u niej. Nie będę twierdził, aby była „głęboka”... — Swann wymówił „głęboka” tak, jakby to było słowo komiczne; język Swanna bowiem zachował ślady nawyków, które pewna odnowa charakteru, w związku ze świeżym kultem muzyki, zatarła w nim chwilowo, tak iż obecnie wyrażał niekiedy swoje poglądy z zapalem. — Ale, mogę powiedzieć bardzo szczerze, księżna jest inteligentna, a jej mąż wszechstronnie wykształcony. To są przemili ludzie.

Pani Verdurin uczuła, że opór jednego niewiernego może stanąć na drodze w zniszczeniu moralnej jedności „paczki”. Wściekła na uparciucha, który nie widział, ile jego słowa sprawiają jej bólu, nie mogła się wstrzymać, aby nie krzyknąć z głębi serca:

— Niech pan tak myśli, skoro pan chce, ale przynajmniej niech nam pan tego nie mówi.

— Wszystko zależy od tego, co pan nazywa inteligencją — rzekł Forcheville, który też chciał zabłysnąć. — No, Swann, co pan rozumiesz pod inteligencją?

— Właśnie! — krzyknęła Odeta — To są te wielkie rzeczy, o których wytłumaczenie wciąż go proszę, ale on nigdy nie chce.

— Ależ owszem... — zaprotestował Swann.

— Gadanie! — rzekła Odeta.

— Austriackie? — spytał doktor.

— Dla pana — podjął Forcheville — inteligencja to światowa paplanina, to umiejętność chodzenia na dwóch łapkach?

— Skończcie pan tę przystawkę, żeby można było sprzątnąć talerz — rzekła pani Verdurin cierpko do Saniette’a, który pogrążony w myślach przestał jeść. I może nieco zawstydzona swoim tonem dodała — Nic nie szkodzi, ma pan czas; jeżeli to mówię, to w interesie innych gości, bo to tamuje usługę.

— Bardzo ciekawe określenie inteligencji — rzekł Brichot, wybijając sylaby — dał ten słodki anarchista Fénelon...

— Słuchajcie! — rzekła do Forcheville’a i do doktora pani Verdurin — Brichot da nam definicję inteligencji wedle Fénelona; to ciekawe, nie zawsze ma człowiek sposobność coś takiego słyszeć.

Ale Brichot czekał, żeby Swann dał swoje określenie. Swann nie odpowiedział, niewzruszając tym biernym uporem świetny turniej, którym szczęśliwa pani Verdurin gotowała się uraczyć pana de Forcheville.

— Naturalnie, to tak jak ze mną — rzekła Odeta z dąsem — cieszę się, że nie jestem jedyna, do której pan Swann nie raczy się zniżyć.

— Czy ci de la Trémouaille, których pani Verdurin zarekomendowała nam jako niezbyt godnych poznania — spytał Brichot artykułując dobitnie wyrazy — pochodzą od

tych, z którymi pocziwa snobka, pani de Sévigné, rada była (jak mówiła sama) zawrzeć znajomość, bo to zrobi dobre wrażenie na jej kmiotkach? Prawda, że zacna markiza miała inną rację, dla niej najważniejszą, bo dla tej nałogowej dziennikarki skrypt był przede wszystkim. Otóż w gazetce, którą pani de Sévigné przysyłała regularnie córce, pani La Trémouaille, dobrze udokumentowana dzięki swoim wysokim krewieństwu, robiła „politykę zagraniczną”.

— Ale nie, nie sędzę, aby to była ta sama rodzina — rzekła na oślep pani Verdurin.

Saniette od czasu, jak spiesźnie oddał lokajowi pełny jeszcze talerz, wrócił do swojej milczącej zadumy. Teraz ocknął się, aby ze śmiechem opowiedzieć historię swego obiadu z księciem de la Tremoille; z której to historii wynikało, że książę nie wie, iż George Sand to był pseudonim kobiety. Swann, który lubił Saniette’a, uważał za właściwe podać mu szczegóły świadczące o kulturze księcia i dowodzące, że taka ignorancja byłaby u niego czymś niemożliwym, ale nagle urwał. Zrozumiał, że Saniette nie potrzebuje tych dowodów, że wie, iż historyjka jest fałszywa, bo ją po prostu sam przed chwilą wymyślił. Saniette, poza tym zacny człowiek, bolał, że go Verdurinowie uważają za tak bardzo nudnego; w poczuciu, że przy obiedzie jeszcze mniej błyszczał niż zwykle, nie chciał wstać od stołu, nie zabawiwszy trochę towarzystwa. Skapitulował szybko, zboląły, że go zawiódł spodziewany efekt; i wołać, aby Swann nie wdawał się już w zbyteczne sprostowania, odparł tchórzliwie: „Dobrze już, dobrze. W każdym razie, nawet gdybym się mylił, to nie jest chyba zbrodnia”. Swannowi zrobiło się go żal; rad byłby znów powiedzieć, że historyjka jest prawdziwa i urocza. Doktor, który się przysłuchiwał, uznał, że to jest miejsce, aby powiedzieć: „Se non e vero”; ale nie był dość pewien słów i bał się zaplątać.

Po obiedzie Forcheville sam z siebie podszedł do doktora:

— Musiała być niebrzydka ta pani Verdurin, no i to jest kobieta, z którą da się rozmawiać; dla mnie to jest najważniejsze. Szkoda, że zaczyna być trochę ciężkawa. Za to pani de Crécy to kobietka, która wydaje się diablo inteligentna; a, do stu diabełków, widać zaraz, że ona ma wszystko tam, gdzie trzeba! Mówimy o pani de Crécy — rzekł do pana Verdurin, który się zbliżył z fajeczką w zębach. — Wyobrażam sobie, że jako ciało...

— Wolalbym mieć w łóżku ją niż złamaną nogę — rzekł spiesźnie Cottard, który od paru chwil czekał na próżno, aż Forcheville zaczerpnie oddech, aby ulokować ten stary koncept. Tak się bał, iż, o ile rozmowa zmieni przedmiot, koncept przestanie być aktualny, że wypowiedział go z owym nadmiarem swobody i pewności siebie, które daremnie maskują nieodłączny od chęci popisu chłód i tremę. Forcheville znał ten dowcip, toteż ubawił się nim. Co się tyczy pana Verdurin, ów nie certował się ze swą wesołością, bo znalazł od niedawna na wyrażenie jej symbol różny od tego, którym się posługiwała jego żona, ale równie prosty i jasny. Ledwie jąwszy poruszać głowę i ramionami jak ktoś, kto pęka od śmiechu, zaraz zaczynał kaszleć, tak jakby, śmiejąc się za mocno, połknął dym z fajeczki; i wciąż trzymając fajkę w zębach, przedłużał nieograniczenie imitację duszenia się i wesołości. Tak on i pani Verdurin, która naprzeciwno, słuchając jakiejś historii malarza, zamykała oczy, nim ukryła twarz w dłoniach, wyglądali jak dwie teatralne maski na różne sposoby wyobrażające wesołość.

Pan Verdurin uczynił roztropnie, nie wyjmując fajeczki z ust, bo Cottard, zmuszony oddalić się na chwilę, zrobił półgłosem żarcik, którego niedawno się nauczył i powtarzał go za każdym razem, kiedy się miał udać w to miejsce: „Muszę pomówić chwilę z księciem Aumale”; tak że krztuszenie się pana Verdurin zaczynało się na nowo.

— Słuchaj, wyjmij fajkę z ust, widzisz przecie, że się w końcu udusisz od tego hamowania śmiechu — rzekła do męża pani de Verdurin, częstując równocześnie gości likierami.

— Co za przemily człowiek, pani mąż, ile on ma dowcipu! — oświadczył Forcheville pani Cottard — Dziękuję pani. Stary wiarus jak ja nie gardzi nigdy lyczkiem.

— Pan de Forcheville oczarowany jest Odetą — rzekł Verdurin do żony.

— A, Odeta miałaby ochotę zająć kiedy do nas z panem na śniadanie. Ułożymy to, ale nie trzeba, żeby Swann wiedział. Wie pan, on trochę psuje nastrój. To panu nie przeszkodzi przychodzić na obiad, oczywiście; mamy nadzieję widywać pana bardzo często. Zbliża się piękny czas, będziemy jadali często na powietrzu. To by pana nie nudziło zjeść czasem obiad w Lasku? Świetnie, to będzie bardzo przyjemne. — Czy ten tam nie myśli

pilnować swego rzemiosła, hej! — krzyknęła pani Verdurin na młodego pianistę, chcąc wobec „nowego” tej klasy co Forcheville popisać się zarazem i swoim dowcipem, i swoją tyrańską władzą nad wiernymi.

— Pan de Forcheville właśnie cię obmawiał przede mną — rzekła pani Cottard do męża, który wrócił do salonu.

Cottard, pochłonięty myślą o tytule Forcheville’a (co go zaprzętało od początku obiadu), rzekł doń:

— Leczę w tej chwili pewną baronową, panią de Putbus. Putbusowie brali udział w krucjatach, prawda? Mają na Pomorzu jezioro dziesięć razy większe niż plac Zgody. Leczę ją na artretyzm, urocza kobieta. Zna zresztą panią Verdurin, o ile mi się zdaje.

Co pozwoliło panu de Forcheville, kiedy się znalazł w chwili potem z panią Cottard, uzupełnić pochlebny sąd o jej mężu:

— Do tego człowiek taki interesujący; zaraz widać, że zna świat. Ba, lekarze wiedzą tyle rzeczy.

— Zagram motyw z sonaty dla pana Swanna? — rzekł pianista.

— Czy to będzie sonata za grajcar? — spytał dowcipny Forcheville, robiąc aluzję do „kreutzerowskiej”.

Ale Cottard, który nigdy nie słyszał tego kalamburu, nie zrozumiał. Zbliżył się żywo, aby to rozjaśnić.

Forcheville wytłumaczył mu aluzję. Doktor zaczerwienił się.

— Niech pan przyzna, doktorze, że to zabawne.

— Och, znałem to od dawna — odparł Cottard.

Ale zamilkli; pod drganiem skrzypcowego tremolo, które ją chroniło swoim drżącym oparciem o dwie oktawy wyżej — jak w górskiej okolicy za pozorną i zawrotną nieruchomością wodospadu widzi się o dwieście stóp niżej maleńki kształt turystki — fraza Vinteuila ukazała się, daleka, wdzięczna, chroniona długim rozwijaniem się przez zroczyściej, ciągłej i dźwięcznej zasłony. I Swann w sercu swoim zwrócił się do niej niby do powiernicy swojej miłości, jak do przyjaciółki Odety, która powinna by przecież powiedzieć Odecie, żeby nie zwracała uwagi na tego Forcheville.

— A, pan przychodzi późno — rzekła pani Verdurin do jednego z wiernych, którego zaprosiła jedynie jako „wykałaczkę”. — Mieliśmy niezrównanego Brichota, co za wymowa! Ale poszedł. Prawda, panie Swann? Przypuszczam, że pan się z nim pierwszy raz spotkał — rzekła, aby podkreślić, że Swann jej zawdzięcza tę znajomość. — Prawda, rozkoszny był nasz Briszocik?

Swann skłonił się grzecznie.

— Nie? Nie zajął pana? — spytała sucho pani Verdurin.

— Ależ owszem, pani, byłem zachwycony. Jest może trochę zbyt apodyktyczny i zbyt jowialny jak na mój gust; wolałbym czasem u niego więcej wahania, więcej miękkości; ale czuć, że tyle rzeczy wie... Wygląda zresztą na bardzo zacnego człowieka.

Goście rozeszli się późno. Pierwsze słowa doktora do żony były:

— Rzadko widziałem panią Verdurin w tak dobrym usposobieniu.

— Co to jest właściwie ta Verdurin, eks-kokota? — spytał Forcheville malarza, któremu zaproponował wspólny powrót.

Odeta patrzyła z żalem za oddalającym się Forchevillem, nie śmiała się wykręcić od powrotu ze Swannem, ale w drodze była kwaśna, a kiedy spytał ją, czy ma wstąpić, odparła: „Rozumie się”, wzruszając niecierpliwie ramionami.

Kiedy wszyscy goście wyszli, pani Verdurin rzekła do męża:

— Widziałeś, jak Swann głupio się śmiał, kiedyśmy mówili o pani La Tremoille?

Zauważyła, że przed tym nazwiskiem Swann i Forcheville kilka razy opuścili słówko „de”. Nie wątpiąc, iż chcieli tym okazać, że ich nie onieśmielają tytuły, naśladowała ich ambit, ale niedobrze pochwyliła jego formę gramatyczną. Toteż błędny sposób mówienia odnosił zwycięstwo nad republikańską niezależnością pani Verdurin; mówiła także „ci de la Tremoille” lub raczej, skrótem używanym przez piosenkarzy i karykaturzystów, którzy lykali „de”, „d’La Tremoille”; ale odbijała to sobie, mówiąc: „Pani La Tremoille”. — „Księżna”, jak powiada Swann — dodała pani Verdurin z ironicznym uśmiechem mającym dowieść, że ona tylko cytuje, nie biorąc na swój rachunek równie naiwnej i śmiesznej tytułatury.

— Powiem ci, że mi się wydał straszliwie głupi.

A pan Verdurin odpowiedział:

— On nie jest szczery, to jegomość bardzo ostrożny, zawsze na dwóch stołkach. Zawsze wilk, koza i kapusta. Co za różnica z tym Forcheville. To przynajmniej człowiek, który powie ci wręcz, co myśli. Wóz albo przewóz, nie tak jak tamten, który jest zawsze ni pies ni wydra. Zresztą Odeta diablo mi na to wygląda, że woli Forcheville'a, i przyznając jej słusność. Ten głupi Swann chce nam tu odwalić światowca, trubadura księżniczki. Tamten ma przynajmniej tytuł: zawsze to hrabia de Forcheville — dodał pan Verdurin z miną smakosza, jak gdyby, biegły w historii owego hrabstwa, odważał drobiazgowo jego swoistą wartość.

— Powiem ci — rzekła pani Verdurin — że Swann uważał za właściwe cisnąć na Brichota parę jadowitych i dosyć pociesznych insynuacji. Oczywiście, skoro widział, że my tu Brichota kochamy, to był dla niego sposób, aby nas osiągnąć, aby sponiewierać nasz obiad. Czuć w nim miłego koleżkę, który cię obmówi za drzwiami.

— Ależ ja ci dawno mówiłem — rzekł pan Verdurin — Swann, to skrachowany geniusz, mała figurka, zawistna o wszystko, co ją przerasta.

W rzeczywistości nie było „wiernego”, który by był mniej złośliwy od Swanna. Ale wszyscy oni mieli tę ostrożność, aby zaprawiać obmowę starymi dowcipami, małą dawką ciepła i serdeczności, podczas gdy widziano perfidię w najlżejszym zastrzeżeniu Swanna, który nie raczył się zniżać do utartych zwrotów w rodzaju: „Mówię to bez cienia złej intencji”. Istnieją autorowie, u których najmniejsza śmiałość oburza, dlatego że nie poglaskali wpięrow gustów publiczności i nie poczęstowali jej komunałami, do których przywykła; z tego samego powodu Swann oburzał pana Verdurin. U Swanna, jak u tych pisarzy, nowość stylu kazała wierzyć w szpetotę intencji.

Swann nie wiedział jeszcze o niełasce grożącej mu u Verdurinów i nadal widział ich śmieszności w różowym świetle, poprzez swoją miłość.

Zazwyczaj spotykał się z Odetą aż wieczór; ale w ciągu dnia, bojąc się ją zmęczyć swymi wizytami, rad byłby bodaj zaprzętnąć jej myśli; wciąż szukał sposobności przypomnienia się jej, ale w miły dla niej sposób. Jeżeli w oknie kwiaciarni albo u jubilera zachwyił go jakiś krzew lub klejnot, pierwszą myślą Swanna było posłać je Odecie; wyobrażał sobie, że ona podzieli przyjemność, jaką on odczuł, że miłość jej wzrośnie od tego. Natychmiast dawał odnieść upominek na ulicę La Pérouse; pilno mu było do chwili, w której przez fakt obdarowania uczuje się poniekąd blisko Odety. Dbał zwłaszcza o to, aby Odeta otrzymała przesyłkę przed wyjściem z domu: kupował tym sobie prawo do jej czulszego powitania, kiedy ją spotka u Verdurinów. A nawet, kto wie, jeśli się pośpieszą z odesłaniem, może go czeka przed obiadem list Odety, może wreszcie ona zjawi się we własnej osobie, aby mu podziękować! Jak niegdyś doświadczał na Odecie reakcji urazy, tak teraz starał się za pomocą odruchów wdzięczności wydobyć z niej sekretne cząstki uczucia, których mu jeszcze nie odsłoniła.

Często Odeta miała kłopoty pieniężne; nagłona jakimś długiem, prosiła Swanna, aby jej przyszedł z pomocą. Uszczęśliwiała go to jak wszystko, co mogło dać Odecie wysokie pojęcie o jego miłości lub po prostu o jego wpływach, o pożytku, jaki może mieć z niego. Bez wątpienia, gdyby mu kto powiedział na początku: „jej się podoba twoja pozycja”, a teraz: „jeżeli cię kocha, to dla twojego majątku”, Swann nie byłby uwierzył; nie miałby zresztą nic przeciw temu, aby uważano Odetę za związaną z nim czymś tak mocnym jak snobizm lub pieniądze. Ale, gdyby nawet myślał, że to jest prawda, może nie byłby cierpiał, odkrywając w miłości Odety pobudkę trwalszą niż jego osobiste powaby i zalety; interes, interes zdolny odsunąć na zawsze dzień, w którym Odeta byłaby go skłonna porzucić. Na razie, obsypując ją podarkami, oddając jej przysługi, Swann mógł zdać się na te przewagi niezwiązane z jego osobą, z jego inteligencją; mógł wytchnąć w wyczerpującym staraniu podobania się jej sam przez siebie. I jako smakosz niematerialnych wzruszeń chętnie opłacał rozkosz kochania, istnienia jedynie miłością, rozkosz, o której rzeczywistości wątpił niekiedy; a cena, którą płacił, pomnażała mu wartość tej rozkoszy. Tak ludzie niepewni, czy widok morza i szmer fal są pełne uroku, przekonują się o tym — zarówno jak o subtelności swoich bezinteresownych upodobań — wynajmując za sto franków dziennie pokój z widokiem w hotelu.

Tego rodzaju refleksje sprowadzały Swanna do epoki, kiedy mu mówiono o Odecie jako o „utrzymance”. Bawił go kontrast tej dziwacznej personifikacji: utrzymanka — migotliwy amalgamat nieznanych i diabolicznych elementów, oprawny niby wizja Gustawa Moreau w zatrute kwiaty splecione z drogimi kamieniami; — i Odeta, na której twarzy widział grające uczucia litości dla nędzarza, oburzenia na niesprawiedliwość, wdzięczności za dobrodziejstwo; te same, które oglądał niegdyś u własnej matki, u swoich przyjaciół; Odeta, która w rozmowie często potrącała rzeczy tak dobrze mu znajome, jego zbiory, jego pokój, starego służącego, bankiera, u którego Swann lokował kapitały. Ten ostatni obraz: bankier, przypominał Swannowi, że trzeba mu podjąć pieniądze. W istocie, gdyby w tym miesiącu mniej hojnie przyszedł Odecie z pomocą niż w zeszłym, w którym dał jej pięć tysięcy franków, gdyby jej nie ofiarował upragnionej diamentowej riwiery, nie odnowiłby w Odecie podziwu dla jego hojności; nie odrodziłby jej wdzięczności, która go czyniła tak szczęśliwym; naraziłby się wręcz na przypuszczenie, że jego miłość się zmniejszyła, skoro jej dotykalne objawy maleją. Wówczas nagle Swann zapytał sam siebie, czy nie to właśnie znaczy „utrzymywać” kobietę (jak gdyby w istocie owo pojęcie „utrzymywania” mogło się wyłaniać z elementów wcale nie tajemniczych ani przewrotnych, ale należących do jego codziennego i prywatnego życia, jak ten banknot tysiącfrankowy, domowy i zwyczajny, przedarty i sklejonny, który jego kamerdyner, zapłaciwszy rachunki miesięczne i komorne, włożył do szuflady starego biurka, skąd go wziął Swann, aby wraz z czterema innymi posłać go Odecie) i czy nie można zastosować do Odety od czasu ich znajomości (bo nie posądzał jej ani przez chwilę, aby mogła kiedykolwiek wprzód przyjąć pieniądze od kogo innego) tego słowa „utrzymanka”, które zdawało mu się tak z nią niewspółmierne.

Nie mógł zgłębić tego problemu, bo lenistwo myśli, które było u Swanna dziedziczne, periodyczne i opatrnościowe, zgasiło w tej samej chwili wszelką jasność jego inteligencji, równie nagle jak później, kiedy zaprowadzono wszędzie elektryczność, można było wyłączyć światło. Myśl Swanna błędziła chwilę w ciemności; zdjął okulary, przetarł szkła, przeciągnął ręką po oczach i ujrzał z powrotem światło dopiero wówczas, kiedy się znalazł w obliczu zupełnie odmiennej myśli: mianowicie, że w następnym miesiącu trzeba by posłać Odecie zamiast pięciu tysięcy sześć albo siedem tysięcy franków, aby jej sprawić niespodziankę i radość.

Wieczorem, kiedy nie siedział w mieszkaniu oczekując godziny spotkania Odety u Verdurinów (lub raczej w jednej z letnich restauracji w Lasku, a zwłaszcza w Saint-Cloud, które lubili), Swann szedł na obiad do któregoś z wytwornych domów, gdzie niegdyś bywał stałym gościem. Nie chciał tracić kontaktu z ludźmi, którzy — cóż można wiedzieć? — mogliby kiedyś przydać się Odecie i dzięki którym na razie udawało mu się często zrobić jej przyjemność. Zarazem długotrwałe jego przyzwyczajenie do świata, do zbytku, wszczepiło Swannowi — równocześnie z ich lekceważeniem — ich potrzebę: od chwili gdy najskromniejsze klitki wydawały mu się czymś zupełnie równoważącym z najbardziej książęcymi apartamentami, organy jego tak dalece przywykły do apartamentów, że doznawałyby niejkiej przykrości, znalazłszy się w klitkach. Swann miał ten sam szacunek — nikt nie uwierzyłby do jakiego stopnia! — dla skromnych mieszczan, tańczących na piątym piętrze schodów D, sięń na lewo, co dla księżnej parmeńskiej, która wydawała najpiękniejsze bale w Paryżu; ale nie miał wrażenia bału, siedząc wraz z ojcami rodzin w sypialni pani domu, widok zaś umywalni przykrytych serwetkami, łóżek przeobrażonych w szatnie, spiętrzonych paltami i kapeluszcami, przyprawiał go o to samo wrażenie duszności, jakie dziś ludziom przyzwyczajonym od dwudziestu lat do elektryczności może sprawiać zapach kopczącej lampy lub smrodliwej lampki nocnej.

W dniu, w którym Swann miał jakiś proszony obiad, kazał zaprzęgać na wpół do ósmej i ubierał się, myśląc o Odecie. W ten sposób nie czuł się sam; ciągnęła myśl o Odecie dawała chwilom rozłąki ten sam swoisty urok, co chwilom pędzonym koło niej. Siadał do powozu, ale czuł, że ta myśl wskoczyła z nim równocześnie i sadowiła się na jego kolanach niby ukochane zwierzę, które bierze się wszędzie i które by miał obok siebie przy stole bez wiedzy sąsiadów. Pieścił ją, grzał się o nią; czuł jakby jakąś omdłałość, poddawał się lekkiemu, dotąd nieznanemu drżeniu, które lechtało jego kark i nos, kiedy równocześnie przyszpilał do klapy fraka kwiat tuberozy. Czując się cierpiący i smutny od jakiegoś czasu — zwłaszcza od czasu, gdy Odeta wprowadziła Forcheville'a do Verdurinów — Swann

byłby rad wypocząć trochę na wsi. Ale kiedy Odeta była w Paryżu, nie miałby siły opuścić miasta ani na jeden dzień. Czas był ciepły, były to najpiękniejsze dni wiosny. I kiedy Swann przebywał kamienne miasto, spiesząc do jakiegoś zamkniętego pałacu, wciąż miał przed oczami swój park w pobliżu Combray, gdzie, nie dochodząc do grządek szparagów, dzięki wiatrowi od Méséglise, można było, poczawszy od czwartej, kosztować w altance tyleż chłodu co nad brzegiem stawu okolonego gladiolusami i niezapominajkami, i gdzie, kiedy jadł obiad, stroiły stół porzeczeki i róże splecione ręką ogrodnika.

Po obiedzie, jeśli spotkanie w Lasku lub w Saint-Cloud wypadło wcześniej, Swann, ledwie wstawszy od stołu, opuszczał towarzystwo tak nagle — zwłaszcza jeżeli deszcz groził tym, iż „wierni” wcześniej się rozejdą — że raz księżna des Laumes (jadła się u niej późno i Swann pożegnał się przed kawą, aby spieszyć do Verdurinów) rzekła:

— Doprawdy, gdyby Swann miał o trzydzieści lat więcej i chorobę pęcherza, można by mu darować, że tak pomyka. Ale, bądź co bądź, on sobie z nami robi za mało ceremonii!

Swann powiadał sobie, że ten urok wiosny, którego nie mógł kosztować w Combray, znajdzie bodaj na wyspie Łabędziej lub w Saint-Cloud. Że jednak mógł myśleć jedynie o Odecie, sam nie wiedział nawet, czy czuje zapach liści i czy jest księżyc. Przyjmowano go frazą sonaty wykonaną w ogrodzie na pianinie restauracyjnym. O ile nie było tam pianina, Verdurinowie nie żalowali trudu, aby je ściągnąć z jakiegoś pokoju albo z sali jadalnej; co nie znaczy, aby Swann odzyskał ich łaski; przeciwnie. Ale myśl zorganizowania jakiejś pomyslowej przyjemności nawet dla kogoś, kogo nie lubili, rodziła w nich przez chwilę przygotowań przelotne i okolicznościowe uczucia sympatii i serdeczności.

Czasami Swann powiadał sobie, że jeszcze jeden wieczór wiosenny mija; silił się zwracać uwagę na drzewa, na niebo. Ale wzruszenie, o jakie go przyprawiała obecność Odety, a także lekka gorączka, która nie opuszczała go od jakiegoś czasu, pozbawiała go swobody i spokoju, będących nieodzownym tłem dla wrażeń przyrody.

Pewnego wieczora, będąc na obiedzie u Verdurinów, Swann powiedział przy stole, że jutro ma jakiś koleżeński bankiet. Na co Odeta odrzekła mu przez stół, przy Forcheville'u, który należał obecnie do wiernych, przy malarzu, przy doktorze Cottard:

— Tak, wiem, że pan ma swój bankiet; zatem zobaczę pana dopiero u siebie, ale niech pan nie przychodzi za późno.

Mimo że Swann nigdy dotąd poważnie nie zaniepokoił się sympatią Odety do któregoś z wiernych, odczuł głębokie szczęście, słysząc, jak ona odsłania w ten sposób, wobec wszystkich, ze spokojnym bezwstydem ich cowieczorne spotkania i jego uprzywilejowaną sytuację w jej sercu. Niewątpliwie Swann uświadamiał sobie często, że Odeta nie jest pod żadnym względem kobietą niezwykłą; a przewaga, jaką posiadał nad istotą o tyle odeń niższą, nie miała w sobie nic, co by mogło czynić tak pochlebny publiczne uznanie jego praw. Ale od czasu jak spostrzegł, iż wielu mężczyznom Odeta wydaje się czarująca i pożądana, działanie jej urody na innych obudziło w Swannie bolesną potrzebę opanowania kochanki całkowicie, w najdrobniejszych cząsteczkach jej serca. I zaczął przywiązywać nieźrównaną cenę do owych chwil spędzanych u Odety, kiedy ją sobie sadzał na kolanach, każąc jej paplać, co myśli o tym i owym, kiedy robił bilans jedynych dóbr, na których posiadaniu zależało mu obecnie na ziemi. Toteż po tym obiedzie, wzięwszy Odetę na bok, nie omieszkął podziękować jej gorąco, starając się ją obzajnić przez dawkowanie swojej wdzięczności ze skalą rozkoszy, jakie mu mogła sprawić. A najwyższą z nich było ubezpieczenie go od grotów zazdrości na czas, przez który jego miłość miała trwać i czynić go dla nich dostępnym.

Kiedy nazajutrz Swann opuścił bankiet, lało jak z cebra. Miał do rozporządzenia jedynie swój otwarty powóz. Przyjaciół ofiarował się odwieźć go do domu kareta, że zaś Odeta, prosząc go, aby przyszedł, dała mu tym samym pewność, że nie oczekuje nikogo, Swann byłby chętnie, ze spokojną myślą, z zadowolonym sercem wrócił do siebie położyć się zamiast wędrować w deszcz. Ale pomyślał, że gdyby Odeta ujrzała, iż jemu widocznie nie zależy na spędzeniu z nią zawsze, bez wyjątku końca wieczoru, nie zachowałaby mu może tej godziny właśnie w dniu, kiedy on byłby jej szczególnie spragniony.

Zjawił się po jedenastej, tłumacząc się, że nie mógł wyjść wcześniej. Odeta skarżyła się, że w istocie jest bardzo późno; burza musiała jej rozstroić nerwy, boli ją głowa, uprzedza, że nie da mu siedzieć dłużej niż pół godziny, że go o dwunastej wyprawi. W chwilę potem uczuła się zmęczona i chciała iść spać.

— Więc nie będzie katlei dziś wieczór? — rzekł Swann — A ja się spodziewałem dobrej, miłej katlei.

Nerwowa, nieco nadąsana, odparła:

— Nie, kochanie, żadnych katlei dzisiaj; widzisz, że jestem cierpiąca.

— To by ci może dobrze zrobiło, ale nie nalegam.

Poprosiła, aby zgasił światło przed wyjściem; sam zasunął firanki przy łóżku i odjechał. Ale kiedy się znalazł w domu, przyszła mu nagle myśl, że może Odeta oczekiwała kogoś tego wieczora, że udawała tylko zmęczenie i że prosiła, aby zgasił światło jedynie po to, aby udać, iż będzie spała; ale że natychmiast po jego odejściu zaświeciła z powrotem i wpuściła tego, kto z nią miał spędzić noc. Swann popatrzył na zegarek; upłynęło mniej więcej półtorej godziny od czasu, jak się rozstali. Wyszedł, wziął fiakra i kazał stanąć w pobliżu willi Odety w uliczce prostopadłej do tej, która przylegała do tyłów domu. Czasem zachodził tamtędy, aby pukać do okna sypialni. Wysiadł z dorożki; wszystko było czarne i puste dookoła; w kilka kroków znalazł się prawie pod jej oknem. W ciemności wszystkich okien zgaszonych od dawna ujrzał jedno, z którego sączyło się światło przez okiennice, wyciskające jego tajemniczy i złocisty miąższ. Przez tyle innych wieczorów, kiedy Swann już z daleka, wchodząc w ulicę, spostrzegł to światło, cieszyło go ono i zwiastowało mu: „ona tam jest i czeka na ciebie”. Ale teraz dręczyło go, powiadając; „ona tam jest z tym, którego oczekiwała”. Chciał wiedzieć z kim; podsunął się wzdłuż muru aż do okna, ale przez skośne listewki okiennic nie mógł nic dojrzeć; słyszał jedynie w ciszy nocnej szmer rozmowy. Och, jakże cierpiał, widząc to światło, w którego złotej aurze poruszała się za oknem niewidzialna i nienawistna para; cierpiał, słysząc szmer zdradzający obecność intruza i fałsz Odety, i szczęście, którego właśnie kosztowała z tamtym.

Mimo to Swann był rad, że przyszedł. Cierpienie, które go wyгнаło z domu, tracąc swoją nieuchwytność, straciło ostrość. Owo inne życie Odety, którego miał w tej chwili nagle i bezsilne podejrzenie, było tu, w jego ręku, jasno oświetlone lampą, uwięzione bez jej wiedzy w tym pokoju, dokąd — gdyby chciał — mógłby wejść, aby ją zaskoczyć i nakryć. Nie, raczej zapuka w okiennicę, tak jak robił często, kiedy przychodził późno w nocy; w ten sposób Odeta dowie się bodaj, że on wie, że widział światło i słyszał rozmowę. I on, który przed chwilą wyobrażał sobie Odetę śmiejącą się z owym drugim z łatwowierności jego, Swanna, teraz widział ich tonących w złudzeniu bezpieczeństwa, a w istocie oszukanych przez niego. Myślał, że on jest daleko, a on już wie, że zapuka w okiennicę. I może to, co odczuwał w tej chwili niemal z przyjemnością, było zarazem czymś innym niż uśmierzeniem podejrzeń i bólu: to była rozkosz intelektualna. Od czasu jak Swann był zakochany, rzeczy odzyskały dlań nieco rozkosznego bogactwa, jakie w nich znajdował niegdyś, ale tylko o tyle, o ile je oświetlało wspomnienie Odety. Obecnie zazdrość jego wskrzeszała inną zdolność jego pracowitej młodości; namiętność prawdy, ale prawdy również wsuniętej między niego a jego kochankę, czerpiącej światło tylko z niej, prawdy całkowicie indywidualnej, mającej za przedmiot — przedmiot jedyny, bezcenny, niemal bezinteresownie piękny — postęпки Odety, jej stosunki, projekty, jej przeszłość. W każdej innej epoce swego życia Swann uważał drobne uczynki i codzienne gesty jakiejś osoby za coś bez znaczenia; jeżeli mu opowiadano o nich, wydawały mu się obojętne; o ile słuchał tych plotek, interesowała się nimi wyłącznie jego najpospolitsza ciekawość; były to dlań chwile, w których się czuł najlichszym. Ale w tym dziwnym okresie miłości życie indywidualne nabiera osobliwej głębi. Budząca się w Swannie ciekawość najdrobniejszych zajęć kobiety to była ta sama ciekawość, jaką niegdyś odczuwał studiując historię. I wszystko to, czego byłby się wstydził dotąd — iść szpiegować pod oknem, jutro może — kto wie! — ciągnąć zręcznie za język obojętnych, przekupywać służbę, słuchać pod drzwiami — zdawało mu się tym samym co odczytywanie tekstów, zestawianie świadectw i interpretacja dokumentów; metodą badań naukowych niepozbawioną rzetelnej wartości intelektualnej, właściwą dla szukania prawdy.

W chwili gdy miał zapukać w okiennicę, uczuł na chwilę wstyd na myśl, iż Odeta dowie się, że on ją podejrzewał, że wrócił, że czatował na ulicy. Mówiła mu często, jak się brzydzi zazdrośnikami, kochankami, którzy szpiegują. To, co miał zrobić, było bardzo niezręczne; Odeta znenawidzi go, podczas gdy w tej chwili jeszcze, dopóki nie zapukał, może, nawet zdradzając, kocha go jeszcze. Ileż możliwego szczęścia poświęca się w ten sposób pasji bezpośredniego ukojenia! Ale żądza prawdy była mocniejsza i —

Zazdrość, Miłość

tak mniemał Swann — szlachetniejsza. Wiedział, że realność faktów, za których ściśle odtworzenie oddałby życie, była czytelna za tymi smugami światła, niby pod wyłączonej okładką szacownego rękopisu, na którego artystyczne bogactwa nawet uczony badacz nie może pozostać nieczuły. Odczuwał rozkosz poznania prawdy, która go pasjonowała w tym jednym, znikomym i cennym egzemplarzu uczynionym z substancji świetlnej, tak gorącej i pięknej. A przy tym przewaga nad nimi dwojgiem, którą czuł — którą tak potrzebował czuć — tkwiła nie tyle w tym, aby wiedzieć, ile w tym, aby móc pokazać, że wie. Wspiął się na palce. Zapukał. Nie usłyszano; zapukał mocniej; rozmowa urwała się. Męski głos, w którym Swann silił się rozpoznać kogoś ze znajomych mu przyjaciół Odety, spytał:

— Kto tam?

Swann nie był pewny, czy poznaje ten głos. Zapukał jeszcze raz. Ktoś otworzył okno, potem okiennice. Teraz nie było już sposobu się cofnąć. Skoro Odeta miała wszystko wiedzieć, tedy aby się nie wydać zbyt nieszczęśliwym, zbyt zazdrosnym i ciekawym, Swann poprzestał na tym, że krzyknął swobodnie i wesoło:

— Nie deranżuj się, przechodziłem tędy, spostrzegłem światło i chciałem zajrzeć, czy już cię głowa nie boli.

Popatrzył. Stali przed nim w oknie dwaj starsi panowie, jeden z nich trzymał lampę. Swann ujrzał pokój całkowicie nieznaną. Mając zwyczaj, kiedy przychodził do Odety bardzo późno, poznawać jej okno po tym, że to jedno było oświetlone, Swann pomylił się i zapukał do sąsiedniego okna w domu obok. Oddalił się, przepaszając i wrócił do siebie szczęśliwy, że zadowolenie ciekawości zostawiło ich miłość nietkniętą i że po tak długim maskowaniu się wobec Odety zazdrością swoją nie dostarczył jej dowodu, iż kocha ją za bardzo; który to dowód między dwojgiem kochanków zwalnia drugą stronę na zawsze od kochania dosyć. Nie wspomniał Odecie o *qui pro quo*, sam już o nim nie myślał. Ale chwilami jakiś odruch jego myśli natykał się bezwiednie na owo wspomnienie; potraçał je, wtlaczał je głębiej i Swann odczuwał nagły i głęboki ból. Bólu tego — tak jakby to był ból fizyczny — myśl Swanna nie mogła zmniejszyć; ale na bólu fizycznym — dlatego właśnie, że jest niezależny od myśli — myśl może bodaj skupić się, stwierdzić, że się zmniejszył, że nagle ustał. Tutaj myśl odnawiała ten ból samym faktem przypominania go sobie. Chcieć o nim nie myśleć jeszcze znaczyło myśleć o nim, cierpieć od niego. I kiedy, rozmawiając z przyjaciółmi, Swann zapominał o swoim cierpieniu, nagle jakieś słowo sprawiało, że mienił się na twarzy niby ranny, którego urazi ktoś niezręczny w czułe miejsce. Kiedy opuszczał Odetę, był szczęśliwy, czuł się spokojny, przypominał sobie jej uśmiech, drwiący, kiedy mówiła o kimś innym, a tkliwy dla niego; czuł ciężar jej głowy, gdy ją skłania, upuszcza jakby mimo woli na jego wargi, jak wówczas pierwszy raz w powozie; widział omdlewające spojrzenie, jakie miała w jego objęciach, kiedy wtulała w jego ramię pochyloną głowę.

Ale natychmiast zazdrość — jak gdyby była cieniem jego miłości — zasycala się dubletem owego nowego uśmiechu, którym Odeta obdarzyła go tegoż wieczora, a który teraz, wręcz przeciwnie, urągał Swannowi i nabrzmiewał miłością do innego. Widział to pochylenie głowy, ale skierowane ku innym ustom; wszystkie oznaki czułości, jakie miała dla niego, zwracały się ku innemu. I wszystkie rozkoszne wspomnienia, jakie czerpał z Odety, były niby tyleż szkiców, „makietek” (w rodzaju tych, jakie nam przedkłada dekorator) pozwalających Swannowi stworzyć sobie pojęcie o namiętnych lub lubieżnych pozach, jakie Odeta może mieć z innymi. Tak iż w końcu żałował każdej kosztowanej z nią rozkoszy, każdej wynalezionej przez nich pieszczoty, której słodczyz uświadomił jej niebacznie; każdego wdzięku, jaki w niej odkrył — bo wiedział, że w chwilę potem miały one wzbogacić nowymi narzędziami jego mękę.

Męka ta stawała się jeszcze okrutniejsza wówczas, gdy Swannowi wracała pamięć przelotnego spojrzenia, jakie przed kilku dniami pochwycił — pierwszy raz — w oczach Odety. Było to po obiedzie u Verdurinów. Czy Forcheville, czując, iż szwagier jego Saniette nie jest u nich w łaskach, chciał go wziąć za cel żarcików i zablysnąć jego kosztem; czy że go podrażniło jakieś niezręczne a niewinne słówko niezauważone zresztą przez obecnych, niezdolnych pochwycić mniemanej a niezamierzonej aluzji; czy wreszcie Forcheville szukał od jakiegoś czasu sposobności pozbycia się z domu człowieka, który go znał za dobrze i który krępował go samą obecnością, właśnie dlatego, że Forcheville znał jego delikat-

ność — dość, że odpowiedział na jakieś niezręczne odezwanie się Saniette'a niesłuchanie brutalnie. Wprost zaczął lżyć Saniette'a, podnosząc głos, rozzuchwalony jego przestracchem, bólem, błaganiami. Wreszcie nieszczęśliwy Saniette, spytawszy pani Verdurin, czy ma zostać i nie otrzymawszy odpowiedzi, wyszedł bąkając coś, że łzami w oczach. Odeta patrzyła obojętnie na tę scenę; ale kiedy się drzwi zamknęły za Saniettem, wówczas obniżając niejako o kilka stopni swój zwykły wyraz twarzy po to, aby się móc spotkać z Forchevillem na równym poziomie nikczemności, rozjaśniła twarz chytrym uśmiechem pełnym uznania dla jego energii, a ironii dla ofiary. Rzuciła Forcheville'owi spojrzenie współniczki w złym, spojrzenie, które wyraźnie mówiło: „Nie ma co, wspaniała egzekucja! Widział pan jego zrozpaczoną minę, można było myśleć, że się rozplacze!”. Aż Forcheville, kiedy jego oczy spotkały to spojrzenie, otrzeźwiawszy nagle z prawdziwego lub udanego gniewu, od którego był jeszcze ciepły, uśmiechnął się i odpowiedział:

— Czemu nie był grzeczny, siedziałby jeszcze tutaj. Dobra lekcja przyda się w każdym wieku.

Pewnego dnia Swann, wyszedłszy popołudniu z wizytami i nie zastawszy kogoś, wpadł na myśl, aby wstąpić do Odety w porze, w której nigdy do niej nie zachodził, ale w której zawsze bywała w domu. Zwykle o tej godzinie robiła sjęstę albo pisała listy przed herbatą; mógłby tedy ujrzeć na chwilę Odetę, nie przeszkadzając jej. Odźwierny objaśnił, że, o ile mu się zdaje, pani jest u siebie; Swann zadzwonił: zdawało mu się, że słyszy hałas, kroki, ale nikt nie otworzył. Niespokojny, podrażniony, skierował się w uliczkę, na którą wychodził drugi front willi. Przystanął pod sypialnią Odety; przez firanki nie było nic widać. Zapukał silnie w szybę, zawołał: nikt nie otworzył. Ujrzał, że sąsiedzi patrzą na niego. Odszedł, myśląc, że ostatecznie może mu się tylko zdawało, iż słyszy kroki; ale fakt ten poruszył go tak, że niezdolny był myśleć o niczym innym. W godzinę później wrócił. Zastał Odetę; powiedziała mu, że była w domu wówczas, kiedy dzwonił, ale spała; dzwonek obudził ją, zgadła, że to był Swann, pobiegła za nim, ale już odszedł. Słyszała, że ktoś pukał w szybę.

Swann poznał w tym opowiadaniu jeden z owych fragmentów autentycznego faktu, którymi kłamcy, zaskoczeni, ratują się, wprowadzając prawdziwy szczegół w system zmyślonych przez siebie okoliczności i sądząc, że w ten sposób zdołają użyczyć całosci znamienia Prawdy. Niewątpliwie, kiedy Odeta zrobiła coś, do czego nie chciała się przyznać, ukrywała to starannie. Ale kiedy się znalazła w obecności osoby, przed którą chciała skłamać, ogarniało ją zmieszanie, wszystkie jej myśli mąciły się, inwencja jej i zdolność rozumowania były jak sparaliżowane. Czuła w głowie pustkę; trzeba było coś powiedzieć; wówczas znajdowała pod ręką właśnie to, co chciała ukryć i co, będąc prawdą, samo zostało na placu. Oddzielała z tego mały kawałek, sam przez się bez znaczenia, powiadając sobie, że tak będzie lepiej i że prawdziwy szczegół nie nastrecza tych niebezpieczeństw co fałszywy.

„To przynajmniej jest prawda — mówiła sobie — to jest pewne. Może się dowiadywać, przekona się, że to była prawda; to mnie w każdym razie nie zdradzi”.

Myliła się: właśnie to ją zdradzało! Nie zdawała sobie sprawy, że ten prawdziwy szczegół ma kanty przystające jedynie do odpowiednich zażeń prawdziwego faktu, z którego go samowolnie wyrwała. Jakiegokolwiek byłyby zmyślone szczegóły, między które Odeta wstawiła ów fakt, wystające kontury i niewypełnione luki zdradziłyby zawsze, że jedno nie pasuje do drugiego.

„Przyznaje, że słyszała jak dzwoniłem, jak potem pukałem; domyśliła się, że to byłem ja, miała ochotę mnie widzieć — powiadał sobie Swann. — To się nie zgadza z faktem, że nie kazała otworzyć”.

Ale nie zwrócił Odecie uwagi na tę sprzeczność. Przypuszczał, iż zostawiona samej sobie strzeli może jakimś kłamstwem, które wskaże bodaj wąty ślad prawdy. Mówiła dalej; nie przerywał, z chciwym i bolesnym pietyzmem zbierał jej słowa. Czuł — właśnie dlatego, że ona kryła tę prawdę poza słowami — że rysują one mglisto, niby święta zasłona, niepewny kształt bezcennej i niepochwytej rzeczywistości: co Odeta robiła dziś o trzeciej, kiedy Swann przyszedł. To była owa rzeczywistość, z której on będzie zawsze posiadał jedynie te kłamstwa, nieczytelne i boskie jej ślady — rzeczywistość istniejąca już tylko w skrytym wspomnieniu istoty, która patrzyła na nią, nie umiejąc jej ocenić, ale która mu jej z pewnością nie wyda.

Zapewne Swann rozumiał chwilami, że same przez się codzienne czynności Odety nie są zbyt interesujące i że możebe jej stosunki z innymi mężczyznami nie dla każdej myślącej istoty wydzielają w naturalny sposób ów chorobliwy smutek, zdolny wzniesić gorączkę samobójstwa. Zdawał sobie sprawę wówczas, że ta namiętna ciekawość, że ten smutek są w nim jedynie rodzajem choroby; kiedy się z tej choroby wyleczy, postęпки Odety, pocałunki może przez nią rozdawane, staną się znów obojętne jak pocałunki i postęпки tylu innych kobiet. Ale świadomość, że jego bolesna ciekawość ma źródło tylko w nim samym, nie zmniejszała nasilenia tej ciekawości i nie nakazywała mu poniechać czegokolwiek, co by ją mogło zaspokoić. Swann miał filozofię swoich lat, będącą po trosze i filozofią epoki, a także kółka, w którym się długo obracał. W koterii księżnej des Laumes człowiek uchodził za inteligentnego w tej mierze, w jakiej wątpił o wszystkim, uważając za rzecz realną i bezsporną gusty każdego. To nie jest już filozofia młodości, ale pozytywna, lekarska niemal filozofia ludzi, którzy zamiast obiektywizować sobie przedmioty własnych pragnień, próbują ze swoich minionych już lat wydobyć osad przyzwyczajień i namiętności; i uznawszy je za znamienne dla siebie i trwale, świadomie czuwają, aby ich tryb życia tym właśnie przyzwyczajeniom i namiętnościom mógł czynić zadość. Swann uznał za rozsądne uwzględnić element cierpienia, jaki mu sprawiała niewiedza tego, co może robić Odeta, tak jak uwzględniał wpływ wilgoci na swoją egzemę. Uznał w swoim budzecie poważne pozycje na to, aby zdobyć o Odecie informacje, bez których czułby się nieszczęśliwy, tak jak przeznaczał odpowiednie kwoty na inne swoje upodobania, po których mógł się spodziewać przyjemności — przynajmniej zanim był zakochany — jak na przykład kolekcjonerstwo i dobra kuchnia.

Kiedy Swann chciał pożegnać Odetę, aby wrócić do siebie, prosiła, żeby został jeszcze; zatrzymała go nawet dość żywo, ujmując go za ramię w chwili, gdy już otwierał drzwi. Nie zwrócił na to uwagi; w mnogości gestów, słów, drobnych epizodów rozmowy, łatwo przechodzimy niebacznie obok faktów ukrywających prawdę, której nasze podejrzenia szukają na oślep, a przeciwnie zatrzymujemy się przy tych, poza którymi nie ma nic. Odeta powtarzała cały czas:

— To fatalne! Nigdy nie przychodzisz popołudniu i kiedy raz ci się zdarzyło, takie nieporozumienie!

Swann wiedział, że Odeta nie jest w nim na tyle zakochana, aby miała tak bardzo żałować, że ją minęła jego wizyta; że jednak była dobra, lubiąca mu wygodzić i często smutna, kiedy mu sprawiała przykrość, wydało się Swannowi zupełnie naturalne, że jest markotna, iż pozbawiła go przyjemności spędzenia godziny razem — przyjemności wielkiej nie dla niej, ale dla niego. Ostatecznie jednak była to rzecz dość błaha, tak iż bolesny wyraz nieustępujący z twarzy Odety zdziwił go w końcu. Bardziej jeszcze niż zazwyczaj przypominała mu kobiece postacie twórcy *Primavery*. Miała w tej chwili ich zgnębioną i umęczoną twarz, jak gdyby uginającą się pod brzemieniem zbyt ciężkiej dla nich boleści, kiedy po prostu pozwalają dzieciątku Jezus bawić się owocem granatu lub patrzają, jak Mojżesz nalewa wody do wiadra. Widział u niej już raz taki smutek, ale nie pamiętał kiedy. I nagle przypomniał sobie: to było wtedy, kiedy Odeta skłamała przed panią Verdurin, nazajutrz po obiedzie, na który nie przyszła pod pozorem, że była chora, a naprawdę żeby zostać ze Swannem. Z pewnością, choćby była najskrupulatniejszą z kobiet, nie mogłaby mieć wyrzutów z powodu równie niewinnego kłamstwa. Ale kłamstwa, których codziennie dopuszczała się Odeta, były mniej niewinne i miały zapobiec odkryciom zdolnym zapędzić ją w straszliwie ciężkie sytuacje. Toteż kłamiąc, Odeta wystraszona, czując słabość swojej obrony, niepewna sukcesu, miała ochotę płakać ze zmęczenia jak czasem dzieci z niewyspania. Wiedziała zarazem, że jej kłamstwo poważnie zazwyczaj obraża mężczyznę, któremu kłamie i na którego łasce może się znaleźć, o ile skłamię źle. Czuli się wobec tego człowieka zarazem pokorna i winna. I kiedy miała popełnić kłamstwo nieznażące, towarzyskie, wówczas przez skojarzenie wrażeń i wspomnień doznawała uczucia przemęczenia, żalu i wyrzutu.

Jakież przynębiające kłamstwo popełniała w tej chwili wobec Swanna, że miała to bolesne spojrzenie, ten żalony głos, jak gdyby uginające się pod nałożonym sobie wysiłkiem i błagające zmiłowania? Swann odczuł, że Odeta sili się ukryć przed nim nie tylko prawdę tyżącą popołudniowego epizodu, ale coś aktualniejszego, może jeszcze nieziszczanego, a bardzo bliskiego; coś co mu mogło rozświetlić tamtą prawdę. W tej chwili

usłyszał dzwonek. Odeta nie przestała mówić, ale słowa jej były już ledwo jękiem; jej żal, że nie widziała Swanna popołudniu, że mu nie otworzyła, przeszedł w prawdziwą rozpacz.

Rozległ się trzask bramy i turkot powozu, jak gdyby ktoś odjeżdżał — prawdopodobnie ten, którego Swann nie powinien był spotkać i któremu powiedziano, że Odeta wyszła. Wówczas na myśl, że zjawiając się po prostu o godzinie innej niż zwykle, zakłócił tyle rzeczy, które Odeta chciała przed nim ukryć, Swann doznał uczucia zniechęcenia, niemal rozpacz. Że jednak kochał Odetę i miał zwyczaj zwracać ku niej wszystkie myśli, litość jego dla siebie samego zmieniła się w litość dla niej; szepnął: „Biedne maleństwo!”. Kiedy się żegnał, Odeta wzięła ze stołu kilka listów i spytała, czy by ich nie mógł wrzucić. Wziął listy, ale znalazłszy się w domu, spostrzegł, że je ma przy sobie. Wrócił na pocztę, wyjął listy z kieszeni i zanim je rzucił do skrzynki, spojrział na adresy. Były wszystkie do magazynów, z wyjątkiem jednego, do pana de Forcheville. Swann trzymał ten list w ręce. Powiadał sobie: „Gdybym zajrzał do środka, dowiedziałbym się, jak ona go nazywa, jak mówi do niego, czy jest coś między nimi. Nie otworzyć tego listu byłoby może krzywdą dla Odety, bo to jest sposób uwolnienia się od podejrzeń — może oszczerczych — które w każdym razie będą musiały zadać jej ból, a których nic nie zdoła zniweczyć, skoro raz wrzucę ten list do skrzynki”.

Wrócił do domu, zatrzymawszy list. Zapalił świecę i zbliżył do niej kopertę, której nie śmiał otworzyć. Najpierw nie mógł nic przeczytać; ale koperta była cienka; przyciskając ją do twardej karty znajdującej się wewnątrz, mógł przez przeświecający papier odczytać ostatnie słowa. Była to końcowa formuła, bardzo chłodna. Gdyby zamiast Swanna podglądającego list do Forcheville’a, Forcheville miał czytać list przeznaczony dla Swanna, mógłby tam znaleźć słowa o ileż tkliwsze! Swann trzymał nieruchomo bilet poruszający się w za dużej kopercie; potem przesuwając ją wielkim palcem, ściągnął kolejno rozmaite wiersze na tę część koperty, która nie miała bibułki, jedyną, przez którą można było czytać.

Mimo to nie widział dobrze. Zresztą to nie miało znaczenia; widział dosyć, aby sobie zdać sprawę, że chodzi o błahy epizod, niemający nic wspólnego ze stosunkiem miłosnym. Była tam mowa o jakimś wuju Odety. Swann wyczytał wprawdzie na początku wiersza: „Miałam rację”, ale nie rozumiał, co Odeta miała rację uczynić, kiedy nagle słowo, którego nie mógł odcyfrować zrazu, ukazało mu się i oświeciło sens całego zdania: „Miałam rację, żem otwarła, to był wuj”. Otwarła! Zatem Forcheville był tam, kiedy Swann zadzwonił i Odeta wyprawiła go; stąd ów turkot.

Wówczas przeczytał cały list. Z końcem listu Odeta usprawiedliwiała się, że postąpiła sobie z Forchevillem tak bez ceremonii; wspominała, że zapomniał u niej papierośnicy: to samo zdanie, które napisała do Swanna po jednej z pierwszych jego wizyt. Ale w bileciku do Swanna dodała wówczas: „gdybyś pan był zostawił swoje serce, nie pozwoliłabym go panu odebrać”. W liście do Forcheville’a nic podobnego; żadnej aluzji, która by pozwoliła się domyślać czegoś między nimi. Prawdę mówiąc, Forcheville był tu bardziej oszukany z nich obu, skoro Odeta pisała po to, aby w niego wmówić, że niespodziany gość jest jej wujem. W sumie to on, Swann, był osobą, do której Odeta przywiązuje wagę i dla której wyprawiła tamtego. A jednak, jeżeli nic nie było między Odetą a Forchevillem, czemu nie otworzyła od razu, czemu pisze: Dobrze zrobiłam, żem otwarła, to był wuj? Jeżeli nic nie robiła złego w owej chwili, jak Forcheville zdołałby sobie nawet wytłumaczyć to, że mogła nie otworzyć? I Swann siedział tak, zrozpaczony, zawstydzony, a mimo to szczęśliwy, nad kopertą, którą Odeta powierzyła mu bez obawy, tak ufała jego dyskrecji; ale poprzez przeźroczystą szybę tej koperty, wraz z sekretem zdarzenia, którego nie miał nigdy poznać, odsłaniało mu się trochę życia Odety niby wąski pas świetlny wycięty w Nieznanym. Zarazem zazdrość jego cieszyła się tym, jak gdyby ta zazdrość miała swoją żywotność niezależną, samolubną, łakomą wszystkiego, co by jej było pokarmem, choćby kosztem jego samego. Obecnie miała pożywkę i Swann mógł zacząć każdego dnia niepokoić się o wizyty przyjmowane przez Odetę około piątej, starać się dowiedzieć, gdzie Forcheville był o tej godzinie. Bo czułość Swanna zachowywała nadal ten sam charakter, który jej dały zrazu i jego nieświadomość życia Odety, i lenistwo mózgu, niepozwalające mu uzupełnić niewiedzy wyobraźnią. Nie był zrazu zazdrosny o całe jej życie; jedynie o chwile, w których jakaś okoliczność, może źle tłumaczona, nasunęła mu przypuszczenie możliwej zdrady. Zazdrość jego jak ośmiornica, która wypuszcza pierwszą, drugą,

potem trzecią mackę, uczepiła się trwale owej piątej popołudniu, potem innego momentu, potem jeszcze innego. Ale Swann nie umiał wymyślać swoich cierpień; były jedynie wspomnieniem, utrwaleniem cierpienia, które mu przyszło z zewnątrz.

Przynosiło mu je wszystko. Chciał oddalić Odetę od Forcheville'a, zabrać ją na kilka dni na południe. Ale był przeświadczony, że wszyscy mężczyźni w hotelu pożądamy jej i że Odeta ich pożąda. Toteż on, który zwykle w podróży poszukiwał nowych ludzi, licznych zebrań, stał się dziki, unikał świata, tak jakby go świat okrutnie czymś zranił. I jak nie miał być mizantropem, kiedy w każdym mężczyźnie widział możebnego kochanka Odety? Tak zazdrość zmieniła charakter Swanna, bardziej jeszcze niż to uczyniła pierwotna jego zmysłowa i uśmiechnięta sympatia do Odety; i zmieniała najzupełniej w oczach ludzi nawet zewnętrzne cechy jego charakteru.

W miesiąc po dniu, w którym odcyfrował ów list Odety do Forcheville'a, Swann udał się na obiad, który Verdurinowie organizowali w Lasku. Po obiedzie, w chwili odjazdu zauważył narady między panią Verdurin a paroma gośćmi; zdawało mu się, że pani Verdurin przypomina pianiście, aby się stawił jutro na wycieczkę do Chatou; otóż jego, Swanna, nie zaproszono.

Verdurinowie mówili półgłosem i ogólnikowo; ale malarz, zapewne przez roztargnienie, wykrzyknął:

— Nie będziemy palili światła; niech gra Sonatę księżycową w ciemności, żebyśmy lepiej widzieli, jak się wszystko rozświetla.

Pani Verdurin, widząc że Swann jest o dwa kroki, przybrała ów wyraz, w którym nakaz milczenia oraz chęć zachowania niewinnej miny wobec osoby, która słyszy, neutralizują się w skupionej obojętności wzroku, maskując nieme oznaki współnictwa uśmiechem naiwności. Wyraz ów, wspólny wszystkim, którzy spostrzegą „gaffę”, zdradza natychmiast tę gaffę, jeżeli nie temu, kto ją popełnił, to przynajmniej temu, kto jest jej przedmiotem. Odeta przybrała nagle wyraz osoby zrozpaczonej, która nie ma sił walczyć przeciw miazdzącym trudnościom życia, a Swann liczył trwożnie minuty dzielące go od chwili, gdy opuściwszy restaurację, będzie mógł w czasie wspólnego powrotu prosić jej o wyjaśnienia, wymóc, aby nie jechała jutro do Chatou lub postarała się o zaproszenie dla niego; gdy wreszcie będzie mógł ukoić w jej ramionach dręczący go niepokój. W końcu zawołano o powozy.

— Zatem do widzenia, niezadługo, prawda? — rzekła pani Verdurin do Swanna; starając się uprzejmym spojrzeniem i wymuszonym uśmiechem odwrócić jego uwagę od tego, że nie mówi mu jak zawsze: „Jutro w Chatou, pojutrze u nas”.

Państwo Verdurin pomieścili z sobą Forcheville'a; Swann czekał na ich odjazd, aby zaprosić Odetę do swego powozu.

— Odeto, odwieziemy cię — rzekła pani Verdurin — masz kawałeczek miejsca koło pana de Forcheville.

— Tak, proszę pani — rzekła Odeta.

— Jak to, ależ ja myślałem, że ja panią odwiozę — wykrzyknął Swann bez żadnych ceremonii, bo drzwiczki były otwarte, sekundy policzone, a on nie czuł się na siłach, aby wrócić bez Odety.

— Pani Verdurin prosiła mnie...

— No, może pan wrócić sam, zastawialiśmy ją panu dosyć razy — rzekła pani Verdurin.

— Ale ja miałem pani Odecie powiedzieć coś bardzo ważnego.

— No to jej pan napisze...

— Do widzenia — rzekła Odeta, podając mu rękę.

Starał się uśmiechnąć, ale miał wyraz przybity.

— Czy widziałeś, co sobie teraz ten Swann z nami pozwala — rzekła pani Verdurin do męża, kiedy znaleźli się w domu. — Myślałam, że mnie pożre, dlatego żeśmy zabrali Odetę. Doprawdy, szczyt nieprzyzwoitości! To już lepiej niech powie po prostu, że my utrzymujemy dom schadzek. Nie rozumiem, jak Odeta może znosić podobne maniery. Zupełnie robi wrażenie, jakby mówił: „Należysz do mnie”. Powiem Odecie, co o tym myślę, mam nadzieję, że zrozumie.

I dodała jeszcze po chwili z gniewem: „Widzieliście coś podobnego, paskudne bydlę!”, bezwiednie — i może ulegając tej samej tajemniczej potrzebie usprawiedliwienia się, co

Franciszka w Combray, kiedy kurczę nie chciało umierać — używając słów wyrwanych przez ostatnie podrygi niewinnego, konającego zwierzęcia wieśniakowi, który je utrupia.

I kiedy powóz pani Verdurin ruszył, a powóz Swanna podjechał, stangret patrząc na swego pana spytał, czy nie jest chory albo czy mu się nie zdarzyło co złego.

Swann odesłał powóz, wołał iść pieszo; wrócił Laskiem. Mówił do siebie głośno, tym samym, nieco sztucznym tonem, jaki miewał dotąd, kiedy rozważał uroki „paczki” i wysławiał wielkoduszność Verdurinów. Ale, jak słowa, uśmiechy, pocałunki Odety, o ile zwracały się do innych, stawały mu się równie wstrętne jak wprzód były mu słodkie, tak samo salon Verdurinów, który jeszcze przed chwilą wydawał mu się zabawny, oddychający szczerym kultem sztuki, a nawet niejaki wykwintem ducha, teraz, kiedy Odeta miała tam spotykać i kochać swobodnie innego, ukazywał mu swoje śmieszności, swoją głupotę, swoją sromotę.

Wyobrażał sobie ze wstrętem jutrzejszy wieczór w Chatou. „Przede wszystkim ten pomysł, żeby jechać do Chatou! Jak kramarze po zamknięciu sklepu! Doprawdy, ci ludzie, to po prostu sam ekstrakt mieszcuchostwa; oni chyba nie istnieją realnie, uciekli z jakiejś farsy Labiche’a!”

Będą tam Cottardowie, może Brichot. „Czy może być coś równie pocieszego, jak to życie małych ludków, którzy siedzą sobie na głowach, którzy myśleliby, dają słowo, że są zgubieni, gdyby się wszyscy nie spotkali jutro w Chatou! Niestety, będzie także i malarz, ten malarz, który lubi „kojarzyć stadła”; zaprosi Forcheville’a z Odetą do pracowni. Swann widział już Odetę w tualecie zbyt strojnej jak na tę wycieczkę, „bo ona jest taka pospolita, a zwłaszcza, biedna mała, jest tak straszliwie głupia!!!”.

Słyszał żarty, jakie pani Verdurin będzie robiła po obiedzie. Żarty te — kiedy celem ich bywał ktoś z „nudziarzy” — bawiły go zawsze, bo widział, jak się Odeta z nich śmieje; śmiała się z nim, prawie w nim. Teraz czuł, że to może jego kosztem będą bawili Odetę. „Co za plugawa wesołość!” — powiadał, krzywiąc się z tak gwałtownym wstrętem, że odczuł ten skurcz ust mięśniami karku wciśniętego w kołnierz koszuli. „I w jaki sposób człowiek mający w sobie coś ludzkiego może znajdować powód do śmiechu w tych żarcikach, od których zbiera się na wymioty? Ktoś bodaj trochę wybredny odwróciłby się ze wstrętem, zatkałby nos, aby nie znosić takich wyziewów. To doprawdy niepojęte, aby ludzka istota mogła nie rozumieć, iż pozwalając sobie na uśmiech kosztem bliźniego lojalnie do niej wyciągającego rękę, grzęźnie w błocie, skąd niepodobna już będzie mimo najlepszych chęci wydobyć jej! Żyję o wiele tysięcy metrów za wysoko ponad nizinami, gdzie babrzą się i ślinią takie plugawe języki, aby mnie mogły ochlapać żarty takiej Verdurin, — wykrzyknął podnosząc głowę i prostując się dumnie. — Bóg mi świadkiem, że szczerze chciałem wydobyć stamtąd Odetę, wznieść ją w szlachetniejszą i czystsza atmosferę. Ale cierpliwość ludzka ma swoje granice, a moja doszła kresu” — rzekł sobie, jak gdyby ta misja wyrwania Odety z atmosfery sarkazmów trwała dłużej niż od kilku minut i jak gdyby Swann nie powziął jej dopiero od chwili, kiedy myślał, że te sarkazmy będą może miały jego za cel i będą się starały oderwać Odetę od niego.

Widział pianistę gotującego się grać *Sonatę księżycową* i mimiki pani Verdurin wystraszonej cierpieniem, jakie muzyka Beethovena zadaje jej nerwom: „Idiotka, kłamczuch-baba! — wykrzyknął — i to myśli, że kocha Sztukę!”. Powie Odecie, wsunąwszy zręcznie parę komplementów dla Forcheville’a, jak to robiła tak często dla niego samego: „Zrobisz trochę miejsca koło siebie panu de Forcheville”. Po ciemku! makarela, rajfurka! Rajfurka, tę nazwę dawał Swann i muzyce, która każe im milczeć, marzyć razem, patrzeć na siebie, trzymać się za ręce. Przyznawał rację Platonowi, Bossuetowi oraz staremu francuskiemu wychowaniu w ich surowości dla sztuki.

W sumie życie, które pędzono u Verdurinów i które Swann tak często nazywał „prawdziwym życiem”, zdawało mu się najgorsze ze wszystkich, a „paczka” czymś ostatnim z ostatnich.

„To doprawdy — powiadał sobie — najniższy szczebel drabiny społecznej, ostatni krąg Danta. Nie ma wątplenia, że ów dostojny tekst odnosi się do Verdurinów! Ludzi z towarzystwa można krytykować, zapewne, ale bądź co bądź to jest coś innego niż ta banda makrotów. Jacyż oni są głęboko mądrzy, ludzie z prawdziwego świata, że nie chcą *takich* znać, że nie chcą sobie o nich powalać bodaj końca palców. Co za intuicja w tym *Noli me tangere* arystokracji!”

Swann od dawna już wyszedł z Lasku, zbliżał się do domu, jeszcze nie wytrzeźwiony z bólu i z nieszczerzej werwy, której kłamliwe akcenty i sztuczna dźwięczność wprawiały go w coraz to mocniejsze pijaństwo. Podniesionym głosem wciąż rozprawiał w ciszy nocnej:

„Światowcy mają swoje wady, nikt nie zna ich lepiej ode mnie; ale mimo wszystko to są ludzie, z którymi pewne rzeczy są niemożliwe. Niejedna elegancka kobieta spośród moich znajomych mogła być daleka od ideału, ale ostatecznie w każdej był zawsze jakiś pokład delikatności, jakaś lojalność, niezdolność do perfidii; samo to wystarczyłoby, aby wykopać przepaść między nimi a megerą taką jak ta Verdurin. Verdurin! Co za nazwisko! Och, można powiedzieć, że oni są kompletni, że są piękni w swoim rodzaju! Bogu dzięki, był czas, aby już przestać schodzić do tego bezceństwa, do tego plugastwa”.

Ale tak jak cnoty, które przypisywał jeszcze niedawno Verdurinom, nie byłyby zdolne — nawet gdyby je posiadali naprawdę, ale gdyby nie popierali jego miłości i nie szli jej na rękę — wywołać w Swannie owego rozczulenia nad ich wielkodusznością (które to rozczulenie nawet poprzez inne osoby mogło się w nim rodzić jedynie z Odety), tak samo ich obecna rzekoma niemoralność nie rozpętałaby oburzenia Swanna na Verdurinów, gdyby ci nie byli zaprosili Odety z Forchevillem, a bez niego. To było ich prawdziwe „bezceństwo”. I bez wątpienia głos Swanna był bardziej jasnovidzący niż on sam, gdy owe słowa pełne wstrętu do Verdurinów i radości, że z nimi skończył, mimo woli przybierały w ustach Swanna akcent czegoś sztucznego, jak gdyby ich przeznaczeniem było raczej zaspokoić jego gniew niż wyrazić myśl. W istocie, podczas gdy się oddawał tym inwektywom, myśl Swanna musiała być bez jego wiedzy pochłonięta przedmiotem zgoła odmiennym; znalazłszy się bowiem w domu, ledwie zamknięto bramę, uderzył się nagle w czoło, kazał otworzyć i wyszedł, wykrzykując naturalnym już głosem: „Zdaje mi się, że znalazłem sposób, aby mnie jutro zaproszono do Chatou!”. Ale sposób musiał być zły, bo Swanna nie zaproszono. Doktor Cottard, który, wezwany na prowincję do ciężko chorego, nie widział Verdurinów kilka dni i nie mógł być w Chatou, powiedział na drugi dzień, siadając u nich do stołu:

— Czy nie ujrzymy Swanna dzisiaj? On jest w istocie tym, co się nazywa osobisty przyjaciel...

— Och, spodziewam się, że nie! — wykrzyknęła pani Verdurin. — Niech nas Bóg strzeże od niego; jest nudny, głupi i źle wychowany.

Wobec tych słów Cottard objawił równocześnie swoje zdziwienie i swoje poddanie, jak wobec prawdy przeczącej wszystkiemu, w co wierzył dotąd, ale oczywistej i nieodpartej. Pochylając ze wzruszoną i trwożliwą miną nos nad talerzem, zadowolił się wykrzyknikiem: „A! a! a! a!”, przebiegając rączkiem, w regularnym odwrocie dokonanym w głąb samego siebie, gamę obejmującą cały rejestr jego głosu. I już nie było więcej mowy o Swannie u Verdurinów.

I tak salon, który zjednoczył Swanna i Odetę, stał się przeszkodą do ich spotkań. Odeta nie mówiła już jak w pierwszych czasach miłości: „W każdym razie zobaczymy się jutro wieczór, jest kolacja u Verdurinów”; ale: „Nie będziemy się mogli zobaczyć jutro, jest kolacja u Verdurinów”. Albo Verdurinowie mieli zabrać Odetę do Opéra-Comique na *Noc Kleopatry*; Swann czytał w oczach Odety lęk, że mógłby ją poprosić o to, żeby nie szła. Niegdyś nie mógł się powstrzymać, aby nie ucałować w przelocie owego lęku na twarzy kochanki, ale obecnie przywoził go ten wyraz do rozpacy. „To nie jest przecież gniew, powiadał sam sobie, to, czego doświadczam, gdy widzę, jak ona się wydziera do tej śmierdzącej muzyczki. Martwi mnie to po prostu; nie dla mnie oczywiście, ale dla niej. Martwi mnie, iż spędziwszy pół roku w codziennym kontakcie ze mną, nie umiała się na tyle odmienić, aby z własnego popędu wyeliminować produkty takiego Wiktora Massé! Przykro mi zwłaszcza, że ona nie rozumie, iż są wieczory, kiedy istota bodaj trochę subtelna powinna umieć się wyrzec przyjemności, skoro się ją o to prosi. Powinna umieć powiedzieć: »nie pójde«, choćby przez spryt, skoro odpowiedź jej ma raz na zawsze określić jej wartość duchową”.

I Swann wierzył, że jeżeli pragnie, aby Odeta została z nim wieczór zamiast iść do Opéra-Comique, to jedynie dlatego, aby móc sobie wyrobić korzystniejszy sąd o jej du-

chowej wartości; i używał wobec niej tych samych argumentów co wobec samego siebie — i tak samo nieszczerze, a nawet o stopień więcej, bo wówczas próbował ująć Odetę, grając na jej miłości własnej.

— Przysięgam ci — powiadała na chwilę przed jej wyjściem do teatru — proszę cię, żebyś nie szła, ale gdybym był egoistą, powinien bym pragnąć, abyś mi odmówiła. Mam tysiąc rzeczy do roboty dziś wieczór; jeśli się zgodzisz zostać, sam wpadnę we własne sidła i będę w wielkim kłopotcie. Ale moje zajęcia, moje przyjemności, to dla mnie nie jest wszystko; muszę myśleć o tobie. Może przyjdzie dzień, kiedy widząc, jak się na zawsze zraziłem do ciebie, będziesz miała prawo wyrzucić mi, że cię nie ostrzegłem w rozstrzygającym momencie; miłość niedługo zdoła przetrwać surowy wyrok wydany w takiej chwili. Widzisz, *Noc Kleopatry* (co za tytuł!) jest w tym wypadku niczym. Ważne jest to, czy ty jesteś doprawdy istotą na najniższym szczeblu inteligencji, a nawet wdzięku; marnym stworzeniem, niezdolnym oprzeć się przyjemności. Jeżeli jesteś czymś takim, w jaki sposób można by cię kochać? W takim razie nie jesteś nawet kimś, nawet indywiduum, niedoskonałym, ale bodaj zdolnym do udoskonalenia. Jesteś czymś w rodzaju bezpostaciowej cieczy, spływającej po każdej pochyłości; rybą bez pamięci i bez zastanowienia, która dopóki żyje w swoim akwarium, będzie się tłukła sto razy o szybę, wciąż biorąc ją za wodę. Rozumiesz, ja nie mówię, aby twoja odpowiedź koniecznie miała ten skutek, że natychmiast przestanę cię kochać. Oczywiście nie; ale ileż stracisz w moich oczach, kiedy zrozumieć, że ty jesteś nic, że jesteś poniżej wszystkiego, niezdolna wznieść się ponad cokolwiek! Oczywiście, wołałbym cię prosić, żebyś się wyrzekła *Nocy, Kleopatry* (skoro mnie zmuszasz, abym splugawił wargi tym ohydny tytułem) ot, jak o coś bez znaczenia, w nadziei, że i tak pójdziesz. Ale, zdecydowany sporządzić ten bilans, wyciągnąć takie konsekwencje z twojej odpowiedzi, uważałem za lojalniejsze uprzedzić cię.

Odeta zdradzała od paru chwil oznaki wzruszenia i niepewności. Nie rozumiejąc dokładnie sensu słów Swanna, rozumiała, że wchodzi one w pospolity rodzaj „scen”, wyrzutów lub błagań. Znajomość mężczyzn pozwalała Odecie — bez troski o jakość słów — wnioskować, że nie mówiliby tak, gdyby nie byli zakochani, a z chwilą gdy są zakochani, nie ma potrzeby się z nimi liczyć, bo będą później jeszcze bardziej zakochani. Toteż byłaby słuchała Swanna z największym spokojem, gdyby nie widziała, że czas mija i że, o ile mu pozwoli mówić dłużej, spóźni się, jak mu to rzekła z tkliwym, upartym i zawstydzonym uśmiechem: „na uwerturę!”

Innym razem Swann powiadał Odecie, iż rzeczą, która bardziej niż wszystko inne zabija w nim miłość to jej nałóg kłamstwa. „Nawet z punktu widzenia prostej kokieterii — powiadał — czy ty nie rozumiesz, ile tracisz uroku, zniżając się do kłamstwa? Ileż błędów mogłabyś okupić przyznaniem się! Doprawdy, ty jesteś o wiele mniej inteligentna niż myślałem!”

Ale na próżno Swann wykladał jej wszystkie racje, jakie nakazywałyby jej nie kłamać. Mogłyby zniweczyć w Odecie jakiś ogólny system kłamstwa; ale Odeta go nie miała. Po prostu za każdym razem, kiedy chciała, aby Swann czegoś nie wiedział, nie mówiła mu tego. Toteż kłamstwo było dla Odety jedynie doraźnym środkiem; a decyzja, czy ma użyć tego środka, czy też powiedzieć prawdę, była również sprawą doraźną, zależną od większej lub mniejszej szansy tego, że Swann odkryje kłamstwo.

Fizycznie Odeta przechodziła zły okres: tyła. Wymowny i bolesny wdźwięk, zdziwione i marzące spojrzenia, jakie miała niegdyś, zdawały się nikać z pierwszą młodością. Tak iż można rzec, że stała się ona Swannowi tak droga w momencie, kiedy właśnie wydawała się mu o wiele mniej ładna. Patrzył na nią długo, próbując pochwycić dawny jej urok, i nie odnajdywał go. Ale wiedział, że w tej nowej poczwarcie wciąż żyje Odeta, wciąż ta sama ulotna, niepochwytana i skryta wola: to wystarczyło Swannowi, aby wkładał tę samą namiętność w daremny wysiłek pochwycenia jej. Potem patrzył na jej fotografie sprzed dwóch lat, przypominał sobie, jaka była rozkoszna, i to pocieszało go trochę w jego cierpieniu.

Kiedy Verdurinowie zabierali Odetę do Saint-Germain, do Chatou, do Meulan często, jeżeli było ładnie, proponowali na miejscu, aby zostać na noc i wrócić aż jutro. Pani Verdurin starała się usmierzyć skrupuły pianisty, którego ciotka została w Paryżu.

— Będzie uszczęśliwiona, że się pana pozbędzie na jeden dzień. Czegóż by się miała niepokoić, skoro wie, że jesteś z nami? Zresztą biorę wszystko na siebie.

Kiedy się jej to nie udawało, pan Verdurin wypuszczał się, znajdował urząd telegraficzny albo posłańca i zapytywał wiernych, kto z nich życzy sobie kogoś uprzedzić. Ale Odeta dziękowała, oświadczając, że nie potrzebuje depeszować do nikogo, bo powiedziała Swannowi raz na zawsze, iż wysyłając do niego przy wszystkich depeszę, skompromitowałyby się. Czasami Odeta znikwała na kilka dni; Vardurinowie zabierali ją, aby oglądać groby w Dreux lub za radą malarza podziwiać w Compiègne zachody słońca w lesie, przy czym docierano aż do zamku w Pierrefonds.

— Pomyśleć, że mogłaby zwiedzać prawdziwe zabytki ze mną, który dziesięć lat studiowałem architekturę i którego najwybitniejsi ludzie błagali, abym ich zabrał do Beauvais lub do Saint-Loup-de-Naud! Zrobiłbym to tylko dla niej! I ona zamiast tego jedzie w towarzystwie ostatnich bydłaków rozpylić się przed ekskrementami Ludwika Filipa oraz pana Viollet-le-Duc! Zdaje mi się, że to nie potrzeba być artystą i że nawet bez szczególnie subtelnego węchu nie wybiera się na wilegiaturę wychodka po to, aby szerzej móc oddychać łajnem.

Ale kiedy Odeta pojechała do Dreux albo do Pierrefonds, nie pozwalając Swannowi udać się tam, niby przypadkiem, na własną rękę, bo — powiadała — „to by zrobiło fatalne wrażenie”, wówczas Swann pograżał się w najbardziej upajającym romansie, w kolejowym rozkładzie jazdy, który wskazywał mu sposób spotkania jej popołudniu, wieczór, tego samego rana nawet! Sposób? Więcej niemal: uprawnienie. Bo ostatecznie rozkłady jazdy, a nawet koleje nie są przeznaczone dla psów! Jeśli się oznajmia publiczności za pomocą druku, że o ósmej rano odchodzi pociąg, który przybywa do Pierrefonds o dziesiątej, to dlatego, że udać się do Pierrefonds jest aktem godziwym, dla którego pozwolenie Odety jest zbędne. Zarazem jest to akt, który może mieć całkiem inną pobudkę niż chęć spotkania Odety, skoro spełniają go co dzień ludzie, którzy jej nie znają i to w liczbie dość znacznej, aby warto było dla nich ogrzewać lokomotywy.

Ostatecznie nie może mu zabronić wycieczki do Pierrefonds, jeżeli mu przyjdzie ochota! Otóż właśnie Swann czuł, że ma ochotę i że gdyby nawet nigdy nie znał Odety, pojechałby tam z pewnością. Od dawna chciał sobie wyrobić dokładniejsze zdanie o pracach konserwatorskich Viollet-le-Duca. I w taką pogodę jak dziś odczuwał nieprzepartą chęć przechadzki po lasach Compiègne.

To doprawdy fatalny zbieg, że Odeta wzbronila mu jedynej miejscowości, która go dziś ęci. Dziś! Gdyby tak pojechał tam mimo jej zakazu, mógłby ją widzieć *dziś*! Ale cóż! Spotkawszy w Pierrefonds kogoś obojętnego, Odeta wykrzyknęłaby radośnie: „O, pan tutaj!” i zaprosiłaby tego obcego, aby ją odwiedził w hotelu, gdzie stała z Verdurinami. Przeciwnie, gdyby spotkała Swanna, byłaby niezadowolona, pomyślałaby, że ją śledzi, zraziłaby się do niego, może odwróciłaby się z gniewem na jego widok. „Więc ja nie mam już prawa podróżować!”, powiedziała mu za powrotem, podczas gdy w rezultacie to on nie miał prawa podróżować!

Aby się móc wybrać do Compiègne i do Pierrefonds tak, aby nie wyglądało, że jedzie za Odetą, wpadł Swann na pomysł, żeby go tam zabrał jeden z jego przyjaciół, margrabia de Forestelle, który miał majątek w tamtych stronach. Margrabia, któremu Swann oznajmił swój projekt, nie zdradzając pobudek, był uszczęśliwiony; po raz pierwszy od piętnastu lat Swann zgodził się wreszcie obejrzeć jego posiadłość; jeśli nie zostanie u niego na dłużej, obiecał mu bodaj wspólne wycieczki i spacerowanie przez kilka dni. Swann widział tam już siebie z panem de Forestelle. Nawet nim ujrzy tam Odetę, nawet gdyby mu się nie udało jej ujrzeć, co to za szczęście będzie stąpać po tej ziemi, gdzie, nawet nie znając w danej chwili ścisłego miejsca jej pobytu, może czuć drgającą wszędzie możliwość jej nagłego zjawienia się: w dziedzińcach zamku — pięknego już dla Swanna, skoro jechał go obejrzeć dla Odety; — na każdej ulicy miasteczka, które mu się oto wydało romantyczne; na każdej drodze w lesie, zaróżowionej głębokim i tkliwym zachodem słońca; — niezliczone schronienia, gdzie czało się kolejno i naraz, w niepewnej wszechobecności swoich nadziei, serce jego, szczęśliwe, wędrowne i zestokrotnione. „Zwłaszcza — mówiłby do pana de Forestelle — strzeżmy się wpaść na Odetę i na Verdurinów; dowiaduję się, że właśnie dziś są w Pierrefonds. Dość mamy czasu widywać się w Paryżu, nie byłoby warto się rozstawać po to, aby nie móc zrobić kroku bez siebie”.

I przyjaciel nie rozumiałby, czemu, znalazłszy się na miejscu, Swann zmienia dwadzieścia razy projekty, czemu przepatruje jadalnie wszystkich hoteli w Compiègne, nie

decydując się wstąpić, mimo że nigdzie nie było śladu Verdurinów, robiąc wrażenie, że szuka tego, przed czym rzekomo ucieka, uciekając zresztą istotnie, bo o ile by spotkał „paczkę”, usunąłby się z afektacją, rad, że widział Odetę, a zwłaszcza, że ona go widziała i to obojętnego, nietroszczącego się o nią. Ale nie, odgadłaby, że on jest tam dla niej. I kiedy pan de Forestelle zjawiał się, aby zabrać Swanna, ten odpowiadał: „Niestety, nie, nie mogę dziś jechać do Pierrefonds. Właśnie Odeta tam jest”. I mimo wszystko miło było Swannowi czuć, że, jeśli on jeden ze wszystkich ludzi nie ma prawa jechać tego dnia do Pierrefonds, to dlatego, że jest dla Odety kimś różnym od innych, jej kochankiem; że to ograniczenie jego udziału w powszechnym prawie cyrkulacji jest tylko jedną z form tej niewoli, tej miłości, która mu jest tak droga. Stanowczo lepiej nie ryzykować pokłócenia się z Odetą, lepiej być cierpliwym, czekać jej powrotu.

Spędzał dni pochylony nad mapą lasów Compiègne, jak gdyby to była mapa *krainy Czulości*; otaczał się fotografiami zamku Pierrefonds.

Z chwilą gdy nadchodził dzień możebnego powrotu Odety, Swann otwierał rozkład jazdy, obliczał, którym pociągiem mogła wyjechać i jakie pociągi zostały jej jeszcze, jeśli się zapóźniła. Nie wychodził z obawy rozminięcia się z depeszą; nie kładł się spać na wypadek, gdyby, wróciwszy ostatnim pociągiem, Odeta chciała mu zrobić niespodziankę i wpaść do niego w nocy. O, słyszał dzwonek do bramy, zdawało mu się, że zwlekają z otwarciem, chciał budzić odzwiernego, wychylał się z okna, aby wołać Odetę, o ile by to była ona, bo mimo poleceń, z którymi schodził dziesięć razy osobiście na dół, mogli powiedzieć Odecie, że go nie ma w domu. To służący wracał! Swann śledził nieustanny ruch pojazdów, na który dawniej nigdy nie zwrócił uwagi. Słyszał każdy wehikuł, z daleka, bliżej, coraz bliżej; słyszał, jak mija jego bramę, nie zatrzymując się i dalej niesie jakąś obecność nieprzeznaczoną dla niego. Czekał całą noc i bardzo zbytecznie, bo państwo Verdurin przyspieszyli powrót i Odeta była w Paryżu od południa. Nie przyszło jej na myśl uprzedzić Swanna; nie wiedząc, co robić z czasem, spędziła wieczór w teatrze sama, od dawna wróciła już do domu i spała.

Bo Odeta nawet nie pomyślała o nim. I takie chwile, w których zapominała po prostu o istnieniu kochanka, były Odecie najużyteczniejsze, lepiej pomagały jej przywiązać Swanna niż cała jej kokieteria. Bo w ten sposób Swann żył w ciągłym bolesnym niepokojem, dość potężnym, aby rozwinąć jego miłość już owego dnia, kiedy nie zastał Odety u Verdurinów i szukał jej cały wieczór. I nie miał — jak ja je miałem w Combray w moim dzieciństwie — szczęśliwych dni, w których zapomina się cierpień mających odrodzić się wieczorem. Swann spędzał dni bez Odety; chwilami powiadał sobie, że pozwolić tak ładnej kobiecie krążyć samej po Paryżu jest czymś równie nieostrożnym, co położyć szkatułkę pełną klejnotów na środku ulicy. Wówczas Swann oburzał się na wszystkich przechodniów jak na bandę złodziei. Ale ich zbiorowa bezkształtna twarz, nieuchwytna dla wyobraźni, nie podsycała jego zazdrości; raczej nużyła myśl Swanna, który przeciągając sobie rękę po oczach, wołał: „Wola boska!”; jak ci, co umęczeni zagadnieniem rzeczywistości świata lub nieśmiertelności duszy w akcie wiary szukają odprężenia dla znużonego mózgu. Ale wciąż myśl o nieobecnej mieszała się nierozłącznie z najprostszymi czynnościami Swanna — jak śniadanie, poczta, wyjście na miasto, układanie się do snu — przez sam smutek, jakim było spełnianie te czynności bez Odety. Odeta była spleciona z jego życiem niby owe inicjały Filiberta Pięknego w kościele w Brou, które z żalu po nim Małgorzata Austriacka wszędzie splotła z własnymi.

Czasem zamiast zostać w domu Swann szedł na śniadanie do pobliskiej restauracji, której dobrą kuchnię niegdyś cenił, a gdzie teraz zachodził jedynie z mistycznych i niedorzecznych zarazem pobudek składających się na pojęcie romantyczności. Chodził tam dlatego, że owa restauracja (istnieje jeszcze) nosiła tę samą nazwę co ulica, gdzie mieszkała Odeta: *Lapérouse*.

Czasami, kiedy Odeta wyjechała na krótko, dopiero po kilku dniach przychodziło jej na myśl uwiadomić Swanna, że jest w Paryżu. I mówiła mu całkiem po prostu, nie siłąc się już jak niegdyś osłonić się na wszelki wypadek jakąś cząsteczką prawdy, że wróciła dopiero co, rannym pociągiem. Słowa te były kłamstwem; przynajmniej dla Odety były one kłamliwe, bezcielesne, pozbawione punktu oparcia we wspomnieniu przyjazdu na dworzec; kiedy je wymawiała, paraliżował je odmienny obraz tego, co robiła naprawdę w chwili, gdy rzekomo wysiadała z pociągu. Ale w wyobraźni Swanna słowa te nie spo-

tkwały żadnej przeszkody; wbijały się w jego myśl z siłą tak niewątpliwej prawdy, iż gdyby przyjaciel jakiś powiedział mu, że jechał tym pociągiem i nie widział Odety, Swann byłby przeświadczony, że to przyjaciel się omylił co do dnia lub godziny, skoro jego świadectwo nie godzi się ze słowami Odety. Te słowa wydałyby mu się kłamliwe jedynie wówczas, gdyby je od początku podejrzewał. Aby Swann uwierzył, że Odeta kłamie, trzeba było uprzedniego posądzenia. Wówczas to wystarczało. Wówczas wszystko, co mówiła Odeta, zdawało się Swannowi podejrzane. Kiedy słyszał w jej ustach jakieś nazwisko, było to z pewnością nazwisko któregoś z jej kochanków; raz wpadłszy na ten domysł, Swann trawił tygodnie całe na rozpaczy. Porozumiał się nawet raz z biurem detektywów, aby się wywieść o adres i sposób życia jakiegoś nieznanego; uspokoiłby się aż wówczas, kiedy by ów nieznanomy wyjechał w daleką podróż. W rezultacie Swann dowiedział się, że to był wuj Odety zmarły od dwudziestu lat.

Mimo że Odeta nie dozwalała mu na ogół spotkań w miejscach publicznych (mówiła, że stąd powstają plotki) zdarzało się, że się z nią znalazł razem na jakimś wieczorze, dokąd oboje byli zaproszeni — u Forcheville'a, u „mistrza” lub na balu dobroczynnym w jakimś ministerstwie. Widział Odetę, ale nie śmiał zostać z obawy zirytowania jej: myślałaby, że szpieguje przyjemności, jakich ona kosztuje z innymi. Przyjemności te przybierały w wyobraźni Swanna fantastyczne rozmiary, ponieważ nie widział ich zakończenia, wracając samotnie i idąc ze ściśniętym sercem spać, jak ja w kilka lat później, kiedy Swann miał przyjść do nas na obiad w Combray. I raz czy dwa poznał w takie wieczory ową radość, którą — gdyby nie następujące po niej tym gwałtowniejsze ataki uśmierzonego nagle niepokoju — można by nazwać spokojną radością, ponieważ polega na ukojeniu. I tak jednego razu Swann poszedł na chwilę na raut do malarza i już miał wychodzić. Zostawił tam Odetę zmienioną na świetną obcą istotę, pośród mężczyzn, którym spojrzenia jej i wesołość (ach, nie dla niego!) zdawały się wróżyć jakieś tajemne rozkosze tam lub gdzie indziej (może na „*Bal des Incoherents*”, dokąd ku rozpaczy Swanna Odeta mogła się wybrać później). Rozkosze te budziły w Swannie więcej zazdrości niż sam fakt cielesnego obcowania, dlatego że je sobie trudniej wyobrażał. Już miał opuścić pracownię, kiedy usłyszał, że go ktoś woła. Usłyszał słowa, które, odejmując zabawie ów groźny finał, czyniły ją Swannowi retrospektywnie czymś niewinnym; czyniły z powrotu Odety rzecz już nie niepojętą i straszliwą, ale słodką i znaną, podobną trochę do jego codziennego życia, tulącą się doń w jego własnym powozie. Te słowa odzierały samą Odetę z tego, co w niej było zbyt świetne i wesołe; mówiły, że to był tylko kostium przybrany na chwilę, dla niego, a nie w oczekiwaniu tajemniczych rozkoszy; kostium, który już się jej sprzykrzył. Wszystko to wyczytał w słowach, które Odeta rzuciła mu, kiedy był już na progu: „Czy nie zechciałby pan zaczekać na mnie pięć minut, ja też idę, wrócilibyśmy razem, odwiózłby mnie pan do domu”.

Prawda, iż jednego dnia Forcheville poprosił, żeby i jego zabrać; ale kiedy, przybywszy pod dom Odety, pytał, czy mu pozwoli wejść także, Odeta odparła, wskazując Swanna: „Och, to zależy od tego pana; niech pan jego poprosi! Wreszcie, niech pan wejdzie na chwilę, jeśli pan ma ochotę; ale nie na długo, bo uprzedzam pana, że on lubi spokojnie rozmawiać ze mną i że wtedy nie bardzo znosi gości. Och, gdyby pan znał tego człowieka tak jak ja go znam! Nieprawdaż, *my love*, że ja jedna znam cię dobrze?”.

Bardziej może jeszcze wzruszało Swanna, gdy Odeta zwracała doń w obecności Forcheville'a nie tylko słowa czułości, wyróżnienia, ale także uwagi krytyczne, jak np: „Jestem pewna, że pan nie odpowiedział jeszcze swoim przyjaciółom w sprawie niedzielnej obiadu. Niech pan nie idzie, jeżeli pan nie chce; ale niech pan przynajmniej będzie grzeczny”. Albo: „Czy pan bodaj zostawił tu swoje studium o Vermeerze, aby móc nad nim popracować jutro? Co za leniuch! Ja pana zmuszę do pracy!” — słowa które dowodziły, że Odeta wtajemniczona jest w jego zabawy i pracę, że mają wspólne życie. I mówiąc to, darzyła go uśmiechem, w którym Swann czuł ją całkowicie swoją.

W takich chwilach, podczas gdy ona przyrządzała oranżadę, nagle — jak kiedy źle uregulowany reflektor wodzi zrazu dokoła przedmiotu na ścianie wielkie fantastyczne cienie, które potem kurczą się i znikają w nim — wszystkie straszliwe i zmienne pojęcia, jakie Swann sobie tworzył o Odecie, znikają, łączą się z uroczym ciałem, które miał przed sobą. Przypuszczał nagle, że ta godzina spędzona w saloniku Odety, pod lampą, nie jest może godziną sztuczną, skomponowaną dla niego (dla zamaskowania owej

prerażającej i rozkosznej rzeczy, o której Swann myślał bez ustanku, nie mogąc jej sobie dobrze wyobrazić: godziny prawdziwego życia Odety, życia Odety, kiedy jego tam nie ma), z teatralnymi akcesoriami i owocami z kartonu, ale że to jest może naprawdę godzina życia Odety. Może, gdyby go tu nie było, przysunęłaby panu de Forcheville ten sam fotel i podała mu nie jakiś nieznaną napój, ale właśnie tę oranżadę? Może świat zamieszkały przez Odetę nie jest owym innym, prerażającym i nadprzyrodzonym światem, w który Swann ją bez ustanku przenosił, a który istniał może tylko w jego wyobraźni, ale światem rzeczywistym, niewydziałającym żadnego specjalnego smutku. Ów świat — to ten stół, na którym będzie mógł pisać, i ten napój, którego będzie mógł skosztować; wszystkie te przedmioty, na które patrzył z ciekawością, podziwem i wdzięcznością, bo jeżeli chłonąc jego marzenia oswoiły go od nich, i one w zamian wzbogaciły się jego marzeniami, ukazywały mu ich dotykając realizację, absorbowały jego myśl, kształtowały się plastycznie w oczach, uspakajając równocześnie serce. Och! Gdyby los pozwolił mu mieć wspólne mieszkanie z Odetą, czuć się u niej jak u siebie! gdyby, pytając służącego, co jest na śniadanie, mógł usłyszeć w odpowiedzi *menu* Odety; gdyby musiał jej towarzyszyć, choćby bez ochoty, z obowiązku dobrego męża, niosąc jej płaszcz, kiedy jest za gorąco, kiedy by Odeta zechciała przejść się rano po Avenue du Bois-de-Boulogne; a wieczór, po obiedzie, o ile by miała ochotę zostać w domu w szlafrocжку, gdyby musiał być przy niej, robić to, co ona zechce! Wówczas wszystkie drobniaczki życia Swanna — nawet najpospolitsze — które mu się zdawały tak smutne, nabrałyby jakiejś upajającej słodyczy, jakiejś tajemniczej gęstości przez to, że stałyby się zarazem częścią życia Odety jak ta lampa, jak ta oranżada, ten fotel, kryjące tyle marzenia, materializujące tyle pragnień.

Jednakże Swann domyślał się, że ten odpoczynek, spokój, do których tak wzdychał, nie byłyby sprzyjającą atmosferą dla jego miłości. Kiedy Odeta przestałaby dlań być istotą wciąż nieobecną, żalowaną, urojoną; kiedy jego uczucie dla niej byłoby już nie owym tajemniczym wzruszeniem, o jakie przyprowadziła go fraza sonaty, ale przywiązaniem, wdzięcznością; kiedy by się między nimi wytworzyły stosunki normalne, kładące koniec jego szaleństwu i smutkowi, bez wątpienia życie Odety samo w sobie wydałoby mu się wówczas mało interesujące, czego już kilka razy miał przecucie, na przykład w dniu, kiedy przeczytał przez kopertę jej list do pana de Forcheville. Rozważając swoją chorobę równie sumiennie, co gdyby ją był sobie zaszczerpił dla studiów, Swann mówił sobie, iż, kiedy się wyleczy, wszelkie postępy Odety będą mu obojętne. Ale w pełnej świadomości swego chorobowego stanu obawiał się na równi ze śmiercią takiego wyleczenia, które byłoby w istocie śmiercią wszystkiego, czym był obecnie.

Po owych spokojnych wieczorach, podejrzenia Swanna uśmierzały się; błogosławił Odetę i nazajutrz z samego rana posyłał jej najpiękniejsze klejnoty za to, że jej wczorajsza dobroć wzbudziła albo jego wdzięczność, albo tęsknotę do nawrotu tej dobroci, albo paroksyzm miłości, któremu potrzebował dać wyraz.

Ale kiedy indziej chwycił go na nowo ból; wyobrażał sobie, że Odeta jest kochanką Forcheville'a. Z pewnością, kiedy siedzieli oboje z Forchevillem w landzie Verdurinów w Lasku, w wilię owego obiadu w Chatou, dokąd Swanna nie zaproszono; kiedy widzieli go, jak na próżno błagał Odetę z wyrazem rozpacz, oczywistym nawet dla jego stangreta, aby wróciła razem z nim; jak potem wracał sam, upokorzony; wówczas Odeta musiała go pokazywać Forcheville'owi, mówiąc: „Ależ się wścieka!”. I z pewnością miała to samo błyszczące, okrutne, podstępne i skryte spojrzenie, co w ów dzień, kiedy Forcheville wypędził od Verdurinów Saniette'a.

Wówczas Swann nienawidził jej. „Ale bo też ja jestem skończony głupiec — powiedział sobie; płacę swoimi pieniędzmi za cudzą przyjemność. Niechże ona też trochę uważa i zanedo nie przeciąga struny, bo mógłbym łatwo w ogóle przestać dawać cokolwiek. W każdym razie wyrzeczemy się chwilowo dodatkowych uprzejmości! Pomyśleć, że nie dalej niż wczoraj, kiedy wspomniła, że miałyby ochotę jechać na festiwal do Bayreuth, byłem na tyle głupi, aby jej zaproponować wynajęcie jednego z zameczków króla bawarskiego w okolicy dla nas dwojga. Zresztą wcale nie zdawała się tym zachwycona; nie powiedziała jeszcze ani tak, ani nie; miejmy nadzieję, że odmówi, wielkie nieba! Słuchać Wagnera przez dwa tygodnie z osobą, która zna się na muzyce tyle co kura na pieprzu, to byłoby wesołe!”

Nienawiść jego tak samo jak miłość potrzebowała wyrażać się, działać. Swann znajdował przyjemność w tym, aby posuwać coraz to dalej swoje wrogie domysły, ponieważ dzięki przewrotności, jaką przypisywał Odecie, nienawidził jej tym bardziej. Gdyby — jak starał się to sobie wyobrazić — przypuszczenia jego okazały się prawdą, mógłby mieć sposobność ukarania jej i wyładowania rosnącej wściekłości. Posunął się aż do przypuszczenia, że dostanie od Odety list, w którym poprosi go o pieniądze na wynajęcie owego zamku koło Bayreuth, ale uprzedzając Swanna, że nie będzie mógł przyjechać, bo przyrzekła Forcheville'owi i Verdurinom, że ich zaprosi. Och! Jakież byłby rad, gdyby się ośmieliła! Z jaką radością odmówiłby, z jaką rozkoszą ułożyłby mściwą odpowiedź! Z góry lubował się dobieraniem wyrażań, wykrzykiwał je na cały głos, tak jakby dostał list w rzeczywistości.

Otóż to właśnie ziściło się nazajutrz. Odeta napisała mu, że państwo Verdurin i ich przyjaciele wybraliby się chętnie na cykl wagnerowski i że, gdyby Swann zechciał ofiarować jej te pieniądze, miałyby wreszcie, sama tak często przyjmowana u nich, przyjemność zaproszenia ich wzajem. O Swannie nie mówiła ani słowa; rozumiało się samo przez się, że obecność pani Verdurin wyklucza jego udział.

Wówczas miał tę rozkosz, aby jej przesłać ową straszliwą odpowiedź, której każde słowo obmyślił w wilię, nie śmiejąc marzyć, aby mu się mogła kiedy przydać. Niestety! Czuł, że za pieniądze, które Odeta posiadała lub które znalazłaby łatwo, mogłaby i tak wynająć mieszkanie w Bayreuth, skoro miała ochotę; ona, niezdolna odróżnić Bacha od Clapissona! Ale, bądź co bądź, żyłaby tam mniej wystawianie. Nie będzie mogła — tak jakby to robiła za jego pieniądze — urządzać co wieczór w zamku owych wykwintnych kolacyjek, po których przyjdzie jej może ochota — co, być może, nie stało się jeszcze — znaleźć się w ramionach pana de Forcheville. I przynajmniej nie Swann będzie płacił tę nienawistną podróż! — Och! Gdyby mógł zapobiec temu, gdyby Odeta mogła zwichnąć nogę przed wyjazdem, gdyby stangret wiozący ją na kolej zgodził się za jaką bądź cenę zawieźć ją w miejsce, gdzie by pozostała jakiś czas uwięziona — przewrotna kobieta z oczami emaliowanymi uśmiechem współnictwa z Forchevillem, jaką była Odeta dla Swanna od czterdziestu ośmiu godzin.

Ale nigdy nie była taką zbyt długo. Po kilku dniach błyszczące i kłamliwe spojrzenie traciło swój blask i swoją przewrotność; ów obraz zniechęconej Odety mówiącej do Forcheville'a: „Ależ się wścieka!” zaczynał blednąć, zacierał się. Wówczas zjawiała się stopniowo jaśniejąca łagodnie twarz innej Odety, tej, która uśmiechała się do Forcheville'a, ale uśmiechem pełnym tkliwości dla Swanna, kiedy mówiła: „Niech pan nie siedzi długo, pan Swann nie bardzo lubi, żeby ktoś był u mnie, kiedy on ma ochotę zostać. Och, gdyby pan znał tego człowieka tak, jak ja go znam!”. To był ten sam uśmiech, który miała, dziękując Swannowi za jakiś dowód jego delikatności, którą tak bardzo ceniła; za jakąś radę, której szukała w jednej z owych poważnych okoliczności, kiedy miała zaufanie tylko do niego.

Wówczas Swann zapytywał sam siebie, w jaki sposób mógł do tej Odety napisać obelżywy list, do którego z pewnością nie sądziła go zdolnym i który musiał go ściągnąć z wysokiego, jedyne szczębla, jaki dobroć jego, lojalność zdobyły mu w jej opinii. Miłość jej ucierpi od tego, bo, jeśli go kochała, to dla tych zalet, których nie znajdowała ani w panu de Forcheville ani w nikim innym. Dla tych zalet Odeta okazywała mu tak często czułość, którą Swann liczył za nic w chwili, gdy był zazdrosny, ponieważ czułość ta nie była wyrazem pragnienia, dowodziła raczej przywiązania niż miłości. Ale zaczynał czuć na nowo jej wartość w miarę, jak samorzutne odprężenie jego podejrzeń, często sprwadane jakąś lekturą lub gawędą z przyjacielem, czyniło jego namiętność mniej chciwą wzajemności.

Teraz, kiedy po tych wahaniach Odeta wróciła w naturalny sposób w miejsce, z którego zazdrość Swanna usunęła ją na chwilę, w perspektywę, w której wydawała mu się urocza, wyobrażał ją sobie ze spojrzeniem pełnym czułości i pokusy i tak ładną, że nie mógł się wstrzymać, aby nie wysunąć ku niej warg, jak gdyby była tuż i jak gdyby ją mógł pocałować. I za to czarujące i życzliwe spojrzenie zachował dla niej tyle wdzięczności, co gdyby ono istniało naprawdę; jak gdyby to nie było tylko jego urojenie, sposób uczynienia zadość własnym pragnieniom.

Jaką on jej musiał sprawić przykrość! Z pewnością miał dość przyczyn do urazy, ale przyczyny te nie wystarczyłyby, gdyby tak nie kochał Odety. Czyż nie miał równie poważnych pretensji do innych kobiet, którym mimo to oddałby dziś chętnie jakąś przysługę, nie czując do nich gniewu, bo ich już nie kochał? Gdyby miał kiedyś osiągnąć tę samą obojętność w stosunku do Odety, zrozumiałby, że to jedynie zazdrość kazała mu znajdować coś okrutnego, nieprzebacznego w owym jej pragnieniu, tak naturalnym w gruncie, płynącym z odrobiny dzieciństwa, a także z pewnej delikatności duszy, aby móc z kolei — skoro się nadarzyła sposobność — odwzajemnić państwu Verdurin ich grzeczność, zabawić się w panią domu.

Wracał do tego punktu widzenia, przeciwnego perspektywom jego miłości i zazdrości. Silił się wznieść do jakiejś bezstronności intelektualnej; brał w rachubę różne możliwości, próbował sądzić Odetę tak, jakby jej nie kochał, jak gdyby była dlań kobietą taką jak inne, tak jakby życie Odety nie było — z chwilą jego nieobecności — obce, knute w sekrecie przed nim, przeciw niemu.

Czemu przypuszczać, że ona tam będzie kosztowała z Forchevillem albo z innymi upajających rozkoszy, których nie zaznała ze Swannem i które są wyłącznie tworem jego zazdrości? W Bayreuth czy w Paryżu, jeśli się zdarzy Forcheville'owi myśleć o nim, to jedynie jak o człowieku grającym wielką rolę w życiu Odety, jak o człowieku, któremu musi ustępować miejsca, kiedy się u niej spotkają. Gdyby Odeta i Forcheville tryumfowali, że są tam mimo niego, Swann sam byłby temu winien, starając się daremnie przeszkodzić tej podróży. Przeciwnie, gdyby pochwalił jej projekt — ostatecznie niewinny — robiłoby to wrażenie, że ona jest tam za jego zgodą, czułaby się tam jakby wyprawiona, ulokowana przez niego. Przyjemność podejmowania ludzi, którzy ją tak często ugaszczali, zawdzięczałaby poniekąd Swannowi. Gdyby posłał Odecie te pieniądze, gdyby ją zachęcił do podróży i postarał umilić się pobyt, wówczas zamiast jechać nadąsana, bez pożegnania, przybiegłaby do niego szczęśliwa, wdzięczna; miałby radość widzenia jej, radość, której nie kosztował blisko od tygodnia, a której nic nie mogło mu zastąpić. Bo skoro tylko Swann mógł sobie wyobrazić Odetę bez wstępu, skoro znów widział dobroć w jej uśmiechu, kiedy zazdrość nie zaostrzała jego miłości żądzą odebrania Odety każdemu innemu, wówczas miłość ta stawała się zwłaszcza upodobaniem w jej osobie. Podziwiał niby widowisko lub badał jak zjawisko przyrody wznoszenie się jej spojrzeń, rodzenie się jej uśmiechu, barwę jej głosu. I ta przyjemność, różna od wszystkich innych, stworzyła w nim w końcu potrzebę Odety, potrzebę, którą jedynie ona mogła uśmierzyć swoją obecnością albo swoimi listami. Potrzeba ta była prawie równie bezinteresowna, artystyczna, równie perwersyjna jak inna pasja cechująca to nowe życie Swanna, w którym po oschłości i depresji dawniejszych lat nastąpił rodzaj duchowego przekrwienia. Nie wiedział, czemu zawdzięcza to nieoczekiwane wzbogacenie swego dawniejszego życia, niby osoba delikatnego zdrowia, która od pewnego momentu nabiera sił i ciała i zdaje się przez jakiś czas zbliżać do zupełnego wyleczenia. Ową drugą pasją, która się w nim rozwijała również poza realnym światem, było słuchanie i poznawanie muzyki.

Toteż przez sam chemizm swojej choroby, po okresie, w którym destylował ze swojej miłości zazdrość, zaczynał znów wytwarzać czułość, litość dla Odety. Znów stawała się Odetą uroczą i dobrą. Miał wyrzuty, że był dla niej twardy. Pragnął, że by przyszła do niego; przedtem zaś chciał jej sprawić jakąś przyjemność, widzieć, jak wdzięczność rzeźbi jej twarz, modeluje jej uśmiech.

Toteż Odeta, pewna, że on przyjdzie po kilku dniach równie czuły i uległy jak wprzódy, aby ją błagać o pojednanie, przywykła już nie bać się żalów ani nawet gniewów Swanna i, o ile jej to było na rękę, odmawiała mu faworów, na których zależało mu najwięcej.

Może nawet nie wiedziała, jak bardzo. Swann był szczery w momencie sprzeczki, kiedy mówił, że jej już nie pośle pieniędzy i że będzie się starał jej szkodzić. Może również nie wiedziała, jak bardzo był szczery, jeżeli nie wobec niej, to bodaj wobec samego siebie w innych wypadkach, kiedy dla dobra ich wspólnej przyszłości, aby pokazać Odecie, że może się bez niej obejść, że zerwanie jest zawsze możliwe, postanawiał przetrwać jakiś czas, nie widząc jej.

Czasami robił to po kilku dniach, w których Odeta nie sprawiła mu nowej zgryzoty; wiedział zaś, że najbliższe spotkania z nią nie mogą mu przynieść żadnej wielkiej słodyczy, raczej jakąś nową przykrość, która położy koniec obecnemu spokojowi. Pisał wtedy

do Odety, że, będąc bardzo zajęty, nie może jej odwiedzić w żaden z zapowiadanych dni. I otóż list od niej, mijając się z jego listem, prosił go właśnie o przesunięcie któregoś spotkania. Natychmiast Swann zastanawiał się nad przyczyną jej kroku: podejrzenia, udręki chwytaly go na nowo. W tej nowej gorączce nie mógł już dotrzymać postanowień, jakie powziął w poprzednim stanie względnego spokoju; biegł do Odety i domagał się widzenia jej we wszystkie najbliższe dni. Nawet jeżeli ona nie napisała doń pierwsza, jeżeli tylko odpowiedziała na jego list, to wystarczało, aby Swann nie mógł wytrwać bez jej widoku. Bo na wspak jego rachubom zgoda Odety zmieniała w nim wszystko. Jak wszyscy, którzy posiadają jakąś rzecz, chcą sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby nagle przestali ją posiadać, usunął tę rzecz ze swojej duszy, zostawiając wszystko inne w tym stanie, co kiedy ona tam była. Otóż nieobecność jakiejś rzeczy nie jest jedynie tym; to nie jest prosty częściowy brak; to jest zburzenie całej reszty, nowy stan, którego nie można przewidzieć w dawnym.

Innym razem przeciwnie, kiedy Odeta wybierała się w podróż, wówczas Swann po jakiejś drobnej, dowolnie upozorowanej sprzeczce, decydował się nie pisać do niej i nie widzieć jej przed powrotem. W ten sposób, z całym wyrachowaniem, rozłąkę rozpoczętej jedynie nieco wcześniej, nieuniknionej przez sam fakt podróży, dawał pozór wielkiego zerwania, które Odeta weźmie może za ostateczne. Już wyobrażał sobie kochankę niespokojną, strapioną brakiem jego wizyty lub listu; a obraz ten, uspakajając jego zazdrość, ułatwiał mu odzwyczajenie się od jej widoku. Bez wątpienia chwilami, w zaułku świadomości, dokąd wola Swanna spychała tę myśl, dzięki trzem tygodniom postanowionej rozłąki z przyjemnością zważał nadzieję ujżenia Odety za powrotem; ale czynił to tak nieskwapliwie, że zaczynał pytać sam siebie, czy nie podwoiłby chętnie trwania tak mało dotkliwego braku. Rozłąka datowała dopiero od trzech dni; czasami o wiele dłużej nie widywał Odety i to bez uprzedniego przygotowania. Mimo to, niechby jakaś lekka przeciwność lub niedyspozycja fizyczna pozwoliła mu uważać daną chwilę za moment wyjątkowy, specjalny, w którym sam rozsądek godzi się przyjąć ulgę czerpaną z przyjemności i daje urlop woli aż do podjęcia nowego, celowego wysiłku — już działanie tej woli słabło. I nawet jeszcze mniej: przypominał sobie np. że zaniedbał poprosić Odety o jakąś wskazówkę; ot, na jaki kolor chce przemalować swój powóz; lub jakieś sprawy giełdowe, czy chce nabyć akcje zwykle czy uprzywilejowane (bardzo to ładna rzecz pokazać, że może istnieć bez widzenia jej, ale gdyby potem trzeba było przemalować na nowo lub gdyby akcje nie dały dywidendy, dużo by na tym zyskał!) — i oto myśl ujżenia Odety, jak napięta gumelastyka lub powietrze w machinie pneumatycznej, z nieokreślonych dali, w których Swann ją trzymał, wracała jednym skokiem w pole doraźnych i natychmiastowych możliwości.

Myśl ta wracała, nie znajdując już sprzeciwu, zresztą tak nieodparta, że Swann mniej cierpiał wprzód, dzień po dniu, czując, jak się zbliżają dwa tygodnie spodziewanej rozłąki z Odetą, niż teraz, czekając dziesięć minut, aż stangret zaprzęgnie powóz, który miał go do niej zawieźć. Minuty te spędzał w transach niecierpliwości i radości, w których po tysiąc razy z nagłą tkliwością obracał w głowie myśl ujżenia Odety; myśl, która w chwili, gdy przypuszczał, że jest tak daleko, znalazła się nagłym zwrotem i tak blisko niego w najbliższej świadomości! Bo ta myśl nie znajdowała już zapory w pragnieniu przezwyciężenia jej: pragnienie to przestało istnieć u Swanna od czasu, jak dowiódł sam sobie — tak sądził przynajmniej — że mu to przyszło tak łatwo. Nie widział już żadnej przeszkody, aby odroczyć tę próbę rozłąki, co do której był teraz pewien, że ją potrafi skutecznie, skoro zechce. Bo też owa myśl ujżenia Odety wracała strojna dlań nowością, urokiem, obdarzona siłą, którą przyzwyczajenie zwątpiło, ale która skrzepiła się w owej prywatności trzech dni, ale piętnastu (bo czas wyrzeczenia się trzeba liczyć przez antycypację wedle oznaczonego z góry terminu). To, co byłoby dotąd oczekiwaną i łatwą do poświęcenia przyjemnością, stawało się nieoczekiwanym szczęściem, wobec którego jest się bez obrony. I myśl ta wracała upiększona nieświadomością tego, co Odeta mogła myśleć i robić w miarę, jak on nie daje znaku życia; tak że kochanka, którą miał odnaleźć, stawała się pasjonującym objawieniem Odety prawie nieznanego.

Ale Odeta, jak odmowę pieniędzy uważała tylko za fintę, tak samo widziała jedynie pretekst w informacjach tyżących odmalowania powozu lub kupna papierów, o które to wskazówki Swann przychodził ją rzekomo prosić. Bo Odeta nie odtwarzała sobie

rozmaitych faz, które on przechodził; nie siliła się zrozumieć ich mechanizmu, wierząc tylko w to, co znała z góry, w konieczne, niezawodne i zawsze jednakie zakończenie. Pojęcie niekompletne — tym głębsze może, o ile sądzić z punktu Swanna, który byłby z pewnością uznał, że Odeta go nie rozumie; tak jak morfinista albo gruźlik czują się niezrozumiani przez lekarza. Jeden z nich sądzi, że mu stanęły w poprzek jedynie nie-szczęśliwe okoliczności, gdy już się miał wyleczyć z zastarzałego nałogu; drugi wierzy, że go zaskoczyła przygodna niedyspozycja w chwili, gdy miał wreszcie wyzdrowieć; ale lekarz nie przywiązuje zbytnej wagi do tych rzekomych przypadków; uważa je za prostą maskaradę nałogu lub choroby, które obrały tę postać, aby się przypomnieć pacjentom, nie przestając w rzeczywistości beznadziejnie ciążyć nad nimi, gdy oni się łudzili rojeniami o silnej woli lub o wyzdrowieniu. I w istocie miłość Swanna doszła do punktu, gdy lekarz — a w niektórych chorobach i najśmielszy chirurg — pytają sami siebie, czy rozsądne lub nawet możliwe jest pozbawić chorego jego nałogu albo odjąć mu jego chorobę.

To pewna, że Swann nie miał bezpośredniego poczucia rozmiarów swojej miłości. Kiedy starał się ją zmierzyć, często zdawała mu się zmniejszona, niemal sprowadzona do zera. Chłód, niemal wstręt, jaki budziły w nim — zanim pokochał Odetę — jej wyraziste rysy, jej nieswieża cera, wracały mu w pewne dni. „Doprawdy, jest widoczny postępek — powiedział sobie nazajutrz — ściśle biorąc, nie czułem wczoraj prawie żadnej przyjemności, będąc z nią w łóżku; a nawet — to ciekawe — wydawała mi się brzydka”. I niewątpliwie był szczerzy, ale miłość jego rozpościerała się już daleko poza regiony fizycznego pożądania. Nawet osoba Odety nie zajmowała w niej już wiele miejsca. Kiedy spojrzenie Swanna padło na jej fotografię lub kiedy ona sama przyszła do niego, zaledwie mógł utożsamić jej rzeczywistą lub sportretowaną twarz z owym bolesnym i stałym wzruszeniem, jakie w nim mieszkalo. Powiadał sobie prawie ze zdziwieniem: „To ona”, jak gdyby nam nagle uzewnętrznilo obraz jednej z naszych chorób, która by się nam nie wydała podobna do tego, co cierpimy. „Ona” — próbował pytać sam siebie, co to takiego; bo w tym jest podobieństwo między miłością a śmiercią (raczej niż inne mętne podobieństwa, które się wciąż przytacza), że każą nam one wnikać coraz głębiej w tajemnice osobowości w obawie, że ich realność nam się umyka. I ta choroba, którą była miłość Swanna, tak się rozrosła, tak ściśle zespoliła się z jego nawykami, ze wszystkimi jego czynnościami, z jego myślą, zdrowiem, z jego snem, życiem, nawet z tym, czego by pragnął po śmierci, tak dalece stopiła się z nim samym, że nie dałoby się jej wyrwać z niego, nie niweczając go prawie całkowicie; miłość jego, jak się mówi w chirurgii, nie nadawała się już do operacji.

Przez tę miłość Swann oderwał się od wszystkich zainteresowań. Czasem pokazywał się w wielkim świecie, powiadając sobie, że jego stosunki — jak elegancki zaprząg, którego Odeta nie umiała zresztą dobrze ocenić — mogłyby mu przydać nieco wartości w jej oczach. I byłoby to może prawdą, gdyby jego stosunki nie były tak zdeprecjonowane właśnie przez tę miłość, która obniżała dla Odety cenę wszystkiego przez to, że on sam tego nie cenił. Teraz, będąc w towarzystwie, obok smutku pobytu wśród rzeczy i ludzi, których Odeta nie znała, Swann odczuwał ową bezinteresowną przyjemność, jaką znajdowałby w powieści lub obrazie przedstawiających uciechy próżniaczej klasy; jak znowuż, będąc u siebie, lubił zważać wzorowe funkcjonowanie domowego mechanizmu, elegancję swojej garderoby i liberii, dobrą lokatę kapitałów. To było dlań to samo, co czytać w ulubionym Saint-Simonie o porządku dnia i *menu* posiłków pani de Maintenon lub o chytrej drapieżności i szerokim trybie życia Lulliego. I w miarę słabych zainteresowań, jakie jeszcze zachował, Swann czerpał jakby nową przyjemność w tym, aby się móc przenieść na chwilę w owe szczupłe okolice swojego ja, które pozostały niemal obce jego miłości, jego zgrzyocie. Pod tym względem czuł się obecnie najlepiej w osobowości, w której moja cioteczna babka widziała go jako „młodego Swanna” — osobowości różnej od owej drugiej, bardziej indywidualnej, jaką był pan Karol Swann. Jednego dnia chciał posłać owoce na urodziny księżnej parmeńskiej, ile że często mogła pośrednio przydać się Odecie, dostarczając mu miejsc na jakieś uroczystości, na galowe przedstawienia. Nie bardzo umiając dać z tym sobie radę, obarczył zamówieniem kuzynkę swojej matki, uszczęśliwioną, że mu się może przysłużyć. Zdając sprawę ze zlecenia, doniosła mu, że nie kupiła wszystkich owoców w jednym sklepie, ale wzięła winogrona u Crapote, którego są specjalnością, truskawki u Jaureta, gruszki u Cheveta, gdzie są najpiękniejsze, etc. „Każdy owoc — pisała — obejrzałam i wybrałam sztuka po sztuce”. I w istocie, z po-

dziękowań księżnej mógł Swann ocenić wonność truskawek i soczystość gruszek. Ale zwłaszcza owo: „każdy owoc obejrzałam i wybrałam sztuka po sztuce” stało się ukojeniem dla jego cierpienia, unosząc jego świadomość w sferę, w której bawił rzadko, mimo że do niej należał jako spadkobierca bogatego i szanownego mieszczaństwa, gdzie przechowywała się dziedzicznie, gotowa na jego usługi, skoro tego zapragnie, znajomość „dobrych adresów” i umiejętność zamówień.

Z pewnością Swann od zbyt dawna zapomniał, że był „młodym Swannem”, aby nie odczuć — kiedy znów stał się nim na chwilę — przyjemności żywszej niż te, których kosztował zwykle i na które był znieczulony. O ile uprzejmość mieszczań, dla których pozostał zwłaszcza owym „młodym Swannem” była mniej żywa niż uprzejmość arystokracji (ale pochlebniejsza, bo w owej sferze przynajmniej nieodłączna jest od szacunku), to pewna, że żaden bilecik książęcej Wysokości, żadne dostojne rozrywki, które mu ofiarowywano, nie mogłyby być Swannowi równie miłe jak list, w którym proszono go na świadka ślubu, lub bodaj proste zaproszenie na ślub w rodzinie starych przyjaciół jego rodziców. Niektórzy zachowali z nim stosunki — jak np. dziadek, który poprzedniego roku zaprosił Swanna na ślub mojej matki; inni ledwie go znali osobiście, ale poczuli się do obowiązków grzeczności dla syna nieboszczyka Swanna, jego godnego spadkobiercy.

Ale dzięki dawnej zażyłości światowcy również w pewnej mierze stanowili część jego domu, otoczenia i jakby rodziny. Przechodząc w myśli swoje świetne stosunki, Swann miał poczucie tego samego bezpieczeństwa, komfortu, co patrząc na piękne dobra ziemskie, piękne srebra, piękną bieliznę stołową, które odziedziczył po swoich. Myślał że, gdyby go nagle w domu poraził jakiś atak, lokaj pobiegłby odruchowo po księcia de Chartres, po księcia de Reuse, po księcia de Luxembourg, po barona de Charlus; i owa myśl przynosiła mu tę samą pociechę, co naszej starej Franciszce świadomość, iż będzie pochowana we własnym cienkim płótnie, znaczonej, niecerowanej (lub cerowanej tak delikatnie, że to dawało jedynie tym wyższe pojęcie o staraniu pracownicy), w całunie, którego często wspomniany obraz dawał jej niezawodną satysfakcję jeżeli nie komfortu, to bodaj zadowolonej próżności. We wszystkich postępkach i myślach odnoszących się do Odety Swann ulegał wciąż tajonemu uczuciu, że jest jej może nie mniej drogi, ale jako towarzystwo mniej miły od kogokolwiek, od najnudniejszego z „paczki” Verdurinów; toteż kiedy się przenosił myślą w świat, dla którego był człowiekiem uroczym i pożądanym, gdzie robiono wszystko, aby go ściągnąć, gdzie rozpaczano, że go się tak mało widuje, zaczynał wierzyć w istnienie szczęśliwego życia, prawie odczuwał jego głód. Podobny był wówczas choremu leżącemu od wielu miesięcy w łóżku, na diecie, gdy ujrzy w dzienniku menu oficjalnego śniadania lub anons wycieczki na Sycylię.

O ile Swann musiał się usprawiedliwiać przed przyjaciółmi z towarzystwa, że ich zaniedbuje, o tyle czuł potrzebę usprawiedliwienia przed Odetą swoich u niej wizyt. A jeszcze płacił za nie, zastanawiając się z końcem miesiąca — o ile bodaj trochę nadużył cierpliwości Odety i odwiedzał ją częściej — czy wystarczy jej posłać cztery tysiące franków! I dla każdej wizyty znajdował jakiś pozór: prezent, który przynosił Odecie; informację, której potrzebowała; pana de Charlus, którego spotkał idącego do niej i który zmusił jakoby Swanna, aby mu towarzyszył. W braku pretekstu prosił pana de Charlus, aby zaszedł do Odety i aby sobie niby to przypomniał, ot, w trakcie rozmowy, że ma pilno do pomówienia ze Swannem, prosząc, aby go zechciała sprowadzić; ale najczęściej Swann czekał daremnie: Charlus powiadał mu wieczorem, że sztuczka się nie powiodła. Tak, iż Odeta, która teraz często wyjeżdżała, niewiele widywała Swanna, nawet będąc w Paryżu. Ona, która wówczas, gdy go kochała, mówiła: „Jestem zawsze wolna” i: „Cóż mnie może obchodzić, co sobie ludzie myślą?”, teraz za każdym razem, kiedy Swann ją chciał widzieć, zasłaniała się konwenansami lub tłumaczyła się zajęciem. Kiedy się chciał wybrać na jakiś bazar dobroczynny, na wernisaż, premierę, gdzie ona miała być, mówiła, że się z nią afszuje, że ją traktuje jak kokotę.

Swann wiedział, że Odeta zna i bardzo ceni mego wuja Adolfa, z którym on sam był w przyjaźni; otóż, pragnąc nie być całkowicie pozbawiony widoku Odety, zaszedł raz do niego na ulicę Bellechasse, aby go poprosić o użycie swego wpływu na nią. Ile razy Odeta wspomniała Swannowi o moim wuju, uderzała w tony poetyczne, powiadając: „Och, on, to nie to co ty; jego przyjaźń dla mnie to rzecz taka piękna, taka wielka, taka ładna! On by z pewnością nie poniżył mnie do tego stopnia, aby się chcieć wciąż ze

mną pokazywać w miejscach publicznych”; toteż Swann był w kłopotcie i nie wiedział, do jakiego tonu ma się wzniesić, mówiąc z wujem Adolfem o Odecie. Ustalił najpierw a priori doskonałość Odety; dogmat jej seraficznej nadziejskości; objawienie jej cnót niedających się ani wykazać, ani wywieść z doświadczenia. „Chcę z tobą pomówić. Ty wiesz, czym jest Odeta, kobieta nieporównana, istota cudowna, anioł. Ale wiesz także, co to jest życie w Paryżu. Nie wszyscy widzą Odetę w tym świetle, co ty i ja. Są tedy ludzie, którzy znajdują, że ja odgrywam rolę trochę śmieszna; ona nie dopuszcza nawet myśli, abym ją mógł spotkać gdzieś poza domem, w teatrze na przykład. Ty, do którego ona ma takie zaufanie, czy nie mógłbyś jej powiedzieć parę słów za mną, upewnić ją, że przesadza, że fakt mojego ukłonu nie jest niczym kompromitującym”.

Wuj poradził Swannowi, aby jakiś czas wstrzymał się od widywania Odety, co tylko dobrze wpłynie na jej uczucia; Odecie zaś poradził, aby pozwoliła Swannowi spotykać ją do woli. W kilka dni potem Odeta napomknęła Swannowi, że się zawiodła na moim wuju; że to jest samiec podobny do wszystkich innych: próbował wziąć ją siłą! Uspokoiła Swanna, który w pierwszej chwili chciał wyzwać wuja; ale kiedy go spotkał, odmówił mu podania ręki. Żałował później tego zerwania z wujem Adolfem, ile że, gdyby go widywał czasami i mógł z nim rozmawiać poufnie, byłby mógł rozświetlić niektóre pogłoski dotyczące dawnego życia Odety w Nizy, gdzie wuj Adolf spędzał zwykle zimę. Swann przypuszczał nawet, że wuj może tam poznać Odetę. Jakies słówko, które się wyrwało komuś w obecności Swanna o człowieku będącym jakoby niegdyś kochankiem Odety, wstrząsnęło nim. Ale rzeczy, które — zanim je poznał — wydałyby mu się najokropniejsze i najbardziej nie do wiary, raz doszedłszy do jego świadomości wcielały się na zawsze w jego smutek; przyjmował je, nie pojmował już, że mogłoby ich nie być. Jedynie każda z nich zostawiała niezatartą rysę na pojęciu, jakie sobie tworzył o swojej kochance.

Zdał sobie nawet raz sprawę, że lekkie obyczaje Odety, których nie byłby podejrzewał, były dosyć znane; w Baden i w Nizy, gdzie spędzała niegdyś po kilka miesięcy, miała rodzaj swoistej sławy. Swann starał się zbliżyć do niektórych viveurów, aby ich wybać; ale ci wiedzieli, że on zna Odetę; przy tym Swann bał się przypominać im Odetę, naprowadzać ich na jej ślady. Dotychczas nic mu się nie mogło wydać równie ciche jak wszystko, co się odnosiło do kosmopolitycznego życia Baden lub Nizy; ale skoro się dowiedział, że Odeta może niegdyś „puszczała się” w owych miejscach rozkoszy (przy czym nie zdołał nigdy dojść, czy robiła to jedynie dla pieniędzy, których dzięki Swannowi nie potrzebowała, czy przez kaprys, który mógłby się odrodzić), teraz pochylał się z bezsilnym, ślepy i zawrotnym łękiem nad przepaścią bez dna, gdzie utonęły owe lata siedemdziesiąte, podczas których spędzało się zimę na *promenade des Anglais*, a lato pod lipami w Baden. Znajdował w nich jakąś głębię, bolesną, ale wspaniałą, podobną tej, której użyczyłby im poeta; i gdyby drobne kroniki ówczesnego Jasnego Brzegu mogły mu pomóc coś zrozumieć z uśmiechu albo ze spojrzeń — tak uczciwych i prostych! — Odety, włożyłby w ich odtwarzanie więcej pasji niż estetyk badający stare dokumenty Florencji XV wieku, aby przez nie głębiej wniknąć w duszę Primavera, pięknej Vanny lub Wenus Botticellogo.

Często, nic nie mówiąc, patrzył na Odetę, dumał; ona powiadała mu: „Jaką ty masz smutną minę!”. Niedawno jeszcze temu od myśli, że Odeta jest dobrą istotą, podobną do najlepszych, jakie znał, Swann przeszedł do poglądu, że jest zwykłą utrzymanką; i na odwrót, zdarzyło mu się od tego czasu wrócić od Odety de Crécy, zanadto może znanej birbantom i kobieciarzom, do tej twarzy o wyrazie niekiedy tak słodkim, do tej natury tak ludzkiej. Powiadał sobie: „Cóż to ma za znaczenie, że w Nizy wszyscy wiedzą, kto jest Odeta de Crécy? Takie reputacje, nawet gdy są prawdziwe, są produktem cudnych pojęć”. Myślał sobie, że ta legenda — choćby nawet była autentyczna — jest czymś poza Odetą; że nie mieszka w niej jako niezniszczalna i złowroga osobowość; że owa istota, która mogła zejść chwilowo na złe drogi, to jest kobieta o dobrych oczach, o sercu pełnym współczucia dla niedoli, o uległym ciele, które trzymał i ścisnął w ramionach i pieścił je; kobieta, którą zdoła może kiedyś osiąść cała, jeżeli potrafi stać się jej nieodzownym. Była przy nim, tuż obok, często zmęczona, z twarzą wyzbytą na chwilę gorączki i radosnej żądzy nieznanych rzeczy, które zadawały Swannowi ból; rozcierając włosy rękami; czoło jej, twarz wydawały się szersze; wówczas nagle, niby żółty płomień tryskała z jej oczu jakaś myśl po prostu ludzka, jakieś dobre uczucie, takie, jakie zjawia się we wszystkich

istotach, kiedy stają się bardziej sobą, w chwili odpoczynku lub skupienia. I natychmiast cała twarz Odety rozświecała się niby szary krajobraz pokryty chmurami, które rozsuna się nagle, aby go przeobrazić w blaskach zachodu. W takich momentach Swann byłby mógł podzielić życie wewnętrzne Odety, nawet przyszłość, którą zdawała się oglądać w zadumie; nie czuć w niej było osadu żadnych złych wyruszeń. Takie chwile, mimo iż coraz rzadsze, nie były daremne. We wspomnieniu Swann spajał te cząsteczki, zacięwał szczeliny, odlewał w złocie Odetę pełną dobroci i spokoju; dla tej Odety uczynił później (jak się to okazało w drugiej części utworu) ofiary, których nie byłaby uzyskała tamta.

Ale jakże te chwile były rzadkie i jak mało ją teraz widywał! Nawet co się tyczyło ich wspólnego wieczoru, dopiero w ostatniej minucie Odeta mówiła mu, czy będzie mu go mogła udzielić; licząc bowiem na to, że Swann jest dla niej zawsze wolny, chciała się wprzód upewnić, czy nikt inny nie zapowie się do niej. Powiadała mu, że musi czekać na odpowiedź niezmiernej dla niej wagi; i nawet w czasie bytności Swanna w ciągu wieczora, jeśli przyjaciele wzywali Odetę do teatru lub na kolację, podskakiwała radośnie i ubierała się co prędzej. W miarę postępów toalety każdy jej ruch zbliżał Swanna do chwili, w której będzie trzeba pożegnać kochankę, do chwili, w której Odeta pomknie niewstrzymanym pędem. Kiedy wreszcie gotowa, zatapiając po raz ostatni w lustrze podniecone i baczne spojrzenia, kładła nieco różu na wargi, poprawiała grzywkę i kazała podać błękitny wieczorowy płaszcz ze złotymi guzami, Swann miał minę tak smutną, że Odeta nie mogła wstrzymać zniecierpliwienia. „Oto jak mi dziękujesz — mówiła — za to, że ci pozwoliła zostać do ostatniej chwili. A ja myślałam, że robię ci przyjemność. Dobrze to wiedzieć na inny raz!”

Czasami, ryzykując jej gniew, postanawiał sobie, że się będzie starał zbadać, dokąd ona poszła; marzył o zbliżeniu się z Forchevillem, który zdołałby go może oświecić. Zresztą, kiedy Swann wiedział, z kim Odeta spędziła wieczór, najczęściej mógł pośród swoich przyjaciół znaleźć kogoś, kto znał choćby pośrednio jej towarzysza; z łatwością mógłby uzyskać jakąś informację. I kiedy pisał do któregoś z przyjaciół, prosząc go, aby się starał rozjaśnić jakiś szczegół, odczuwał ulgę, że przestaje samemu sobie zadawać pytania bez odpowiedzi i że przenosi na kogoś innego trud pytania.

Prawda, że takie informacje nie o wiele posuwały Swanna naprzód. Wiedzieć to nie zawsze znaczy móc zapobiec; ale przynajmniej rzeczy, które wiemy, trzymamy o ile nie w rękach, to bodaj w naszej myśli, gdzie rozrządzamy nimi wedle woli, co nam daje złudzenie jakiejś nad nimi władzy.

Swann był szczęśliwy, ilekroć Charlus był z Odetą. Wiedział, że pomiędzy nią a panem de Charlus nic nie może zająć; że kiedy Charlus idzie z nią dokądś, to jedynie przez przyjaźń dla niego i że opowiedziałby mu bez trudności, co Odeta robiła. Czasem Odeta oświadczała Swannowi tak kategorycznie, że nie sposób jej widzieć go tego wieczora, robiła wrażenie, że tak jej zależy na wyjściu z domu, że dla Swanna stawało się rzeczą niezmiernej wagi, aby Charlus był wolny i mógł jej towarzyszyć. Nazajutrz, nie śmiejąc zadawać przyjacielowi zbyt wielu pytań, wyciągał go na słówka, udając, że niedobrze rozumie jego odpowiedzi; i w miarę wyjaśnień doznawał ulgi, dowiadując się, że Odeta spędziła wieczór na uciechach nad wyraz niewinnych.

— Więc jakże to, drogi Mémé, nie rozumiem dobrze... przecież nie prosto od niej poszliście do Musée Grévin? Musieliście najpierw pójść gdzie indziej Nie? Och, jakie to zabawne! Nie masz pojęcia, jak ty mnie bawisz, drogi Mémé. Ale co za dziki pomysł, żeby się wybrać potem do *Chat Noir*; tylko ona może mieć takie koncepty!... Nie? To twój pomysł? To ciekawe. Ostatecznie, niezła idea, Odeta musiała tam spotkać dużo znajomych. Nie? Nie mówiła z nikim? To nadzwyczajne. Więc siedzieliście sobie tak we dwoje? Wyobrażam was sobie! Kochamy jesteście, mój drogi Mémé, przepadam za tobą.

Swann czuł ulgę. Czasem w rozmowie z ludźmi obojętnymi, których zaledwie słuchał, zdarzało mu się usłyszeć jakieś zdanie (takie na przykład: „Widziałem wczoraj panią de Crécy, była z jakimś facetem, którego nie znam”); zdanie takie natychmiast tężało w sercu Swanna, twarzą w nim niby inkrustacja, rozdzierało je, nie dało się usunąć. Jakże słodkie przeciwnie były takie słowa: „Nie spotkała nikogo, nie rozmawiała z nikim”, jakże krążyły w nim swobodnie, jak były płynne, łatwe, orzeźwiającej! Ale po chwili powiadał sobie, że musi być dla Odety bardzo nudny, skoro to są przyjemności, które przekłada

nad jego towarzystwo! I nędza tych zabaw, o ile go uspakajała, sprawiała mu zarazem przykrość niby zdrada.

Dla uśmierzenia niepokoju, jakiego doznawał, jedynym specyfikiem była obecność Odety, słodycz życia przy niej. Specyfik ten na dłuższy dystans pogarszał chorobę, ale przynajmniej chwilowo uśmierzał ból. Ale nawet kiedy Swann nie mógł wiedzieć, dokąd Odeta idzie, wystarczyłoby, żeby mu tylko pozwoliła zostać, czekać na nią, doczekać się jej powrotu; w ukojeniu owej godziny utopić inne, które przez jakieś złośliwe urzeczenie zdawały mu się tak odmienne. Ale nie pozwalała. Wracał do domu, zmuszał się w drodze do rozmaitych projektów, przestawał myśleć o Odecie, zdołał nawet czasem, rozbierając się, nastroić się dosyć wesoło; z sercem pełnym nadziei, że jutro pójdzie obejrzeć jakieś arcydzieło, kładł się do łóżka i gasił światło; ale skoro tylko, gotując się zasnąć, przestał nakładać sobie przymus, którego nie miał nawet świadomości, tak bardzo stał mu się nawykiem — w tej chwili uczuwał w sercu jakby lodowaty dreszcz i zaczynał szlochać. Nie chciał nawet znać przyczyny tego, ocierał oczy i powiadał sobie, śmiejąc się: „Ładna rzecz, robi się ze mnie neurastenik”.

I doznawał znużenia, na myśl, że nazajutrz trzeba będzie zacząć na nowo dociekać, co robiła Odeta, rozwijać całą dyplomację, aby się ją starać zobaczyć. Ten przymus czynności bez przerwy, bez odmiany, bez rezultatów był mu tak okrutny, że jednego dnia, ujrawszy u siebie jakąś wypukłość na brzuchu, uczuł szczerą radość na myśl, że to może jest śmiertelny nowotwór, że nie będzie już potrzebował zajmować się niczym, że choroba zapanuje nad nim, że zrobi zeń swoją zabawkę aż do bliskiego końca. I w istocie, jeżeli w owej epoce zdarzało mu się często — choć się do tego przed sobą nie przyznawał — pragnąć śmierci, spodziewał się tym umknąć nie tyle przed dokuczliwością cierpień, ile przed monotonią wysiłku.

A jednak byłby chciał żyć aż do epoki, w której nie będzie już kochał Odety; kiedy nie będzie miała żadnego powodu kłamać przed nim; wówczas będzie się mógł wreszcie dowiedzieć, czy w dniu, gdy zaszedł do niej popołudniu, była w łóżku z Forchevillem? Często przez kilka dni podejrzenie, że ona kocha kogoś innego, odwracało go od problemu Forcheville’a, czyniło mu go prawie obojętnym, niby nowe formy tej samej choroby, które zdają się nas na chwilę uwalniać od poprzednich. Były nawet dni, w których Swanna nie dręczyło żadne podejrzenie. Myślał, że jest uleczony. Ale nazajutrz rano przy obudzeniu czuł w tym samym miejscu ten sam ból, którego poczucie w ciągu poprzedniego dnia rozcięńczył niejako w strumieniu innych wrażeń. Ale ból nie ruszył się z miejsca. I nawet właśnie ostrość tego bólu obudziła Swanna.

Ponieważ Odeta nie dawała mu żadnych objaśnień co do tak ważnych rzeczy, które zaprzętały ją każdego dnia, Swann — mimo iż dość długo żył, aby wiedzieć, że nie istnieją żadne ważne sprawy oprócz przyjemności — nie mógł się długo wysilać na ich uprzytomnienie: mózg jego działał w próżni. Wówczas przeciągał palce po zmęczonych powiekach, jakby przecierał szkła lornetki, i przestawał całkowicie myśleć. Pływały wszelako po owym tajemniczym morzu pewne zajęcia zjawiające się od czasu do czasu i mglisto związane przez Odetę ze zobowiązaniami wobec jej dalekich krewnych lub dawnych przyjaciół. Ponieważ były to jedyne przeszkody, które Odeta często przeciwstawiała wizytom Swanna, wydawały się mu w końcu niby stałą nieodzowną ramą życia Odety. Od czasu do czasu mówiła: „dzień, w którym idę z przyjaciółką do Hipodromu”; i to takim tonem, iż kiedy, czując się niezdrów, Swann pomyślał: „może Odeta zechciałaby zejść do mnie”, przypominał sobie nagle, że to jest właśnie ów dzień, i powiadał sobie: „Och, nie, nie warto prosić Odety, żeby przyszła; powinienem być pamiętać wcześniej; to dzień, w którym idzie z przyjaciółką do Hipodromu. Poprzestańmy na tym, co możliwe; po co walczyć o rzeczy niepodobne i skazane z góry na odmowę”. I obowiązek, jakim było dla Odety pójście do Hipodromu, wydawał mu się niewzruszony, uchylał przed nim czoła; co więcej, związana z tym obowiązkiem konieczność uprawniała niejako i usprawiedliwiała wszystko, co z bliska lub z daleka odnosiło się do tego faktu. Jeżeli na przykład na ulicy uklon przechodnia pod adresem Odety obudził zazdrość Swanna, odpowiadała na jego pytanie, wiążąc istnienie nieznanego z jednym z paru zasadniczych obowiązków, o których mu mówiła. Kiedy na przykład powiedziała: „To znajomy z loży przyjaciółki, z którą chodzę do Hipodromu”, wyjaśnienie to uspokajało Swanna. Rozumiał, że przyjaciółka musi mieć w loży innych gości oprócz Odety, ale co prawda nigdy nie silił się wyobra-

zić ich sobie. Och! Jakżeby pragnął znać ową przyjaciółkę, która bywała w Hipodromie; jakżeby pragnął, żeby go tam wzięła wraz z Odetą. Jakżeby chętnie oddał wszystkie swoje stosunki za byle jaką osobę mającą sposobność widywania Odety, choćby to była mani-kiurzystka albo panna z magazynu. Nadskakiwałby im bardziej niż jakiej królowej! Czyż nie dostarczyłyby mu przez to, że były związane z życiem Odety, jedyne gojącego środka na jego cierpienie? Z jakąż radością przebywałby u tych drobnych ludzi, z którymi Odeta zachowała stosunki, bądź z interesu, bądź przez szczerą prostotę. Z jakąż radością osiadłby na zawsze na piątym piętrze jakiegoś brudnego i upragnionego domu, dokąd Odeta nie zabierała go nigdy; mieszkając tam z ową eks-krawcową, za której kochanka zgodziłby się chętnie uchodzić, miałby prawie co dzień wizytę Odety. W owych dzielnicach niemalże ludowych rad byłby bez końca pędzić życie skromne, nędzne, ale słodkie, ale nasyczone szczęściem i spokojem.

Czasami, kiedy, spotkawszy się ze Swannem, Odeta widziała, że się do niej zbliża ktoś, kogo on nie zna, Swann mógł zauważyć na jej twarzy ten sam smutek, jaki miała w dniu jego odwiedzin w czasie bytności pana de Forcheville. Ale to było rzadkie: obecnie bowiem w dniu, kiedy mimo wszystkich swoich zajęć i mimo obaw „co o tym pomyśli świat” Odeta zgodziła się spotkać ze Swannem, w jej zachowaniu się górowała pewność siebie. Wzięcie to stanowiło wielki kontrast z jej dawną postawą; był to może nieświadomy odwet albo też naturalna reakcja nieśmiałego wzruszenia, jakie w pierwszym okresie zażyłości odczuwała wobec Swanna, a nawet z dala od niego, kiedy to zaczynała listy od tych słów: „Drogi mój, ręka mi drży tak, że ledwo mogę pisać”... (Tak twierdziła przynajmniej i trochę tego wzruszenia musiała czuć w istocie, skoro miała ochotę udawać, że go czuje więcej). Swann podobał się jej wówczas. Drży się jedynie dla siebie, jedynie przez tych, których się kocha. Kiedy nasze szczęście nie jest już w ich rękach, jakiegoż spokoju, jakiej swobody, śmiałości zażywa się będąc z nimi! Mówiąc ze Swannem, pisząc doń, Odeta nie znajdowała już owych słów, którymi starała się stworzyć sobie złudzenie, że on należy do niej, szukając sposobności powiedzenia „mój”, „ty mój”, kiedy chodziło o niego. Mawiała wówczas: „Jesteś moim szczęściem, to jest zapach naszej miłości, zachowam go na zawsze”; — o przyszłości, o śmierci nawet mówiła jako o rzeczy wspólnej dla nich dwojga. W owym czasie wszystko, co Swann mówił, budziło w niej podziw. „Ty nigdy nie będziesz taki jak wszyscy”. Patrzała na jego długą głowę, trochę łysą, o której ludzie znający sukcesy Swanna powiadali: „Nie jest klasycznie piękny, to pewna, ale jest szykowny: ten tupecik, ten monokl, ten uśmiech!” — i bardziej może ciekawa poznać, co w nim siedzi, niż spragniona zostać jego kochanką, powiadała:

— Gdybym mogła wiedzieć, co tam się kryje w tej głowie!

Teraz na każde odezwanie się Swanna odpowiadała, czasami z irytacją, czasami po-błażliwie:

— Och, ty już nigdy nie będziesz taki jak wszyscy!

Patrząc na tę głowę, trochę tylko postarzałą od zgrzyzoty (ale o której wszyscy teraz myśleli, siłą tej samej zdolności, która pozwala odgadnąć intencje symfonicznego utworu, skoro się przeczyta komentarz w programie, lub podobieństwo dziecka, kiedy się zna jego rodzinę: „Nie jest może zdecydowanie brzydki, ale jest śmieszny: ten monokl, ten tupecik, ten uśmiech!” — w ten sposób zasugestionowana wyobraźnia ogółu określała ową nieuchwytną granicę, jaka dzieli na kilkumiesięczną odległość głowę „kochanka od serca” od głowy rogowca), Odeta mówiła dziś:

— Och, gdybym ja mogła przerobić tę głowę, wlać w nią trochę rozsądku!

Zawsze gotów wierzyć w to, czego pragnął, o ile tylko postępowanie Odety zostawiało miejsce na wątpliwość, Swann rzucał się chciwie na te słowa:

— Możesz, jeżeli zechcesz — mówił.

I starał się jej wykazać, że koić go, kierować nim, zachęcać go do pracy byłoby szlachetnym zadaniem, któremu z radością poświęciłyby się inne kobiety; ale trzeba dodać, że ze strony innych kobiet owo szlachetne zadanie wydałoby mu się jedynie niedyskretnym i nieznośnym wścibstwem. „Gdyby mnie nie kochała trochę — powiadał sobie Swann — nie pragnęłaby mnie przeobrazić. Aby mnie przeobrazić, będzie musiała częściej mnie widywać”. Toteż znajdował w tej wymówce Odety jakby dowód zainteresowania, może miłości; i w istocie, dawała mu teraz tych dowodów tak mało, że trzeba mu było doszukiwać się ich w jakimś jej zakazie lub kaprysie.

Jednego dnia oświadczyła Swannowi, że nie lubi jego stangreta, że ten Remi podburza może Swanna przeciw niej, w każdym zaś razie nie przestrzega wobec swego pana tej punktualności ani tego szacunku, jakich by ona sobie dla niego życzyła. Czuli, że Swann pragnął usłyszeć z jej ust: „Nie bierz go nigdy, kiedy przyjeżdżasz do mnie” — tak jakby pragnął pocałunku. Ponieważ była w dobrym humorze, powiedziała to; Swann rozczulił się. Wieczorem, rozmawiając z panem de Charlus, z którym ku swojej rozkoszy mógł mówić o kochance otwarcie (wszystko bowiem, co mówił, nawet z osobami, które nie znały Odety, odnosiło się poniekąd do niej), rzekł:

— Ja jednak myślę, że ona mnie kocha; jest ze mną taka milutka, czuć, że to, co robię, nie jest jej obojętne.

I jeżeli w chwili, gdy miał jechać do Odety, siadał do powozu z przyjacielem, którego miał gdzieś podwieźć, a przyjaciel rzekł: „Cóż to, nie Lorédan na koźle?”, z jakąż melancholijną radością Swann odpowiadał:

— Ha, ha! Rozumie się, że nie. Powiem ci: nie mogę brać Lorédana, kiedy jadę na ulicę La Pérouse. Odeta nie lubi Lorédana; wydaje się jej nie dość szykowny dla mnie, słowem, cóż chcesz, kobiety, rozumiesz! Wiem, że to by ją bardzo zirytowało. Ohoho! Niechbym tylko pokazał się z Remim, ładnie bym wyglądał!

Ten nowy ton — obojętny, roztargniony, niecierpliwy — jaki miewała z nim teraz Odeta, niewątpliwie sprawiał Swannowi ból; ale nie miał świadomości swojego cierpienia. Oziębienie Odety w stosunku do niego przyszło stopniowo, dzień po dniu; toteż dopiero porównując, jaka jest dziś, a jaka była w początkach, mógłby zmierzyć rozmiar odmiany. Otóż ta odmiana to była jego głęboka, tajemna rana, która go bolała w dzień i w nocy; i z chwilą, kiedy czuł, że jego myśli zanadto się zbliżają do Odety, żywo kierował je w inną stronę, z obawy zbytniego cierpienia. Powiadał sobie wprawdzie ogólnikowo: „Był czas, że Odeta bardziej mnie kochała”; ale nigdy nie uprzytomniał sobie tego czasu. Miał w swoim gabinecie sekretarzyk, na który starał się nie patrzeć, który omijał wchodząc i wychodząc, dlatego że w szufladzie sekretarzyka był schowany złocien, który Odeta dała mu pierwszego ich wieczora, i listy, w których mówiła: „Czemu pan nie zapomniał u mnie swojego serca, nie oddałabym go panu”; i jeszcze: „O którejkolwiek porze dnia i nocy będzie mnie pan potrzebował, niech mi pan da znak, niech pan rozporządza moim życiem”; podobnie w nim samym było miejsce, do którego nigdy nie pozwalał się zbliżyć swojej myśli, każąc jej robić krąg długich rozumowań, byle nie musiał przechodzić tamtędy: było to miejsce, w którym żyła pamięć szczęśliwych dni.

Ale wszystkie te wyrafinowane ostrożności obróciły się w niwecz jednego wieczora, kiedy poszedł między ludzi.

Był to ostatni tegoroczny wieczór pani de Saint-Euverte; na tych wieczorach margrabina produkowała artystów, służących jej potem na koncerty dobroczynne. Swann, który wybierał się kolejno na wszystkie poprzednie rauty margrabiny i nie mógł się wybrać, stroił się właśnie, kiedy doń zaszedł — idąc właśnie stamtąd — baron de Charlus. Charlus ofiarował się wrócić ze Swannem do margrabiny, o ile jego towarzystwo może mu trochę złagodzić nudę i smutek. Ale Swann odpowiedział:

— Nie wątpisz o przyjemności, jaką sprawiałoby mi być z tobą. Ale największą przyjemność zrobiłbyś mi, gdybyś poszedł raczej do Odety. Wiesz, jaki ty masz na nią doskonały wpływ. Zdaje mi się, że ona nie wychodzi dziś wieczór przed pójściem do swojej dawnej krawcowej, dokąd zresztą chętnie cię weźmie. W każdym razie zastaniesz ją przedtem w domu. Staraj się ją rozerwać, a także przemówić jej do rozsądku. Gdybyś mógł zorganizować na jutro coś, co by jej przypadło do gustu i co moglibyśmy zrobić we troje! Staraj się też wybadać grunt na lato; czy ona miałaby na coś ochotę — jakaś wycieczka jachtem, którą moglibyśmy odbyć we troje, czy ja wiem co? Co do dzisiejszego wieczora, nie spodziewam się widzieć Odety; ale gdyby ona sobie tego życzyła albo gdybyś wpadł na jakiś pomysł, prześlij ma tylko słówko do pani de Saint-Euverte do północy, a potem do mnie do domu. Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie robisz; wiesz, jak cię kocham.

Baron przyrzekł Swannowi spełnić jego życzenia. Odprowadził go pod sam dom pani de Saint-Euverte, dokąd Swann przybył uspokojony myślą, że Charlus spędzi wieczór przy ulicy La Pérouse, ale pogrążony w melancholijnej obojętności na wszystko, co nie tyczyło Odety, w szczególności na sprawy światowe. Dawało im to urok czegoś, co, nie będąc już przedmiotem naszej woli, objawia się nam we własnej istocie. Wy-

siadłszy z powozu, na pierwszym planie tego fikcyjnego skrótu domowego życia, jaki pani domu prezentuje gościom w uroczyste dni (starając się uszanować prawdę kostiumu i dekoracji), Swann z przyjemnością oglądał spadkobierców balzakowskich tigre'ów, groomów, zwyczajną asystę spacerów, którzy w kapeluszach i w butach z cholewami stali na chodniku przed pałacem lub przed stajnią niby ogrodnicy, których by ustawiono dokoła klombów. Osobliwe upodobanie Swanna w tym, aby szukać analogii między żyjącymi istotami a portretami z muzeów, funkcjonowało w nim jeszcze, ale w sposób bardziej konsekwentny i ogólny; całe życie światowe — teraz, kiedy się od niego oddalił — przedstawiało mu się jako szereg obrazów. Dawniej, kiedy był światowcem, wchodził do sieni w palcie, aby przejść stamtąd do salonu we fraku, zaledwie świadom tego, co się działo przez ową chwilę, będąc myślą albo jeszcze na zabawie, z której przybywał, albo już na tej, na którą spieszył. Pierwszy raz zauważył teraz zbudzoną niespodzianym przybyciem zapóźnionego gościa, rozsypaną, wspaniałą i beczynną sforę rosyłych lokajów, którzy drzemali tu i ówdzie na ławkach i skrzyniach i którzy, podnosząc swoje szlachetne, ostre profile chartów, wyprostowali się i skupieni utworzyli krąg dokoła niego.

Jeden, o szczególnie srogiej minie, dość podobny do kata na niektórych renesansowych obrazach przedstawiających egzekucje, posunął się z nieubłaganą twarzą, aby zdjąć ze Swanna palto. Jego twarde, stalowe spojrzenie łagodziła miękkość nicianych rękawiczek, tak iż, zbliżając się do Swanna, objawiał jak gdyby wzgardę dla osoby, a szacunek dla kapelusza. Wziął ten kapelusz z uwagą, której numer jego rękawiczek dawał coś drobiazgowego, i z delikatnością wzruszającą niemal wobec wyraźnych oznak jego siły. Następnie podał kapelusz jednemu ze swoich adiutantów; ten — zastrachony nowicjusz — dawał wyraz swemu załęknienu, tocząc na wszystkie strony wściekłym wzrokiem, niespokojny niby schwyte zwierzę w pierwszych godzinach niewoli.

O kilka kroków dalej rosły drab w liberii marzył, nieruchomy, posągowy, beużyteczny, jak ów czysto dekoracyjny wojownik, którego się widzi na najburzliwszych obrazach Mantegny, jak duma wsparty na tarczy, gdy wszystko pędzi i wyrzyna się dokoła niego. Odlączywszy się od grupy swoich kolegów, którzy cisnęli się koło Swanna, zdawał się równie zdecydowany nie brać udziału w tej scenie, co gdyby to była rzeź niewiniątek lub męczeństwo świętego Jakuba. Znajdował się tam niby typ owej zaginionej rasy — może nigdy nieistniejącej poza San Zeno oraz freskami w Eremitani, gdzie Swann ją poznał i gdzie ona marzy jeszcze — wyległej z zapłodnienia starożytnego posągu przez jakiś padewski model Mistrza lub przez jakiegoś Saksończyka z Alberta Dürera. Pasma jego rudych włosów, krętych z natury, ale zlepionych pomadą, były modelowane szeroko niby w rzeźbie greckiej, którą studiował bez przerwy malarz mantuański i która, widząc w świecie jedynie człowieka, umie wydobyć z jego prostych form tyle bogactw, czerpiąc je, można by rzec, z całej żywej natury, tak iż włosy w gładkiej fali i w ostrych dziobach pukli lub w spiętrzeniu potrójnego i kwitnącego diademu ich zwojów, stają się podobne równocześnie do pęku alg, do gniazda, do plectionki hiacyntów i do splotów węża.

Inni wreszcie, również kolosalni, stali na monumentalnych schodach, którym ich dekoracyjna i marmurowa nieruchomość mogły, jak schodom pałacu dożów, zyskać nazwę: „Schody Olbrzymów”. Swann wstępował na nie ze smutną myślą, że Odeta nigdy nie szła tamtędy. Ach! Z jakąż rozkoszą byłby się zamiast tego wspinał na ciemne, śmierdzące, karkołomne schody krawcowej, na której piątym pięterku z radością opłacałby drożej niż abonament w Operze prawo spędzania wieczoru w czasie wizyty Odety, a nawet w inne dni, aby móc mówić o niej, żyć z ludźmi, których ona zwykła była widywać w jego nieobecności i którzy przez to samo ucieleśniali dla Swanna bardziej rzeczywistą, niedostępną i tajemniczą część życia kochanki. Podczas gdy na owych cuchnących i upragnionych schodach eks-krawcowej (nie było tam kuchennych schodów) widniała wieczór przed każdymi drzwiami na słomiance pusta i brudna blaszanka na mleko, tu, na wspaniałych i obojętnych schodach, na które Swann wstępował w tej chwili, po obu stronach, na różnych wysokościach, przed każdym zagłębieniem, które tworzyła w ścianie łoża odźwiernego lub drzwi apartamentu, stali — reprezentując poszczególne resorty i składając hołd gościom — odźwierny, marszałek dworu, kredencarz. Zadni ci ludzie żyli przez resztę tygodnia prawie że niezawisli, każdy w swojej dziedzinie, jadaliby u siebie jak lada sklepikarz i jutro mogli obsługiwać mieszczańskie przyjęcie u lekarza lub przemysłowca; ale tu, baczni, aby nie chybić rozkazom otrzymanym przed włożeniem lśniącej

liberii (oblekali ją jedynie w rzadkich momentach i nie czuli się w niej zbyt swobodnie), stali pod sklepieniem portalów niby święci w swoich niszach, w pompatycznym blasku złagodzonej ludową dobroduszością. Olbrzymi szwajcar, ubrany jak w kościele, uderzał laską o kamienne płyty za pojawieniem się każdego gościa. Przybywszy na szczyt schodów, po których szedł za nim lokaj o wyblakłej twarzy, z ogonkiem włosów związanych w harcap z tyłu, niby zakrystian Goy'i lub piszczyk w klasycznym teatrze, Swann minął rodzaj biura, gdzie lokaje, siedząc na kształt rejentów przed wielkimi rejestrami, zerwali się i wpisali jego nazwisko. Wówczas Swann przebył niedużą sien, gdzie u wejścia — niby jakiś cenny obraz Benvenuto Cellini przedstawiający człowieka na straży — stał młody lokaj z ciałem lekko podanym naprzód. Nad jego czerwonym kołnierzem błyszczała jeszcze czerwiejsza twarz, z której tryskały strumienie ognia, nieśmiałości i zapалу; jego namiętne, czujne, zropaczone spojrzenie przeszywało ciężkie portiery salonu, gdzie słuchano muzyki; robił wrażenie, iż z żołnierską nieustraszoną lub z nadprzyrodzoną wiarą — istne wcielenie alarmu, oczekiwania, gotowości do walki — śledzi, niby anioł lub sztyldwach, z baszty lub z katedry, pojawienie się wroga lub godzinę Sądu. Obecność jego czyniła z owej sieni niby komnatkę przeznaczoną przez właściciela za ramę jednemu tylko arcydziełu, od którego bierze swoją nazwę, nie zawierając w swojej umyślnej nagości nic więcej. Pozostawało Swannowi jedynie wniknąć w salę koncertową, do której drzwi otwierał mu strojny łańcuchem odźwierny, z ukłonem takim, jakby mu wręczał klucze miasta. Ale Swann myślał o domu, gdzie mógłby się znajdować w tej chwili, gdyby Odeta pozwoliła; wizja pustej blaszanki na mleko na słomiance ścisnęła mu przez chwilę serce.

Swann odzyskał szybko poczucie męskiej brzydoty, kiedy za portierą, po widoku lokajów nastąpił widok gości. Ale brzydota twarzy, które znał przecież tak dobrze, zdawała mu się nowa od chwili, jak ich rysy — zamiast być cechami rozpoznawczymi osób dotąd wcielających dla Swanna zbiór możliwych przyjemności, przykrości lub zobowiązań towarzyskich — odzyskały autonomię swoich linii, poddanych jedynie prawidłom estetyki. W gromadzie mężczyzn, pośród których się znalazł, nawet monokle, które nosiło wielu z nich (dawniej pozwoliłoby to Swannowi co najwyżej stwierdzić, że noszą monokle), obecnie, straciwszy cechę wspólnego zwyczaju, uderzyły go różniczkowaniem indywidualności. Spojrzał na generała de Froberville i na margrabiego de Bréauté rozmawiających z sobą opodal drzwi; przez długi czas byli to dla Swanna użyteczni przyjaciele, którzy go wprowadzili do Jockey-clubu i sekundowali mu w pojedynkach; w tej chwili patrzył na nich jak na dwie figury na obrazie. Monokl generała, utkwiony niby odprysk granatu w jego pospolitej, posiekanej i tryumfalnej twarzy, między powiekami, w pół czoła, na którym błyszczał jak jedyne oko cyklopa, wydał się Swannowi potworną raną, którą było może zaszczytnie otrzymać, ale nieprzyzwoicie pokazywać; podczas gdy poza monoklem pana de Bréauté, uzupełniającym odświętność perłowych rękawiczek, szapokłaka, białego krawata i zastępującym mu (jak i Swannowi, gdy szedł na proszony wieczór) codzienne binokle, widniało, przylepione do odwrotnej strony szkła — niby preparat pod mikroskopem — spojrzenie nieskończenie drobne, iskrzące się uprzejmością, uśmiechające się bez przerwy do wysokości stropów, do blasku zabawy, bogactwa programu i jakości chłodziaków.

— A, to pan, ależ od wieków nie widzi się pana! — rzekł do Swanna generał, który, zauważwszy jego wymizerowanie i wnosząc, że to może jakaś choroba oddała go od świata, dodał: „Dobrze pan wygląda!”. Równocześnie pan de Bréauté pytał kogoś:

— Ależ, drogi panie, co pan może robić tutaj?

Pytanie to zwracało się do światowego powieściopisarza, który właśnie wsadził w oko monokl, jedyny organ swojej psychologicznej introspekcji i bezlitosnej analizy, i odpowiedział z ważną i tajemniczą miną zwielokrotniając głoskę r:

— Obserrhuję.

Monokl margrabiego de Forestelle był maleńki i bez oprawy; wpijał się w oko niby zbyt duża, niewytłumaczona chrząstka z rzadkiego materiału, zmuszając jej posiadacza do nieustannego i bolesnego skurczu, który znaczył twarz margrabiego delikatną melancholią i dawał mu w oczach kobiet opinię człowieka zdolnego do głębokich cierpień miłosnych. Monokl znowuż pana de Saint-Candé, okolony jak Saturn potężnym pierścieniem, stanowił centrum powagi twarzy, wciąż orientującej się pod jego kątem — twarzy, na której drgający i czerwony nos oraz mięsiste i sarkastyczne usta starały się grymasami

dostroić do ogników dowcipu ożywiających szklany krążek, nawykły rywalizować zwycięsko z najpiękniejszymi oczami wobec młodych i zepsutych snobek, w których rozdził marzenia o wyrafinowanych i perwersyjnych rozkoszach. Poza swoim monoklem, z wielką głową karpia i okrągłymi oczami, pan de Palancy krążył z wolna wśród sal balowych; rozwierając od czasu do czasu szczęki jak gdyby szukając kierunku i robiąc wrażenie, że nosi z sobą jedynie przygodny, może czysto symboliczny fragment szyby swojego akwarium, część mającą wyobrażać całość, przypominającą Swannowi, admirałowi *Przywar i Cnót* Giotta w Padwie, owego Grzesznika, koło którego okryta liśćmi gałąź przypomina lasy, gdzie kryje się jego jaskinia.

Zachęcony przez panią de Saint-Euverte, Swann podszedł bliżej. Aby posłuchać arii z Orfeusza wykonywanej na flecie, stanął w kącie, gdzie miał niestety jako jedyny widok dwie dojrzałe już damy siedzące obok siebie, margrabinę de Cambremer i wicehrabinę de Franquetot. Panie te, skuzynowane z sobą, obnosząc po wieczorach swoje torebki i wlokąc swoje córki, szukały się bez ustanku wzajem niby na dworcu kolejowym i uspokajały się dopiero wówczas, kiedy wachlarzem lub chusteczką założyły dwa sąsiadujące miejsca. Pani de Cambremer, mało ustosunkowana, szczęśliwa była, że posiada towarzyszkę w pani de Franquetot; ta znowuż, szeroko „bywająca”, znajdowała coś wykwintnie oryginalnego w tym, aby pokazać wszystkim świetnym znajomościom, iż przekłada nad nie skromną osobę, z którą łączy ją wspomnienia młodości.

Pełen ironicznej melancholii, Swann patrzył na te damy, jak słuchają fortepianowego intermedium Liszta — „Święty Franciszek przemawiający do ptaków” — które nastąpiło po arii fletowej, i jak śledzą zawrotną grę pianisty. Pani de Franquetot spoglądała trwożliwie, z wylęknionymi oczami, jak gdyby chyżo przebiegane przez artystę klawisze były szeregiem trapezów, z których mógł spaść z wysokości osiemdziesięciu metrów; co jakiś czas rzucała na sąsiadkę wzrok pełen zdumienia, powątpiewania, jakby mówiąc: „To nie do wiary, nigdy nie byłabym przypuszczała, że człowiek może to zrobić”. Pani de Cambremer, osoba wysoko kształcona w muzyce, wybijała takt głową zmienioną w wahadło metronomu, z owym nieprzytomnym wyrazem właściwym cierpieniu, które nie wie już samo, co czyni i nie sili się zapanować nad sobą, powiadając niejako: „Trudno!”. Amplituda i szybkość owych wahań dochodziły do tego, że pani Cambremer co chwila zaczęła brylantowymi kolczykami o hafty u stanika i — nie przestając mimo to przyspieszać ruchu — musiała poprawiać czarne winogrona strojące jej fryzurę.

Z drugiej strony pani de Franquetot, ale trochę ku przodowi, siedziała margrabina de Gallardon, pochłonięta swoją ulubioną myślą: pokrewieństwem z Guermantami. Z pokrewieństwa tego czerpała dla świata i dla siebie wiele chwały z odrobiną wstydu, ile że najświetniejsi z Guermantów raczej stronili od niej, może dlatego, że była nudna lub zła, lub z gorszej linii, wreszcie może bez żadnej przyczyny. Kiedy się znalazła obok kogoś obcego (jak w tej chwili obok pani de Franquetot), cierpiała nad tym, że własna jej świadomość pokrewieństwa z Guermanatarni nie może się uzewnętrznić widzialnymi znakami jak te, które obok świętej osobistości w mozaikach bizantyjskich kościołów kreślą w pionowej kolumnie wymawiane jakoby przez Świętego słowa. Myślała w tej chwili, że nigdy się nie doczekała zaproszenia ani wizyty od młodej krewniaczki, księżnej des Laumes, od sześciu lat zamężnej. Ta myśl napępiała ją gniewem, ale także dumą; tak długo bowiem powtarzała osobom dziwiącym się jej nieobecności u księżnej des Laumes, że nie chce się narażać na spotkanie tam księżniczki Matyldy — czego by ultra-legitymistyczna rodzina nigdy jej nie darowała — aż uwierzyła w końcu, że to jest naprawdę powód, dla którego nie bywa u kuzynki. Przypominała sobie wprawdzie, że kilka razy zagadywała panią des Laumes, przymawiając się o zaproszenie, ale przypominała to sobie jedynie mglisto; neutralizowała zresztą całkowicie owe nieco upokarzające wspomnienie, szepcząc: „Ostatecznie, nie do mnie należy zrobić pierwszy krok; jestem o dwadzieścia lat starsza”. Pod wpływem tego wewnętrznego głosu dumnie odrzucała w tył odcinając się od biustu ramiona, na których głowa jej, spoczywająca niemal poziomo, przypominała głowę wspaniałego bażanta podanego na stół ze wszystkimi piórami. I mimo iż z natury była przysadkowata i tłusta, fumi i afronty wyprostowały ją niby drzewo, które, zrodzone w ryzykownej pozycji nad przepaścią, zmuszone jest dla utrzymania równowagi rosnąć wstecz. Aby się pocieszyć, iż nie jest całkowicie równa innym Guermantom, pani de Gal-

lardon musiała sobie wciąż powtarzać, że jeżeli ich nie widuje, to przez niewzruszoność swoich zasad i przez dumę; aż w końcu ta myśl urobiła jej ciało i dała jej wzięcie, które uchodziło w oczach kobiet „nieurodzonych” za oznakę rasy i mąciło czasem przelotną żądzą zblazowane spojrzenia klubowców. Gdyby poddać konwersację pani de Gallardon owej analizie, która, stwierdzając częstotliwość poszczególnych wyrażen, pozwala odkryć klucz do szyfrowanego języka, spostrzegłoby się, że żaden nawet najpospolitszy zwrot nie powtarzał się w jej ustach równie gęsto jak „u moich kuzynów de Guermantes”, „u ciotki Guermantes”, „zdrowie Elzeara de Guermantes”, „łoża mojej kuzynki de Guermantes”. Kiedy ktoś przy niej mówił o jakiejś znamienitej figurze, odpowiadała, że nie zna jej osobiście, ale że ją spotykała tysiąc razy u ciotki Guermantes; a mówiła to tak lodowato i głosem tak bezdźwięcznym, iż jasne było, że jeżeli nie zna tej osoby, to przez szacunek dla wszystkich owych niewzruszonych i upartych zasad, których ramiona jej dotykały wstecz, niby szczebli drabinki stosowanej przez nauczycieli gimnastyki dla wyrobienia klatki piersiowej.

Otóż księżna des Laumes, której nie spodziewano by się ujrzeć u pani de Saint-Euverte, przyszła właśnie. Aby pokazać, że w salonie, do którego przychodziła jedynie z łaski, nie pragnie dać odczuć swojej pozycji, weszła ściągając ramiona nawet tam, gdzie nie było tłoku i gdzie nie potrzebowała nikogo przepuszczać, przystając umyślnie z tyłu, jak gdyby tam czuła się na swoim miejscu, niby jakiś król w ogonku przed teatrem, o ile władze nie były uprzedzone, że on tam jest. Ograniczając skromnie spojrzenia — aby się nie zdawało, że oznajmia swoją obecność i domaga się względów — do oglądania wzoru na dywanie lub własnej spódnicy, księżna stała obok nieznannej jej pani de Cambremer, w miejscu, które się jej zdawało najskromniejsze, wiedząc dobrze, że okrzyk zachwyty wyrwie ją stamtąd, skoro tylko gospodyni ją spostrzeże. Obserwowała mimikę sąsiadki, ale jej nie naśladowała. Nie znaczy to, aby raz zjawiwszy się na pięć minut u pani Saint-Euverte, księżna des Laumes nie pragnęła się okazać możliwie najmiłszą, chcąc, by uprzejmość jej liczyła się podwójnie. Ale zarazem miała z natury wstręt do tego, co nazywała „przesadą”; chciała pokazać, że nie uważa za właściwe oddawać się ekspansjom niebędącym w stylu jej koterii; z drugiej zaś strony ekspansje te robiły na niej wrażenie, dzięki owemu duchowi naśladownictwa — spowinowaconemu z nieśmiałością — jaki u ludzi najbardziej pewnych siebie rodzi klimat nowego, choćby niższego środowiska. Księżna zaczynała pytać sama siebie, czy ta gestykulacja nie jest w związku z utworem granym w tej chwili, a niemieszczącym się może w ramach muzyki, którą miała sposobność słyszeć dotąd; nie wiedziała, czy wstrzymać się od tej gestykulacji nie będzie dowodem niezrozumienia dzieła i nietaktu wobec pani domu. W rezultacie, aby wyrazić swoje sprzeczne uczucia, księżna to obciążała ramiączka u sukni, umacniała w blond włosach kuleczki koralu lub z różowej emalii, oszedziałe diamentkami i tworzące prosty i uroczy strój głowy (czyniąc to, przyglądała się z chłodną ciekawością swojej rozentuzjasmowanej sąsiadce); to znów wybijała przez chwilę takt wachlarzem, ale — aby nie abdykować ze swojej niezależności — nie w takt.

Kiedy pianista skończył Liszta i zaczął preludium Chopina, pani de Cambremer rzuciła pani de Franquetot uśmiech roztkliwiony kompetentnym zadowoleniem i aluzją do przeszłości. Nauczyła się za młodu pieścić frazy Chopina, owe frazy o długiej, krętej i wyszukanej linii, tak swobodne, tak giętkie, tak chwytne, szukające sobie miejsca kędyś bardzo daleko od swego początkowego kierunku, daleko od punktu, gdzie można się było ich spodziewać; frazy igrające na falach kaprysu jedynie po to, aby wrócić tym świadomie, z tym wyrafinowaną²³ precyzją, niby ślizgając się po kryształach dźwięcznym aż do potrzeby krzyku — i ugodzić was w samo serce.

Żyjąc na prowincji, gdzie miała niewiele stosunków, nie bywając prawie na balach, pani de Cambremer upajała się w swoim samotnym dworze, to zwalniając, to przyspieszając taniec wszystkich owych urojonych par, obrywając je niby kwiaty, opuszczając na chwilę bal, aby słuchać, jak wiatr dmie w świerkach nad jeziorem i widzieć nagle zbliżającego się, różnego od wszystkich marzonych kochanków, szczupłego młodzieńca w białych rękawiczkach, o śpiewnym nieco, obcym i fałszywym głosie. Ale dzisiaj niemodna już piękność tej muzyki zdawała się przywiędła. Pozbawiona od kilku lat uznania

²³wyrafinowańszy — dziś popr.: najbardziej wyrafinowany. [przypis edytorski]

znawców, straciła swój blask i wdzięk i nawet ludzie mający zły gust znajdowali w niej już tylko wątpliwą i słabą przyjemność. Pani de Cambremer spojrzała ukradkiem za siebie. Wiedziała, że jej młoda synowa (pełna szacunku zresztą dla nowej rodziny, z wyjątkiem rzeczy, na które — uczona nawet w harmonii i nawet w greczyźnie — miała specjalne poglądy) gardzi Chopinem i cierpi, kiedy go ktoś gra. Ale z dala od nadzoru tej wagnerianki, która stała opodal w grupie młodych kobiet, pani de Cambremer poddawała się rozkoszy swoich wrażeń. Księżna des Laumes doznawała ich również. Niezbyt muzykalna z natury, brała przed piętnastu laty lekcje, które pewna genialna artystka blisko siedemdziesięcioletnia, znalazłszy się pod koniec życia w nędzy, zaczęła na nowo dawać córkom i wnuczkom dawnych swoich uczennic z faubourg Saint-Germain. Nie żyła już. Ale jej metoda, jej piękny ton, odradzały się niekiedy pod palcami uczennic, nawet tych, które zostały na resztę życia istotami miernymi i które, porzuciwszy muzykę, nie otwierały prawie fortepianu. Toteż pani des Laumes mogła potrząsać głową z niejaką znajomością rzeczy, z trafną oceną sposobu, w jaki pianista grał owo preludium, które umiała na pamięć. Koniec rozpoczętej frazy sam z siebie zaśpiewał na jej wargach. I szepnęła: „to zawsze prześliczne” z owym „prze” na początku wyrazu, będącym oznaką subtelności, muskającym romantycznie jej wargi niby piękny kwiat. Instynktownie księżna stonowała swoje oczy z ustami, dając im w tej chwili jakąś sentymentalną mgiełkę.

Tymczasem pani de Gallardon ubolewała w duchu, że tak rzadko ma sposobność spotykać księżnę des Laumes, bo pragnęła dać nauczkę kuzynce, nie odkładając się jej. Nie wiedziała, że właśnie jest tutaj. Ruch głowy pani de Franquetot odsłonił jej księżnę. Natychmiast rzuciła się ku niej, potrącając sąsiadów; ale pragnąc zachować lodowatą wyniosłość przypominającą wszystkim, że nie życzy sobie stosunków z osobą, u której można się nos w nos spotkać z księżniczką Matyldą Bonaparte i której ona, pani de Gallardon, nie chce robić awansów, nie będąc „z jej rocznika”, chciała zarazem zrównoważyć ten dumny chłód jakimś słowem, które by usprawiedliwiło jej krok i zmusiło księżnę do rozmowy. Toteż znalazłszy się w obliczu kuzynki, z surową twarzą, z ręką sztywno wyciągniętą pani de Gallardon wyrzekła: „Jak się ma twój mąż?” głosem równie stroskanym, co gdyby książę był poważnie chory. Księżna parsknęła owym właściwym jej śmiechem, mającym równocześnie pokazać innym, że sobie drwi z kogoś, a także podkreślić jej urodę skupioną w tej chwili w blasku ożywionych ust i błyszczących oczu. Odparła:

— Ależ świetnie!

I zaśmiała się jeszcze raz. Tymczasem pani de Gallardon, prostując talię i ochładzając wyraz twarzy, ale niespokojna jeszcze o zdrowie księcia, rzekła:

— Oriano — (tu pani des Laumes spojrzała ze zdziwioną i roześmianą miną na niewidzialną osobę trzecią, wobec której zdawała się stwierdzać, że nigdy nie upoważniła pani de Gallardon do nazywania jej po imieniu) — bardzo by mi zależało na tym, abyś przyszła do mnie na chwilę jutro wieczór posłuchać kwintetu z klarnetem Mozarta. Chciałabym usłyszeć twoje zdanie.

Można by rzec, że pani de Gallardon nie zaprasza do siebie, ale prosi o przysługę, że potrzebuje zdania księżnej o kwintecie Mozarta, jakby to była potrawa przyrządzona przez nową kucharkę, co do której talentów chce się zasięgnąć opinii smakosza.

— Ależ ja znam ten kwintet, mogę ci od razu powiedzieć... że go lubię.

— Mój mąż, wiesz, nie bardzo ze zdrowiem... wciąż ta wątroba... to by mu sprawiło wielką przyjemność ujrzeć cię — podjęła pani de Gallardon, narzucając teraz księżnej swój wieczór niby obowiązek miłości bliźniego.

Księżna nie lubiła komuś mówić, że nie ma ochoty bywać u niego. Codziennie rozsyłała jakieś ubolewania, że wskutek niespodziewanego przyjazdu teściowej albo zaproszenia szwagra, abonamentu w Operze, wycieczki na wieś, musi się wyrzec wieczoru, na który nigdy nie śniłoby się jej iść. Dawała w ten sposób wielu ludziom miłe złudzenie, że są z nią w stosunkach, że byłaby chętnie do nich przyszła, że stanęły jej na przeszkodzie jedynie jakieś dostojne przeszkody, które pochlebiały wzgardzonym jako konkurencja dla ich wieczoru. Zarazem księżna należała do owej duchowej koterii Guermantów, gdzie przechowało się coś z lotnego ducha wyzwolonego z komunalów i banalności; z owego dowcipu, który pochodzi od Mériméego, a którego tradycje utrwalił w teatrze Meilhac i Halévy; stosowała go nawet do stosunków towarzyskich, wkładała go nawet w swoją grzeczność, starając się ją uczynić pozytywną, ścisłą, zbliżyć ją do skromnej prawdy. Nie

rozwijiała obszernie wobec pani domu swojej chęci wzięcia udziału w jej wieczorze; uważała za uprzejmiejsze przedłożyć parę drobnych faktów, od których zależy możliwość jej przybycia.

— Słuchaj, powiem ci — rzekła do pani de Gallardon — jutro wieczór muszę być u przyjaciółki, która zaprosiła mnie od dawna. Jeżeli nas weźmie do teatru, nie będę, mimo najlepszej woli, mogła przyjść do ciebie; ale jeżeli zostaniemy u niej, będę się mogła wymknąć, bo wiem, że będziemy sami.

— Czy widziałaś swego przyjaciela, pana Swanna?

— Ależ nie, nie wiedziałam, że ten najmilszy Lolo jest tutaj, muszę zakrzętać się, żeby mnie spostrzegł.

— To zabawne, że on bywa u starej Saint-Euverte — rzekła pani de Gallardon. — Och, ja wiem, że on jest inteligentny — (dodała, chcąc przez to powiedzieć: „sprytny”) — ale i tak, Żyd u siostry i bratowej dwóch arcybiskupów!

— Wyznaję ze wstydem, że mnie to jakoś nie gorszy — rzekła księżna des Laumes.

— Wiem, że on jest chrzczony, a nawet jego rodzice i dziadkowie też. Ale powiadają, że przechrzta pozostaje tym bardziej przywiązany do swojej religii, że to tylko finta... Czy to prawda?

— Nie mam żadnej kompetencji w tym przedmiocie.

Pianista, który miał w programie dwa utwory Chopina, skończywszy preludium, zaczął natychmiast poloneza. Ale od czasu, jak pani de Gallardon zasygnalizowała kuzynce obecność Swanna, Chopin mógłby zmartwychwstać i zagrać osobiście wszystkie swoje dzieła, bez nadziei uwagi pani des Laumes. Należała ona do jednej z dwóch połów ludzkości, u której ciekawość drugiej połowy w stosunku do osób jej nieznanymi zastąpiona jest zainteresowaniem dla osób, które zna. Jak dla wielu kobiet z faubourg Saint-Germain obecność w jakimś miejscu kogoś z jej koterii — komu zresztą nie miała nic specjalnie do powiedzenia — pochłaniała wyłącznie jej uwagę, kosztem wszystkiego innego. Od tej chwili w nadziei, że Swann ją zauważy, księżna, niby oswojona biała myszka, której się to podaje, to cofa kawałek cukru, zwracała twarz zapisaną tysiącem porozumiewawczych znaków bez związku z nastrojami szopenowskiego poloneza, jedynie w kierunku Swanna; a kiedy Swann zmienił miejsce i ona przemieszczała równolegle swój magnetyczny uśmiech.

— Oriano, nie gniewaj się — podjęła pani de Gallardon, która się nie mogła nigdy wstrzymać, aby nie poświęcić swoich największych nadziei towarzyskich oraz żądy przyszłego olśnienia świata dla cichej, bezpośredniej i prywatnej rozkoszy powiedzenia komuś czegoś niemiłego — są ludzie, którzy utrzymują, że ten Swann to ktoś, kogo nie można przyjmować, czy to prawda?

— Ależ... musisz dobrze wiedzieć, że to prawda — odpaliła księżna — skoro go zapraszałaś pięćdziesiąt razy, a on nigdy nie przyszedł.

Opuszczając zmaltretowaną kuzynkę, parsknęła na nowo śmiechem. Śmiech ten zgorzszył osoby słuchające muzyki, ale ściągnął uwagę pani de Saint-Euverte, która stała przez grzeczność przy fortepianie i dopiero wówczas spostrzegła księżnę. Pani de Saint-Euverte była wzruszona widokiem pani des Laumes tym bardziej, iż sądziła, że księżna jest jeszcze w Guermentes i pielęgnuje chorego teścia.

— Jak to, księżno, pani była tutaj?

— Tak, przycupnęłam sobie w kąciку, aby słuchać pięknych rzeczy.

— Co, księżna jest tutaj od dłuższego czasu?

— Ależ tak, od bardzo długiego czasu, który mi się wydawał bardzo krótki; długi chyba dlatego, że opóźnił chwilę ujżenia pani.

Pani de Saint-Euverte chciała podsunąć fotel księżnej, która odparła:

— Ależ za nic! Po co? Jest mi dobrze gdziekolwiek.

I, aby tom lepiej podkreślić iswoją prostotę wielkiej damy, wskazała mały tabu'ret.

— Ten puf to wszystko, czego mi trzeba. Będę się na nim musiała trzymać prosto. Och, Boże, znów robię hałas, przeklną mnie.

Tymczasem pianista przyspieszał tempo, spazm muzyki dosięgał szczytu, lokaj obnosił na tacy chłodniki, dzwoniąc łyżeczkami, i jak co tydzień pani de Saint-Euverte dawała mu na próżno znaki, żeby sobie poszedł. Jakaś świeżo upieczona męzatka, którą nauczone, że

młoda kobieta nie powinna mieć zblazowanej miny, uśmiechała się błogo i szukała oczami pani domu, aby spojrzeniem wyrazić jej wdzięczność, że „dała jej uczestniczyć” w takiej uczcie. Jednakże, mimo iż spokojniej niż pani de Franquetot, nie bez emocji śledziła bieg utworu; ale niepokój jej miał za przedmiot nie tyle pianistę ile fortepian, na którym świeca podskakiwała przy każdym fortissimo, grożąc jeżeli nie podpaleniem abażuru, to przynajmniej poplamieniem palisandru. W końcu nie mogła wytrzymać i przebywając dwa stopnie estrady, rzuciła się, aby zdjąć profitkę. Ale zaledwie miała jej dosięgnąć ręką, kiedy z ostatnim akordem utwór się skończył i pianista wstał. Niemniej śmiała inicjatywa młodej kobiety, krótkie zbliżenie, jakie wynikło stąd między nią a wirtuozem, wywarły wrażenie na ogół przychylnie.

— Zauważyła księżna, co zrobiła ta młoda osoba — rzekł generał de Froberville, witając się z księżną des Laumes, którą pani de Saint-Euverte opuściła na chwilę. — To ciekawe. Czy to artystka?

— Nie, to młoda de Cambremer — odparła niebacznie księżna i dodała żywo — Powtarzam, co słyszałam, nie mam najmniejszego pojęcia, kto to taki; mówiono za mną, że oni sąsiadują z panią de Saint-Euverte, ale nie sądzę, aby ktokolwiek ich znał. To muszą być „ludzie ze wsi”! Zresztą nie wiem, czy pan jest bardzo biegły w świetnym towarzystwie, które znajduje się tutaj, ale ja nie mam bladego pojęcia o nazwiskach wszystkich tych zdumiewających osób. Jak pan myśli, na czym oni trawią życie, poza koncertem u pani de Saint-Euverte? Musiała ich sprowadzić razem z grajkami, z krzesłami i z chłodnikami. Niech pan przyzna, generale, że ci wypożyczeni goście są cudowni. Czy ona doprawdy ma odwagę wynajmować tych statystów co tydzień? To niemożliwe!

— A! Ale Cambremer to nazwisko autentyczne i stare — rzekł generał.

— Nie mam nic przeciwko temu, aby było stare — odparła sucho księżna — ale w każdym razie nie jest eufoniczne — dodała, podkreślając słowo „eufoniczne”, tak jakby było w cudzoślowie, dykcją właściwą kategorii Guermantes.

— Tak księżna uważa? Śliczna jest, miałoby się ochotę ją schrupać — rzekł generał, który nie tracił z oczu pani de Cambremer. — Nie sądzi księżna?

— Znadto się wypycha naprzód, uważam, że u tak młodej osoby to nie jest sympatyczne; bo nie przypuszczam, aby ona była z mojego rocznika — (to wyrażenie było wspólne Gallardonom i Guermantom).

Ale księżna, widząc, że pan de Froberville wciąż patrzy za panią de Cambremer, dodała, częścią przez złośliwość wobec tamtej, częścią przez uprzejmość dla generała: — Niesympatyczne... dla jej męża! Żałuję, że jej nie znam, skoro panu tak przypadła do serca, przedstawiłabym pana — rzekła księżna, której zapewne ani by się śniło to uczynić, gdyby знаła młodą kobietę. — Muszę pana już pożegnać, bo dziś są imieniny mojej przyjaciółki, muszę jej iść powinszować — rzekła skromnym i szczerym tonem, sprowadzając świetne zebranie, na które spieszyła, do rozmiarów nudnej, ale obowiązkowej i patriarchalnej ceremonii. — Zresztą muszę tam odszukać męża, który, podczas gdy ja byłam tutaj, poszedł odwiedzić swoich przyjaciół. Zna ich pan, sądzę, mają nazwisko od któregoś mostu... Jena.

— To było najpierw miano zwycięstwa, księżno — rzekł generał. — Co księżna chce, dla takiego starego rębajły jak ja — dodał, zdejmując monokl, aby go przetrzeć, tak jakby zmieniał opatrunek, podczas gdy księżna instynktownie odwróciła głowę — ta szlachta Cesarstwa to co innego, rozumie się, ale ostatecznie, to jest także bardzo piękne w swoim rodzaju. Ludzie, którzy się bili jak bohaterowie!

— Ależ ja jestem pełna szacunku dla bohaterów — rzekła lekko ironicznym tonem pani des Laumes — jeżeli nie chodzę z Błażem do tej księżnej d’Tena, to wcale nie dlatego; to po prostu dlatego, że ich nie znam. Błażej zna ich, kocha ich. Och, nie, to nie to, co pan mógłby przypuszczać, to nie flirt, nie mam powodu oponować! Zresztą, na dużo by mi się zdało oponować! — dodała melancholijnie, bo wszyscy wiedzieli, że od chwili, gdy książę des Laumes zaślubił swoją uroczą kuzynkę, nie przestaje jej zdradzać. — Jednym słowem, tutaj nie chodzi o to; to są ludzie, których Błażej znał dawniej. Wariuje za nimi, uważam, że to bardzo ładnie. Zresztą wystarczy mi to, co mi Błażej powiedział o ich domu... Niech pan pomyśli, wszystkie meble mają „empire”!

— To całkiem naturalne, księżno, skoro to są meble ich dziadków.

— Ależ ja wcale nie mówię, ale brzydkie mogą być i tak. Rozumiem doskonale, że ktoś może nie mieć rzeczy ładnych, ale przynajmniej niech nie ma rzeczy śmiesznych. Co pan chce? Nie znam nic bardziej filisterskiego, mieszczańskiego niż ten okropny styl, gdzie komody mają łabędzie głowy jak wanny.

— Ale mnie się zdaje, że oni mają piękne rzeczy; muszą mieć ów sławny mozaikowy stół, na którym podpisano pokój w roku...

— A, że mogą mieć rzeczy interesujące z punktu widzenia historii, tego nie przeczę. Ale to nie może być ładne... skoro jest ohydne! I ja mam też takie rzeczy, które Błażej odziedziczył po ciotce Montesquiou. Tylko że są na strychu w Guermantes, gdzie ich nikt nie widzi. Zresztą nie o to chodzi, poleciałabym do nich z Błażem, siedziałabym u nich nawet pośród ich sfinksów i mosiądzu, gdybym ich znała, ale... nie znam ich! Bo kiedy byłam mała, zawsze mi mówiono, że niegrzecznie jest chodzić do ludzi, których się nie zna — rzekła księżna, przybierając tonik dziecka. — Więc robię to, czego mnie uczono. Wyobraża pan sobie tych zacnych ludzi, gdyby ujrzeli wchodzącą osobę, której nie znają. Może by mnie bardzo źle przyjęli!

I przez kokieterię księżna upiękzyła jeszcze uśmiech zrodzony z tego przypuszczenia, dając wlepionym w generała błękitnym oczom wyraz łagodny i marzący.

— Och, księżno, wie pani dobrze, że byliby uszczęśliwieni...

— Ależ nie, czemu? — spytała żywo, czy to aby nie okazać, iż wie, że dlatego, że jest jedną z największych dam we Francji, czy aby mieć przyjemność usłyszenia tego z ust generała. — Czemu? Skąd pan wie? To by im było może bardzo a bardzo nieprzyjemne. Ja nie wiem, ale jeżeli mam sądzić po sobie, tak mnie już nudzi widywać osoby, które znam, że gdyby trzeba było widywać jeszcze osoby, których nie znam, nawet „heroiczne”, oszalałabym chyba. Zresztą, proszę pana, poza starymi przyjaciółmi jak pan, których się zna bez tego, nie wiem, czy heroizm byłby bardzo przytulny w towarzystwie. I tak mnie już często nudzi wydawać obiady, ale gdyby trzeba było, idąc do stołu, brać pod ramię jakiegoś Spartakusa... Nie, doprawdy, gdybym potrzebowała czternastego do stołu, nie szukałabym Wercyngetoryksa. Czuję, że zachowałabym go na wielkie przyjęcia. A że ich nie wydaję...

— Och, księżno, nie darmo pani jest z domu Guermantes! Ma pani rasowy dowcip Guermantów!

— Zawsze się mówi dowcip Guermantów, nigdy nie mogłam pojąć czemu. Czy pan zna dowcip poza Guermantami? — dodała z bujnym i radosnym wybuchem śmiechu, z twarzą napiętą ożywieniem, z rozslonecznionymi wesołością oczami, które rozświetlić w ten sposób mogła jedynie pochwała jej dowcipu lub urody, choćby wygłoszona przez nią samą. — O, widzi pan, generale, zdaje mi się, że Swann kłania się pańskiej Cambremer; o tam... jest koło mamy Euverte, nie widzi pan! Niechże go pan poprosi, żeby pana przedstawił. Ależ niech się pan spieszy, już się żegna.

— Zauważyła pani, jak on fatalnie wygląda? — rzekł generał.

— Mój drogi Lolo! Och, nareszcie przychodzi; zaczynałam przypuszczać, że on mnie nie chce widzieć!

Swann bardzo lubił księżnę des Laumes, przy tym widok jej przypominał mu Guermantes sąsiadujące z Combray, całe te strony, które tak lubił i dokąd już nie jeździł, aby się nie oddalać od Odety. Uciekając się do owych wpół artystycznych, wpół dwornych form, którymi umiał się spodobać księżnej i które odnajdywał bezwiednie, kiedy się na chwilę zanurzył w dawnym środowisku, a równocześnie chcąc sam dla siebie dać upust swojej nostalgii, ozwał się tak, aby go równocześnie słyszała pani de Saint-Euverte, do której mówił, i księżna des Laumes, dla której mówił: — Och, nasza urocza księżna! Widzi pani, umyślnie przybyła z Guermantes, aby usłyszeć Świętego Franciszka z Asyżu. Niby mała sikorka ledwie miała tyle czasu, aby dziobnąć parę owoców tarniny, parę głógów i włożyć je sobie na głowę. O, jest nawet parę kropel rosy, trochę szronu, od którego główka musi cierpnąć. To śliczne, droga księżno.

— Jak to, księżna umyślnie przybyła z Guermantes? Ależ to za wiele! Nie wiedziałam — wykrzyknęła naiwnie pani de Saint-Euverte, nieoswojona ze stylem Swanna. — Po czym, patrząc na uczesanie księżnej, dodała — Ależ prawda, to naśladuje... jak mam

powiedzieć, nie kasztany, nie, och! to czarująca myśl: ale skąd księżna mogła znać mój program? Panowie muzycy nawet mi go nie zakomunikowali.

Swann, przywykły wobec kobiety, z którą zachował język tkliwej galanterii, mówić subtelne rzeczy, niezrozumiałe dla wielu światowców, nie raczył pani de Saint-Euverte wytłumaczyć przenośni. Co się tyczy księżnej, zaczęła się śmiać do rozpuku, ponieważ dowcip Swanna był bardzo ceniony w jej koterii, a także dlatego, że wszelki komplement zwrócony do niej wydawał się jej pełen delikatnego wdzięku i nieodpartego humoru.

— Cudownie, zachwycona jestem, panie Lolo, jeżeli moje głogi spodobały się panu. Czemu się pan kłania tej Cambremer, czy i pan także jest jej sąsiadem?

Widząc, że księżna zadowolona jest z towarzystwa Swanna, pani de Saint-Euverte oddaliła się.

— Ależ i pani także jest jej sąsiadką, księżno.

— Ja! Więc ci ludzie mają dobra po całym świecie! Jakżebym chciała być na ich miejscu!

— Nie państwo Cambremer, ale jej rodzice; ona jest z domu Legrandin, przyjeżdżała do Combray. Nie wiem, czy pani wiadomo, księżno, że pani jest hrabiną Combray i że kapituła winna jest pani tenetę.

— Nie wiem, co mi jest winna kapituła, ale wiem, że proboszcz doi ze mnie co rok sto franków, bez czego bym się chętnie obesza. Bądź co bądź, ci Cambremer mają nazwisko bardzo osobiwe. Kończy się w samą porę, ale kończy się bardzo lichy — rzekła śmiejąc się księżna.

— Zaczyna się nie o wiele lepiej — odparł Swann.

— W istocie, ten podwójny skrót!...

— Jak gdyby ktoś bardzo zirytowany i bardzo dobrze wychowany nie ośmielił się dopowiedzieć pierwszego słowa.

— Skoro nie mógł się wstrzymać, aby nie zacząć drugiego, wołałby już skończyć pierwsze, żeby już położyć kropkę²⁴. Zabrnęliśmy w dowcipy doprawdy w uroczym smaku, mój drogi Lolo; ale jakie to nieznośne nie widywać już pana — dodała przymilnie — tak lubię z panem rozmawiać. Niech pan pomyśli, temu idiocie Froberville nie potrafiłabym nawet nasunąć myśli, że nazwisko Cambremer jest zdumiewające. Niech pan przyzna, że życie to okropna rzecz. Jedynie kiedy pana widzę, przestaję się nudzić.

Oczywiście to nie była prawda. Ale Swann i księżna mieli ten sam sposób brania drobnych rzeczy, czego skutkiem — o ile nie przyczyną — było wiele analogii w sposobie wyrażania się, nawet w wymowie. Podobieństwo to nie uderzało, ponieważ trudno było o coś różniejszego niż ich głosy. Ale gdyby ktoś zdołał odjąć w myśli słowem Swanna dźwięk, który je spowijał, wąsy, spomiędzy których wychodziły, czuło się, że to są te same zdania, te same akcenty — styl koterii Guermantes. W ważnych rzeczach Swann i księżna różnili się we wszystkich poglądach. Ale Swann, od czasu jak był tak smutny, odczuwając wciąż jak gdyby ów dreszcz poprzedzający chwilę wybuchnięcia płaczem, czuł potrzebę mówienia o zgrzytotach, niby morderca o swojej zbrodni. Słyszając z ust księżnej, że życie to okropna rzecz, uczył tę samą słodycz, co gdyby mu mówiła o Odecie.

— Och, tak, życie to okropna rzecz. Trzeba, żebyśmy się częściej widywali, droga księżno. To takie miłe u pani, że pani nie jest wesoła. Można by spędzić kiedy wieczór razem.

— Ależ oczywiście, czemu by pan nie miał przyjechać do Guermantes, moja teściowa oszalałaby z radości. To uchodzi za bardzo brzydkie, ale powiem panu, że mnie się tam dosyć podoba; mam wstręt do okolic „malowniczych”.

— Bardzo wierzę, tam jest cudownie — odparł Swann — to nawet za piękne, zanadto żywe dla mnie w tej chwili; to kraina dla ludzi szczęśliwych. Może to dlatego, że tam wzrosłem, ale wszystko tak przemawia tam do mnie. Z chwilą gdy się zerwie wiatr i zboża zaczną falować, zdaje mi się, że ktoś ma przybyć, że dostanę jakąś wiadomość; i te domki nad wodą... byłbym bardzo nieszczęśliwy!

— Och, mój drogi Lolo, niech pan uważa, ta potworna Rampillon dostrzegła mnie, niech mnie pan schowa, niech mi pan przypomni, co się jej zdarzyło, mieszam wszyst-

²⁴ci Cambremer mają nazwisko (...) kropkę — Niewybredna gra słów oparta na nazwisku Cambronne i na nazwie rzeczy, z którą nazwisko to się skojarzyło. [przypis tłumacza]

ko, ożeniła córkę czy kochanka, nie wiem już sama: może oboje... i ze sobą!... A, nie, przypominam sobie, odrzucił ją jej książkę... Niech pan udaje, że pan mówi do mnie, żeby mnie ta Berenice nie zaprosiła przypadkiem na obiad. Zresztą ja uciekam. To ładnie, panie Lolu, kiedy pana raz wreszcie widzę, nie chce się pan dać porwać! Zawiozłabym pana do księżnej parmeńskiej, która byłaby taka kontenta, Błażej także. Ma się tam spotkać ze mną. Gdyby się nie miało wiadomości o panu przez naszego Mémé... Niech pan pomyśli, panie Lolu, że ja pana nigdy już nie widzę!

Swann odmówił: uprzedziwszy Charlusa, że z rautu pani de Saint-Euverte wróci prosto do domu, nie chciał dla wizyty u księżnej parmeńskiej narażać się na utratę słówka, którego cały wieczór oczekiwał i które może zastanie u odźwiernego.

— Ten biedny Swann — mówiła później pani des Laumes do męża — zawsze miły, ale wygląda bardzo nieszczęśliwie. Zobaczysz go, bo obiecał się któregoś dnia na obiad. Wydaje mi się w gruncie śmieszne, żeby człowiek o jego inteligencji cierpieć dla osoby tego rodzaju, która nie jest nawet interesująca, bo mówią, że to idiotka — dodała z rozsądkiem ludzi niezakochanych, którzy uważają, że człowiek inteligentny powinien by cierpieć tylko dla osoby tego wartej; to mniej więcej to samo, co dziwić się, że ktoś raczy cierpieć na cholerę z powodu istotki tak małej jak bakcyl cholery.

Swann chciał wyjść, ale w chwili gdy miał się wreszcie wymknąć, generał de Froberville poprosił, aby go przedstawił pani Cambremer; musiał wrócić z generałem do salonu, żeby jej poszukać.

— Słuchaj, Swann, wolałbym być mężem tej kobietki, niż być zmasakrowanym przez dzikich, jak pan myśli, co?

Te słowa „zmasakrowanym przez dzikich” przeszły boleśnie serce Swanna; natychmiast odczuł potrzebę podtrzymania rozmowy z generałem.

— Och — rzekł — były piękne egzystencje, które kończyły się w ten sposób... Na przykład, wie pan... ten żeglarz, którego popioły przywiózł Dumont d'Urville, La Pérouse... — (i Swann był już szczęśliwy, tak jakby mówił o Odecie) — To piękny charakter ten La Pérouse, interesuje mnie bardzo — dodał melancholijnie.

— A tak, La Pérouse — rzekł generał. — To znane nazwisko. Ma swoją ulicę.

— Zna pan kogo przy ulicy La Pérouse? — spytał niespokojnie Swann.

— Tylko panią de Chanlivault, siostrę naszego zacnego Chaussepierre. Dała nam ładną komedijkę kiedyś. To salon, który będzie kiedyś bardzo elegancki, zobaczy pan!

— A, ona mieszka przy ulicy La Pérouse? To sympatyczne, ładna ulica, taka smutna.

— Ale nie; chyba pan tam nie był od dłuższego czasu; to już wcale nie jest smutne, cała ta dzielnica zaczyna się budować.

Wreszcie Swann przedstawił pana de Froberville młodej pani de Cambremer. Ponieważ słyszała nazwisko generała po raz pierwszy, oblekła twarz w uśmiech radosnej niespodzianki, tak jakby było jej dobrze znajome; nie znając bowiem przyjaciół swojej nowej rodziny, przy każdej świeżo przedstawianej osobie myślała, że to ktoś z nich i sądziła, iż daje dowód taktu, udając, że dużo słyszała o nim od zamążpójścia; jakoż podawała rękę z minką mającą wyrazić i skromność, którą trzeba jej zwalczyć, i odruch sympatii, który pokonał tę nieśmiałość. Toteż teściowie jej, których uważała jeszcze za najświetniejszych ludzi we Francji, głosili, że ich synowa to anioł; radzi byli zresztą okazywać, iż żeniąc syna, ulegli raczej urokowi zalet jego przyszłej niż ponętom wielkiego posagu.

— Widać, że pani głęboko czuje muzykę — rzekł generał, robiąc bezwiednie aluzję do sceny z profitką.

Ale koncert rozpoczął się na nowo i Swann zrozumiał, iż nie będzie mógł odejść przed końcem numeru. Cierpiał uwięziony wśród ludzi, których głupota i śmieszność uderzały go tym boleśniej, ile że ci ludzie nie znali jego miłości, a gdyby ją znali, nie mogłaby ich ona zainteresować; umieliby się jedynie uśmiechnąć z niej jak z dzieciństwa lub ubolewać nad nią jak nad szaleństwem. Tym samym miłość Swanna stawała się dlań czymś na wskroś subiektywnym, istniejącym tylko dla niego, czymś, czego w rzeczywistości nie potwierdzało nic z zewnątrz. Cierpiał zwłaszcza — i to tak, że sam dźwięk instrumentów budził w nim chęć krzyku — że przedłuża swoje wygnanie w miejscu, w którym Odeta nie znajdzie się nigdy, gdzie nikt i nic jej nie zna, któremu jest całkowicie obca.

Ale nagle stało się tak, jak gdyby ona weszła, a zjawienie to stało się dla Swanna bólem tak rozdzierającym, że musiał przyłożyć rękę do serca. Bo skrzypce wzniosły się

do wysokich nut, gdzie zawisły niby w oczekiwaniu; oczekiwanie przedłużało się, przy czym skrzypce wciąż trwały w zachwycie, jak gdyby spostrzegając już zbliżającą się tę, której oczekiwały. Rozpaczliwym wysiłkiem starały się dotrzeć do jej przybycia, przyjąc ją przed oddaniem ducha, jeszcze przez chwilę utrzymać dla niej ostatkiem sił otwartą drogę, jak się przytrzymuje drzwi, które by się inaczej zatrzasnęły. I zanim Swann miał czas zrozumieć i powiedzieć sobie: „To fraza z sonaty Vinteuila, nie słuchać, nie słuchać!”, wszystkie wspomnienia z czasu, gdy Odeta się w nim kochała, wspomnienia, które zdołał do dziś dnia zachować niewidzialne w głębiach swego jestestwa, oszukane tym nagłym promieniem z czasów jak gdyby wskrzeszonej miłości, obudziły się i jednym rzutem skrzydeł wzbily się, aby bez litości dla jego obecnej niedoli śpiewać mu co sił zapomniane refreny szczęścia.

Zamiast oderwanych wyrażen: „czas, kiedy byłem szczęśliwy”, „kiedy byłem kochany”, które często wymawiał dotąd, nie cierpiąc przy tym zbyt, bo jego inteligencja zamykała w nich tylko oschłe wyciągi z przeszłości, Swann odnalazł wszystko, co utrwaliło na zawsze swoistą i lotną esencję tego utraconego szczęścia. Ujrzał wszystko: śnieżne i kędzierzawe płatki złocieni, które mu Odeta rzuciła do powozu, które przyciskał do ust; adres *Maison Dorée* na liście, gdzie wyczytał: „Ręka mi drży, kiedy piszę do pana”; ściągnięcie brwi Odety, kiedy mówiła z błagalną twarzą: „czy nie za długo każe mi pan czekać na ten znak?”. Poczł zapach żelazka fryzjera, który podczytywał go „na jeża”, podczas gdy Loredan szedł po młodą gryzetskę; ulewę, które spadały tak często owej wiosny, mroźne powroty powozem przy blasku księżyca, wszystkie oczka nawyków myśli, klimatycznych wrażeń, naskórkowych wspomnień, rozciągających na szeregu tygodni jednostajną sieć, w którą ciało jego dostało się znowu.

W owej dobie Swann zaspakajał rozkoszną ciekawość, poznając słodczych ludzi żyjących miłością. Sądził, że potrafi zatrzymać się na tym; że nie będzie musiał poznać ich cierpień; jakże małą rzeczą był dlań teraz urok Odety wobec tej straszliwej grozy, która poszerzała ten urok niby mglistą otęczę; wobec tego olbrzymiego niepokoju, że nie wie w każdej chwili, co Odeta robi, że nie posiada jej wszędzie i zawsze! Z bólem przypomniał sobie akcent, jakim wykrzyknęła: „Ależ zawsze będę mogła pana widzieć, zawsze jestem wolna!” — ona, która nie jest teraz wolna nigdy! Przypomniał sobie jej zainteresowanie, ciekawość, jaką okazywała dla jego życia, namiętne pragnienie, aby jej zrobił tę łaskę — raczej niepożądaną dla Swanna i kłopotliwą w danej chwili — aby jej pozwolił wniknąć w swoją egzystencję. Jak ona musiała go prosić, aby się dał zaciągnąć do Verdurinów! Kiedy jej pozwalał przyjść do siebie raz na miesiąc, ileż razy, nim się dał skłonić, Odeta musiała mu powtarzać, co by to była za rozkosz widywać się co dzień. Marzyła o tym wówczas, gdy jemu się to wydawało jedynie ciężarem; potem zbrzydziła sobie ten zwyczaj i poniechała go na zawsze, gdy dla Swanna stał się on niezwykłą i tak bolesną potrzebą! Za trzecim widzeniem się, kiedy Odeta powtarzała: „No i czemu nie pozwala mi pan przychodzić częściej?”, Swann odrzekł, śmiejąc się, z galanterią: „Aby nie cierpieć później” — nie wiedział, że mówi taką prawdę! Teraz, ach, zdarzało się jeszcze czasem, że Odeta pisała do niego z restauracji albo z hotelu na firmowym papierze, ale te listy paliły go niby płomienie. „Z hotelu Vouillemont? Co ona tam może robić? Z kim? Co się tam dzieje?” Przypomniał sobie płomyki gazu, które gaszono na Boulevard des Italiens, kiedy wbrew wszelkiej nadziei spotkał ją pośród cieniów błędzących owej nocy, która mu się wydała niemal nadprzyrodzona. I w istocie owa noc — z epoki, kiedy nie potrzebował nawet pytać, czy nie zrobi przykrości Odecie, szukając jej, odnajdując ją, tak bardzo był pewny, że ona nie ma większej radości niż widzieć go i wracać z nim — należała do tajemniczego świata, dokąd nie ma sposobu wrócić, kiedy bramy się zatrzasną.

I zmartwiały w obliczu tego przeżywanego w myśli szczęścia, Swann ujrzał nieszcześliwego, który w nim obudził litość, bo go nie poznał od razu, tak iż musiał spuścić oczy, aby nie było widać, że są pełne łez. To był on sam.

Kiedy zrozumiał, litość jego pierzchła, ale uczuł się zazdrosny o owego drugiego siebie, którego Odeta kochała; uczuł się zazdrosny o tych, o których powiadał sobie często — i bez zbytnej męki — „kochają ich może”. O to wszystko uczuł się zazdrosny teraz, kiedy mglistą abstrakcją kochania, w której nie ma miłości, zmienił na płatki złocieni i na nagłówki *Maison d'Or*, które jej były pełne. Następnie, kiedy cierpienie jego stawało się zbyt żywe, przeciągnął ręką po czole, wypuścił monokl, przetarł szkło. I bez wątpienia,

gdyby się ujrzał w tej chwili, byłby do kolekcji monokli dodał własny, który usuwał niby natrętą myśl i na którego zamglonej powierzchni starał się chustką zetrzeć troskę.

Skrzypce — o ile, nie widząc instrumentu, nie możemy skonfrontować głosu z obrazem, który zmienia dźwięk — posiadają akcenty tak pokrewne niektórym głosom altowym, że chwilami ma się złudzenie, iż śpiewaczka wmieszała się do koncertu. Podnosimy oczy, widzimy tylko pudła, szacowne niby szkatułki chińskie; ale chwilami ludzi nas jeszcze kuszące wołanie syreny; czasami także słyszymy niby uwięzionego ducha, który szamoce się jak diabeł w kropielnicy w głębi uczonej szkatułki, zaczarowanej i drżącej; czasami wreszcie jawi się w powietrzu jak gdyby nadprzyrodzona i czysta istota, która przechodzi, śląc swoje niewidzialne zwiastowanie.

Swann miał uczucie, że muzycy nie tyle grają ową frazę, ile dopełniają obrzędów potrzebnych na to, aby się zjawiła; że przystępują do niezbędnych zaklęć, aby uzyskać i przedłużyć o kilka chwil cud jej objawienia. Niezdolny jej już widzieć, tak jak gdyby należała do jakiegoś świata ultrafioletowego, odczuwał ożywczą świeżość w chwilowej ślepotcie, jakiej uległ, zbliżając się do owej frazy. Czuł jej obecność, czuł ją niby opiekuńczą boginię, powiernicę swojej miłości; aby dotrzeć doń w tłumie i pomówić z nim na uboczu, przybrała strój tego dźwięcznego zjawiska. Przechodziła lekka, kojąca i zwiewna na kształt zapachu, powiadając mu to, co miała mu powiedzieć; wchłaniał jej słowa, żalując, że mijają tak szybko, czyniąc mimo woli wargami ruch taki, jakby całował w przejściu harmonijne i ulotne ciało. Nie czuł się już wygnany i samotny, skoro ona, zwracając się doń, mówiła mu szeptem o Odecie. Bo nie miał już jak niegdyś wrażenia, że ta fraza nie zna Odety i jego. Tak często była świadkiem ich upojeń! Prawda, że często także ostrzegała o ich kruchości. Wówczas Swann w jej uśmiechu, w jej czystych i melancholijnych akcentach, odgadywał cierpienie; dziś natomiast znajdował w niej raczej wdzięk wesołej niemal rezygnacji. Niegdyś mówiła mu o zgryzotach, których korowód ciągnęła za sobą z uśmiechem — w jego oczach, ale bezboleśnie — w szybkim i kapryśnym biegu; obecnie zgryzoty te były jego udziałem, tak iż nie miał nadziei kiedykolwiek się od nich uwolnić; ale melodia zdawała się mówić jak niegdyś o jego szczęściu. „I cóż to jest, wszystko to nie ma znaczenia”. I pierwszy raz, w porywie litości i czułości, myśl Swanna zwróciła się ku Vinteuilowi, ku owemu nieznanemu i wzniosłemu bratu, który również musiał tyle cierpieć: czym mogło być jego życie? W jakich bólach zaczerpnął tę boską siłę, tę nieograniczoną potęgę tworzenia?

Kiedy małeńka fraza mówiła mu o nicości jego cierpień, Swann znajdował słodycz w tej samej mądrości, która przed chwilą zdawała mu się nieznośna, kiedy ją czytał w obojętnych twarzach ludzi, patrzących na jego miłość jako na głupstwo bez znaczenia. Bo przeciwnie, ta ulotna fraza, bez względu na swój sąd o nietrwałości stanów duszy, widziała w nich, na wspak wszystkim tym ludziom, nie coś mniej poważnego od pozytywnego życia, ale przeciwnie coś o tyle wyższego, że jedynie to warte jest wyrazu. Starła się naśladować owe uroki tajemnego smutku, odtwarzać je; ujęła je, pokazała samą ich istotę polegającą wszelako na tym, że nie da się ich udzielić i że muszą się wydać blahe każdemu poza tym jednym, który ich doświadcza. Tak iż narzuciła cenę tych uroków i pozwoliła kosztować ich boskiej słodyczy wszystkim obecnym, o ile byli bodaj trochę muzykalni; tym samym, którzy później zlekceważyliby je w życiu, w czyjejś miłości rodzącej się w ich oczach. Bez wątpienia formy, w którą ujęła je melodia, nie dało się określić rozumowaniem. Ale od roku przeszło, kiedy, odsłaniając Swannowi bogactwa jego własnej duszy, zrodziła się w nim, bodaj na jakiś czas, miłość muzyki, uważał on motywy muzyczne za prawdziwe idee, z innego świata, innej kategorii, idee przesłonięte mrokiem, nieznanne, niedostępne inteligencji, ale mimo to doskonale zróżnicowane, nierówne wartością i znaczeniem. Kiedy po wieczorze u Verdurniów, każąc sobie przegrywać małą frazę, Swann starał się zrozumieć, jak ona go ogarnia, jak go spowija na kształt zapachu lub pieszczoty, zdał sobie sprawę, że ta fraza muzyczna zawdzięcza owo wrażenie pierzchliwej słodyczy niewielkim odstępom między pięcioma składającymi ją nutami oraz stałemu nawrotowi dwóch spomiędzy tych nut; ale w rzeczywistości wiedział, że analizuje nie samą frazę lecz proste walory, podstawione dla wygody jego inteligencji pod tajemniczą jedność, którą ogarnął, zanim jeszcze znał Verdurniów, na owym wieczorze, gdzie pierwszy raz usłyszał sonatę.

Wiedział, że samo wspomnienie fortepianu wykrzywia jeszcze perspektywę, w jakiej widział sprawy muzyki; że polem otwartym dla muzyka jest nie mizernych siedem nut, ale niezmiernie klawiatura, jeszcze prawie całkowicie nieznaną, gdzie ledwo tu i ówdzie, oddzielone grubymi ciemnościami niektóre z miliona składających ją klawiszy tkliwości, namiętności, odwagi, pogody — klawiszy różnych od siebie niemal tak, jak jeden świat różny jest od drugiego — objawiały się wielkim artystom. Ci, budząc w nas odpowiedniki motywu, który znaleźli, oddają tę usługę, że pokazują nam, jakie bogactwo, jaką rozmaitość kryje bez naszej wiedzy owa wielka, niezglębiona i rozpaczliwa noc naszej duszy — noc, którą bierzemy za pustkę i nicość.

Vinteuil był jednym z tych muzyków. W jego frazie, mimo iż przedstawiała dla rozumu ciemną powierzchnię, czuło się treść tak rzetelną, tak wymowną, pełną tak nowej i oryginalnej siły, że ci, którzy ją usłyszeli, zachowali ją w sobie na równi z pojęciami intelektu. Swann widział w niej niby koncepcję miłości i szczęścia, której odrębność była mu tak wyraźna, jak odrębność *Księżnej de Clèves* albo *Renégo*, kiedy tytuły tych utworów nastęrczały się jego pamięci. Nawet kiedy nie myślał o tej frazie, żyła ona utajona w jego duszy tak samo jak pewne inne swoiste pojęcia, jak światło, dźwięk, wypukłość, rozkosz fizyczna — bogate dziedziny, które urozmaicają i zdobią królestwo ducha. Może je stracimy, może się zatrą, kiedy wrócimy w nicość. Ale dopóki żyjemy, tak samo nie możemy sprawić, abyśmy ich nie znali, jak nie możemy tego uczynić wobec jakiegoś rzeczywistego przedmiotu: jak nie możemy na przykład wątpić o świetle lampy zapalanej w obliczu przeobrażonych sprzętów pokoju, z którego uleciało nawet wspomnienie ciemności. Przez to fraza Vinteuila — jak jakiś motyw z *Tristana* na przykład, który przedstawia dla nas również pewien uczuciowy nabytek — zrosła się z naszą doczesnością, przybrała coś ludzkiego i dość wzruszającego. Los jej związał się z przeszłością, z realnością naszej duszy, której była jedną z najbardziej swoistych, najlepiej zróżniczkowanych ozdób. Może nicość jest prawdą i cały nasz sen jest czymś nieistniejącym; ale wówczas czujemy, że owe melodie, owe pojęcia należące do tego snu musiałyby być również niczym. Zginiemy, ale mamy jako rękojmię owe niebiańskie zakładniczki, które podziela nasz los. I śmierć wraz z nimi jest czymś mniej gorzkim, mniej bezsławnym, może mniej prawdopodobnym.

Swann miał tedy rację, wierząc, że fraza sonaty istnieje realnie. Będąc w tym sensie czymś ludzkim, należała wszelako do sfery istot nadprzyrodzonych. Istot tych nie widzieliśmy nigdy; mimo to poznajemy je z zachwytem, kiedy jakiś odkrywca Niewidzialnego zdoła pochwycić którą z nich; kiedy z boskiego świata, dokąd ma przystęp, zdoła ją ściągnąć, aby zabłysła przez chwilę nad naszym światem. To właśnie zrobił Vinteuil. Swann czuł, że za pomocą instrumentów muzycznych kompozytor po prostu odsłonił ją, uczynił widzialną, wykreślił i uszanował jej rysunek ręką tak czulą, tak ostrożną, tak delikatną i pewną, że dźwięk zmieniał się co chwila, zacierając się, aby zaznaczyć cień, wzmacniając się, kiedy trzeba mu było biec śladem śmielszego konturu. A dowodem, że Swann nie mylił się, wierząc w realne istnienie frazy, było to, że każdy bodaj trochę wyrobiony miłośnik muzyki poznałby się natychmiast na oszustwie, gdyby Vinteuil, mniej zdolny ujrzeć i oddać jej kształty, starał się jakąś sztuczką nadrobić luki swej wizji lub omdlenia ręki.

Znikła. Swann wiedział, że zjawi się pod koniec, po długim ustępie, który pianista pani Verdurin zawsze opuszczał. Były tam cudowne myśli, których Swann nie doceniał za pierwszym słyszeniem, a które ogarniał teraz, jak gdyby w szatni jego pamięci pozbyły się jednostajnego kostiumu nowości. Swann słuchał licznych tematów, które wchodziły w skład frazy, niby przesłanki nieodzownego wniosku; był świadkiem jej genezy. „O śmiałości, może równie genialna — powiadał sobie — co śmiałość jakiegoś Lavoisiera, Ampera; śmiałości Vinteuila eksperymentującego, odkrywającego tajemne prawa nieznannej siły, prowadzącego poprzez Niezbadane do jedynego możliwego celu niewidzialny zaprzęg, któremu zaufał, a którego nie ujrzy nigdy”. Jakże wspaniały dialog między fortepianem a skrzypcami usłyszał Swann z początkiem ostatniej części! Usunięcie ludzkich słów, zamiast — jak można było przypuszczać — dać folgę fantazji, wykluczyło ją; nigdy mówiony język nie był tak nieubłaganie logiczny, nigdy nie osiągnął w tym stopniu celowości pytań, oczywistości odpowiedzi. Najpierw samotny fortepian skarżył się niby ptak opuszczony przez towarzyszkę; skrzypce usłyszały go, odpowiedziały mu jak gdyby z sąsiedniego drzewa. Było to jakby na początku świata; jak gdyby było tylko ich dwo-

je na ziemi lub raczej w owym świecie zamkniętym wszystkiemu innemu, wzniesionym logiką twórcy i gdzie będzie zawsze tylko ich dwoje. Światem tym — sonata. Czy to jest ptak, czy niekompletna jeszcze dusza leciutkiej frazy, czy niewidzialna i żaląca się wróżka, której tkliwe skargi powtarza później fortepian? Krzyki jej były tak nagłe, że skrzypek musiał co prędzej ująć smyczek, aby je pochwycić. Cudowny ptak! Skrzypek próbował go urzec, oblaskawić, ująć. Już wszedł w jego duszę, już zbudzona melodia miotła naprawdę opętanym ciałem skrzypka niby ciałem medium. Swann wiedział, że fraza odezwie się jeszcze raz. I rozdziwił się tak doskonale, że oczekiwanie bliskiej chwili, w której się znów znajdzie w jej obliczu, wstrząsnęła go szlochem podobnym temu, jaki rodzi w nas piękny wiersz albo smutna wiadomość; nie wówczas, gdy jesteśmy sami, ale kiedy udzielamy ich przyjaciółom, oglądając w nich siebie samych niby kogoś drugiego, którego domniemane wzruszenie rozczuła ich.

Fraza zjawiała się, ale tym razem po to, aby zawisnąć w powietrzu, brzmieć przez chwilę tylko — jak gdyby nieruchoma — i zamrzeć. Toteż Swann nie tracił nic z krótkiego czasu, przez który trwała. Była jeszcze tuż, niby barwna bańka mydlana wisząca w powietrzu. Podobna tęczy, której blask słabnie, zniża się, potem się podnosi i zanim zgaśnie, rozbłyska na chwilę bogaciej niż wprzódy, dotychczasowym dwóm kolorom przydała inne barwne struny, wszystkie kolory pryzmatu i kazała im śpiewać. Swann nie śmiał się ruszyć; byłby też chciał przytrzymać inne osoby, jak gdyby najbliższy ruch mógł zniweczyć nadprzyrodzony, rozkoszny i kruchy czar, który tak rychło miał pierzchnąć.

Nikt co prawda nie miał zamiaru mówić. Niewymowne słowo jedyne nieobecne, może umarłego (Swann nie wiedział, czy Vinteuil jeszcze żyje), wionąc ponad gesty celebrantów, wystarczało, aby utrzymać w napięciu uwagę trzystu osób i z tej estrady, gdzie niejako wywoływano duszę, czyniło jeden z najszlachetniejszych ołtarzy służących dla spełnienia się nadziemskiego obrządku. Fraza rozpadła się w końcu, bujając strzępami w dalszych motywach, które już zajęły jej miejsce. I jeżeli Swann uczył się w pierwszej chwili podrażniony, kiedy hrabina de Monteriender, sławna ze swoich naiwności, nim jeszcze sonata się skończyła, pochyliła się doń, aby mu zwierzyć swoje wrażenia, później nie mógł się wstrzymać od uśmiechu, znajdując może głęboki sens w słowach, którymi się nieświadome posłużyła. Oczarowana biegłością wykonawców, wykrzyknęła: „To niesłychane, nigdy nie widziałam nic tak przejmującego...”. Ale troska o ścisłość kazała jej się poprawić w tym dopełnieniu: „nic tak przejmującego... od czasu wirujących stolików!”.

Począwszy od tego wieczoru, Swann zrozumiał, że uczucie, jakie Odeta miała dlań niegdyś, nie zmartwychwstanie nigdy; że jego nadzieje szczęścia już się nie ziszczą. I w dniu, w które przypadkiem była z nim jeszcze miła i tkliwa, jeżeli miała dla niego jakieś względy, notował te zwodnicze i kłamliwe oznaki wątłego nawrotu z ową rozczuloną i sceptyczną uwagą, z rozpaczliwą radością ludzi, którzy, pielęgnując przyjaciela w ostatniej fazie nieuleczalnej choroby, podnoszą jako cenne fakty: „wczoraj sam robił rachunki i sam spostrzegł drobny błąd w dodawaniu; zjadł z przyjemnością jajko; jeśli je dobrze strawi, spróbujemy jutro kotleta”; — mimo iż wiedzą, że fakty te są bez znaczenia w wilię nieuchronnej śmierci. I Swann był niemal pewny, że gdyby teraz żył z dała od Odety, stałaby mu się w końcu obojętna, tak iż byłby rad, gdyby opuściła Paryż na zawsze; miałby się zostać, ale nie miał siły wyjechać.

Często nawiedzała go ta myśl. Teraz, kiedy wrócił do swego studium o Vermeerze, powinien by się udać na kilka dni przynajmniej do Hagi, do Drezna, do Brunszwiku. Był przekonany, że pewna *Toaleta Diany*, którą kupił Maurits huits na wyprzedazy Goldschmidta jako Nikolasa Maes, była w istocie Vermeerem. I byłby chciał móc na miejscu przestudiować ten obraz, aby utrwalić swoją pewność. Ale opuścić Paryż, kiedy w nim była Odeta, a nawet kiedy jej nie było, to było zbyt okrutne; bo w nowych miejscach, gdzie wrażenia nie stępiły się nawykiem, ból krzepi się, odżywa. Jeżeli Swann czuł się zdolny bez ustanku myśleć o tym zamiarze, to jedynie dlatego, iż wiedział, że go nie wykona nigdy. Ale zdarzało mu się, iż zamiar podróży odradzał się w nim podczas gdy spał — bez świadomości, że ta podróż jest niemożliwa — i spełniał się we śnie. Jednego dnia śniło mu się, że wyjeżdża na cały rok; wychylony z okna wagonu ku młodzieńcowi, który go żegnał z płaczem, Swann starał się go namówić, aby z nim jechał. Kiedy pociąg ruszył, obudził go lęk; przypomniał sobie, że nie jedzie, że zobaczy Odetę tego wieczora,

nazajutrz, prawie co dzień. Wówczas, jeszcze wzruszony swoim snem, błogosławił okoliczności, które go czyniły niezależnym, dzięki którym mógł zostać przy Odecie, a także osiągać to, aby mu pozwoliła widywać się czasem. Streszczał wszystkie swoje przewagi: sytuację; majątek, którego Odeta zbyt często potrzebowała, aby się nie miała cofnąć przed zerwaniem (mając nawet, powiadano, tajemny zamiar wydania się za Swanna); przyjaźń pana de Charlus, która co prawda nigdy Swannowi wiele nie pomogła u Odety, ale dawała mu słodką świadomość, że kochanka słyszy o nim pochlebne rzeczy od wspólnego przyjaciela, którego wysoko ceniła; nawet swoją inteligencję wreszcie, zużywaną całkowicie na to, aby co dzień obmyślić jakiś nowy fortel, który by czynił jego obecność jeżeli nie przyjemną, to przynajmniej potrzebną Odecie. Pomyślał, czym byłby, gdyby mu tego wszystkiego brakło; pomyślał, że gdyby był jak tylu innych biedny, nędzny, bez środków, zmuszony przyjąć wszelką pracę albo przykuty do rodziny, do żony, byłby może musiał opuścić Odetę; że ów sen, którego groza była jeszcze tak bliska, mógłby być prawdziwy; i powiedział sobie: „Człowiek nie zna swojego szczęścia”. Nigdy nie jest się tak nieszczęśliwym, jak się mniema”. Ale obliczył, że ta egzystencja trwa już od kilku lat; że najwięcej, czego mógł się spodziewać, to aby trwała ciągle; że poświęciłby swoje prace, przyjemności, przyjaciół, całe swoje życie wreszcie na codzienne oczekiwanie schadzki, która nie mogła mu przynieść nic szczęśliwego; — i spytał sam siebie, czy się nie myli; czy to, co sprzyjało jego stosunkowi i zapobiegło zerwaniu, nie było dlań zgubą; czy prawdziwym szczęściem nie byłoby właśnie to, z czego się tak cieszył że zdarzyło się jedynie we śnie: mianowicie wyjazd; i powiedział sobie, że nie zna się swojego nieszczęścia, i że nigdy nie jest się tak szczęśliwym, jak się mniema.

Czasami miał nadzieję, że Odeta zginie bez cierpień w jakim wypadku; ona, która była od rana do wieczora poza domem, na ulicy, w drodze. I kiedy wracała zdrowa i cała, podziwiał, iż ciało ludzkie jest tak gibkie i mocne, że może ustawicznie opierać się i urągać tylu niebezpieczeństwom (które zdawały się Swannowi niezliczone od czasu, jak wywołało je jego tajemne pragnienie); i że pozwala ludziom oddawać się co dzień niemal bezkarnie kłamstwu i gonitwie za rozkoszą. I Swann czuł się bliski owego Mahometa II z portretu Belliniego, który tak lubił; ów Mahomet, czując, że się zakochał do szaleństwa w jednej z żon, zasztyletował ją, aby — powiada naiwnie wenecki biograf — odzyskać swobodę ducha. Ale potem Swann oburzał się, że myśli tylko o sobie i uważał, iż cierpienia jego nie są godne żadnej litości, skoro on sam tak mało waży życie Odety.

Jeśli nie mógł się oderwać od niej ostatecznie, gdyby przynajmniej widywał ją bez rozstań: ból jego uśmierzyłby się w końcu i miłość może by wygasła. I skoro Odeta nie chce opuścić Paryża na zawsze, pragnąłby, aby go nie opuszczała nigdy. Kiedy wiedział, że jedyny dłuższy jej wyjazd przypada na sierpień i wrzesień, miał bodaj czas na kilka miesięcy naprzód rozpuścić jego gorzką świadomość w całym przyszłym czasie, jaki już nosił w sobie; i ów czas, złożony z dni podobnych dniom obecnym, krążył przezroczyście i zimny w jego myśli, gdzie podtrzymywał smutek, ale bez zbyt wielu cierpień. Ale ta utajona przyszłość, ta bezbarwna i płynna rzeka, ścinała się w sercu Swanna od jednego słowa Odety; ścinała się jak martwy i twardy kawał lodu; i Swann czuł nagle w sercu olbrzymią, niepodobną do skruszenia masę, która rozpierała ściany jego istoty tak, że groziły pęknięciem. Po prostu Odeta rzekła, śledząc go spod oka uśmiechniętym i chytym spojrzeniem:

— Forcheville robi ładną wycieczkę na Zielone Świąta; jedzie do Egiptu.

Natychmiast rozumiał, że to znaczy: „Jadę do Egiptu na Zielone Świąta z Forchevillem”. I w istocie, jeżeli w kilka dni potem Swann powiedział: „Słuchaj, à propos tej podróży, na którą się wybierasz z Forchevillem”, Odeta odpowiadała naiwnie: „Tak, kochanie, jedziemy dziewiętnastego, przyśle ci się widok piramid”.

Wówczas chciał się dowiedzieć, czy jest kochanką Forcheville’a, chciał spytać o to jej samej. Wiedział, że jest przesądna, że istnieją pewne zaklęcia, których by nie uczyniła; a przy tym wstrzymująca go dotąd obawa, że pogniewa Odetę, że się zohydzi w jej oczach, nie istniała już, odkąd stracił wszelką nadzieję, aby go kiedykolwiek pokochała.

Pewnego dnia Swann otrzymał anonimowy list, który mu powiadał, że Odeta była kochanką niezliczonych mężczyzn (zacytowano niektórych, między nimi Forcheville’a, pana de Bréauté i „mistrza”) i wielu kobiet, że odwiedza domy schadzki. Przykro było

Swannowi myśleć, że wśród jego przyjaciół znajduje się człowiek zdolny napisać taki list; bo z pewnych szczegółów jasne było, że autor listu zna dokładnie jego życie. Zastanawiał się, kto by to mógł być. Ale nie umiał nigdy podejrzewać ukrytych czynności ludzi bez widocznego związku z ich mową. I kiedy rozważał, czy tajemne sprężyny, które musiały sprawić ten nikczemny postępek, ma pomieścić w charakterze barona de Charlus czy księcia des Laumes, czy pana d'Orsan, nie widział żadnej racji, aby wybrać jednego z nich zamiast innego; żaden bowiem z tych ludzi nigdy przy nim nie pochwałał anonimowych listów; raczej wszystkie ich słowa pozwalały mniemać, że je potępiają. Charlus, był trochę narwany, ale serdeczny i dobry; charakter pana des Laumes był nieco oschły, ale uczciwy i zdrowy. Co się tyczy pana d'Orsan, nawet w najsmutniejszych okolicznościach Swann nie spotkał człowieka, który by się doń zbliżał z serdeczniejszym słowem, z dyskretniejszym i subtelniejszym gestem. Tak dalece, że Swann nie mógł zrozumieć mętnej nieco roli, jaką przypisywano panu d'Orsan w jego stosunku z pewną bogatą kobietą; za każdym razem, kiedy myślał o panu d'Orsan, musiał wyeliminować tę złą reputację, nie do pogodzenia z tyłoma niewątpliwymi oznakami delikatności. Przez chwilę Swann czuł, że mu się w głowie mroczy; zaczął myśleć o czym innym, aby odzyskać nieco światła. Następnie miał odwagę wrócić do tych refleksji. Ale wówczas od niepodejrzewania nikogo trzeba mu było się przerzucić do podejrzewania wszystkich. Ostatecznie, Charlus lubił Swanna, miał dobre serce. Ale to był neuropata; jutro może będzie płakał, dowiadując się, że Swann jest chory, a dziś z zazdrości, z gniewu, pod wpływem jakiejś nagłej obsesji zapragnął mu sprawić przykrość. W gruncie, ten typ ludzi najgorszy jest ze wszystkich. Z pewnością książę des Laumes nie jest ze Swannem ani w przybliżeniu tak serdecznie jak Charlus. Ale tym samym nie ma w stosunku do niego tylu drażliwości; przy tym to jest natura bez wątpienia chłodna, ale równie niezdolna do nikczemności jak do wielkich czynów. Swann żałował, że się przyjaźnił w życiu jedynie z takimi ludźmi. Potem przychodziło mu na myśl, że od czynienia komuś krzywdy wstrzymuje nas dobroć; że w gruncie może ręczyć tylko za natury podobne do jego własnej, tak jak ręczyłby za serce pana de Charlus, którego oburzyłaby sama myśl zrobienia Swannowi tej przykrości! Inna rzecz człowiek raczej oschły, odmiennego temperamentu, jak des Laumes: jak przewidzieć, do czego mogłyby go przywieźć pobudki innej natury? Mieć serce, to wszystko; a Charlus je miał. Panu d'Orsan nie zbywało go również; jego stosunki ze Swannem, serdeczne, ale mniej bliskie, zrodzone ze wspólności poglądów i uroku ich wymiany, były większą gwarancją niż egzaltowane przywiązanie Charlusa, zdolne posunąć się do gwałtownych wybuchów — w dobrym czy w złym. Jeżeli był ktoś, kto Swanna zawsze umiał kochać i rozumieć, to d'Orsan. Tak, ale jego podejrzane życie? Swann żałował w tej chwili, że się z tym nie liczył; że często przyznawał się żartem, iż nigdy nie doznaje równie żywych uczuć sympatii i szacunku, co w stosunku do kanalii. Nie bez powodu — powiedział sobie teraz — ludzie sądzą bliźnich na podstawie ich uczynków! Jedynie one coś znaczą, a wcale nie to, co mówimy lub myślimy. Charlus i des Laumes mogą mieć takie czy inne wady, ale to są porządni ludzie. D'Orsan nie ma może tych wad, ale to nie jest porządny człowiek. Mógł zrobić jedno świństwo więcej. Następnie Swann posądził stangreta Rémi, który co prawda mógł tylko być moralnym sprawcą listu; przez chwilę, podejrzenie to wydało mu się trafne. Po pierwsze, Lorédan miał przyczyny nie lubić Odety. A potem, cóż naturalniejszego, że służba, żyjąc w niższej sferze, przydając naszym dostatkom i wadom urojone bogactwa i przywary, dla których zazdroszczą nam i gardzą nami, musi tym samym postępować inaczej niż ludzie z naszego świata? Swann podejrzewał także swojego dziadka. Czyż nie odmawiał, ilekroć Swann go prosił o jakąś przysługę? A przy tym ze swoimi mieszczańskimi poglądami mógł sądzić, że działa dla dobra Swanna. Podejrzewał jeszcze Bergotte'a, malarza, Verdurinów; jeszcze raz podziwiał mądrość ludzi z towarzystwa, że nie chcą obcować z owym światem artystów, gdzie tego rodzaju rzeczy są możliwe, może aprobowane pod mianem „dobrego kawału”; ale wnet przypomniał sobie rysy świadczące o prawości tych cyganów i porównał je z dwuznaczną, hultajską niemal egzystencją, do jakiej brak pieniędzy, potrzeba zbytku, rozpusta, przywodzą często arystokrację.

Krótko mówiąc, anonim ten dowodził Swannowi, że liczy do swoich znajomych indywiduum zdolne do nikczemności; ale nikczemność ta mogła się równie dobrze kryć w niezgłębianych pokładach charakteru człowieka uczuciowego, co w duszy człowieka zimnego; u artysty jak u mieszczanina, u wielkiego pana jak u lokaja. Jaki probierz przy-

jąc, aby osądzić człowieka? W gruncie rzeczy, wśród tych, których znał, nie było ani jednej osoby, która by nie mogła być zdolna do podłości. Czy trzeba zerwać ze wszystkimi? Myśli Swanna zmaciły się; powiódł kilka razy dłonią po czole, przetarł binokle i pomyślał, że ostatecznie ludzie nie gorsi od niego przestają z panem de Charlus, z księciem des Laumes i z innymi. Jeżeli to nie znaczy, że oni sami zdolni są do nikczemności, znaczy bodaj tyle, iż koniecznością życia jest przestawać z ludźmi, którzy nie są może do niej niezdolni. I nadal ścisnął rękę przyjaciółom, których przez chwilę podejrzewał, z tą czysto stylistyczną poprawką, że chcieli go może przywieźć do rozpaczy.

Co się tyczy treści listu, nie troszczył się o nią; ani jedno z oskarżeń dotyczących Odety nie miało cienia prawdopodobieństwa. Jak wielu ludzi Swann miał umysł leniwy i bez inwencji. Wiedział wprawdzie ogólnie, że życie jest pełne sprzeczności; ale myśląc o poszczególnej osobie, utożsamiał nieznaną partię jej życia z tymi, które znał. To, czego mu nie mówiono, odtwarzał sobie za pomocą tego, co mu mówiono. Kiedy zdarzyło mu się w poufnych chwilach mówić z Odetą o czymś brzydkim postępku lub o nieszlachetnym uczuciu, ona potępiała je w imię tych samych zasad, które Swann zawsze słyszał w ustach swoich krewnych i którym pozostał wierny; przy tym Odeta podlewała kwiaty, piła herbatę, interesowała się pracami Swanna. Zaczem Swann rozciągał te obyczaje na resztę życia Odety; powtarzał owe jej gesty, kiedy sobie chciał wyobrazić jej życie z dala od niego. Gdyby mu ją odmalowano taką, jak jest — lub raczej jaką była z nim tak długo — ale z innym mężczyzną, cierpiałby, bo ten obraz wydałby mu się prawdopodobny. Ale to, żeby chodziła do rajfurek, żeby się oddawała orgiom z kobietami, żeby prowadziła plugawą życie ladacznicy, cóż za niedorzeczna brednia, na której realizację, Bogu dzięki, odtwarzane w wyobraźni zlocienie, herbaty, cnotliwe oburzenia Odety nie zostawiały miejsca.

Od czasu do czasu tylko Swann dawał do zrozumienia Odecie, że przez złośliwość opowiadają mu wszystko, co ona robi. Posługując się w porę jakimś przypadkowo uzyskanym nieznaczącym, ale prawdziwym szczegółem, tak jakby to był jedynie mały, mimo woli ukazany koniuszek całkowitej rekonstrukcji jej życia, którą jakoby chował dla siebie, budził w niej przypuszczenie, że on wie rzeczy, których w rzeczywistości ani wiedział, ani nawet podejrzewał; bo jeżeli tak często zaklinał Odetę, żeby mu nie tała prawdy, było to — świadomie lub nie — jedynie po to, aby mu opowiedziała wszystko, co robiła.

Bez wątpienia Swann — jak to powiedział Odecie — lubił szczerłość; ale lubił ją jak rajfura zdolnego informować go o życiu kochanki. Toteż jego kult szczerłości, niebezinteresowny, nie uczynił go lepszym. Prawdą, którą kochał, była ta, którą by mu powiedziała Odeta; ale on sam dla uzyskania tej prawdy nie wahał się uciekać do kłamstwa, którego nie przestawał malować Odecie jako czegoś wiodącego istotę ludzką do spodlenia. W sumie kłamał tyleż co Odeta, ponieważ, nieszczęśliwszy od niej, był nie mniej samolubny. A ona, słysząc jak Swann opowiada jej samej wszystko, co robiła, patrzyła nań z minką nieufną i na wszelki wypadek zagniewaną, aby nie wyglądało, że się upokarza i że się rumieni za swoje postęпки.

Jednego dnia, znajdując się w okresie spokoju, najdłuższym, do jakiego był jeszcze zdolny bez ataku zazdrości, Swann wybrał się do teatru z księżną des Laumes. Kiedy wziął dziennik, aby zobaczyć, co grają, widok tytułu: *Dziewczyny z marmuru* Teodora Barrière ugodził go tak okrutnie, że mimo woli wzdrygnął się i odwrócił głowę. Oświetlone niby blaskiem rampy, w nowym otoczeniu, słowo „marmur” — które Swann przestał rozróżniać, tak często przywykł je spotykać — stało mu się nagle na nowo widzialne. Przypomniało mu natychmiast historię, którą Odeta opowiadała mu niegdyś. Mówiła mu o tym, jak się wybrała z panią Verdurin na wystawę w *Palais de l'industrie* i jak pani Verdurin powiedziała: „Strzeż się, potrafię cię rozgrzać; nie jesteś z marmuru”. Odeta upewniała, że to był tylko żart, i Swann nie przywiązywał do tego żadnego znaczenia. Ale wówczas ufał jej więcej niż teraz. I właśnie anonim mówił o tego rodzaju miłości. Nie śmiejąc podnieść oczu na dziennik, Swann rozwinął go, obrócił kartkę, aby nie widzieć już tych słów: *Dziewczyny z marmuru*, i zaczął machinalnie czytać wiadomości z prowincji. Była burza na La Manche, oznajmiano szkody w Dieppe, w Cabourg, w Beuzeval. Swann wzdrygnął się znowu.

Nazwa Beuzeval przywiodła mu na myśl inną miejscowość w tamtej okolicy: Beuzeville, zwane także Beuzeville-Bréauté. Widywał często tę nazwę na mapie, ale pierwszy raz

zauważył jej powinowactwo z nazwiskiem swego przyjaciela, pana de Bréauté, o którym anonim mówił, że był kochankiem Odety. Ostatecznie co do pana de Bréauté oskarżenie mogło mieć widoki prawdopodobieństwa; ale co się tyczyło pani Verdurin, była to niemożliwość. Z tego, że Odeta kłamała czasem, nie można było wnosić, że nigdy nie mówi prawdy; a w słowach, które wymieniła z panią Verdurin i które mu sama powtórzyła, Swann poznał owe puste żarciki, na jakie przez nieznaną naturę życia i nieświadomość grzechu puszczają się kobiety. Żarciki takie świadczą o niewinności owych kobiet, które — jak na przykład Odeta — bardziej od innych odległe są od namiętej sympatii dla własnej płci; oburzenie zaś, z jakim odparła podejrzenia mimo woli zrodzone w Swannie na chwilę, godziło się ze wszystkim, co wiedział i o gustach, i o temperamentach kochanki. Ale w tej chwili nawiedziło Swanna jedno z owych natchnień zazdrości analogicznych do stanu, w jaki poetę lub uczonego, mających dopiero jeden rym albo jedno spostrzeżenie, wprawia myśl lub forma, które dadzą im całą ich potęgę. Pierwszy raz Swann przypomniał sobie coś, co mu Odeta powiedziała przed dwoma laty: „Och, pani Verdurin w tej chwili widzi w świecie tylko mnie; ja jestem jej ukochanie, całuje mnie, chce, żebym z nią chodziła za sprawunkami, żebym jej mówiła ty”. Daleki od szukania wówczas w tym zdaniu jakiegokolwiek związku z niedorzecznymi bajeczkami opowanymi mu przez Odetę dla osłonięcia występku, Swann przyjął to jako dowód gorącej przyjaźni. I teraz oto wspomnienie owej czułości pani Verdurin zespoliło się nagle ze wspomnieniem jej niesmacznej rozmówki. Nie mógł już tych dwóch rzeczy rozdzielić w myślach, widział je również splecione w rzeczywistości, przy czym czułość dawała coś głębszego i poważniejszego tym żartom, które nawzajem odzierały tę czułość z jej niewinności. Swann udał się do Odety. Usiadł z dala od niej. Nie śmiał jej ucałować, nie wiedząc czy w niej — jak i w nim — pocałunek ten obudzi serdeczność czy gniew. Milczał, patrzył na umieranie ich miłości. Nagle powziął postanowienie.

— Odeto — rzekł — moje kochanie, ja wiem, że jestem wstrętny, ale muszę cię zapytać o pewne rzeczy. Przypominasz sobie myśli, jakie mnie nachodziły z powodu ciebie i pani Verdurin. Powiedz mi, czy to była prawda, z nią czy z inną.

Potrząsnęła głową, zaciskając usta, jak często czynią ludzie, aby odpowiedzieć, że gdzieś nie pójdą, że to ich nudzi, kiedy ktoś pyta: „Czy pójdziesz popatrzeć na kawalkadę, czy pójdziesz zobaczyć rewię?”. Ale ten ruch głowy, uświęcony zwyczajem wobec zdarzenia przyszłego, daje tym samym coś wątpliwego zaprzeczeniu wypadków przeszłych. Raczej odwołuje się do osobistych upodobań niż stwierdza bezwzględne potępienie, moralną niemożebność. Widząc, jak Odeta stwierdza gestem, że to jest fałsz, Swann zrozumiał, że to jest może prawda.

— Mówiłam ci już, przecież wiesz — dodała tonem zirytowanym i żalonym.

— Tak, wiem, ale czy jesteś tego pewna? Nie mów mi: „Wiesz przecie”, powiedz wprost: „Nigdy nie robiłam nic takiego z żadną kobietą”.

Powtórzyła jak lekcję, ironicznie i jakby się go chciała pozbyć.

— Nigdy nie robiłam nic takiego z żadną kobietą.

— Czy możesz mi to przysiąc na medalik Matki Boskiej z Laghet?

Swann wiedział, że Odeta nie przysięgłaby krzywo na ten medalik.

— Och, jak ty mnie dręczysz — wykrzyknęła, jak gdyby wyzwajając się nagłym gestem z uścisku tego pytania. — Dasz ty mi wreszcie spokój? Co tobie dziś się dzieje? Koniecznie chcesz, żebym cię zniercierpiała, zniecierpiała. Ot, chciałam, żeby znów było wszystko dobrze jak dawniej, i to twoje podziękowanie!

Ale on nie wypuszczał jej niby chirurg czekający na koniec spazmu, który przerywa jego zabieg, ale nie każe go poniechać:

— Mylisz się, kiedy sobie wyobrażasz, że ja miałbym do ciebie jakąkolwiek pretensję, Odeto — rzekł z przekonującą i kłamliwą słodyczą. — Mówię ci zawsze tylko o tym, co wiem, a zawsze wiem o wiele więcej niż mówię. Ale ty jedna możesz złagodzić swoim wyznaniem to, co mi cię każe nienawidzić, dopóki o tym wiem tylko przez innych. Przebaczam ci wszystko, skoro cię kocham; gniew mój nie pochodzi z twoich postępów; ale z twojego fałszu, z twojego niedorzecznego fałszu, kążącego ci uparcie przeczyć rzeczom, które wiem. Jakże ty chcesz, abym cię mógł nadal kochać, kiedy widzę, jak mi coś twierdzisz w żywe oczy, jak mi przysięgasz na coś, o czym wiem, że jest kłamstwem. Odeto, nie przedłużaj tej chwili, która jest torturą dla nas obojga. Jeżeli chcesz, będzie

za chwilę koniec; będziesz uwolniona ode mnie raz na zawsze. Powiedz mi na ten swój medalik, jasno, czy robiłaś kiedy takie rzeczy.

— Ależ ja sama nie wiem — wykrzyknęła z gniewem — może bardzo dawno temu, nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, może parę razy.

Swann wziął w rachubę wszystkie możliwości. Ale widać rzeczywistość jest czymś bez żadnego związku z możliwościami, tak samo jak pchnięcie nożem jest bez związku z lekkim falowaniem chmur nad naszą głową, skoro te słowa „parę razy” zarysowały się niby znakiem krzyża na sercu Swanna. Rzecz dziwna, aby te słowa: „parę razy”, nic tylko słowa, słowa rzucone w powietrze, na odległość, mogły tak rozedrzyć serce, jak gdyby go dotknęły naprawdę; aby mogły przyprawić o chorobę niby połknięta trucizna. Mimo woli Swann pomyślał o słowach, które usłyszał u pani de Saint-Euverte: „Coś najbardziej przejmującego od czasu wirujących stolików”. Cierpienie jego nie było podobne do niczego z rzeczy, które przypuszczał. Nie tylko dlatego, że w godzinach najbardziej zatrutych podejrzeniem rzadko roił sobie coś równie daleko posuniętego w złem; ale że, nawet kiedy sobie wyobrażał tę rzecz, pozostawała ona mglista, niepewna, pozbawiona swoistej zgrozy, która wydarła się ze słów: „może parę razy”; pozbawiona swoistego okrucieństwa, równie odmiennego od wszystkiego, co znał, jak choroba nawiedzająca nas po raz pierwszy. A mimo to Odeta, od której pochodziło całe to cierpienie, była mu nie mniej droga, nawet o wiele cenniejsza, jak gdyby w miarę, jak rosło cierpienie, rosła i wartość środka kojącego, odtrutki, jaką posiadała jedynie ta kobieta. Chciał, aby ta okropna rzecz, o której powiedziała mu, że ją robiła „parę razy”, nie mogła się powtórzyć. Dlatego trzeba mu było czuć nad Odetą. Powiadają często, że zdradzając przyjacielowi błędy kochanki, jedynie zbliża się go do niej, ponieważ nie daje im wiary; ale o ileż bardziej, jeżeli daje wiarę!

„Ale — powiedział sobie Swann — jak ją chronić? Mógłby ją może ubezpieczyć od pewnej kobiety, ależ istnieją setki innych!”. I zrozumiał, jakie szaleństwo wstąpiło weń, kiedy owego wieczora, gdy nie zastał Odety u państwa Verdurin, zaczął pragnąć posiadania — zawsze niemożliwego — drugiej istoty.

Szczęściem dla Swanna, pod nowym cierpieniem, które wdarło się w jego duszę niby horda najeźdźców, istniał grunt natury dawniejszej, łagodniejszej i pracującej w milczeniu, niby komórki zranionego organu, które zabierają się natychmiast do tego, aby odbudować uszkodzone tkanki lub mięśnie sparaliżowanej kończyny, silące się podjąć swoje ruchy. Ci dawniejsi, bardziej przyrodzeni mieszkańcy duszy Swanna pochłonęli na chwilę wszystkie jego siły w tej podziemnej, leczniczej pracy, która rekonwalescentowi lub człowiekowi operowanemu daje złudzenie spokoju.

Tym razem owo odprężenie nastąpiło nie tyle — jak zwykle bywało — w mózgu Swanna, ile raczej w jego sercu. Ale wszystkie rzeczy w życiu, które raz istniały, dążą do tego, aby się odrodzić. Niby konające zwierzę, wstrząsane na nowo skurczem konwulsji, które zdawały się skończone, to samo cierpienie, samo z siebie, naznaczyło ten sam krzyż na oszczędzonym przez chwilę sercu Swanna. Przypomniał sobie księżycowe wieczory, kiedy rozparty w wiktorii niosącej go na ulicę La Pérouse rozkosznie pielęgnował w sobie wzruszenia człowieka zakochanego, nie znając zatrutego owocu, jaki nieodzownie miały wydać. Ale wszystkie te myśli trwały tylko sekundę, tyle, aby poniósł rękę do serca, odzyskał oddech i zdołał się uśmiechnąć, aby pokryć męczarnię. Już zaczynał na nowo pytać. Bo jego zazdrość, podjąwszy trud, jakiego nie byłby sobie zadał wróg, aby mu wymierzyć cios, aby mu dać poznać ból najokrutniejszy w życiu, ta zazdrość nie uważała, że on dosyć cierpi; starała się mu zadać ranę jeszcze głębszą. Niby złe bóstwo prowadziła Swanna i pchała go do zguby. Jeżeli męczarnia jego nie spotęgowała się zrazu, nie było to jego zasługą, ale raczej Odety.

— Moje kochanie — rzekł — już kończę; powiedz tylko, czy to było z osobą, którą znam?

— Ale nie, przysięgam ci; zresztą mnie się zdaje, że ja przesadziłam, że nie zasłam tak daleko.

Uśmiechał się i podjął:

— Cóż chcesz! To nie ma znaczenia, ale to wielka szkoda, że nie możesz mi powiedzieć nazwiska. Gdybym mógł sobie wyobrazić osobę, to by mi pozwoliło przestać o tym myśleć. Mówię to dla twojego dobra, bo już bym cię tym nie nudził. To uspokaja, móc

sobie wyobrazić każdą rzecz. Okropne jest to, czego sobie nie można wyobrazić. Ale ty byłaś już taka miłusia, nie chcę cię męczyć. Dziękuję ci z całego serca za twoją dobroć dla mnie. Już koniec. Tylko jeszcze to jedno: jak dawno temu?

— Och, Karolu, czyż nie widzisz, że ty mnie zabijasz, to już straszliwie dawno. Nigdy już o tym nie myślałam; rzekłby kto, że ty chcesz koniecznie naprowadzić mnie na te myśli. Dużo na tym zyskasz — rzekła z nieświadomą głupotą a rozmyślną złośliwością.

— Och, ja chciałem tylko wiedzieć, czy to od czasu jak się znamy. Ale to byłoby takie naturalne... Czy to się działo tutaj? Czy nie możesz mi określić danego wieczoru, abym sobie wyobraził, com robił tego właśnie wieczora; rozumiesz przecie, że nie jest możliwe, abyś sobie nie przypomniała z kim, Odeto, kochanie moje.

— Ależ ja nie wiem sama, zdaje się, że to było w Lasku jednego wieczora, kiedyś ty przyszedł do nas na wyspę. Byłeś na obiedzie u księżnej des Laumes — rzekła Odeta, szczęśliwa, że może dostarczyć szczegółu świadczącego o jej prawdomówności. — Przy sąsiednim stoliku siedziała kobieta, której nie widziałam od bardzo dawna. Rzekła do mnie: „Chodź za skałkę zobaczyć, jak księżyc się odbija w wodzie”. Ziewnęłam i odpowiedziałam: „Nie, zmęczona jestem i dobrze mi tutaj”. Zapewniła mnie, że nigdy nie było takiego księżycy. Powiedziałam: „też błaga!”, wiedziałam dobrze, dokąd ona zmierza.

Odeta opowiadała to prawie ze śmiechem, czy że jej się to wydało całkiem naturalne, czy że myślała, iż w ten sposób złagodzi wagę faktu, lub aby nie wyglądać na upokorzoną. Widząc wyraz Swanna, zmieniła ton:

— Jesteś niegodziwy, umyślnie mnie dręczysz; wyciągasz mnie na kłamstwa, kiedy ci mówię, żebyś mnie zostawił w spokoju.

Ten drugi cios był dla Swanna jeszcze okrutniejszy niż pierwszy. Nigdy nie przypuszczał, że to jest rzecz tak świeża, ukryta jego oczom, które nie umiały jej dojrzeć nie w nieznaną mu przeszłość, ale w wieczorach, które pamiętał tak dobrze, które przeżył z Odetą, o których myślał, że je zna tak dobrze, a które teraz wstecz nabierały czegoś tak krętego i okrutnego; i nagle pośród nich otwierała się owa ziejąca czeluść, ów moment na wyspie w Lasku. Nie będąc inteligentną, Odeta miała wdzięk naturalności. Opowiedziała, odegrała tę scenę z taką prostotą, że dygocący Swann widział wszystko; ziewnięcie Odety, skałę nad wodą. Słyszał ją jak odpowiada — wesoło, niestety: „Też błaga!”.

Czuł, że Odeta nie powie nic więcej tego wieczora, że nie ma co oczekiwać w tej chwili żadnych nowych faktów; milczał. Rzekł w końcu:

— Moje biedne małe, przebac mi; czuję, że ci robię przykrość, już koniec, nie myślę już o tym.

Ale Odeta widziała, że oczy jego zostały wlepione w rzeczy, których nie znał i w ową przeszłość ich szczęścia, jednostajną i słodką w jego pamięci, ponieważ była mglista, a teraz rozdzieraną krwawo ową minutą na wyspie w Lasku przy blasku księżycy po obiedzie u księżnej des Laumes. Ale Swann tak bardzo przywykł interesować się życiem — podziwiać ciekawe odkrycia, jakie w nim można robić — że cierpiąc wciąż tak, iż myślał, że nie zdoła dłużej znieść podobnego bólu, powiedział sobie:

„Życie jest doprawdy zadziwiające i pełne niespodzianek! W sumie zepsucie jest powszechniejsze niż się przypuszcza. Oto kobieta, której ufałem, która wydaje się tak prosta, tak uczciwa; która — gdyby nawet była lekka — zdawała się w swoich gustach bardzo normalna i zdrowa. Pod wpływem nieprawdopodobnej denuncjacji, wypytuję ją i to trochę, co mi wyznaje, odsłania o wiele więcej niż to, co by można podejrzewać!”

Ale nie mógł się ograniczyć do tych bezinteresownych refleksji. Silił się ściśle ocenić wartość tego, co mu Odeta powiedziała, aby móc stąd wnosić, czy te rzeczy robiła często, czy grożą nawrotem. Powtarzał sobie jej słowa: „Widziałam, do czego ona zmierza”, „Parę razy”, „Też błaga!” — ale nie pojawiały się w pamięci Swanna rozbrojone; każde trzymało nóż i zadawało mu nowy cios. Przez długi czas, tak jak chory nie może się powstrzymać od powtarzania bolesnego ruchu, powtarzał sobie te słowa: „Dobrze mi tutaj”, „Też błaga!” — ale cierpienie było tak silne, że musiał przestać. Zdumiewał się, iż sprawy, które zawsze sądził tak lekko, tak wesoło, teraz stały się dlań poważne niby choroba, z której można umrzeć. Znał dużo kobiet, które mógłby poprosić o to, aby czuwały nad Odetą. Ale jak się spodziewać, że one zajmą jego obecny punkt widzenia i nie pozostaną raczej na tym, którego on trzymał się tak długo, który wytyczył jego życie oddane rozkoszy? Czemu nie miałyby mu powiedzieć ze śmiechem: „Brzydki zazdrośnik, który chce drugich okradać

z przyjemności”. Przez jaką nagle spuszczoną zapadnię (on, który niegdyś czerpał z miłości do Odety jedynie subtelne przyjemności) dostał się oto w ten nowy krąg piekła, skąd nie widział możliwości wydobycia się kiedykolwiek?

Biedna Odeta! Nie miał do niej żalu. Ona była tylko na wpół winna. Czyż nie powiadano, że własna matka sprzedała ją w Nizy prawie dzieckiem bogatemu Anglikowi! Ale jakież bolesnej prawdy nabierały dlań te wiersze z *Dziennika Poety* Alfreda de Vigny, które niegdyś czytał obojętnie; „Kiedy czujemy, że się w nas rodzi miłość dla kobiety, powinniśmy się spytać: Z kim ona przestaje? Jakie było jej życie? Całe szczęście naszego istnienia tkwi w tym”. Swann zdumiewał się, że proste zdania powtarzane w myśli, jak „Też błaga”, „Widziałam, do czego ona zmierza”, mogą mu sprawiać taki ból. Ale rozumiał, że to, co on uważał za proste słowa, to są tylko rusztowania, między którymi mieści się zdolny w każdej chwili powrócić ból, jakiego doznał w czasie opowiadania Odety. Bo właśnie ten ból odczuwał na nowo. Daremnie wiedział teraz — daremnie by nawet z upływem czasu zapomniał po trosze, przebaczył; — w chwili gdy powtarzał te słowa, dawne cierpienie wskrzeszało Swanna takiego, jakim był, zanim Odeta je wyrzekła: nieświadomym, ufnym. Aby ugodzić Swanna wyznaniem Odety, jego okrutna zazdrość stawiała go w pozycji człowieka, który nic jeszcze nie wie; po kilku miesiącach stara ta historia wstrząsała nim zawsze jak rewelacja. Podziwiał straszliwą potęgę odtwórczą swojej pamięci. Jedynie po osłabnięciu tej rodzicielki, której płodność zmniejsza się z wiekiem, mógł się spodziewać złagodzenia swojej męczarni. Ale kiedy siła zadawania bólu, którą posiadało jedno ze słów Odety, zdawała się nieco wyczerpana, wówczas jakieś inne słowo, przy którym myśl Swanna mniej się zatrzymywała dotąd, słowo prawie nowe, luzowało tamte i uderzało go z niezużytą mocą.

Pamięć owego wieczoru, kiedy był na obiedzie u księżnej des Laumes, była mu bolesna; ale to było jedynie centrum jego cierpienia. Promieniowało ono mętnie na wszystkie dni sąsiednie. I na którymkolwiek momencie zatrzymały się wspomnienia Swanna, bolesny był dlań ów sezon, kiedy Verdurinowie tak często urządali obiady na wyspie w Lasku. Ból był tak mocny, że z czasem obawa nowych cierpień zneutralizowała w nim ciekawość rodzącą się z zazdrości.

Zdawał sobie sprawę, że całe życie Odety przed jego spotkaniem, życie, którego nigdy nie próbował sobie odtworzyć, nie było oderwaną przestrzenią, którą widział mglisto, ale że składało się z poszczególnych lat, znaczyło się konkretnymi faktami. Ale lękał się, w razie gdyby poznał owe fakty, aby ta przeszłość bezbarwna, płynna i znośna, nie oblekła jakiegoś dotykającego i potwornego ciała, jakiejś indywidualnej i diabolicznej twarzy. I nadal nie starał się wyobrazić sobie tej przeszłości, już nie przez lenistwo myśli, ale przez obawę cierpienia. Spodziewał się, że kiedyś będzie mógł wreszcie bez dawnego rozdarcia słyszeć nazwę wyspy w Lasku, nazwisko księżnej des Laumes i nie miał odwagi wyciągać z Odety nowych cytatów, nazw, okoliczności zdolnych odrodzić w nowej formie jego ból, zaledwie ukojony.

Ale często sama Odeta odsłaniała mu naiwnie i nieświadomie rzeczy, których nie znał i które lękał się teraz poznać. W istocie Odeta nie czuła odległości, jaką zepsucie stwarzało pomiędzy jej życiem istotnym a owym stosunkowo niewinnym jej życiem, w które uwierzył niegdyś i często wierzył jeszcze teraz. Istota zepsuta, wciąż udając cnotę wobec tych, przez których nie chce być podejrzewana, zatracą poczucie, do jakiego stopnia narowy, których nieustannego wzrostu nie czuje, oddalają ją stopniowo od normalnego sposobu życia. Owo życie normalne, mieszkające w duszy Odety wspólnie z pamięcią postępków, które skrywała przed Swannem, barwiło się stopniowo ich refleksami, było jakby przez nie zakazane, przy czym sama Odeta nie znajdowała w tym nic szczególnego, nic tu się nie klóciło dla niej ze swoistym środowiskiem jej wnętrza; ale kiedy opowiadała coś Swannowi, ów przerażony był klimatem, jaki ujawniał się w jej słowach. Jednego dnia, próbował, nie raniąc Odety, wypytać ją, czy miała kiedy stosunki z rajfurkami. Prawdę mówiąc, był przekonany, że nie; anonim wprowadził to przypuszczenie w jego świadomość, ale w sposób mechaniczny; nie znalazło tam ono żadnej wiary, ale utkwilo. Aby się pozbyć czysto materialnej, ale dokuczliwej obecności podejrzenia, Swann pragnął, aby Odeta je wyrwała.

— Och, nie! To nie znaczy, aby mnie nie oblegano propozycjami — dodała, odsłaniając w uśmiechu zadowolenie próżności i nie podejrzewając, że mogłoby się ono nie

wydać Swannowi czymś godziwym i uprawnionym. — Ot, wczoraj jeszcze czekała na mnie więcej niż dwie godziny, ofiarowywała mi, ile sama zechcę. Zdaje się, że jakiś ambasador powiedział jej: „Zabiję się, jeżeli mi jej pani nie przyprowadzisz”. Powiedziano jej, że mnie nie ma w domu; w końcu wyszłam sama się z nią rozmówić, aby sobie poszła. Chciałabym, żebyś widział, jak ja ją przyjąłem! Pokojówka, która słyszała z sąsiedniego pokoju, mówiła mi, że krzyczała na cały głos: „Ależ powiadam pani, że nie chcę! Taki już mam kaprys, że nie mam ochoty. Myślę, że chyba mi wolno robić, co mi się podoba! Gdybym potrzebowała pieniędzy, a, wówczas rozumiem”. Nakazałam odźwiernemu, żeby jej nie wpuszczał: powie, że jestem na wsi. Och, byłabym kontenta, gdybyś ty gdzie siedział schowany. Myślę, że byłbyś ze mnie rad, kotuśku. Mimo wszystko twoja Odetka ma swoje dobre strony, chociaż ktoś się na nią tak wybrzydza.

Zresztą nawet jej wyznania win — o ile przypuszczała, że Swann je sam odkrył — raczej służyły mi za punkty wyjścia dla nowych podejrzeń niż kładły koniec dawnym. Bo nigdy wyznania nie pokrywały się całkowicie z podejzreniami. Daremnie Odeta usuwała ze swojej spowiedzi wszystko zasadnicze; zawsze w ubocznych szczegółach pozostawało coś, czego by Swann nigdy nie wyroił, coś, co go przytłaczało nowością i pozwalało mu przesunąć granice problemu zazdrości. I tych wyznań nie mógł już zapomnieć. Dusza jego włóczyła je, odrzucała, kołysała jak trupy. I była nimi zatruta.

Jednego razu Odeta wspomniała mi o wizycie, jaką Forcheville złożył jej w dniu festynu Paris-Murcie. „Jak to, tyś go już znała? Ach, tak, prawda” — poprawił się, aby nie zdradzić, że nie wiedział o tym. I nagle zaczął drżeć na myśl, że w dzień tego festynu, kiedy dostał od Odety list, który przechowywał jak świętość, ona była może z Forchevillem na śniadaniu w Maison d’Or. Przysięgła mu, że nie.

— A jednak Maison d’Or przypomina mi coś, o czym się dowiedziałem, że nie było prawdą — rzekł, aby ją nastraszyć.

— Tak, że nie byłam tam owego wieczora, kiedym ci powiedziała, że idę stamtąd, wówczas, gdyś mnie szukał u Prévosta — odparła (wnosząc z miny Swanna, że wie o tym) z determinacją, w której było więcej nieśmiałości niż cynizmu, i obawą podrażnienia Swanna (co przez ambicję chciała ukryć) i wreszcie chęć pokazania mu, że umie być szczerą. Toteż uderzała z precyzją i siłą kata, mimo iż bez okrucieństwa, bo Odeta nie miała świadomości bólu, jaki mu zadaje; nawet zaczęła się śmiać, głównie co prawda dlatego, aby się nie wydać upokorzoną, zmieszaną.

— Istotnie, nie byłam w Maison Dorée, wychodziłam od Forcheville’a. Byłam naprawdę u Prévosta, to nie była błąka; Forcheville spotkał mnie tam i zaproponował mi, żebym obejrzała jego sztychy. Ale ktoś przyszedł do niego. Powiedziałam ci, że idę z Maison d’Or, bo bałam się zrobić ci przykrość. Widzisz, to było raczej uprzejmie z mojej strony. Przypuśćmy, że źle zrobiła, przynajmniej mówię ci to otwarcie. Jakież interes miałabym w tym, aby ci równie dobrze nie powiedzieć, gdyby to była prawda, że z nim byłam na śniadaniu w dniu Paris-Murcie? Tym bardziej, że w tym czasie jeszcześmy z sobą nie byli tak blisko, powiedz, kochanie, prawda?

Uśmiechnął się do niej z nagłym tchórzostwem człowieka pozbawionego sił, jakiego uczyniły zeń te straszliwe słowa. Zatem nawet w tych miesiącach, o których od dawna nie ważył się myśleć dlatego, że były zbyt szczęśliwe, nawet w tych miesiącach, w których go kochała, już mu kłamała! Tak samo jak ta chwila (pierwszy wieczór, kiedy „poprawiali katleje”), kiedy mu powiedziała, że wychodzi z Maison Dorée, ileż musiało być innych, kryjących w sobie kłamstwo, którego Swann nie byłby przypuszczał. Przypomniał sobie, że mu raz powiedziała: „Powiem po prostu pani Verdurin, że suknia była niegotowa, że cab się spóźnił. Jest zawsze jakiś sposób”. I prawdopodobnie nieraz jakieś jej słówko tłumaczące spóźnienie, usprawiedliwiające przesunięcie schadzki, musiało ukrywać — bez podejrzeń z jego strony — coś, co ona miała robić z innym; i temu innemu z pewnością powiedziała: „Powiem po prostu Swannowi, że suknia była niegotowa, że cab się spóźnił, zawsze jest jakiś sposób”. I pod wszystkimi najśłodszymi wspomnieniami Swanna, pod najprostszymi słowami Odety, w które wierzył wówczas jak w ewangelię, pod codziennymi czynnościami, z których mu się spowiadała, pod najzwyczajniejszymi miejscami — domem krawcowej, Avenue du Bois, Hipodromem — czuł wślizgującą się możebną i podziemną obecność kłamstwa, ukrytą przy pomocy tej nadwyżki czasu, która w najszczegółowszych rozkładach dnia zostawia jeszcze trochę miejsca i może skrywać jakieś

czynności. I ta świadomość plugawiła mu teraz wszystko, co mu pozostało najbardziej drogim, ich najmiłsze wieczory, nawet ulicę La Pérouse, którą Odeta zawsze musiała opuszczać o godzinie innej, niż mu powiedziała; we wszystko wciskało się coś z owej mrocznej grozy, jaką Swann odczuł, słysząc wyznanie dotyczące Maison Dorée, i myśli te, niby poczarwane zwierzęta w *Kłęsce Niniwy*, waliły w gruzy, kamień po kamieniu całą jego przeszłość.

Jeżeli teraz odwracał się za każdym razem, kiedy pamięć podsuszała mu okrutną nazwę Maison Dorée, to już nie tak, jak niedawno jeszcze na wieczorze u pani de Saint-Euverte. Nazwa ta przypominała mu teraz nie stracone od dawna szczęście, ale nieszczęście, o którym dopiero co się dowiedział. Potem stało się z Maison Dorée to, co z wyspą w Lasku: pomalutku przestała zadawać Swannowi ból. Bo to, co uważamy za naszą miłość, za naszą zazdrość, to nie jest wciąż ta sama namiętność, ciągła, niepodzielna. Składają się z bezliku kolejnych miłości, z rozmaitych zazdrości, przemijających, ale przez swoją nieprzerwaną mnogość dających wrażenie trwania, złudzenie jedności. Żywot miłości Swanna, jego wytrwała zazdrość, rozdziły się ze śmierci, ze zdrad, z niezliczonych pragnień, wątpliwości, które wszystkie miały za przedmiot Odetę. Gdyby jej długo nie widział, cząstek, które umierały, nie zastąpiłyby inne cząstki. Ale obecność Odety wciąż zasiewała serce Swanna na przemian tkliwością i podejrzeniem.

W pewne wieczory Odeta odzyskiwała nagle dawną czułość, ostrzegając go twardo, że powinien korzystać z chwili, która inaczej nie odnowi się przed upływem lat. Trzeba było natychmiast iść do niej „poprawiać katleje” i owa rzekoma jej namiętność była tak nagła, niewytłumaczona, despotyczna, pieścizna, jakimi go obsypywała były tak demonstracyjne i niezwykle, że ta brutalna i nieprawdopodobna czułość sprawiała Swannowi tyleż przykrości, ile by mu jej sprawiły kłamstwo i dokuczliwość. Pewnego wieczora, kiedy tak na rozkaz Odety udał się do niej i kiedy ona przeplatała pocałunki namiętnymi słowami kłócącymi się ze zwykłą jej oschłością, nagle zdawało się Swannowi że słyszy szelest; wstał, szukał wszędzie, nie znalazł nikogo, ale nie miał już odwagi wrócić na swoje miejsce koło Odety. Wówczas, nie posiadając się z wściekłości, stłukła wazon i rzekła: „Nie można nigdy nic zrobić z tobą!”. I został w niepewności, czy ona nie ukryła kogoś, kogo chciała udreńczyć zazdrością lub rozplomienić żądzą.

Czasami szedł do domów schadzek, spodziewając się dowiedzieć czegoś o niej, ale nie śmiejąc jej wymienić. „Mam jedną dziewczynkę, która się panu spodoba”, mówiła gospodyni. I Swann spędzał godzinę, rozmawiając smutno z jakąś biedną dziewczyną, zdziwioną, że gość nie żąda nic więcej. Jedna z nich, młoda i śliczna, rzekła raz: „Chciałabym znaleźć przyjaciela; wówczas mógłby być pewny, że nie poszłabym już z nikim”. — „Doprawdy, myślisz, że to możliwe jest, aby kobietę wzruszyło, kiedy ktoś ją kocha, że mogłaby nie zdradzać?” — spytał Swann trwożliwie. — „Rozumie się! To zależy od usposobienia”.

Swann nie mógł się wstrzymać, aby nie mówić dziewczętom rzeczy, które by się spodobały księżnej des Laumes. Tej, która szukała przyjaciela, rzekł:

— To ładnie, włożyłaś niebieskie oczy koloru swojego paska.

— Pan także ma błękitne mankiety.

— Jaką my subtelną rozmowę prowadzimy jak na tego rodzaju zakład! Nie nudzę cię, jesteś może zajęta?

— Nie, mam czas. Gdyby mnie pan nudził, powiedziałabym. Przeciwnie, lubię, jak pan rozmawia.

— Bardzo mi to pochlebia. Prawda, że ładnie rozmawiamy — rzekł do gospodyni, która właśnie weszła.

— Ależ tak, właśnie to sobie mówiłam. Jacy oni są grzeczni! Ha, ha! Teraz przychodzi się do mnie na rozmowę. Jeden książę powiadał mi kiedyś, że tu jest o wiele przyjemniej niż u jego żony. Zdaje się, że teraz w świecie one wszystkie mają taki fason, że to istny skandal. Zostawiam państwa, jestem dyskretna.

I zostawiła Swanna z dziewczyną z błękitnymi oczami. Ale Swann niebawem wstał i pożegnał ją; była mu obojętna, nie знаła Odety.

Malarz zachorował i doktor Cottard poradził mu podróż morską; ten i ów z „wiernych” chciał się wybrać z nim razem. Verdurinowie nie mogli się pogodzić z tym, aby mieli zostać sami; wynajęli jacht, potem kupili go, i w ten sposób Odeta odbyła liczne

podróże. Za każdym jej wyjazdem po jakimś czasie Swann czuł, że zaczyna się od niej odrywać; ale jak gdyby ta odległość moralna była w proporcji do odległości fizycznej, z chwilą gdy wiedział, że Odeta wróciła, nie mógł wytrwać, aby jej nie widzieć. Pewnego razu Verdurinowie wyjechali tylko na miesiąc; ale czy że przyszła im pokusa w drodze, czy że pan Verdurin chytrze ułożył rzecz z góry, aby zrobić przyjemność żonie, a zakomunikował to wiernym aż później, dość że z Algieru pojechali do Tunisu, potem do Włoch, do Grecji, do Konstantynopola, do Azji Mniejszej. Podróż trwała blisko rok. Swann czuł się przez ten czas zupełnie spokojny, prawie szczęśliwy. Mimo że Verdurin starał się przekonać pianistę i doktora Cottard, że ciotka pianisty i pacjenci doktora nie potrzebują ich wcale i że w każdym razie byłoby nieostrożnie pozwolić pani Cottard wracać do Paryża, który — twierdziła pani Verdurin — jest w przededniu rewolucji, trzeba było zwrócić im wolność w Konstantynopolu. Malarz pojechał z nimi. Pewnego dnia, po powrocie tych trojga podróżnych, Swann, widząc omnibus jadący w stronę muzeum, dokąd się udawał, wskoczył, siadł i znalazł się na wprost pani Cottard, która robiła swoje tournée „żurów” w wielkiej paradzie — kapelusz z piórem, jedwabna suknia, mufka, parasolka, porte-cartes i białe prane rękawiczki. Przybrana w te godła, o ile było sucho, szła pieszo od domu do domu w danej dzielnicy, ale posługiwała się omnibusem „z przesiadką”, aby się przenieść do innej. Pierwsze chwile, zanim wrodzona uprzejmość kobieca przebiła wykrochmalenie mieszczyki, pani Cottard, nie bardzo wiedząc, czy należy wspominać Swannowi o Verdurinach, sypała całkiem naturalnie, swoim powolnym, nieśmiałym i łagodnym głosem, ginącym chwilami w grzmocie omnibusu, banalności słyszane i powtarzane w dwudziestu pięciu domach, których piętra przebywała w ciągu dnia:

— Nie pytam pana, czy człowiek tak *au courant* jak pan widział w *Mirlitons* portret Macharda, który ściąga w tej chwili cały Paryż. I co? Co pan o tym powie? Czy pan jest w obozie entuzjastów czy krytyków? We wszystkich salonach mówi się tylko o portrecie Macharda; nie sposób jest być eleganckim, nie jest się na wysokości, jeżeli się nie ma zdania o portrecie Macharda.

Ponieważ Swann odpowiedział, że nie widział tego portretu, pani Cottard zlekła się, że mu sprawiła przykrość, zmuszając go do tego wyznania.

— A, to bardzo ładnie, przynajmniej przyznaje się pan szczerze, nie czuje się pan zhańbiony przez to, że pan nie widział portretu Macharda. Uważam, że to bardzo pięknie z pańskiej strony. Ja widziałam ten portret; otóż zdania są podzielone: jedni uważają, że to jest trochę wylizane, pomadkowe; mnie się wydaje idealny. Oczywiście, to nie jest podobne do niebieskich i żółtych kobiet naszego mistrza. Ale muszę panu wyznać szczerze, będzie pan uważał, że nie jestem dosyć *fin de siècle*, ale mówię, jak myślę, ja tamtego malarstwa nie rozumiem. Mój Boże, uznaję zalety, jakie ma portret mojego męża, to jest mniej dzikie niż to, co robi nasz mistrz zazwyczaj, ale musiał mu zrobić niebieskie wąsy. Za to Machard! Ot, na przykład, mąż przyjaciółki, do której idę w tej chwili (czemu zawdzięczam przyjemność spotkania się z panem), przyrzekł jej, że jeżeli wejdzie do Akademii (to jeden z kolegów mego męża), obstaluje jej portret u Macharda. Oczywiście to piękne marzenie! Mam inną przyjaciółkę, która powiada, że woli Leloir. Ja jestem tylko skromna profanka, a Leloir jest może jeszcze wyższy jako technika. Ale ja uważam, że pierwsza zaleta portretu, zwłaszcza jeżeli kosztuje 10 000 franków, to żeby był podobny i to w przyjemny sposób.

Wygłosiwszy tę przemowę, którą natchnęła jej wysokość własnej egretki²⁵, cyfra na *porte-cartes*, numererek naznaczony na rękawiczkach atramentem w pralni oraz kłopotliwość mówienia ze Swannem o Verdurinach, pani Cottard, widząc, że jest jeszcze daleko do stacji, posłuchała serca, które jej doradziło inne słowa:

— Musiało panu w uszach dzwonić — rzekła — w czasie podróży, jaką zrobiliśmy z Verdurinami. Cały czas była mowa o panu.

Swann zdziwił się; przypuszczał, że nigdy nie wymawia się jego nazwiska przy Verdurinach.

— Zresztą — dodała pani Cottard — była z nami pani de Crécy, to wystarczy! Kiedy Odeta gdzieś jest, nigdy nie wytrwa długo bez mówienia o panu. I zgaduje pan, że to,

²⁵egretka — ozdoba z piór na kapeluszu a. hełmie rycerskim. [przypis edytorski]

co mówi nie jest dla pana niepochlebne. Jak to! Pan wątpi? — rzekła, widząc sceptyczny gest Swanna.

I porwana szczerością przekonania, nie wkładając zresztą żadnej złej myśli w zwrot, który brała jedynie w sensie serdecznej przyjaźni, ciągnęła:

— Ależ ona ubóstwia pana! Och, nie radziłabym nikomu powiedzieć przy niej ani tyle przeciw panu! Ładnie by się wyglądało! Przy każdej okazji, kiedyśmy oglądali na przykład jakiś obraz, ona mówiła: „A, gdyby Swann tu był, on by nam zaraz powiedział, czy to jest autentyk. Nikt się na tym tak nie rozumie jak on”. I co chwila pytała: „Co on może robić w tej chwili? Żeby tylko pracował trochę! To nieszczęście, człowiek taki zdolny, żeby był taki leń. (Pan mi daruje, nieprawdaż). W tej chwili widzę go, myśli o nas, pyta się, gdzie my jesteśmy”. Powiedziała nawet coś, co mi się wydało bardzo ładne. Kiedy pan Verdurin spytał: „Ależ pani Odeto, jak pani może wiedzieć, co Swann robi w tej chwili, skoro pani jest o siedemset mil?”. Wówczas Odeta odrzekła: „Nic nie jest niepodobne dla oka przyjaźni”. Nie, przysięgam panu, nie mówię tego, żeby panu zrobić przyjemność, ale ma pan w niej szczerą przyjaciółkę, taką jakich nie miewa się dużo. Powiem panu zresztą, jeżeli pan o tym nie wie, jest pan bez konkurencji. Pani Verdurin mówiła mi jeszcze ostatniego dnia (pan wie, że w wilię wyjazdu najlepiej się rozmawia): „Nie powiadam, żeby Odeta nas nie lubiła; ale wszystko, co my jej mówimy niewiele by zaważyło przy tym, co by jej powiedział Swann”. Och, mój Boże, konduktor już zatrzymuje, gadu gadu i byłabym przepuściła ulicę Bonaparte... Będzie pan łaskaw powiedzieć mi, czy moja egretka trzyma się prosto?

I pani Cottard, wyjąwszy rękę z mufki, podała Swannowi dłoń w białej rękawicze, z której wydzielila się, wraz z biletem na „przesiadkę”, wizja wielkiego świata pomieszana z zapachem benzyny i wonią swą napelniła omnibus. I Swann uczuł przyływ czułości dla pani Cottard, tyleż co dla pani Verdurin i niemal tyle, co dla Odety, uczucie bowiem, jakie żywił dla niej, niepomieszone już z bólem, zaledwie że było jeszcze miłością. I rozczulonym wzrokiem patrzył z platformy za doktorową, jak mężnie wkracza w ulicę Bonaparte z wysoko sterczącą egretką, jedną ręką unosząc spódnicę, drugą trzymając parasolkę i *porte-cartes*, którego cyfry pokazywała, piętując przed sobą mufkę.

Aby przeciwdziałać chorobliwym uczuciom, jakie Swann żywił dla Odety, pani Cottard, lepszy terapeuta, niżby nim był jej mąż, zaszczepiła obok nich inne, normalniejsze; wdzięczność, przyjaźń, uczucia, które w umyśle Swanna miały uczynić Odetę bardziej ludzką, podobniejszą do innych kobiet, skoro inne kobiety mogły w nim również wzbudzać te same uczucia. Ten stan duszy przyspieszył ostateczne przeobrażenie kochanki w ową Odetę kochaną spokojnym przywiązaniem, tę, która ściągnęła go raz po zabawie u mistrza na szklanekę oranżady z Forchevillem; Odetę, przy której Swann uczuł, że mógłby być szczęśliwy.

Niegdyś, myśląc często ze zgrozą, iż pewnego dnia mógłby przestać kochać Odetę, Swann przyrzekł sobie być czujnym i z chwilą, gdy spostrzeże, że miłość zaczyna go opuszczać, uczepić się jej, zatrzymać ją. Ale teraz zwątlenie jego miłości schodziło się zgodnie ze zwątleniem chęci ocalenia jej. Bo nie można się zmienić — to znaczy stać się inną osobą — podlegając nadal uczuciom tej, którą się już nie jest. Czasami spotkane w gazecie nazwisko jednego z owych ludzi, których podejrzewał, że byli może kochankami Odety, wskrzeszało w nim zazdrość. Ale ta zazdrość była bardzo nikła; że zaś dowodziła mu, że nie minął dlań jeszcze całkowicie ów czas, kiedy tyle cierpiał — ale też kiedy poznał tak rozkoszne wzruszenia — i że zdoła jeszcze niekiedy w tej podróży spostrzec z daleka i przelotnie piękności drogi, zazdrość ta dawała mu raczej przyjemną podniecię. Tak znużonemu paryżaninowi, który opuszcza Wenecję, aby wrócić do Francji, ostatni moskit dowodzi, że Italia i lato nie są jeszcze zbyt odległe. Swann czuł, że się rozstaje z bardzo osobliwą epoką swego życia; kiedy się silił nie tyle zatrzymać ją, ile zachować bodaj — póki to jeszcze możliwe — jej jasną wizję, spostrzegał, że to jest już niepodobieństwem. Ową miłość, z którą się rozstał, byłby chciał ujrzeć niby krajobraz mający zniknąć; ale tak trudno jest rozdziwić się i odtworzyć sobie prawdziwy obraz uczucia, które w nas zamarło, że niebawem czynił się w mózgu Swanna mrok; nie widział już nic, wyrzekał się patrzenia, zdejmował binokle, przecierał szkła i powiadał sobie, że lepiej odpocząć trochę, że będzie jeszcze czas za chwilę, i pogrążał się w odrętwieniu sennego podróżnego, który nasuwa kapelusz na oczy, aby spać w wagonie unoszącym go coraz szybciej, coraz dalej

od kraju, gdzie żył tak długo. A przyrzekł sobie, że nie pozwoli mu uciec bez ostatniego pożegnania!

Nawet — jak ów podróżny, kiedy się obudzi aż we Francji — skoro Swann natknął się przypadkiem na dowód, że Forcheville był kochankiem Odety, spostrzegł, że mu to nie sprawia żadnego bólu, że miłość jest już daleko, i żałował, że nie wyczuł chwili, w której go opuszczała na zawsze. I tak samo jak przed pierwszym pocałunkiem Odety starał się utrwalić w pamięci twarz, którą miała dlań tak długo i którą miało przeobrazić wspomnienie tego pocałunku, tak samo byłby chciał, w myśli przynajmniej, móc pożegnać — podczas gdy istniała jeszcze — ową Odetę będącą przedmiotem jego miłości, jego zazdrości, ową Odetę sprawiającą mu ból, której teraz już nie ujrzy nigdy.

Mylił się. Miał ją ujrzeć raz jeszcze, w kilka tygodni później. Było to we śnie, w mroku sennego marzenia. Przechadzał się z panią Verdurin, z doktorem Cottard, z młodym człowiekiem w fezie, którego nie mógł rozpoznać, z malarzem, z Odetą, z Napoleonem III i z moim dziadkiem drogą, która szła wzdłuż morza i przewieszała się nad nim to bardzo wysoko, to ledwie o kilka metrów, tak że się wciąż wstępowało pod górę i schodziło w dół. Ci, co schodzili, znikali oczom tych, co jeszcze szli pod górę. Dzień miał się ku schyłkowi; widać było, że za chwilę wszystko ogarnie czarna noc. Chwilami fale uderzały o brzeg i Swann czuł na policzku zimne bryzgi. Odeta mówiła mu, żeby wytarł twarz; ale nie mógł i czuł się zażenowany wobec niej, a także i tym, że był w nocnej koszuli. Miał nadzieję, że w ciemności nikt tego nie spostrzeże, jednakże pani Verdurin przyglądała mu się długo ze zdziwioną miną; przez ten czas Swann widział, jak jej się twarz zmienia, nos wydłuża, i że ma duże wąsy. Odwrócił się, aby popatrzeć na Odetę; twarz miała bladą z czerwonymi punkcikami, rysy ostre i mizerne, ale patrzyła nań oczami pełnymi czułości, gotowymi oderwać się jak lzy i upaść na niego. Czuł, iż ją kocha tak, że byłby ją chciał zaraz zabrać z sobą. Naraz Odeta obróciła dłoń, popatrzyła na mały zegareczek i rzekła: „Muszę już iść”. Pożegnała się jednakże ze wszystkimi, nie biorąc Swanna na bok, nie mówiąc mu, gdzie go zobaczy wieczór albo nazajutrz. Nie śmiał jej pytać, byłby pragnął iść za nią, ale nie mógł się obrócić ku Odecie, zmuszony odpowiedzieć z uśmiechem na jakieś pytanie pani Verdurin; serce biło mu straszliwie, nienawidził Odety, byłby chciał wydrzeć jej te oczy, które tak kochał przed chwilą, zmiażdżyć jej zniszczone policzki. Szedł dalej w górę z panią Verdurin, to znaczy oddalał się z każdym krokiem od Odety, która schodziła w dół w przeciwnym kierunku. Po sekundzie było już kilka godzin, jak odeszła. Malarz zwrócił uwagę Swanna, że Napoleon III wymknął się w chwilę po niej. „To było z pewnością umówione — dodał — musieli się spotkać na dole, ale dla zachowania pozorów nie chcieli się żegnać równocześnie. Ona jest jego kochanką”. Nieznajomy młodzieniec zaczął płakać. Swann próbował go pocieszać. „Ostatecznie ona ma rację — rzekł, ocierając mu oczy i zdejmując mu fez, aby mu było wygodniej. — Ja jej to radziłem sto razy. Czemu się smuć? To był człowiek zdolny ją zrozumieć”. W ten sposób Swann mówił do samego siebie, młodzieniec bowiem, którego nie mógł poznać zaraz, to był także on; jak czynią pewni powieściopisarze, rozdzielił swoją osobowość między dwie postacie, tego, który śnił, i tego, którego miał przed sobą w fezie.

Co się tyczy Napoleona III, to był Forcheville. Jakieś mgliste skojarzenie idei, następnie pewna odmiana zwykłej fizjonomii hrabiego, wreszcie wielka wstęga legii honorowej z orderem na szyi kazały mu dać to miano; ale w rzeczywistości i we wszystkim, co dlań ta osobistość we śnie reprezentowała i co mu przypominała, to był właściwie Forcheville. Bo z mglistych i zmiennych obrazów uśpiony Swann wyciągał fałszywe wnioski, posiadając zresztą chwilami taką siłę twórczą, że rozmnażał się przez prosty podział, niby pewne niższe ustroje; ciepłem własnej dłoni modelował kształt obcej ręki, którą w marzeniu sennym ścisnął; z wrażeń i uczuć, których nie miał jeszcze świadomości, rodził jak gdyby fakty, które swoim logicznym łańcuchem sprowadzały w danym momencie jego snu osobistość potrzebną, aby przyjąć jego miłość lub obudzić go. Nagle zrobiła się zupełna noc; rozległ się dzwon na trwogę; mieszkańcy przebiegli pędem, uciekając z domów w płomieniach; Swann słyszał plusk rozkołysanych fal i swoje serce, które z tą samą gwałtownością waliło z trwogi w jego piersi. Naraz bicie jego serca zdwoiły szybkość, uczył ból oraz dziwne nudności; wieśniak pokryty oparzeniami rzucił mu przechodząc te słowa: „Spytaj Charlusa, dokąd Odeta poszła zakończyć wieczór z koleżanką; on z nią żył

dawniej i ona mu mówi wszystko. To oni podłożyli ogień”. Był to służący Swanna, który go przyszedł obudzić, powiadając:

— Proszę pana, jest ósma, fryzjer czeka; powiedziałem mu, żeby wrócił za godzinę.

Ale te słowa, wnikając w fale snu, w których Swann był pogrążony, doszły jego świadomości z owym odchyleniem, które sprawia, iż w głębi wody promień wydaje się słońcem, tak jak chwilę przedtem odgłos dzwonka, przybierając w głębi tych otchłani dźwięk dzwonu na trwogę, zrodził obecność pożaru. Jednakże dekoracja, jaką Swann miał przed oczami, rozpadła się w proch; otworzył oczy, usłyszał ostatni łoskot oddalającej się fali. Dotknął policzka. Był suchy. A jednak przypomniał sobie wrażenie zimnej wody i smak soli. Wstał, ubrał się. Kazał przyjść fryzjerowi wcześniej, bo napisał w wilię do swojego dziadka, że przyjedzie popołudniu do Combray, dowiedziawszy się, że pani de Cambremer — z domu Legrandin — ma tam spędzić kilka dni. Urok tej młodej twarzy, kojarząc się w jego wspomnieniach z urokiem wsi, której nie oglądał tak długo, skłonił go do opuszczenia wreszcie Paryża na parę dni. Rozmaite przypadki stykające nas z pewnymi osobami, nie schodzą się z czasem, w którym je kochamy, ale wyprzedzając nasze uczucia, mogą się dziać, zanim ów czas się rozpocznie i powtarzać się, kiedy się skończył. Toteż pierwsze zjawienie się w naszym życiu istoty mającej się nam później podobać, przybiera wstecz w naszych oczach wagę ostrzeżenia, przepowiedni. W ten sposób Swann odnosił się często do obrazu Odety spotkanej w teatrze owego pierwszego wieczora, kiedy nie myślał, że ją ujrzy jeszcze kiedy; — tak samo przypominał sobie teraz wieczór u pani de Saint-Euverte, gdzie przedstawił generała de Froberville młodej pani de Cambremer. Sprawy naszego życia tak są złożone, że nierzadko w jednym i tym samym momencie zaczątek nieistniejącego jeszcze szczęścia schodzi się z pogorszeniem zgryzoty, od której cierpimy. Niewątpliwie mogło się to było zdarzyć Swannowi gdzie indziej niż u pani de Saint-Euverte. I kto wie, w razie gdyby tego wieczora znalazł się gdzie indziej, czy by mu się nie nastęczyły inne rozkosze, inne zgryzoty, które później wydałyby mu się nieuchronne? Tak nieuchronne wydawało mu się to, co zaszło, i gotów był widzieć coś opatrnościowego w tym fakcie, że zdecydował się iść na wieczór do pani de Saint-Euverte. Umysł jego, lubiący podziwiać skarby inwencji życia, niezdolny długo sobie zadawać trudnych pytań i dochodzić, co byłoby bardziej pożądane, widział rodzaj koniecznego łańcucha w cierpieniach, jakich doznał owego wieczora i w niepodejrzewanych jeszcze rozkoszach, które już dlań kielkowały.

Ale kiedy w godzinę po przebudzeniu dawał fryzjerowi wskazówki uczesania go tak, by fryzura nie szochrała się w wagonie, Swann wspominał swój sen. Ujrzał — jak je czuł niegdyś tuż obok — bladą cerę Odety, jej nazbyt szczupłe policzki, pociągłe rysy, podbite oczy, wszystko to w kolejnych fazach czułości, czyniących z jego trwałej miłości do Odety długie zapomnienie pierwotnego jej obrazu. Przestał widzieć to wszystko od pierwszego okresu ich stosunku, w którym z pewnością w owym śnie pamięć Swanna zaczerpnęła dokładne wrażenia. I z owym przelotnym chamstwem, które nawiedzało go od czasu, jak nie był już nieszczęśliwy i jak tym samym obniżył się jego poziom duchowy, wykrzyknął w duchu: „I pomyśleć, że spartoliłem kilka lat życia, że chciałem umrzeć, że przeżyłem swoją największą miłość dla kobiety, która mi się nie podobała, która nie była w moim typie!”.

CZĘŚĆ TRZECIA. IMIONA MIEJSCOWOŚCI: IMIĘ

Pośród pokojów, których obraz najczęściej wywoływałem w bezsenne noce, żaden nie był bardziej różny od pokojów w Combray, przyprószonych atmosferą ziarnistą, pyłkowatą, jadalną i nabożną, niż pokój w Grand-Hôtel de la Plage w Balbec, którego mury, powleczone olejną farbą niby gładkie ściany basenu pełnego błękitnej wody, zawierały czyste, lazurkowe i słone powietrze. Monachijski tapicer, któremu powierzono urządzenie tego hotelu, urozmaicił dekorację wnętrz; w pokoju, gdzie mieszkałem, pomieścił z trzech stron, wzdłuż ścian niskie szklane szafy na książki, gdzie, zależnie od ich położenia, nieprzewidywanym efektem odbijała się jakaś partia zmiennego obrazu morza, roztaczając fryz jasnych widoków morskich przerywanych jedynie listwami mahoniu. Cały pokój robił wrażenie owych wzorowych sypialni na wystawach mebli „modern style”, zdobnych dziełami sztuki mającymi cieszyć oczy ich lokatorów, dostrojonymi tematem do okolicy, dla której przeznaczone jest wnętrze.

Ale też nic mniej nie było podobne do rzeczywistego Balbec niż owo Balbec, o którym często roilem w dniu nabrzmiałe burzą, kiedy wiatr był tak silny, że Franciszka, prowadząc mnie na Pola Elizejskie, zalecała, abym nie szedł za blisko ścian, bo dachówka może mi spaść na głowę, i wdychając, mówiła o katastrofach na lądzie i morzu opisanych przez dzienniki. Niczego nie pragnąłem więcej niż widzieć burzę morską, nie tyle jako piękne widowisko, ile jako moment autentycznego życia przyrody; lub raczej nie było dla mnie pięknych widoków poza tymi, o których wiedziałem, że nie sporządzono ich sztucznie dla mojej przyjemności, ale że są konieczne, nieodmienne — jak piękno krajobrazów albo wielkiej sztuki. Byłem ciekawy, żądny poznania jedynie tego, com uważał za prawdziwsze od siebie; co miało dla mnie tę wartość, że mi ukazywało coś z myśli geniusza, siły lub wdzięku natury, takiej jak się objawia sama przez się, bez współdziałania ludzi. Tak samo jak piękny dźwięk głosu naszej matki odtworzony w fonografie nie pocieszyłby nas po jej stracie, tak samo mechanicznie naśladowana burza zostawiłaby mnie obojętnym, podobnie jak świetlne wodotryski na Wystawie. Iżby burza była absolutnie prawdziwa, byłbym pragnął, aby i sam brzeg był brzegiem naturalnym, a nie groblą świeżo wzniesioną przez zarząd gminny. Zresztą natura przez wszystkie uczucia, jakie budziła we mnie, zdawała mi się czymś wręcz przeciwnym do mechanicznych wytworów człowieka. Im mniej nosiła ich piętno, tym więcej sprzyjała moim ekstazom. I zapamiętałem nazwę Balbec, którą nam cytował Legrandin, jako plażę najbliższą owych „posępnych, słynnych tyłoma katastrofami zбочy, które przez sześć miesięcy w roku spowija całun mgieł i piana fal”.

„Czuje się jeszcze pod stopami — powiedział pan Legrandin — o wiele bardziej niż w samym Finistere (choćby nawet wyrosły tam hotele niezdolne skrzywić najstarszego kośćca ziemi), czuje się tam prawdziwy kres ziemi francuskiej, europejskiej, Ziemi starożytnej. I to jest ostatnie obozowisko rybaków, podobnych wszystkim rybakom, jacy żyli od początku świata, na wprost wiekuistego królestwa mgieł morskich i cieniów”. Jednego dnia w Combray wspomniałem o tej plaży przy panu Swannie, aby się dowiedzieć, czy w istocie to jest najlepszy punkt dla oglądania burz. Odpowiedział mi: „Czy znam Balbec? Spodziewam się, że znam! Kościół w Balbec, zabytek XII i XIII wieku, jeszcze na wpół romański, to może najciekawszy wzór normandzkiego gotyku. To jest coś osobliwego: można by rzec sztuka perska!”.

Dotąd wydawały mi się owe wybrzeża jedynie odwieczną naturą, współczesną wielkim geologicznym zjawiskom, czymś równie poza historią ludzką jak Ocean lub Wielka Niedźwiedzica, wraz z owymi dzikimi rybakami, dla których tak samo jak dla wielorybów nie istniało średniowiecze. I jakież to był dla mnie czar widzieć, jak miejsca te wchodziły nagle w serię wieków — świadki epoki romańskiej; dowiedzieć się, że gotyckie trifolium również w danym momencie unerwiło te dzikie skały niby owe wąż, ale żywotne rośliny, które z nadejściem wiosny stroją miejscami śniegi biegunów. A jeżeli gotyk przynosił tym stronom i ludziom jakby określenie, którego im brakło, i one dawały mu je wzajem. Próbowałem sobie wyobrazić, w jaki sposób ci rybacy żyli; odtworzyć nieśmiałą i wiarogodną próbę stosunków społecznych, na jakie się tam zdobyli

w pełni średniowiecza, skupieni na jednym punkcie wybrzeży Piekieł, u stóp tego urwiska śmierci; i gotyk zdawał mi się żywszy teraz, kiedy go ujrzałem w oderwaniu od miast, gdzie go sobie dotąd zawsze wyobrażałem, i kiedy mogłem oglądać jak w tym poszczególnym wypadku wykiełkował na dzikich skałach i zakwitł strzelistą wieżycą. Pokazano mi reprodukcje najslawniejszych posągów z Balbec — krętorunych i płaskonosych apostołów, Matkę Boską z kruchty kościoła, i upajałem się aż do utraty oddechu myślą, że mógłbym widzieć wszystkie te postacie odcinające się na wiecznej i słonej mgle. Wówczas, w burzliwe i łagodne wieczory lutowe wiatr podsuwający memu sercu, którym wstrząsał nie mniej silnie niż kominkiem w moim pokoju, projekt podróży do Balbec, kojarzył we mnie żądzę gotyckiej architektury z pragnieniem burzy morskiej.

Byłbym chciał zaraz nazajutrz wsiąść do pięknego i szlachetnego pociągu pierwsza dwadzieścia dwie. Tej godziny odjazdu nie mogłem nigdy bez wzruszenia ujrzeć w reklamach kolejowych ani w anonsach wycieczek okrężnych; miałem uczucie, że się ona wcinając smakowicie w określony punkt popołudnia, że jest niby tajemniczy znak, od którego począwszy, zwichnięte godziny wiodą jeszcze wprawdzie do wieczora, do jutrzejszego rana, ale zamiast w Paryżu, oglądaloby się je kolejno w owych miastach, przez które pociąg przejeżdża i między którymi pozwalał nam wybierać; zatrzymywał się bowiem w Bayeux, w Coutances, w Vitré, w Questambert, w Pontorson, w Balbec, w Lannion, w Lamballe, w Benodet, w Pont-Aven, w Quimperlé i posuwał się wspaniale obciążony imionami, które mi ofiarowywał i między którymi nie umiałbym wybrać, niezdolny poświęcić którekolwiek z nich. Ale nawet nie czekając tego pociągu, byłbym mógł, ubrawszy się spieszenie, jechać jeszcze tego wieczora, gdyby rodzice mi pozwolili. Przybyłbym do Balbec wówczas, gdy dzień świta nad wściekłym morzem, przed którego rozpiętą pianą schroniłbym się do kościoła w perskim stylu. Ale kiedy się zbliżały ferie wielkanocne, rodzice przyrzekli mi, że będę mógł je raz spędzić w północnych Włoszech. I oto w miejsce wypełniających mnie całkowicie marzeń o burzy, w miejsce tęsknoty do fal zbiegających się zewsząd, wciąż wyżej, na najdzikszy brzeg, blisko kościołów urwistych i chropawych jak skały nadbrzeżne, o wieżycach, w których krzyczą ptaki morskie, oto nagle, zacierając te wizje, odbierając im wszelki urok, odsuwając je jako coś sprzecznego mu i wrogiego, zjawiało się marzenie o przebarwnej wiosnie, nie o wiosnie w Combray klującej jeszcze igiełkami szronu, ale o tej, która już okrywała liliami i anemonami pola Fiezole i olśniewała Florencję złotym tłem niby na obrazach Fra Angelico. Z tą chwilą jedynie promienie, zapachy, barwy miały dla mnie cenę; kolejność bowiem obrazów sprowadziła zmianę frontu pragnień, zupełną zmianę tonacji uczuć — nagle, jak bywa niekiedy w muzyce.

Potem zdarzało się, że proste wahania atmosferyczne wystarczały, aby wywołać we mnie ten skutek, nie czekając na powrót pory roku. Często bowiem w jednej porze natyka się zablakany dzień z innej pory, który nas w nią przenosi, wywołuje natychmiast żądzę jej swoistych rozkoszy i przerywa marzenia, jakieśmy właśnie snuli, mieszcząc — przedwcześnie lub z opóźnieniem — poza właściwą koleją — kartkę wydartą z innego miejsca z kalendarza Szczęścia. To są zjawiska naturalne, z których nasza wygoda lub zdrowie mogą wycisnąć jedynie przygodną i dosyć nikłą korzyść, aż do dnia, gdy zjawiska te opanuje wiedza i wytwarzając je do woli, da nam w ręce możliwość ich wywoływania, wolną od opieki przypadku, ale odartą z jego uroków. Z czasem budzenie się owych marzeń o Atlantyku i o Włoszech przestało dla mnie podlegać wyłącznie wpływowi pór roku i pogody. Aby je wskrziesić, wystarczyło mi wymówić po prostu te nazwy: Balbec, Wenecja, Florencja, w których wnętrzu skupiło się wreszcie pragnienie zrodzone we mnie z oznaczonych nimi miejscowości. Wystarczało mi — nawet wiosną — spotkać w książce nazwę *Balbec*, aby uczuć łaknienie burz i normandzkiego gotyku; słowa Florencja lub Wenecja rodziły znowuż we mnie — nawet w dniu burzy — żądzę słońca, lilii, pałacu dożów i Santa Maria dei Fiori.

Ale jeżeli te nazwy na zawsze wchłonęły dla mnie imaginacyjne obrazy owych miast, dokonały tego jedynie przeobrażając je, poddając zjawianie się ich we mnie swoistym prawom. Stały się one czymś piękniejszym, ale bardzo różnym od tego, czym miasta Normandii lub Toskanii mogły być w rzeczywistości; potęgując samorodne ekstazy mojej wyobraźni, zwiększały zarazem przyszłe rozczarowania podróży. Wyolbrzymiały moje pojęcia o pewnych miejscowościach, czyniąc je czymś bardziej odrębnym, tym samym

rzeczywistszym. W owym czasie miasta, krajobrazy, gmachy to nie były dla mnie mniej lub więcej powabne obrazy, wycięte przypadkowo z jednej i tej samej materii; przeciwnie, każdy z nich był czymś nieznanym, zasadniczo różnym od innych, których moja dusza łaknęła i których poznanie byłoby dla niej z korzyścią. Ileż przydało im jeszcze indywidualności to, że miały imiona właściwe jedynie im, imiona takie, jakie mają osoby. Słowa zmieniają nam rzeczy w jasny i praktyczny obrazek w rodzaju tych, które się wieszają na ścianach w szkole, aby dać dzieciom wyobrażenie o tym, co jest warsztat, ptak, mrowisko — rzeczy podobne do wszystkich innych tego rodzaju. Inna rzecz imiona osób oraz miast, które właśnie dzięki swoim imionom stają się dla nas czymś indywidualnym, jedynym jak osoby. Tu imiona stwarzają w nas mglisty obraz wydobywający z nich, z ich lśniącego lub ciemnego dźwięku, kolor, którym osoba lub miasto pomalowane są jednostajnie niby owe afisze całkowicie niebieskie lub czerwone, gdzie wskutek warunków zastosowanej techniki lub przez kaprys dekoratora niebieskie i czerwone są nie tylko niebo i morze, ale łódki, kościoły i ludzie. Nazwa Parmy (jednego z miast, które najbardziej pragnąłem oglądać od czasu, jak czytałem *Pustelnię Parmeńską*), objawiła mi się jednolita, gładka, w delikatnym kolorze lila; kiedy mi wspomniano o jakimś domu w Parmie, gdzie będę mógł gościć, obudzono we mnie słodycz myśli, że będę mieszkał w mieszkaniu gładkim, jednolitym, delikatnego koloru lila. Mieszkanie to nie miało związku z żadnym innym we Włoszech, skorom je sobie wyobrażał jedynie przy pomocy owej sylaby ciężkiej nazwą *Parmy* i pozbawionej przewiewu, oraz wszystkim, co w nie wlałem ze Stendhalowskiej słodyczy i z połysku fiołków. A kiedy myślałem o Florencji to jak o mieście cudownie pachnącym i podobnym do korony kwiatu, skoro zwało się miastem lilii, a jego katedra Santa Maria dei Fiori. Co się tyczy Balbec, było to jedno z imion, gdzie niby w starych normandzkich garnkach, zachowujących kolor ziemi, z której je dobyto, widzi się jeszcze obraz jakiegoś zagubionego obyczaju, feudalnego prawa, dawnego wyglądu miejscowości, staroświeckiej wymowy, która utworzyła jej dziwaczne sylaby i którą — byłem tego pewny — odnajdę w ustach oberżysty podającego mi kawę z mlekiem i pokazującego mi wzburzone morze przed kościołem. I wierzyłem, że odnajdę u niego swarliwe, uroczyste i średniowieczne wzięcie²⁶ bohatera dawnych *fabliaux*.

Gdybym się miał lepiej i gdyby rodzice się zgodzili, abym się wybrał do Balbec, jeżeli nie na dłużej, to przynajmniej na wycieczkę, dla zapoznania się z architekturą i z widokami Normandii lub Bretanii; — owym pociągiem *pierwsza dwadzieścia dwie*, w który tyle razy wsadzałem w wyobraźni, byłbym pragnął zatrzymać się w najładniejszych miastach; ale daremnie je porównywałem: jak wybrać między istotami indywidualnymi, niezamiennymi z sobą: Bayeux, tak dumne w swojej szlachetnej rdzawej koronce ze szczytem rozświetlonym starym złotem jego ostatniej sylaby; Vitré, którego akcent nad *é* oprawiał w czarne drzewo starodawny witraż; słodkie Lamballe w białości swojej przechodzące od żółtawej skorupki jajka aż do tonów perłowszarych; Coutances — normandzka katedra, którą jej końcowy dyftong, żółtawy i tłusty, wieńczy niby wieżę z masła; Lannion — w ciszy wiejskiej turkot koczobryka, nad którym brzęczy mucha; Questambert, Pontorson — pocieszne i naiwne, białe pióra i żółte dzióbki rozdziawione na drodze w tej poetycznej i obfitej w wodę okolicy. Benodet, nazwa zaledwie przycumowana, robiąca wrażenie, jakby chciała wciągnąć rzekę między swoje algi; Pont-Aven, biały i różowy ruch skrzydła lekkiego czepka, który odbija się drżący w zielonkawej wodzie kanału; Quimperlé, od średniowiecza mocniej osadzone między strumieniami, którymi gaworzy i perli się w siatce podobnej do tej, którą poprzez pajęczyny witrażu rysują promienie słońca zmienione w ostrza oksydowanego srebra!

Te obrazy były fałszywe z innej jeszcze racji; mianowicie były siłą rzeczy bardzo uproszczone; z pewnością to, do czego dążyła moja wyobraźnia i co moje zmysły odczuwały na razie niepełno i bez przyjemności, to zamknąłem w sanktuarium imion; jak ja skupiłem w nich swoje marzenie, tak one teraz magnesowały moje tęsknoty. Ale imiona nie są zbyt przestronne; co najwyżej mogłem w nie wprowadzić parę ważniejszych „osobliwości” miasta skupiających się tam bez pośrednich ogniów. W nazwie *Balbec* niby w powiększającym szkłem owych obsadek, które się kupuje w morskich kąpieliskach, widziałem wzburzone fale obok kościoła w perskim stylu. Może nawet uproszczenie tych obrazów było

²⁶wzięcie (daw.) — sposób zachowania. [przypis edytorski]

jedną z przyczyn władzy ich nade mną. Jednego roku ojciec zdecydował, że pojedziemy na Wielkanoc do Florencji i do Wenecji. Nie mając miejsca na to, aby w nazwę Florencji wprowadzić elementy, które zazwyczaj składają miasto, musiałem stworzyć sobie miasto nadprzyrodzone, zapładniając pewnymi wiosennymi zapachami to, com uważał za geniusz Giotta w samej jego istocie. Ale, ponieważ nie da się w nazwie zawrzeć o wiele więcej trwania niż przestrzeni, podzieliłem sobie nazwę Florencji na dwie partie, niby obrazy Giotta ukazujące jedną i tę samą osobę w dwóch momentach: tu leżącą na łóżku, ówdzie gotującą się dosiąść konia. Na jednym obrazie oglądałem pod kamiennym baldachimem fresk, częściowo przykryty zasłoną z rannego słońca, zakurzoną, skośną i ruchomą. Ale ponieważ nazwa nie była dla mnie niedostępnym ideałem, lecz realną atmosferą, w jakiej miałem się zanurzyć, życie nieprzeżyte jeszcze, życie nietknięte i czyste, które w niej mieściłem, dawało najmaterialniejszym przyjemnościom, najprostszym scenom powab właściwy dziełom prymitywów. Toteż w drugim obrazie przebywałem szybko Ponte-Vecchio zawalony żonkilami, narcyzami i anemonami, aby wcześniej zdążyć na oczekujące mnie śniadanie z owocami i winem Chianti.

Oto co — mimo iż będąc w Paryżu — widziałem, nie zaś to, co było dokoła mnie. Nawet z punktu widzenia prostego realizmu upragnione przez nas krainy zajmują w każdej chwili w naszym prawdziwym życiu o wiele więcej miejsca niż kraj, gdzie znajdujemy się istotnie. Bez wątpienia, gdybym wówczas więcej zwracał uwagi na to, co było w mojej myśli, kiedy wymawiał słowa „jechać do Florencji, do Parmy, do Pizy, do Wenecji”, byłbym sobie zdał sprawę, że to, com widział, nie było wcale miastem, ale czymś równie odrębnym od wszystkiego, co znałem, równie rozkosznym, jak dla ludzkości żyjącej stale w zmierzchu zimowym byłby ten nieznaną cud: wiosenny poranek.

Te nierealne, stałe, zawsze jednakie obrazy wypełniające mi noce i dnie, różnicowały tę epokę mojego życia od innych, które ją poprzedziły i które mogły się być z nią stopić w oczach obserwatora widzącego rzeczy jedynie od zewnątrz, to znaczy niewidzącego nic. Tak w operze motyw melodii wprowadza nowość niepodjęwaną przez kogoś, kto by jedynie czytał libretto, a jeszcze mniej przez kogoś, kto by stał zewnątrz teatru, licząc jedynie upływające kwadranse. I nawet z tego czysto ilościowego punktu widzenia dnie w naszym życiu nie są równe. Natury nieco nerwowe, jak moja, przebiegając dnie, rozporządzają na kształt samochodów różnymi „szybkościami”. Bywają dnie górzyste i uciążliwe, dla których przebycia trzeba nieskończonego czasu; bywają dnie spadziste, z których zjeżdża się pędem, śpiewając.

Przez ten miesiąc powtarzałem owe obrazy Florencji, Wenecji i Pizy niby melodię, nie mogąc się nią nasycić. Pragnienie, jakie we mnie budziły, zachowało coś równie głęboko indywidualnego, co gdyby to była miłość, miłość dla jakiejś osoby. Nie przestawałem wierzyć, że one odpowiadają jakiejś niezależnej ode mnie rzeczywistości; dały mi poznać nadzieję równie piękną jak ta, którą mogliby żywić pierwsi chrześcijanie w wilię wejścia do Raju. Toteż nie troszczyłem się o sprzeczność kryjącą się w żądzy oglądania i dotykania organami zmysłów czegoś wypracowanego marzeniem, niepochwytne dla zmysłów, a równocześnie tym bardziej dla nich kuszące, tym różniejszego od wszystkiego, co dotąd poznały. I to właśnie przypominało mi realność owych obrazów; to najbardziej rozpalalo moje pragnienia; bo to była jakby obietnica, że będą zaspokojone. I mimo że źródłem mojej egzaltacji była żądza wzruszeń artystycznych, zwykły Baedeker podtrzymywał ją jeszcze skuteczniej niż podręczniki estetyki, a bardziej jeszcze od Baedekera — kolejowe rozkłady jazdy. Wzruszyła mnie myśl, że o ile przestrzeń dzieląca ode mnie ową Florencję mojej wyobraźni, tak bliską, a tak niedostępną, nie była we mnie samym drożna, mogłem ją osiągnąć niejako okrężnie, „drogą lądową”. O Wenecji powtarzałem sobie — przydając w ten sposób ileż wartości temu, co miałem zobaczyć — że Wenecja to jest „szkoła Giorgione, siedziba Tycjana, najkompletniejsze muzeum urbanistycznej architektury średniowiecza” — i czułem się szczęśliwy. Szczęście to wzrosło jeszcze, kiedy, wyszedłszy na miasto, idąc szybko z powodu pogody, która po kilku dniach przedwczesnej wiosny stała się z powrotem czymś bardzo podobnym do zimy, jaką zastawaliśmy zazwyczaj w Combray w Wielkim Tygodniu — ujrzałem na bulwarach kasztany. Zanurzone w powietrzu lodowatym i płynnym jak woda rozpoczynały — niby punktualni goście, już w galowym stroju, nie zrażający się niczym — wzdymać i rzeźbić na swoich zmarzniętych konarach nieodpartą zieleń, której wybuchowi przeszkadzały wrogie siły

Czas

zimna, nie zdołając go poskromić. I pomyślałem nagle, że Ponte-Vecchio już ścięło się hiacyntami i anemonami, że słońce wiosenne już barwi fale Canale Grande tak ciemnym lazurem i tak szlachetnymi szmaragdami, iż łamiąc się u stóp obrazów Tycjana, mogłyby rywalizować z nimi bogactwem koloru. Nie mogłem powstrzymać radości, kiedy ojciec, zasięgając rady barometru i ubolewając nad zimnem, zaczął rozważać najlepsze pociągi; kiedym zrozumiał, że wchodząc po śniadaniu do zakopconego laboratorium, do magicznego pokoju zdolnego przeobrazić wszystko dokoła siebie można się nazajutrz zbudzić w mieście z marmuru i złota, „strojnym jaspisem i brukowanym szmaragdami”. Zatem Wenecja i *Miasto lili* nie są jedynie fikcyjnymi obrazami, którymi się igra w wyobraźni, ale istnieją w pewnej odległości od Paryża, którą trzeba absolutnie przebyć, o ile się chce je widzieć, w pewnym określonym miejscu na ziemi — tym, a nie innym, — słowem, że są bardzo rzeczywiste. Stały się jeszcze rzeczywistsze dla mnie, kiedy ojciec, powiadając: „Ostatecznie mógłbyś zostać w Wenecji od 20 do 29 kwietnia, a przyjechać do Florencji w Pierwsze Święto rano”, wydobyl oba miasta nie tylko z oderwanej Przestrzeni, ale z owego urojonego Czasu, gdzie mieścimy naraz niejedną podróż, ale i inne, równoczesne, i to bez zbytniego wzruszenia wobec tego, że są tylko *możliwe*; z owego Czasu, który odradza się tak skutecznie, iż można go jeszcze spędzić w jednym mieście, spędziwszy go w innym. I ten fakt, że ojciec poświęcił owym miastom specjalne dni, stał się świadectwem autentyczności przedmiotów, na które owe dni były przeznaczone; te bowiem jedyne dni niszczą się w użyciu, nie wracają, nie można ich przeżyć w jednym miejscu, skoro się je przeżyło w innym. Uczulem, że owe dwie królowe miast, których katedry i wieże miałem na zasadzie jakże wzruszającej geometrii wpisać w plan własnego życia, kierują się ku tygodniowi zaczynającemu się od poniedziałku, kiedy praczka miała odnieść białą kamizelkę poplamioną przeze mnie atramentem — aby wsiąknąć w ów tydzień, opuściwszy idealny czas, w którym nie istniały jeszcze. Ale byłem dopiero w drodze ku szczytowi upojenia; dosięgłem go wreszcie, kiedym usłyszał z ust ojca: „Musi być jeszcze zimno na Canale Grande; warto, żebyś zapakował na wszelki wypadek zimowe palto i ciepłą kamizelkę”. To mi dopiero dało objawienie, że na pluskających ulicach, zaczerwienionych odbłaskiem Giorgione’a, mogliby się przechadzać po Wenecji w przyszłym tygodniu, w wilię Świąt Wielkanocnych, nie — jak mimo tylu otrzeźwień wciąż roilem — ludzie „majestatyczni i straszliwi jak morze, połyskujący brązem pancerzy pod fałdami krwawego płaszcza”, ale że to ja sam mógłbym być ową maleńką figurką, którą na wielkiej fotografii kościoła Św. Marka ilustrator pokazał stojącą w meloniku przed portalem. Te słowa wprawiły mnie w ekstazę: uczulem — do tej pory zdawało mi się to niemożliwe — że naprawdę wnikać między te „ametystowe skały podobne do raf Morza Indyjskiego”; wspaniałym i przewyższającym moje siły gestem zrzucając z siebie, niby zbyteczną skorupę, atmosferę mego pokoju, zastąpiłem ją odpowiednią porcją powietrza Wenecji, owej atmosfery morskiej, niewysłowionej i odrębnej, jak atmosfera marzeń, które wyobraźnia moja zawarła w nazwie *Wenecja*. Uczulem, że się we mnie spełnia cudowne odcieleśnienie; niebawem spotęgowało się ono uczuciem nudności, jakiego się doznaje przy silnym bólu gardła; położono mnie do łóżka z dużą gorączką, a doktor oświadczył, iż trzeba mi się wyrzec Florencji i Wenecji nie tylko na teraz, ale że nawet kiedy całkowicie wyzdrowieję, powinienem co najmniej przez rok unikać wszelkich projektów podróży i przyczyn wzruszenia.

Niestety zabronił mi także bezwarunkowo teatru i oglądania Bermy. Wspaniała artystka, którą Bergotte miał za istotę genialną, byłaby mi wynagrodziła to, że nie był we Florencji i w Wenecji i że nie jadę do Balbec, dając mi w zamian poznać coś może równie ważnego i pięknego. Poprzestano na posyłaniu mnie co dzień na Pola Elizejskie pod dozorem osoby, która by mi się nie dała zmęczyć. Była nią Franciszka, która wstąpiła do nas na służbę po śmierci cioci. Niecierpiałem chodzić na Pola Elizejskie. Gdybyż bodaj Bergotte opisał je w którejś książce! — wówczas z pewnością byłbym je chciał poznać, jak wszystkie rzeczy, których model najpierw włożono mi w wyobraźnię. Wyobraźnia ogrzewała je, dawała im życie, osobowość i budziła we mnie chęć odnalezienia ich w rzeczywistości; ale w tym publicznym ogrodzie nic nie wiązało się z moimi marzeniami.

Jednego dnia, kiedy się nudziłem na naszym zwykłym miejscu w pobliżu karuzeli, Franciszka zabrała mnie na wycieczkę poza granicę, której w nierównych odstępach strzegą stragany z landrynkami; w owe regiony pobliskie, ale obce, gdzie twarze są nieznanne i gdzie przejeżdża wózek zaprzężony w kozy. Potem Franciszka wróciła zabrać rzeczy z krzesła obok klombu laurów; czekając na nią, deptałem wielki, mizerny, ostrzyżony, pożółkły od słońca trawnik, na którego krańcu wznosi się nad basenem posąg. Naraz jakaś dziewczynka, kładąca właśnie płaszcz i chowająca rakieta, krzyknęła ostrym głosem do drugiej, rudowłosej, grającej w wolanta koło basenu: „Do widzenia, Gilberto, idę już; nie zapominaj, że mamy być u ciebie po obiedzie”.

To imię Gilberty przeszło koło mnie, wywołując istotę, którą oznaczało, tym skuteczniej, że określało ją nie tylko jak kogoś nieobecnego, o kim się mówi, ale wołało ją wprost. Tak przeszło obok mnie to imię, można powiedzieć, *czynnie*; z siłą, którą zwiększała krzywizna rzutu i rosnąca bliskość celu; przeszło — czułem to — niosąc z sobą świadomość, wiedzę o tej, do której głos się zwracał; wiedzę nie moją, ale wołającej ją przyjaciółki; wszystko, co wymawiając to słowo widziała lub bodaj posiadała w pamięci; ich codzienną zażyłość, wzajemne odwiedziny, całe owo Nieznane, bardziej jeszcze dla mnie niedostępne i bolesne przez to, że było tak łatwe dla tej szczęśliwej dziewczynki, muskającej mnie wyzywająco tym Nieznany i rzucającej je w powietrze w jednym krzyku. I już, wydzielając się z tego krzyku, bujała w powietrzu rozkoszna emanacja jakichś niewidzialnych momentów życia panny Swann, wieczora mającego nadejść — ściśle owego wieczora po obiedzie u niej; okrzyk ten, niebiański wysłannik biegnący pośród dzieci i bon, utworzył obłoczek przedziwnego koloru, podobny temu, który sfalowany nad pięknym ogrodem Poussina odbija szczegółowo, niby chmura w Operze pełna koni i wozów, jakieś zjawisko z życia bogów; — okrzyk ten wreszcie rzucił na pożółkłą trawę, w miejsce będące zarazem kawałkiem zwiędłego trawnika i chwilą popołudnia jasnowłosej dziewczynki z wolantem (która nie przestała podrzucać go i łapać, dopóki jej nie zawołała nauczycielka z błękitnym piórkiem), cudowną smugę barwy heliotropu, nieuchwytną jak cień i narzuconą jak dywan, od którego nie mogłem oderwać swoich zadumanych, tęsknych i niedyskretnych kroków, gdy Franciszka krzyczała na mnie: „Paniczu, trzeba zapnąć paleta i do domu”; a ja zauważyłem, że służąca wyraża się gminnie i że, niestety, nie ma niebieskiego piórka na kapeluszu.

Czy ona wróci bodaj na Pola Elizejskie? Nazajutrz nie było jej; ale ujrzałem ją w następne dni. Kręciłem się cały czas koło miejsca, gdzie bawiła się z przyjaciółkami, tak że jednego razu, kiedy nie było ich dosyć do gry w klasy, kazała mnie zapytać, czy chcę należeć do ich obozu. Odtąd grałem z Gilbertą za każdym razem, kiedy tam była. Ale to nie zdarzało się co dzień; były dni, że nie mogła przyjść: lekcje, katechizm, podwieczorek, całe owo odrębne życie, które dwa razy, zagęszczone w imieniu Gilberty, przeszło tak boleśnie koło mnie, na ścieżce w Combray i na trawniku Pól Elizejskich. W te dni oznajmiała z góry, że nie przyjdzie; jeżeli było to z powodu lekcji, mówiła: „To piła, nie będę mogła przyjść jutro; będziecie się bawili beze mnie”. Mówiła to ze strapioną miną, która mnie pocieszała trochę; ale w zamian, kiedy Gilberta była gdzieś zaproszona i kiedy, nie wiedząc o tym, spytałem, czy przyjdzie się bawić, odpowiadała: „Spodziewam się, że nie! Spodziewam się, że mamusia pozwoli mi iść do przyjaciółki”. Przynajmniej w te dni wiedziałem, że jej nie zobaczę; ale kiedy indziej matka zabierała ją niespodzianie na miasto i nazajutrz Gilberta powiadała: „A tak, chodziłam z mamą” jako rzecz naturalną, niebędącą dla kogoś drugiego największym nieszczęściem. Bywały też słotne dni, kiedy nauczycielka Gilberty, bojąc się deszczu, nie chciała z nią iść na Pola Elizejskie.

Toteż kiedy niebo było wątpliwe, od rana nie przestawałem na nie spoglądać, rozważając wszystkie znaki. Widząc damę z przeciwka, jak przy oknie kładzie kapelusz, mówiłem sobie: „Ta pani wychodzi, jest zatem pogoda możliwa do wyjścia; czemu Gilberta nie miałaby zrobić jak ta pani?”. Wśród tego chmurzyło się, mama mówiła, że może się jeszcze przetrze, że wystarczyłby na to jeden promień słońca, ale że raczej będzie deszcz; a jeżeli będzie deszcz, po co chodzić na Pola Elizejskie? Toteż od śniadania moje trwożliwe spojrzenia nie opuszczały już niepewnego i chmurnego nieba. Wciąż było ciemno. Za oknem balkon był szary. Na posępnym kamieniu nie znać było ani śladu żywszego koloru; ale czułem, niby wysiłek ku żywшему kolorowi, drganie niepewnego promienia, żądnego wyzwolić swoje światło. W chwilę potem balkon był błydy i zwierciadlany

jak woda poranna, pocętkowany tysiącem refleksów żelaznej kraty. Podmuch wiatru rozpraszał je, kamień ciemniał na nowo, ale, jak gdyby oswojone, refleksy wracały; kamień zaczynał nieznacznie bieleć i w nieustannym *crescendo* podobnym temu, które w muzyce z końcem uwertury wytrzymuje jedną nutę aż do ostatniego *fortissimo*, prowadząc ją szybko przez wszystkie pośrednie stopnie, widziałem, jak dochodzi do owego nieskażonego i trwałego złota pogodnych dni, na którym zębaty cień balustrady, niby kapryśna roślinność, odcinał się czarno, z subtelnością szczegółów zdradzającą jakby świadomy wysiłek, zadowolenie artysty i z taką plastyką, z taką miękkością w bezwładnie ciemnych i szczęśliwych płaszczyzn, że w istocie owe szerokie i liściaste cienie spoczywające na tym jeziorze słońca zdawały się widzieć, że są zakładnikami spokoju i szczęścia.

Nietrwały bluszczu, nikły pnączu, bezbarwny, najsmutniejszy, zdaniem wielu, ze wszystkich roślin, które pelzają po murze lub stroją okna; dla mnie ze wszystkich najdroższy od dnia, kiedy zjawił się na naszym balkonie niby cień obecności Gilberty będącej już może na Polach Elizejskich i mającej, skoro tylko się zjawię, wykrzyknąć: „Już! już! gramy w klasy, jesteś w moim obozie”; wąż roślino unoszona wiatrem, ale związana już nie z porą roku, lecz z godziną; obietnico doraźnego szczęścia, które dzień zniweczy lub spełni, tym samym szczęścia najbezpośredniejszego, szczęścia miłości, miększa, cieplejsza na kamieniu niż sam mech; tak żywotna, że wystarczy jej jednego promienia, aby się urodzić i wzbudzić radość nawet w pełni zimy!

I nawet w owe dni, kiedy wszelka inna roślinność znikła, kiedy piękna zielona skóra otulająca pnie starych drzew skryła się pod śniegiem, kiedy śnieg przestał padać, ale czas był zbyt pochmurny, aby można było spodziewać się Gilberty, naraz na śnieżnym płaszczu pokrywającym balkon słońce, zjawiwszy się na chwilę, plotło złote nitki i haftowało czarne cienie. Wówczas matka mówiła: „O, robi się ładnie, mógłbyś jednak spróbować iść na Pola Elizejskie”. W taki dzień nie zastawaliśmy nikogo lub jakąś odchodzącą już właśnie dziewczynkę, która mówiła, że Gilberta nie przyjdzie. Krzesła, opuszczone przez imponujące albo bojące się zimna zebranie guwernantek, były próżne. Jedynie koło trawnika siedziała dama w pewnym wieku, która przychodziła w każdą pogodę, zawsze wysztafirowana w podobną tualetę, wspaniała i ciemna. Aby z nią zawrzeć znajomość, byłbym wówczas — gdyby można było uczynić taką zamianę — oddał najwspanialsze nadzieje mego życia. Bo Gilberta podchodziła co dzień przywitać się z nią; dama pytała Gilbertę o „jej uroczą mamusię”; miałem uczucie, że gdybym ją znał, byłbym dla Gilberty czymś zupełnie innym, kimś, kto zna znajomych jej rodziców. Podczas gdy jej wnuki bawiły się opodal, dama czytała zawsze *Debaty*, o których mówiła „moje stare *Debaty*”, tak jak przez arystokratyczny fason mówiła o policjancie lub o kobiecie wynajmującej krzesła: „Ten policjant, to mój stary przyjaciel”, „z tą kobieciną od krzesel jesteśmy stare przyjaciółki”.

Franciszce było za zimno, aby mogła pozostać bez ruchu; poszliśmy tedy aż do Mostu Zgody popatrzeć na zmarzniętą Sekwanę, do której wszyscy, nawet dzieci, zbliżali się bez obawy, niby do olbrzymiego, wyciągniętego na brzeg bezbronnego wieloryba, czekającego na ćwiartowanie. Wracaliśmy przez Pola Elizejskie; omdlewałem z bólu między nieruchomymi końmi karuzeli a białym trawnikiem ujętym w czarną sieć alej, z których usunięto śnieg i gdzie statua miała w ręce dodatkowy sopel lodu, będący niby wytłumaczeniem jej gestu. Nawet stara dama, złożywszy *Debaty*, spytała o godzinę przechodzącej bony, której podziękowała, mówiąc: „Jaka pani miła!”, po czym, poprosiwszy dozorcę, aby powiedział jej wnukom, żeby wróciły, dodała: „Będzie pan niesłychanie dobry! Doprawdy! Zawstydzia mnie pan!”. Naraz powietrze się rozdarło; pomiędzy teatrem marionetek a cyrkiem, na rozjaśnionym horyzoncie, na rozwartym niebie ujrzałem niby bajkowy znak błękitne pióro mademoiselle. I już Gilberta biegła pędem ku mnie, błyszcząca i czerwona pod futrzaną czapczką, ożywiona zimnem, spóźnieniem i żądzą zabawy; zanim dobiegła do mnie, zrobiła glisadę na lodzie i czy to dla ocalenia równowagi, czy że jej się to wydało ładniejsze lub udając, że się ślizga, biegła ku mnie z szeroko otwartymi ramionami, jakby mnie chciała w nie przyjąć. „Brava! Brava! to bardzo ładnie, powiedziałabym jak wy, że to »szyk«, że to »klasa«, gdybym nie była z innej epoki, *ancien regime*”, wykrzyknęła stara dama, przemawiając w imieniu milczących Pól Elizejskich, aby podziękować Gilbercie, że przyszła, nie dając się odstraszyć zimnu. „Jesteś, dziecko jak ja wierna, na przekór wszystkiemu, naszym starym Polom Elizejskim; obie jesteśmy nieustraszone. Powiem ci, że ja

je kocham nawet takie, jak są dziś. Będzicie się śmiali ze mnie, ale ten śnieg przypomina mi gronostaje!” I stara dama zaczęła się śmiać.

Pierwszy z owych dni — którym śnieg, obraz potęg zdolnych pozbawić mnie widzenia Gilberty, dawał melancholię dnia pożegnania, a nawet dnia wyjazdu, ponieważ zmieniał wygląd, niemal charakter zwyczajnego miejsca naszych jedyńskich widzeń, obecnie zmienionego, spowitego w pokrowce — ten dzień zaznaczył jednak postęp mojej miłości, był jak gdyby pierwszym zmartwieniem, które Gilberta podzieliła ze mną. Było tylko nas dwoje z naszej bandy; znaleźć się samemu z nią, to był nie tylko jakby początek zażyłości, ale zarazem z jej strony coś bardzo wzruszającego: tak jakby ona przyszła tylko dla mnie, w taki czas! To było niemal tak, jak gdyby Gilberta w jeden z owych dni, kiedy była zaproszona do przyjaciółki, wyrzekła się wizyty, aby się ze mną spotkać. Nabierałem wiary w żywotność i w przyszłość naszej przyjaźni, która została żywa pośród odrętwienia, pustki i ruin otaczających rzeczy. I podczas gdy Gilberta wpuszczała mi gałki śniegu za koltarz, przyjmowałem z rozkliwionym uśmiechem to, co mi się zdawało i wyrazem sympatii, jaką mi okazuje, przyjmując mnie za towarzysza podróży w tym nowym zimowym kraju, i dowodem wierności, jakiej mi dochowuje w nieszczęściu. Zaczęliśmy się bawić. Było widocznie przeznaczone, aby dzień tak smutno rozpoczęty skończył się w radości; bo kiedy przed rozpoczęciem „klas” podszedłem do owej przyjaciółki, która pierwszego dnia wołała przenikliwym głosem Gilbertę, odrzekła: „Nie, nie, wszyscy wiedzą, że kawaler woli być w obozie Gilberty; zresztą kawaler widzi, że ona daje znaki”. Wzywała mnie w istocie na zaśnieżony trawnik do swego obozu, któremu słońce dawało różowe blaski i patynę starych brokatów, czyniąc zeń obóz złotogłowa.

Ów dzień, którego tak się bałem, stał się przeciwnie jednym z dni, w których nie byłem nazbyt nieszczęśliwy.

Bo ja myślałem już tylko o tym, aby nigdy nie przeżyć dnia bez widzenia Gilberty. Tak dalece, że kiedy raz babka nie wróciła na czas na obiad, nie mogłem się wstrzymać od nagłej myśli, iż gdyby ją powóz przejechał, nie mógłbym jakiś czas chodzić na Pola Elizejskie; nie kocha się już nikogo z chwilą, kiedy się kocha! Mimo to owe spędzane z Gilbertą chwile, których od poprzedniego wieczora tak niecierpliwie oczekiwałem, o które drżałem, dla których byłbym wszystko poświęcił, nie były bynajmniej szczęśliwe; wiedziałem to dobrze, bo to były jedyne chwile, na których skupiałem drobniagową i zacieklą uwagę, nie mogąc w nich odkryć ani atomu przyjemności.

Przez cały czas, który byłem z dala od Gilberty, pragnąłem ją widzieć, bo siląc się bez ustanku wywołać jej obraz, nie mogłem w końcu tego osiągnąć i nie wiedziałem już sam, czemu odpowiada moja miłość. Przy tym ona mi nigdy jeszcze nie powiedziała, że mnie kocha. Wręcz przeciwnie, często twierdziła, że ma przyjaciół, których woli ode mnie; że jestem ot, dobry kompan, z którym bawi się chętnie, mimo że jestem zbyt roztargniony, nie dość oddany zabawie; często wreszcie okazywała mi chłód, który mógłby zachwiać moją wiarę, że jestem dla niej czymś różnym od innych, gdyby ta wiara miała źródło w miłości Gilberty dla mnie, nie zaś, jak było w istocie, w mojej miłości dla niej, co czyniło tę wiarę o ileż trwalszą, wiążąc ją ze sposobem, w jaki ja, siłą wewnętrznego przymusu, musiałem myśleć o Gilbercie. Ale i ja nie wyznałem jej jeszcze swoich uczuć. Zapewne we wszystkich kajetach pisałem bez końca jej imię i adres, ale czułem zniechęcenie na widok linii, które kreśliłem, nie mogąc tym sprawić, aby ona myślała o mnie, które dawały jej na pozór tyle miejsca dokoła mnie, nie wiążąc jej jednak mocniej z moim życiem. Znaki te nie mówiły mi o Gilbercie, która nie miała ich nawet zobaczyć, ale o moim własnym pragnieniu, ukazując mi je jako coś czysto osobistego, nierealnego, wyczerpującego i jałowego.

Najpilniejsze było, żebyśmy się mogli zobaczyć z Gilbertą i żebyśmy mogli sobie wyznać wzajemnie miłość, dotąd, aby tak rzec, jeszcze nie rozpoczętą. Bez wątplenia rozmaite racje, które kazały mi tak pragnąć jej widoku, byłyby mniej naglące dla dorosłego człowieka. Później zdarza się, iż, biegłsi w pielęgnowaniu swoich przyjemności, zadowolamy się rozkoszą myślenia o kobiecie tak, jak ja myślałem o Gilbercie, bez troski o to, czy ten obraz odpowiada rzeczywistości; sycimy się słodyczą kochania bez potrzeby pewności, że Ona nas kocha. Lub też wyrzekamy się rozkoszy wyznania jej swoich uczuć, aby podsycać skłonność, jaką ona ma dla nas: na wzór japońskich ogrodników, którzy

Miłość, Dzieciństwo

dla uzyskania piękniejszego kwiatu poświęcając wiele innych. Ale w epoce, kiedy kochałem Gilbertę, wierzyłem jeszcze, że Miłość istnieje rzeczywiście poza nami; że pozwala nam co najwyżej usuwać przeszkody, ofiarowując swoje dary w porządku, w którym nie wolno nic zmieniać. Zdawało mi się, że gdybym z własnej woli udaną obojętnością zastąpił słodycz wyznania, nie tylko pozbawiłbym się jednej z wymarzonej radości, ale sporządziłbym sobie jedynie miłość sztuczną i marną, bez związku z prawdziwą miłością, której tajemnicze i przedwieczne drogi pozostałyby mi nieznanymi.

Ale kiedy przybywałem na Pola Elizejskie, kiedy mogłem skonfrontować swoją miłość, aby ją poddać poprawkom koniecznym w stosunku do żywej i niezależnej ode mnie jej przyczyny, w obecności owej Gilberty Swann, której widokiem spodziewałem się odświeżyć obrazy niepochwytne już dla zmęczonej pamięci; owej Gilberty, z którą bawiłem się wczoraj i którą poznawałem jakimś instynktem, aby się jej ukłonić; instynktem ślepym jak ten, mocą którego, idąc, wysuwamy jedną nogę przed drugą, zanim mieliśmy czas o tym pomyśleć; — natychmiast wszystko działo się tak, jak gdyby ona i dziewczynka będąca przedmiotem moich marzeń stanowiły dwie odrębne istoty. Jeżeli na przykład w wilię nosiłem w pamięci parę płomiennych oczu wyzierających z pełnych i błyszczących policzków, obecnie twarz Gilberty nastroczała mi uparcie coś, czegom sobie właśnie nie przypominał: jakieś wydłużenie nosa, które, kojarząc się z innymi rysami, przybierało wagę cech określających w historii naturalnej *gatunek* i przeobrażało ją w dziewczynkę z rodzaju ryjkowatych. Gotowałem się skorzystać z tej upragnionej chwili dla wykończenia obrazu Gilberty (który przysposabiałem sobie zawczasu i którego już nie mogłem odnaleźć w głowie), tak aby w długich godzinach samotności móc być pewnym, że to sobie przypominam; że to moją miłość dla niej pomnażam stopniowo na kształt tworzonego dzieła. Wtem ona rzuciła mi piłkę; i jak ów filozof-idealista, którego ciało uwzględnia świat zewnętrzny, mimo że jego inteligencja w istnienie tego świata nie wierzy, tak to samo *ja*, które zleciło mi pozdrowić Gilbertę jeszcze przed jej utożsamieniem, kazało mi teraz chwycić piłkę, którą mi podawała: jak gdyby to była koleżanka, z którą przyszedłem się bawić, a nie siostrzana dusza, z którą przyszedłem się połączyć! I to samo *ja* kazało mi przez grzeczność mówić Gilbertce aż do chwili rozstania tysiąc uprzejmych i nieznających rzeczy; i nie pozwalało mi ani zachować milczenia, w czasie którego mógłbym wreszcie położyć znów rękę na nieodzownym a zatraconym obrazie, ani powiedzieć jej słów zdolnych zapewnić naszej miłości stanowcze postępy, które musiałem za każdym razem odkładać do drugiego dnia.

Bądź co bądź, czasem robiłem te postępy. Jednego dnia poszliśmy z Gilbertą aż do straganu. Sklepiarka była dla nas szczególnie uprzejma, ponieważ pan Swann kupował u niej pierniki; a przez higienę konsumował ich dużo, cierpiąc na rasową egzemę i na ztwardzenie Proroków. Śmiejąc się, Gilberta pokazała mi dwóch chłopczyków, żywe okazy małego kolorysty i małego naturalisty z dziecinnych książek. Jeden nie chciał landrynek czerwonych, bo wołał fioletowe, a drugi ze łzami w oczach odtrącał śliwkę, którą mu chciała kupić bona, gdyż, jak powiedział w końcu z przejęciem: „Wolę tamtą śliwkę, bo ma robaka!”. Kupiłem dwie kulki za dwa sou. Patrzałem z podziwem na lśniące agatowe kule spoczywające w oddzielnej miseczce; wydawały mi się cenne, bo były uśmiechnięte i jasnowłose jak młode dziewczyny i kosztowały po pół franka. Gilberta, której dawano o wiele więcej pieniędzy niż mnie, spytała, która mi się bardziej podoba. Miały soczystość i przezroczystość czegoś żywego. Nie chciałem, aby się wyrzekła którejś z tych kulek; pragnąłbym, aby mogła kupić, oswobodzić wszystkie. Mimo to wskazałem jedną, koloru jej oczu. Gilberta wzięła kulkę, poszukała złotego promienia, upieściła ją, zapłaciła okup, ale natychmiast oddała mi brankę, powiadając: „Proszę, niech kawaler weźmie i zachowa na pamiątkę”.

Innym razem, pochłonięty wciąż żądzą ujżenia Bermi w klasycznym utworze, spytałem Gilberty, czy nie posiada wyczerpanej już broszury, gdzie Bergotte mówi o Racinie. Poprosiła, abym jej przypomniał dokładny tytuł; wieczorem przesałem jej liścik, wypisując na kopercie owo *Gilberta Swann*, które tylekroć kreśliłem na kajetach. Nazajutrz Gilberta przyniosła mi broszurę w papierze przewiązanym wstążką lila i zapieczętowanym białym lakiem. „Widzi pan, że to jest to, czego pan sobie życzył, rzekła wydobywając z muflki mój list. Ten *pneumatyk* wczoraj jeszcze był niczym, błękitnym świstkiem zapisa-

nym moją ręką, ale od czasu, jak go listonosz oddał odźwiernemu Swannów i jak służący zaniósł go do pokoju Gilberty, stał się rzeczą bez ceny, jednym z listów, które otrzymała owego dnia! Z trudem mogłem rozpoznać na adresie nikle i osamotnione linie własnego pisma pod drukowanymi kółkami, które przydała im poczta, pod napisami, które dodał ołówkiem listonosz. To były znaki istotnej realizacji, piętna zewnętrznego świata, fioletowe symboliczne kręgi życia, które zjawiły się po raz pierwszy, aby objąć, podtrzymać, podnieść i skrzepić moje marzenia.

I był także dzień, w którym mi powiedziała: „Wiesz, możesz mnie nazywać Gilbertą; w każdym razie ja cię będę nazywała po imieniu. Inaczej to zanadto krępujące”.

Mimo to jeszcze przez chwilę mówiła mi *pan*, a kiedy zwróciłem jej uwagę, uśmiechnęła się, układając, budując zdanie kończące się moim imieniem, podobne do tych, które w cudzoziemskich gramatykach nie mają innego celu prócz tego, aby użyć nowego słowa. Przypominając sobie później to, com czuł wówczas, uświadomiłem sobie, że był przez chwilę w ustach Gilberty, nagi, bez żadnej z cech, które określały również innych jej znajomych lub — kiedy wymawiała moje nazwisko — moich rodziców. W wysiłku, jaki czyniła (trochę podobna w tym do swego ojca), aby wyraźnie wymawiać słowa, które chciała podkreślić, wargi Gilberty robiły wrażenie, że mnie obłuskują, obierają niby owoc, z którego można jeść jedynie miąższ; gdy równocześnie spojrzenie jej, dostrajając się do poufności wysłowienia, dosięgało mnie również bardziej wprost uśmiechem, podkreślając świadomość, przyjemność i jakby wdzięczność za nie.

Ale w tej chwili nie mogłem ocenić owych nowych rozkoszy. Nie dawała ich dziewczynka, którą kochałem, *mnie*, który ją kochałem, ale jakaś inna, ta, z którą się bawiłem, owemu innemu *mnie*, niemającemu ani pamięci prawdziwej Gilberty, ani pochłoniętego nią serca: ono zaś jedno mogłoby zrozumieć cenę tego szczęścia, bo ono jedno go pragnęło. Nawet po powrocie do domu nie syciłem się tą przyjemnością. Ten sam przymus, który kazał mi się spodziewać co dnia, że nazajutrz dostąpię dokładnej, spokojnej, szczęśliwej kontemplacji Gilberty, że mi wyzna wreszcie miłość, wyjaśniając, czemu ją musiała ukrywać tak długo; ten sam przymus kazał mi mieć przeszłość za nic, patrzeć jedynie przed siebie. Wszystkie takie drobne zyski były dla mnie nie czymś istotnym i samowystarczalnym, ale nowymi szczeblami pozwalającymi uczynić mi krok dalej i dosięgnąć wreszcie szczęścia, którego jeszcze nie spotkałem.

O ile Gilberta dawała mi czasem dowody przyjaźni, wyrządzała mi nieraz przykrość, zachowując się tak, jakby widzenie mnie nie sprawiało jej przyjemności; często zdarzało się to właśnie w dniu, z którymi najwięcej wiązałem nadziei. Kiedym był pewny, że Gilberta przyjdzie na Pole Elizejskie, doznawałem radości, która mi się zdawała jedynie mglistym przecuciem wielkiego szczęścia. Wchodząc rano do salonu, aby uścisnąć mamę, już ubraną, z kunsztowną wieżą czarnych włosów na głowie, z białymi i pulchnymi rękami pachnącymi jeszcze mydłem, widziałem słup pyłu stojący o własnych siłach nad pianinem, słyszałem katarzynkę grającą pod oknem *En revenant de la revue*; — i pojmowałem, że zima otrzymała nieoczekiwaną i promienną wizytę wiosennego dnia. Kiedyśmy jedli śniadanie, dama z przeciwka, otwierając okno i zamiatając jednym ruchem całą szerokość naszej jadalni, spędziła w mgnieniu oka z pobliza mojego krzesła promień, który zaczął tam swoją sjęstę i wrócił za chwilę, aby ją kontynuować. W szkole na ostatniej lekcji o godzinie pierwszej słońce podrywało mnie niecierpliwością i nudą, pozwalając się wałęsać złotemu blaskowi po moim pulpicie. Było to niby zaproszenie na zabawę, na którą nie będę mógł przybyć przed trzecią — o której to godzinie Franciszka czekała na mnie u wyjścia. Szliśmy ku Polom Elizejskim przez ulice strojne światłem, zapchane tłumem, gdzie balkony, odlutowane słońcem, bujały mgliste przed domami niby złote chmury. Niestety! Często na Polach Elizejskich nie zastawałem Gilberty, jeszcze nie przyszła. Stałem zmartwiały na polance odżywionej niewidzialnym słońcem, które tu i ówdzie rozświetlało żdźbła trawy. Gołębie, przysiadłszy na trawniku, robiły wrażenie starożytnych rzeźb, które łopata ogrodnika wydobyla na powierzchnię uświęconej ziemi. Trwałem tak z oczami wlepionymi w horyzont; spodziewałem się co chwila ujrzeć obraz Gilberty idącej za guwernantką, poza statuą poddającą błogosławieństwu słońca dziecko, które trzymała i które ociekało promieniami. Stara czytelniczka *Debat ów* siedziała w swoim fotelu, zawsze na tym samym miejscu; przysyłała dozorczy przyjazny znak ręką, wołając: „Cóż za śliczny czas!”, a kiedy kontrolerka zbliżyła się, aby pobrać opłatę za fotel, dama mizdrzyła

się, wkładając w otwór rękawiczki dziesięciocentymowy bilet tak, jakby to był bukiecik, dla którego przez uprzejmość wobec ofiarodawcy szukała najpochlebniejszego miejsca. Kiedy je znalazła, wykonywała skomplikowane ewolucje szyją, poprawiała boa i pokazując kontrolerce żółty kwitek wyglądający z rękawiczki, słała jej zalotny uśmiech, jakim kobieta, wskazując młodemu człowiekowi staniak, powiada: „Poznaję pan swoje róże!”.

Ciągnąłem Franciszkę naprzeciw Gilberty aż do Łuku Tryumfalnego; nie spotykaliśmy jej i wracałem na polankę przekonany, że już nie przyjdzie. Naraz spoza karuzeli owa dziewczynka z ostrym głosem rzuciła się ku mnie: „Prędko, prędko, Gilberta jest już od kwadransa. Niedługo musi iść. Czekamy na ciebie, gramy w klasy”. Podczas kiedy ja wlokłem się pod górę aleją des Champs-Élisées, Gilberta przyszła ulicą Boissy-d’Anglas; jej mademoiselle skorzystała z pogody, aby załatwić sprawunki, a pan Swann miał przyjść po córkę. To była moja wina; nie powinienem był się oddalać; nigdy nie wie się na pewno, którą stroną i kiedy Gilberta przyjdzie. I to oczekiwanie czyniło mi czymś bardziej wzruszającym nie tylko Pola Elizejskie i całe popołudnie — niby olbrzymi krąg przestrzeni i czasu, gdzie na każdym punkcie i w każdej chwili mógł się ukazać obraz Gilberty — ale i sam ten obraz. Czasem obraz ten ugodził mnie wprost w serce, kiedy Gilberta zjawiała się o czwartej zamiast o wpół do trzeciej, w wizytowym kapeluszu zamiast zwykłego beretu, koło *Ambassadeurs*, a nie między drewnianymi budami; wówczas odgadując jedno z owych zatrudnień, w których nie mogłem towarzyszyć Gilbertce, a które zmuszały ją do wyjścia lub do zostania w domu, wchodziłem w kontakt z tajemnicą jej nieznanego życia. Tajemnica ta przenikała mnie również, kiedy biegnąc na rozkaz dziewczynki o ostrym głosie, aby zaraz zacząć partię, spostrzegłem Gilbertę tak żywą i szorstką z nami, składającą ukłon czytelniczce *Debatów*, która mówiła: „Co za wspaniałe słońce, istny ogień”. Gilberta miała wobec tej damy nieśmiały uśmiech, układną minę, które budziły we mnie odmienny obraz młodej dziewczyny, Gilberty takiej, jaką musiała być z rodzicami, z przyjaciółmi rodziców, na wizycie, w całej swojej drugiej egzystencji, dla mnie niedostępnej.

Ale nikt nie dawał mi przedsmaku owej egzystencji w tym stopniu co pan Swann, który zachodził nieco później po córkę. Bo on i pani Swann — przez to, że córka mieszka z nimi, że jej lekcje, zabawy, przyjaźnie zależały od nich — kryli dla mnie jak Gilberta, może nawet więcej niż Gilberta, coś niedostępnego i nieznanego, jakiś bolesny urok, jak przystało wszechwładnym bóstwom, w których urok ten czerpałby swoje źródło. Niegdyś, kiedy pan Swann żył blisko z moimi rodzicami, widywałem go często i bez szczególnej ciekawości. Ale teraz wszystko, co tyczyło rodziców Gilberty, było dla mnie przedmiotem tak ciągłego zainteresowania, że w dniu, w które pan Swann przychodził po córkę, skorom poskromił bicie serca wzniecone zjawieniem się jego szarego cylindra i płaszcza z peleryną, widok jego wzruszał mnie jeszcze tak, jak widok jakiejś historycznej postaci, o której czytało się świeżo szereg dzieł i której najmniejsze właściwości pasjonują nas. Jego stosunki z hrabią Paryża, które, kiedyś słyszałem o nich w Combray, były mi obojętne, nabierały teraz dla mnie czegoś cudownego, jak gdyby nikt inny nigdy nie znał Orleanów; odcinały go ostro od pospolitego tła przechodniów z różnych sfer, zapelniających aleję des Champs-Élysées; dziwiłem się, że on się godzi mieszać w ten tłum, nie żądając dla siebie specjalnych względów, których nikt zresztą nie zamierzał mu oddawać, tak głębokie spowijało go incognito.

Pan Swann odpowiadał grzecznie na ukłony przyjaciół Gilberty, nawet na mój, mimo że był poróżniony z moją rodziną, ale nie zdradzając, czy mnie poznaje. To mi przypomniało, że mnie przecież często widywał na wsi; wspomnienie to zachowałem jak gdyby w cieniu, ponieważ od czasu, jak odnalazłem Gilbertę, Swann był dla mnie ojcem Gilberty, a nie już Swannem z Combray. Ponieważ pojęcia, z którymi wiązałem teraz jego nazwisko, różne były od pojęć, w których siatce mieściło się ono poprzednio i którymi nie posługiwałem się już nigdy, myśląc o panu Swannie, stał się on nową osobistością; łączyłem go jednakże sztuczną, poboczną i poprzeczną linią z naszym dawnym gościem. Wszystko istniało już dla mnie wyłącznie pod kątem mojej miłości; toteż jedynie z uczuciem wstydu i żalu, że ich nie mogę wymazać, odnajdywałem lata, kiedy w oczach tego samego Swanna ośmieszałem się tak często wieczorem, prosząc mamę, aby zaszła do mego pokoju na dobranoc, wówczas gdy piła ze wszystkimi kawę przy stole w ogrodzie.

I teraz ten sam pan Swann był ze mną na Polach Elizejskich, ale na szczęście Gilberta nie powiedziała mu może mojego nazwiska.

Pan Swann oświadczył córce, że pozwala jej zagrać jedną partię i że może zaczekać na nią kwadrans; po czym, usiadłszy jak wszyscy na żelaznym krześle, zapłacił za bilet tą samą ręką, którą Filip VII tak często trzymał w swoich dłoniach, podczas gdy myśmy zaczęli grać na trawniku, płosząc gołębie, których piękne mieniące się ciała o kształcie serca, będące niby bzy w królestwie ptaków, szukały sobie schronienia. Jeden znalazł je na wielkim kamiennym wazonie i zanurzając w nim dziób, narzucał mu jakby gest i zadanie ugaszczania ptactwa owocem lub ziarnem; inny przysiadł na czole posągu, wieńcząc go na kształt owych emaliowanych emblematów, których polichromia urozmaica monotonię kamienia, przydając postaci godło, które, kiedy nosi je bogini, zyskuje jej osobny przydomek i czyni z niej — jak z istoty śmiertelnej odrębne imię — jakby nowe bóstwo.

W jeden z owych słonecznych dni, który nie ziścił moich nadziei, nie miałem siły ukryć przed Gilbertą swojego zawodu.

— Miałem właśnie o tyle rzeczy cię zapytać — rzekłem. — Myślałem, że ten dzień dużą odegra rolę w naszej przyjaźni. I ledwoś przyszła, już masz iść! Staraj się przyjąć wcześniej jutro, żebym mógł z tobą pomówić.

Gilberta rozpromieniła się i podskakując z radości, odparła:

— Jutro właśnie, ciesz się na to, mój chłopczyku! Ależ ja jutro wcale nie przyjdę! Mam wielki podwieczorek; pojutrze też nie, idę do przyjaciółki oglądać z okna wjazd króla Teodozjusza, to będzie wspaniałe; a nazajutrz *Michel Strogoff*, a potem już niedługo Boże Narodzenie i noworoczne wakacje. Może mnie wezmą na południe. To byłby szyk! Chociaż to mnie pozbawi drzewka. W każdym razie, gdybym została w Paryżu, nie przyjdę tutaj, bo będę robiła wizyty z mamą. Bywaj zdrow, papuś mnie woła.

Wracałem z Franciszką ulicami jeszcze wybrukowanymi słońcem, niby w wieczór po skończonym festynie. Ledwo wlokłem nogi.

— A bo to co dziwnego — rzekła Franciszka — to nie jest czas na tę porę, za ciepło mamy. Och, dobry Boże, co to się ludzisków od tego pochoruje; mógłby człowiek myśleć, że tam w górze też się coś popsulo.

Dławiąc łkanie, powtarzałem sobie słowa, w których Gilberta wybuchnęła radością, że tak długo nie przyjdzie na Pola Elizejskie. Ale już działał czar, którym automatycznie niejako nasycala się moja myśl z chwilą, gdym myślał o Gilbertce. Osobliwość i wyjątkowość pozycji, choćby nawet bolesnej, w jakiej wewnętrzny przymus stawiał mnie nieuchronnie wobec Gilberty, zaczęły stroić nawet ten znak jej obojętności w coś romantycznego; wśród łez wykwiłał mi uśmiech, nieśmiały szkiełko pocałunku. I kiedy przyszła godzina poczty, powiedziałem sobie tego wieczora jak co dzień: „Dostanę list od Gilberty, powie mi wreszcie, że mnie nigdy nie przestała kochać, zdradzi mi tajemną przyczynę, dla której to ukrywała dotąd, czemu musiała udawać, że może żyć bez mego widoku, czemu przybrała pozór zwykłej towarzyszkii zabaw”.

Co wieczór roilem sobie ten list; miałem uczucie, że go czytam; powtarzałem sobie każde jego zdanie. Naraz zatrzymywałem się przestraszony. Zrozumiałem, że jeźlibym otrzymał list od Gilberty, to nie mógłby to być w żadnym razie *ten*, skoro to ja go właśnie ułożyłem. Od tej pory starałem się odwrócić myśl od słów, które byłbym pragnął wyczytać w jej liście, z obawy, abym, wymawiając je, nie wykluczył z pola możliwych rzeczywistnień właśnie tych słów — najdroższych, najbardziej upragnionych. Nawet gdyby przez nieprawdopodobny zbieg Gilberta przesłała mi właśnie ten list, którym wymyślił, nie byłbym — poznając swoje dzieło — miał wrażenia, że otrzymał coś niepochozącego ode mnie, coś realnego, nowego; szczęście niezrodzone z mojej myśli, niezależne od mojej woli, prawdziwy dar miłości.

Tymczasem odczytywałam stronicę, której nie napisała do mnie Gilberta, ale którą bodaj miałem od niej; ów ustęp z Bergotte'a o piękności starych mitów, źródle natchnień Racine'a. Kartkę tę — obok agatowej kuli — zawsze miałem przy sobie. Byłem rozczulony dobrocią Gilberty, która odnalazła ją dla mnie. Każdy szuka racji dla swojej miłości i szczęśliwy jest, skoro w ukochanej istocie znajdzie cechy, o których — z literatury albo z rozmowy — dowiedział się, iż stanowią przymioty godne miłości; i przenosi na nią te cechy przez naśladownictwo, i czyni z nich nowe racje miłości, choćby były najsprzeczniesze z racjami, jakich owa miłość byłaby szukała, dopóki była samorzutna. Tak było

niegdyś ze Swannem wobec urody Odety. Ja pokochałem Gilbertę od czasów Combray dla wszystkiego nieznanego w jej życiu, w które byłbym się pragnął wdrzeć, wcielić, porzucając własne życie, będące mi już niczym; i oto teraz widziałem nieoszacowane korzyści w tym, że tego mojego życia, zbyt znanego, wzgardzonego przeze mnie Gilberta mogłaby się kiedyś stać pokorną służką, wygodną i komfortową współpracownicą, która wieczorem, pomagając mi w moich pracach, kolacjonowałaby dla mnie teksty.

Co się tyczy Bergotte'a, owego nieskończenie mądrego, boskiego niemal starca, dla którego zrazu pokochałem Gilbertę, zanim ją nawet ujrzałam, teraz kochałem go zwłaszcza z powodu Gilberty. Z taką samą przyjemnością co na jego stronie o Racinie, patrzyłem na zamknięty wielkimi pieczęciami białego laku i przewiązany wstążką lila papier, w którym Gilberta mi je przyniosła. Całowałem agatową kulkę, która była lepszą częścią serca mojej ukochanej; częścią, która nie była płochą, ale wierną, i która, mimo iż strojna tajemniczym czarem życia Gilberty, była przy mnie, mieszkała w moim pokoju, spała w moim łóżku.

Z uczuciem szczęścia kojarzyłem piękność tego kamienia, a także piękno stronic Bergotte'a z ideą miłości do Gilberty; jak gdyby one dawały tej miłości jakąś konsystencję w chwilach, gdy rozwiewała się w nicość. Ale przychodziło mi na myśl, że owe piękności wcześniejsze są od tej miłości, że nie są do niej podobne, że składniki ich były określone talentem Bergotte'a lub prawami mineralogii, zanim Gilberta mnie poznała; że nic nie zmieniłoby się w książce ani w kamieniu, gdyby Gilberta nie była mnie pokochała; i że tym samym nic nie uprawnia mnie do upatrywania w nich zakładu szczęścia. I gdy moja miłość, oczekując bez ustanku od jutrzejszego dnia wyznania Gilberty, unicestwiała, niweczyła co wieczór źle wykonaną pracę dnia, nieznaną robotnicą w mrokach mojego *ja* nie odrzucała na śmietnik porwanych nici, ale układała je, nie troszcząc się o moje zadowolenie i szczęście, w innym porządku, jaki dawała wszystkim swoim dziełom. Nie interesując się specjalnie moją miłością, nie orzekając z góry, że jestem kochany, zbierała postęпки Gilberty dla mnie niezrozumiałe i przewiny jej, które usprawiedliwiałem. Wówczas jedne i drugie nabierały znaczenia. Ten nowy porządek głosił, iż widząc, jak Gilberta zamiast przyjść na Pola Elizejskie spieszy do przyjaciółki albo za sprawunkami i gotuje się do wyjazdu na święta, niesłusznie myślę i mówię sobie, że „jest pusta albo uległa”. Bo przestałaby być pusta albo uległa, gdyby mnie kochała; a gdyby musiała ulec, czyniłaby to z rozpaczą równą mojej w dniu, kiedy jej nie ujrzałem. Powiadał jeszcze ów nowy porządek, że muszę przecie wiedzieć, co to jest kochać, skoro sam kocham Gilbertę; zwracał mi uwagę na nieustanną troskę, z jaką pragnę urósć w jej oczach. Dla tej troski próbowałem nakłonić matkę, aby kupiła Franciszce gumowy płaszcz i kapelusz z błękitnym piórkiem lub raczej, aby mnie nie posyłała na Pola Elizejskie ze służącą, za którą się rumieniłem (na co matka odpowiadała, że jestem niesprawiedliwy wobec Franciszki i że to jest dzielna kobieta, bardzo nam oddana). Zwracał mi także uwagę na moją palącą potrzebę widzenia Gilberty; potrzebę, która sprawiała, że całe miesiące naprzód starałem się dowiedzieć, kiedy ona opuszcza Paryż i dokąd się udaje; przy czym najmilsze strony zdawały mi się miejscem wygnania, o ile jej tam nie było; i byłbym pragnął wciąż być w Paryżu, dopóki będę ją mógł widywać na Polach Elizejskich. I bez trudu ów nowy porządek mógł mi wykazać, że tej troski lub tej potrzeby daremnie bym się starał dojrzeć w postępowaniu Gilberty. Ona, przeciwnie, ceni swoją nauczycielkę, nie troszcząc się o to, co ja o niej myślę. Uważała za całkiem naturalne nie przyjść na Pola Elizejskie, o ile idzie na sprawunki z mademoiselle, a za przyjemne, o ile ma towarzyszyć matce. I nawet przypuściwszy, że byłaby mi pozwoliła spędzić wakacje tam gdzie i ona, przy wyborze miejsca troszczyła się o chęci rodziców, o tysiąc spodziewanych rozrywek, a wcale nie o to, aby to była miejscowość, do której rodzina zamierzała mnie wysłać. Kiedy mnie upewniała czasem, że mnie mniej lubi niż innego ze swoich przyjaciół, mniej niż mnie lubiła wczoraj, bo zepsułem jej przez nieuwagę grę, przeproszałem ją, pytałem, co mam uczynić, aby mnie znów lubiła jak dawniej, aby mnie lubiła więcej niż innych; chciałem, żeby mi powiedziała, że to się już stało; błagałem ją o to, tak jakby ona mogła zmienić swoje uczucia wedle swojej i mojej woli po to, aby mi sprawić przyjemność, samymi słowami, które mi powie, w miarę mego dobrego lub złego postępowania. Czyż nie wiedziałem, że to, co ja czuję dla niej, nie zależy ani od jej postępków, ani od mojej woli?

Powiadał wreszcie ów nowy porządekznaczony przez niewidzialną robotnicę, że, o ile możemy pragnąć, aby postęпки osoby sprawiającej nam dotąd przykrość nie były szczerze, jest w ich łańcuchu logika, przeciw której nasze pragnienie jest bezsilne, i że raczej tej logiki niż naszych pragnień powinniśmy pytać o to, jakie będą postęпки tej osoby jutro.

Miłość moja słuchała tych nowych słów. Upewniały ją one, że jutro nie będzie różnie od wszystkich poprzednich dni; że uczuciem Gilberty dla mnie, zbyt dawnym już, aby się mogło zmienić, była obojętność; że w tej przyjaźni ja jeden kochałem. „To prawda — odpowiadała moja miłość — nie da się już nic zrobić z tej przyjaźni, ona się nie zmieni”. Wówczas od jutra lub czekając jakiegoś święta, o ile było niedaleko, jakiejś rocznicy, Nowego Roku może, któregoś z owych dni niepodobnych do innych, kiedy czas rozpoczyna nowy rachunek, odrzucając spadek przeszłości, nie przyjmując legatu jej smutków, posiłem Gilbertę, aby poniechała naszej dawnej przyjaźni i aby rzuciła podwaliny nowej.

Wciąż miałem pod ręką plan Paryża, który dzięki temu, że można było na nim znaleźć ulicę, gdzie mieszkali państwo Swann, zdawał mi się zawierać skarb. I dla przyjemności, a także przez jakąś rycerską wierność, wymawiałem z lada przyczyny nazwę tej ulicy, tak że ojciec, nieznający (jak znały matka i babka) sekretu mojej miłości, pytał:

— Ale co ty wciąż mówisz o tej ulicy, nie ma w niej nic nadzwyczajnego; jest bardzo miła jako punkt, bo jest o dwa kroki od Lasku, ale jest dziesięć innych ulic tak samo położonych.

Starałem się przy każdej sposobności wyciągać z ust rodziców to nazwisko *Swann*. Zapewne powtarzałem je sobie w duchu bez ustanku; ale potrzebowałem także słyszeć jego rozkoszny dźwięk, słuchać tej muzyki, której niema lektura nie wystarczała mi. Zresztą to nazwisko *Swann*, które znałem od tak dawna, było teraz dla mnie — jak się zdarza niektórym paralitykom w stosunku do najwykleszych słów — nowym nazwiskiem. Było wciąż obecne w mojej myśli; mimo to myśl nie mogła się z nim oswoić. Rozkładałem je, sylabizowałem, ortografia jego była dla mnie niespodzianką. I tak samo jak przestało mi być znajome, równocześnie przestało mi być niewinne. Rozkosze, jakim znajdowałem w tym, aby je słyszeć, zdawały mi się występne; miałem uczucie, że ludzie odgadują moją myśl i zmieniają rozmowę, o ile się ją staram naprowadzić na to nazwisko. Czepiałem się tematów wiążących się z Gilbertą; klepałem wciąż te same słowa, wiedząc, niestety, że to są tylko słowa; — słowa wymawiane z dala od niej, niesłyszane przez nią, słowa bez mocy, powtarzające to, co było, ale niezdolne nic zmienić. Mimo to zdawało mi się, że walcując tak wszystkim, co miało związek z Gilbertą, wycisnę w końcu coś szczęśliwego. Powtarzałem rodzicom, że Gilberta bardzo kocha swoją mademoiselle, tak jakby to twierdzenie, powtórzone setny raz, mogło mieć w końcu ten skutek, że Gilberta nagle wejdzie i zostanie z nami na zawsze. Wychwalałem starą damę czytającą *Debaty* (podsunałem rodzicom, że to jakaś ambasadorowa, a może księżna krwi) i wciąż słałem jej piękność, wspaniałość, dostojność, aż do dnia, w którym powiedziałem iż, wedle tego com słyżał od Gilberty, dama nazywa się pani Blatin.

— Och, ależ ja już wiem, co to jest! — wykrzyknęła matka, gdy ja czułem, że się czerwienię ze wstydu. — Bacność! bacność! jakby powiedział dziadek. I to ona wydała ci się piękna! Ależ ona jest okropna i zawsze taka była. To wdowa po komorniku. Nie przypominasz sobie, kiedyś był dzieckiem, jakich cudów dokazywałem, aby jej unikać na lekcjach gimnastyki, gdzie, nie znając mnie, upierała się rozmawiać ze mną pod pozorem oznajmienia mi, że jesteś „za ładny na chłopca”. Ma zawsze szal robienia znajomości i jeżeli naprawdę zna panią Swann, to musi być skończona wariatka, jak zawsze przypuszczałem. Bo, o ile jest ze sfery bardzo pospolitej, to przynajmniej nigdy nie słyszałem o niej nic podejrzanego. Ale zawsze musiała „wyrabiać sobie stosunki”. Jest okropna, straszliwie ordynarna, przy tym niebezpieczna plotkara.

Co się tyczy Swanna, tak bardzo pragnąłem się stać do niego podobny, że cały czas przy stole ciągnąłem się za nos i przecierałem sobie oczy. Ojciec powiadał: „Ten chłopak ma źle w głowie, będzie szkaradny”. Byłbym zwłaszcza pragnął być łysy jak Swann. Wyda-

wał mi się osobistością tak niezwykłą, że nie mogłem pojąć, iż osoby, u których bywałem, mogą go znać również i że tego lub owego dnia może się zdarzyć go spotkać. Jednego razu matka, opowiadając nam — jak zawsze przy obiedzie — co robiła popołudniu, rozwinęła²⁷ dla mnie wśród bardzo jałowego dla mnie opowiadania jak gdyby tajemniczy kwiat, jedynie tymi prostymi słowami: „Prawda, wyobraź sobie, kogo spotkałam w Trois Quartiers przy ladzie z parasolami: Swanna”. Co za melancholijna rozkosz dowiedzieć się, że tego popołudnia, obnosząc w tłumie swoją nadprzyrodzoną postać, Swann kupował parasol! Pośród wielkich i drobnych wydarzeń, jednako obojętnych, fakt ten budził we mnie owe swoiste wibracje, jakie wciąż przenikały moją miłość do Gilberty. Ojciec powiadał, że nie interesuję się niczym, bo nie słuchałem, kiedy mówiono o domniemanych następstwach politycznych wizyty króla Teodozjusza, w tej chwili gościa Francji i jakoby jej sprzymierzeńca. Ale w zamian miałem ochotę wiedzieć, czy Swann był w swoim haweloku!

— Czyście się przywitali? — spytałem.

— Ależ oczywiście — odrzekła matka, która zawsze się obawiała, iż gdyby przyznała, że jesteśmy chłodno ze Swannem, zbyt gorliwie może starano by się ich pogodzić, czego chciała uniknąć z powodu pani Swann, z którą nie życzyła sobie znajomości. — To on podszedł się przywitać, ja go nie widziałam.

— Więc w takim razie nie jesteście pokłóceni?

— Pokłóceni? Ależ czemu mamy być pokłóceni? — odparła żywo, jak gdybym uczynił zamach na fikcję jej dobrych stosunków ze Swannem i silił się pracować nad zbliżeniem.

— Mógłby mieć żal do ciebie, że go już nie zapraszasz.

— Nie musi się wszystkich zapraszać; czy on mnie zaprasza? Nie znam jego żony.

— Ale przychodził przecie do nas w Combray.

— Więc dobrze, przychodził w Combray, a w Paryżu ma co innego do roboty i ja także. Ale upewniam cię, że ani trochę nie wyglądamy na ludzi pokłóconych. Staliśmy chwilę razem, bo Swann nie mógł się doczekać swojej paczki. Pytał o ciebie, mówił, że się bawisz z jego córką — dodała matka, olśniewając mnie tym cudem, że ja istnieję w myśli Swanna. Więc gdy ja drzę przed nim z miłości na Polach Elizejskich, on, widząc mnie bawiącego się z jego córką, zna moje nazwisko i wie, kto jest moja matka, i może skupić dokoła mojej osoby jakieś informacje o dziadkach, o ich rodzinie, o miejscu, gdzieśmy mieszkali, i jeszcze może jakieś właściwości naszego dawniejszego życia, może nawet mnie nieznane. Ale matka nie zdawała się znajdować szczególnego uroku w tym dziele *Trois Quartiers*, gdzie reprezentowała dla Swanna, w momencie gdy ją ujrzał, określoną osobę i wspólne wspomnienia, które wzbudziły w nim odruch ukłonu i podejścia do niej.

Toż samo ani matka, ani ojciec najwyraźniej nie znajdowali nieporównanej przyjemności w rozmowie o dziadkach Swanna, o tytule „honorowego agenta giełdowego”. Wyobrażenia moja wyosobniła i uświęciła w Paryżu ludzkim pewną rodzinę, tak jak w Paryżu kamiennym uczyniła z pewnym domem, któremu wyrzeźbiła bramę i upiększyła okna. Ale te ornamenty ja sam tylko widziałem. Ojcu i matce dom, w którym mieszkał Swann, wydawał się podobny do innych domów wyrosłych w tej samej epoce w okolicy Lasku Bulońskiego; a rodzina Swanna była dla nich czymś podobnym do wielu innych rodzin. Szacowali ją lepiej lub gorzej wedle jej udziału w cechach wspólnych reszcie świata i nie znajdowali w niej nic wyjątkowego. Przeciwnie, zalety, które w niej cenili, znajdowali w równym lub wyższym stopniu gdzie indziej. Toteż uznawszy, że dom Swannów jest ładnie położony, zaczęli mówić o innym domu, położonym jeszcze ładniej, ale niemającym nic wspólnego z Gilbertą; albo o finansistach o szczebel wyższych od dziadka Swanna; i o ile się zdawało przez chwilę, że dzielą mój punkt widzenia, było to nieporozumienie, które się rychło rozwiało. Bo też, aby we wszystkim, co otacza Gilbertę ujrzyć jakąś nieznaną właściwość, analogiczną w świecie wzruszeń do tego, czym może być w świecie barw kolor infraczerwony, rodzicom brakło owego dodatkowego i chwilowego zmysłu, jakim mnie obdarzyła miłość.

W dni, w które Gilberta nie miała przyjść na Pola Elizejskie, starałem się skierować przechadzkę tak, aby się trochę zbliżyć do niej. Czasem ciągnąłem Franciszkę — niby na pielgrzymkę — przed dom, gdzie mieszkali państwo Swann. Kazałem jej bez końca

²⁷rozwinęła — dziś popr. 3 os.lp r.ż.: rozwinęła. [przypis edytorski]

powtarzać sobie to, czego przez mademoiselle dowiedziała się o pani Swann. „Zdaje się, że ona ma wielkie nabożeństwo do medalików. Nigdy nie puści się w podróż, kiedy słyszała sowę albo stukanie w ścianie, albo kiedy kot przeleci jej drogę o północy, albo kiedy mebel zaskrzypi. O, to pani bardzo wierząca!”. Byłem tak zakochany w Gilbertce, że kiedyś na ulicy ujrzał starego kamerdynera Swannów prowadzącego psa na spacer, wzruszenie kazało mi przystanąć, wlepiam w jego białe faworyty spojrzenia pełne miłości. Franciszka pytała mnie:

— Co paniczowi jest?

Następnie wędrowaliśmy dalej aż do bramy Swannów, gdzie odzwierny, odmienny od wszelkiego innego odzwiernego i nasycony aż po galony liberii tym samym bolesnym urokiem, jaki odczułem niegdyś w imieniu Gilberty, robił wrażenie, iż wie, że jestem z liczby upośledzonych istot, na zawsze wykluczonych z tajemniczego życia, którego strzec było jego zadaniem. Parterowe okna w szlachetnych zwojach muślinowych firanek podobne nie tyle do jakichkolwiek innych okien, ile do oczu Gilberty, zdawały się jakby świadomie osłaniać owo życie. Innym razem szliśmy na bulwary; stawałem u wylotu ulicy Duphot; powiedziano mi, że często można tam ujrzeć Swanna idącego do dentysty; i wyobraźnia moja tak bardzo wyodrębniła ojca Gilberty z reszty ludzkości, jego obecność wśród realnego świata wnosila w ten świat tyle cudu, że nim jeszcze dotarłem do Madeleine, czułem się wzruszony bliskością ulicy, gdzie mogło się niespodzianie ziszczyć nadprzyrodzone zjawisko.

Ale najczęściej — kiedyś nie miał widzieć Gilberty — dowiedziawszy się, że pani Swann przechadza się prawie co dzień w alei des Acacias, dokoła jeziora, i w alei Reine-Marguerite, ciągnąłem Franciszkę do Lasku Bulońskiego. Był on dla mnie niby owe zoologiczne ogrody, gdzie się ogląda różną florę i najsprzeczniesze krajobrazy; gdzie za górką spotyka się grotę, łąkę, skały, rzekę, fosę, górkę, moczar, ale ze świadomością, iż są tam tylko po to, aby dostarczyć odpowiedniego środowiska lub malowniczej ramy igraszkom hipopotama, zebra, krokodyłów, królików, niedźwiedzi i czapli. Ów Lasek, również różnaity, jednoczący odmienne i zamknięte światki, ukazujący fermę obsadzoną czerwonymi drzewami, amerykańskie dęby, niby jakiś folwark w Wirginii, tuż po sosnowym gaiku nad jeziorem lub gęstwinie, z którego wyłoni się nagle w swoim miękkim futrze, z pięknymi oczami zwierzęcia jakaś chyża amatorka spaceru, to był ogród kobiet; a aleja Akacyjowa — niby aleja Mirtowa w *Eneidzie* — obsadzona dla nich drzewami jednego gatunku, była klasycznym spacerem słynnych Piękności.

Jak szczyt skały, z której wydra skacze w wodę, z dala przejmuje radością dzieci, pewne, że zobaczą to zwierzę, tak samo daleko jeszcze od alei des Acacias, działał na mnie zapach akacji, który promieniując dokoła, dawał uczuć bliskość i osobliwość bujnej i upajającej indywidualności roślinnej; potem, kiedyś się zbliżał, lekkie i zalotne wierzchołki drzew pełnych swobodnej elegancji, o wykwintnym kroju i cienkiej tkaninie, na które setki kwiatów spadły niby skrzydlate i migotliwe kolonie cennych pasożytów; wreszcie samo ich imię kobiece, leniwe i słodkie, sprawiały, iż serce moje zaczynało bić, ale wzruszeniem na wskroś światowym — niby owe walce wywołujące w nas już tylko nazwiska pięknych dam, które lokaj oznajmia u wejścia do sali balowej. Powiedziano mi, że ujrzę w alei elegantki, które, mimo iż nie wszystkie miały mężów, cytowano zazwyczaj obok pani Swann, ale najczęściej pod pseudonimami; nowe ich nazwiska — o ile je miały — były jedynie rodzajem incognita, które znajomi, mówiąc o tych kobietach, zwykli byli uchylać dla lepszego porozumienia się. Sądząc, że Piękno — w hierarchii żeńskich elegancji — rządzi się tajemnymi prawami, w których wiedzę kobiety te były wtajemniczone i miały moc zrealizowania ich, z góry przyjmowałem jako rewelację harmonię ich tualet, zaprzęgów, tysiąc szczegółów, w których składałem moją wiarę, niby tajemną duszę, dającą owej nietrwalej i zmiennej całości jednolitość arcydzieła.

Ale ja pragnąłem widzieć panią Swann, czekałem, aż będzie przechodziła, wzruszony tak, jakby to miała być Gilberta. Rodzice Gilberty, przepojeni dla mnie, jak wszystko, co ją otaczało, jej urokiem, budzili we mnie tyleż miłości co ona, a nawet boleśniesz wzruszenie, skoro styczność ich z Gilbertą była ową tajemną częścią życia Gilberty mnie wzbronioną; budzili wreszcie we mnie owo uczucie czci, jakie zawsze mamy dla osób posiadających nieograniczoną możność czynienia nam złego. Bo dowiedziałem się

niebawem, jak się okaże, że oni nie lubili, abym ja się bawił z Gilbertą. W hierarchii estetycznych zalet i światowego wykwiutu przyznawałem pierwszeństwo prostocie, kiedy widział panią Swann pieszo, w sukienym kontusiku, w toczku przybranym skrzydłem lofofora, z bukietem fiołków przy staniku, spieszącą się, mijającą aleję des Acacias, tak jakby to była po prostu najkrótsza droga do domu, i oddającą leciutki ukłon panom w powozach, którzy, poznając z daleka jej sylwetkę, kłaniali się, powiadając sobie, że nikt nie ma tyle szyku. Ale w miejsce prostoty stawałem na najwyższym miejscu przepych, kiedy, zmusiwszy Franciszkę, ledwie zdolną iść i powiadającą, że nóg nie czuje, do dreptania godzinę tam i z powrotem, ujrzałem wreszcie, wyłaniającą się od porte Dauphine, wiktoria pani Swann unoszoną przez parę ognistych, szczupłych i stylizowanych koni, takich, jakie się widzi na rysunkach Constantina Guys, dźwigającą na koźle olbrzymiego stangreta w futrzanej czapie kozackiej, obok małego grooma, przypominającego balzakowskiego *tigre* „nieboszczyka Beaudenord”; kiedy ujrzałem — lub raczej uczulem jej kształt, rysujący się w moim sercu ostrą i wyczerpującą raną — tę nieporównaną wiktoria, umyślnie trochę za wysoką, zdradzającą, poprzez swój zbytek „dernier cri”, aluzje do dawnych form. Ten obraz to było dla mnie wcielenie królewskiego prestige’u, monarszego wjazdu, z którego wrażeniem nie mogła później dla mnie rywalizować żadna prawdziwa królowa, ponieważ miałem o ich władzy pojęcie mniej mgliste i bardziej doświadczalne. W wiktorii spoczywała niedbale pani Swann, z włosami obecnie blond, z jednym puklem siwym, przepasanymi wąską wstążką kwiatów, najczęściej fiołków, z której spływały długie welony. W ręce miała parasolkę lila, na ustach dwuznaczny uśmiech, w którym widziałem jedynie łaskawość Majestatu, a w którym była zwłaszcza zalotność kokoty. Skłaniała łagodnie ten uśmiech ku osobom, które ją witały; jednym mówił on: „Pamiętam wybornie, to było rozkoszne!”, drugim: „Jak ja byłabym chciała! To był fatalny zbieg okoliczności!”, innym: „Ależ owszem! Jakiś czas będę jechała w sznurze powozów, a skoro będę mogła, skręcę”. Nawet kiedy przechodzili nieznajomi, pozwalała igrać na wargach leniwemu uśmiechowi natchnionemu jak gdyby oczekiwaniem lub wspomnieniem kochanka, wrywając okrzyk: „Jaka ona piękna!”. A tylko dla niektórych mężczyzn miała uśmiech cierpki, sztuczny, niespokojny i zimny, który znaczył: „Tak, bydlę, wiem, że masz język żmii i że nie możesz się wstrzymać, aby nie paplać! Czy ja się tobą zajmuję, powiedz?”.

Przechodził Coquelin, rozprawiając w gronie przyjaciół i słał dłonią szerokie teatralne pozdrowienia osobom w powozach; ale ja myślałem tylko o pani Swann i udawałem, że jej nie widzę, bo wiedziałem, że w pobliżu *Tir aux pigeons* każe stangretowi zjechać w bok i zatrzymać się, aby iść pieszo. I w dniu, w którym miałem odwagę przejść koło niej, ciągnąłem Franciszkę w tym kierunku. W pewnej chwili w istocie spostrzegłem w alei dla pieszych panią Swann, idącą ku nam, wlokącą długi tren sukni lila, ubraną — tak jak sobie lud wyobraża szaty królowych — w bogate materie i stroje, których inne kobiety nie nosiły. Chwilami spuszczała oczy na rękojeść umbrelki, mało zwracała uwagi na przechodniów, tak jakby najważniejszą jej sprawą i celem było użyć ruchu, bez myśli o tym, że jest widziana i że wszystkie głowy zwracają się ku niej. Czasem tylko, kiedy się odwróciła, aby zawołać swego charta, rzucała nieznacznie dokoła siebie okrężne spojrzenie.

Ci nawet, którzy jej nie znali, zgadywali po czymś osobliwym i niezwykłym — lub może przez telepatyczne promieniowanie podobne temu, jakie rozpętywało oklaski w nieświadomym tłumie w najwspanialszych momentach Bermy — że to musi być osoba znana. Pytali się: „Kto to jest?” — czasem zapytywali przechodnia lub starali się zapamiętać toaletę jako punkt orientacyjny dla świadomszych przyjaciół, aby ich zapytać później. Inni, przystając na chwilę, powiadali:

— Wie pan, kto to jest? Pani Swann! To panu nic nie mówi? Odeta de Crécy?

— Odeta de Crécy? Ależ tak, powiadałem sobie: te smutne oczy... Ale wie pan, że ona nie musi być już pierwszej młodości! Przypominam sobie, że z nią coś miał w dniu dymisji Mac-Mahona.

— Sądzę, że lepiej pan zrobi, nie przypominając jej tego. To jest teraz pani Swann, żona jegomościa z Jockey clubu, przyjaciela księcia Walii. Jest zresztą jeszcze wspaniała.

— Tak, ale gdyby pan ją znał w owej epoce, och, jakaż była śliczna! Mieszkała w małej willi bardzo osobliwej, pełno tam było chińszczyzny. Przypominam sobie, że nam zmącili spokój chłopcy z nadzwyczajnymi dodatkami, w końcu kazała mi wstać z łóżka.

Nie słysząc tych uwag, czułem dokoła pani Swann nieuchwytny szmer sławy. Serce biło mi z niecierpliwości na myśl, że upłynie jeszcze chwila, zanim wszyscy ci ludzie (z rozpaczą zauważyłem wśród nich brak pewnego bankiera Mulata, który — czułem to — lekcewał mnie) ujrzą, iż nieznajomy młody człowiek, na którego nie zwracali żadnej uwagi, ukloni się (nie znając jej wprawdzie, ale sądziłem, że mam do tego prawo, skoro rodzice moi znali męża pani Swann, a ja bawiłem się z jej córką) tej kobiecie, słynnej z piękności, złego prowadzenia się i elegancji. Ale już znalazłem się na wprost pani Swann; wówczas składałem jej ukłon tak szeroki, tak długi, że nie mogła się wstrzymać od uśmiechu. Ludzie śmiali się. Co do niej, nie widziała mnie nigdy z Gilbertą, nie znała mojego nazwiska, ale byłem dla niej — niby jeden z dozorców w Lasku albo przewoźnik, albo kaczkę na jeziorze, którym rzucała chleb — jednym z drugorzędnych, codziennych, bezimiennych figurantów jej przejażdżek po Lasku, równie pozbawionym indywidualnego charakteru jak statysta w teatrze.

W pewne dni, kiedy nie widziałem pani Swann w alei des Acacias, zdarzało mi się spotkać ją w alei Reine-Marguerite, w którą zapuszczają się kobiety, gdy pragną być same lub udawać, że pragną być same; nie zostawała długo sama, zawsze dogonił ją jakiś wielbiciel — często w szarym cylindrze — ktoś, kogo nie znałem i kto rozmawiał z nią długo, podczas gdy oba powozy jechały za nimi.

Tę różnorodność Lasku bulońskiego, która czyni zeń miejsce sztuczne — Ogród w zoologicznym lub mitologicznym znaczeniu słowa — odnalazłem w tym roku, kiedy przechodziłem Lasek, udając się do Trianon. Był to jeden z pierwszych poranków listopada, kiedy w paryskich domach bliskość, a zarazem brak obrazu jesieni kończącej się tak szybko, bez naszego udziału, budzą nostalgię, istną gorączkę zwiędłych liści, dochodzącą czasem do bezsenności. W moim zamkniętym pokoju owe liście jesienne — wywołane pragnieniem ujżenia ich — stawały od miesiąca między moją myślą a ładą przedmiotem i wirowały niby żółte plamy, które czasem, na co bądź patrzymy, tańczą nam przed oczami. I tego rana, nie słysząc już, aby deszcz padał jak w poprzednie dni, widząc, że piękna pogoda uśmiecha się w szczelinach firanek niby w kącikach zamkniętych ust, które dają się wymknąć tajemnicy szczęścia, uczułem, że mógłbym ujrzeć owe żółte liście prześwietlone słońcem w pełni ich krasy; i nie mogąc się powstrzymać od ujżenia drzew (tak samo jak niegdyś, kiedy wiatr dął za mocno w kominku, od wybrania się nad morze), wyszedłem, aby się udać do Trianon przez Lasek Buloński. Była to godzina i pora roku, w której Lasek wydaje się może najbardziej wieloraki, nie tylko dlatego, że jest najbardziej zróżnicowany, ale że jest zróżnicowany inaczej. Nawet w otwartych miejscach, skąd ogarnia się wielką przestrzeń, na wprost ciemnych, dalekich mas drzew bez liści lub z liśćmi jeszcze z lata, tu i ówdzie podwójny rząd rudawych kasztanów robił wrażenie, jak gdyby na ledwo rozpoczętym obrazie dekorator wymalował tylko te kasztany, zanim jeszcze pociągnął farbą inne partie; i aleja ta ukazywała się w pełnym świetle, zapraszając do przechadzki jakieś osoby, które domaluje się później.

Nieco dalej, tam gdzie drzewa były pokryte zielonymi liśćmi, jedno małe, krępe, bez głowy, ale uparte, potrzęsało na wietrze brzydkią, czerwoną chyra²⁸. Gdzie indziej znowuż pierwsze przebudzenie, istny maj liści: liście cudownego samopnącego wina, uśmiechniętego niby zimowa róża, kwitły od samego rana. Lasek miał prowizoryczny i sztuczny wygląd szkółki drzew albo parku, gdzie czy to dla celów botanicznych, czy w przeddzień jakiegoś festynu, pomieszczono pośród pospolitych drzew, jeszcze nieusuniętych, parę cennych egzemplarzy o fantastycznym ulistnieniu, zdających się dokoła siebie stwarzać wrażenie przestrzeni, powietrza, jasności.

Tak więc była to pora, kiedy Lasek Buloński ujawnia najwięcej różnorodnych elementów i składa najwięcej odmiennych partii w skomplikowaną całość. I godzina była po temu. Tam, gdzie drzewa jeszcze zachowały liście, uległy one jak gdyby skażeniu swojej materii, począwszy od punktu, w którym dotknęło je światło, rano prawie horyzontalne, tak jak znów miało się stać horyzontalne w parę godzin później o zmierzchu, w chwili, gdy zapala się jak lampa, muska z daleka zieleń sztucznym i gorącym blaskiem i rozplómienia

²⁸chyra (gw.) — kołtun. [przypis edytorski]

ostatnie liście drzewa sterczącego niby niepalny i matowy kandelabr z płonącym wierzchołkiem. Tu światło pogrubiało liście kasztanu jak cegły i niby w żółtej budowli perskiej w niebieskie wzory, spajało je grubo z niebem; ówdzie znowuż odcinało je od nieba, w którego stronę kasztany zakrzywiały swoje złote palce. W połowie drzewa przybranego dzikim winem słońce zaszczeniało i rozwijało olbrzymi bukiet jak gdyby czerwonych kwiatów — może odmianę goździka — niepodobny do wyraźnego rozpoznania w tym olśnieniu. Różne partie Lasku, w lecie bardziej wtopione w gęstość i monotonię zieleni, teraz występowały na jaw. Wolniejsze przestrzenie odsłaniały przystęp do wszystkich prawie partii lub też bujniejsze listowie zwiastowało je jak sztandar. Rozpoznawało się niby na kolorowej mapie Armenonville, Pré Catelan, Madrid, pole wyścigowe, wybrzeże jeziora. Chwilami zjawiała się jakaś zbyteczna budowla, fałszywa grotta, młyn, któremu drzewa, rozstępując się, robiły miejsce, lub który wysuwał się naprzód na miękkiej platformie trawnika. Czuło się, że Lasek to nie jest tylko lasek, że odpowiada jakiemuś przeznaczeniu odrębnemu od życia jego drzew, a przyczyną mego podniecenia był nie tylko podziw dla jesieni, ale jakieś mętne pożądanie. Wielkie źródło radości, którą dusza odczuwa, zrazu nie pojmując jej przyczyny, nie rozumiejąc, że nic z zewnątrz jej nie tłumaczy.

Tak patrzyłem na drzewa z niespokojną czulością, która je przerastała i która bez mojej wiedzy biegła ku arcydziełu przechadzających się kobiet, zjawiających się wśród tych drzew codziennie przez kilka godzin. Skierowałem się ku alei des Acacias. Mijałem gęstwinę, w której ranne światło przycinało drzewa, układając z nich nowe grupy, splatając różne gałęzie i układając bukiety. Światło przyciągało z ręcznie do siebie dwa drzewa; wspomagając się potężnymi nożycami promieni i cienia, odcinało każdemu z nich połowę pnia i gałęzi; zespalając z sobą pozostałe połowy, czyniło z nich bądź jeden filar cienia, ograniczonego słonecznym kręgiem, bądź jedno widmo światła, którego sztuczny i drżący kontur okalała sieć czarnego cienia.

Kiedy promień słońca złocił najwyższe gałęzie, zdawało się, iż skąpane w lśniącej wilgoci wylaniają się same z płynnej i szmaragdowej atmosfery, w której las kąpał się niby w morzu. Bo drzewa dalej żyły własnym życiem i kiedy nie miały już liści, lśniło się ono tym pięknie na pokrowcu zielonego aksamitu otulającym ich pnie lub w białej emalii kul jemioli rozsianych na szczycie topoli, okrągłych jak słońce i księżyc w *Stworzeniu* Michała Anioła. Ale zmuszone od tylu lat, mocą jakiegoś szczepienia, żyć razem z kobietą, drzewa te wyczarowały mi driadę, piękną światową damę, barwną i chyżą, którą w przejściu pokryły gałęzmi, zmuszając, aby odczuwała jak one potęgę pór roku; przypomniały mi szczęśliwe czasy mojej wierzającej młodości, kiedyś spieszył żarliwie w miejsca, gdzie arcydzieła kobiecej elegancji miały się ziścić na chwilę pośród nieświadomych współdziałających drzew.

Ale piękność, której pragnienie budziły świerki i akacje Lasku Bulońskiego, bardziej tym samym wzruszające niż kasztany i bzy Trianon, które miałem oglądać, nie żyła na zewnątrz mnie przez wspomnienie jakiejś epoki historycznej, w dziełach sztuki, w świątyni miłości, u której stóp gromadzą się liście inkrustowane złotem.

Dotarłem do jeziora, zaszedłem aż do *Tir aux pigeons*. Ideę doskonałości, jaką nosiłem w sobie, pomieściłem niegdyś w wysokości wiktorii pani Swann, w chudości koni, wściekłych i lekkich jak osy, z oczami nabiegłymi krwią na kształt okrutnych rumaków Diomedesa; i teraz, zdjęty żądzą ujrzenia tego, co niegdyś kochałem, żądzą równie namiętną jak ta, która mnie pchała wiele lat przedtem na te same drogi, chciałem mieć znów przed oczami tę wiktorię w chwili, gdy olbrzymi stangret pani Swann, pod dozorem małego grooma, młodzieńczego jak Święty Jerzy, próbował poskromić ich stalowe skrzydła, które szamotały się przerażone i drżące. Niestety! Były już tylko samochody prowadzone przez wąsatych szoferów, którym towarzyszyli rośli lokaje. Byłbym chciał oglądać fizycznymi oczami owe kapelusiki damskie, tak niskie, że zdawały się prostym wiankiem, aby sprawdzić, czy były równie urocze, jak się zdawały urocze oczom mojej pamięci. Teraz wszystkie kapelusze były ogromne, pokryte owocami, kwiatami, ptactwem. W miejsce pięknych sukien, w których pani Swann wyglądała jak królowa, grecko-saksońskie tuniki z fałdami *tanagra*, a czasami *Directoire*, spotykały się ze szmatkami *liberty* malowanymi w kwiaty jak tapeta. Na głowie panów, którzy mogliby się przechadzać z panią Swann w alei Reine-Marguerite, nie ujrzałem dawnego szarego kapelusza ani w ogóle kapelu-

sza. Chodzili z gołą głową. I nie miałem już wiary, którą bym mógł ogarnąć wszystkie te nowe partie obrazu, dając im konsystencję, jedność, istnienie; przesuwały się przede mną bezładne, przypadkowe, nieprawdziwe, nie zawierając żadnych elementów piękności, które by moje oczy mogły jak niegdyś starać się zgrupować. Były to przeciętne kobiety, w których elegancję nie wierzyłem i których toalety wydawały mi się bez znaczenia. Ale kiedy znika wiara, zostaje po niej — i coraz to żywsze, aby zamaskować utratę dawnej naszej mocy dawania realności nowym rzeczom — fetyszystyczne przywiązanie do rzeczy dawnych, które ożywiała owa wiara; tak jakby to w niej, a nie w nas mieszkała boskość i jak gdyby nasze obecne niedowiarstwo miało zewnętrzną przyczynę — śmierć Bogów.

Co za okropność! — powiadałem sobie: czy mogą się komu te samochody wydawać eleganckie jak dawne zaprzęgi? Jestem już zapewne za stary, ale nie jestem stworzony dla świata, w którym kobiety chodzą spętane w suknie z tandetnej materii. Po co zachodzić pod te drzewa, jeżeli nie istnieje nic z tego, co żyło pod ich delikatnymi i rdzawymi liśćmi, jeżeli pospolitość i szaleństwo zastąpiły wdzięk, któremu one służyły za oprawę. Co za okropność! Moja pociecha dziś, kiedy już nie ma elegancji, to myśleć o kobietach, które znałem. Ale w jaki sposób ludzie, patrzący na te okropne stwory pod kapelusami zmienionymi w ptaszkarnię lub w ogród warzywny, mogliby nawet odczuć, jak uroczym zjawiskiem była pani Swann w skromnej budce lila albo w małym kapelusiku, na którym wznosił się jedynie prosty kwiat irysu. Czyż mógłbym nawet wytłumaczyć im wzruszenie, jakiego doznawałem w zimowe poranki, spotykając panią Swann idącą pieszo w fokowym palcie, w skromnym bereciku strojnym w dwa ostrza skrzydeł kuropatwy; ale niosącą z sobą przegrzaną atmosferę swego apartamentu, bodaj we wtulonym w jej stanik bukietu fiołków, którego żywe i błękitne kwitnienie na tle szarego nieba, mroźnego powietrza, nagich gałęzi miało również ten urok, że brało porę i czas jedynie jako ramę i żyło w atmosferze ludzkiej, w atmosferze tej kobiety, podobnie jak w wazonach i żardynierach jej salonu, w pobliżu płonącego ognia, na wprost jedwabnej kanapy żyły kwiaty przyglądające się przez okno, jak śnieg pada.

Zresztą nie byłoby mi wystarczyło, aby toalety były takie same jak w owych latach. Istnieje solidarność, która spaja rozmaite części wspomnień; pamięć nasza harmonizuje je i zachowuje w całości, z której nic nam nie wolno uronić ani odrzucić. Toteż byłbym pragnął zakończyć wieczór u jednej z tych kobiet przy filiżance herbaty, w ciemno malowanym salonie, jak salon pani Swann w roku zamykającym pierwszą część tego opowiadania; gdzie w listopadowym zmierzchu błyszcząłyby pomarańczowe ognie, czerwony pożar, różowy i biały płomień złocieni, w chwili podobnej tym, w których (jak się okaże później) nie umiałem się rozeznaczyć we własnych pragnieniach. Ale teraz owe chwile, nawet nie prowadząc mnie donikąd, zdawały mi się same w sobie pełne uroku. Byłbym chciał je odnaleźć takie, jak je sobie przypominałem. Niestety! Istniały już tylko apartamenty Louis XVI, całe białe, emaliowane błękitnymi hortensjami. Wracano zresztą do Paryża bardzo późno. Pani Swann — gdybym ją poprosił, aby odtworzyła dla mnie składniki owego wspomnienia związanego dla mnie z odległym rokiem, z tysiącleciem, do którego nie wolno mi już wrócić; składniki owego pragnienia, które stało się samo niedostępne jak przyjemność niegdyś ścigana na próżno — pani Swann odpowiedziałaby mi z jakiegoś zamku, że wróci aż w lutym, dobrze już po sezonie chryzantem. A byłoby mi trzeba także, aby to były te same kobiety, te, których toaleta interesowała mnie, ponieważ w czasie, kiedy jeszcze wierzyłem, wyobraźnia moja zindywidualizowała je i udarowała legendą. Niestety! W Avenue des Acacias — w alei Mirtowej — ujrzałem niektóre z nich, stare, straszliwe cienie tego, czym były niegdyś, błądzące, szukające rozpaczliwie w wirgilijskich gajach nie wiadomo czego. Uciekły od dawna, kiedy ja jeszcze pytałem daremnie opustoszałych dróg. Słońce schowało się. Natura zaczynała panować nad Laskiem, skąd uleciała idea, że był on elizejskim Ogrodem Kobiety; nad sztucznym młynem prawdziwe niebo było szare; wiatr marszczył jezioro drobnymi falami niby sadzawkę; wielkie ptaki przebiegały szybko Lasek niby las i wydając ostre krzyki, siadały rzędem na dębach, które pod druidyczną koroną i z dodonejskim majestatem zdawały się głosić nieludzką pustkę lasu wyzutego ze swego przeznaczenia, pomagając mi zrozumieć nonsens, jakim jest szukać w realnym świecie obrazów pamięci: zawsze będzie im brakowało czaru, którego użycza sama pamięć i to że ich nie poznajemy przez zmysły. Rzeczywistość, którą znałem — nie istniała już. Wystarczyło, że pani Swann nie zjawiała się zupełnie taka sama, w tej

samej chwili, aby aleja stała się inna. Miejsca, któreśmy znali, należą nie tylko do świata przestrzeni, w który wstawiamy je dla większej wygody. Były one jedynie cienką warstwą pośród ciągłości wrażeń, tworzących nasze ówczesne życie; wspomnienie jakiegoś obrazu jest jedynie żalem za pewną chwilę; i domy, drogi, aleje są ulotne, niestety, jak lata.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/w-strone-swanna>

Tekst opracowany na podstawie: Marcel Proust, W poszukiwaniu straconego czasu, W stronę Swanna, Warszawa 1937

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Tadeusz Boy-Żeleński.

ISBN 978-83-288-0722-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).